

**S.M. Stirling**

**David Drake**

# **WYBRANIEC**

**GENERAL - KSIĘGA VI**



## **WYBRANIEC**

Tytuł oryginału: THE CHOSEN

Copyright © 1996,2004 S.M. Stirling i David Drake.

Prawa do wydania polskiego należą do ISA Sp. z o.o., Warszawa 2004.

Ilustracja na okładce: Steven Hickman

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe,

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Marta Koniarek

Korekta: Tomasz Zrąbkowski

Skład: Jarosław Polański

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o.

Al. Krakowska 110/114

02-256 Warszawa

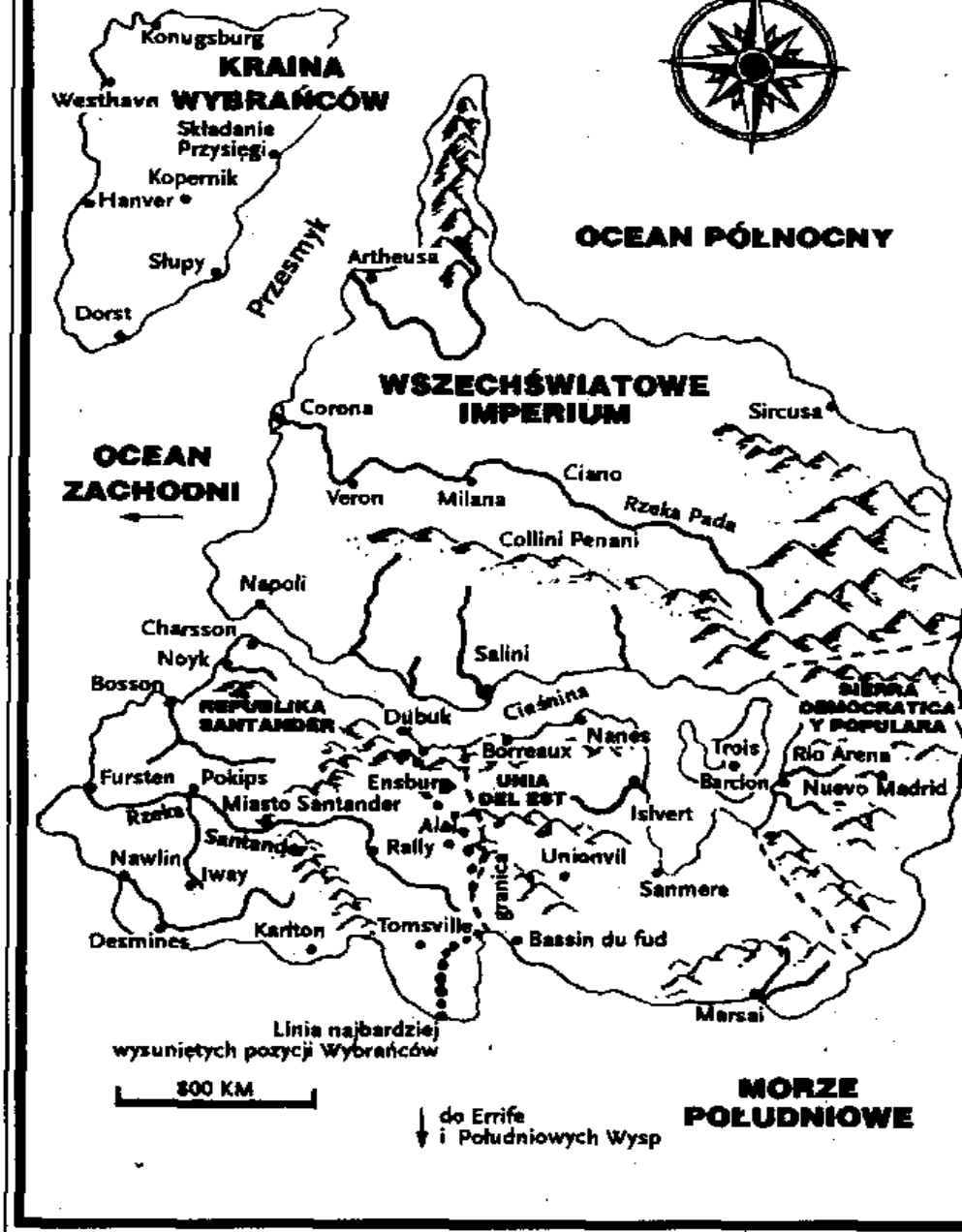
tel./fax (0-22) 846 27 59

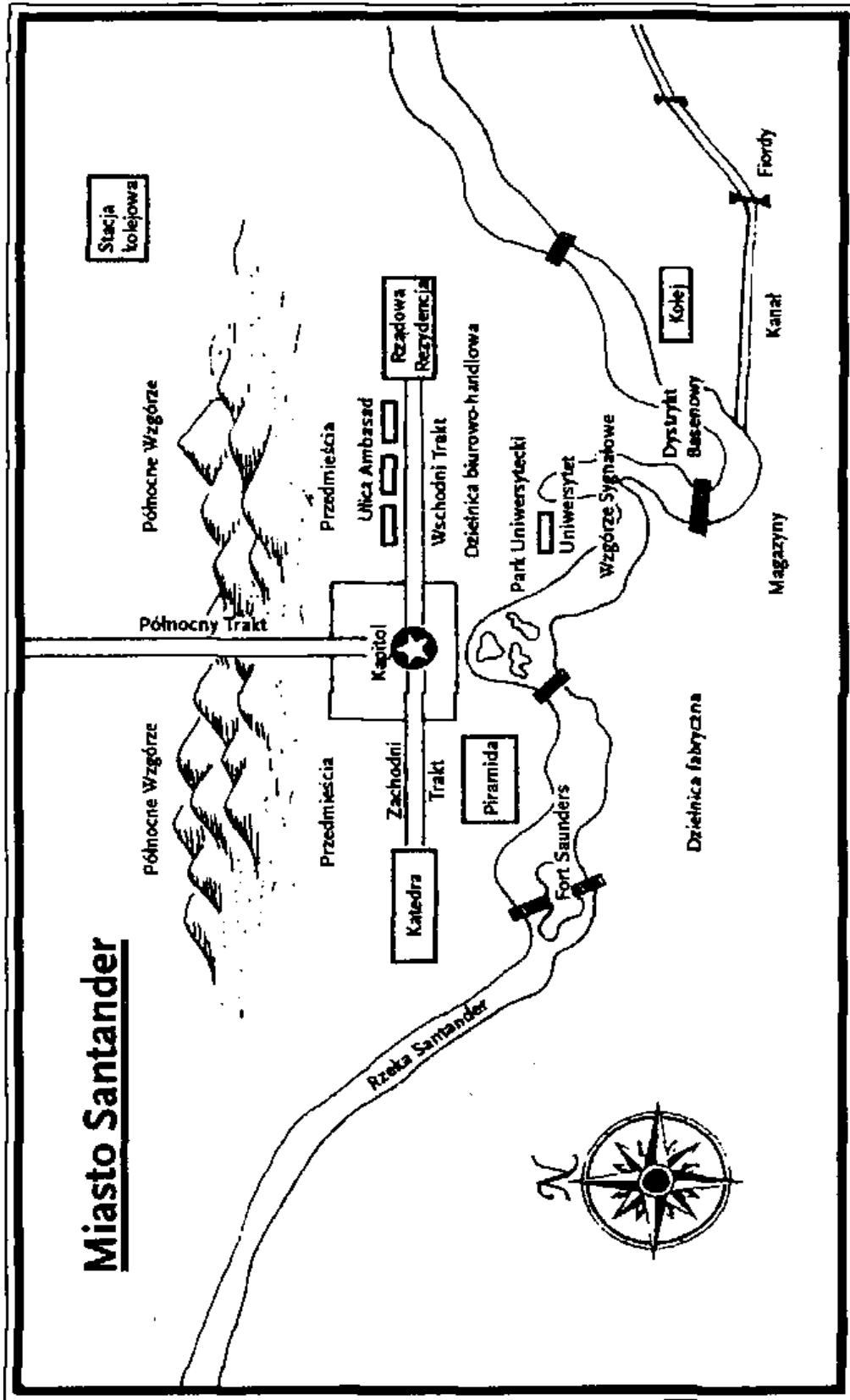
e-mail: isa@isa.pl

ISBN: 83-88916-96-3

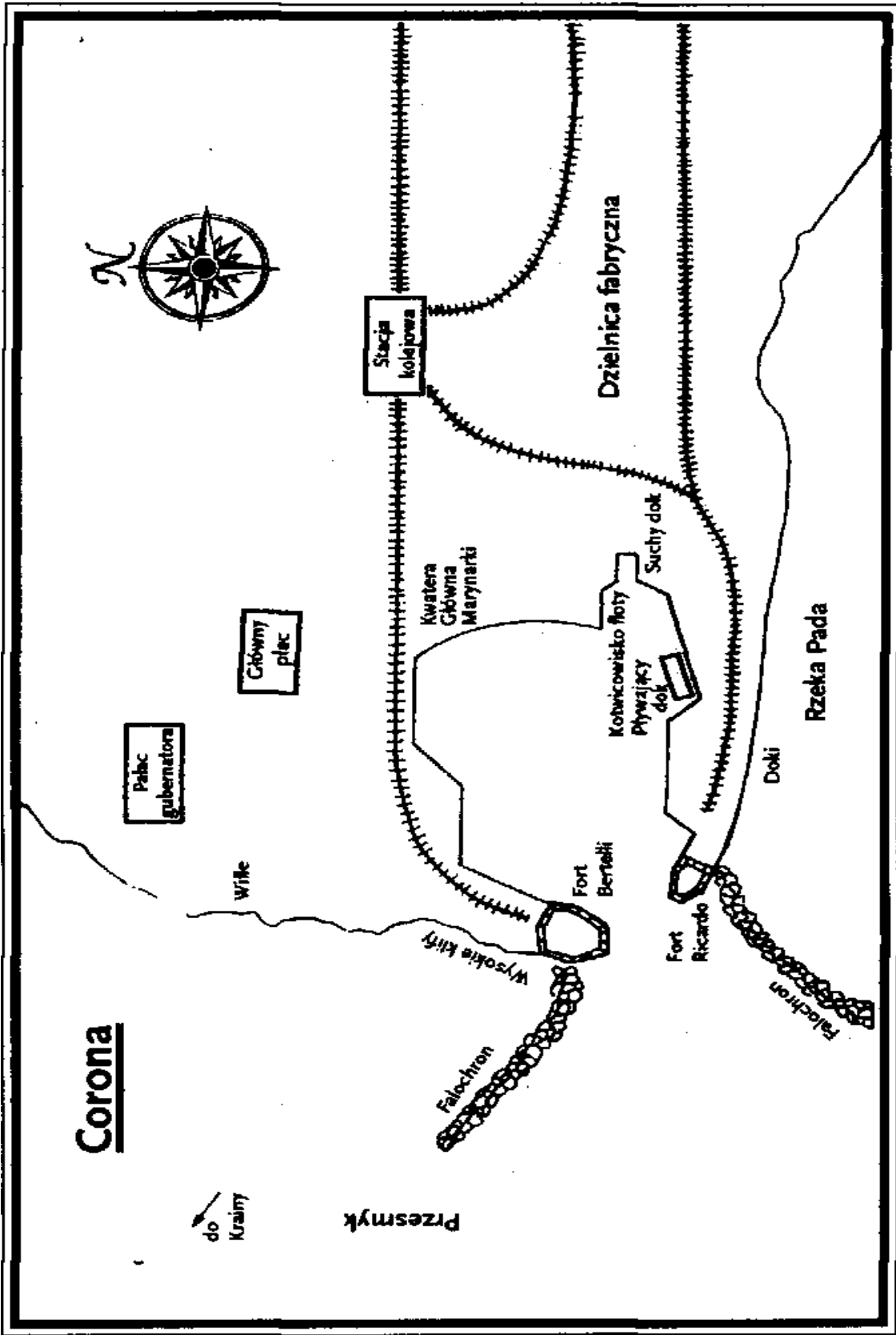
# Visager południowa półkula

← Równik  
→ do Zachodnich Wyp



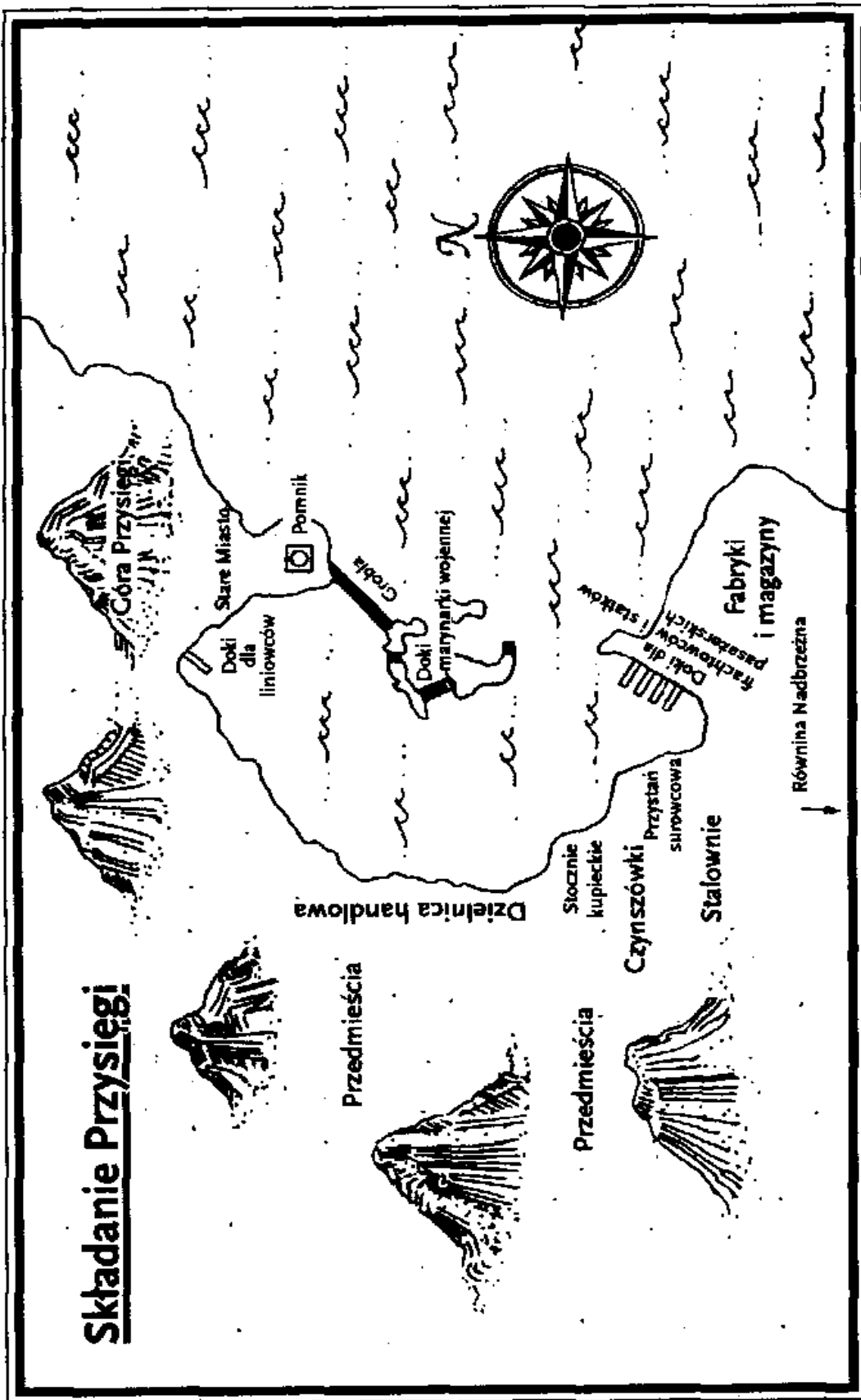


E. Koszyk



E. KOSTYK

# Składanie Przysięgi



5 KOSTKA

## Spis treści:

Rozdział pierwszy .....	8
Rozdział drugi .....	28
Rozdział trzeci .....	39
Rozdział czwarty .....	65
Rozdział piąty .....	79
Rozdział szósty .....	92
Rozdział siódmy .....	101
Rozdział ósmy .....	120
Rozdział dziewiąty .....	134
Rozdział dziesiąty .....	146
Rozdział jedenasty .....	160
Rozdział dwunasty .....	177
Rozdział trzynasty .....	195
Rozdział czternasty .....	207
Rozdział piętnasty .....	223
Rozdział szesnasty .....	241
Rozdział siedemnasty .....	249
Rozdział osiemnasty .....	262
Rozdział dziewiętnasty .....	275
Rozdział dwudziesty .....	285
Rozdział dwudziesty pierwszy .....	294
Rozdział dwudziesty drugi .....	312
Rozdział dwudziesty trzeci .....	322
Rozdział dwudziesty czwarty .....	336
Rozdział dwudziesty piąty .....	348
Rozdział dwudziesty szósty .....	360
Rozdział dwudziesty siódmy .....	374
Rozdział dwudziesty ósmy .....	386
Rozdział dwudziesty dziewiąty .....	391
Rozdział trzydziesty .....	405
Epilog .....	413

## **Rozdział pierwszy**

**Visager**

**1221 P.U. (Po Upadku)**

**305 R.P. (Roku Przysięgi)**

Komandor Maurice Farr zdjął z głowy czapkę i otarł chusteczką pot z czoła. Mężczyzna stał w dokach dla liniowców pasażerskich na północnym nabrzeżu Zatoki Składania Przysięgi. Za plecami miał szerokie i ciche ulice Starego Miasta, którego centrum stanowił Plac Pomnika. Na placu stały rzeźby z brązu przedstawiające założycieli ze wzniesioną w dłoniach bronią - kordami i rusznicami skałkowymi rozpowszechnionymi trzy wieki temu. Wojna Imperium z Sojuszem zakończyła się miażdżącym zwycięstwem Imperium. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili uciekinierzy z Sojuszu, było złożenie uroczystej przysięgi zemsty na tych, którzy pogrzebali ich ambicje i wyróżnili wszystkich ich ziomków, jacy nie umknęli z kontynentu.

Po trzech latach spędzonych jako attache marynarki wojennej w Krainie Wybrańców, Farr miał pewność co do dwóch rzeczy: ich potomkowie wciąż mieli taki zamiar i zamierzali podbić nie tylko Imperium, ale i całą planetę Visager. Może i cały wszechświat.

Na zachód i południe wokół zatoki rozciągało się nowoczesne miasto Składanie Przysięgi, zbudowane z czarnego bazaltu i szarego tufu dostarczonego z pobliskich kamieniołomów. Widać było kolejowe bocznice, stocznie, stalownie, fabryki, magazyny i niekończące się czynszowe bloki, w których zamieszkiwali protegowani robotnicy. Skupisko ogromnych budynków znaczyło centrum handlowe; sześć a nawet osiem pięter wysokości, ze szkieletem dźwigarów osłoniętych granitem



rzeźbionym w surowym, kolumnowym stylu architektury Wybrańców. Większość miasta, znajdująca się poniżej zielonych przedmieść na stokach wzgórz, spowita była przez całun węglowego dymu, przydający siarkowy zapach gorącemu, tropikalnemu powietrzu. Nad ulicą z kamiennych bloków pobrzmiwał stukot podkutych kopyt, pisk żelaza ocierającego się o żelazo, syk pary i gwizd fabrycznych syren. Statki tłoczyły się w dokach i zatoce, począwszy od staromodnych żaglowców przybyłych z ładunkami zboża z Imperium po nowoczesne parowce o stalowych kadłubach wybudowane w Krainie lub Republice.

W środku zatoki krąg wysp połączonych groblami znaczył miejsce po starożytnym, zapadniętym stożku wulkanicznym, gdzie obecnie znajdował się nowoczesny dok basenowy marynarki. Obok niego poruszał się niski, masywny, szary kształt ciężkozbrojnego okrętu wojennego. Umysł Farra automatycznie go zaszufładkował. *Ezerherzog Grukin*, od którego pochodziła nazwa tej klasy, zwodowany w zeszłym roku. Dwanaście tysięcy ton wyporności, cztery dwieście pięćdziesiątki na podwójnych wieżyczkach z przodu i z tyłu, osiem stosedemdziesiątekpiątek w czterech bocznych wieżyczkach z podwójnymi lufami, osiem stopięćdziesiątekpiątek na otwartych platformach strzelniczych po obu stronach, dwustumilimetrowe płyty pancerne poniżej poziomu wody, o powierzchni z utwardzonego stalowego stopu. Czterokominowy, z trójcyldrowymi silnikami, osiemnaście tysięcy koni mechanicznych, osiemnaście węzłów.

Największa, najokropniejsza rzecz, która pływa po wodzie - przynajmniej do momentu, gdy za osiemnaście miesięcy Republika zwoduje pierwszy okręt z klasy *Demokrata*.

Farr potrząsnął głową. *Dość. Jedziesz do domu*. Podniósł wzrok.

Wulkany ze śnieżnymi czapami otaczały miasto portowe Składania Przysięgi z trzech stron. Wznosiły się w mgiełce tropikalnego powietrza niczym doskonale stożki, ich podnóża zachodziły na siebie w gąszczu dolin i bruzd pokrytych lasami deszczowymi niczym ciemnozielonym aksamitem. Pod lasem znajdowały się tarasowe pola. Farr pamiętał, jak przez nie przejeżdżał. Pyliste aleje rozciągnięte pomiędzy rzędami eukaliptusów i wianowłostek [Drzewo o widowiskowo czerwonych lub żółtych kwitach, zwane również „płomiennym drzewem”. [Przypis tłum.]] wyłożone były żwirem. Nieco chłodniej niż tu w dole, w dokach; nieco mniej wilgotno. Z pewnością pachniało tam lepiej niż nad oleistymi wodami zatoki. Ładnie na swój sposób; lśniąca zieleń kawowych krzewów i pomarańczowych gajów. Wybrał się tam kilkakrotnie,

zapraszany do dworów w rodowych posiadłościach przedstawiciele marynarki Wybrańców, pragnących poznać attache marynarki Republiki. Niezłe chłopcy, niektórzy z nich. Dobrzy żeglarze, okropni szpiedzy, mający tendencje do zadawania pytań ujawniających więcej, niż chcieliby powiedzieć pytani.

Oznaczało to również, iż musiał podróżować poza Dystrykt Składania Przysięgi. Istniały pewne miejsca, z których dobra lornetka pozwalała dojrzeć bazę, jeśli działałaś szybko i dyskretnie. Nic wstrząsającego, tylko to, co stało w porcie, w suchym doku i co budowano na pochylniach. Potwierdzenie informacji, które wywiad uzyskał od informatorów zwerbowanych spośród szeregow protegowanych robotników w stoczni. W taki sposób buduje się obraz potencjału bojowego, krok po kroku. Był tu od trzech lat, wykonał kawał niezłej roboty - zdobył dane dotyczące eksperymentów z turbiną parową - i nadszedł czas, aby wrócić do domu.

Spojrzał na rozmawiających niedaleko mężczyznę i kobietę.

\* \* \*

*Cóż takiego w nim widziałam?* - pomyślała Sally Hosten.

Jej mąż - który wkrótce miał zostać byłym mężem - stał w formalnej pozycji, z rękoma splecionymi na plecach. Karl Hosten był wysokim mężczyzną nawet jak na jednego z Wybrańców, z szerokimi barami i wąską talią, wyglądającym równie dobrze w wieku trzydziestu pięciu lat, jak dwanaście lat temu, gdy się pobrali. Twarz miał kwadratową i tak mocno opaloną, że turkusowoniebieskie oczy błyszczały przez kontrast niczym klejnoty; krótko przycięte włosy były jasnoblond. Miał na sobie nieoficjalny mundur: szare spodenki, tunikę z krótkimi rękawami i pasem na broń.

- To rozstanie nie następuje z mojej woli - rzucił energicznie w krajowym z mocnym akcentem Wybrańców.

- Ale z mojej - przyznała Sally po angielsku.

Od dłuższego czasu mówiła po krajowemu, więc miała małe problemy z dobrym akcentem, gdy udała się do ambasady Santander w celu odzyskania swojego republikańskiego obywatelstwa. Spotkała tam Maurice'a. I jeśli tylko się da, nie zamierzała mówić w języku Karla.

- Nie zmienisz postanowienia? - spytał.

Dwanaście lat spędzonych razem sprawiło, iż łatwo jej było odczytać emocje ukryte pod przypominającym maskę obliczem Wybrańca. Smutek, jaki wyczuwała, sprawił, iż poczuła gniew.

- Czy zwrócisz Johnowi możliwość posiadania dzieci? - spytała.

Krótkie spojrzenie rzucone w bok potwierdziło, iż jej syna Johna nie ma już w pobliżu. Gdzie on jest... a, jakieś dwadzieścia stóp stąd, pochylony nad siecią ładunkową wraz z innym chłopcem wyglądającym też na dwanaście lat. Jeffrey Farr, syn Maurice'a.

Karl Hosten zeszywniał i przesunął dłonią po pokrytej językiem czaszce. - Prawo jest prawem, genetyczne defekty muszą być...

- Szpotawa stopa nie jest genetycznym defektem! - rzekła Sally spokojnie. - To rezultat postępowania w czasie ciąży - przeszło ją poczucie winy - które da się naprawić, które zostało naprawione chirurgicznie. A ty nawet mi nie *powiedziałaś*, że kazałeś go wysterylizować na porodówce. Odkryłam to dopiero, gdy miał jedenaście lat!

- Czy byłabyś szczęśliwsza, wiedząc o tym? A on?

- A jak szczęśliwy byłby, gdy dowiedziałby się, że nie może być Wybrańcem?

Karl przełknął ślinę i odwrócił wzrok. *On jest również moim synem*, ale nie powiedział tego. A na głos dodał: - Istnieje wiele ścieżek kariery otwartych przed probantem-emeritusem. Johan jest inteligentnym chłopakiem. Uniwersytet...

- Jako *nieudacznik* - rzuciła Sally, posługując się okrutnym, slangowym określeniem na tych, którym nie udało się przejść wymaganej próby życia w wieku osiemnastu lat. Było to o wiele lepsze niż status protegowanego, wszystko było lepsze, ale w Krainie Wybrańców...

- Zbyt wiele razy toczyliśmy tę rozmowę - powiedziała.

Karl westchnął. - Słusznie. Zatem skończmy z tym.

Rozejrzała się. - John!

\* \* \*

John Hosten miał poczucie nadwrażliwości, jakby jego własna skóra była zbyt ciasna i należała do kogoś innego. Wszyscy w parowym pojeździe byli zbyt cicho po tym, jak odebrano go ze szkoły. Już się pożegnał z przyjaciółmi - nie miał ich wielu - i spakował. Vulf, jego pies, już znajdował się na pokładzie statku.

*Nie chcę słuchać, jak się kłóca*, pomyślał i zaczął odsuwać się od matki i ojca.

To sprawiło, że znalazł się w pobliżu innego chłopca w jego wieku. Wzrok Johna ześliznął się ku niemu, a ciekawość odegnała na chwilę smutek. Nieznajomy był chudy i wysoki, miał rude włosy i piegi. Jego włosy były dziwnie przycięte, krótko po bokach,

z zaczesaną falą na górze - w cudzoziemskim stylu, różniącym się zarówno od krótko przystrzyżonych włosów Wybrańców, jak i przyciętych „na donicę” włosów protegowanych. Miał na sobie pulower z cienkiej tkaniny z nadrukiem w dziwaczne kolorowe wzorki, workowate spodenki, buty ze sznurowadłami i gumowymi podeszwami oraz śmiesznie wyglądającą spiczastą czapkę.

- Cześć - odezwał się, wyciągając dłoń. A potem: - Ach, *guddag*.

- Mówię po angielsku - powiedział John, potrząsając dłonią w krótkim, mocnym uścisku Krainy. Angielski i imperialny były przedmiotami obowiązkowymi w szkole, a on ćwiczył z matką.

Drugi chłopiec poruszył palcami. - Lepiej niż ja mówię po krajowemu - rzekł, uśmiechając się. - Jestem Jeffrey Farr. Ten tam to mój ojciec.

Skinął głową ku wysokiemu, smukłemu mężczyźnie w białym mundurze, który stał w ostrożnej odległości dwudziestu metrów od grupy Hostenów. John rozpoznał ten mundur z wykładów poznawczych i slajdów: marynarka Republiki Santander, oficerska, garnizonowa, lekka wersja letnia. Musiał to być kapitan Farr, ten oficer, z którym mama widywała się w konsulacie w sprawie tego obywatelstwa.

*Szkoda, że nie mówi mi prawdy. Nie jestem małym dzieciakiem ani idiotą, pomyślał. To nie był jedyny powód, dla którego tak wiele rozmawiała z Maurice'em Farrem.* - John Hosten, dziedzic-probanta - odparł na głos.

Dziedzic-probanta rodził się Wybrańcem i miał automatycznie prawo do szkolenia i próby życia. Tylko kilkoro dzieci protegowanych było adoptowanych do takiego życia. A potem spłonął rumieńcem. Już niedługo będzie probantem. Nigdy nie mógłby przejść próby, nie jej części genetycznej. Nie ze swoją stopą. Nie mógł być nikim innym poza *nieudacznikiem*, obywatelem drugiej kategorii.

- Nie musisz się już martwić tym całym gównem - rzucił radośnie Jeffrey, wskazując kciukiem za siebie, na liniowiec pasażerski *Duma Bosson*. - Wracamy do cywilizacji.

Flaga powiewająca na maszcie sygnalizacyjnym liniowca miała niebieski trójkąt po lewej z piętnastoma białymi gwiazdami i dwa szerokie czerwono-białe pasy po prawej. Sztandar Republiki Santander.

John otworzył usta w automatycznym odruchu obrony Krainy, lecz zamknął je. Sam przecież udawał się do Santander. Aby tam żyć.

- *Ya*, jedziemy - powiedział. Obydwaj obejrżeli się na swoich rodziców. - Twoja matka?

- Zmarła, kiedy byłem niemowlęciem - rzekł Jeffrey.

Za nimi dał się słyszeć trzask. Chłopcy odwrócili się, przyjmując z ulgą tę zmianę tematu. Jeden z parowych dźwigów na pokładzie *Dumy Bosson* pomylił biegi podczas wyładowywania ostatniej sieci ładunkowej na pokład. Protegowany nadzorca dokerów zbladł pod opalenizną - będzie pociągnięty do odpowiedzialności - i odwrócił się, wyrzaskując inwektywy i skargi ku pokładowi liniowca oraz potrząsając pięścią. A potem zdzielił jednego z dokerów po głowie swoją zakończoną ołowiem pałką. Dał się słyszeć odgłos, jakby melon uderzył o chodnik. Twarz dokera wyglądała jak zniekształcona gumowa maska. Mężczyzna osunął się na popękana, nierówną nawierzchnię, jakby ktoś podciął mu wszystkie ścięgna.

- Cholera - wyszeptał Jeffrey.

Nadzorca wykonał gniewny gest swoją pałką i dwaj dokerzy wzięli rannego towarzysza pod ramiona i odciągnęli ku magazynowi. Mężczyzna głowę miał odrzuconą do tyłu, ukazując białka oczu, a pęcherzyki krwi wydobywały mu się z nosa. Nadzorca odwrócił się z powrotem ku statkowi i krzyknął ku marynarzom przy relingu, wzywając oficera. Ci przez chwilę przypatrywali mu się, a potem jeden odwrócił się w milczeniu i powoli podszedł ku najbliższemu włazowi....

Dokerzy natychmiast przykucnęli na piętach, gdy nadzorca skierował swą uwagę gdzie indziej. Kilku zapaliło papierosowe niedopałki; John czuł ciężki zapach konopi pomieszanych z tytoniem. Kilku uśmiechało się głupawo za plecami nadzorcy, jednak większość miała twarze bez wyrazu, inne niż Wybrańcy, puste i blade pod szczeciną zarostu. Mieli na sobie bawełniane kombinezony robocze z szerokimi strzałkami - ubrania więźniów obozów pracy.

- Hej, ta skrzynia jest rozwalona - powiedział Jeffrey.

John spojrział. Jedno drewniano-żelazne pudło długości trzech metrów pękło od góry. Z boku widniał napis *Muzeum Historii i Natury / Kopernik*. Chłopak poczuł, jak budzi się w nim ciekawość. Kopernik było stolicą Krainy, a muzeum było czymś więcej niż magazynem. Było to główne centrum badawcze najbardziej zaawansowanego technicznie narodu na Visager. Marzyła mu się praca tam, odkrycie wreszcie, do czego służyły niektóre z tajemniczych wytworów przodków, kolonizatorów gwiazd z Ziemi. Federacja upadła ponad tysiąc lat temu - obecnie był rok 1221 P.U. - i nikt nie potrafił zrozumieć, do czego mogły służyć enigmatyczne urządzenia z ceramiki i nieznanymi metali. Nawet teraz, pomimo postępu technologii jaki nastąpił w ciągu ostatniego stulecia. Były one równie niepojęte co silniki parowe albo sterowiec dla arktycznego

dzikusa.

- Co jest w środku? - rzucił zaniepokojony.

- Chodź, zobaczmy.

Robotnicy nie zwracali na nich uwagi; John był w mundurku szkolnym probanta, a Jeffrey wyglądał wyraźnie na cudzoziemca - chłopiec z wyższych warstw mógł chodzić, gdzie mu się żywnie podoba, a Czwarte Biuro wykazałoby śmiertelne zainteresowanie, usłyszawszy, że protegowany rozmawiał z *auzlanderem*. Istniało jeszcze coś gorszego od obozów. Nadzorca wciąż wymieniał przekleństwa z podoficerem liniowca.

John chwycił za ciężką konopną sieć i wspiął się na nią. Było to łatwe w porównaniu z torem przeszkód w szkole. Jeffrey podążył za nim niezgrabnie.

- To tylko skała - rzekł zawiedziony, zaglądając przez pęknięte panele.

- Nie, to meteoryt - stwierdził John.

Bryłowata skała, zawieszona w elastycznej kołysce w środku skrzyni, miała około metra średnicy. Nie została uszkodzona, gdy sieć została upuszczona - w przeciwieństwie do cieknącej baryłki brandy, co poznali po zapachu - lecz, sądząc po jej wyglądzie pokrytej dziobami bryły żużlu, przetrwała ona już wypalającą podróż przez atmosferę. John był zaskoczony, iż posyłano ją do muzeum. Meteoryty były powszechnie spotykane. W każdą noc widywano ich dziesiątki na niebie. W tym meteorycie musiało być coś niezwykłego, może jego skład chemiczny. Dotknął go.

- Raczej chłodny - rzekł. Nie całkiem lodowaty, ale też nie o naturalnej temperaturze. - Dotknij go.

Jeffrey wsadził długie, chude ramię przez szczelinę. - Taak, jak...

Wszechświat zniknął.

\* \* \*

Sally obejrzała się przez ramię. Gdzie *jest* John? A potem go zobaczyła, wspinającego się na sieć ładunkową z innym chłopcem. Z synem Maurice'a. Otworzyła usta, by ich zawezwać, a potem zamknęła je. *Ważne, aby się dogadali*. Maurice nie oświadczył się jeszcze oficjalnie, lecz... Odwróciła się.

Po obu stronach Karła stali świadkowie: jego prawnie uznane dzieci, Heinrich i Gerta, zaadoptowane zgodnie z modłą Wybrańców. Heinrich był synem przyjaciela, który zginął w ekspedycji na Wyspy Dalekiego Zachodu. Wyspy roily się od niebezpieczeństw, a jeszcze bardziej niebezpieczne były okalające je morza, pełne

bujnych i paskudnych rodzimych form życia. Drugi świadek narodził się wśród protegowanych robotników w posiadłości Hostenów i został ochrzczony jako Gitana. Karl sponsorował ją. Była bystrą dziewczyną, a jej rodzice zostali odpowiednio: mamką oraz osobistym służącym-ochroniarzem Johna.

Maria i Angelo stali w pełnej szacunku odległości. Ich córka nie zwracała na nich uwagi. Była córka - żadni Wybrańcy nie byli równie surowi jak Wybrańcy pochodzący z szeregów protegowanych. Dziewczyna była teraz Gertą Hosten, a nie Gitaną Pesalozzi.

Prawnik Wybrańców wymienił się papierami z niedużym i pulchnym konsulem Santander, a potem zwrócił się do Sary.

- Saro Hosten, z domu Kingman, czy niniejszym ostatecznie zrywasz więzy konkubinatu z Karlem Hostenem, Wybrańcem z Krainy?

- Tak.

- Karlu Hostenie, czy przyjmujesz to oświadczenie?

- Tak.

- Czy przyznajesz także Sarze Hosten pełnię praw rodzicielskich wobec Johna Hostena, owocu tego związku?

- Tak. Pod warunkiem, iż John Hosten będzie nadal mógł posługiwać się moim nazwiskiem, jeśli sobie tego zażyczy. - Karl przełknął ślinę, lecz jego oblicze mogło być wyrzeźbione z wulkanicznego bazaltu.

- Heinrichu Hostenie, Gerto Hosten, adoptowani przez probanta z linii Hostenów, czy jesteście tego świadkami?

- Jesteśmy.

- Wszystkie strony złożą teraz podpisy, odciski palców oraz podadzą swój *geburtsnumero* na tym dokumencie.

Sally tak uczyniła, choć, w przeciwieństwie do wszystkich urodzonych w kraju Wybrańca, nie miała numeru narodzin wytatuowanego na prawej łopatce, pamiętanego tak jak imię. Tusz do pobierania odcisków palców zabrudził chusteczkę, w którą wytarła rękę.

Konsul postąpił do przodu. - Saro Jennings Kingman, jako przedstawiciel Republiki Santander, niniejszym oficjalnie zaświadczam, iż twoje zawieszone obywatelstwo Republiki zostało oto całkowicie przywrócone wraz ze wszystkimi towarzyszącymi mu prawami i obowiązkami, oraz że twój syn John Hosten, jako owoc z twego ciała, ma tym samym prawo do obywatelstwa Santander... Gdzie jest chłopak?

\* \* \*

Wszechświat zniknął. John znalazł się w... jakimś miejscu. Wydawało się, iż jest to wnętrze doskonale odbijającej światło kuli, było to jak znalezienie się w środku bańki z lustrzanego szkła. Próbował krzyczeć.

Nic się nie stało. Wówczas uświadomił sobie, że nie ma gardła ani ust. Nie ma ciała.

*Nie ma ciała nie ma ciała niemaciąła...*

Histeria została nagle zduszona, jakby zanurzono go w środku uspokajającym. A potem poczuł ciężar, oddech, *siebie*. Przez chwilę chciało mu się płakać z ulgi.

- Przepraszam - odezwał się głos za nim.

Odwrócił się, a lustrzana kula znikła. Zamiast niej widział pokój. Kominek, dywany, głębokie fotele, książki, stół, karafki, lecz nic z tego nie było dokładnie takie, jakie znał. Przy stole stał mężczyzna w mundurze, którego nie rozpoznawał: workowate bordowe spodnie, niebieska frakowata kurtka, pas z szablą; obok kieliszków na stole leżał pistolet. Nieznajomy miał ciemną karnację, ciemniejszą niż opalenizna, oraz krótkie, bardzo czarne włosy i szare oczy. Wysoki mężczyzna, stojący niczym żołnierz.

- Gdzie... co... - zaczął John.

- Bacność! - rzucił mężczyzna.

- Tak jest! - odparł John, stając na bacność. Sześć lat szkoły probantów uczyniły z tego odruch.

- Spocznij, synu - powiedział ciemnolicy mężczyzna i uśmiechnął się. - Tylko pomagałem ci się wziąć w garść. Przede wszystkim nie martw się. To jest prawdziwe - objął gestem pomieszczenie - lecz nie jest fizyczne. Wciąż dotykasz meteorytu w skrzyni. W... w zewnętrznym świecie czas właściwie nie płynie. Gdy zakończymy rozmowę, wrócisz do doku, jak gdyby nigdy nic.

- Czy zwariowałem? - wykrztusił John.

- Nie. Tylko przydarzyło ci się coś bardzo dziwnego. - Uśmiechnął się krzywo. - Mniej więcej to samo przydarzyło się mnie, chłopcze. Dawno temu, gdy byłem niewiele starszy niż ty teraz. Siadaj.

John opadł ostrożnie na jedno z krzeseł. Było wygodne. Stara skóra stęknęła pod jego ciężarem. Siedział ze stopami na podłodze i rękoma na oparciach krzesła.

- A tak przy okazji, to nazywam się Raj Whitehall. A to - machnął ręką w kierunku pokoju - jest Centrum. Komputer.



Mimo kotłującego się w nim przerażenia, John zagwizdał bezgłośnie. - *Komputer?* Taki, jaki mieli przodkowie, Federacja? *Wiele* o nich czytałem, proszę pana.

Raj Whitehall roześmiał się. - Cóż, to dobry początek. Mój lud uważał je za anioły. Tak, Centrum jest pozostałością Pierwszej Federacji. To komputer bojowy, z typu dowódczo-kontrolnego. Nie pytaj mnie o szczegóły. Tam, gdzie mnie wychowano, eksperci znali się na silnikach parowych, trochę. Popatrz tutaj.

John odwrócił głowę, aby spojrzeć na lustrzaną powierzchnię. Zamiast niej zobaczył pejzaż. Nie był to obraz; miał w sobie głębię i fakturę. Różnił się w subtelny sposób od wszystkiego, co kiedykolwiek widział. Księżycy na wyblakłym, błękitnym niebie były nieodpowiedniej wielkości i ilości. Światło słoneczne miało inny odcień i rzucało czarne cienie na przeżarte erozją parowy zbudowane z kremowo-białych osadów. Z poszarpanego terenu wysunęła się kolumna ludzi w mundurach podobnych do Rajowego. Jechali, lecz nie na koniach. Na *psach*, olbrzymich psach o wysokości pięciu stóp w kłębie. Mocno przypominały Vulfa, poza tym, że ich nogi były proporcjonalnie grubsze. John znowu zagwizdał, tym razem na głos.

Kolumna ludzi przejechała obok wraz z niezgrabnie wyglądającym działkiem polowym ciągniętym przez sześć jeszcze większych psów. A potem Raj Whitehall zatrzymał swojego... cóż, swojego olbrzymiego myśliwskiego psa. U jego boku jechała kobieta, nie w mundurze. Twarz miała pokrytą pyłem i strużkami potu, piękną. Wyglądały z niej błyszczące, skośne, zielone oczy.

Wizja zbladła, stając się nieskazitelnym lustrem. John spojrzął z powrotem na Raja. - Gdzie to było? - spytał. A potem, powoli: - Kiedy to było?

Raj skinął głową, opierając się biodrem o stół i krzyżując ramiona. - To była Bellevue, planeta, na której się urodziłem. Jakies sto pięćdziesiąt lat temu.

- Jesteś... duchem?

- Duchem w maszynie. Zapisem, który myśli, że jest człowiekiem. Jest to przekonujące złudzenie, nawet dla mnie.

John siedział w milczeniu przez czas, który wydawał mu się minutą. - Dlaczego ze mną rozmawiasz?

- Dobry chłopak - rzekł Raj. John poczuł dziwny przypływ dumy na tę pochwałę. Raj ciągnął dalej. - A teraz, słuchaj uważnie. Wiesz, jak doszło do upadku Federacji?

John skinął głową. Visager zachowało zapiski. Widział je w szkole. Ekspansja z Ziemi, a potem rywalizacja i wojna domowa. Wojna domowa, która trwała, dopóki

Sieci Tanaki nie zostały zniszczone a międzygwiazdne podróże przerwane, a później dalej na samym Visager, aż cywilizacja została całkowicie zmiażdżona. A potem nastąpił długi proces odrodzenia, powolny i bolesny.

- Tak się stało w całej zasiedlonej przez ludzi galaktyce. Na Bellevue upadek był nawet gorszy niż tutaj. Centrum pozostało w rumowisku pod rezydencją planetarnego gubernatora. Centrum czekało przez długi, długi czas, aby nadszedł właściwy moment. Ponad tysiąc lat. A potem znalazło mnie. Problemem Bellevue było rozbitcie wewnętrzne. Dążyliśmy do katastrofy. Pewnie skończyłoby się na powrocie do posługiwania się kamiennymi siekierami. Byłem żołnierzem, oficerem. Z pomocą Centrum - i pewnych bardzo dzielnych ludzi - zjednoczyłem planetę. Teraz Bellevue jest stolicą Drugiej Federacji.

- Chcesz, abym *zjednoczył Visager*? - John poczuł, jak opada mu szczęka. - *Ja?* - Głos załamał mu się w krępujący sposób, co ostatnio mu się zdarzało. Zarumienił się.

Raj potrząsał głową. - Niezupełnie. Bardziej, abyś *uniemożliwił* zjednoczenie, a przynajmniej dokonanie go przez nieodpowiednich ludzi. - Pochylił się lekko do przodu. - Powiedz mi szczerze, John. Jaką masz opinię o Wybrańcach?

John otworzył usta, a potem je zamknął. Wspomnienia przemknęły mu przez myśl, zakończone obrazem pustych, zapadniętych twarzy dokerów, gdy wynoszono nieprzytomnego człowieka.

- Szczerze, panie, to nie najlepszą. Tak jak mama. Próbowałem kiedyś rozmawiać o tym z ojcem, ale... - Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Raj skinął głową. - Centrum potrafi przewidzieć pewne rzeczy. Nie zawsze *tę jedyną* przyszłość, lecz to, co zapewne się stanie i jak bardzo jest to prawdopodobne. Nie prosz, abym ci to wytłumaczył - miałem na to trzy życia, a wciąż tego nie potrafię zrozumieć. Wiem jednak, że to działa.

>>Utrzymanie matrycy twojej osobowości nie daje się pogodzić z modyfikacjami koniecznymi do zrozumienia analizy stochastycznej.<<

John drgnął i przykrył uszy rękoma. Głos dobiegał zewsząd i znikąd. W jakiś sposób wyczuwało się jego *ciężar*, jakby waga znaczenia tych słów była większa niż jakichkolwiek, które słyszał. Ich brzmienie w jego umyśle było całkowicie bezbarwne i miarowe, pobrzmiwały w nim jednak nuty o rezonansie przypominającym brzęczenie strun gitary w chwilę po dotknięciu ich przez palce grającego. W głosie tym dawał się wyczuć... smutek.

- Centrum ma na myśli to, że gdybym został tak zmieniony, nie byłbym sobą -

powiedział Raj.

>>Johnie Hosten<< powiedział starożytny, bezosobowy głos. >>W przypadku braku interwencji z zewnątrz, istnieje prawdopodobieństwo 51% plus minus 6%, że w przeciągu 34 lat Wybrańcy zapanują całkowicie nad Visager. Obserwuj.<<

John spojrział na lustrzaną ścianę.

Niekończąca się kolumna ludzi w postrzępionych zielonych mundurach maszerowała obok stanowiska karabinu maszynowego obsadzonego przez żołnierzy Krainy - protegowaną piechotę i oficera Wybrańców. Obok stało dwóch agentów policyjnych w cywilnych ubraniach - w długich skórzanych płaszczach i kapeluszach o szerokich rondach - z ciężkimi pistoletami w dłoniach. Co jakiś czas dawali znak ręką, a żołnierze wyciągali mężczyznę z kolumny więźniów, rzucając go na kolana. Ludzie z Czwartego Biura podchodzili, przykładali lufy pistoletów do tyłu głowy kłęczącego człowieka...

>>Podbój imperium<< powiedziało Centrum. >>Obserwuj.<<

... puściło zmontowany materiał: płonące miasta, których nazwy i położenie znalazły się jakoś w jego umyśle. Statki zatłoczone niewolniczą siłą roboczą przybywające do Składania Przysięgi i Słupów oraz Dorst. Grupa inżynierów Wybrańców rozmawiająca nad papierami i planami, podczas gdy kolumna robotników rozciągająca się poza zasięg wzroku pracowała nad kolejowym nasypem.

>>Konsolidacja. Dalsza ekspansja.<<

Płonący okręt wojenny zatonął w oceanie usianym oleistymi plamami płomieni, wrakami, ciałami i ludźmi, którzy w dalszym ciągu próbowali się poruszać. Setki zostały wessane w głąb, gdy statek stanął w pionie i zatonął niczym ołowiany ołówek wrzucony do sadzawki. Jego ogromne śruby z brązu wciąż się kręciły, gdy się ostatecznie zanurzał. Z dymu wyłoniła się kolumna ciężkich okrętów wojennych z czarno-złotymi sztandarami Wybrańców na masztach. Ich główne baterie były nadpalone i pokryte pęcherzykami od ciężkiego ognia, lecz milczały. Mniejsze i szybkostrzelne działa siekły wodę.

>>Zniszczenie Santander.<<

Nawet bez informacji Centrum, rozpoznał kolejny obraz. Była to Sala Republiki w mieście Santander. Wielka kopuła z czerwonego granitu była roztrzaskana. Mężczyzna w czarnym surducie i wysokim kapeluszu republikańskiego oficjalnego stroju stanął przed generałem Wybrańców i wręczył mu konstytucję Republiki w szklanej kasetce. Generał upuścił ją i zmiażdżył obcasem, podczas gdy żołnierze za

nim wiwatowali.

>>Konsekwencje.<<

Odrapana ulica czynszowych domów w mieście Wybrańców. Postacie skupione na schodach, rozmawiające, milknące, gdy dziwacznie wyglądający pojazd parowy najeżony bronią, bucząc, przejeżdżał obok.

- Ale to są *Wybrańcy!* - wykrzyknął John.

Raj przemówił: - Co robią mięsożercy, gdy skończą z ofiarą?

>>Metafora, ale trafna<< powiedział pozbawiony emocji nie-głos Centrum.

>>Kiedy już konsolidacja będzie całkowita, rody Wybrańców skłócą się ze sobą. Planeta nie może utrzymywać tak dużej klasy rządzącej w warunkach intensywnego współzawodnictwa, nie w nieskończoność. A systemu społecznego będącego wynikiem podboju i niewolnictwa nie da się w sposób racjonalny przystosować tak, by zmaksymalizować produktywność. Wewnętrzna reorganizacja prowadziły do stworzenia kasty wielmoży i wykluczenia większości rodów Wybrańców.<<

Armie się zwały, uzbrojone w dziwną, potężną broń. W powietrzu zaroilo się od śmiercionośnych maszyn sunących gładko i nisko nad ziemią. Ludzie ginęli. Protegowani żołnierze, cywile.

>>Nowa szlachta będzie walczyła między sobą. Najpierw przy pomocy armii protegowanych. Rywalizacja będzie narastać.<<

Długi, gładki kształt opadł na kolumnie białego ognia. Krajobraz był pustynny. Wysunęły się odnóża do lądowania i otworzył się właz.

>>Postęp technologiczny będzie trwał aż do poziomu transportu międzyplanetarnego, a potem zamrze. Żadna ze zwalczających się frakcji na Visager nie będzie sobie mogła pozwolić na przeznaczenie odpowiednich środków na ponowne ustanowienie pędu ku gwiazdom.<<

Ogromne miasto, budynki sięgające ku słońcu. Minęła chwila, zanim John rozpoznał je jako Składanie Przysięgi i to tylko po kształcie kolistej zatoki i otaczających miasto wulkanów. Nagle jedna z olbrzymich wież znikła w oślepiającym oczu błysku.

>>Jedna grupa szlachty próbuje posłużyć się upadłymi rodami Wybrańców przeciwko innej. W efekcie powstają oni przeciwko szlachcie na całej planecie, próbując przywrócić stary system. Protegowani wzniesają bunt. Rezultatem jest maksymalna entropia.<<

Kręgi fioletowego ognia rozchodziły się nad miastami, unosząc się, aż ogniste kule

rozciągnęły się ku górnej warstwie atmosfery.

>>Prawdopodobieństwo 87% plus minus 6<< dodało Centrum.

John siedział wstrząśnięty. *Jestem tylko dzieciakiem*, pomyślał. Nie dość dobrym, aby przejść próbę życia, kaleką. *Co mam zrobić z tym wszystkim?*

- Dlaczego wy nie możecie czegoś zrobić? - spytał. - Przybyliście z gwiazd, macie kolejną Federację, niech wyląduje statek kosmiczny. *Powiecie ludziom, co mają robić!*

- Nie możemy - rzekł Raj. - Po pierwsze, nie mamy na to środków. Do tej pory w Federacji są tylko cztery światy. A *tysiące* wymagają uwagi. A nawet gdybyśmy mogli, to tylko rozpoczęłoby to kolejny cykl i oznaczałoby wojnę, tak jak za czasów Pierwszej Federacji. Nowe światy muszą się wykaraskać same z tarapatów przy minimum interwencji z zewnątrz, i zrobić to w odpowiedni sposób.

>>Zgadza się<< powiedziało Centrum. >>Prawdziwa federacja może osiągnąć stabilizację z zachowaniem dynamizmu i mobilności. Hegemonia narzucona z zewnątrz do tego nie doprowadzi.<<

- Chcecie, abym... w jakiś sposób powstrzymał Wybrańców przed całkowitym przejęciem władzy - powiedział John.

Poczuł przyływ podniecenia. Przypominało to nieco to, co czuł w zeszłym tygodniu, gdy poprawiająca poduszki pokojówka obrzuciła go spojrzeniem i uśmiechnęła się, a on wiedział, że *mógł* właśnie wtedy, gdyby tylko chciał. Było to jednak mocniejsze, głębsze. To *on* może wpłynąć na los całej planety. *Ocalić* cały świat. On, John Hosten, z pryszczem na nosie i stopą, która wciąż boli, gdy za mocno jej używa, mimo tego wszystkiego co zdołali zrobić chirurdzy.

>>A konkretnie, będziesz działał na rzecz wzmocnienia Republiki Santander<< powiedziało Centrum.>> Dzięki radom moim i Raja Whitehalla szybko awansujesz i będziesz mógł wpływać na politykę. Taka interwencja w sposób drastyczny zwiększy prawdopodobieństwo tego, iż Republika stanie się czynnikiem dominującym w cyklu wojen, które rozpoczną się w ciągu kolejnych dwóch dziesięcioleci.<<

- Republika podbije... zjednoczy świat?

>>Nie. Prawdopodobieństwo tego wynosi mniej niż 12% plus minus 3. Obserwuj.<<

Żołnierze w brązowych mundurach i okrągłych kapeluszach Republiki wymaszerowali z miasta - z Areny, w Sierrze. Tłumy stały wzdłuż ulic, pokrzykując i gwizdząc. Czasami czymś rzucano.

>>Santander brakuje organizacyjnej infrastruktury, aby siłą przyłączyć obce

terytoria.<<

- Brak stałej siły - podkreślił Raj. - Mogą wdać się w wojny, a jeśli przyprze ich się do muru, mogą się zmobilizować jak jasna cholera, lecz gdy sytuacja jest mniej krytyczna, nie lubią płacić rachunków w ludziach ani w pieniądzu. Od czasu do czasu wdadzą się w wojny, marnotrawiąc ludzi i sprzęt, a potem stwierdzą, że to nie jest zabawne i wrócą do domu.

>>Właśnie. Santander będzie zwiększało swą hegemonię kulturalną i gospodarczą, a nie militarną. To zapoczątkuje okres intensywnego współzawodnictwa technologicznego. Takie epizody prowadzą do wzrostu innowacyjności technologicznej.<<

- Republika wyruszy w kosmos, bowiem przyda jej to tyle samo chwały co wojna, a jest mniej frustrujące - wyjaśnił Raj.

>>Obserwuj.<<

Cylinder wyższy niż budynek uniósł się w powietrze z jasnoniebieskim wyładowaniem. Następny widok był dziwny: niebieski dysk poprzecinany białą, unoszący się w całkowitej czerni, otoczony nie mrugającymi gwiazdami. Dopiero, gdy John zobaczył zarys kontynentu, uświadomił sobie, że widzi Visager z kosmosu.

*Z kosmosu!* - pomyślał. Konstrukcja z dźwigarów przesunęła mu się przed oczyma. Ludzie w kombinezonach kosmicznych i niepojęte maszyny z ramionami niczym u krabów.

>>Sieć Przesiedleńcza Tanaki<< powiedziało Centrum. >>W tym scenariuszu Visager wstąpi do Drugiej Federacji bez uprzedniego zjednoczenia politycznego. Niezwykle wydarzenie.<<

Wizje dobiegły końca, pozostawiając tylko lustrzaną ścianę na końcu dziwnego gabinetu.

Raj wręczył mu kieliszek i usiadł na krześle naprzeciwko. John pociągnął ostrożnie łyk słodkiego wina.

- Chłopcze, możesz stąd odejść bez żadnych wspomnień o tym, co zobaczyłeś i usłyszałeś - rzekł spokojnie. - Możesz też odejść stąd jako agent Centrum - tak jak ja byłem agentem Centrum - aby pomóc wydobyć tę planetę ze ślepej uliczki, w jakiej została uwięziona i uwolnić jej lud.

- Zrobię to! - wyrzucił z siebie John i znowu się zarumienił.

Wydawało się, jakby te słowa wyszły prosto z jego ust, nie przeszedłszy przedtem przez jego umysł.

Raj potrząsnął głową. - To nie jest gra, John. Możesz zginąć. Jest całkiem prawdopodobne, że zginiesz.

Lustrzana ściana rozplynęła się i pojawiły się niemożliwie realne obrazy. Tym razem były one o wiele bardziej osobistej natury. John - starszy John - leży koło żywopłotu. Twarz mu zwiotczała, oczy wpatrują się bez mrugnięcia w cieniutką, szarą mgiełkę deszczu. Jedna ręka spoczywa na brzuchu, a spomiędzy palców przeciskają się wnętrzności.

John siedzi obnażony do pasa na metalowym krześle. Kończyny, talia i szyja przytrzymywane są przez wyściełane klamry; inne urządzenie składające się z dźwigni i śrub rozwiera mu usta. Pojedyncza żarówka świeci z sufitu. Specjalista z Czwartego Biura odziany w lśniący fartuch podchodzi do niego z zakrzywionym narzędziem w rękach.

- Szkoda, Hosten, szkoda. Zaniedbałeś zęby. A mimo to myślę, że ten nerw jest jeszcze wrażliwy.

Zakrzywiony instrument z nierdzewnej stali sonduje, a potem zagłębia się. Ciało na krześle rzuca się, mężczyzna wrzeszczy, w powietrze ciemnej piwnicy tryska strumień krwi.

Kolejny John stoi w ławie oskarżonych na sali sądowej. Flaga Republiki znajduje się przy ścianie za sędziami. Ci szepczą między sobą, a potem jeden z nich podnosi głowę.

- Johnie Hosten, ten sąd uznaje cię za winnego zdrady stanu i szpiegostwa. Zostaniesz zabrany stąd do narodowego więzienia i tam powieszony. Niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą.

Wizje dobiegły końca. John przesunął językiem po wargach. - Nie boję się śmierci - wyszeptał. A potem głośniej: - Nie boję się i znam swoje obowiązki. Zrobię to, o co prosicie, niezależnie od tego, jak dużo czasu to zajmie, niezależnie od ryzyka.

- Dobry chłopak - rzekł cicho Raj i chwycił go za ramię. - Ty i twój brat uczynicie co w waszej mocy.

\* \* \*

Jeffrey Farr spojrział na lustrzaną kulę. - Wygląda na to, że będę sporo walczył - rzekł.

Starał się mówić spokojnie, lecz w jego głosie znowu pojawiło się drzenie. Te obrazy jego umierającego - postrzelonego w brzuch, spalonego, utopionego, kaci

Wybrańców z batami z łańcuchów o stalowych hakach - były bardziej realne niż wszystko, co kiedykolwiek widział. *Czuł* to.

- Jeśli się zgodzisz - powiedział Raj. - Nie zamierzam cię okłamywać, synu. Bycie żołnierzem nie jest bezpieczną profesją, a jeśli odmówisz, do ostatecznej wojny pomiędzy Krainą a twoim krajem może dojść za pokolenie albo i więcej, może za dwa.

- Taak, a koń może się nauczyć śpiewać - powiedział Jeffrey. Był nieco zaskoczony, gdy Raj się zaśmiał. - A gdybym miał dzieci, to i tak to by je dotknęło. Zrobię to. Ktoś musi. Farr robi to, co do niego należy.

Nieświadomie, przy tych ostatnich słowach jego głos nabrał innego brzmienia. Raj skinął głową z aprobatą i wręczył mu kieliszek.

- Dobry chłopak.

- Jeszcze jedna sprawa - rzekł Jeffrey. Podniósł wzrok; tego... komputera... nie było tam, nie było go nigdzie konkretnie, gdy on znajdował się w jego umyśle, ale to mu pomagało.

- Jeszcze jedna sprawa. Jeśli, ach, Centrum może przewidywać różne rzeczy i nimi manipulować w sposób, o jakim mówisz, to czy nie moglibyście zmienić Wybrańców? Pokazaliście mi, co się stanie, jeśli Wybrańcy *sami* przejmą władzę, prawda? Pozostawieni samym sobie, na własną rękę.

>>Owszem.<<

Raj skinął głową.

- Zatem, moglibyście pomóc *im*, i tak zamieszać, żeby to *oni* zbudowali system transportu międzygwiazdowego. Byłoby to dość łatwe. Gdybyście pokazywali całą technikę, a oni postępowali krok po kroku, to nie byłaby nawet ponowna wynalazczość. I moglibyście doprowadzić na szczyty polityki Wybrańców kogokolwiek byście wybrali, prawda? Sprawić, by byli podobni bogom?

Raj odchylił się w krześle. - Bystry chłopak - stwierdził z podziwem. - Ale ty patrzysz na to z innej perspektywy niż twój brat - to znaczy, twój przyszły brat.

>>Prawdopodobieństwo powodzenia w średniookresowej perspektywie przy takim postępowaniu wynosi 62% plus minus 10<< powiedziało Centrum. >>Niezwykle wysoki stopień niepewności przez wzgląd na czynniki stochastyczne. Nie możemy być pewni nawiązania kontaktu z odpowiednim przedstawicielem Wybrańców. Jednak inne czynniki przemawiają przeciwko temu sposobowi postępowania.<<

Raj skinął głową z pozbawionym wyrazu, surowym, ciemnym obliczem. - Powrót



Visager do społeczeństwa międzygwiazdowego mógłby się nawet udać, gdyby zarządzili Wybrańcy - rzekł. - Lecz nie dałoby się zmienić ich mentalności - nie bez przeorganizowania ich społeczeństwa od samych podstaw, a to byłoby bardzo trudne.

>>Impresjonistyczne, lecz trafne. Obserwuj.<<

Pusta półkula rozjaśniła się. Jeffrey ponownie zobaczył niebiesko-biały kształt planety z kosmosu, lecz tym razem nie była to Visager. Pojawiło się lśnienie, mrugające punkciki w ciemności nad planetą, maleńkie aż perspektywa się przybliżyła. Ukazały się ogromne metalowe kształty - statki kosmiczne, jak sądził - mające na burtach słoneczny rozbłysk Krainy. Po bokach otworzyły się drzwi i mniejsze obiekty spadły ku poprzecinanemu chmurami błękitnemu światu - obiekty ze skrzydłami, smukłym kształtem przypominające rekiny. Perspektywa podążyła za nimi w dół, runęła ku ziemi poprzez atmosferę i czerwony żar, wywołując zawrót głowy. Statki wylądowały w płomieniach i rumowiskach, pośród płonącej roślinności i potrzaskanych budynków. Wysunęły się rampy, a lufy dział w transporterach bojowych wycinały z hukiem ścieżki w powietrzu, aby oczyścić teren strefy lądowania. Maszyny bojowe na powietrznych poduszkach ześlizgiwały się z ramp. Ich masywne pancerze najeżone były bronią i czujnikami.

W wieżycze jednej z maszyn bojowych ukazała się głowa. Pojazd ześlizgnął się z nosem ku górze, z rykiem rozrzucając naokoło ziemię. Mężczyzna odrzucił przesłone hełmu, a jego uśmiech przypominał coś z głębi oceanu.

- Zróbmy to, ludzie - powiedział. - *Ruszajmy*.

>>Prawdopodobieństwo reorganizacji kultury Wybrańców zakończone powodzeniem wynosi 12% plus minus 6<< powiedziało Centrum.

- Moglibyśmy wynieść ich na szczyt. Moglibyśmy nawet wysłać ich ku gwiazdom - rzekł Raj. - Ale oni w dalszym ciągu atakowaliby wszystko, co się rusza - jest to ich podstawowy imperatyw.

- Taak, rozumiem - stwierdził Jeffrey, splatając palce, aż trzasnęły, a potem nagle spuścił wzrok, uświadamiając sobie, że jego *prawdziwe* ręce wcale się nie poruszały, gdzieś, gdzie nie mógł tego widzieć. Raj skinął głową, wykrzywiając usta. *On ma tak cały czas*. Miał *poczucie* rzeczywistości, ale...

- Taak - ciągnął dalej. - Trzeba ich powstrzymać, tu i teraz.

- Ty i twój brat tego dokonacie - rzekł Raj. - Z naszą pomocą.

\* \* \*

- a meteoryt był gładki pod jego palcami.

John Hosten prawie że wpadł do doku. *Raj?* - pomyślał. *Centrum?* Czy był to jakiś zwariowany sen? Może tak naprawdę znajdował się z powrotem na swojej szkolnej pryczy, czekając na pobudkę.

Dokerzy przyglądali mu się z przytępioną ciekawością, może jedynie dostrzegali, że jest on poruszającym się obiektem. Jeffrey Farr spadł z sieci za nim, z twarzą zamarłą i zszokowaną. John pochwycił go automatycznie, przyciskając bezwładną postać do sieci ładunkowej, aby mógł do niej przylgnąć i się utrzymać. *Ty też?*

>>Nie okazuj strapienia<< odezwał się w jego umyśle głos maszyny.

>>Weźcie się w garść, chłopaki<< ciągnął Raj. Ten głos był równie cichy, lecz odznaczał się modulacją ludzkiej mowy, bez tego poczucia zimnej, bezdennej głębi, jakie budziło Centrum.

- John! Jeffrey!

W głosach dorosłych pobrzmiwał gniew. Twarz Jeffreya była na tyle blada, że piegi uwydatniały się niczym znamiona, lecz uśmiechnął się, ukazując dziury po zębach.

- Rany, człowieku, ale żeśmy wdepnęli w gówno.

- Chodźmy.

\* \* \*

- Pożegnaj się z ojcem - powiedziała Sally Hosten.

John postąpił do przodu. - Panie.

Karl szarpnął lekko głową do przodu. - *Min sohn.*

Wyciągnął dłoń. Przez chwilę John wpatrywał się w nią z zaskoczeniem. Było to powitanie równych sobie. A potem skłonił się i przyjął ją. Bezosobowa siła ścisnęła krótko jego dłoń... Na znak Karla wystąpił służący.

- Proszę - rzekł Karl i wręczył Johnowi owinięte materiałem zawiniątko. Znajdował się w nim pas i rewolwer. - Należał do mojego ojca. Powinien być twój. To oraz moje nazwisko to wszystko, co los pozwala mi ci zostawić.

- Dzi... dziękuję, panie - rzekł John.

Oczy go szczypały, lecz zwalczył to uczucie. *Dlaczego teraz?* Nawet według standardów Wybrańców Karl nigdy nie był wylewnym mężczyzną.

- Jesteś chłopcem o dobrym charakterze - powiedział Karl. - Jeśli kiedyś nie byłem ci ojcem, to wina leży po mojej stronie. Twoja matka i ja rozstaliśmy się z

powodów, które każde z nas uważa za honorowe. Słuchaj matki, pracuj ciężko, utrzymuj dyscyplinę, bądź dzielny.

- Tak, panie - rzekł John.

Karl zawahał się przez chwilę, zaczął się odwracać. A potem przełknął ślinę i stwierdził: - Dopóki żyję, chłopcze, zawsze będziesz mile widziany pośród Wybrańców.

Zasalutował, wyciągając pięść. John odpowiedział po raz pierwszy - *po raz ostatni*, jak sobie uświadomił, gdy jego ojciec oddalał się, stąpając jak zwykle sztywno.

- Żegnaj, braciszku - powiedziała Gerta Hosten. Uścisnęła go krótko, aż go zamurowało wobec tego pokazu uczuć. - Uważaj na siebie u tych Santanderczyków.

Heinrich splótł dłonie i grzmotnął go w ramię. - Strata dla Krainy, ale może ty na tym zyskasz - powiedział. - Przyjedź kiedyś z wizytą, młodzianku, kiedy będziesz bogaty i sławny.

John przyglądał się, jak odchodzą i zaczerpnął głęboki oddech. - Do widzenia, Mario - powiedział do protegowanej mamki.

Kobieta przygarnęła go do swych ogromnych piersi. - Do widzenia, paniczu. Zawołaj Marię, jeśli będziesz jej kiedykolwiek potrzebował - powiedziała w bełkotliwym krajowym niższej klasy.

Jej mąż skłonił się i dotknął dłonią Johna swego czoła. Był niedźwiedziovatym mężczyzną z posiwiałymi czarnymi włosami. - Mnie również, paniczu. A teraz idź. Matka na ciebie czeka.

John obrócił się i zaczął iść w kierunku trapu. Matka ujęła jego dłoń w swoją, uścisnęła ją na moment, a potem puściła.

*Żadnych więcej łez, pomyślał. To dobre dla dzieciaków. Teraz muszę być mężczyzną.*

## Rozdział drugi

**1227 P.U.**

**310 R.P.**

- Ludzie będą myśleć, że jesteśmy dziwni - rzekł, dysząc Jeffrey.
- Cholera, my *jesteśmy* dziwni, Jeff - odparł John.

Zamilkli, gnając w górę po zboczach Wzgórza Sygnałowego - stanowiło ono część Parku Uniwersyteckiego - mijając rodziny i studentów na pikniku. Serpenty ny były ostre, lecz John ścinał je wszędzie tam, gdzie na zboczach nie było żadnych grządek. Wreszcie stanęli na wybrukowanym szczycie, pośród urn kwiatowych, drzew w ogromnych donicach i zwiedzających, którzy płacili dwadzieścia pięć centimów od głowy, aby popatrzeć przez lornetę zamontowaną na obrotowej podstawie na panoramę miasta Santander. Jeffrey rzucił ciężarki na ławkę i jęknął, zanurzając głowę w fontannie i parszając niczym wieloryb. Potem się napił.

John stał, skupiając się na ignorowaniu bólu w prawej stopie, pijąc powoli z bidonu, który nosił u pasa. Wzgórze Sygnałowe miało dwieście metrów wysokości i było najwyżej położonym punktem w mieście. Znajdowało się tuż nad zakolem rzeki Santander. Mógł stąd widzieć większą część stolicy Republiki: Plac Kapitolu na północnym zachodzie, a za nim katedrę, Rządową Rezydencję z kolumnami i zielonym, miedzianym dachem na wschodzie, na końcu ulicy Ambasad. Dystrykt Basenowy, stanowiący starożytnie zaczątki miasta Santander, usytuowany był pod wzgórzem, w zakolu rzeki, a kanał znajdował się na południowym brzegu, pośród fabryk i dzielnic klasy pracującej. Ku południowi miasto znikało w mgiełce. Na

północy można było dostrzec zalesione wzgórza, na których znajdowały się przedmieścia zamieszkałe przez elity.

Tutaj ryk uliczny był przytłumiony - stukot posykujących i wyrzucających iskry tramwajów, podziemny pomruk metra, odgłos koni i rosnącej liczby pojazdów parowych, a nawet bulgoczący ryk rzadkich wehikułów na benzynę. Nie dawało się wyczuć niczego poza zapachami chłodnej zieleni parku, co także stanowiło miłą odmianę w porównaniu z miastem. Słońce na horyzoncie zrobiło się czerwone, tutaj jednak wciąż było jasno, lecz gdy się przyglądał, zapaliły się uliczne lampy. Zaczyły one świetlne wzory na pofalowanym miejskim pejzażu niczym bajkowe latarnie - miękki złoty blask gazowych lamp i ostrzejsze, elektryczne lśnienie wzdłuż głównych ulic.

Zdał sobie sprawę, że ktoś mu się przygląda - dziewczyna w jego wieku, ale nie studentka. Jej sięgająca do pól łydki sukienka była zbyt stylowa, a w maleńkim, przekrzywionym na bok kapelusiku tkwiło pióro kwezala herbowego [Wstępujący głównie w Ameryce Środkowej ptak o zielono-szkarłatnym jaskrawym upierzeniu. Pióra ogona u osobników męskich przekraczają dwie stopy długości. [Przypis tłum.]]. Uśmiechnęła się, gdy spotkali się wzrokiem, a potem odwróciła, aby porozmawiać ze swoją towarzyszką o wyglądzie matrony.

- Lustruje cię, ogierze - rzucił Jeff.

John uśmiechnął się lekko. Obiektywnie rzecz biorąc, wiedział, że jest dość przystojny; wysoki jak jego ojciec, z jasnożółtymi włosami, o twarzy z kwadratowym podbródkiem. Utrzymywał się też w dobrej formie... *ale one nie wiedzą*. Poczul ukłucie w stopie.

Grzmotnął brata w ramię. - Tak jak Doreen w kantynie na ciebie? - spytał. Usiedli na trawie, podając sobie ręcznik. - Podziękuj mi za to, braciszku. Gdybym cię nie namówił na te dziwactwa Wybrańców, wciąż byłbyś cherlawym chudzielcem. Pożerała cię wzrokiem, człowieku.

Jeffrey Farr nabrał ciała, był jednak smuklejszy od syna swojej macochy. Pozostała jedynie śladowa młodzieńcza niezgrabność, a jego pociągła, koścista twarz twardniała, wkraczając w dorosłość.

- Doreen? Ona tylko *patrzy*. Wiesz, że jej rodzice są reformowanymi baptystami. Mam taką samą szansę zajrzeć jej pod spódnicę, jak obejrzeć siedzenie pani arcybiskup. Próbowałem uszczypnąć ją w pupę, ale ona przydepnęła mi palec u nogi tak mocno, że upuściłem tacę.

John zacmokał. - Pupę arcybiskup? Kurka, nie wiedziałem, że gustujesz w starszych kobietach... Pax, pax!

Jeffrey zapalił lekko wilgotnego od potu papierosa. - One cię zabiją - powiedział John, odmawiając poczęstunku.

- Inni kadeci z Oficerskiego Korpusu Szkoleniowego będą mnie uważać za ciołka, jeśli nie będę palić - powiedział Jeffrey, opierając się łokciem o kolano i spoglądając na miasto. - Ale przyznam, że jest mi łatwiej dzięki tym cholernym ćwiczeniom, na które mnie namówiłeś.

- Jak Maurice przyjął to, że wstępujesz do armii?

Jeffrey wzruszył ramionami. - Tata jest tylko zaskoczony, i tyle. Każdy Farr od pięciu pokoleń służył w marynarce.

- Od czasów drewnianych statków i żelaznych ludzi - zgodził się John.

Republika nie prowadziła większej wojny lądowej od prawie siedemdziesięciu lat, a armia była maleńka i źle opłacana. Natomiast marynarka to co innego, jako że nie należało pozwolić Imperium na zdobycie zbyt dużej przewagi.

- A raczej żelaznych armat i drewnianych łbów. Kiedy odezwie się służba dyplomatyczna?

- W przyszłym tygodniu - powiedział John. - Ale jestem dobrej myśli.

- Nadajesz się do tego.

*Dzięki Centrum*, powiedział w duchu.

Jeffrey zmrużył zielone oczy i potrząsnął głową. *Nawet Centrum nie może zrobić jedwabnej torebki z wymiona świni*, odparł przy pomocy kanału komunikacyjnego starożytnego komputera.

>>Słusznie<< powiedziało Centrum. >>Ja tylko skróciłem okres szkolenia i umożliwiłem rozszerzenie zakresu studiów.<<

*Myślisz, że będziemy mieć dosyć czasu, zanim Wybrańcy napadną na Imperium?* - pomyślał Jeff.

>>Prawdopodobieństwo wojny pomiędzy Wybrańcami a Imperium w ciągu najbliższych dwóch lat wynosi 17% plus minus 3. W ciągu następnych czterech 53% plus minus 5, a w przeciągu następnych sześciu 92% plus minus 7.<<

- W ciągu roku powinienem otrzymać patent oficerski - rzekł Jeff. - A ty będziesz człowiekiem o wysokiej pozycji, członkiem brygady lampasowych spodni i szpicli.

- Na wiele się to zda Imperium - rzucił ponuro John, rozdzielając kciukami źdźbło trawy.

Na północy leżała reszta Republiki oraz Cieśnina - wąski przesmyk rozdzielający kontynent przez niemal całą jego szerokość. Na północ od Cieśniny znajdowało się Wszechświatowe Imperium, największe z państw Visager, potencjalnie najbogatsze, a od wieków najpotężniejsze. Te wieki minęły już parę pokoleń temu.

- A my robimy, kurwa, wszystko! - rzekł Jeff. - Wiem, że politycy są matołami, ale urzędnicy w Piramidzie są jeszcze gorsi, zaś admiralicja nie jest wiele lepsza, poza tatą.

- *My* robimy wszystko, co się da - powiedział spokojnie John. - *Republika* jeszcze niewiele robi, ale niektórzy ludzie widzą, co się szykuje - na przykład Maurice. A on jest teraz kontradmirałem. Powinniśmy mieć nieco czasu, zanim zaatakują Imperium.

- Zapewne - westchnął Jeff. - Hej, czy już ci mówiłem, że nie pozwalasz mi stracić równowagi? Taak, nawet Wybrańcy nie są na tyle szaleni, aby porywać się jednocześnie na nas i na Imperium. Gdy się zacznie, ludzie się ockną i to zauważą - nawet *oni*. - Skinął głową ku kopule budynku Kapitolu.

- Maurice czasami powątpiewa, czy by zauważyli, nawet gdyby flota Wybrańców zaczęła ich ostrzeliwać - rzucił lekko John.

- Tata jest pesymistą. Chodź, wracajmy do akademika, weźmy prysznic i przekąśmy hamburgera. Może Doreen się nade mną zlituje.

\* \* \*

- Praca zespołowa, praca zespołowa, wy matoly! - wydyszała Gerta Hosten, usłyszawszy, jak pozostali się potykają. - Johan, twoja kolej na przodku.

Trakt przez dżunglę był wąski i śliski od błota. Zaimprovizowane nosze z drągów i pnączy były niezgrabne, byłyby takie nawet bez mamroczącego, rzucającego się, przywiązanego do nich chłopaka. Pacjent nogę miał unieruchomioną w łupkach z gałęzi. Liany, które przywiązywały ją do drewna, były do połowy zagłębione w napuchniętym, sinym cieple.

Gerta zapała się nogami i czekała, aż nosze odzyskają równowagę, a potem schowała nóż do pochwy i chwyciła przedni lewy drąg. Mężczyzna, którego zastąpiła, przez chwilę poruszał palcami, potem dobył swego długiego noża i ruszył do przodu, wycinając drogę dla swoich towarzyszy. Ona trzymała drąg z lewej, Heinrich niósł obydwa tylne drągi, a Elke Tirnwitz była z przodu po prawej. Johan Kloster posuwał się bardziej z przodu, wyrabując drogę przez pnącza. Etkar Summeldorf miał darmową przejażdżkę. Chłopak złamał nogę, przygważdżając włócznią krokodyla,

który próbował się nimi pożywić w czasie wczorajszej przeprawy przez rzekę.

Zjedli spory kawałek krokodyla. W trakcie sprawdzianu zespołowej wytrzymałości, którym kończyła się próba życia, nie dostarczano niczego. No prawie niczego: parę spodenek, sandałów, stanik z materiału, jeśli się było dziewczyną, i długi nóż. A potem spuszczano cię wraz z czterema członkami drużyny po linie ze sterowca w górach Kopenrung po północnej stronie Krainy, a ty spieszyłeś się, jak mogłeś do punktu zbiorczego. Nikt też nie mówił ci, gdzie on się konkretnie znajduje. Wybrańców z Krainy nie trzeba trzymać za rączkę. Jeśli ci się nie uda, to Wybrańcy cię nie potrzebują - i lepiej, aby udało się wam *wszystkim*. Wybrańcy nie potrzebują egoistów.

- Zostawcie mnie - wymamrotał Etkar. - Zostawcie mnie. Idźcie.

- Nie *możemy* cię zostawić, ty głupi dupku - rzekła Elke głosem chrapliwym ze zmartwienia i zmęczenia. Byli całością, a poza tym Etkar prawdopodobnie ocalił im życie. - To gra zespołowa. Wszyscy stracilibyśmy sto punktów, jeśli byśmy cię zostawili.

*Wszyscy ratowali sobie nawzajem życie.*

Było gorąco: przynajmniej trzydzieści osiem stopni i parno jak w łaźni. Paskudnie nawet jak na standardy Krainy. Góry Kopenrung znajdowały się daleko na północy, najbliżej równika. Stanowiło to jeden z powodów, dla których nigdy nie były intensywnie eksploatowane; to oraz ich strome zbocza i laterytowe gleby. A także pijawki, moskity, dzikie bawoły, leopardy i odyńce oraz ciągłe burze i tornada.

Pot spływał jej po skórze, zwiększając znajdujący się już tam tłusty osad i pieczenie po ukąszeniach owadów oraz budujące się dzunglowe wykwyty. Szorstkie drewno ciążyło jej i obcierało odciski na dłoniach. Bolały ją mięśnie w dole pleców, gdy pochylała się pod ciężarem noszy i wspinaczki. Gałęzie i liście biły ją po twarzy.

- Heinrichu, *min brueder* - powiedziała Gerta, dostosowując tempo mowy do wysiłku mięśni. - Opowiedz mi jeszcze raz, jak cudownie jest być Wybrańcem.

Elke wciągnęła powietrze przez zęby. Czwarte Biuro najpewniej nie podsłuchiwało, ale nigdy nie wiadomo. Heinrich zaśmiał się z pomrukiem.

- *Shays!* - zaklął Johan. - Cholera. - W jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

- O co chodzi? - spytała Gerta. Nie widziała w gąszczu na więcej niż kilka kroków; ta część zbocza została wypalona dawno temu, a kolejna warstwa roślinności była bujna.

- Udało nam się.



- Co? - dało się słyszeć trzy młode, silne głosy.

- Udało nam się! Z grzbietu *rzeczywiście* widzieliśmy polankę!

Żadne z nich się nie odezwało; nie zwolnili też. Gercie udało się zerknąć poprzez utrudniający widzenie pot na spowite mgłą, pokryte dżunglą góry przed nimi. Wyglądały dokładnie tak jak spowite mgłą, przesłonięte dżunglą góry, w jakie wpatrywała się przez cały ostatni tydzień.

Gdy wyszli z gąszczu na mały płaskowyż, ruszyli truchtem wiedzeni czystym odruchem. Przed nimi znajdowały się pawilony i tłum ludzi - oficerów, oficjeli, służby protegowanych. Na widok noszy wybiegł lekarz.

- W jakim on jest stanie? - spytała Elke.

Lekarz podniósł wzrok, marszcząc czoło. - Noga nie wygląda źle. Teraz. Straciłby ją za dwadzieścia godzin.

Protegowani podsunęli tace. Gerta pochwyciła ceramiczny kubek i wychyliła go, powoli, ostrożnie. Był to sok pomarańczowy, lekko osolony. Przymknęła oczy w tej chwili całkowitej błogości.

Jakiś mężczyzna odchrząknął. Otworzyła oczy i wraz z pozostałymi członkami drużyny stanęła na baczność. Zrobili to wszyscy poza Etkarem, który stracił przytomność dzięki strzykawce morfiny.

Był to starszy mężczyzna, łysy, żyłasty, muskularny. Na ramionach letniego munduru miał dystynkcje pułkownika, a na pomarszczonej, kościstej twarzy uśmiech typu „śmierć w dobrym humorze”. Wyraźnie dostrzegła pierścień na trzecim palcu jego lewej ręki, splecioną obrączkę z żelaza i złota. Pierścień Wybrańca.

- Gerto Hosten, Heinrichu Hostenie, Johanie Klosterze, Elke Tirnwitz, Etkarze Summeldorfie. Potem oczywiście nastąpi ceremonia, lecz mam zaszczyt poinformowania was, iż każdy osiągnął co najmniej minimalny wynik w próbie życia. Toteż w wieku lat osiemnastu i sześciu miesięcy zostaniecie zaliczeni do Wybrańców Krainy. Gratulacje.

Jedno z nich zakrzyknęło, Gerta nie wiedziała kto; za bardzo się starała trzymać prosto. Sześć miesięcy egzaminów, sprawdzianów, testów psychologicznych, na odwagę, na inteligencję, testów na wytrzymałość na stres, a wszystko to zakończone siedmioma piekielnymi dniami w dżungli Kopenrung - wszystko dobiegło końca.

*Nie będę nieudacznikiem.* Już dawno postanowiła, że raczej się zabije, niż miałaby to znosić; robiła tak duża część nieudaczników. *Urodzona w chacie protegowanych, jestem Wybrańcem z Krainy.*

Zasalutowała, z wyciągniętym ramieniem i zaciśniętą pięścią. Gdy się uśmiechnęła, pękł napełniony krwią czyrak i strużka krwi pociekła z kącika jej ust. Przeszył ją ostry ból, ale nie miało to żadnego znaczenia.

\* \* \*

- Jesteś bardzo bogatym młodym człowiekiem - rzekł kierownik Rzecznej Kompanii Elektrycznej, patrząc z zaskoczeniem na stan jego konta.

- Dostałem niewielki początkowy kapitał od mego ojczyma - wyjaśnił John. - Reszta pochodzi głównie z robionych interesów. - *Dzięki analizie Centrum, która uczyniła to dziecinnie łatwym.* - I inwestycji w Zachodnie Petroleum.

Jego krawat był nieco przyciasny, ale zdusił impuls, by go poprawić. Pokój znajdował się na siódmym piętrze jednego z nowych budynków biurowych mieszczących się pomiędzy Wschodnim Traktem a rzeką. Wentylator na suficie i okna przykryte okiennicami sprawiały, iż było tu chłodno nawet w gorący letni dzień. Kierownik Rzecznej Kompanii Elektrycznej miał bardzo niewiele na szerokim mahoniowym biurku - tylko suszkę i telefon ze słuchawką z morskiej kości słoniowej. I plany, jakie przedłożył John.

- To...

- Prostownik rtęciowy - odpowiedział usłużnie John.

- Prostownik, tak, wydaje się być bardzo pomysłowy - powiedział kierownik.

Urzędnik był pulchnym małym człowieczkiem w dwuogniskowych okularach, mającym na sobie dosyć fircykowatą kurtkę w kremowym kolorze i niebieski krawat. We wstążce filcowego kapelusika wiszącego na wieszaku przy drzwiach tkwiło pióro papugi.

- Jednakże - ciągnął - obecnie Rzeczna Kompania Elektryczna jest zaangażowana w szeroki, bardzo szeroki program inwestycyjny w pierwotne źródła energii. Dlaczego mielibyśmy podejmować nowe, ryzykowne przedsięwzięcie, które będzie wymagało związania kapitału w nowej fabryce?

John pochylił się do przodu. - O to właśnie chodzi, panie Henforth. Prostownik spowoduje *oszczędności* kapitałowe, zmniejszając straty przekąźnikowe. Wydatki na ich zamontowanie będą znacznie mniejsze niż *oszczędności* wynikłe z inwestycji w pierwotne źródła energii. A budowaniem mogą się zająć podwykonawcy. Jest wiele firm, tutaj w stolicy czy gdziekolwiek we Wschodnich Prowincjach - w Tonsville, powiedzmy, albo w Ensburgu - które mogłyby się tym zająć. Nie będzie to miało

wpływu na zaangażowanie Kompanii w prace nad turbinami hydraulicznymi i turbogeneratorami.

Henforth złożył palce w piramidkę i czekał.

- I - ciągnął dalej John po tym, jak milczenie się przeciągało - będę skłonny nabyć, powiedzmy, pięćset tysięcy udziałów w Kompanii po wartości nominalnej. A także wykupić opłaty licencyjne od przyznanego patentu.

- Jest to z pewnością interesująca propozycja - rzekł, uśmiechając się Henforth. - Chodźmy, udamy się do pokoju dyrektorskiego i przedyskutujemy to z paroma ludźmi od techniki. - Potrząsnął głową. - Młodzieniec o pańskich możliwościach marnuje się w służbie dyplomatycznej, panie Hosten. Marnuje.

\* \* \*

- Szyk do starcia!

Pluton piechoty rozsunał się w dwa długie szeregi - trzy metry pomiędzy każdym człowiekiem. Pierwszy szereg potruczał do przodu po skalistym pastwisku, a ich nasadzone bagnety połyskiwały w chłodnym górskim powietrzu. Po pięćdziesięciu metrach przypadli do ziemi, kryjąc się za bruzdami i głazami. Drugi szereg zbliżył się, posuwając, jeden żołnierz za drugim, ku przodowi.

Chorąży Jeffrey Farr przyglądał się uważnie przez lornetkę polową. Manewr został wykonany precyzyjnie. *Dobrzy ludzie*, pomyślał. Armia Republiki nie była duża, liczyła zaledwie siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Nie była też specjalnie dobrze opłacana ani wyposażona; ludzie zaciągali się, bowiem była to dla nich ostatnia deska ratunku. Kłopoty z wódką, z żoną; dzieciaki rolników zanudzone na śmierć przyglądaniem się od południa zadowi konia przy pługu zwróconym ku północy; nieumiejętność poradzenia sobie z wymaganiami życia w szybko rozrastających się miastach Republiki. Jednak przy odpowiednim szkoleniu, mogli być z nich dobrzy żołnierze, a wyszkoleni ludzie będą bezcenni, jak przyjdzie co do czego. Prowincjonalna milicja miała zostać oddana w gestię rządu federalnego na czas wojny, lecz nie pokładał w niej dużego zaufania.

Uniósł rękę, dając znak. Sierżant plutonu zaświstał ostro swoimi gwizdkiem, a mężczyźni podnieśli się z pola, otrzepując z pyłu brązowe tunikowate kurtki. Ich pokryte szczeciną zarostu twarze wyglądały na zmęczone i obojętne po miesiącu ćwiczeń polowych w górach.

- Dobra robota, podchorąży - stwierdził jego dowódca kompanii. Kapitan Daniels

był krępy męczyzną lat czterdziestu - w okresie pokoju awans w wojsku był powolny - ze szramą biegnącą przez policzek tam, gdzie nabój Unii o mało co nie odjął mu twarzy w potyczce dwadzieścia lat temu.

- Bardzo dobra robota - rzucił obserwator ze sztabu. - Zauważyłem, że bardziej rozciągacie szereg do starcia.

- Tak, panie - rzekł Jeff. Skinął głową ku piechurowi truchtającemu z bronią po trakcie. Żołnierz miał model z zamkiem o sześciu ładunkach, z magazynkiem pod lufą.

- Wszyscy dostają teraz karabiny z magazynkami, poza żołnierzami Imperium. Pojawiają się nowe rozwiązania. Musimy bardziej rozsunąć formację.

Choć sądząc z gadania starzyków, spodziewają się raczej walki w szeregu ramię w ramię jak wyposażeni w muszkiety żołnierze za czasów wojny domowej.

- Tak, czytałem ten twój artykuł w *Kwartalniku sił zbrojnych* - rzekł człowiek ze sztabu. - Myślisz, że proch na bazie azotu może zostać wykorzystany do broni strzelniczej?

>>Major Beemody<< powiedziało Centrum. Wyświetliło spis danych biograficznych.

Major wyglądał na całkiem bystrego, choć nosił się nieco za elegancko jak na warunki polowe, w płaszczu z czerwonymi insygniami na kołnierzu i z wypolerowanym rewolwerem Sama Browne'a. A bycie młodszym synem Beemodych, tych od Zakładów Beemodych, prawdopodobnie nie zaszkodziło mu też w awansie w korpusie oficerskim. Trzydzieści dwa lata to cholernie mało jak na tak wysokie stanowisko.

- Jestem tego pewien, panie - rzekł Jeff. Rodzina Beemodych była szychami w przemyśle chemicznym oraz górniczych ładunków wybuchowych. - Żadnego dymu, mniej zapychania się i o wiele większa szybkość wylotu z lufy, bardziej spłaszczone trajektorie, mniejsze kalibry, więc mniejsza waga amunicji.

Niespodziewanie odezwał się kapitan Daniels. - Nie ufam pociskom z płaszczem - powiedział. - Mają tendencję do gubienia go i kiedy lufa jest gorąca, doznają zawirowań.

- Panie, to problem do rozwiązania. Stop miedzi i cynku nie wytrzymałe temperatury pocisków o dużej szybkości. Miedziowo-niklowy, albo czysta miedź, o czego potrzebujemy.

Starszy oficer uśmiechnął się. - Chorąży, chciałbym być równie pewny swego w jakiegokolwiek sprawie jak ty jesteś w każdej.

- Bóg jeden wie, że w tym wojsku przydałoby się paru młodych zapaleńców - stwierdził major Beemody. - W każdym razie razem z chorążym Farrem musicie zjeść ze mną kolację dziś wieczorem.

- Jak już dopilnuję, żeby ludzie się rozlokowali, panie - powiedział Jeff. Major uniósł brew i skinął głową, odpowiadając na salut młodszych oficerów.

- Nadasz się, Farr - powiedział, uśmiechając się Daniels, gdy pojazd oficera sztabowego oddalił się, podskakując po pastwisku i parskając od czasu do czasu parą. - I zajdziesz daleko, jeśli zdołasz się nauczyć trochę więcej dyplomacji wobec tych, do których wygłaszasz wykłady.

\* \* \*

Porucznik Gerta Hosten oparła się o obicie siedzenia i wyjrzała przez na wpół uchylone okno. Pociąg ze stukotem sunął przez centralny płaskowyż. Wpadające powietrze było czyste. Tak blisko Kopernika linia kolejowa została zelektryfikowana, a brak węglowego dymu, łomotu i parskających odgłosów parowej lokomotywy był nieco dziwaczny. Na szerokiej, betonowej drodze wzdłuż linii kolejowej panował też spory ruch pojazdów napędzanych parą lub ciągniętych przez zwierzęta. Była to najprzyjemniejsza część Krainy, pofalowana wulkaniczna wyżyna na wysokości tysiąca metrów nad poziomem morza, chłodniejsza i nieco bardziej sucha od reszty kraju. Stolica została tutaj przeniesiona ze Składania Przysięgi zaledwie pokolenie po tym, jak przybyła pierwsza fala uciekinierów z Sojuszu. Początki Kopernika sięgały czasów przed przybyciem Wybrańców, aż do pierwszych osad na Visager, lecz nic nie pozostało z miasta sprzed podboju. Przez ostatnie pokolenie, wraz z pojawieniem się geotermalnej pary, a potem węgla wspomaganego hydro siłą, stało się także głównym centrum wytwórczym.

Gerta przyglądała się z zainteresowaniem, jak pofalowane kontury pól trzciny cukrowej, ryżu, soi i kukurydzy ustępują miejsca ogromnym kompleksom fabrycznym. W jednym z nich znajdowała się hala montażowa statków powietrznych, stumetrowa szkieletowa konstrukcja przypominająca stodołę Brobdingnagiana [Odniesienie do krainy zamieszkałej przez olbrzymy („Podróże Guliwera” J. Swift)]. [Przypis tłum.]]. Podobny do cygara kadłub stanowił wciąż ramę z dźwigarów, tylko częściowo pokrytą przesłoną kadłuba tam, gdzie do konstrukcji przynitowano aluminiową płytę.

Kobieta zapięła kołnierz szarego podróżnego munduru oraz pas z bronią przechodzący przez ramię i wzięła swoją teczkę attache. Normalnie pozwoliłaby ją

nieść swojemu ordynansowi, lecz były w niej dokumenty nie przeznaczone dla cudzych oczu. Nic super tajnego nie wiozłaby pociągiem, ale procedura to procedura.

*Behfel ist Behfel*, wyrecytowała w duchu: rozkazy to rozkazy. Miała tam także list od Johna Hostena. Wyraźnie dobrze mu się wiodło w Republice. Udało mu się zdobyć jakieś stanowisko w ich dyplomatycznej służbie.

Szkoda Johna.

- Obudź się, *Feldwebel* - powiedziała.

Jej ordynans otworzył oczy, wstał i zdjął dwie torby z półki nad głową. Pedro był krępy, muskularnym mężczyzną lat trzydziestu paru, silnym, szybkim i lojalnym niczym doberman. I podobnie bystrym. Tak naprawdę, to miała psy wykazujące więcej przyrodzonego sprytu i mające większy zasób słów. Przy rekrutowaniu żołnierzy i żandarmerii z kasty protegowanych stosowano zasadę eliminowania ludzi mieszczących się w górnych dwóch trzecich skali inteligencji. Budziło to jej wątpliwości i zawsze wołała bystrzejszych jako osobistych służących. Większe ryzyko, ale większa potencjalna korzyść.

*Behfel ist Behfel.*

Zwalniając, pociąg zakołysał się nieco. Pantograf na lokomotywie zatrzaskał, trysnąwszy snopem iskier, gdy wjeżdżali na Stację Północno-Zachodnią. Było tam wielu wysokich, jasnowłosych, młodych ludzi w mundurach, lecz nie ten, którego instynktownie szukała. Heinrich nie będzie na nią czekał. To nie uchodziło, a i tak miała się stawić w kwaterze głównej wywiadu na odprawę.

*Mój śliczny Heinrichu*, pomyślała. *Pieprzyłabym się z tobą, nawet gdybyś był moim rodzonym bratem.* Była to przesada, ale on był kochany, a oczywiście tabu związane z kazirodztwem nie dotyczyło adoptowanych krewnych. *I tym razem, gdy poprosisz mnie o rękę, zgodzę się.*

Implikacje dokumentów w jej teczce attache były jasne, jeśli umiało się czytać pomiędzy wierszami. Nadszedł czas wypełnienia jej eugenicznego obowiązku wobec Wybrańców; nawet gdy miało się służących, niemowlęta wymagały sporo czasu i wysiłku. Lepiej zrobić to, gdy jest jeszcze czas.

Za kilka lat wszyscy będą bardzo, ale to bardzo zajęci.

## Rozdział trzeci

**1233 P.U.**

**317 R.P.**

Z punktu widzenia protegowanego wygląda to inaczej, pomyślał John Hosten, garbiąc się przezornie.

Wędrował ulicami Składania Przysięgi w szarawym bawełnianym płaszczu i bryczesach jakiegoś pośledniego protegowanego robotnika. Mógł być magazynowym urzędnikiem albo sklepikarzem; włosy miał przefarbowane na brązowo, lecz najlepszą ochroną był kłębiący się tłum oraz fakt, iż nikt nie patrzy na zwykłego protegowanego.

Zapomniał też, jak gorąco jest w tym cholernym miejscu. Gorące, gęste powietrze, wilgotne i przesycone dymem węglowym oraz zapachami. Miasto było większe, niż pamiętał z dzieciństwa. Wille wspiwały się wyżej na zboczach wulkanów, fabryki były większe, a ich kominy wyższe, więcej było wiszących w górze linii elektrycznych i robotników zwisających po bokach przeciążonych tramwajów. A także o wiele, wiele więcej napędzanych mechanicznie pojazdów. Większość z nich była szarymi, napędzanymi parą wojskowymi ciężarówkami i ciągnikami zbudowanymi w sześciu standardowych modelach. Także sporo luksusowych pojazdów, niektóre z nich były importowanymi modelami z Republiki. Wyminęło go pół tuzina protegowanych na tandemowym rowerze, który, jeśli mu się przyjrzeć, był bardzo sprytnym wynalazkiem.

Zbyt ciężki, aby jeden pedałowal - potrzeba sześciu. Robotnicy fabryczni mogą się nim posługiwać przy dojazdach, ale nie mają osobistej wolności przemieszczania się.

Spryt nie był zaś całkiem pozytywną cechą...

Dał nura w drzwi wejściowe do burdelu. Nie było go trudno znaleźć, jako że miał na nich wypisane BURDEL NR.22A7-B, PROTEGOWANI, KLASA 6-b, z graficznym symbolem dla analfabetów. Wewnątrz znajdowała się przygnębiająco naga poczekalnia z podłogą z cegieł i dziewczętami - gołymi poza bawełnianymi spodenkami - siedzącymi przy ścianach na drewnianych ławkach. Obok nich ułożone były ręczniki, a nad głową każdej, pod żarówką, na ścianie widniał numer. Dziewczyny nie wyglądały na wyniszczone, jak można się było tego spodziewać, lecz niewiele z nich było profesjonalistkami. Tymczasowa służba w miejscu takim jak to, stanowiła standardową karę za drobne przewinienia w regulaminie miejsca pracy. Schody prowadziły do kabin na górze, a zaraz za drzwiami, za żelazną kratą siedziała urzędniczka. Miejsce pachniało potem, ostrym środkiem dezynfekującym i rozlanym piwem.

W pobliżu stał mięśniak z okutą żelazem pałką przywiązaną do masywnego nadgarstka, dłubiący w zębach paznokciem kciuka drugiej ręki. Zapewne policjant na emeryturze. Facet zlustrował Johna wzrokiem i groźnie postukał końcem pałki o stiuk ściany. John skulił się odpowiednio, odwracając i pochylając głowę.

- Ceny są wywieszane - rzuciła monotonnym głosem urzędniczka. Kobieta miała pięćdziesiątkę, była obwisła od skrobiowej diety i braku ruchu. - Mam je przeczytać? Alkohol płatny dodatkowo.

John przesunął żelazne żetony po stole, przez podajnik w żelaznej kracie. Palce ustawiły je w porządku; pochodziły ze Stoczni Zeizin AG, jednej z większych firm.

>>Rozpoznanie<< powiedziało Centrum. Wskazówki pojawiły się na bladej twarzy urzędniczki, wskazując rozszerzenie źrenic i zmiany temperatury. >>97% plus minus 2.<<

Mógł uzyskać jedynie tyle pewności. Teraz pytanie: czy to jego prawdziwy informator, czy też Czwarte Biuro przeniknęło do siatki i czeka na niego. Dłonie miał wilgotne, przelknął zółć i pomknął spojrzeniem ku drzwiom. Nie miał przy sobie broni; byłoby to tutaj szalenie ryzykowne - protegowany schwytyany z bronią miałby szczęście, gdyby został zabity na miejscu. A kiedy zobaczyliby jego numer...

>>To jest informator<< zapewniło go Centrum. >>Odpowiedni poziom zdenerwowania. 73% plus minus 5.<<

Cholernie mało pewności w porównaniu do pierwszej oceny, lecz i tak uspokajająco wiele. Jednak...



Urzędniczka pokiwała głową i przycisnęła guzik z boku kontuaru. Światelko zapaliło się nad dziewczyną najbliżej schodów. Ta wstała z mechanicznym uśmiechem i podniosła swój ręcznik.

We wczesne popołudnie w korytarzu na górze było dość cicho. Po obu stronach znajdował się rząd kabin, z wiszącymi na nich na kółeczkach zasłonami oraz prysznicem na końcu. Przewodniczka Johna odsunęła zasłonę z numerem i przeszła przez nią.

A on podążył za nią. Wewnątrz znajdowała się pojedyncza prycza, umywalka z kranem i dzbanek z antyseptycznym mydłem... a w kącie przykucnięta postać Angela Pesaloziego. Mężczyzna wstał, krzepki niczym niedźwiedź, lecz bardziej posiwiały niż John zapamiętał.

- Młody panicz Johan - wymruczał.

John wyciągnął dłoń. - Nie jestem teraz niczym paniczem, Angelo - powiedział, uśmiechając się.

Ręka kierowcy i osobistego służącego Karla Hostena ścisnęła jego dłoń z miarkowaną siłą. John odpowiedział na uścisk, a Angelo się uśmiechnął.

- Nie zmiękłeś - stwierdził. - Chodź, powinniśmy szybko załatwić nasze sprawy.

Dziewczyna postawiła stopę na pryczy i zaczęła ją popychać, najpierw nierytmicznie, a potem już rytmicznie, i to z akompaniamentem wokalnym. Był to niezwykle przekonujący chór pisków i jęków.

- Minuta - powiedział John. - Ja też ryzykuję tutaj życiem i będę dalej, więc muszę to zrozumieć. Karl Hosten jest dobrym panem, a twoja własna córka jest jednym z Wybrańców. Dlaczego jesteś gotów pracować przeciwko nim?

Brązowe oczy z powagą spotkały się z jego wzrokiem. - Jest dobrym panem, ale ja wolałbym wcale nie mieć pana i być wolnym człowiekiem. Mam czworo dzieci, a ponieważ jedno jest lordem, to czy pozostałe, i moje wnuki, powinny być niewolnikami? Więcej jest złych panów niż dobrych.

Skinął głową w stronę dziewczyny. - Upuściła tacę z częściami do izolatora, więc musi być tu dziwka przez miesiąc - czy to jest sprawiedliwość? Jeśli człowiek powie coś przeciwko panom, gdy ci odesłali jego żonę na inną plantację albo posłali dzieci do wojska a brata do kopalni, to jest wieszany w żelaznej klatce na rozstajach dróg, aby tam umarł - czy to jest sprawiedliwość? To się musi skończyć, nawet jeśli ja za to zginę.

John patrzył mu w oczy przez dłuższą chwilę. >>Obiekt jest szczery,

prawdopodobieństwo...<< Uciszył komputer myślą. Wiem.

A Angelo zawsze był życzliwy wobec chłopca z kaleką stopą...

- Tak - powiedział John. - Zgadza się, Angelo.

Protegowany skinął głową i wyciągnął poskładane papiery zza pazuchy kurtki. Były wilgotne od potu, ale dało się je odczytać.

- Zabrałem je z kosza na śmieci, przed codziennym spalaniem - powiedział. - Jest tu rozkaz dotyczący pięciu statków powietrznych...

\* \* \*

- Martwię się o tego chłopaka - powiedziała Sally Farr.

- A ja nie - odparł Maurice Farr.

Siedzieli na tarasie kwatery komendanta marynarki wojennej, z widokiem na Charrson i port. Była to najbardziej na północ wysunięta część Republiki Santander, a tym samym najbardziej gorąca. Wybrzeża Cieśniny były jeszcze cieplejsze, po obu stronach osłonięte przez góry przed kontynentalnymi wiatrami. Właśnie zaczęło się gorące, suche lato. Kwiaty mieniły się kolorami wokół wielkiego, pobielonego domu, a mozaikowa, ceglana powierzchnia tarasu upstrzona była cieniami wiecznie zielonego dębu i królewskich palm posadzonych dookoła. Droga zbiegała w dół górskiego zbocza dramatycznymi serpentynami. Po obu jej stronach znajdowały się wille, kwatery oficerskie i przedmieścia klasy średniej - w górze, z dala od upału panującego w starym mieście, wokół zatoki w kształcie litery J.

Tutejsze dachy były w większości lekko spadziste, zbudowane z czerwonej, glinianej dachówki. Przypominało to bardziej jedno z imperialnych miast z ziem na północ od Cieśniny niż resztę Santander. A większość ludności także była imperialna - w ciągu ostatnich kilku pokoleń widoczny był ciągły napływ migrującej siły roboczej, poszukującej lepiej płatnej pracy w rozrastających się kopalniach, fabrykach i na nawadnianych farmach.

Wzrok Farra powędrował ku doku. Jeden z jego opancerzonych krążowników znajdował się w suchym doku, z pękniętym wałem środkowej śruby. Pozostałe cztery statki eskadry były także na nowo wyposażane. Gdy wszystko będzie gotowe, zabierze je w górę Cieśniny w rejs stanowiący pokaz siły.

- John - ciągnął dalej - jest na dobrej drodze do zostania bardzo zamożnym młodzieńcem. I dobrze sobie radzi w służbie dyplomatycznej.

- Dziękuję - rzekł do stewarda, który przyniósł mu popołudniowy dżin z tonikiem.

Sally zagrzechotała kostkami lodu w swoim drinku.

- Nie prowadzi życia towarzyskiego - powiedziała. - Wciąż przedstawiam mu dziewczęta i nic się nie dzieje. On tylko uczy się i pracuje. Lekarze mówią, że powinien... umm, być sprawny... ale martwię się.

Maurice odwrócił głowę, aby ukryć lekki uśmieszek. Z tego, co Jeffrey mu opowiadał, Johna widywano czasami z dziewczętami, które nie były szczególnie grzeczne. Był to wystarczający dowód na to, że wazektomia wykonana przez lekarzy Wybrańców przynajmniej w tej kwestii nie wyrządziła szkody nie do naprawienia.

- Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem? - rzuciła ostro Sally.

- Powiedzmy to w ten sposób, moja droga: są pewne sprawy, o których młodzieniec raczej nie rozmawia z matką.

- Och.

Mądra, pomyślał z czułością Maurice. I do tego ładna.

Sally wyglądała niesamowicie spokojnie i elegancko w swym płóciennym stroju w kremowym kolorze, słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie i plisowanej spódnicy kończącej się śmiało powyżej kostki. Tylko odrobina siwizny w długich, brązowych włosach, nie więcej niż w jego. Nie dałoby się poznać, że miała czwórkę dzieci.

- Poza tym - ciągnął - przydzielono go do ambasady w Ciano. Z tego, co wiem o tamtejszym ufrakowanym gronie, to będzie miał czas jedynie na życie towarzyskie - to jest ich główna funkcja dyplomatyczna. Możesz liczyć na to, że spotka tam mnóstwo miłych dziewcząt.

- Och. - Głos Sally zadrżał nieco. - Miłych imperialnych dziewcząt. Cóż, pewnie... - Wzruszyła ramionami.

Tym razem to ona spojrzała w dół zbocza. Znajdowały się tam fortyfikacje, począwszy od systemu okopów zewnętrznych i bastionów wzniesionych całe wieki temu w obronie przed obstrzałem, po nowoczesne bunkry z betonu i stali, z ciężkimi działami przeciwokrętowymi.

- Wygląda na to, iż John myśli, że będzie wojna - powiedziała. - Jeffrey też.

Maurice skinął głową z powagą. - Nie zaskoczyłoby mnie to. A przynajmniej wojna pomiędzy Wybrańcami a Imperium.

- Ale my z pewnością nie zostalibyśmy wmieszani! - zaprotestowała Sally.

- Z początku nie - rzekł powoli Maurice. - Przez jakiś czas.

- Zatem, dzięki Bogu, że Jeffrey jest w armii - powiedziała. Republika Santander nie miała granicy lądowej z żadną ze zwaśnionych sił. - A John jest bezpieczny w

korpusie dyplomatycznym.

\* \* \*

- Bosko tańczysz, Giovanni - powiedziała Pia del'Cuomo. - To niesprawiedliwe. Jesteś wysoki, jesteś przystojny, jesteś bystry, jesteś bogaty i tak dobrze tańczysz. Strzeż się, aby Bóg nie zesłał ci nieszczęścia.

- Już mi kilka zesłał - rzekł John Hosten lekkim tonem, okręcając dziewczynę w walcu. Sala balowa wypełniona była pełnym wdzięku wirowaniem, sukniami, mundurami i czarnymi frakami, klejnotami, kwiatami i wachlarzami. - Lecz sprowadził mnie do Ciano, bym cię poznał, więc nie może się na mnie gniewać.

Pia dopiero co skończyła dwadzieścia lat. Była stara jak na niezamężną imperialną kobietę wysokiego rodu, i cztery lata młodsza od niego. Także w przeciwieństwie do większości Imperialnych jej płci i pozycji, nie uważała ona, iż chichotanie i bezmyślne uwagi są jedynym sposobem prowadzenia rozmowy z mężczyzną. A poza tym była bardzo ładna, czego był mocno świadom, gdy ich dłonie pozostawały złączone, a on jedną ręką obejmował jej wąską talię.

Nie, nie ładna, piękna, pomyślał.

Ogromne, piwne oczy, twarz w kształcie serca i kremowa skóra uwydatniana przez połyskujący, głęboki dekolt oraz lśniące, brązowe włosy upięte pod diamentowym diademem. A, co najważniejsze, zdawała się go lubić.

Muzyka zamilkła, a oni stali przez chwilę, uśmiechając się do siebie, podczas gdy tłum oklaskiwał orkiestrę.

- Gdyby zazdrosne oczy były sztyletami, to zostałabym zasztyletowana na śmierć - stwierdziła Pia z odrobiną satysfakcji w głosie. - To zabawne, zważywszy, że od kilku lat jestem uważana za starą pannę. Mój ojciec pomrukuje, że jeśli chciałam jedynie czytać książki i żyć samotnie, to powinnam była odnaleźć powołanie, zanim opuściłam szkołę zakonną.

John parsknął śmiechem. - Mało prawdopodobne.

- Byłaby ze mnie bardzo kiepska zakonnica, to prawda - rzuciła spokojnie. - Nie mogłabym też chodzić na tak wiele pikników, bali albo do opery z przystojnym, młodym oficerem z ambasady Santander...

- Szklaneczkę ponczu? - spytał.

Pia położyła mu dłoń na ramieniu, gdy prowadził ją do stołu z ponczem. Ubrany na biało steward wręczył im szklaneczki. Był to owocowy poncz z białym winem,

chłodny i cierpki.

- Martwisz się, Johnie - powiedziała. Jej angielski był prawie tak dobry jak jego imperialny, a w jej głosie zabrzmiała powaga.

- Tak - westchnął.

- Twoje rozmowy z moim ojcem nie potoczyły się dobrze?

Nawet jak na imperialnego dowódcę, hrabia Benito del'Cuomo był ograniczonym bęcwałem.... John z wysiłkiem przegnał z myśli obraz białych, rozszerzających się do dołu bokobrodów.

- Nie - powiedział. - On nie traktuje Wybrańców poważnie.

Pia łyknęła ponczu i skinęła głową na swoją przyzwoitkę, która siedziała z innymi matronami pod ścianą. Starsza kobieta - uboga krewna, utrzymywana przez rodzinę del'Cuomo - zmarszczyła brwi, widząc, że Pia wciąż rozmawia z młodym republikańskim chargé d'affaires. Zaczęli zmierzać powoli ku balkonowi.

- Ojciec nie sądzi, aby Kraina ośmieliła się nas zaatakować - rzuciła zadumana. - Mamy o wiele więcej żołnierzy, o wiele więcej okrętów wojennych. Ich wyspa jest maleńka w porównaniu z Imperium.

- Pia... - Tak naprawdę, to nie miał ochoty rozprawiać o polityce, lecz ona miała powód do zmartwienia. - Pia, w swojej nocie domagali się eksterytorialnych praw do Corony i z pół tuzina innych portów, kontroli nad eksportem zboża i praw wyłączności na inwestycje w imperialne koleje.

Pia zmyliła krok. Była w końcu córką ministra wojny. - To... to ultimatum! - powiedziała. - I to niemożliwe do spełnienia.

John skinął posępnie głową. - Pretekst do wypowiedzenia wojny. A nawet gdyby wasz imperator i rada senatorów zgodzili się na to - a masz rację, że nie mogliby tego zrobić - to wówczas Wybrańcy wynaleźliby jakieś nowe żądanie.

- Dlaczego zatem nas ostrzegają? Z pewnością nie są aż tacy pełni skrupułów, aby cofnąć się przed atakiem z zaskoczenia.

- Raczej nie. Mam straszliwe podejrzenie, iż oni chcą, aby Imperium było przygotowane, żebyście mieli więcej skoncentrowanych sił tam, gdzie mogą je dostać - rzekł John.

Wyszli w chłodniejsze powietrze i półmrok wielkiej werandy. Mała Adela i ogromna Mira znajdowały się na niebie, i to w pełni, zalewając czarno-białą szachownicę podłogi bladym, niebieskawym światłem i zmieniając olbrzymie donice wypełnione oleandrami i jaśminem oraz bugenwillą w pastelową, bajkową krainę.

Taras kończył się rzeźbioną granitową balustradą i szerokimi schodami prowadzącymi w dół, ku ogrodom, których żwirowe alejki lśniły bielą pośród klombów i drzew. Za murem posiadłości szeroko rozrzucone światełka pokazywały, gdzie stoją kamienice wielmoży na ogrodzonych działkach. Tu i ówdzie para żółtych, naftowych lamp wskazywała na powóz lub pojazd parowy. Ku zachodowi sięgała gęściejsza pajęczyna świateł, w większości nieregularnych - pierwotny plan ulic Ciano wyznaczyły krowy, poza kilkoma alejami wytyczonymi przez niedawne pokolenia. Światła schodziły się ku imperialnemu kompleksowi pałacowemu, płataninie złożonych kopuł.

Mogli stąd dostrzec połyskującą powierzchnię szerokiej rzeki Pada. Doki, magazyny i slumsy dokoła niej stanowiły czarne, poszarpane kształty, tam nie było żadnych gazowych latarni. Nad nimi dwa światełka sunęły po niebie z cichym pomrukiem śmigieł. Statek powietrzny zmierzający na zachód, ku wielkiemu portowi oceanicznemu Corona u ujścia Pady.

- Zrobiony przez Wybrańców - rzekł John, skinąwszy głową ku niemu. - Pia, wasi żołnierze są dzielni, lecz nie mają pojęcia, czemu stawiają czoła.

Pia oparła się biodrem o balustradę, obracając wachlarz pomiędzy palcami. - Mój ojciec... mój ojciec jest inteligentnym człowiekiem. Ale on... on często uważa, iż skoro sprawy miały się w pewien sposób, kiedy był młody, to takimi muszą pozostać.

- Nie dziwi mnie to. Mój własny rząd myśli podobnie. - Choć nie aż do tego stopnia, dodał w duchu.

Milczeli przez kilka minut. John czuł narastające napięcie, głównie w żołądku. Pia patrzyła na niego kątem oka, powoli marszcząc brwi z rozczarowaniem.

- Ach... to znaczy... - odezwał się John. - Ach, zamierzałem znowu odwiedzić twego ojca.

Pia zwróciła się ku niemu. - W sprawach natury politycznej? - spytała, zachowując spokój.

Wymówka cisnęła mu się na usta. Tak. Oczywiście. Tego tylko potrzebował, dodać tchórzostwo do listy swych słabości. Kaleka dusza towarzysząca kalekiej stopie.

- Nie - powiedział. - W sprawie osobistej... jeśli byś tego chciała.

Uśmiech zapłonął w jej oczach, zanim sięgnął ust. - Bardzo bym tego chciała - powiedziała i pochyliła się lekko do przodu, muskając ustami jego usta.

>>Prawdopodobieństwo szczerości wynosi 92% plus minus 3, z następującymi załamaniem motywacyjnymi...<< zaczęło Centrum.

*Zamknij się, do kurwy nędzy!* - pomyślał John.

Usłyszał rozbawienie Raja w swym umyśle. >>Cholernie słusznie, chłopcze.<<

Głos Jeffa: *Boże, ale laska, no nie?* Jeff musiał otrzymać od Centrum obraz widziany oczyma Johna.

*Czy wy wszyscy możecie łaskawie odczepić się od mojego życia osobistego?*

- Giovanni, są chwile, kiedy myślę, że rozmawiasz z Bogiem albo ze świętymi lub kimś innym, ale nie z osobą, z którą jesteś!

John wymamrotał przeprosiny. Oczy Pii wciąż błyszczały. - Jedyne problem, to czy on się zgodzi?

- Lepiej żeby tak było - rzekł John. Pia zamrugła zaskoczona i lekko przestraszona na widok wyrazu, jaki na chwilę zagościł na jego twarzy. Zmusił się do odprężenia i uśmiechnął.

- Dlaczego miałby się nie zgodzić? - spytał. - Wie, że nie jestem łowcą posagów - rodzina del'Cuomo była bajecznie bogata, lecz jemu udało się dyskretnie uświadomić hrabiemu wielkość swego portfela - a gdyby nie lubił mnie osobiście, to zabroniłby mi cię widywać.

Pia skinęła głową. - Cóż, mam jeszcze trzy młodsze siostry - powiedziała z trzeźwą przenikliwością. - Nie wypada, aby wyszły za mąż przede mną, a poza tym, mój drogi, myślę, iż ojciec uważa, że może poskąpić na posagu, udając, iż to małżeństwo jest niemożliwe, jako że nie należysz do kościoła imperialnego.

John się uśmiechnął. - Ma rację. *Może poskąpić.*

Jakaś zimna część jego umysłu dodała, iż niedługo imperialna własność będzie niewiele warta.

Wziął głęboki oddech. Było to jak skakanie z wysokiej trampoliny - gdy już się zdecydowałeś, nie było sensu myśleć o wysokości.

- Pia, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. - Spokojnie spojrzała mu w oczy. - Jestem... urodziłem się zdeformowany. Odwrócił lekko wzrok. - Szpotawa stopa.

Odetchnęła głośno. Jego wzrok powędrował ku jej twarzy. Uśmiechała się.

- Czy tylko o to chodzi? Chirurdzy musieli się zatem dobrze spisać - tańczysz, jeździsz konno, grasz w... jak to się nazywa? W tenisa? - Machnęła ręką. - To nic takiego.

Wypuścił z westchnieniem oddech, nieświadom, że go wstrzymywał. - To dlatego mój ojciec nigdy mnie nie zaakceptował - rzekł cicho.

Przesunęła dłonią po jego twarzy. - A gdyby to zrobił, to byłbyś w Krainie,

przygotowując się do napaści na Imperium - powiedziała. - A poza tym, nie byłbyś mężczyzną, którego kocham. Spotkałam Wybrańców z tutejszej ambasady i są to świnię, świnię o dobrych manierach. Patrzą na mnie jak na kawałek kebaba. Ty nie jesteś takim człowiekiem.

Ujął jej dłoń i pocałował. - Jest jeszcze coś. - John przymknął oczy. - Nie mogę mieć dzieci.

Palce Pii zacisnęły się na jego palcach. Podniósł wzrok i zobaczył łzy w jej oczach, błyszczące w świetle gwiazd - i uświadomił sobie zaszokowany, jakby oblano go zimną wodą, iż były one przeznaczone dla *niego*.

- Ale...

Skinął gwałtownie głową. - Och, ja... jestem w stanie. Jestem jednak wysterylizowany i nic nie można na to poradzić. - Odwrócił głowę w bok. - Zrobiono to, ach, gdy byłem bardzo mały.

- Zatem ty również masz powód, by nienawidzić Wybrańców - rzekła cichutko Pia. - Spójrz na mnie, Giovanni.

Zrobił tak. - Jesteś mężczyzną, na którego czekałam. Tyle tylko mam do powiedzenia.

\* \* \*

Jeffrey Farr się uśmiechnął.

- Uważasz nasze statki za zabawne? - spytał ostro imperialny oficer.

Parowy kuter sapał rytmicznie, przesuając się wzdłuż szeregu zakotwiczonych ciężkich okrętów bojowych. Jeffrey zauważył to samo podejście u imperialnych oficerów marynarki już wcześniej. W przeciwieństwie do armii - czy też kłócących się komitetów w Ciano, które ustalały politykę i budżet - oni musieli mieć *jakieś* pojęcie o tym, co się dzieje za granicą. Oczywiście nie chcieli przyznać, w jakim stanie jest ich marynarka, wynikało to z poczucia urażonej dumy.

- Wręcz przeciwnie - rzekł gładko Farr. - Uśmiechnąłem się, bowiem niedawno otrzymałem wieści, iż mój brat, mój przybrany brat, się żeni. Z damą imieniem Pia del'Cuomo.

*I nie uważam, aby wasze statki były zabawne. Uważam, że są żalodne*, dodał w duchu.

Oficer imperialny skinął głową, udobruchany i pod wrażeniem. - Z najstarszą córką ministra wojny? Twój brat to szczęściarz. - Wskazał. - Tam oto są, duma Floty



Przesmyku.

Dziesięć pancerników unosiło się na spokojnej wodzie basenu wojskowej zatoki, otoczonej przez olbrzymie fortece. Lichtugi przenosiły zapasy, z czego większość stanowił węgiel, który trzeba mozolnie przekładać łopatami do unoszonych przez dźwigi wiader i wciągać na pokład, by dostarczyć go do ładowni węglowych. Statki były średniej wielkości, około jedenastu tysięcy ton ładowności, z długimi dziobami do taranowania oraz wydatnym zawalem burtowym, który sprawiał, iż były o wiele węższe na wysokości pokładu niż poniżej poziomu wody. Każdy wyposażony był w ciężkie i przysadziste pojedyncze trzystapięćdziesiątki w okrągłej, cylindrycznej wieżyczce na dziobie oraz na rufie, i w pomocnicze baterie stanowiące szereg mniejszych wieżyczek z jednym działkiem wznoszące się pomostowo po bokach. Każdy miał szereg czterech krótkich kominów i gąszcz wiszących w górze mostków, dźwigów i masztów sygnałowych.

W swoim czasie były to całkiem dobre statki. Problem w tym, że Imperium buduje je w dwadzieścia lat po tym, jak dni ich chwały przeminęły.

>>Zgadza się<< stwierdziło Centrum. >>To mniej więcej odpowiednik brytyjskich pancerników z okresu osiemdziesiątych lat dziewiętnastego wieku.<<

*Dziewiętnastego... ach.* Centrum posługiwało się chrześcijańskim kalendarzem, którego nikt na Visager nie używał poza celami religijnymi. Po pierwsze, oparty on był na ziemskim roku składającym się z dwunastu miesięcy, o prawie trzydzieści dni krótszym niż obrót tej planety wokół słońca. A po drugie, liczby te były niewygodnie wysokie.

Jeffrey zadrżał lekko. Okres, o którym wspomniało Centrum, miał miejsce dwa tysiące lat temu. Tymczasem międzygwiazdna cywilizacja narodziła się, rozprzestrzeniła i upadła. Rozpoczął się nowy cykl.

- Widzę, że ładujecie węgiel - rzekł do oficera imperialnego... komandora Bragatego, bo tak się nazywał. - Już pod parą?

- Nie, spodziewamy się być w gotowości za około tydzień - rzekł Bragati. - Wtedy popłyniemy w dół Przesmyku i pokażemy tym ważniakom z Krainy, kto rządzi na tych wodach.

>>Dwa tygodnie na przygotowanie się do rejsu mającego być pokazem siły?<< pomyślał z pogardą Raj. >>Powiedziałbym, że ci imbecyle zasługują na to, co ich prawdopodobnie spotka, gdyby nie to, że ucierpi na tym tak wielu cywilów.<<

- Główne działa są większe niż cokolwiek, co zbudowała Kraina - powiedział

Bragati.

>>Broń o małej prędkości wyrzucania pocisku, napędzana czarnym prochem<< stwierdziło Centrum ze swą kliniczną obojętnością. >>Broń Wybrańców ma długie lufy o dużej szybkości wyrzutu, wykorzystujące proch nitrocelulozowy.<<

Jeffrey pomyślał jednak, iż dostrzega ślad zainteresowania. Uśmiechnął się w duchu; rozumny komputer wcale tak bardzo nie różnił się od jego dziadka i trzymających się go koleżków - każdy z nich był wielbicielem broni i amatorem wojskowej historii. Na swój sposób Centrum też było hobbistą.

- A opancerzenie ma grubość dwunastu cali!

>>Wyklepywane, kute żelazo i płyty z lanej stali<< ciągnęło dalej Centrum. >>Zdecydowanie gorsze od utwardzonego stopu.<< Którego zarówno Kraina, jak i Republika używały w swych większych okrętach wojennych.

Żaden z pancerników nie wyglądał, by był gotowy do wyjścia w morze. I, co było jeszcze bardziej niewybaczalne, tak samo zwiadowcze krążowniki przycumowane w szeregu po trzy przy nabrzeżach marynarki oraz kontrtorpedowce. Nawet łodzie torpedowe z zatoki - małe jednostki przypominające skorupy żółwiowe - też nie były przygotowane.

Jednak z drugiej strony... - Cóż, flota z pewnością wydaje się być w porządku - stwierdził dyplomatycznie Jeffrey.

I była, pomalowana na czarno i ciemnoniebiesko z kremowym przegłębieniem. Przyglądał się, jak marynarze ścierają pył węglowy. Wzdrygnął się na myśl o tym, ile pracy musi wymagać poprawienie farby po ćwiczeniach strzelniczych. Jeśli mieli ćwiczenia strzelnicze; miał mocne podejrzenie, iż niektórzy imperialni kapitanowie mogli po prostu wyrzucać swój przydział amunicji za burtę, aby oszczędzić sobie kłopotu.

- Dziękuję ci za twą uprzejmość - przemówił oficjalnie do imperialnego komandora.

Przynajmniej dowiedział się jednej rzeczy. Bragati nie był typem osoby, jaką chciał wciągnąć do komórek, które zakładali wraz z Johnem, by pozostawić je na tyłach. Był zbyt słaby, aby przetrwać, biorąc pod uwagę jego wojskowy stopień.

\* \* \*

- Cholera, nie znoszę umierania - powiedział John, gdy obraz stał się normalny.

A przynajmniej normalny według Centrum, co w tym scenariuszu oznaczało ulicę

w mieście Wybrańców - a konkretnie w Koperniku - w czasie pory deszczowej. Nie różniło się to niczym od rzeczywistości; było w tym każde doznanie, aż po zapach mokrego, podgumowanego płaszcza przeciwdeszczowego, który miał na ramionach i lekkiej szorstkości grawerowanej rękojeści pistoletu, który pod nim chował. Słabe światło pory deszczowej wyglądało zza ciemnych chmur w górze, przydając perłowego lśnienia granitowym blokom ulicznej nawierzchni. Budynki z cegły i kamieni podchodziły do chodników po obu stronach - zamknięte okiennice i ciemne ramy żelaznych krat w oknach.

John spojrzął na sekundę w dół, na swój brzuch. Nie było na nim żadnego znaku, zresztą trudno określić prawdziwy efekt, jaki spowodowałyby uderzenie pocisku kumulacyjnego. Neuronowy przekaz Centrum oddał jednak *dokładnie* uczucie wybicia śledziony i rany wylotowej wielkości kobiecej pięści w dole pleców. Maszyna pozwoliła na odegranie scenariusza aż do ostatecznego zamroczenia. Wciąż czuł w ustach suchość i żółć...

- Czy musisz to czynić tak realistycznym? - wymruczał, sunąc i lustrując ulicę.

- Dla twego własnego dobra, chłopcze. - Głos Raja był tutaj „słyszalny”. - To naprawdę bezcenny trening. Nie może być bardziej rygorystyczny. Na zewnątrz nie uda ci się wstać i zacząć od nowa.

- A mimo to...

Jakiś odgłos przyciągnął jego uwagę. Okręcił się, dobywając pistolet z kabury na prawym biodrze i strzelił pod lewym ramieniem w deski drzwi. Zanim zamilkły echa wystrzałów, grzmotnął o drzwi całym ciałem, wpadając do pomieszczenia i przewracając osuwające się ciało agenta Czwartego Biura na jego towarzyszy. To dało mu dość czasu na oddanie strzału na chybił trafił i broń tajniaka wyleciała z pozbawionej czucia dłoni, gdy pocisk roztrzaskał mu obojczyk...

... czerń.

Znowu wróciła ulica. - Wciąż nie znoszę umierania. Jeden za mną?

>>Zgadza się.<< Centrum nie zawracało sobie głowy uprzejmościami w rodzaju mówienia na głos. >>Patrzenie na prawo, gdy wchodziłeś do pomieszczenia, było najlepszą alternatywą.<<

- Ja też tego nie znosiłem - odezwał się niespodziewanie Raj.

Obraz ulicy zanikł, przechodząc w obraz gabinetu, w którym się po raz pierwszy... „spotkali”, co, jak John sądził, było chyba dobrym określeniem. Raj zapalił przycięte po obu końcach cygaro i nalał im obu brandy.

- Wypadek na polowaniu - skrzyłem kark, skacząc na wierzchołku przez płot - powiedział. - To przynajmniej było szybkie. Byłem już wtedy starym, starym człowiekiem, a kości robią się kruche. Mimo to miałem jeszcze dość czasu, żeby zdać sobie sprawę, że mocno poharatałem psa. Prawdziwą niespodzianką było przebudzenie - wskazał na otoczenie. - Spodziewałem się życia po śmierci, *prawdziwego* życia po śmierci. - Zmarszczył brwi. - Choć tak właściwie to nie jest to moja dusza. Może jestem w dwóch niebiosach... albo piekłach.

- Przynajmniej zobaczyłeś swój pogrzeb - powiedział John.

Obraz jego ciała wciąż niósł rewolwer. Otworzył bębenek i wyrzutnikiem usunął pusty mosiądz, a potem załadował ponownie i zatrzasnął broń kciukiem. Działanie to było całkowicie automatyczne, po tysiącach godzin udzielanych przez Centrum lekcji - i przez Raja też. Osobowość generała, pamiętająca ciało i nieprzyjemne rzeczy, którym było ono poddawane, przydawała szkoleniu bezpośredniości, z którą nie mogła się równać inteligencja maszyny.

- Moje wnuki były pogrążone we wzruszającym żalu - powiedział Raj, błyskając w uśmiechu białymi zębami. - A teraz wracamy do roboty.

- A to jest zabawa? - spytał John.

Przed oczami stanęła mu z powrotem jego własna sypialnia w kompleksie ambasady. Była na tyle duża, iż jego ciało mogło się poruszać i skakać niczym marionetka posłuszne temu, co jego umysł dostrzegał w programie szkoleniowym Centrum. Doświadczenie trzeba było wtłoczyć w nerwy i mięśnie oraz umysł i pamięć. Personel sądził, iż ma on ekscentryczny zwyczaj uprawiania gimnastyki rytmicznej w samotności.

Zadzwoił telefon, wyraźne dwa długie dzwonki i trzy krótkie, co oznaczało, iż był od ambasadora.

John westchnął w duchu, odbierając go. Czasami łatwiej było zadawać się z Wybrańcami. Byli bardziej bezpośredni.

\* \* \*

Gerta stwierdziła, iż ambasada Krainy Wybrańców w imperialnej stolicy Ciano jest krzepiąco swojska, aż po przypominające skorupy żółwiowe hełmy, szare mundury i nowiusieńkie karabiny z magazynkami u strażników przy bramie. Gdy jej samochód się zatrzymał, żołnierze stanęli na baczność, prezentując broń, oficer sprawdził jej papiery, a potem machnięciem ręki dał znak, że może jechać. Na

głównym dziedzincu personel rozstawiał beczki na paliwo i wrzucał teczki oraz naftę. Czarny dym śmierział, wzbijając się w niebo nad ogłowionymi drzewami i łupkowymi dachówkami. Strażnicy przy wejściu poddali ją bardziej szczegółowej inspekcji.

- Kapitan Gerta Hosten, sekcja wywiadu, generalne biuro sztabowe, *geburtsnumero* 77-A-II-44221 - powiedziała.

- Kapitanie - powiedział urzędnik z ambasady, sprawdzwszy leżący przed nim spis. - Pułkownik von Kleuron zobaczy się z tobą natychmiast.

*Mam nadzieję*, pomyślała Gerta, panując nad złością przy przechodzeniu przez wyłożony bazaltem przedsionek głównego budynku ambasady. *Po tym, jak przyciągnęli mnie tutaj, po los wie co, gdy zaraz się zacznie.*

Panował taki ruch, że kilka razy musiała uskakiwać przed taczkami pełnymi dokumentów zmierzającymi do pieców. Nie byli jednak tak zajęci, żeby nie drgnąć lekko albo nie okazać zdziwienia na widok jej insygniów wywiadu. Zapewne szpicle z Czwartego Biura równie mocno cieszyli się, widząc ją, jak gdyby zaproszono pracowników Biura Wywiadowczego Santander. W powietrzu unosiła się woń palonego papieru oraz pobudzonego strachem potu.

Powtórzyła procedurę identyfikacyjną w biurze szefa wywiadu. Tym razem był to podoficer Wybrańców, który sprawdzał jej nazwisko na liście.

- Witamy w Ciano, kapitanie - powiedział. - Żadnych kłopotów w porcie lotniczym?

- Od razu przesłałam, ledwie rzucili okiem na mój paszport - powiedziała. - Pułkownik?

Podoficer wyskoczył zza biurka pokrytego przeglądanyymi teczkami - otworzył drzwi i coś powiedział, a potem otworzył je całkowicie i odsunął się.

Gerta przeszła przez nie ze swą spiczastą czapką zatknietą starannie pod lewą pachą. Stuknęła obcasami, a jej prawe ramię z zaciśniętą pięścią wystrzeliło na wysokość ramienia.

- Pułkowniku!

Pułkownik von Kleuron okazał się być kobietą w średnim wieku, o pociągłej twarzy i z worami pod oczami. Jej gabinet, z metalowymi szafkami na akta, stołem z klawiszową maszyną kodującą i prostym, drewnianym biurkiem wydawał się być w dalszym ciągu używany. Wszystko w wojskowej szarości, nic osobistego poza zdjęciem kilku nastoletnich dzieci na biurku.

- Spocznij, kapitanie. - Oficer spojrzała na Gertę, lekko unosząc brwi. - Wyglądasz, jakbyś dusiła w sobie sporo pary.

- Operacja „Wodospad” ma się wkrótce rozpocząć. Mojej jednostce przydzielono ważne zadanie i szkoliliśmy się do niego przez prawie rok. Nikt nie jest niezastąpiony, lecz odczują mój brak.

- Wkrótce wrócisz, kapitanie - powiedziała von Kleuron. - Żeby nie tracić czasu: proszę o ocenę Johana - Johna - Hostena, twego przybranego brata.

Gerta zamrugła ze zdziwienia. Tego się *nie* spodziewała. Von Kleuron postukała w otwarte przed sobą akta. Do pierwszej strony przypięte było zdjęcie Johna. Gerta je rozpoznała. Był to duplikat tego, które od niego otrzymała. Rozpoznała także korespondencję wetkniętą w wewnętrzną koszulkę teczki; oczywiście przedstawiała wszystkie swoje listy do zatwierdzenia przed wysłaniem i natychmiast oddawała kopie jego wszystkich listów. A poza tym, Czwarte Biuro miało swoje własne, od cenzorów z poczty, ale to był inny wydział.

- Tak jak w moich raportach, pułkowniku. Inteligentny i pomysłowy, i, tak pamiętam go jako chłopca, odznaczający się znaczną odwagą i determinacją. Z pewnością poradził sobie dobrze ze swoją ułomnością. Sadząc po tym, co osiągnął w Republice w ciągu ostatnich dwunastu lat, stał się groźnym człowiekiem.

- A jego stosunek do Wybrańców?

- Myślę, że nawet jako chłopiec miał pewne obiekcje. A teraz? - Wzruszyła ramionami. - Nie da się stwierdzić. Nie omawiamy polityki, tylko sprawy rodzinne.

- Słabości?

- Sentymentalność. - Krajowe słowo, jakim się posłużyła, mogło także oznaczać „przewrażliwienie”.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Johan Hosten został pracownikiem Służb Wywiadu Zagranicznego Republiki? Oraz dyplomatą. - To ostatnie było pewną pedanterią, w krajowym „dyplomata” i „szpieg” były słowami pokrewnymi.

Gerta uniosła lekko brwi. - Nie, nie wiedziałam o tym. Nie dziwię się jednak.

- Na wysokim szczeblu zapadło postanowienie, aby podjąć próbę zwerbowania obiektu jako podwójnego agenta. Zostaliśmy upoważnieni do uchylenia próby i zaproponowania mu statusu Wybrańca i odpowiedniej rangi.

Gerta zmarszczyła brwi. Pachniało to improwizacją, co nie było dobrym pomysłem w przeddzień poważnej wojny. Ale z drugiej strony, John *byłby* pomocny, gdyby dało się go przekabacić... i miło by było mieć go u swego boku. Jeśli byłoby to

możliwe. Jasne się stało, dlaczego została sprowadzona; była jedynym pracownikiem wywiadu Wybrańców mającym osobiste powiązania z Johnem. Heinrich znał go przedtem dobrze, lecz on był zwyczajnym żołnierzem piechoty. I bardziej rzucałby się w oczy w Ciano. Jej wzrost i typ fizyczny były o wiele częściej spotykane w Imperium niż jego.

Z drugiej jednak strony, kobiety, które potrafiły ścisnąć prasą ciężar przekraczający dwukrotnie własną wagę, *nie* były tutaj często spotykane, a ona miała wielką nadzieję, że nie będzie musiała podejmować próby wyglądu niczym imperialna piękność w wydekoltowanej sukience. Nie wiedziała nawet, jak się chodzi w spódnicy.

*Behfel ist Behfel.* - Jakie mi przydzielono zadanie?

\* \* \*

John zapukał laską o przód powozu. - Woźnico, zatrzymaj się.

Konie zatrzymały się ze stukotem, woźnica zaciągnął hamulec i zeskoczył na kocie łby, aby otworzyć drzwi.

- Signore? - spytał, rozglądając się.

Znajdowali się w dzielnicy domów wyższej i średniej klasy, mniej więcej w pół drogi pomiędzy dzielnicą teatrów na północ od głównej stacji kolejowej a apartamentem, jaki miał John koło ambasady Santander.

- Zmieniłem zdanie, zamierzam pójść do domu piechotą - powiedział.

*Bezwstydną uleganie własnym zachciankom*, pomyślał. Powinien zadośćuczynić wzięcie wolnego wieczoru na operę z Pią poprzez udanie się prosto do domu i czytanie akt. Z drugiej jednak strony, musiał utrzymywać swój kamuflaż bezużytecznego dyplomaty. Dyplomatyczna służba Santander miała być śmietniskiem przeznaczonym dla mających dobre powiązania bawidamków z wyższych sfer. Wielu z nich nimi było, a reszta uważała to za użyteczny kamuflaż.

Zapłacił woźnicy za cały zamierzony kurs i konie ze stukotem oddaliły się w ciemność.

Ciano było miłym miastem na spacer, przynajmniej ta część, w ciepłą, wiosenną noc. Chodnik był ceglany. Drzewa rosły co cztery metry - dęby, jak sądził. Nieco rzadziej ustawiono latarnie z żeliwa. Większość domów po obu stronach miała oddzielające je od ulicy ogrodzenie z kutego żelaza, często porośnięte pnącymi różami lub kapryfolum. Gazowe lampy przydawały scenerii rozproszony blasku - miękkie,

żółte światło pod koronami drzew. Ulica budziła uczucie melancholii, jak większa część imperialnej stolicy, senne wrażenie dawnej chwały i długiego snu wypełnionego marzeniami.

John spacerował, wymachując laską, odpiął operową pelerynę i przerzucił ją sobie przez lewe ramię. Było bardzo cicho, powietrze pachniało rosą i różami. Na tyle cicho, że usłyszał kroki w chwilę po ostrzeżeniu Centrum.

>>Śledzi cię czterech<< powiedział komputer. >>Na skrzyżowaniu przed tobą jest jeszcze dwóch.<<

John nagle wyraźnie poczuł cegłę pod stopami, lekkie muśnięcie wiatru na twarzy pod błyszczącym, czarnym cylindrem. Dwanaście lat scenariuszów Centrum i szkolenie Raja dało mu trening, któremu nie mógł dorównać nikt na planecie, ale nigdy przedtem nikt nie próbował go zabić. *To dziwne, ale nie jestem tak naprawdę przestraszony.* Raczej niesamowicie czujny i jednocześnie poirytowany.

Wewnątrz laski miał podwójne stalowe ostrze, a złota główka była skuteczną pałąką, zaś pod pachą miał ukryty mały, sześciopalcowy rewolwer. W tej chwili nie było to wiele, ale pewnie wystarczy, jeśli to były uliczne zbiry polujące na jakiegoś ważniaka.

Mur po jego stronie był z cegły. John odwrócił się niedbale i oparł się o niego plecami, jak człowiek zatrzymujący się, aby podziwiać imperialny pałac i widok od północnej strony.

Czterech mężczyzn nadeszło chodnikiem z tyłu. Byli ubrani w dwurzędowe kurtki, szerokie spodnie, miękkie kapelusze, zwężające się i opinające kostki buty; ubiór średniej klasy na ulicy Ciano. Ich twarze również były typowo imperialne, dość śniade, w większości z sinawym zarostem. Jednak było coś w sposobie, w jaki się poruszali, w wyrazie ich twarzy - czy też raczej w jego braku. Potężni mężczyźni, o grubych barach. Z lekkimi wypukłościami pod lewą pachą. Jeden z nich trzymał prawą rękę z boku, jakby coś spoczywało w jego luźno zgiętych palcach. Może rękojeść noża albo obciążona ołowiem pałka.

*Protegowani*, pomyślał. I to twardziele. Agenci. Czwarte Biuro albo wywiad wojskowy.

>>Zgadza się<< powiedziało Centrum. >>97% plus minus 2.<<

Cóż, było nieco pocieszające, iż jego ocena okazała się trafna.

Mężczyźni zatrzymali się i rozsunęli, czekając z czujnością. Jeden się odezwał:

- Przepraszam, panie. Pójdź, proszę, z nami. - W języku imperialnym



pobrzmiewał gardłowy akcent, naturalny dla kogoś, kto dorastał, mówiąc po krajowemu.

Czterech i jeszcze dwóch czekających w pobliżu. *Nie miał większych szans*. Gdyby jednak chcieli, aby zginął, to by zginął. Pojazd parowy, kilka strzałów, żadnego problemu i zachodu. Albo ktoś czekający w jego mieszkaniu. Wybrańcy mogli z pewnością znaleźć dobrego strzelca, gdy go potrzebowali. To była grupa porywaczy, a nie zabójców.

- W porządku - powiedział, odwracając się i idąc przed siebie.

Dwóch zajęło miejsca po bokach. Jeden spokojnie pozbawił go laski. Inny pochylił się, wsadził mu rękę pod kurtkę, wziął rewolwer i wrzucił go sobie do kieszeni płaszcza. W kilka sekund później palce wyłuskały mały sztylet z kołnierza jego peleryny. Dał się przy tym słyszeć odgłos przypominający lekki chichot, zduszony, zanim się zaczął. Mężczyźni otoczyli go po obu stronach - nikogo nie było oczywiście z przodu. Byli całkiem dobrze wyszkoleni.

Wszyscy zatrzymali się w świetle latarni na skrzyżowaniu w kształcie litery T. Dwóch czekających tam mężczyzn wyrzuciło papierosy na środek drogi. W parę sekund później dał się słyszeć cichy szum gumowych opon, gdy drogą nadjechał parowy pojazd i zatrzymał się - wielki, wykonany w Santander, czterodrzwiowy Wilkens, pomalowany na niebiesko, z kołami o drucianych szprychach i dwoma umieszczonymi naprzeciwko siebie siedzeniami w tylnej części, przypominającymi sofę. Szef grupy porywaczy dał Johnowi znak, aby wszedł.

Na przednim siedzeniu siedziała kobieta, zwrócona plecami do kabiny kierowcy. We wnętrzu Wilkensa było dosyć ciemno, tylko odbijające się światło ulicznych lamp. Dostyć jednak, aby ukazać błękitny połysk broni w jej dłoni, która gestem wskazała mu tył pojazdu. Usłuchał w milczeniu. Dwóch protegowanych bandytów usiadło po obu stronach, zaklinowując go. Przednie drzwiczki zamknęły się z trzaskiem. Protegowany siedzący obok Johna dla pewności w dłoni trzymał krótkie, dwustronne ostrze, ukryte pod spoczywającym na kolanach oklapłym kapeluszem. Czubek broni znajdował się kilka milimetrów od żeber więźnia. Usta Johna zadrgały w uśmiešku. Na pewno nie chcieli ryzykować, a ulubionym sposobem Wybrańców na radzenie sobie z mrówkami było spuszczenie na nie kowadła.

Kobieta wychyliła się przez okno. - Odmeldujcie się do kryjówki - powiedziała. Szary tunikowy mundur, dystynkcje kapitańskie, czerwone patki sztabu generalnego, insygnia wywiadu wojskowego.

Ten ruch sprawił, iż przez chwilę na jej twarz padło światło. Była koło trzydziestki, niewiele starsza od niego. Ciemna brunetka, z czarnymi włosami przyciętymi w gęstego języka, czarnymi oczami, wysokimi kośćmi policzkowymi i dość pełnymi ustami. Twarz imperialna lub sierrańska, poza tą twardością, a ciało zwarte i muskularne, lecz z pełnym biustem. Zamrugał, targnęło nim zaskoczenie.

- Gerta! - wyrzucił z siebie.

>>Prawdopodobieństwo, iż obiekt nie jest Gertą Hosten, jest zbyt małe, aby mogło być sensownie skalkulowane<< stwierdziło Centrum, pokrywając twarz kobiety szeregiem obrazów cofających ją do momentu, kiedy Gerta żegnała się z nim w dokach Składania Przysięgi dwanaście lat temu.

Oparła się i pozwoliła pistoletowi spocząć na kolanie; była to masywna, gruba, kanciasta broń, nie rewolwer.

>>Napędzany odrzutem automat, magazynek w rękojeści<< powiedziało Centrum. >> kaliber 11 mm, sześć do ośmiu pocisków.<<

- Cześć, Johnnie - odezwała się w krajowym. - Miło mi cię znowu widzieć.

John wziął głęboki oddech. - Jeśli chciałaś pogadać, mogłaś zaprosić mnie bardziej uprzejmie - powiedział neutralnym tonem.

- *Behfel ist Behfel*, Johnnie.

- Nie jestem pod rozkazami Wybrańców.

Uśmiechnęła się i pomachała swoim automatem.

- W porządku, niech ci będzie. Zakładam, że nie zamierzasz mnie zabić?

- Naprawdę przykro by mi było, gdybym musiała to zrobić, John - powiedziała.

>>Prawdopodobieństwo 95% plus minus 3<< stwierdziło Centrum. Szybki obraz pokazujący rozszerzenie źrenic i rozkład temperatur na twarzy Gerty.

Oczywiście, sposób, w jaki to powiedziała, implikował, że być może i tak będzie musiała to zrobić. Patrząc na nią, nie miał ani krzty wątpliwości, że by to zrobiła - niezależnie od wyrzutów sumienia.

- Jak się miewają dzieci? - spytał po chwili.

- Erika właśnie rozpoczyna szkołę, a Johan jest w okresie, gdy jego ulubionym słowem jest „nie” - powiedziała. - Adoptowaliśmy jeszcze dwójkę. Dzieciaków protegowanych, chłopca i dziewczynkę. Chłopak jest bękartem, pewnie jednym z Heinrichowych.

- Dwójkę? - spytał John, unosząc brwi.

- Taka polityka.

Co było swego rodzaju informacją. Rada Wybrańców musi się spodziewać ofiar... i to nie tylko w zbliżającej się wojnie z Imperium.

Nie próbował wyglądać przez okna, gdy koła stukotały po bruku, a potem szumiały na gładziej, asfaltowej nawierzchni ulicy lub kamiennych blokach. Gerta odkorkowała srebrną piersiówkę. John wziął ją i pociągnął: bananowa brandy, coś, czego nie kosztował od dawna.

- *Danke* - powiedział. - Czy coś możesz mi powiedzieć?

- Pułkownik z tobą porozmawia, Johnnie. Tylko... bądź rozsądny, co?

- To, co rozsądne zależy od punktu siedzenia - powiedział, zwracając piersiówkę.

- Nie, nie zależy. Gdy ktoś inny trzyma wszystkie karty, rozsądne jest to, co on mówi, że rozsądnym jest.

Spojrzał na jej pistolet. Potrząsnęła głową.

- Nie tylko to. Wybrańcy trzymają wszystkie karty na Visager; mądrze będzie o tym pamiętać.

Prawie że odetchnął z ulgą, gdy zatrzymali się przy bocznym wejściu do kompleksu ambasady Wybrańców. Wilkens rzucał się równie mało w oczy co każdy parowy pojazd w Ciano - napędzane mechanicznie pojazdy nie były tu znowu tak rozpowszechnione, nawet obecnie - a tylnie szyby miał przyciemniane. Sama ambasada była dość duża, stanowiąca z zewnątrz surowy blok granitu, a jedyną ozdobą był połączony rozbłysk słońca z brązu nad żelazną bramą. Teren w środku był większy od poselstwa Santander, głównie dlatego, że cały personel dyplomatyczny Krainy mieszkał na eksterytorialnym obszarze delegacji. W środku przypominała Kopernika lub Składanie Przysięgi; podobne do pudełek budynki ze strzelistymi oknami i gładkie kolumny, z kariatydami koło drzwi. W żelaznych beczkach umieszczonych na otwartym terenie palił się ogień, a urzędnicy wrzucali kolejne dokumenty i pogrzebaczami oraz kijami od szczotek poruszali popioły.

*Chryste*, pomyślał. Na ten widok poczuł się, jakby dostał pięścią w brzuch, odczuł to mocniej niż zagrażające mu niebezpieczeństwo. Wojna jest *blisko*, jeśli ambasada pali ściśle tajne papiery.

Poprowadzono go przez drzwi, korytarzami, aż do pozbawionego okien pomieszczenia z jedną lampą w górze. Świeciła mu w oczy, co przysłańało mu dwie postacie przy stole przed nim, gdy siadł na krześle ze stalowej siatki. Jedna z nich odezwała się w krajowym:

- Darujmy sobie sztuczki, dobrze, pułkowniku? - powiedziała Gerta. - To nie jest

przesłuchanie.

Górne światło pociemniało. Zamrugał i spojrzał na dwoje oficerów Wybrańców. Obydwaj byli kobietami - nie było w tym nic niezwykłego w siłach Krainy - w szarych, wojskowych mundurach. Z plakietkami sekcji wywiadu. Pułkownik w średnim wieku z siwizną w jasnych, ściętych na jeża włosach i twarzy niczym wygłodzony pies myśliwski.

- Johanie Hosten - odezwała się starsza oficer. - Zorganizowaliśmy to spotkanie, aby omówić z tobą kwestię dużej wagi.

John skinął głową. Domyślał się, o co chodzi.

- Kraina Wybrańców odrzuciła mnie raczej definitywnie, gdy miałem dwanaście lat - zwrócił uwagę. - Jestem obywatelem Republiki Santander.

- Republika jest demokracją z powszechnym prawem głosu - powiedziała pułkownik. - Jest zatem słaba, skorumpowana i nie może sobie tak naprawdę rościć prawa do twojej lojalności. - Przemawiała obojętnym, rzeczowym tonem, jakby komentowała prawo przyciągania. - Twój ojciec jest drugim asystentem w sztabie generalnym Krainy i członkiem Rady. Sądzę, iż implikacje tego są jasne.

Z pewnością były. - Nie jestem Wybrańcem i nie kwalifikuję się do bycia nim - powiedział. *Myśl, myśl.* Jeśli podda się zbyt szybko, staną się podejrzliwi.

- Zasady rządzące przystąpieniem do Wybrańców były uchylane i zmieniane już przedtem - stwierdziła oficer wywiadu. - Jestem upoważniona do poinformowania cię, iż tak się stanie znowu w twoim przypadku. Pełen status Wybrańca i odpowiednia ranga.

- Chcecie, abym zdezerterował? - powiedział powoli.

- Oczywiście, że nie. Pozostaniesz jako agent na miejscu, w wywiadzie Santander - wiemy oczywiście, że twój status dyplomatyczny jest tylko przykrywką - i będziesz dostarczał nam informacji, a swoim oficjalnym przełożonym fałszywych informacji, które przygotujemy. Możemy przekazać ci prawdziwe dane o dostatecznej wadze, abyś szybko awansował. W odpowiedniej chwili zabierzemy cię stamtąd.

Skinęła głową w stronę Gerty. *Ach. Przysłali Gertę jako znak dobrej woli.* Zatem propozycja zapewne *była* prawdziwa. A z perspektywy Wybrańców zupełnie naturalna. Może, gdyby nie skontaktowało się z nim Centrum, mógłby się nawet dać skusić.

Czasami budził się w nocy zlany potem. Tak działały sny o człowieku, którym mógłby się stać w Krainie.

- Pozwólcie mi pomyśleć - powiedział.

- Zgoda. Ale nie długo.

Skrył twarz w dłoniach. *Jeff, śledzisz to?*

*Pewno, bracie. Zamierzasz poprosić ich o coś na piśmie?*

*Niezdane ze zwyczajami,* odpowiedział. *Słowo oficera Wybrańców powinno wystarczyć. Nie ma wiele czasu.*

Choć oczywiście *one* wiedziały, że *on* wiedział, iż nie opuści tego pokoju żywy, jeśli odmówi. Ambasada na pewno ma sposoby na pozbywanie się ciał.

Znowu podniósł głowę. Bez problemu okaże nieco zmartwienia. Wyczuwał swój pot, ciężki, z tym szczególnym odorem stresu.

- Jestem zaręczony z obywatelką Imperium - powiedział.

Pułkownik wzruszyła ramionami. - O małżeństwie nie ma oczywiście mowy, ale po podboju możesz wybierać sobie przyjemności. Weź tę sukę, jeśli będziesz miał ochotę, albo i tuzin innych.

Gerta się skrzywiła i dotknęła rękawa przełożonej, szepcząc jej do ucha.

John potrząsnął głową. - Wszystko co dotyczy mnie, dotyczy także Pii. Albo nie ma umowy.

Pułkownik przymrużyła oczy. - I tak zaproponowano ci więcej, niż jest w zwyczaju - ostrzegła.

- Nie. Pia albo nic.

Gerta znowu dotknęła rękawa pułkownik. - Powinnyśmy to omówić - powiedziała.

- Zgoda. Hosten, przejdź, proszę, na koniec pokoju.

Usłuchał, odwracając się od stołu. Dwoje Wybrańców pochyliło się ku sobie, rozmawiając szeptem. O wiele za cicho, aby ktokolwiek mógł usłyszeć... to znaczy, ktokolwiek bez możliwości przetwarzającego dane Centrum. Komputer był ograniczony do tego, co odbierały zmysły Johna, lecz był w stanie zrobić z tym o wiele więcej niż jego umysł bez tej pomocy.

- Co o tym sądzisz, kapitanie? - spytała pułkownik.

- Nie jestem pewna. Gdyby się zgodził, nie upierając się przy tej kobiecie, to powiedziałabym, że powinnyśmy go zabić od razu, byłoby to wyraźne udawanie. Ta kobieta... możliwe, że jest szczery... ale on wie również, że *ja* znam go dobrze.

*Wielkie dzięki, Gerta.*

- Jak na razie wciąż podejrzewam, że kłamie. Natychmiastowa egzekucja byłaby mniejszym ryzykiem.

- Miałam wrażenie, że masz wysokie mniemanie o tym Johanie Hostenie.

- Tak jest. Z Heinrichem nazwaliśmy syna jego imieniem. Szanuję jego odwagę i inteligencję, dlatego też jest on zbyt niebezpieczny pozostawiony przy życiu, chyba że będzie po naszej stronie.

- Wydaje się być skłonny przyjąć propozycję.

- I tak będzie musiał, prawda?

- Jakie masz dowody, aby przypuszczać, że on kłamie?

- Przeczucie. Mieszkałam z nim, dopóki nie ukończył dwunastu lat i od tego czasu korespondowaliśmy. Jest oddany Republice, choć może to brzmieć absurdalnie. On *wierzy*. A John Hosten nigdy nie zdradzi sprawy, w którą wierzy.

Zapadła długa cisza. - Tak jak mówisz, ideologia Republiki jest absurdalna, a - wnioskując z dokumentów - on nie jest głupim ani nieracjonalnym człowiekiem. Zawsze istnieje możliwość egzekucji, ale nie da się jej cofnąć. Sprawdzimy go. Jego pozycja jest potencjalnie bezcennym nabytkiem. A my w końcu proponujemy mu największą nagrodę.

- Pani pułkownik, proszę o odnotowanie mojego sprzeciwu.

- Pani kapitan, zostało to odnotowane. - I na głos: - Johanie Hostenie, zbliż się.

Gdy stanął koło krzesła, stwierdziła: - Obdarzymy tę kobietę statusem probantki-emeritusa.

Obywatelstwo drugiej kategorii, jeśli jednak byłaby żoną jednego z Wybrańców, jej dzieci miałyby automatycznie prawo do przystąpienia do próby życia. Choć kobiety wiedziały, że John nie może spłodzić żadnych dzieci. Zamrugał, zachowując starannie neutralny wyraz twarzy. Pia płakała, gdy jej o tym powiedział, a on się wtedy bał, naprawdę bał.

- To jest... - Przerwał i znowu zaczął - Rozumiecie, robiłem się coraz bardziej sfrustrowany. Musicie to wiedzieć, jeśli wasi informatorzy w biurze spraw zagranicznych są równie dobrzy, jak podejrzewam. Wciąż *mówię* im o zagrożeniach, a oni je ignorują. - Wzruszył ramionami. - Jak powiedziałyście, nie ma sensu walczyć za tych, którzy nie chcą walczyć za siebie samych. - Wstał i wykonał salut Wybrańców. - Zgadzam się. Rozkazuj mi, pułkowniku!

Pułkownik von Kleuron spojrzała na nich dwoje, a potem potrząsnęła głową.

John zwalczył impuls odetchnięcia głęboko z ulgą. *Nie zabiją mnie teraz. Dzięki, Gerta, wielkie dzięki.*

Choć powinien się być tego spodziewać. Zawsze wiedział, że jego przybrana siostra

jest bystra i *rzeczywiście* znała go dobrze.

- Johanie Hostenie.

Na przypominającą mordę basseta twarz pułkownik wypłynął lekki uśmiezek.

- Podjąłeś mądrą decyzję. Zostaniesz odwieziony kawalek i skontaktujemy się z tobą w odpowiednim momencie. Niech twoja służba Wybrańcom będzie długa i owocna.

- Witaj z powrotem, Johnnie - powiedziała Gerta. - Jestem pewna, że będzie z ciebie pierwszorzędny agent. Masz naturalny talent.

\* \* \*

*Masz szczęście, skurczybyku*, stwierdził po cichu Jeffrey.

*Nie, to arogancja Wybrańców*, odparł John znajdujący się pół kontynentu dalej. Słaby obraz kontrolek parowca drogowego przebił się przez to połączenie, ukazując w tle długą, pylistą, wiejską drogę.

Jeffrey uśmiechnął się, wyobrażając sobie poważny wyraz twarzy i lekkie zmarszczenie czoła swego przybranego brata.

*Czy skontaktowali się z tobą od tamtej pory?* - powiedział/pomyślał.

*Nie. Minęły tylko trzy dni, a oni są bardzo zajęci. Cały personel ambasady Krainy odleciał ostatnim sterowcem.*

Jeffrey uniósł filiżankę kawy. Był poranek, lecz niektórzy goście w przydrożnej kafejce już zaczęli od czegoś mocniejszego. Wielu z nich sadowiło się ze stertami gazet albo książkami, lub też cieszyło się odwieczną imperialną rozrywką - przyglądaniu się ludziom. Kawa była doskonała, a patera z ciastkami niezwykle kusząca. Trzeba przyznać, istniały pewne rzeczy, które Imperialni robią bardzo dobrze. Jego informator powinien się zaraz pojawić.

*Daj mi popatrzeć na ruch w zatoce*, poprosił John. Jeffrey obrócił się lekko na swoim krzeselku i spojrzął w dół zbocza. Centrum przekaże Johnowi obraz.

*Nadal strasznie tam dużo statków Wybrańców*, stwierdził jego przybrany brat.

*W dalszym ciągu dostarczają węgiel*, odparł Jeffrey. *I to do hałd marynarki wojennej.*

*Mój szacowny przyszły teść*, pomyślał cierpko John, *zapewnia mnie, iż siły zbrojne Imperium są gotowe, wszystko zapięte na ostatni guzik. Koniec cytatu.*

*Czy ten człowiek urodził się takim cholernym głupcem?*

*Nie, tylko nie może sobie pozwolić na spojrzenie prawdzie w oczy. Myślę, że*

*żałuje, iż nie umarł, zanim do tego doszło... i cieszy się, że Pia będzie bezpieczna w Santander.*

*No właśnie, powinniśmy - zaczął Jeffrey. A potem: Zaczekaj.*

Nad horyzontem ukazał się ledwo widoczny sterowiec. Jeffrey był w garnizonowym mundurze oficerskim, w skład którego wchodziła mała lornetka oraz wojskowy rewolwer. Wydobył lornetkę i wstał, spoglądając na długą ulicę prowadzącą do zatoki. Statek powietrzny nie był w kolorach *Luftanzy* Krainy, tylko w neutralnym srebrzystym odcieniu z logo firmy *Luftanza* na wielkich, przypominających płetwę rekina płatach nośnych z tyłu. Duży model, dwieście metrów długości i ćwierć tego maksymalnej średnicy. Jeden z najnowszych typów, z gondolą wbudowaną w kadłub i sześcioma silnikami w aerodynamicznych osadach utrzymywanych po bokach rozporami przypominającymi skrzydła.

- To nie jest planowy lot - powiedział do siebie.

>>Zgadza się. Statek jest ciężkim modelem do transportu wojskowego do użytku powietrzno-desantowego.<< Na krótko wyświetlił się raport, który czytał kilka miesięcy temu. >>Klasa rekin.<<

- Mam złe przeczucie - powiedział. - John, przez jakiś czas będę zajęty.

*Podejrzewam, że wszyscy będziemy, odpowiedział jego brat. Lepiej postaraj się dotrzeć do ambasady.*



## Rozdział czwarty

- Zbliżamy się do Ciano. Szybkość sto cztery kilometry na godzinę, wysokość tysiąc czterysta. Siła wiatru dziesięć węzłów na godzinę, północny i północno-zachodni. Piętnaście kilometrów do celu.

Mostek sterowca bojowego *Sieg*, znajdujący się pod dziobem, miał kształt półkola, z ukośnymi oknami dającymi widok do przodu i w dół pod kątem 180 stopni. Gerta Hosten była jedyną z obecnych nie noszącą szarego munduru sił powietrznych Krainy wykończonego błękitem. Była w stroju bojowym - tunice i spodniach o kolorze szarego kamienia, miała na sobie parciany pas i stalowy hełm. W swoich długich butach, innych niż te z podgumowanymi podeszwami, jakie nosiła załoga, czuła się nieco niepewnie na wytłaczanych aluminiowych panelach pokładu statku powietrznego. Oficer głównodowodzący, Horst Raske, stał przy członku załogi, który trzymał wysokie koło sterowe zawiadujące pionowymi sterami. Drugie koło usytuowane pod kątem prostym obracało poziomymi płatami. Balast, gaz i silniki, wszystko to miało swoje własne miejsce, choć w każdej gondoli silnika znajdowało się także dwóch członków załogi w razie potrzeby nagłej naprawy.

- Wyłączyć przegrzanie - rzucił Raske.

Przytłumione łupnięcie przeszło przez ogromny, lecz lekko zbudowany kadłub powietrznego statku. Otwierały się odpowietrzniki na górnej powierzchni sterowca, uwalniając gorące powietrze z baloników wiszących w środku wodorowych ogni. Gerta poczuła pod stopami, jak sterowiec zwalnia i nabiera ciężaru. Powierzchnia wody zaczęła się zbliżać. Ziemia stanowiła grubą linię brzegową przed nimi, upstrzoną maleńkimi budynkami przypominającymi domki dla lalek. Szerokie dorzecze rzeki

Pada leżało na południu, na prawo, a w nim znajdowały się głębokie, bagrowane zatoki Corony, w których roilo się od statków.

- Wszystkie silniki trzy czwarte, zmiana kierunku na jeden-dwa-pięć. - Głos Raskego był równie spokojny i rzeczowy jak w czasie lotów ćwiczebnych podczas prób. Nikt nigdy przedtem nie leciał na sterowcu do prawdziwej walki; statki powietrzne istniały dopiero od czterdziestu lat. - Rozpoczynamy ostatnie podejście.

Oficer zwrócił się do Gerty. - Trzydzieści minut do celu - powiedział. - Obserwator - w kopule na szczycie statku powietrznego - melduje, iż reszta sił powietrzno-desantowych posuwa się zgodnie z planem. Powodzenia.

Gerta odpowiedziała salutem. - Tobie też, majorze.

*Będzie ci ono potrzebne*, pomyślała. *Ona* wysiada z tej latającej bomby; do walki, to prawda, ale przynajmniej nie będzie owinięta milionem metrów sześciennych wodoru.

Rampa za mostkiem prowadziła w dół, przez kwatery załogi, obok kabiny radiowej, aż do ładowni. Było to ogromne, zaciemnione pudło pod brzuchem *Siega*, spięte dźwigarami w górze. Jedynymi pionowymi elementami było kilkadziesiąt sznurów przywiązanych do dachowych podpór, kończących się zwojami spoczywającymi na segmentach podłogi. Jej żołnierze kucali na kratownicy podłogi - trzystu z komanda służb wywiadowczych, siły specjalne, którym powierzono pierwsze natarcie, odpowiadające bezpośrednio przed sztabem generalnym. Większość sterowców i statków lądowych podążających za nimi wypełniona była żołnierzami liniowymi - protegowanymi niewolnikami dowodzonymi przez oficerów Wybrańców. Protegowanym piechurom wydawano właśnie po cztery uncje czystej wódki z trzciny cukrowej na głowę. Komando wywiadu składało się jedynie z Wybrańców, tylko jeden kandydat na dziesięciu dostawał się do jednostki.

Sierżant z kwatery głównej wręczył jej karabin maszynowy Koegelmanna. Połowa komanda była uzbrojona w nie lub też w półautomatyczne strzelby zamiast karabinów, do wymiany ognia z bliskiej odległości. Wsadziła płaski dysk na wierzch broni i przerzuciła pasek przez epolet na prawym ramieniu tak, że broń zwisała z rękojęścią pod ręką.

- Dobra - rzuciła na tyle głośno, że było to słyszalne. - Do tego nas szkolili. Jesteśmy pierwszymi na miejscu, bo jesteśmy *najlepsi*. Wygląda na to, że Imperialni siedzą z palcem w dupie... ale jak już wylądujemy, nawet oni zorientują się, co jest grane. Pamiętajcie szkolenie: atakować ostro, bronić się ostro, a jutro o tej porze

Corona będzie należeć do Wybrańców. Corona, a potem Imperium. A potem *świat*. I przez tysiąc lat będą pamiętać, że to *my* zadaliśmy pierwszy cios.

Krótki pomruk przetoczył się wśród wyczekujących twarzy, choć nie był to całkiem radosny okrzyk; raczej dźwięk, jaki wydaje wataha posepników zachodzących stado antylop. Gdy klękła, zgrupowali się wokół niej dowódcy kompanii i plutonów.

- Żadnych chmur, niewiele wiatru, nieograniczona widoczność - powiedziała im. - Ani żadnych wpadek wywiadu w ostatniej chwili.

- A to znaczy, że albo wszystko jest w normie, albo raporty zostały całkowicie spieprzone od początku i nikt się o tym nie dowiedział - stwierdziła Fedrika Blummer.

- No właśnie. Fedrika, pamiętaj, *nie* daj się wplątać w walkę. Zabezpiecz teren przy pomocy tych Haagenów, inaczej Imperialni zaleją nas, zanim przybędą główne siły. Kurt, Mikel, Wilhelm, wszyscy pamiętajcie o tym - oni będą mieli znaczną przewagę liczebną. Jedyne sposoby, aby nam się udało, to uderzenie w nich tak mocno i tak szybko, że nie będą nawet podejrzewać, co się dzieje. Przejdźcie przez nich jak trawa przez gęś i nie zostawcie nikogo żywego.

- *Ya* - rzucił Wilhelm Termot. Pozostali skinęli głowami.

- Zróbmy to zatem.

\* \* \*

Jeffrey Farr wrzucił papiery do żeliwnej wanny i pokropił je naftą. Zapalił zapalniczkę i cisnął na nie. Sterta dokumentów wystrzeliła pomarańczowym płomieniem, czarnym dymem i gryzącym, gorzkim smrodem. Przeszedł z łazienki do sypialni.

Zaczął wrzucać swoje rzeczy do torby - aparat fotograficzny, dodatkową amunicję do rewolweru - i sprawdził, co się dzieje w łazience. Była pełna dymu, ale papiery paliły się ładnie. Zawierały szczegóły dotyczące siatki, jaką zakładał tutaj w Coronie - jednak Centrum było doskonałym urządzeniem do zapamiętywania, i to takim, do którego nie można się dostać. Z tego też powodu Jeffrey sam starannie unikał ich zapamiętania. Nie mógł powiedzieć tego, czego nie wiedział, a Centrum mogło mu zawsze dostarczyć szczegółów. To rzucało całkowicie inne światło na to, co potrzebował wiedzieć. Poczekał, aż w wannie nie pozostało nic poza płatkami popiołu, a potem ugasił to dzbankiem wody z umywalki. Następnie pobiegł na płaski dach budynku mieszkalnego. Budynek miał cztery piętra, a na dachu znajdowały się krzesła i donice; tylko to, co najlepsze w tej dzielnicy.

Wyciągnął lornetkę i zwrócił ją ku sterowcowi. Był teraz blisko, zwalniał.

Wyglądało na to, że zmierza do fortu Calucci na wysuniętym ramieniu wojskowej zatoki.

*Czego, u diabła, chcą tam spróbować?* - pomyślał. Była to kwatera główna całego dystryktu wojskowego Corony.

>>Atak przy pomocy żołnierzy przetransportowanych drogą powietrzną<< powiedziało Centrum. >>Prawdopodobieństwo 78% plus minus 3. Obserwuj.<<

- a żołnierze w szarych mundurach Krainy ześliznęli się po sznurach na dach kompleksu kwatery głównej...

>>Na to wygląda<< powiedział Raj. >>Przyznam, że ci *bastardos* są odważni.<<

- Och, cholera - wyszeptał w chwilę później Jeffrey.

*O co chodzi?* - zabrzmiał głos Johna.

- Lucretzia - powiedział.

*Cóż...*

- Wiem, wiem, ona nie jest dziewczyną, którą przyprowadza się do domu, aby przedstawić matce - ale jest w porcie.

>>Poselstwo byłoby najmniej ryzykownym miejscem tymczasowego pobytu<< odpowiedziało Centrum.

- Taak, ale muszę coś z nią zrobić - powiedział Jeffrey. - To sprawa osobista, a poza tym dobry z niej informator.

*Powodzenia*, powiedział John.

>>I uważaj na siebie, chłopcze<< dodał Raj.

\* \* \*

Poszycie *Siega* stęknęło i zadrżało od niskotonowego pomruku.

*Gaz z wentylów*, pomyślała Gerta. *Odwrotny ciąg*.

Jakby dla potwierdzenia, wzmogło się poczucie zjeżdżania windą. Nos sterowca powędrował ku górze, a silniki ryknęły. W ten sposób kapitan kontrolował opadanie przy pomocy dynamicznej siły nośnej powietrza przelatującego pod ogromnym kadłubem. Poczowała smak słonego potu spływającego jej po twarzy. Za sekundę.

- Gotuj się!

Komandosi przypinali się, wykorzystując pętle umocowane w aluminiowym pokładzie. Gerta zaciągnęła mocniej pasek karabinu i wsunęła obydwie ramiona i stopę w szelki. Ryk silnika nagle zamarł, zatrzymując się na jałowym biegu. W chwilę ciszy, jaka nastąpiła, wdarł się zgrzytliwy, rozdzierający szczęk. Sterowcem szarpnęło

ostro, zarzuciło, podskoczył, i znów nim zarzuciło, miotając jej ciałem tam i z powrotem. A potem powietrzny statek zatrzymał się z podłogą ustawioną ukośnie, kołysząc się chwiejnie. Wciąż dał się słyszeć ryk wentylów.

- Teraz! Ruszać się, ruszać!

Obute stopy walnęły o wyzwalacze błyskawiczne. Dwadzieścia cztery segmenty pokładu odpadły od kadłuba wraz ze zwojami sznura. Światło wdarło się w ciemność ładowni, oślepiając. Mężczyźni i kobiety poruszali się ruchami ćwiczonymi tak długo, że stały się odruchami. Dwudziestu czterech skoczyło, obejmując ramionami i nogami sztalowe liny i zniknęło. Pozostali podążali w ich ślady z regularną precyzją metronomu. Gerta i jej głównodowodząca sekcja ruszyli w trzeciej fali, dokładnie w trzydziści pięć sekund po pierwszej.

Uderzył w nią hałas, gdy wyslizgiwała się z ładowni w olbrzymi cień ogromnej konstrukcji. *Sieg* się poruszał i zaczął trochę podskakiwać, gdy zmniejszył się jego ciężar. Powierzchnia płaskiego dachu wieży znajdowała się jedynie osiem metrów w dole - mniej niż jedna trzecia odległości, jaką musiały pokonać drużyny ześlizgujące się na podwórzec fortecy. Pod nią widać było z pół tuzina Imperialnych, gapiących się i wskazujących na znajdujący się w górze sterowiec. Poruszyli się dopiero, gdy w dole wybuchły strzały i krzyki. Puściła się liny, dotknęła ziemi, przetoczyła się po fragmencie dachu, sięgając pod zamontowanym poziomo magazynkiem bębnowym Koegelmanna, aby odwieść zaczep zamka. Broń ze wstecznym przepływem gazów była nowa; wyposażona w bezpiecznik, który miał uniemożliwić zamkowi polecenie do przodu.

Przekonała się, iż bezpiecznik nie jest całkowicie niezawodny. Naprawdę mocne szarpnięcie mogło posłać go do przodu, wrzucając pocisk do komory i wystrzeliwując go. *Nie* było dobrym pomysłem uzbrajanie go przed skokiem z liną.

Gerta rozłożyła się w doskonale wyważonej pozycji i nacisnęła spust karabinu. Ten ryknął i grzmotnął ją w ramię, a pusty mosiądz zadźwięczał na pomalowanej, metalowej powierzchni na szczycie wieży. Naboje miały pistoletowy kaliber, lecz były ciężkie, 11 mm, z szeroką kryzą i przybitką. Przebijały się przez Imperialnych z siłą zamokłych piłeczek lekarskich, wywalając rany wylotowe wielkości spodków. Reszta sekcji także strzelała. W kilka sekund później dokoła nie było żywego wroga.

Coś przemknęło, wirując w górze, ku ciężkiemu włazowi w kształcie dysku prowadzącemu z dachu w dół, do głównej części wieży. Na drabinie w dole stał jakiś mężczyzna. Twarz miał poszarzałą od szoku, szarpał się z potężną pokrywą. Granat

uderzył w jego dłonie spoczywające na kole zamykającym właz. Wrzasnął i odskoczył do tyłu, spadając z drabiny i znikając. Granat trafił w brzeg wejścia, okręcił się dwukrotnie, a potem zniknął, spadając w dół szybu za imperialnym żołnierzem.

Pokrywa włazu także opadała, wytrącona z równowagi, zanim Imperialny zauważył granat. Gerta podniosła się z ziemi niczym wyrzucony przez sprężynę pocisk, nurkując przed siebie, aby spróbować wsadzić rękojeść karabinu w szczelinę. Tymczasem granat wybuchł w dole, lecz choć wystrzeliły pył i żwir, to ciśnienie nie było dość duże, by spowolnić opadanie kilkusetkilowego ciężaru. Pokrywa uderzyła z hukiem na zamykający ją pierścień i zadzwoniła z głuchym szczękiem o kolbę jej karabinu. Gerta uniosła się na kolana i sięgnęła ku małemu, głęboko osadzonemu kołu na górze włazu przypominającego kapelusz grzyba. Przyłączyło się do niej troje innych, lecz koło obracało się nieubłaganie pod jej palcami, usłyszała też jak sztaby wsunęły się w swoje osłony. Koło zamykające wewnątrz było o wiele większe niż to na górze, o większej sile dźwigni.

*Niech to diabli, pomyślała, prostując się i rozglądając. Ktoś tam na dole jest w stanie znaleźć swojego kutasa bez pomocy mapy.*

Zabębniła spadająca woda, ulewna jak w porze deszczowej w Krainie. Wielka bryła *Siega* unosiła się i zawracała, pozbywając się balastu, by zwiększyć siłę nośną. Wyglądało, jakby sterowiec podskoczył w górę, a jego cień znikł znad fortecy, gdy z rykiem silników zwrócił się ku południowi, ku ujściu rzeki. Sznury spływały z niego niczym wijące się węże i spoczęły na dachu lub zwisały z murów.

Na dachu wieży znajdowali się tylko żywi Wybrańcy i martwi Imperialni. W większości martwi - jeden, któremu brakowało kawałka czaszki, wciąż podrygiwał jak pozbawiona rdzenia żaba. Gerta podeszła szybko kołyszącym się krokiem ku skrajowi dachu, omijając rozszerzające się kałuże krwi - ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, były śliskie buty - i spojrzała w dół. Na podwórku znajdowało się kilka ciał. Odgłosy strzałów dobiegały z okolicznych budynków: wystrzały ze strzelb, ogień karabinowy i wyraźny bełkotliwy jazgot karabinów maszynowych. A potem przeciągły, rozdzierający wybuch - mogło to być tylko jedno z osadzonych na trójnogu, ochładzanych wodą działek, jakie sprowadził ze sobą pluton z ciężką bronią.

*Dobrze. Fedrika musiała zabezpieczyć teren.*

- Dobra, Elke, Johan, rozwalcie to.

Przybyli przygotowani. W dwa lata po tym, jak Gerta się urodziła, w dżungli gór Kopenrung rozpoczęto budowę dokładnego duplikatu tej fortecy. Fort Calucci został

wybudowany wtedy, gdy nie gwintowane armaty z brązu były najgroźniejszą bronią, lecz od tego czasu był stale unowocześniany. Ostatni program budowlany został wdrożony piętnaście lat temu, po morskich potyczkach między Imperium a Republiką Santander. Cały kompleks został opasany grubym żelazobetonem, od pięciu do piętnastu metrów szerokości, a wieża pokryta pancerzem pochodzącym z kilku oddanych na złom pancerników. Nawet nowoczesne działka przeciwokrętowe o dużej prędkości wylotowej miałyby z tym problemy.

Na szczęście każda forteca miała swoje słabości.

Dwaj Wybrańcy potruchtali ku włazowi, niosąc pomiędzy sobą ładunek wybuchowy. Był to stożek rozszerzający się ku dołowi, wsparty na przysadzistych, żelaznych nogach, aby uzyskać precyzyjną odległość od celu. Nie wiedziała dokładnie, jak to działa - obowiązywała zasada zachowania tajemnicy - ale widziała testowane modele. Bomba szczęknęła, upadając na środek włazu.

- Wybuch! - zakrzyknęło dwóch komandosów, gdy nastawili lont i dali nura.

Cała siła wybuchu poszła prosto w dół, jak płomień z palnika spawalniczego. No, *prawie* cała. Pokrycie składało się z cienkiego metalu i miało się rozpaść *prawie* całkowicie bez efektu szrapnela. „Prawie” nie było szczególnie pocieszającym słowem, gdy znajdowałeś się na płaskiej, stalowej płycie bez żadnej osłony. Przycisnęła plecy do przedmurza wokół skraju dachu, przyciągnęła kolana do piersi, pochyliła brodę i osłoniła ciało Koegelmanem.

ŁUUP. Podmuchał ją i grzmotnął o podłoże. Spadł na nią deszcz gorącej stali. Zakłęła i macając dłonią w rękawicy strząsała kawałeczki z ubrania. Woń spalonych włosów, mundurów i drewna potęgowała smród. Ktoś wrzasnął, gdy kropelka trafiła w miejsce zbyt delikatne, by zachować samokontrolę.

Metal gwizdząc, poleciał na wszystkie strony. Zanim umilkł hałas, eksperci od ładunków wybuchowych już byli na nogach i gnali ku pokrywie. Dym wydobywał się z okrągłej, nadtopionej dziury w środku metalowego włazu. Saperzy wsadzili w otwór pałeczki materiałów wybuchowych. Próżno byłoby próbować, gdyby powierzchnia była nienaruszona, ponieważ siła eksplozji rozeszłaby się po linii najmniejszego oporu, w powietrze.

- Wybuch!

Flara wystrzeliła w powietrze z podwórca w dole i trysnęła zielenią. Gerta spojrzała na zegarek. *Pięć minut*. Powiodło się kompanii, której wyznaczono zajęcie bram i elektrowni. Dobra, szybka robota...

Pałeczki materiału wybuchowego sprawiły, iż szczyt wieży wygiął się niczym olbrzymia błona bębenkowa. Tym razem poleciało w powietrze *dużo* metalu. Uwięzione w środku przebitego włazu, szybko uwalniające się gazy po wybuchu niosły w sobie mnóstwo energii nie mającej się gdzie podziać. Odłamki i kawałki odbijały się z gwizdem od opancerzonego dachu lub przedmurza dokoła niej. Ktoś wrzasnął raz, a potem zamilkł. Podmuch uniósł ją i cisnął boleśnie w dół, a elementy ekwipunku wbiły się, siniacząc jej ciało. Zamrugła załzawionymi oczami.

Kilka pogiętych i poskręcanych pozostałości włazu wystawało jak wieczko źle otwartej puszki.

Dwa granaty poleciały łukiem ku dziurze. W trzy sekundy później wybuchły, a komandosi Wybrańców zaczęli wskakiwać przez otwór, jaki otworzyły ładunki wybuchowe.

\* \* \*

- Cholera - wyszeptał znowu Jeffrey Farr i wskoczył do małego Sherrinforda. Raz po raz przyciskał pompę nożną, budując ciśnienie w paliwowo-wodnych zasilaczach. Gdy zabrzmiał dzwonek, wcisnął przycisk zapłonu. Dało się słyszeć przytłumione przytknięcie, gdy zapaliło się pod kotłem - silnik dławił się nieco bez ciągu pompy tłoczącej, która odchodziła od koła zamachowego. Czerwony płyn zaczął się podnosić w szklanych słupkach wmontowanych w tablicę rozdzielczą, pokazujących temperaturę pary, ciśnienie w kotle, wodę, paliwo, stan akumulatora i rezerwuaru powietrza. Dość paliwa, a akumulator był, dzięki Bogu, nowy. W trzydzieści sekund później zabrzączał kolejny dzwonek, a wskaźniki temperatury i ciśnienia podniosły się ponad wymagane do pracy minimum. Jeffrey wrzucił bieg wsteczny przy pomocy dźwigni sprzęgła obok kierownicy, wyjechał ostrożnie i ruszył na południe, włączając się w ruch uliczny.

Z południowego zachodu nadlatywały *dziesiątki* sterowców - ogromne, podłużne kształty przypominające łę, posuwające się jak chmury przy wtórze zgrzytliwego ryku silników. Nie próbowały się ukrywać - miały na bokach rozbłysk słońca Krainy. Pierwsza fala przeleciała w górze na wysokości dwóch tysięcy metrów, zmierzając na wschód. Druga zwolniła i zaczęła skręcać w formacji nad zatoką i fortyfikacjami. W dnie kadłubów otworzyły się szczeliny. Wyleciały z nich ciemne obiekty. Deszcz podłużnych kształtów spłynął w dół niczym torpedy z płetwami.

>>Bomby lotnicze<< powiedziało Centrum. >>Nieoptymalne aerodynamicznie,



lecz funkcjonalne.<<

- No pewno - wymruczał Jeffrey.

Duży sterowiec mógł przenieść całe *tony* ładunku. Niektóre z ostatnich modeli miały ładowność czterdziestu lub pięćdziesięciu ton.

*Trzask. Trzasktrzasktrzasktrzask...*

>>Prawdopodobnie przyleciały puste z Krainy, a potem przejęły ładunki ze statków << stwierdził Raj.

>>Prawdopodobieństwo 76% plus minus...<< powiedziało Centrum.

- Cholera. Lepiej dostanę się do...

Przeciągły, świszczący ryk. Jeffrey szarpnął kierownicą, wjeżdżając dwoma kołami na chodnik, aż rozpierzchli się pokrzykujący piesi. Pył buchnął na niego przez otwarte okna samochodu z płóciennym dachem i mężczyzna przez sekundę miał wrażenie, że droga się pod nim zapadła. Kaszłąc, patrzył, jak blok mieszkaniowy trzy budynki dalej wali się na ulicę w zwolnionym tempie, niczym lawina. Chybiony strzał, pewnie celowali w gazownię jakiś kilometr stąd, lecz pomyślał, iż nie ma to znaczenia, jeśli posiada się *wystarczająco* dużo bomb. Wypluł zabarwioną pyłem ślinę i przyglądał się, jak przypominający rekina sterowiec sunie w górze. Wybuchy podążały jego śladem niczym potworne jaja. Tuzin, a potem ogromna kula ognia unosząca się nad szczytami dachów. *Udało* im się trafić w zbiorniki gazowe.

>>Czas ruszać, chłopcze.<<

- Nie będę się sprzeczał.

Wdusił przepustnicę, do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę - przekraczając ograniczenie szybkości, lecz nawet w normalnych czasach było ono czysto teoretyczne. Kręciło się trochę ludzi, ale niewielu. Tłumy stały z rozdziawionymi ustami i wskazywały rękoma. Kilka osób tłoczyło się ku zrujnowanemu budynkowi mieszkalnemu, lecz w gruzach płonął ogień - popękały przewody gazowe i woda tryskała z poprzecinanych rur. Ciągnięty przez konie wóz strażacki przemknął obok, pobrzękując dzwoneczkami i tryskając iskrami spod końskich kopyt. Imperialny oficer ze złotymi epoletami i spiczastym, nawoskowanym wąsikiem przejechał obok, udając się w przeciwnym kierunku. Miał w dłoni pistolet i jechał ku zatoce, choć pozostawało zagadką, co chciał tam zrobić. Stocznie wojskowe trzy kilometry stąd stanowiły masę ognia i dymu, z kolumnami płomieni po wtórnych eksplozjach prześwitujących czerwienią przez czarne chmury.

Jakaś matka podnosiła dziecko, żeby zobaczyło wybuchy, widocznie sądząc, iż są

to jakieś ognie sztuczne.

Niewielu ogarnęła panika - co wskazywało na ignorancję, a nie silne nerwy. Jeffrey popatrywał, wymijając tramwaje i pieszych. Z pół tuzina kupców z Krainy wyciągnęło statki na brzeg, niedaleko fortów w zatoce po obu stronach wejścia do ujścia rzeki. Było za daleko, żeby dostrzec ludzi, lecz kadłuby pociemniały od sieci do wspinaczki przerzuconych przez burty, aby wysiadający żołnierze mogli zejść na biegnącą wzdłuż klifu drogę. Otworzyły się części kadłubów, ukazując zamontowane na postumentach działa. Głuche armatnie *łup* przyłączyło się do potęgującego się chóru broni strzeleckiej.

Strzelało coś jeszcze, nieco przypominające kartacznicę. *Wyciągają na imprezę wszystkie nowinki*, pomyślał. *Ale będą się musieli bardziej postarać.*

Uliczki się zwięzały, gdy zjeżdżał na płaski teren, gdzie znajdowały się starsze budynki, niektóre pochylone nad brukiem. Nierówna nawierzchnia ulicy torturowała zawieszenie samochodu, a on musiał naciskać gruszkę klaksonu - i utrzymywać prędkość - żeby przebić się przez tłumy. Zatrzymał się pod pochyloną kamienicą, przy której na sznurkach rozciągniętych przez ulicę powiewało pranie. Na balkonach tłoczyli się rozprawiający mieszkańcy wskazujący ku południowi.

Jeffrey wychylił się przez okno i pokazał monetę. - *Eh, bambino!* - zawołał.

Bosy chłopczyk ze spodenkami podtrzymywanymi przez jedną szelkę przepchał się ku niemu. - Powiedz Lucretzii Colossi, że Jeffrey przyjechał się z nią zobaczyć - powiedział. - I powiedz jej, żeby przyniosła swoje klejnoty. Dostaniesz drugą taką, jeśli będzie tutaj za pięć minut.

Chłopak - miał około dziewięciu lat - wyszczerzył zęby w uśmiechu, ukazując szczyrby, i pomknął, wymachując gołymi piętami. Jeffrey wysiadł z samochodu i czekał w napięciu, z jedną dłonią na rękojeści rewolweru. Nie spodziewał się kłopotów. Niewielu było Imperialnych jego gabarytów, a ludzie w tej okolicy unikali mundurów, nawet nieznanych, a poza tym nie było tu wcale tak bardzo niebezpiecznie. Mimo to bez sensu było ryzykować.

Widzowie znikali z balkonów. *Wreszcie wykazali się odrobiną rozsądku*, pomyślał. Pojawiło się nieco ulicznego ruchu, kierującego się na północ, w górę wzgórza, z dala od zatoki. A potem z frontowych drzwi kamienicy pospiesznie wyszła kobieta. Była o rok czy dwa młodsza niż on, ubrana o wiele lepiej niż nakazywały to standardy tej okolicy. Była niesamowicie piękna, o ciemnej karnacji i pełnej figurze. Uśmiechnęła się do niego, lecz w jej oczach czaiła się nerwowa czujność. Miała ze sobą

kasetkę na klejnoty oraz małą walizkę i nawet teraz poruszała się jak tancerka. Oczywiście *była* tancerką, i to całkiem dobrą. Miła dziewczyna, mimo iż nie była, jak by to ująć, grzeczną dziewczynką. I bardzo przydatna. Aby werbować agentów, musiał zaskarbić sobie szacunek, a dla Imperialnego ktoś - w tym wypadku Jeffrey - kto nie miał kobiety, nie był mężczyzną, którego można poważnie traktować. Przekonał się, iż ogólnie rzecz biorąc, opłaca się przemawiać do ludzi w ich własnym języku.

Jeffrey rzucił chłopakowi kolejną monetę i wśliznął się za kierownicę. Lucretzia pocałowała go, zajmując miejsce dla pasażera.

- Czy to już wojna? - spytała.

- Owszem - odparł Jeffrey. - Jak cholera.

- Dokąd jedziemy? - Podniosła głos.

Jeffrey skręcił ostro i ruszył uliczką na południe. - Do drogi pod klifami. Najpewniej będzie to najkrótsza droga do konsulatu i, nie licząc wydostania się z miasta, jest to teraz najbezpieczniejsze miejsce.

Narastający tłum rozstępował się przed maską Sherrinforda. Zderzak zazgrzytał piskliwie o koło wózka z owocami. Wózkiem okręciło, a w tłum posypał się deszcz pomarańczy i melonów. Właściciel wywrzaskiwał przekleństwa w stronę samochodu. Jeffrey wyciągnął rewolwer i położył go sobie na kolanach.

- Dlaczego... - Lucretzia oblizwała wargi. - Dlaczego tego nie zrobimy, nie opuścimy miasta?

- Bo zanim się to wszystko zaczęło, przeleciała wielka flotyła tych sterowców - rzucił ponuro Jeffrey. - Założę się, że wyrzucili żołnierzy na głównych drogach i przy kolei prowadzącej do Ciano.

>>Prawdopodobieństwo 88% plus minus 2<< powiedziało Centrum.

- Ale to by oznaczało... to by oznaczało prawdziwą *wojnę* - powiedziała.

Znowu lekko podniosła głos. Lucretzia nie była głupia. Miała zaplanowaną ścieżkę kariery, aż po sklepik krawiecki, jaki zamierzała kupić, a jej poprzedni „przyjaciół” był kapitanem imperialnej marynarki. Imperialni spodziewali się kilku potyczek w Przesmyku, może jakiegoś najazdu, a potem trochę dyplomatycznych przepychanek. Tak już kiedyś bywało.

Scenariusz uległ jednak zmianie.

Nowa seria łupnieć podkreśliła tę myśl.

Dochodziły z wąskiej uliczki wychodzącej na szeroką, brukowaną esplanadę i Lucretzia się przeżegnała. Było stąd wyraźnie widać ulicę Pancerników. A właściwie to

byłoby widać, gdyby z ostro nachylonych w stronę ruf kominów okrętów wojennych znajdujących się pomiędzy nimi a dokami marynarki nie buchało tyle czarnego, węglowego dymu.

- Cholera! - przeklął Jeffrey. - Musi być ich ze dwa tuziny.

>>Dwadzieścia sześć<< powiedziało Centrum. >>Łącznie z dwoma, które są uszkodzone i nie nadają się do naprawy.<<

Wszystkie były tego samego typu - smukłe, małe jednostki wyrzucające pióropusze wody spod ostro ściętych dziobów. Zbudowane z naciskiem na szybkość, z gładką powierzchnią przypominającą skorupę żółwia nad przednim pokładem, aby woda spływała. Dalej wieżyczka z lekkim działkiem, a na rufie jakaś wielolufowa broń. Obok kominów znajdowały się obrotowe wyrzutniki torped, każdy wyposażony w cztery połączone ze sobą rury wiodące w kształcie litery U.

Żadnemu z ciężkich okrętów bojowych nie udało się uruchomić głównych ani pomocniczych baterii. A ciężkie działa i tak na niewiele by się zdały, jako że ich nakierowanie i załadowanie zajmowało zbyt wiele czasu. Na kilku z nich *udało się* uruchomić szybkostrzelną broń - czterolufowe armatki strzelające małymi, dwufuntowymi pociskami co sekunda z każdej lufy, obsługiwane przez dźwignię i ładowane z koszy samowładowczych. Lekka broń stanowiła źródło ciągłego jazgotu i czerwonych języków płomieni po bokach wielkich okrętów wojennych, a ku niebu bił brudny, szary dym. Dwie z jednostek Krainy leżały w przechyle w wodzie, płonąc, a pociski ze szybkostrzelnych działek rozbryzgiwały wokół nich strugi wody. Pozostałe wgryzały się w imperialną flotę niczym wilki rzucające się na żubry. Ich prędkość była zdumiewająca, niemal nieprawdopodobna.

>>Trzydzieści jeden węzłów<< powiedziało Centrum.

*Muszą być napędzane turbinami*, pomyślał Jeffrey. Mężczyzna jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że prowadzi, i z tego, że paznokcie Lucretzii wpijają mu się w ramię. Wybrańcy eksperymentowali z parowymi turbinami od ponad dekady. Santander robiło to samo, jako sposób generowania elektryczności. Wyraźnie było widać, że Kraina miała na myśli inne ich zastosowania.

Kolejny niszczyciel Wybrańców został trafiony. Zakołysał się na wodzie, a potem zniknął w kuli ognia, która wyrzuciła pióropusze wody, stalowych odłamków i pewnie - bez wątplenia - kawałków ciał na setki metrów w górę. Szybkostrzelne działka musiały trafić w pociski torpedowe. Gdy opadł pył wodny i dym, dziób i rufa lekkiej jednostki zniknęły już pod wodą.

Teraz pierwsza flotylla niszczycieli znalazła się w odległości tysiąca metrów od pancerników. Okręty rozdzieliły się, obracając, przechylając mocno na burtę siłą własnego pędu. Gdy każdy z nich znalazł się w jednej czwartej od swego pierwotnego kursu, z cylindrów wyrzutowych umieszczonych na burtach wystrzeliły z sykiem pary torped. Długie kształty wpadły z pluskiem w nieruchome wody zatoki i pomknęły ku swym celom. Lufy szybkostrzelnych działek pochyliły się, próbując doprowadzić do detonacji torped, zanim te trafią do celu, lecz znajdowały się w odległości zaledwie kilkuset metrów, a broń niszczycieli siekła otwarte pozycje strzeleckie. Jeffrey zobaczył, jak cztery blaszane ryby uderzyły w *Imperatorkę Imeldę*, od rufy aż do trzech czwartych odległości od jej dziobu.

W każdej głowicy pocisku znajdowało się ponad sto kilo bawełny strzelniczej. Ograniczone przez wodę eksplozje wywalały dziury na tyle duże, że mogłoby przez nie przejść dwóch albo i trzech ludzi idących ramię w ramię... a imperialne okręty wojskowe miały kiepski wewnętrzny podział grodziowy. A w ogóle, to gdy statki stały bezpiecznie zakotwiczone, grodzie wodoszczelne były pootwierane dla wygody, gdy przygotowywano się do wyjścia w morze. Jeffrey zdławił silnik i zahamował.

- Co ty *wyrabiasz?* - spytała Lucretzia.

- Przyglądam się. Zamknij się na chwilę.

Mężczyzna odsunął materiał samochodowego dachu i stanął z lornetką, opierając się łokciami o metalową krawędź przedniej szyby. Gdy się przyglądał, *Imperatorka* przechyliła się, zrzucając maleńkie jak mrówki ludziki. Kilku udało się wbiec na jej dno, gdy ukazały się oblepione wodorostami i pąklami płyty, lecz statek szybko osiadał i w dodatku przewracał się do góry dnem. Większość z pozostałych ciężkich okrętów bojowych miała przechył lub tonęła. Na oczach Jeffreyego *Imperator Umberto* wybuchł z hukiem ogłuszającym nawet z tej odległości. Jeffrey potrząsnął głową, ignorując dzwonienie w uszach, pozwolił lornetce opaść na pierś i wśliznął się za kierownicę.

Ku dokom zmierzały statki kupieckie z Krainy, a postacie w mundurach wylewały się z ładowni na ich pokłady. Nie chciał być tutaj, gdy się pojawiają. Zegarek pokazywał 10.00. Minęła zaledwie godzina od momentu, gdy pierwsze sterowce pojawiły się w górze.

Poselstwo Republiki w Coronie znajdowało się niedaleko od doków dla statków pasażerskich; większość jej spraw związana była z morskim handlem. Szosa prowadząca od drogi pod klifami była teraz prawie pusta, poza kilkoma lejami i

palącą się benzyną. Niestety, jeden z lejów zajmował miejsce ambasady. Sadząc po widoku, przynajmniej dwie albo i trzy sześciusetkilowe bomby wylądowały wokół niej w ścisłej grupie. Nie pozostało nic poza potrzaskanymi odłamkami wapiennych bloków, z których zrobiono mury.

*Chryste.*

Sparaliżowało go. Byli tam prawdopodobnie wszyscy, z którymi pracował przez ostatni rok - a przynajmniej większość z nich. Mieszkał tam konsul z rodziną. Kapitan Suthers. Andy Milson...

Instruktorzy mieli rację. Kamienne konstrukcje *rzeczywiście* nie są się w stanie oprzeć sile wybuchu.

- Chryste - powiedział na głos.

Spojrzał na Lucretię. A ona spoglądała na *niego*.

## Rozdział piąty

- Centrum telegraficzne opanowane, pani kapitan - powiedział posłaniec.

Gerta skinęła głową. Wśród żołnierzy przydzielonych do tego zadania było kilku, którzy potrafili kopiować „pięść” sygnalistów imperialnej marynarki.

Przetarła wierzchem dłoni po rance na policzku. Nic poważnego, tylko draśnięcie po odłamku granatu - trzeba było szybko ruszać dalej, aby zaskoczyć przeciwnika wciąż oszołomionego wybuchem. Ona była nieco *zbyt* szybka. Trochę piekło, ale nie był to prawdziwy uraz, szkoda czasu na bandażowanie.

Głęboki oddech. Biuro imperialnego dowódcy - a konkretnie admirała - stanowiło część klina uderzeniowego; jeden poziom w dół od szczytu wieży. Okno było zamknięte - okiennicą z półmetrowej opancerzonej płyty, lecz i tak głupie było osłabianie w ten sposób strukturalnej integralności budynku. Znajdował się tu ładny chodniczek z Unii, ozdobne biurko z kilkoma telefonami - imperialna technologia jeszcze nie doszła do wydajnych centralek - oraz mniejsze biurko dla asystenta admirała. Asystent leżał rozciągnięty na nim, brakowało mu większości twarzy, a jego mózg wyciekał poza krawędź blatu, tworząc galaretowatą kałużę. W gęstym od smrodu śmierci powietrzu wisiała ostra woń nowego azotowego prochu.

Dwaj sygnaliści trudzili się nad kołem otwierającym okno. Udało im się je otworzyć, odsuwając trójkątny kawałek stali. Ustawili heliograf.

- Prześlijcie: „faza pierwsza i druga ukończone zgodnie z planem” - powiedziała Gerta.

Zadzwoił telefon, trzy ostre brzęki. Odebrała.

- Tak, wiceadmirał del'Gaspari - odezwała się, trzymając chusteczkę na słuchawce

i zniżając głos. Przy odrobinie szczęścia jej rozmówca pomyśli o zniekształceniach na linii. - Wkrótce będzie tu admirał del'Fanfani. Proszę mówić głośniej, ja nie... - odłożyła słuchawkę. Zaraz zaczął znowu dzwonić.

Przynajmniej jej imperialny był dość dobry, łącznie z akcentem wyższych sfer w Ciano. Miała jednak nadzieję, że - ach.

Admirał wszedł przez drzwi z rękoma skrępowanymi z tyłu. Był wysokim, chudym mężczyzną, łysiejącym, z białymi wąsami jak u morsa. Pustym spojrzeniem wpatrywał się w dal, jak człowiek, który odrzuca wszystko, co podsuwają mu zmysły. Za nim znajdowała się niska, gruba kobieta i szczupła nastolatka o ciemnej karnacji. Jego żona i córka; rozpoznała je dzięki dokumentom. Za nimi podążało pół tuzina żołnierzy.

- Kwatery komendanta zostały zabezpieczone.

Gerta skinęła głową. Cały kompleks znajdował się teraz w rękach Wybrańców. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia siedem minut od początku do końca. Zdumiewające. Właściwie poszło *lepiej*, niż planowano. Spodziewała się, iż zajmie to przynajmniej godzinę.

- Dobra robota, sierżancie. - A potem, ostrzej: - Admirale del'Fanfani.

Staruszek wyprostował się i zamrugał. - Co to wszystko ma znaczyć? - powiedział. - Żądam...

Gerta dała znak ręką. Żołnierz zdzielił imperialnego oficera kolbą karabinu w nerki. Nie za mocno, lecz mężczyzna przewrócił się do przodu, poruszając ustami. Komandosi Wybrańców podciągnęli go w górę. Podeszła bliżej.

- Konieczna jest twoja współpraca - powiedziała. A *przynajmniej abyś okazał się użyteczny*. Nie zależy od tego nic arcyważnego, ale będzie to pomocne. - Będiesz się odzywał, gdy ja ci polecę.

Admirał wyprostował się. - Nigdy! - rzucił chrapliwie.

Gerta wzruszyła ramionami. Jedna z komandosek trzymających admirała dobyła noża i uniosła brew.

- Nie, nie sądzę, aby ostrze sprawiło, iż stanie się odpowiednio pomocny - powiedziała. - Trzymajmy się planu.

Wywiad miał kompletne dossier imperialnego sztabu dowodzenia i niezłą znajomość ich psychologii. Imperialni mieli dziwny stosunek do pewnych funkcji fizjologicznych.

Jeden z jej żołnierzy zrzucił ze stołu dokumenty i inne drobiazgi. Zwały się na



podłogę z brzękiem szkła. Dwóch innych podniosło dziewczynę i rozciągnęło ją na plecach.

- Papo! - wrzasnęła, wymachując i kopiąc nogami.

A potem już tylko wrzeszczała, gdy żołnierze złapali ją za nogi, odginając do tyłu tak, że kolana prawie dotykały ramion. Inny podszedł, chwycił za kołnierz jej sukni, przesunął pod nim sztyletem, rozcinając ciężką materię, aż ją z niej zdarł. Jeszcze kilka zamachów i pocięta została także bielizna. Żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu, wsuwając nóż z powrotem do pochwy i rozpinając rozporek. Splunął sobie w dłoń. Gerta zerknęła na nich - dziewczyna była całkiem ładna, lecz kobiece ciała nie działały na nią erotycznie, a poza tym to była praca - a potem zwróciła się z powrotem ku imperialnemu oficerowi.

Matka dziewczyny uderzyła o ziemię z głuchym łupnięciem, przewracając oczyma i mdlejąc. Admirał drżał jak koń wyścigowy na startowej bramce, otwierając i zamykając usta.

- Będę... - zaczął.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. - Przestać! - rzuciła Gerta. A żołnierz przestał, co wiele mówiło o dyscyplinie Wybrańców.

- Będę mówić! Zostawcie ją!

Gerta dała znak i komandosi puścili jego córkę. Dziewczyna skuliła się w pozycji płodowej na boku, niczym krewetka, przyciągając kolana do twarzy i pojękując cichutko. Gerta położyła dłoń na telefonie.

- Dopóki będziesz współpracował - powiedziała. - Powiesz, co następuje...

\* \* \*

- Cholera! - stwierdził Jeffrey.

Przed nimi była barykada: wozy, meble i wyrwane płyty chodnikowe. Za nią znajdowało się jakichś pięćdziesięciu imperialnych żołnierzy i trochę marynarzy w kurtkach w paski i beretach. Wszyscy mieli karabiny, a na podstawie działka polowego znajdowała się sześciolufowa kartaczniczka. Mężczyzna spojrzął na budynki po obu stronach. Jeszcze więcej ludzi. *Ktoś* tutaj miał choć blade pojęcie o tym, co trzeba robić, ale zapewne był to młodszy oficer. Jeffrey zahamował i zaczął zawracać.

- *Alto!*

Z boków wybiegli ludzie z wymierzonymi karabinami. Jednostrzałowymi, ale wystarczyłby jeden tylko strzał, a mierzyło w niego z pół tuzina ludzi.

- Jeden z tych psich synów Wybrańców!

Imperialny marynarz, który krzyknął i przysunął bagnet, pewnie nigdy nie widział wojskowego munduru Krainy. Z drugiej jednak strony, nie widział też pewnie nigdy munduru Republiki Santander.

- Zaprowadź mnie do swojego oficera! - rzekł Jeffrey głośno i wyraźnie. - Natychmiast.

Na twarzy młodzieńca odruch walczył z histerią. Jeffrey wysiadł z samochodu, poruszając się energicznie, lecz nie groźnie, i wyprowadził Lucretię za rękę na chodnik. Dziewczyna była nieco blada, ale poprawiła kapelusz i elegancko oparła dłoń o jego ramię. To prawdopodobnie wyträciło żołnierzy ze stanu będącego mieszaniną strachu i żądy krwi. Obraz najeźdźcy, jaki mieli w głowie, nie obejmował młodej imperialnej kobiety ubranej jak dama - no, niezupełnie jak dama, ale oni nie mieli towarzyskiego obycia, aby to dostrzec. Poszli za tą parą, właściwie ich nie popędzając.

Imperialny dowódca był porucznikiem marynarki, mającym około dziewiętnastu lat. Na mankiecie munduru wypisane miał *SIM Imperator Umberto*. Miał również trądzik i żalony wąsik oraz spojrzenie człowieka, który cholernie się stara działać w sytuacji, która, jak wie, zupełnie go przerasta.

*Ma szczęście, pomyślał Jeffrey. Na razie.*

- Poruczniku - powiedział. - Kapitan Jeffrey Farr, z armii Republiki Santander.

- Kapitanie - powiedział młodzieniec, salutując. - Wybacz, ale...

- Rozumiem - rzucił gładko Jeffrey. - A teraz, jeśli wybaczysz *mi*, jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tej młodej damy, a konsulat został zniszczony.

- Konsulat? Wybrańcy wypowiedzieli wojnę Republice?

Przez chwilę młody imperialny porucznik wyglądał, jakby zaświtała mu nadzieja. Jeffrey miał lekkie poczucie winy.

- Nie, obawiam się, że nie - wypadek w czasie działań wojennych. Ale reszta personelu konsulatu jest i tak martwa. Mój rząd z pewnością złoży skargę, ale tymczasem jestem neutralny.

- Zatem nie będę cię zatrzymywał, panie - rzekł porucznik.

Jeffrey zawahał się przez moment. - Poruczniku... powiedz mi, jak jeden żołnierz drugiemu, czy masz kontakt ze swoimi przełożonymi?

Porucznik przełknął ślinę. - Nie, panie, nie mam. Miejski telegraf i linie telefoniczne wydają się nie działać albo też pozostają pod kontrolą wroga.

- Wybrańcy lądują znacznymi siłami w dokach. - Mniej niż pół kilometra stąd. -

Poruczniku, bez wsparcia nie masz szans. Doradzałbym mocno wycofanie się, dopóki nie *nawiązesz* kontaktu z górą.

Jeszcze lepszym pomysłem byłoby pozbycie się mundurów i broni i ukrycie się w piwnicy, a potem udawanie nieszkodliwych robotników, ale nie sądził, by imperialny młodzieniec posłuchał tego rodzaju rady.

- Jeśli nie mam rozkazów, to i tak mam obowiązek, ale dziękuję, kapitanie Farr. W Coronie jest ponad trzydzieści tysięcy imperialnych wojskowych. Jeśli wszyscy coś zrobią, można będzie jeszcze uratować sytuację. Lepiej ruszaj, to nie jest twoja walka.

*Jak cholera nie jest.* A jednak to nie była jego *bitwa*. Jeśli każdy imperialny oficer miałby tyle chęci walki jak ten, to Corona mogłaby zostać uratowana. Było to jednak mało prawdopodobne.

Obejrzał się przez ramię. Dwóch imperialnych żołnierzy prowadziło samochód ku barykadzie, a pozostali odsuwali wóz, robiąc mu miejsce, żeby przejechał.

- Rozumiesz, oczywiście - ciągnął dalej porucznik - muszę zarekwirować twój pojazd.

Jeffrey jednak tego nie rozumiał - choć był on bezcenny, zwłaszcza gdy nie działał system komunikacyjny. Samochody nie były rozpowszechnione w Coronie. Nie było też sensu oponować, nie wówczas, gdy Imperialny miał wsparcie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu uzbrojonych ludzi. Wydawało się, iż Lucretzia jest bardziej skłonna się klócić. Jeffrey wziął ją pod ramię i ruszył pospiesznie.

- Dokąd możemy iść bez samochodu? - syknęła.

- Dokąd moglibyśmy nim *pojechać*? Główne drogi są zablokowane. Próbuję dostać się do kryjówki. A teraz *ruszaj*.

Poszli szybko ulicą. Tłumy były tu gęściejsze, lecz kręciły się, jakby nie wiedząc, dokąd iść. Łącznie z ludźmi w imperialnych mundurach wojskowych. W kilkudziesięciu punktach miasta w powietrze wznosiły się teraz kolumny dymu. Spojrzał na zegarek. Godzina jedenasta.

BUUUUM. Salwa z barykady sto metrów za nimi. Odezwała się kartacznicą powolnym *braaaap... braaap*, gdy operatorzy zakręcili dźwignią. Jeffrey częściowo się odwrócił, potem jednak rozpoznał kolejny dźwięk.

- Padnij! - krzyknął i padł plackiem, pociągając za sobą kobietę.

Świszczący pisk zakończył się ostrym *trach* jakieś dwadzieścia metrów z tyłu. Ktoś spadł Jeffreyowi na nogi, drgając. Mężczyzna pchnął stopami, lecz ciało stawiało opór, bezwładne niczym worek ryżu. Jeffrey musiał się przetoczyć na plecy i pchnąć butem,

aby uwolnić się od rzucającego się ciężaru. To dało mu doskonały widok na to, co zbliżało się drogą. Nawet z odległości stu metrów pojazd wyglądał na ogromny - romboidalny kształt znitowanego, stalowego pancerza wypuszczającego parę po bokach, z rozbłyskiem słońca Krainy na masce. Z obu stron wzmacniały go niekończące się pasy połączonych metalowych płyt. Pomiedzy górnym a dolnym pasem, z każdego boku, znajdowało się zamocowane na platformie działo - pięćdziesiątka, sądząc z wyglądu, lekkie okrętowe, szybkostrzelne działko. Na szczycie pudełkowego kadłuba umieszczono okrągłą wieżyczkę, na której osadzono dwa grube elementy będące zapewne nowymi, chłodzonymi przez wodę, automatycznymi karabinami maszynowymi, o jakich donosił wywiad.

To były one. Wieżyczka obróciła się i z luf automatów błysnęło. Towarzyszył temu dźwięk przypominający odgłos rozrywającego się płótna. Pociski wgrzyzały się w imperialną barykadę niekończącym się strumieniem, roztrzaskując drewno w drzazgi i uciszając nieskuteczne karabiny. Ludzie odwrócili się i rzucili do ucieczki. Porucznik machał im przed twarzami szablą, próbując ich zebrać. Wtedy wystrzeliło drugie działko zamontowane z boku czołgu Wybrańców. Pocisk wylądował prawie u stóp imperialnego oficera, wybuchając z podmuchem dymu o paskudnym czerwonym rdzeniu. Na bruku pozostał jeden z butów porucznika. Reszta oficera została rozbryźnięta po płytach nawierzchni. W ciszy, jaka zapadła, świadkowie usłyszeli zgrzytliwy pisk stali ocierającej się o kamień, gdy pojazd bojowy Wybrańców potoczył się w górę zbrocza ku nim.

Przez chwilę Jeffrey był sparaliżowany. Instynkt szarpał włoskami na karku. W scenariuszach Centrum widział o wiele gorsze maszyny wojenne, ale ta była *tutaj* - kołyszając się, posuwała się powoli ku niemu. Nie miał wcale za złe Imperialnym, że zwiali.

- Chodźmy! - Lucretzia pociągnęła go za rękaw.

*Dobry pomysł.* Jeffrey złapał ją za rękę i pobiegli.

\* \* \*

W piwnicy było gorąco i ciasno, duszno od oddechów i potu. Jeffrey przyłożył ostrożnie oko do zakrytego listewkami piwnicznego okna, wyglądając przez nie. Strzały ustały - powolny warkot imperialnych karabinów i głucho, szybkie trzaski samopowtarzalnych karabinków Krainy. Mężczyzna widział, jak jakiś imperialny żołnierz próbuje się odczołgać przez kuchenny ogródek na zewnątrz, wlokąc za sobą

bezwładne nogi. Za nim stanęły buty, wysokie buty z cholewami i wciśniętymi w nie szarymi spodniami. A potem pojawił się karabin z nasadzonym ostrzem bagnetu, wymierzony w tył głowy rannego mężczyzny. Broń warknęła, a ciało osunęło się do przodu.

*Cholera.* To był po prostu pech, dostać się na skraj miasta - znajdowali się na przedmieściach pełnych porozrzucanych willi i ogrodów warzywnych - a potem wplątać się w potyczkę.

Żołnierz Krainy przyklęknął i przejrzał kieszenie ofiary. Potem załadował karabin, wsuwając dwa magazynki po pięć naboji z ładownic parcianego pasa. Był mocno opalonym mężczyzną średniego wzrostu, z ogoloną czaszką i hełmem przyczepionym do pasa. Twarz miał posępną i twardą. Wyglądał dokładnie na tego, kim był - na świetnie wyszkolonego ludzkiego pitbulla. Dziki, niezbyt bystry, lecz wystarczająco śmiercionośny. Przesunął zamek do przodu, wsuwając pocisk do komory i odwrócił się, wykrzykując rozkaz przez ramię. Ktoś odpowiedział w takim samym krajowym z akcentem protegowanego i przyłączyła się do niego jeszcze trójka. Niewidziani przez Jeffreya inni przeszli obok, jeden szereg zaraz za drugim - pluton, sądząc po dźwięku.

Lucretzia zasłaniała usta rękoma, a oczy miała szeroko rozwarte. *To był dla niej ciężki dzień. Kurna, dla nas obojga.* Naprawdę miał nadzieję, że nie będzie krzyczeć.

Usłyszeli, jak na górze otworzyły się z hukiem drzwi. Coś rozbito - zastawę, szkło. Nagle doleciał ich powalający zapach wina. *Niedobrze.* Protegowani żołnierze muszą być zdenerwowani, nawet się nie zatrzymują, aby zagrabić więcej alkoholu. Wyjął rewolwer z kabury i powoli, cicho odwiódł kurek. Był to *double action*, lecz może się okazać, że warto zaoszczędzić ten ułamek sekundy. Jeffrey przełknął ślinę w wyschniętych ustach. Kiedy nie znajdą niczego na górze, mogą po prostu ruszyć dalej, pewnie mieli spory obszar do zajęcia... mogą nie strzelać do kogoś w mundurze neutralnego, trzeciego kraju.

>>Prawdopodobieństwo 8% plus minus 2.<<

*Dzięki.* Mniej więcej pokrywało to się z jego własnym wyliczeniem prawdopodobieństwa, że protegowani zrozumieją, co oznacza „neutralny” i będą się tym przejmować.

Buty z cholewami tupają po kuchennej podłodze, deski trzeszczały, spuszczając

strużki kurzu do piwnicy. Światło w piwnicy powoli nabrało matowego, srebrzystego zabarwienia. Jeffrey zacisnął zęby. Doświadczył już przedtem, co Centrum mogło zrobić z jego wzrokiem, ale nigdy mu się to nie podobało.

>>Ani mnie, ale używasz tego, co jest pod ręką<< powiedział Raj. >>Na prawo od drzwi.<<

Drzwi znajdujących się u szczytu schodów, zrobionych z cienkich, sosnowych desek. Gdyby był to tylko jeden żołnierz z Krainy, Jeffrey strzeliłby przez nie, gdy tylko klamka zaczęła się obracać. Ale było ich przynajmniej czterech.

Trzask zamka, lecz drzwi nie otworzyły się od razu. Zamiast tego dało się słyszeć ciche stuknięcie... odgłos, jaki wydałby trzonek bagnetu dotykający suchych desek. *Dłoń Jeffreya sięgnęła ku klamce, poruszając się z automatyczną precyzją, która wydawała się beznamiętna i powolna. Mężczyzna szarpnął drzwiami i żołnierz Krainy przeleciał przez nie, potykając się na progu. Przed oczami Jeffreya pojawiła się siatka obejmująca wroga. Tuż pod linią szczęki mężczyzny znalazła się zielona kropka. Palec Jeffreya musnął spust.*

*Trzask.*

Głowa żołnierza poleciała w bok, jakby mężczyzna został kopnięty przez konia. Zleciał mu hełm, spadając w półmrok piwnicy. Półmrok, który sprawił, iż błysk z lufy pulsował niczym grot czerwonego ognia. Hełm przytrzymał wypływający mózg i kości, lecz krew obryzgała twarz Jeffreya. Ten jednak już obracał się, obracał, unosząc pistolet. Drugi żołnierz

Krainy - kobieta - mierzył z karabinu. Zielona kropka ustawiła się na jego gardle. *Trzask.*

Kobieta upadła do tyłu, wijąc się przez chwilę, a jej krew spryskała wszystko; Jeffreya, schody, sufit. Żołnierz za nią odskoczył do tyłu z twarzą zastygłą w przerażeniu. Prawie znikł mu z oczu, lecz zielona kropka ustawiła się na jego nodze.

*Trzask.*

Dał się słyszeć wrzask, gdy żołnierz Krainy przewrócił się, znikając mu z oczu. Siatka objęła postać leżącą na deskach przy wejściu, a punkcik namierzający pulsował. Jeffrey nacisnął spust cztery razy.

*Kurna. Był jeszcze jeden...*

Warkot karabinu miał głębszy ton niż jego pistolet. Nabój w niklowym płaszczu był o wiele cięższy i szybszy - przebił się przez cienkie deski i odbił rykoszetem od kamieni piwnicy, brzęcząc niczym olbrzymia, śmiercionośna osa. Jeffrey stoczył się

po schodach, otwierając bębenek rewolweru i wysypując z niego łuski. Wsadził do bębena trzy szybko wymienne ładunki i zatrzasnął go - zwykle nie było to dobre postępowanie, ale jemu się spieszyło - i odskoczył dwa kroki do tyłu, zanim znowu wystrzelił w górę przez deski schodów. Żołnierz odpowiedział ogniem w ten sam sposób - trzy szybkie strzały - a Jeffrey znowu rzucił się do tyłu, gdy pociski odbiły się rykoszetem w ciasnym pomieszczeniu piwnicy, zanim walnęły w stertę drewna i ziemniaków.

Lucretzia macała przy pasie przewróconego żołnierza Krainy. *Cholera, co ona wyrabia? A potem: Niech to diabli, powinienem był wziąć jego karabin!*

Pogramolił się ku trupowi, ignorując to, przez co się czołgał. Zanim do niego dotarł, Lucretzia wpadła na to, jak pociągnąć za zawleczkę jednego z granatów o drewnianym trzonku, jaki martwy żołnierz nosił w pętelkach przy pasie. Rzuciła bez zamachu i to słabo. Granat wylądował, wirując na najwyższym stopniu piwnicznych schodów i zawisł tam na chwilę, zanim przetoczył się przez próg do kuchni.

*... trzy, cztery, pięć...*

Ograniczona przestrzeń pomieszczenia na górze spotęgowała wybuch, oczywiście nie aż tak jak wtedy, gdyby doszło do niego w piwnicy. Jeffrey pognał po schodach zaraz po tym, jak ten dźwięk zamilkł. Mężczyzna odbił się od drzwi i wpadł do kuchni. Żołnierz, kobieta z Krainy, podnosił się chwiejnie na nogi, z krwią spływającą z nosa i uszu. Zielona kropka ustawiła się na grzbiecie nosa, a Jeffrey zacisnął palec.

*Trzask.*

Matowa jasność odpłynęła mu sprzed oczu. - Chryste - wyszeptał, zataczając się. *Właśnie zabiłem czworo istot ludzkich.* Brał przedtem udział w potyczkach, niewielkich, ale to...

>>Tak to już będzie przez resztę twego życia<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

- Jesteś pewna? - spytał Jeffrey.

Lucretzia skinęła głową, spoglądając na ulicę. - Jestem dla ciebie zagrożeniem. A ty dla mnie. Sama mogę się wtopić w miasto. Ty sam możesz się szybko przemieszczać - albo też znaleźć oficera wroga, który uszanuje twoją neutralność.

Kobieta z Imperium pochyliła się i pocałowała go lekko. - Mam kod. Skontaktuję się, Jeffrey. I dziękuję ci.

- Nie ma za co - wymruczał, potrząsając głową. >>Mądra decyzja<< stwierdziło

Centrum. >>Szanse przetrwania optymalne dla obu osób.<<

- W dalszym ciągu mi się to nie podoba - powiedział Jeffrey. >>Jeszcze mniej spodoba ci się to, co nastąpi później, chłopcze<< powiedział mu w myślach Raj. >>Lepiej znajdź oficera i poddaj się.<<

>>W tym scenariuszu szanse przetrwania porównywalne z tymi przy próbie ucieczki<< powiedziało Centrum. >>Parametry misji... <<

- Wiem, wiem, misja ma pierwszeństwo - powiedział. - Zróbmy to.

Niechętnie odłożył karabin, który zabrał zabitemu protegowanemu żołnierzowi. Logicznie rzecz biorąc, powinien się już znajdować wewnątrz terenu zajętego przez jednostkę Wybrańców. Zależnie od tego, jak mocno trzymali się doktryny Krainy i jak bardzo popaprana stała się sytuacja...

Jeffrey zaczął przemykać ulicą, trzymając się blisko budynków i przystając, by nasłuchiwać. Było późne popołudnie, padające ukośnie promienie słońca okrutnie piękne w przymglonym powietrzu. Słyszał ciężkie grzmoty eksplozji dobiegające z południa, z koryta rzeki i dzielnicy fabrycznej. A bliżej rytmiczne stukanie.

Dał nura we wnękę. Rzeźbione odrzwia i ich krawędź dawały trochę osłony. Z obu stron ulicy zbliżał się pluton piechoty z Krainy, w ośmioosobowych oddziałach, truchtem, bez wysiłku, z zakończonymi bagnietami karabinami przyciśniętymi do piersi. I owszem, był z nimi oficer.

- *Gestan!* - zawołał w krajowym. - Czekaście! *Nie shessn!* Nie strzelajcie!

Zabrzmiał gwizdek i wyćwiczony pluton jednocześnie przypadł do ziemi, wysuwając broń. Jeffrey postąpił do przodu, z rękoma w powietrzu, nieprzyjemnie świadom, jak jego jądra próbują się wcisnąć w brzuch.

- *Bacność!* - warknął do dwóch protegowanych strzelców, którzy nadbiegali pochyleni.

Zesztywnieli instynktownie na ten krzyk w krajowym z wyższych sfer.

- Natychmiast zaprowadźcie mnie do swojego oficera - ciągnął dalej Jeffrey, wymijając ich energicznym krokiem i wsuwając pod lewą pachę swoją wojskową laskę. Słyszał milczące wahanie za sobą, a potem stukot podkutych butów na ceglanej drodze, gdy za nim podążyli. Niewątpliwie czubki ich bagnietów znajdowały się o jakiś cal od jego nerek. *Muszą zachować inicjatywę.*

Oficer czekała z poskładaną mapą i zwalistym pistoletem automatycznym w dłoni. Niebieskie oczy zmrużyły się, rozpoznając brązowy mundur Santander, a on wyczuł jej kłębiące się myśli. *Ona jest w trakcie misji i nie potrzebuje komplikacji*, pomyślał



Jeffrey. Ręka trzymająca pistolet zadrgała lekko, nieświadomie. *Jeden strzał w głowę i nie ma żadnych komplikacji.* Gdyby ktokolwiek odnalazł jego ciało, wyglądałoby to na nieszczęśliwy wypadek.

- Kapitan Jeffrey Farr, armia Republiki - powiedział, salutując swobodnie, przytykając laseczkę do skraju spiczastej czapki. - Gratulacje, *fahnrich*, dobra żołnierska robota. Zajęcie miasta tej wielkości z tą szybkością to nie lada osiągnięcie!

Wyciągnął dłoń. Oficer Wybrańców przyjęła ją automatycznie. Z bliskiej odległości dostrzegał pod tymi ściętymi najeża włosami i mocną muskulaturą, że nie ma więcej niż dwadzieścia lat. Dostrzegało się pewną dozę zdumionego wahania na widok tego wygadane go cudzoziemca, który mówił językiem Wybrańców jak własnym. Jeffrey ścisnął energicznie jej dłoń, potrząsając nią.

>>Dobra robota<< stwierdził Raj. >>Osobisty kontakt zawsze czyni trudniejszym zastrzelenie kogoś.<<

- Robi wrażenie. A teraz, skoro już sytuacja jest opanowana, czy mógłbym prosić cię o eskortę do waszego pułkownika?

\* \* \*

- Jeffrey Farr? - spytał pułkownik Wybrańców. Jego kwadratowa twarz z blond zarostem rozjaśniła się w niespodziewanym uśmiechu. - Cóż, niech mnie. Jesteśmy na swój sposób spokrewnieni. Pułkownik Heinrich Hosten, do usług, kapitanie.

Stanowisko dowódcze rozłożono w małym parku - kilku oficerów zgrupowanych wokół stołów przyniesionych z pobliskich domów. Heinrich Hosten był potężnym mężczyzną, o cal albo i dwa wyższym od mierzącego sześć stóp Jeffreya, o szerokich barach i budowie skały. Lornetka polowa zwisała mu na piersiach, a z boku jego byczej szyi przyklejony był kwadrat chirurgicznego gazika, lekko zabrudzony krwią.

Mówił dość głośno. Bateria działek polowych ciągniętych przez muły przejeżdżała kłusem po kamiennych płytach za parkiem. Jeffrey zaszufladkował je automatycznie w myślach, M-298, nowy standardowy model - kaliber 75 mm, rozdzielony ogon, osłona, hydropneumatyczne powrotniki, sprawiające, że lula wraca do początkowej pozycji po każdym strzale. Za nimi posuwały się dwie karetki polowe, także ciągnięte przez muły - zwierzęta wyglądały, jakby zostały zarekwirowane na miejscu - zatrzymały się, aby noszowi zabrali ich ładunek do kościoła, który służył jako punkt pomocy medycznej. A od zatoki maszerowali kolejni żołnierze, mijając flagę i czekających na motocyklach kurierów z kwatery głównej regimentu.

Jeffrey odpowiedział uśmiechem na uśmiech pułkownika Wybrańców. *Cholernie niebezpieczny człowiek*, pomyślał, przypominając sobie opis Johna. Wcale nie jest to prostoduszny mięśniak, na jakiego wygląda. *Bystry. Oddany sprawie*.

>>Założę się, że cieszy się z publiczności<< powiedział Raj. >>Te chłopaki od dawna nie toczyły wojny. Są dobrzy, ale chcą się też pokazać.<<

- Wygląda na to, że przyłapaliście tych hiszpańców z ręką w nocniku - stwierdził Jeffrey, odwracając się i osłaniając oczy dłonią. Dotknął ręką futerału lornetki u boku.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu?

- *Klim-bim* - powiedział Heinrich; przydatne wyrażenie Wybrańców, które mogło oznaczać zarówno *owszem*, jak i *wszystko jest dobrze na świecie*.

Jeffrey wycelował szkła. Nic nie zostało z imperialnej floty; czarne plamy na powierzchni, wystające maszty kilku ciężkich okrętów wojennych. Ogień i buchające kolumny ciemnego dymu znaczyły basen marynarki wojennej. Wszędzie w zatoce okręty wojenne i statki kupieckie płonęły, przechylając się lub tonąc. Czarne flagi ze złotym rozbłyskiem słońca górowały nad obiema wielkimi fortecami przy wejściu do zatoki, choć na Forcie Ricardo, na południu, spoczywał wypalony szkielet sterowca. Flaga Krainy powiewała także nad pałacem gubernatora na zachodzie oraz ratuszem miejskim i stacją kolejową na południu. Ognie szalały w kilkunastu miejscach, wyraźnie widoczne w zmierzchu wieczoru, a nad masą dachów pokrytych dachówkami unosiło się ciągle *staccato* strzałów lekkiej broni.

- Wygląda na to, że poszatkowaliście ich, aż zostały się tylko gniazda oporu - powiedział Jeffrey.

- *Ya*. Z większą łatwością niż się spodziewaliśmy. Szybkość, planowanie i siła uderzenia. Było ich mnóstwo, ale my od początku mieliśmy przewagę. Niewiele ofiar.

- I mieliście te... jak one się nazywają, te poruszające się fortece?

- *Czołgi*. - Heinrich parsknął śmiechem, a kilku innych oficerów uśmiechnęło się kwaśno. - Straszliwe, gdy działają, co zdarza się w mniej niż połowie przypadków. Powinniśmy mieć tutaj jednego.

Jeffrey przesunął lornetkę ku północy. Kończyły się tam miejskie przedmieścia, choć trudniej było to dostrzec, jeśli nie stało się na wzniesieniu.

- Przygotowujecie się na kontratak?

Heinrich zaśmiał się znowu i wskazał kciukiem na przelatujący w górze sterowiec.

- Kocham je - stwierdził. - Zrzuciliśmy grupę bojową w sile batalionu na skrzyżowaniach dróg i linii kolejowych w połowie drogi do Veron. Szmaciarze mają

tam skoncentrowane jakieś sześć dywizji, ale niemożliwe, żeby przez tydzień udało im się ruszyć cholernym palcem - a do tego czasu połączymy się z siłami powietrznymi, plus wyląduje już większa część sił lądowych.

Jeffrey skinął głową, przyklejając uśmiech do twarzy. Wyglądało to na bardzo dobrą analizę. Ale czasami tak *bardzo* chciałeś się mylić.

- Robi wrażenie - stwierdził.

Heinrich roześmiał się serdecznie. - Zostań z nami trochę - powiedział. - A pokażemy ci coś, co robi wrażenie.

## Rozdział szósty

- Przed obliczem Boga Wszechmogącego, Boga Rodzica, Boga Dziecka, Boga Ducha, oświadczam, iż tych dwoje jest jednością. Co Bóg złączył, niech nikt się nie waży rozłączyć.

John Hosten ścisnął rękę Pii, świadom, iż jego dłoń jest lekko wilgotna i spocona. Ich złączone dłonie powiązane były rytualnie w nadgarstkach długim, wyszywanym sznurem. Woń kadzidła unosiła się ku wysoko sklepionej powale katedry. Grupka gości na ślubie była niewielka. Stary hrabia del'Cuomo był w swoim paradnym stroju, kilku innych mężczyzn w imperialnych mundurach polowych, jacyś przyjaciele z ambasady. Byli niczym garść grochu objijająca się w garnku w wonnym półmroku tej ogromnej, kamiennej bryły, zagubieni w świetlnych wzorach rzucanych przez witrażowe okna zajmujące większość ścian.

Uniósł welon i pocałował ją - lekkie muśnięcie i zapach werbeny.

Ksiądz podniósł swój pastorał w geście błogosławieństwa, a potem zamarł, nasłuchując.

Wszyscy nasłuchiwali i podnieśli wzrok. Głuche *łup... łup...* dobiegło z dala. Wszyscy w Ciano znali teraz ten dźwięk. Stu-kilowe bomby ze sterowca-bombowca Wybrańców, sunącego po niebie na wysokości dwóch tysięcy metrów.

- Przy dokach - wyszeptał sam do siebie John - próbuje trafić w gazownię.

>>Prawdopodobieństwo 93% plus minus 2<< powiedziało Centrum.

- John!

Spojrzał na Pię. Usta miała zaciśnięte ze zdecydowaniem. - To jest dzień mojego ślubu. Nie pozwolę, żeby te świnię *tedeschi* się do tego wtrącały.

Ton głosu Pii był lekki, lecz pobrzmiwał w nim spokój katedry. Szept aprobaty rozszedł się wśród gości. John czuł, jak Raj się uśmiechnął w jego myślach.

>>Szczęściarz z ciebie.<<

- *Jestem* szczęściarzem - wymruczał na głos John. >>Żaden człowiek nie jest szczęśliwy, dopóki nie jest martwy<< stwierdziło Centrum.

\* \* \*

Samochód z otwartym dachem sunął z pomrukiem po drodze, żwir chrzęścił pod mocną gumą wyrzucających tumany pyłu kół. Przyjemny cień rzucany przez posadzone wzdłuż drogi platany przemknął po twarzy Johna - każdy z nich pomalowany był wapnem do wysokości piersi człowieka. Przez prześwity pomiędzy nimi mężczyzna dostrzegał pola, w tym dystrykcie głównie pszeniczne. Żniwa właśnie się kończyły. Stogi zebranego zboża kreśliły koronkowy wzór na płaskich polach. Tu i ówdzie, połyskując sierpami, wieśniacy wykańczali róg okolonego topolami pola. Na polach znajdowały się ciągnięte przez muły wózki, z wysokimi stertami żółtego zboża, zwożące zbiory do stodół i na klepiska; robotnicy spędzą deszczową, zimę, wybijając ziarno cepami.

*Cholera, ale zacofanie*, pomyślał John, przytrzymując dłońmi mapę na kolanach, aby wiatr nią nie targał. W rodzinnym Santander wszystkie większe gospodarstwa miały obecnie ciągnięte przez konie żniwiarki, a przenośne, parowe młockarnie istniały już od pokolenia.

>>Dla mnie zupełnie jak w rodzinnych stronach<< powiedział Raj. >>Poza tym, że na Bellevue nie było wiele miejsc tak żyznych jak to. Są tu najtłuściejsi wieśniacy, jakich kiedykolwiek widziałem.<<

Droga wspinała się lekko przez pola porośnięte lucerną, a potem pomiędzy pagórkowatymi winnicami dokoła pomalowanej na biało wioski. John przetarł swoje gogle kierowcy końcówką jedwabnego szalika i popatrzył, przymrużywszy oczy. Przewodniki mówiły, że ta wioska miała „godną uwagi, kwadratową dzwonnice” i maleńkie *palazzo*.

- Castello Formaso! - zawołał John do kierowcy przed sobą. - To pewnie tu.

Rzeczywiście. Większość imperialnej brygady kawalerii obozowała w miasteczku lub wokół niego. Kawalerzyści nosili dopasowane, szkarłatne spodnie i kurtki w kolorze butelkowej zieleni, oraz mosiężne hełmy o wysokim czubie z piórami. Uzbrojeni byli w szable, rewolwery i krótkie, jednostrzałowe karabiny.

Wypolerowane, mosiężne hełmy można było dostrzec z daleka. Wszędzie na równinie na zachód od miasteczka przemieszczały się patrole, jeżdżąc po traktach, przez pola i pastwiska, znikając w cieniu sadów i wynurzając się znowu po drugiej stronie. Znajdujący się bliżej żołnierze poili konie albo pracowali nad uprzężą lub też wykonywali tysiąc i jeden innych zadań, jakich potrzebowała konna jednostka.

Na drodze pełno było ludzi na koniach, rozstępujących się niechętnie przed uporczywym *pii-pip!* samochodowego klaksonu. Zwierzęta płoszyły się albo wierzgały przy tym nieznanym dźwięku; jeden kopniak trafił w karoserię z przyprawiającym o zgrzytniecie zębów chrupnięciem kosztownego, polakierowanego jesionu.

A potem samochód skręcił pod wpływem brutalnego szarpnięcia kierownicy, John na tylnym siedzeniu podniósł wzrok znad mapy, gdy rzuciło nim o boczną ściankę. Jego kapelusz o szerokim rondzie poleciał w pył drogi. W górze przelatywał sterowiec, wylaniając się z pasma chmur na wysokości mniej więcej sześciu tysięcy stóp. Sześciusetstopowiec, klasa *Orzeł*, model rekonesansowy. Niektórzy imperialni kawalerzyści strzelali ku statkowi powietrznemu ze swoich karabinów, a na placu w wiosce zaimprovizowano stanowisko przeciwlotnicze dla kartacznicy - żelazną ramę w kształcie litery U na zespole przekładni i krzywek. Karabiny były jedynie utrapieniem, lecz wypuszczanie prosto w górę sześciuset naboju na minutę było *groźne*.

- Hej, ty! - krzyknął John, klepiąc kierowcę po ramieniu. Samochód się zatrzymał, gdy mężczyzna nacisnął mocno na hamulec, posłusznie niczym pies merdający ogonem. John wyskoczył przez tylne drzwiczki i ruszył ku kartacznicy.

- Hej, ty! - kontynuował John, stukając laseczką w ramę broni dla podkreślenia swoich słów. Dowodzący imperialny podoficer podniósł wzrok. - On jest poza zasięgiem, a puste łuski będą spadać na miasteczko. *Nie* otwierać ognia.

Żołnierz stanął na baczność na głos dżentelmena. John skinął energicznie głową i odwrócił się kii miejscu, gdzie grupa dowodzenia brygady kawalerii siedziała pod porośniętą winoroślą pergolą na dziedzińcu wioskowej tawerny.

*Nie stracili zimnej krwi*, pomyślał John. Korpulentny brygadier miał rozpiętą kurtkę munduru, płaszcz przerzucił przez oparcie krzesła, a przed nim znajdował się ogromny talerz makaronu i cielęciny w panierce. Jedzeniu towarzyszyło kilka owiniętych słomą butelek lokalnego wina. Podniósł wzrok, gdy John rzucił rozkazy załodze kartacznicy, a twarz spurpurowiała mu z wściekłości, gdy ten obcy podszedł

do stołu.

- A kim ty, u diabła, jesteś? *Teniente*, wyprowadź stąd tego cywila!

John skłonił się, pochylając lekko głowę, powstrzymując odruch stuknięcia obcasami. Pokazywanie nawyków Wybrańca *nie* było obecnie sposobem na zdobycie tutaj popularności.

- Jestem John Hosten, akredytowany *charge d'affairs* ambasady Republiki Santander - rzucił rzeczowym tonem. Wyciągnął plik papierów. - Oto moje listy uwierzytelniające.

- Gównu mnie obchodzą... - imperialny oficer przerwał, blednąc lekko pod nieogolonym zarostem. - Tym *signore* Johnem Hostenem, który poślubił Pię del'Cuomo?

*Która jest ulubioną córką ministra wojny, owszem*, pomyślał John. - Tym samym - ciągnął już na głos. - Jestem tu, aby obserwować przebieg wojny.

- Doskonale! - rzekł brygadier nieco zbyt entuzjastycznie, ocierając usta kraciatą, płócienną serwetką. - Zapędziliśmy te pochrzające niczym świnie bestie do morza już raz, wieki temu, i możesz się przyglądać, jak zrobimy to znowu!

Przytakujący pomruk dobiegł od innych oficerów zgromadzonych dokoła stołu, razem z falą wznoszonych kieliszków wina i fitek papierosowych. Wyglansowane buty zastukały o kamienne płyty dla podkreślenia tych słów. John pochylił głowę.

>>Biorąc pod uwagę, iż znajdujemy się czterysta kilometrów na zachód od Corony, a on nie wie, kurna, nic o tym, gdzie znajdują się główne siły wroga, to powiedziałbym, iż było to stwierdzenie nieco zbyt optymistyczne.<<

- Brygadier hrabia Damiano del'Ostro - rzekł korpulentny kawalerzysta, wyciągając rękę. - Do usług, *signore*.

John potrząsnął pulchną, pięknie wymanikiowaną dłonią wyciągniętą ku niemu wraz z podmuchem wody kolońskiej i czosnku, i podniósł wzrok. Sterowiec Krainy szybował krętą ścieżką, która doprowadzi go całe mile stąd na wschód, drogą do stolicy, a potem ku rzece Pada koło Veron. Wedle tego, co mówiły gazety, silny imperialny garnizon bronił się w tym rzeczonym porcie, uniemożliwiając siłom Krainy wykorzystanie go do zaopatrywania ich wysuniętych jednostek.

Można było w to wierzyć, jeśli się chciało. John wiedział jednak, że przynajmniej dziesięć dywizji imperialnej piechoty i dwie kawalerii koncentrowały się - powoli - przy kolejowej stacji węzłowej jakieś pięćdziesiąt mil na wschód; przejechał koło nich tego ranka. Sterowiec posuwał się z szybkością około siedemdziesięciu pięciu mil na

godzinę. Znajdzie się na miejscu za czterdzieści pięć minut i zamelduje z powrotem za dwie. John spojrział z powrotem na dowódcę kawalerii, który miał rozpoznawać lokalizację wojsk Krainy i osłaniać siły imperialne przed obserwacją.

- Zlokalizowałeś siły wroga, brygadierze del'Ostro? - spytał.

Brygadier zakręcił jednym ze swych nawoskowanych wąsików. - Już niedługo, niedługo. Nasz kawaleryjski zwiad wkrótce się na nie natknie. Te tchórze pod żadnym pozorem nie chcą stoczyć walki z naszą kawalerią. No cóż, *ich* kawaleria jeździ na *mułach*, uwierzysz?

- Ściśle mówiąc, to Kraina nie ma żadnej kawalerii - zwrócił delikatnie uwagę John. - Mają jakieś jednostki piechoty jeżdżące na mułach, owszem. Jeden muł na dwóch ludzi, jadą na zmianę. Maszerują bardzo szybko.

Del'Ostro roześmiał się serdecznie i walnął ręką o szablę. - Bez kawalerii będą bezradnymi ślepcami. Już muszą być zdesperowani, czy wiesz, że pozwolili *kobietom* służyć w wojsku?

John uśmiechnął się uprzejmie przy wtórze chóralnego śmiechu. *Mam nadzieję, że nigdy nie spotkasz mojej przybranej siostry*, pomyślał. *A właściwie to, biorąc pod uwagę, iż jesteś za to częściowo odpowiedzialny, mam nadzieję, że jednak spotkasz Gertę.*

- Chodź, pokażę ci, jak moi ludzie prowadzą zwiad! - rzucił del'Ostro.

Oficer cisnął serwetkę na stół i ruszył, zapinając tunikę i wykrzykując rozkazy. Wraz ze swoim sztabem podążył ku czterem wykonanym w Santander samochodom wycieczkowym, stanowiącym widocznie jedyny zmechanizowany element tej jednostki. Wartownicy stanęli na baczność, zagrział werbel, zagrała trąbka i brygadier hrabia del'Ostro zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Mężczyzna stanął i złapał za maszt flagowy zamontowany w klamrze z boku samochodu.

- Aż nie chce mi się myśleć, co te ostrogi robią z tapicerką - wymruczał do siebie John w angielskim Santander, którym jego kierowca nie mówił. - Jedź za nimi - dodał po imperialnemu. - Ale nie za blisko.

- *Si, signore* - powiedział kierowca.

John otworzył wiklinowe pudło przymocowane za przednim siedzeniem i wyjął swoją lornetkę polową - wielką, masywną rzecz wykonaną w Sierrze, najlepszą na rynku.

- Zatrzymaj się - powiedział po chwili.

Parsknęła para, a silnik zamarł z sykiem. Samochód zjechał na pobocze drogi i



zahamował w cieniu platanu. John ponownie zsunął gogle i oparł się łokciami o wyściełane skórą siedzenie szofera.

Brygadier del'Ostro w swoim entuzjazmie zapomniał o zagranicznym widzu. Jego grupa pomknęła długim, prostym odcinkiem drogi, wzbijając tuman kurzu przy wtórze, lojalnych okrzyków. Korzystające z drogi jednostki konne rozproszyły się po rowach, a niejeden jeździec wyleciał z siodła. Lekkie połowe działko przewróciło się na bok, pociągając za sobą połowę zaprzęgu, i pozostało za samochodami, leżąc z obracającym się w górze kołem. John ich zignorował, omiatając wzrokiem pofalowaną szachownicę pól zboża i pastwisk na zachodzie. Z tej strony nie było żadnych wieśniaków. Sądził, iż byli oni zbyt rozsądni, aby tam pozostawać, gdy przybyli imperialni kawalerzyści-zwiadowcy.

Na linii horyzontu *widać było* punkciki dymu; może płonące stogi zboża albo budynki. Nie sądził, aby siły Krainy paliły po drodze, byłoby to marnotrawstwo i zbyt rzucaloby się w oczy, lecz pożary towarzyszyły walce tak samo jak sępy.

*Ach.* Głuchy, dudniący odgłos, jakby w oddali zatrzaśnięto jakieś bardzo duże drzwi. Powtarzał się raz po raz, z miarowymi przerwami. Artyleria.

Zza wzniesienia, w odległości mili, wyłonił się jasny sznur imperialnej kawalerii. Niektórzy żołnierze się odwracali, strzelając za siebie z karabinów. Małe, białe obłoczki dymu unosiły się znad ich stanowisk. A potem zabrzmiał przeciągły, grzechotliwy trzask. Nad wzniesieniem ukazał się kołyszący się kształt, a za nim jeszcze dwa. John skierował tam swoją lornetkę. Był to duży samochód turystyczny, z pancernem ze stalowych płyt przymocowanych na podwoziu oraz wieżyczką w kształcie pudła na kapelusze na szczycie. Z przodu wieżyczki wystawały dwie grube lufy - chłodzone wodą karabiny maszynowe. Lufy wystrzeliły ponownie; przeciągły, rozdierający odgłos, słaby ze względu na odległość. Ludzie i konie padali w poplątanej, wierzgającej masie. Kwiki rannych zwierząt niosły się wyraźnie. Lornetka z Sierry była doskonała. John widział, jak karabinowe naboje odbijają się rykoszetem od pomalowanego na szaro metalu, tryskając iskrami, pozostawiając smugi miękkiego ołowiu i jasne łaty tam, gdzie odsłonił się nagi metal.

- Kierowco, zawracaj - rzekł spokojnie John. *Bo to miejsce już nie jest blisko frontu. Sądzę, że właśnie stało się najbardziej wysuniętym punktem, który miał zostać zajęty.*

Nic się nie stało. Opuścił wzrok. Kierowca gapił się na zachód, zaciskając zbielełe kostki na kierownicy. - Kierowco!

Poklepał go po ramieniu i szofer ruszył głową, otrząsając się z przerażenia niczym człowiek wynurzający się z głębokiej wody.

- Zabierz nas stąd, człowieku. *Zaraz.*

- *Si, signore!*

Mężczyzna szarpnął za kierownicę i dźwignię biegu wstecznego i zawrócił długi samochód wycieczkowy, nie włączając go do żadnego z przydrożnych rowów po obu stronach, choć jedno koło przez mrozącą krew w żyłach chwilę zwisło nad krawędzią. John odwrócił się, klękając i spoglądając do tyłu na drogę.

Coraz więcej imperialnej kawalerii napływało z powrotem ku wiosce Castello Formaso, a ci, którzy się tam znajdowali, wymykali się z miasteczka, zmierzając na wschód, lub też zsiadali z koni i zajmowali pozycje dokoła miasteczka. Grupa towarzysząca brygadierowi del'Ostro także próbowała zawrócić, lecz dwa z samochodów zderzyły się, blokując drogę. Na oczach Johna ogień karabinu maszynowego przeorał tę płataninę, przebijając się przez drewno i cienkie metalowe blachy pojazdów równie łatwo, jak przez ciała w jaskrawych mundurach, które staczały się i zwały wokół nich. Brygadier del'Ostro wciąż stał na siedzeniu, wymachując szablą, gdy jego samochód eksplodował w deszczu odłamków i płonącej benzyny. Wrak opadł, kołysząc się na nagich obręczach kół, a ludzie wypadali z tej masy, płonąc.

A spoza wzgórza, zza którego wyjechały pojazdy opancerzone, wyłoniła się kolumna. John skupił na niej wzrok. Żołnierze Krainy. Połowa z nich jechała na mułach, druga połowa truchtała obok, a każdy żołnierz trzymał się skóry strzemion. Patrzył, jak się zatrzymali. Połowa z nich będąca wierzchem zsiadła, pomocnicy wzięli muły za uzdy, a cała kolumna rozstawiła się, nacierając w rozwiniętym szeregu. Za nimi drużyny wyładowywały z juczych mułów karabiny maszynowe na trójnogach i pudła z taśmami amunicji.

Wyobrażał sobie odgłosy *brzęk-brzdęk-trzask*, gdy ciężka broń w grubych, wypełnionych wodą osłonach wpadała w zatraskujące się kłamry; operatorzy podnosili suwadła, wsadzali końcówkę taśmy, zatraskiwali suwadło z powrotem, szarpnięciem odciągając napinacz i opierając ręce na uchwytych szpadlowych, z kciukami na motylkowym języku spustu, podczas gdy oficer patrzył przez dalmierz...

- Szybciej! - rzucił do kierowcy, zlizując sól z górnej wargi.

Jego dłoń powędrowała, aby dotknąć rewolweru pod lewą pachą; z tyłu siedzenia kierowcy znajdowała się półautomatyczna strzelba w pochwie. Nie było to dużo, ale

mogło się przydać, jeśli dojdzie do najgorszego.

- Uch-och - wymamrotał bezwiednie, spoglądając przed siebie. Castello Formaso stanowiło ciasno upakowaną masę jeźdźców, koni, powozów, wózków, działek polowych oraz karetek.

*Szuump.* Uniósł głowę i spojrzał ku wschodowi, za wioskę. *Lup!* Wybuch na drodze. Nic dramatycznego, nic nawet w przybliżeniu tak dużego jak pocisk z działka polowego, lecz z pewnością coś wybuchającego. John przesuwiał lornetkę z lewa na prawo. Jeszcze więcej pojazdów opancerzonych.

*Na nich nie da się zamontować armaty!* - pomyślał.

>>Przyjrzyj się im jeszcze raz, proszę.<< Myśl Centrum.

Maszyny bojowe były punkcikami wielkości owadów, nawet przez mocne szkła. Przed oczami Johna pojawił się kwadrat, a w nim wyskoczył obraz samochodu, powiększany aż wydawało się, iż pojazd znajduje się w odległości kilku jardów. Obraz był ziarnisty, rozmazany, lecz stawał się wyraźniejszy, jakby kilka razy na sekundę przepływały przez niego wyostrające fale.

>>Maksymalne powiększenie<< powiedziało Centrum. Okrągłe, przypominające pudło na kapelusze wieżyczki miały tylko jeden karabin maszynowy. Obok znajdowała się lufa uniesiona pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

>>Moździerz<< powiedziało Centrum. >> Prawdopodobna budowa...<<

Zamiast obrazu pojazdu opancerzonego pojawił się schemat. Prosta, nie gwintowana lufa, otwierająca się przy zamku jak strzelba, z zamykającym go mosiężnym czopem, wystrzeliwująca żebrowaną bombę z pierścieniami napędowymi przyczepionymi do podstawy.

*Szuump.* *Lup!* Obrzucali główną drogę pociskami moździerzowymi, zatrzymując wpływ ludzi i wozów z miasteczka. Żołnierze wierzchem wylewali się przez winnice po obu stronach, wielką bezładną masą, lecz paliki z winoroślą stanowiły sporą przeszkodę nawet dla koni. Kilku oficerów starało się, by przytoczono działko polowe, aby odpowiedzieć ogniem pojazdom bojowym.

>>Pewne jak śmierć, że są siły oskrzydlające, gotowe przypuścić atak po tych pojazdach opancerzonych<< pomyślał Raj.

*To wszystko wydarzyło się tak szybko,* pomyślał John.

>>Zawsze tak jest, gdy ktoś daje psu dupy<< pomyślał posepnie Raj.>> Dobrze znałem takich oficerów jak del'Ostro. Głównie dlatego, że wygryzłem wielu z nich ze służby. A ten, kto dowodzi po stronie wroga, jest zawodowcem. To nie są źli żołnierze,

ale teraz są karmą dla psów. Wynoś się stamtąd, póki możesz, synu.<<

Dobra rada, ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. John wziął dwa głębokie wdechy, a potem stanął na podłodze samochodu i złapał się za jedną z obręczy podtrzymujących płócienny dach, gdy ten był podniesiony.

- Kierowco - powiedział. - Pojedź tym traktem. - Była to droga wąska i zryta koleinami, ale prowadziła na wschód - i to pod kątem, na południowy wschód, z dala od miejsca, gdzie pojawiły się wozy bojowe Krainy.

- *Signore...*

- Zrób to.

*Nie* byłoby dobrze dać się złapać, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co było umocowane w tylnym bagażniku samochodu. Jakoś wątpił, aby jego dyplomatyczny immunitet obejmował zaniechanie przeszukania, a wojskowy wywiad Krainy byłby *wielce zainteresowany* poznaniem tego, co zaplanował.

- Jeffrey, mam nadzieję, że tobie idzie lepiej niż mnie - wymruczał.

## Rozdział siódmy

- Przyglądaj się. - powiedział Heinrich. - Ta pierwsza część będzie zabawna.

Jeffrey Farr pociągnął łyk ze swojej manierki - cztery piąte wody i jedna piąta wina, proporcja wystarczająca do wybicia większości bakterii. Operatorka karabinu maszynowego przed nimi dokonała ostatniego nastawienia broni, wałąc w nią podbiciem dłoni, a potem pogładziła jasną, mosiężną taśmę amunicji schodzącą do blaszanego pudełka z prawej strony karabinu.

Sztab dowodzenia Piętnastej Lekkiej Piechoty (protegowani) został usytuowany niedaleko linii ognia, na małym pagórku pokrytym wysoką trawą i wiecznie zielonymi dębami. Kompanie piechoty z regimentu rozciągały się po obu stronach, przyjmując pozycje leżące w oczekiwaniu na rozkazy. Wielu wyciągnęło zza pasa składane narzędzia do okopywania się i piętrzyło przed sobą ziemię, dla osłony i do oparcia broni.

Jeffrey obejrzał się za siebie. Z tyłu rozkładano punkt pomocy medycznej, kompania ciężkiej broni ustawiała na miejscu swoje 82 mm moździerze, kompania rezerwowa czekała rozrzucona w pozycji leżącej, ściągano amunicję z juczych mułów i znoszono do przodu...

- Bardzo profesjonalnie - powiedział.

Heinrich skinął głową, rozpromieniony, zadowolony jak dziecko z wymyślnej zabawki. - *Ya*. Choć nie natknęliśmy się jak do tej pory na zbyt wielkie wyzwania. Jednak naprawdę chciałbym już mieć te przyznane nam pojazdy opancerzone.

Jeffrey pociągnął kolejny łyk z manierki. Był spragniony, stopy mu płonęły, boląc jeszcze bardziej niż mięśnie łydek i ud. Było gorąco i sucho, a czoło sił Krainy posuwało się *szybko*. Oczekiwano, iż wszyscy będą w stanie zrobić trzydzieści mil

dziennie, każdego dnia, z pełnym ładunkiem, a po oficerach Wybrańców spodziewano się, iż wypadną *lepiej* niż ich protegowani żołnierze z poboru. Jeffrey, spędziwszy z nimi cztery tygodnie, zaczynał wierzyć w niektóre rzeczy, jakie opowiadali o sobie Wybrańcy. Oficerowie na szczęblu kompanii i wyżej mieli prawo do wierzchowego zwierzęcia - mułów w tej jednostce - lecz rzadko widział, aby ktoś korzystał z siodła, chyba po to, żeby poruszać się szybciej w trakcie walki. Regiment lekkiej piechoty Heinricha posuwał się jeszcze szybciej niż reszta. Traktowali oni suchy, pylisty upał kontynentalnego lata jako wakacje od dusznej niczym łaźnia Krainy.

Przez lornetkę polową zbliżające się siły imperialne też wyglądały profesjonalnie, na swój sposób. Nacierając kłusem, kawaleria utrzymywała zgrabny szereg mimo strat, jakich doznała w kilku ostatnich starciach, w blokach szerokich na stu i głębokich na trzech ludzi, z chorągwią w środku każdego. Lekkie działka polowe i kartacznice posuwały się do przodu, podskakując i klekocząc pomiędzy każdym regimentem jadącym wierzchem. Cały imperialny szereg zajmował ze dwa kilometry, a za nim znajdowała się piechota, posuwając się żwawo w luźnej masie.

- Ilu, jak sądzisz? - spytał Jeffrey.

- Och, cztery tysiące wierzchem - powiedział Heinrich. - Piechoty...

Odwrócił się do oficer, pochylającej się, żeby popatrywać przez optyczny instrument ustawiony na trójnogu.

- Sądząc po chorągwiach, ze dwie brygady, panie - powiedziała kobieta. - Powiedzmy siedem do dziewięciu tysięcy, zależnie od tego, czy stanowili oni część tej grupy, która próbowała sforsować linię frontu przy Volturmo.

Jeffrey rozejrzał się na prawo i lewo. Trzy bataliony, minus straty. Powiedzmy tysiąc pięćset karabinów, ze wsparciem jednego karabinu maszynowego na kompanię i tuzinem moździerzy.

- Raczej nierówne szanse, nieprawdaż? - spytał.

- Och, wystarczająco - odparł Heinrich. Mężczyzna zaczął wsadzać tytoń do długiej, wygiętej fajki o rozszerzającym się cybuchu, z cynową przykrywką na zawiasach. - To znaczy - zapalił zapalną o podkucie buta i przypalił fajkę, mówiąc poprzez ustnik. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby nadeszła reszta brygady, a przynajmniej ta *ferdammt* artyleria, jaką mieliśmy mieć, ale to wystarczy.

Pułkownik Wybrańców odwrócił lekko głowę. - *Fahnrich* Klinghoffer! Moździerze mają się skoncentrować na załogach nieprzyjaciela obsługujących broń, rozpoczynając od dwóch tysięcy metrów. Broń automatyczna od tysiąca pięciuset,

piechota od ośmiuset. Kompanie skrzydłowe mają być gotowe do odwrotu. Posłaniec do generała Summelwordena: toczymy walkę na czele, wróg usiłuje się przedrzeć. Następujące dyspozycje...

Gońcy odbiegli piechotą. Jeden uruchomił parszający motor i ruszył w fontannie pyłu i żwiru. To była wiadomość do kwatery głównej na tyłach - tylko trzy z tych małych maszyn były przypisane do regimentu i oszczędzano je do najważniejszych wiadomości.

- Czy radio nie byłoby użyteczne? - spytał Jeffrey.

Heinrich zamachał fajką. - Raczej nie. Zbyt ciężkie i zawodne, żeby były warte zachodu. Telegrafy są wystarczająco fatalne. Elektryczne druty z kwatery głównej sztabu wystające z dupy, to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje kompetentny dowódca w polu. Niech oni wykonują swoją robotę, a my zrobimy swoją.

>>Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ten gość pracował dla mnie<< powiedział Raj.

>>Szkolenie Wybrańców gwarantuje jednolitość metod<< zauważyło Centrum.  
>>To zmniejsza potrzebę komunikowania się.<<

- Dwa tysiące dwieście - powiedziała oficer przy dalmierzu. - Nabierają szybkości.

- A mimo to, dwanaście tysięcy do dwóch... - rzekł Jeffrey.

Heinrich wyszczerzył się w rozbierającym uśmiechu. - Trzymamy ich w garści. Jedyne, co musimy zrobić, to opóźnić ich na tyle, żeby przybyła reszta sił. Imperialni stracili już przynajmniej dwieście tysięcy ludzi. Warte ryzyka.

Jeffrey skinął głową. W dole strzelcy skończyli się okopywać i przytulali kolby karabinów do ramienia. Kilku pesymistów układało sobie pod ręką granaty. Operatorzy karabinów maszynowych siedzieli za swoją bronią, z łokciami opartymi o kolana, pochylając się, aby zerknąć przez celownik. Wszyscy byli Wybrańcami, jak zauważył - jeden podoficer Wybrańców jako strzelec, pięciu protegowanych szeregowców do noszenia, zaopatrywania w amunicję i wodę.

Imperialni kanonierzy zatrzymali swoje zaprzęgi, okręcając działka i odprzodkowując je. Szczęk zamków zginął w narastającym, dudniącym grzmocie tysiąca kopyt. Zakręciły się śruby wznoszące. Imperialne działka były prostymi modelami na czarny proch, bez opornika. Po każdym strzale trzeba je będzie wpychać z powrotem w baterię, ale było ich dużo.

Z tyłu za Jeffreyem ręce żołnierzy zastygły z bombami wzniesionymi nad lufami moździerzy. Oficer Wybrańców przy dalmierzu uniosła rękę, a potem przesunęła nią

w dół.

*Szuunk. Szuunk. Szuunk.* Powtórzone dwunastokrotnie.

Zaczęły padać pociski z moździerzy. Każdy wzbijał niewielką fontannę ziemi, niczym olbrzymia kropla deszczu uderzająca w pył. Pierwsze pociski spadły, przecinając oś imperialnego natarcia, niektóre z przodu, niektóre z tyłu. Cztery albo pięć przeorało się przez masę galopujących jeźdźców, powalając na ziemię zwierzęta i ludzi. Szeregi rozsunęły się wokół ofiar, a potem zwarły znowu, marszcząc się niczym długa fala.

Obserwatorzy wykrzyczeli poprawki. *Szuunki Szuunk...* Ta seria wylądowała znacznie bliżej imperialnych działek polowych. Jedna wylądowała na przodku działa, które wyleciało w powietrze olbrzymią kulą pomarańczowego ognia. Pociski przelatywały po niebie niczym sztuczne ognie. Hałas był głośny nawet z tej odległości. Kolejny wybuch nastąpił w chwilę później.

- Oj, oj - powiedział Heinrich. - Wtórny wybuch, za blisko siebie. Niedbalstwo.

W krajowym stwierdzenie, że ktoś jest niedbały, stanowiło poważną krytykę, było to gorsze niż kradzież, choć nie całkiem tak złe jak jedzenie swoich własnych dzieci. Wybrańcy zakładali u ludzi odwagę; tak naprawdę to darzyli szacunkiem bezgraniczną zdolność znoszenia cierpienia.

Imperialne działo wypaliło w ogromnym obłoku białawego dymu. Coś przeleciało w górze z rozdzierającym, coraz bardziej przeraźliwie piszczącym świstem i eksplodowało, wyrzucając w powietrze tuman ziemi w kształcie topoli. Kolejny pocisk grzmotnął, nie doleciawszy, tuż przed szeregiem piechoty z Krainy. Jeden górą, jeden nie doszedł, co znaczyło...

Heinrich wykonał drobny gest ręką. Wszyscy, którym zadanie na to pozwalało, przypadli do ziemi, łącznie z Jeffreyem Farrem, który właśnie żałował, że nie ma jednego z hełmów z Krainy. Nawet cienka warstwa tłoczonyj manganowo-niklowej stali była krzepiąca, gdy dzieliła cię od wybuchu.

*Trzask.* Kolejny pocisk wybuchł *w powietrzu*, nieco zdała od środka i trochę za wysoko. Imperialne lonty też nie były nowoczesne, więc był to dobry strzał, biorąc pod uwagę, czym dysponowali. Ktoś wrzasnął w pobliżu i zawołano noszowych. Teraz działa strzelały wzdłuż całego imperialnego szeregu, lecz odgłos kopyt był głośniejszy.

O wiele głośniejszy. Kawaleria przeszła do galopu i wydobyła tysiąc szabel, które połyskiwały w gorącym świetle słonecznym niczym odłamki lustra. Żołnierze opuścili szable, trzymając je z boku końskich szyi skierowane ku przodowi, równoległe do



ziemi. Leżąc na brzuchu, Jeffrey czuł, jak tysiące ton końskich cielsk wali podkutymi metalem kopytami o ziemię niczym grom.

- Teraz spokój, spokój - wymruczał do siebie Heinrich, zerkając na prawo i lewo na swój regiment.

Jeffrey przypatrywał się zbliżającym się Imperialnym z mieszanymi uczuciami. Jeśli zdobędą tę pozycję, to zapewne zginie... ale niczego bardziej nie pragnął jak widoku Wybrańców wdeptanych w ziemię kopytami, pociętych na kawałki przez te szable, zastrzelonych, unicestwionych. Jednak, jeśli to możliwe, nie chciał dzielić z nimi tego przeżycia.

Jego umysł zaś dokonywał kalkulacji, mierząc odległość przy pomocy starej sztuczki opartej na tym, co dało się zobaczyć - tyle a tyle jardów, gdy człowiek był zaledwie punkcikiem, tyle, kiedy można było odróżnić ramiona, nogi, pasy z wyposażeniem. Żołnierze z Krainy robili to samo. Za nim moździerze utrzymywały ciągle *szuunk... szuunk...* przerywając czasem, żeby ustawić cel.

Karabin maszynowy wystrzelił ze szczekliwym jazgotem, szybciej i bardziej rytmicznie niż kartacznice, do których przywykł. Co czwarty pocisk był smugaczem szybującym bladym łukiem w jasnym świetle słonecznym. Z szeregu regimentu wystrzeliło więcej automatów. Znajdująca się najbliżej kanonier obróciła gładko karabin, wypuszczając strzały co cztery sekundy, uśmiechając się szeroko do siebie.

*Niech się zatną,* modlił się Jeffrey. *Zatnijcie się, niech was diabli, zatnijcie się raz a dobrze!*

Ale się nie zacięły. Zamiast tego natarcie kawalerii poszło w rozsypkę, gdy setki koni i ludzi padło w kilka sekund. W galopie nie było czasu na zatrzymanie się, żadnej szansy na skrócenie w bok. Pierwszy szereg skosiło, jakby olbrzymia kosa podcięła im nogi, a kolejni zwalili się na nich w wierzgającej, turlającej się, toczącej fali ważących tysiące funtów ciał, która w niektórych miejscach sięgała trzech warstw. Jeffrey widział, jak ludzi odrzucało na dwadzieścia stóp albo i więcej, gdy ich wierzchowce wpadały na to długie wzniesienie z żywych ciał, patrzył, jak miażdżyły ich tony miotających się koni. Tego dźwięku nie dało się opisać - piskliwy, kobiecy kwik koni i desperackie zawodzenie ludzi.

*Taktaktaktaktaktak...*

Pocisk wylądował koło jednego z karabinów maszynowych, pewnie przez czysty przypadek, pozostawiając plątaninę ciał i poskręcane metalu. Pozostałe gniazda wciąż strzelały, skupiając się na głównej masie zablokowanych jeźdźców. Pojedynczy

jeźdźcy ruszyli do przodu a także ludzie, którzy zsiadli z koni - te były większymi celami niż ludzie. Niektórzy z nich strzelali z karabinów, nacierając. Byli poza zasięgiem, ale nie poza zasięgiem karabinów z magazynkami z Krainy, z nabojami o dużej prędkości, w płaszczu i z bezdymnym prochem. Strzelcy Krainy otworzyli ogień, a powolniejszy *trzask... trzask...* ich broni kontrastował z gwałtownym jazgotem karabinów maszynowych.

Imperialni padali. Piechota Krainy oddawała dziesięć albo dwanaście strzałów na minutę, a wszystkie były celne. Jeszcze więcej ubranych w zielone mundury żołnierzy posuwało się tłumnie do przodu, niektórzy się czołgali, inni przebiegali krótkie odcinki. Wśród nich znajdowali się teraz piechurzy w spiczastych czapkach oraz kawalerzyści piechotą. Jeden z wielkich, pokrytych miękkim ołowiem nabołów przeleciał z wizgiem koło Jeffreya, nieprzyjemnie blisko. Mężczyzna mocniej przycisnął się do ziemi. Niedaleko żołnierz z Krainy poleciał do tyłu, kopiąc nogami i wydmuchując spienioną krew przez rozwaloną szczękę. Inni podczołgiwali się, by powlec rannych do tyłu, gdzie mogli się za nich wziąć noszowi, a potem czołgali się z powrotem na swoje pozycje strzelnicze.

- Gorąco - stwierdził Heinrich, podpierając się łokciami. - Ach, tego się spodziewałem.

Coraz więcej Imperialnych przedostawało się do przodu i kryło za stertami martwych koni i ludzi. Para wydobyła się z sykiem z kapturka ochronnego u góry osłony karabinu maszynowego usytuowanego z przodu pagórka. Protegowany żołnierz podniósł się, żeby przynieść wody i przewrócił się do tyłu niczym człowiek walnięty pięścią. Po kilkakrotnym wierzgnięciu nogami, legł nieruchomo z rozwartymi oczami. Kolejny wstał, aby zająć jego miejsce. Kanonier Wybrańców owinęła dłoń szmatą i odkręciła kapturek. Wrząca woda wyleciała górą i skropiła spragnioną glebę. Zniknęła natychmiast, pozostawiając tylko plamę wyglądającą dokładnie jak ta pozostawiona przez krew żołnierza. Żołnierze wylali wodę z manierek w spragnioną paszczę broni, a kanonier skorzystał z okazji do wymiany luf.

- Panie! *Hauptman* Fedrof melduje, że duże siły wroga zachodzą nas od lewej - kilka tysięcy. Piechota ze wsparciem dział.

Jeffrey zobaczył, jak Heinrich marszczy czoło, a potem bezwiednie spogląda do tyłu, skąd miało nadejść wsparcie... jeśli nadejdzie.

- Przesuń jedną kompanię rezerwy na lewo. Cofnij flankę, wycofajcie się nieco, do tego rowu nawadniającego i traktu. Powiedz moździerzowym, żeby strzelali na rozkaz,

dając wsparcie. I przyślij meldunek dotyczący rezerw amunicji.

- Robi się gorąco - stwierdził Jeffrey.

\* \* \*

- *Uważaj!* - krzyknął mimowolnie John, gdy samochód o mało co nie wjechał kołami w rów z lewej strony.

Po obu stronach drogi roilo się od uciekinierów tratujących pola kukurydzy i ogrody. Co jakiś czas napływali falą na drogę, blokując zmierzających na zachód żołnierzy w nierozplątywalnej gmatwaninie ręcznych wózków, dwu- lub czterokółek ciągniętych przez woły, wojskowych wozów zaopatrzeniowych zaprzężonych w muły, dział, przodków...

- Skręć tam - powiedział, gdy pojazd wymijał powoli zatrzymane szestanstofuntowe działo polowe.

Działo miało zaprzęg z sześciu koni, a na prawym koniu każdej z par jechał żołnierz. Wojacy popatrzyli na niego pozbawionym zaciekawienia wzrokiem, szklistym ze zmęczenia. Ich twarze pokryte były pyłem i zarostem. Koniom prychającym z pełną znużenia rezygnacją także zwisały łby; Sądząc po ich wyglądzie, ci ludzie już brali udział w starciu, a ktoś zorganizował ich w kolumnę i wysłał z powrotem do walki. Tymczasem w ogromnym, bezkształtnym tłumie uciekinierów zmierzających na wschód, z dala od walki, było sporo imperialnych żołnierzy - niektórzy w mundurach, niosący swoją broń, inni człapiący w skrawkach umundurowania. Paru z nich było obandażowanych, lecz nie większość.

Samochód pełził wzdłuż kolumny, a kierowca naciskał klakson co kilka stóp, zmierzając na zachód, ku chmurom zabarwionym czerwienią zachodzącego słońca. Było to ryzykowne - z każdym dniem rosły szanse spotkania oficera, na którym nie zrobi wrażenia zięć ministra wojny, a samochód był cenny, nawet taki, który miał ślady kopyt na karoserii.

*Lepiej niż jechać w drugą stronę.* Problemem byli uciekinierzy, którzy starali się dostać do samochodu. Było naprawdę nieprzyjemnie, gdy matki podnosiły swoje dzieci, próbując wrzucić je do wnętrza auta.

Za niskim wzgórzem zasłaniającym ich od drogi skręcili w polny trakt, mijając obozowiska uciekinierów. Niektórzy z nich zapalali ogniska, inni po prostu padali tam, gdzie stali. Słońce znikало za horyzontem, światło nabierało barw fioletu, a stogi na ściernisku rzucały długie cienie. Stało tam stare gospodarstwo z rodzaju tych

należących do bardzo zamożnego gospodarza, zbudowane z wapiennej kostki budowlanej, z czterema pokojami i kuchnią. Zabudowania gospodarcze stały dokoła ogrodzonego podwórza na tyłach. Gdy samochód zatrzymał się na żwirowym podejździe, wybiegł wielki pies, poszczekując i powarkując.

Za nim wyszło dwóch mężczyzn, obydwaj mieli strzelby. Jeden zaświecił Johnowi w twarz sztormową latarnią.

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna skryty za latarnią.

- John Hosten - powiedział.

- Arturo Bianci - powiedział mężczyzna z latarnią. Dłoń miał krzepką i stwardniałą, mocny uścisk pracującego rękoma człowieka. - Chodź.

Weszli do domu, przez sień do kuchni. W jej drugim końcu znajdował się wielki kominek z dobudowanym kafłowym piecem z boku i naftowa lampa zwisająca z krokwi. Warkocze czosnku, cebuli i chili też tam wisiały. Poza tym woniejące szynki w workach, płaty suszonych ryb, a na ścianach miedziane patelnie. Przywitało go czterech mężczyzn i kobieta.

- Żadnych więcej nazwisk - powiedział John, siadając przy stole z desek. - A tak przy okazji, to ta grupa i tak jest już duża.

Zapadło milczenie, gdy kobieta postawiła przed nim talerz: pokrojony w plasterki pomidor, wędzona szynka, chleb, ser i kubek rozwodnionego wina. John wziął kawałek chleba i owinął go plasterkiem szynki. Był to istotny rytuał gościnności, a poza tym przez ostatni tydzień posiłki nie były regularne.

- Zastanawialiśmy się, czy uda ci się przedrzeć przez tych uciekinierów - rzekł powoli Arturo, wyraźnie zastanawiając się nad implikacjami uwagi Johna.

- Głupcy. - Niespodziewanie odezwała się kobieta. Wyglądała ona jak kobieta wersja Artura. Była rzeczowa i silna, lecz o wiele młodsza. - Czy myślą, że mogą biec szybciej niż *tedeschi*? Tylko blokują drogi i przeszkadzają wojsku.

John skinął głową, była to słuszna uwaga. - Boją się - powiedział. - I słusznie, choć postępują niewłaściwie.

- Nie tylko oni - rzekł Arturo. - Nasi lordowie i panowie... - posłużył się określeniem z lokalnego dialektu. John rozpoznał „sodomia” i „świnia”, ale nie był pewien. - *Signore*, myślisz, że przegramy tę wojnę?

- Tak - potwierdził John. - Szanse są mniej więcej...

>>92% plus minus 3<< podrzuciło pomocnie Centrum.

- ...jak dziewięć do jednego przeciwko wam, no chyba że zdarzy się cud.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, niektórzy lekko zbledli.

- Nie pojmuję tego. W porównaniu z nimi jest nas tak wielu. To musi być zdrada!  
- stwierdził jeden.

- Nigdy nie przypisuj zdradzie i spiskom tego, co można wytłumaczyć niekompetencją i głupotą - powiedział John.

Arturo przesunął dłonią po czarnawo-sinawym, szorstkim zaroście. Dźwięk przypominał pocieranie papierem ściernym.

- Wiem, że jesteśmy zapóźnieni w stosunku do innych krajów - rzekł. - Mam krewnych, którzy przeprowadzili się do Santander, do miasta Charsson, żeby pracować w tamtejszych fabrykach. Sam mógłbym to zrobić, gdybym nie odziedziczył tej ziemi po ojcu. To dlatego przyłączyłem się do Partii Reform - raczej nielegalnej, lecz nie prześladowanej jakoś mocno - żebyśmy mieli to, co inni, a nie spędzali każdego roku tak jak nasi dziadowie. Nie sądziłem, że staliśmy się tak prymitywni. Te diabelskie maszyny, jakie mają Wybrańcy...

- Ich organizacja jest o wiele ważniejsza, ich szkolenie i podejście - rzekł John. - Od dawna to planowali. Wasza władza ma to, czego pragnie, i chce tylko utrzymać się przy żłobie. Wybrańcy... Wybrańcy są *wyglodniali* i nawet pochłonięcie całego świata ich nie zaspokoi.

Arturo skinął głową. - Wypada tylko podjąć decyzję - poddać się czy też walczyć z ukrycia - powiedział. - Walczymy. Zgoda?

- Zgoda - rzekł jeden z mężczyzn; był starszy, miał połatane bryczesy i workowatą kurtkę. - Nie wiem jednak, ilu innych uda nam się przekonać. Powiedzą, że to nie ma znaczenia, kto jest panem, jeśli i tak musisz płacić czynsz i podatki.

Kobieta odezwała się znowu. - Wybrańcy ich przekonają lepiej od nas.

Mężczyźni spojrzeli na nią. Nachmurzyła się i z hałasem postawiła dzbanek z kawą na jednej z metalowych fajerek na piecu.

- To prawda - powiedział Arturo. - Jeśli choć połowa z tego, co słyszałem, jest prawdą.

- Jest zapewne gorzej, niż słyszałeś - stwierdził ponuro John.

- Wybrańcy nie patrzą na was jak na niższych rangą. Patrzą na was jak na zwierzęta, które należy wydoić i ogolić, jak się da, a potem zarżnąć.

Arturo grzmotnął ręką o deski. - Zgoda. A teraz chodź zobaczyć, jak się zajęliśmy tym, co nam przysłałeś!

Wziął latarnię i otworzył jej przesłonę. Wyszli tylnymi drzwiami na podwórko,

gdzie mocno pachniało kurczakami i kaczkami, minęli mulisty staw i weszli do obory. Kilka mlecznych krów i para wielkich białych wołów z mosiężnymi kuleczkami na końcówkach rogów zamuczała w swoich boksach. Ich ogromne łagodne oczy zamrugały w świetle, a potem zwierzęta powróciły do bezmyślnego przeżuwania paszy. Wóz, który wcześniej ciągnęły, został wepchnięty tuż za drzwi, a jego dyszel skierowany był ku krokwiom; źdźbła luźnego siana wystawały przez szeroko rozstawione deski stryszku. Z tyłu obory ustawiona była piramida ze skrzyń, długich i cienkich oraz kwadratowych i prostokątnych.

Arturo otworzył jedną, z której wyciągnięto gwoździe. - Wystarczająco wielu z nas wie, jak się tym posługiwać - powiedział, rzucając Johnowi karabin.

Był to standardowy imperialny model, ale fabrycznie nowy, wciąż nieco zatłuszczony od konserwującego smaru. Jednostrzałowa broń odtylcowa, z odchylanym suwakiem i sprężynowym wyrzutnikiem, który automatycznie przesunął suwak w dół, wyrzucając łuskę do tyłu, gdy spust był całkowicie odwiedziony. Za swoich czasów całkiem dobra broń, zdolna zabić człowieka tak samo jak najnowszy karabin z magazynkiem. Mniejsze skrzynie miały napis AMUNICJA 10 MM STANDARD 1000 NABOJÓW.

- Dwieście karabinów oraz rewolwery, materiały wybuchowe i mała prasa drukarska - powiedział Arturo.

- Gdzie zamierzaliście je ukryć? - spytał John, spoglądając po obliczach wieśniaków, podświetlonych od dołu przez lampę, którą Arturo postawił na klepisku obory.

- Wybieg dla owiec. Pod warstwą odchodów grubą na sześć cali.

- Dobry pomysł, na część z nich - rzekł John, odwodząc kurek karabinu. Mechanizm kliknął. - Ale nie powinniście umieszczać więcej niż tuzin w jednym miejscu. A żaden z was nie powinien *wiedzieć*, gdzie znajduje się reszta. Rozumiecie?

Arturo zdawał się rozumieć, także jego córka i może jeszcze kilku innych. John ciągnął dalej:

- Wiecie, jak Wybrańcy karzą za bezprawne posiadanie broni - nawet jednego naboju czy noża dłuższego niż pozwalają na to przepisy?

- Kulka? - spytał jeden z wieśniaków.

- Nie, chyba że się naprawdę spieszą. Zwykle wieszają cię za kciuki, a potem biczą na śmierć pękami stalowych batów z łańcuchów zakończonych haczykami. Małymi haczykami, mniej więcej wielkości tych na ryby, i to zaostrzonymi.

Widziałem, jak to robiono. Ekspertowi może to zająć całe godziny, zanim ofiara skona. - Znowu zapadło milczenie.

- Chcesz nas nastraszyć? - spytał jeden z mężczyzn.

- Jak cholera - odparł John. - Tym sposobem dłużej zostaniecie przy życiu i tym bardziej zaleziecie za skórę Wybrańcom.

>>Uważaj, chłopcze. Chcesz zmusić ich do myślenia, a nie sterroryzować<< powiedział Raj. >>Będzie dość czasu na realizm, gdy oddadzą się sprawie.<<

Arturo pokiwał z zamyśleniem głową. - Będziemy się musieli zorganizować... inaczej. Nic na piśmie. Małe grupki i tylko jeden będzie znalazł kogoś innego, i to jak najmniej.

*Dobrze. Przynajmniej nie musimy mu wyjaśniać, jak działa siatka,* pomyślał John.

*Choć na samą myśl, że Czwarte Biuro dostanie w swoje łapy tych amatorów... cóż, wymogi chwili.* Jeśli nikt nie będzie walczył z Wybrańcami, to oni *wygrają*. A to oznacza, iż trzeba zaakceptować konsekwencje.

- A zatem - rzekł Arturo - kiedy będziemy gotowi, gdy wystarczająco wielu będzie gotowych podążyć w nasze ślady, możemy zacząć wyrządzać im straty. Wysadzać mosty, sprzątać patrole, może też ich urzędników i poborców, dokonywać aktów sabotażu. Będziemy mieć *pewną* przewagę: znamy okolicę, ludzie będą nas ukrywać.

- Będziecie jednak musieli uderzać dość daleko od waszych domów - powiedział John.

- Czemu?

- Bo najcięższe akcje odwetowe Wybrańców spadają na okolicę, gdzie pojawiają się działania partyzanckie. Uderzając z dala od miejsca, gdzie mieszkacie, zabijacie dwa ptaszki jednym kamieniem - ludzie, którzy ucierpią w akcjach odwetowych, znienawidzą Wybrańców, a wy ochronicie swoją bazę.

Arturo przechylił latarnię tak, że światło padało na twarz Johna. Uwydatniało to jej rysy, powierzchnie i kąty.

- Twardy z ciebie człowiek, *signore* - rzekł. - Może nawet tak twardy jak sami Wybrańcy.

John skinął głową. - Tak twardy jak wszyscy będziemy musieli się stać, zanim to się skończy - powiedział. *Ci z nas, którzy będą nadal żyć.*

\* \* \*

Niebieskie oczy oficer Wybrańców wpatrywały się bez mrugnięcia w oświetlone przez księżyc nocne niebo. Był to jasny księżyc w pełni, a dla zwykłego oka jego dysk był niemal tak wielki jak słońce, niemal zbyt jasny, by na niego patrzeć, więc Jeffrey widział je wyraźnie. Hełm kobiety stoczył się, gdy kula przeleciała pod kątem przez szczękę i wyleciała z tyłu głowy. Na szczęście cień skrywał większość z tego, co zrobił miękki, ołowiany nabój, odrywając czubek jej czaszki. Jeffrey cieszył się z tego i z tej odrobiny dodatkowej osłony, jaką dawało ciało. Kule waliły w ilastą glebę pagórka albo odbijały się od kamieni, świszcząc niczym miniaturowe, ołowiane frisbee.

Mniej więcej co minutę pocisk wybuchał wzdłuż linii dział Wybrańców rozciągniętej teraz na kształt litery U, z częścią wypukłą skierowaną w stronę wroga. Wybuchające pociski były paskudnymi czerwonymi ognikami w ciemnościach nocy, rozbłyskami światła i podążającymi w ślad za nimi trzaskami. Co kilka minut ręczny granat z Krainy eksplodował tam, gdzie zbliżyli się Imperialni, lecz broniącym się zaczynało ich brakować. Zaczynało im brakować wszystkiego.

Nocne powietrze było chłodne, wilgotne, i niesło ze sobą woń kordytu, prochu strzelniczego oraz gówniano-miedziany smród gwałtownej śmierci. Ciała leżały porozrzucane wokół linii frontu, czasami jedno na drugim tam, gdzie broń automatyczna albo skoncentrowany ogień karabinowy trafił w nacierające grupy - imperialne szkolenie ich wystawiało, sprawiało, iż zbijali się w kupę. Pole zabitych zdawało się poruszać i falować, gdy ranni ludzie wrzeszczeli, skomleli albo łkali, wołając wody lub matki, albo też po prostu jęczeli, cierpiąc nie dające się wyrazić słowami katusze. Pomiedzy nimi przemykali żywi. Przedzierało się ich coraz więcej. Ich siła ogniowa była rozproszona w porównaniu z szybkostrzelną bronią z Krainy, lecz była ogromna, a sam tylko jej ciężar dławiał wszelki opór.

*Cholerna ironia, jeśli tutaj zginę, pomyślał Jeffrey, Poświęcił całe swoje życie pokonaniu Wybrańców...*

- Myślę, że kolejne natarcie może się przedrzeć aż tutaj - powiedział Heinrich. - Nie możesz twierdzić, iż było ci nudno w naszej gościnie.

Mężczyzna ssał ustnik dawno wygasłej fajki, odpinając kaburę podręcznej broni. Większość pozostałej przy życiu grupy dowodzenia uzbroiła się w karabiny i bagnety zabitych protegowanych żołnierzy - ci, którzy nie poszli dowodzić jednostkami, gdzie nie został przy życiu żaden oficer.

- Cholera - ciągnął dalej Heinrich. - Musieliśmy wybić albo okaleczyć zjedną trzecią. Nie sądziłem, że tak długo wytrzymają.



- Znowu nadchodzą - rzucił ktoś cicho.

Najbardziej wysunięte pozycje Imperialnych znajdowały się nie dalej niż w odległości stu jardów. Migotliwe niczym świetliki rozbłyśki z luf zapłonęły mocniej, skupiając się na ocalałych karabinach maszynowych, a ludzie podnieśli się do natarcia. Zagrała trąbka, cienko i ostro. Karabinów maszynowych było teraz mniej, strzelały krótkimi, warkotliwymi seriami, aby oszczędzać amunicję. Jeffrey poczuł, jak coś mu się poruszyło w brzuchu. Tym razem dojdzie do walki wręcz.

>>Słuchaj<< powiedział Raj. >>Czy to...<<

>>Silniki statków powietrznych<< powiedziało Centrum.  
>>Prawdopodobieństwo prawie całkowite. Zbliżają się od południowego zachodu, wyciszone w celu ukrycia się. Wiatr wieje z tego kierunku. Zostały im jeszcze cztery kilometry.<<

Heinrich odwrócił głowę. Światło rozbłysnęło w ciemności nad ziemią - potężna lampa sygnalizacyjna wysyłająca sekwencję czterech kropek i kresek.

\* \* \*

- Cholera! - rzuciła delikatnie Gerta Hosten.

Błysk z luf w dole, a przednimi zarys pozycji Krainy tak wyraźny, jak na mapie w szkole bojowej w czasie sesji *kriegspiel*. Można było nawet rozpoznać uczestników, bowiem strzały Imperialnych na bazie czarnego prochu były ciemniejsze i bardziej czerwone. Na szczęście sterówce okazały się bardziej odporne na ogień, niż się spodziewano - przebicie w ogniach gazowych powodowało wyciek, a nie zmieszanie z tlenem... zazwyczaj.

Nocny desant... kolejne zadanie wykonywane po raz pierwszy. Cóż, rozkazy to rozkazy, a tam w dole jest *Heinrich*. Bardzo żałowałyby utraty Heinricha.

- Lepiej byśmy się przysłużyli nalotem bombowym - wymruczał dowódca sterowca. - I zrzutem amunicji, której potrzebują.

- Z marginesem błędu o średnicy czterech tysięcy metrów, Horst? - spytała zatopiona w myślach Gerta, zaciskając zapinkę na swojej uprząży.

- To średnie wyliczenie - rzekł, broniąc się. - *Sieg* zazwyczaj radzi sobie lepiej.

Zrzuty zaopatrzeniowe dla odciętych sił okazały się bezcenną rzeczą. Niestety, duży procent spadał na pozycje wroga.

- *Behfel ist Behfel* - powiedziała, co dla Wybrańców było argumentem nie do odparcia.

- Zbliżamy się do strefy zrzutu - dobiegło z mostka. - Pięć minut.

*Sieg* unosił się z wiatrem i jeśli wiatr pozostanie sprzyjający, sterowiec znajdzie się tuż nad ich pozycją.

*To będzie trudne*, pomyślała, dając nura z powrotem w korytarz i do ładowni skąpanej w słabym zielonkawym blasku światełek. Było tam niewiele wolnego miejsca, choć jej jednostka poniosła ciężkie straty - problem związany z byciem strażą pożarną polegał na tym, że posyłano cię do wielu gorących miejsc. Ciasnota wynikała częściowo z ładunku: amunicji do karabinów, pudełek z taśmami do karabinów maszynowych, pocisków moździerzowych i granatów. Było to *właśnie* to, z czym chciałeś spadać w ciemność i ogień walki.

- Przygotować się. Na sygnał szefa zrzutu - powiedziała. To oczekiwanie... spodziewała się, że po pierwszym razie będzie się je lepiej znosiło. Ale nie; nigdy się do tego nie przyzwyczajasz.

- *Teraz!*

Krótki ryk śmigieł, gdy silniki ruszyły wstecz, aby zdusić ciąg *Sięga*. Zakołysało nimi, a palety skrzynek zatrzeszczały złowróżbnie. A potem otworzyły się kłapy w podłodze gondoli.

Ziemia poniżej była *blisko*, nawet w półmroku. Skrzynie przywiązane do amortyzujących palet wyśliznęły się z otworów zionących w pokładzie, lecąc w dół i sprawiając, że statek powietrzny pomknął ku górze. Wypuszczono gaz z głuchym, dudniącym rykiem, gdy ona skoczyła ku zwisającej linie i zsunęła się w dół. Żłobkowy sizal wrzynał się w dłonie w rękawicach i syntetyczne podeszwy jej butów.

- Och, *shays* - wymruczała.

Dobrze, iż wojskowa doktryna Krainy wymagała zdecentralizowanego dowództwa, zwłaszcza w jednostkach składających się tylko z Wybrańców, bo, jeśli jej wzrok nie mylił, ześlizgiwała się właśnie prosto na załogę imperialnej kartacznicy. I to czujną, bo kierującą lufę swej broni w jej stronę...

*Łup*. Uderzyła o ziemię i przetoczyła się odruchowo, a potem znowu się przeturlała, próbując dostać się poza zasięg kartacznicy. Wybrańcy ginęli z tyłu za nią, spóźnieni o parę sekund. Kartacznica na chwilę przerwała ogień, gdy kolejna grupa uderzyła o ziemię i zaczęła strzelać z karabinów i broni maszynowej. Gerta wyciągnęła własną broń i odciągnęła suwadło.

\* \* \*

- Niech to diabli!

Jeffrey Farr przetoczył się gorączkowo. Wążąca tonę paleta z ładunkiem zlatywała z nieba ku niemu. Wylądowała, ześlizgnęła się w dół zbocza, przewróciła na bok i spoczęła oparta o sękata, obumarłą winorośl. Zarys sterowca nagle stał się wyrazisty na tle gwiazd - ryk diesela i czerwone szpile spalin w ciemności nocy. Przez chwilę ciężki oleisty smród spalin przytłoczył inne wonie nocnej bitwy - zapach śmierci i czarnego prochu jak ze sztucznych ogni.

Znowu się przetoczył, gdy ciemna postać rzuciła się na niego z cieni, celując czubkiem osiemnastocalowego nasadzanego bagnetu; imperialny piechur. Pistolet Jeffreya znalazł się w jego dłoni, gdy bagnet wbił się w skalistą glinę obok, a jego palec zacisnął się na spuście. W czerwonym świetle wystrzału z lufy widział przez ułamek sekundy wykrzywioną twarz imperialnego żołnierza, zanim mężczyzna nie przewrócił się, zginając. Jeffrey zamarł na chwilę. Właśnie zabił człowieka, sojusznika...

>>To zdarza się częściej, niż mógłbyś się spodziewać<< rzucił rzeczowo Raj.  
>>Ruszał się, chłopcze. Czas na koszmary przyjdzie później.<<

Coś pyknęło w górze. Aktywnicze, jasnoniebieskie światło załało pole.

\* \* \*

Mężczyzna za kartacznicą poleciał do przodu. Jego twarz spowodowała zacięcie mechanizmu, choć korba jeszcze przez chwilę się kręciła. Kilku ludzi z załogi odwróciło się, chwytając za karabiny. Gerta przypadła na jedno kolano, wtuliła kolbę karabinu maszynowego w ramię i zaczęła strzelać. Odległość wynosiła mniej niż trzydzieści metrów, był to strzał z bliska, jeśli znałeś się na broni. Ktoś strzelał do załogi z drugiej strony, z karabinu, sądząc po dźwięku. To odwróciło ich uwagę na kilka sekund koniecznych do wykoszenia połowy z nich czterema krótkimi seriami. Błysk z lufy Koegelmanna był oślepiający na tyle, że oczy zaszyły jej łzami; pozostawił po sobie obrazy tańczącego ognia.

Bęben karabinu maszynowego opróżnił się ze szczękiem. Oświetlająca bomba spadochronowa wybuchła w górze. Tego, kto udzielał jej wsparcia, już nie było, a Imperialni przestali próbować uruchomić zaciętą kartacznicę. Sześciu z nich rzuciło się na Gertę. Nie było czasu na przeładowanie jednego z nieporęcznych bębnow. Kobieta zamrugała gwałtownie oczami, wpatrując się w migające cienie, czekając w napięciu.

Próbowali dostać ją przy pomocy zimnej stali. Pewnie skończyła im się amunicja albo oszczędzali ostatnie naboje do strzału z bliska. Pierwszy natarł na nią z szaleństwem w oczach. Gerta kolbą odtrąciła bagnet i grzmotnęła go stalową płytą w gardło. Chrząstka wbiła się z chrupnięciem, a on padł do tyłu, dusząc się, zwalony z nóg przez impet jej ciosu spotęgowany przez własny pęd. Gerta upuściła karabin i sięgnęła jedną ręką po długi nóż do walki przytroczony do pleców, a drugą po swój automat.

Jeden. Nacierał z karabinem trzymanym za lufę niczym pałką. Wyczekać, wyczekać. Uchyliła się przed ciosem, poczuła, jak broń przecina powietrze o kilka cali od jej czoła, i cięła długim ostrzem w górę. Wśliznęło mu się pod lewe żebro, wędrując ku górze, aż sztych przebił się przez płuco i serce. Ciało osunęło się na jej prawą rękę.

Gerta okręciła się, trzymając ciało przed sobą, a znajdujący się za nią mężczyzna zawahał się przez chwilę. Strzeliła przez ramię drgającego trupa. Kula trafiła Imperialnego w grzbiet nosa i odrzuciła mu głowę do tyłu, jakby go muł kopnął. Kula walnęła w jej osłonę z martwego mięsa. Gerta wypaliła znowu, i jeszcze raz, aż wystrzelała dwanaście naboji.

*Żyję*, pomyślała, zataczając się i pozwalając martwemu ciału zsunąć się z noża. Zrobiła krok i potknęła się; coś wyłobilo bruzdę na jej lewym udzie, a ona nawet tego nie zauważyła. Gerta otrząsnęła się z bólu, podczas gdy jej ręce automatycznie wyjmowały pusty magazynek i ponownie ładowały pistolet. Ruszyła do przodu, utykając, w górę zbocza do miejsca, gdzie powinna się znajdować większość jej jednostki. Wybuchła kolejna oświetlająca bomba spadochronowa, a Gerta rzuciła się na ziemię i poczołgała. Kule z karabinu maszynowego przelatywały ze świstem przez miejsce, gdzie przedtem była. Tryskający piasek i skały uderzały ją po twarzy, a rana zaczynała *boleć*. Pozycja Krainy powinna być zaraz z przodu... zakładając; że pozostał ktoś żywy poza lubiącym pociągać za spust strzelcem, który o mało co jej nie przepolował.

- Co za popapranie.

\* \* \*

Buty spadochroniarzy prawie że na nim wylądowały, gdy sterowiec zawrócił. Coś smagnęło go po ciele, na tyle mocno, że zabolalo: sizalowa lina. Z tuzin innych spadało z ciemności. Ludzkie sylwetki ześlizgiwały się z nich. Dwóch kolejnych spadochroniarzy niemal stratowało Jeffreya, ignorując w pośpiechu jego i trupa.

*Wykorzystali* jednak ciało mężczyzny, którego właśnie zabił, jako trampolinę. Sześciu męczyło się z wielką paletą, która niemal go zmiądzzyła. W parę sekund później wydobyli ciężki, chłodzony wodą karabin maszynowy wraz z trójnogiem i amunicją, ustawili go i otworzyli ogień w stronę mas imperialnej piechoty zajętej natarciem mającym na celu wykończenie blokujących ich sił Krainy. Pociski smugowe śmignęły w ciemności, żarząc się zielenią jak ogniki św. Elma. Piechurzy zebrali się w jednostki i ruszyli ku szeregowi Krainy, usuwając Imperialnych, którzy dotarli aż dotąd.

*Cholera, nigdy nie widziałem, żeby żołnierze ruszali się tak szybko*, pomyślał. Mieli na sobie pełen marszowy ekwipunek i poruszali się niczym leopardy.

>>Jednostka złożona całkowicie z Wybrańców<< stwierdziło Centrum. Przed oczyma Jeffreya pojawiła się matowa jasność. >>Określanie znaczników...<< Jasność pulsowała nad patkami jednostek.

>> Co pokolenie, przez czterysta lat, wybijali najslabsze dziesięć procent swojej własnej rasy.<< powiedział Raj. >>Jednocześnie zbierali jeden lub dwa procent śmietanki swoich protegowanych. Można się spodziewać, że to się uwidoczní.<<

Jeffrey się wzdrygnął, choć kule wciąż przesywały powietrze nad nim. *Dobrze, że nie ma ich więcej. Nie dałoby się ich powstrzymać.*

>>Gdyby było ich więcej<< stwierdziło Centrum >>nie dałoby się utrzymać tak dużej, wyspecjalizowanej, nieproduktywnej klasy.<<

>>Zawsze jest o wiele mniej carnosauroidów niż roślinożerców<< podkreślił Raj.

Obraz, jaki towarzyszy! tej myśli, sprawił, że Jeffrey się wzdrygnął: coś wielkości człowieka i gibkiego niczym bat, skaczącego, by wyrwać krwawą dziurę w boku woła przypominającym sierp szponem na tylnej łapie, jak tresowany do walki kogut, wyrosły na tyle, żeby rozplątać sobie brzuch.

Heinrich był z powrotem na nogach, wykrzykując rozkazy. Protegowani żołnierze otworzyli pudła z amunicją i pognali na swoje pozycje z pasami na naboje przewieszonymi przez pierś i skrzynkami taśm do karabinów maszynowych w dłoniach,

Jeffrey obrócił się na odgłos dochodzący z tyłu, lądując na biodrze. Zamarł, przekonawszy się, iż spogląda w porysowaną od zużycia lufę automatu z Krainy. Kobieta Wybrańców z dystynkcjami kapitana na szarym, polowym mundurze podniosła się. Była niska jak na osobę tej rasy, i o ciemnej karnacji, co dostrzegwał nawet w świetle księżyca. Strużka czarnej krwi spływała jej po udzie tam, gdzie mundur został rozdarty przez kulę, która ją drasnęła.

- Co, do cholery, robi tu Santanderczyk? - powiedziała, stając w taki sposób, by oszczędzić zranioną nogę.

- To ty! - rzucił Heinrich, odwracając się z szerokim uśmiechem na kwadratowej twarzy. - Mogłem się domyśleć.

- Byłam najbliżej. Maszerujące posiłki powinny przybyć tu o świcie - powiedziała kobieta. - Co, do cholery, robi z tobą oficer Santanderczyków, Heinrichu?

Z bliska dostrzegął patki komanda wywiadu generalnego sztabu na mankiecie i kołnierzu. *To musi być...*

>>Gerta Hosten, kapitan, wywiad<< podsunęło pomocnie Centrum.

>>Jest niebezpieczna, synu<< powiedział Raj. >>Mocno uważaj.<<

Jeffrey mógł powiedzieć to samo. Oczy, które na nim spoczęły, były najzimniejszymi, jakie kiedykolwiek widział, chłodniejszymi niż daleka strona księżyca.

- Och, zgarnęliśmy go w Coronie - powiedział Heinrich.

- Powinieneś oddać go nam albo Czwartemu Biuru.

- Cóż, jest neutralny, i jest swego rodzaju krewnym, przybranym bratem Johana. I to w kropce, bowiem na dachu poselstwa Santanderczyków w Coronie wylądowało kilka tysięcy bomb.

- Jeffrey Farr - powiedziała Gerta. Wyglądała przy tym, jakby w myślach segregowała i przeglądała informacje. - On jest szpiclem, Heinrichu. Powinieneś go zastrzelić.

- Nie pokazywałem mu planów nowej torpedy - rzekł Heinrich z lekkim rozdrażnieniem.

Gerta wzruszyła ramionami i wsadziła swój automat do kabury. Jeffrey poczuł lekką ulgę. Mało prawdopodobne, że zastrzeliłaby go tam, gdzie stoi...

>>Prawdopodobieństwo 27% plus minus 7<< powiedziało Centrum.

- ... i tak odczuwał ulgę. Gerta wzruszyła ramionami.

- Ty dowodzisz. Doprowadźmy to popapranie do porządku, dobrze?

- *Ya*. - Heinrich zwrócił lekko głowę w stronę Jeffrey'a: - Moja żona, kapitan Gerta Hosten. - A potem zwrócił się do niej: - Jaka jest ogólna sytuacja?

- FUBAR, ale wygrywamy. Niezupełnie tak, jak się spodziewaliśmy, ale wygrywamy. Jak zablokujemy tę pozycję, generał Summelwoden będzie miał ich w kotle, a my będziemy mogli podkręcić ogień. Ciano jest następne. Gdzie chcesz moje karabiny maszynowe? I załatw mi coś, żeby powstrzymać to krwawienie, co? Nie

mogę jeszcze wykitować.

- Automaty tam, przy...

Rozmowa zesłała na szczegóły techniczne. Heinrich machnięciem przywołał przechodzącego medyka, który przykląkł, aby przyłożyć bandaż uciskowy na udo Gerty.

*Ciano jest następne, pomyślał Jeffrey. Zrobi się paskudnie.*

## Rozdział ósmy

W imperialnym pokoju sytuacyjnym wszystko toczyło się spokojnie i niespiesznie. Na jednej ścianie wisiała ogromna mapa Imperium, z wbitymi czarnymi szpilkami reprezentującymi siły Krainy i zielonymi imperialnymi. Mapa plastyczna tego samego terytorium znajdowała się w zagłębieniu na środku podłogi, dokoła biegła wypolerowana balustrada z mahoniem, a żołnierze przesuwali żetony jednostek przy pomocy drewnianych grabi o długich rączkach. Jedna ściana wielkiego pomieszczenia przeznaczona była na telefony i telegrafy, a ich operatorzy notowali informacje na kartkach i przekazywali je do rozszyfrowania.

Adiutanci w wyglansowanych butach i schludnych kolorowych mundurach chodzili tam i z powrotem, generałowie marszczyli czoła, pochylając się nad mapami, a imperator pociągał za swe białe bokobrody i mrugał zaspanymi, podkrążonymi oczami. Za nim stali strażnicy w ceremonialnych mundurach i kilku cywili...

*Nie, pomyślał John Hosten, oceniając. Ich oczy przemykały cały czas po pomieszczeniu, szacując, obserwując. Wyczekująco. Prawdziwi strażnicy, I sądząc po tym, co widać, są to jedyni ludzie w tym pokoju, którzy wykonują swoją robotę.*

John Hosten zbliżył się w otoczeniu dwóch odźwiernych i wykonał ukłon. W swym umyśle czuł, jak Raj i Centrum oglądają mapy - beznamiętną ocenę komputera i zimną pogardę Raja.

>>Systematyczne okłamywanie<< pomyślał Raj. >>W całej hierarchii dowodzenia. Gdy do tego dochodzi, jest to zawsze wina dowódcy. Jak raz pozwolisz, aby ludzie mówili ci to, co chcesz usłyszeć, to masz przerąbane i wszyscy inni razem z tobą.<<

- Powstań, *signore* Hosten - powiedział imperator.



Władca był starym człowiekiem, lecz John był nieco zaszokowany jego wyglądem - towarzyszył mu słaby zapach choroby, a ręce trzęsły się widocznie. Znajdujący się obok niego hrabia del'Cuomo wyglądał jeszcze gorzej, jeśli to tylko było możliwe - lecz on, jako minister wojny, miał pewnie dostęp do lepszych informacji.

- Wasza Wysokość - powiedział John.

Wręczył teczkę z dokumentami, zgrabnie przewiązaną zielono-czerwoną wstążką.

- Moje listy uwierzytelniające, Wasza Wysokość. Składam wyrazy ubolewania, ale mój rząd potrzebuje mych usług w domu. Wracam do Santander.

Imperator uśmiechnął się z nieobecny spojrzeniem. - Zabierasz również ze sobą jeden z naszych najpiękniejszych kwiatów... a gdzież to jest młoda Pia?

- Obecnie pracuje jako pielęgniarka-wolontariuszka - powiedział John. *Wbrew moim radom.*

Imperator zmarszczył brwi. - Nie... nie całkiem *odpowiednie*, moim zdaniem.

Hrabia del'Cuomo wzruszył ramionami. - Nigdy nie mogłem nad nią zapanować, Wasza Wysokość - stwierdził. Spojrzał na Johna. - Ale mój zięć dobrze się nią zaopiekuje i wróci w szczęśliwszych czasach, gdy przepędzimy tych *tedeschi* z powrotem na ich wyspę, jak już to kiedyś zrobiliśmy.

John skłonił się ponownie, jeszcze głębiej, i wykonał wymagane cztery kroki do tyłu. O mało co nie wpadł na adiutanta ze stertą telegramów, ale zignorował go. Ignorował wszystko, dopóki nie skręcił korytarzem i nie ujrzał widoku miasta w dole. Wówczas zaczerpnął gwałtownie powietrza.

Był wczesny ranek, jeszcze prawie ciemno. Wieści o upadku Milany musiały dotrzeć do ludzi w trakcie tej godziny, jaką spędził, czekając. Z pewnością nie przez kuriera ani zakodowaną wiadomość. Imperialne wojsko nie rozpadło się tak drastycznie. .. jeszcze. Najpewniej od uciekiniera na szybkiej rzecznej łodzi. Jeśli chodziło o oficjalne oświadczenia, to jak do tej pory właśnie potwierdzały to, czemu zaprzeczały. Nawet gdy były szczerze, a on mógłby się założyć, że oznaczało to po prostu, iż piszący je funkcjonariusze niższej rangi dali się nabrać własnej propagandzie.

John Hosten stał, przez chwilę spoglądając w dół na zamieszki i pożary, poza ogrody pałacowe i kordon żołnierzy straży ustawiony dokoła. Był mężczyzną lat trzydziestu, wysokim, o surowym wyrazie twarzy, w czarnym garniturze dyplomaty ze ściętymi z przodu połami i postawionym kołnierzem oraz spodniach w ciemne pasy. Służący o mało co na niego nie wpadł, zobaczył jego twarz i stanął w milczeniu z boku.

- Z powrotem do ambasady - rzekł John sam do siebie, a potem na głos do kierowcy swego samochodu.

- Nie wiem, czy nam się uda, panie - powiedział kierowca. Sam był człowiekiem z ambasady, w służbie dyplomatycznej, i to całkiem kompetentnym. *Harry. Harry Smith*, przypomniał sobie John. Łatwo było zapomnieć o ludziach, gdy spędzało się czas, spoglądając na świat oczami Centrum.

>>To niestety prawda, synu<< rzekł Raj. >>I jeśli uważasz, że to dla ciebie problem...<<

- Sporo ulic wygląda na zablokowane - ciągnął dalej Smith. Wzruszył ramionami.  
- Może i uda mi się przedostać.

- Panie Smith - powiedział John.

Kierowca odwrócił się, aby na niego spojrzeć. Był posiwiiałym mężczyzną drobnej budowy, z niebieskimi oczami otoczonymi zmarszczkami. W jego santanderskim dał się słyszeć lekki wschodni zaśpiew. John rozpoznał to i sposób mówienia.

- Moja żona jest niedaleko stacji kolejowej, pracuje w szpitalu polowym - powiedział. - Muszę się dostać do ambasady, aby sprowadzić pomoc, żebym mógł się do niej dostać. Jeśli sądzisz, że nie uda ci się przedostać, to ja poprowadzę.

Niebieskie oczy zmrużyły się. - Nie, panie. Pilnuj naszych tyłów, a ja poprowadzę.  
- Sięgnął pod tylne siedzenie i wyciągnął karabin półautomatyczny. - Wiesz, panie, jak się takim posługiwać?

Uśmiechając się, John wziął go i przesunął mechanizm. Wskoczył nabój. Złapał go jedną ręką i wsadził z powrotem w otwór przed spustem. Coś na kształt podziwu pojawiło się w oczach Smitha. Podziw wzrósł, gdy John wsadził broń pod kilimek na siedzeniu obok.

- Wyciągnę go, jak będzie trzeba go użyć albo komuś pokazać - powiedział. - A teraz ruszajmy.

\* \* \*

- Potrzebuję paru ochotników - powiedział John. - Aby zabrać kogoś z miasta.

Prawie że musiał wrzeszczeć, aby przekrzyczeć zgiełk tłumu za pozłacaną bramą z kutego żelaza wiodącą do kompleksu ambasady. Były tu całe tysiące ludzi, a jeszcze większy tłok panował na ulicy. Za bramą i wzdłuż murów wystawiono wartowników z piechoty morskiej w niebieskich mundurach wyjściowych. Mieli oni karabiny z nasadzonymi bagnetami. Przytoczono małą armatę używaną do ceremonialnych

wystrzałów i ustawiono przodem do głównego wyjścia, jako ostrzeżenie, gdyby tłum spróbował sforsować metalową bramę. Było to mało prawdopodobne, gdyż pod pozłotą pręty miały grubość kobiecego nadgarstka. Żołnierze piechoty morskiej zniechęcali kolbami karabinów lub lekkimi ukłuciami bagnetów tych, którzy próbowali się przedrzeć. Nie trzeba było niczego więcej, jeszcze nie.

Przez boczną furtę obok głównej bramy przedostawał się mały strumyczek ludzi - osoby z ważnymi dokumentami Santander lub ich małżonkowie, oraz personel ambasady, który został uwięziony w mieście.

- Panie? - Kapitan piechoty morskiej rozejrzał się dokoła z niedowierzaniem.

- Kapitanie, moja żona tam jest, a ja potrzebuję ochotników, aby pomogli mi przedostać się przez ten tłum.

Kapitan otworzył usta. John widział, jak formułuje mu się na ustach ostra odmowa. Spojrzał mężczyźnie w oczy.

- To jest *bardzo ważne* zadanie - rzekł znacząco.

Nie było specjalną tajemnicą w ambasadzie, iż John należy do wywiadu. Ani też to, iż jest niezmiernie bogaty i ma powiązania w najwyższych sferach wojskowych i cywilnych.

- Nie poślę tam żadnych moich ludzi - stwierdził bez ogródek oficer, wskazując ręką na bliskich rozpętania zamieszek ludzi za bramą. Padł wykrzyczany rozkaz i tuzin żołnierzy przy bramie wystrzelił salwę w powietrze. Tłum cofnął się wśród okrzyków paniki, a potem, gdy nikt nie padł, pognał znowu do przodu.

- Nie prosiłbym o to - powiedział John. - Ja idę, czy ktoś zechce ze mną iść, czy nie. Byłbym wdzięczny za jakąś pomoc, ale nie oczekuję, iż wydasz taki *rozkaz*.

Oficer piechoty morskiej zawahał się. - Mam obowiązek strzec terenu.

- I pomagać personelowi w jego obowiązkach.

Decyzja uległa krystalizacji. - W porządku, panie. Możesz *zapytać*. Sierżancie!

Krępy mężczyzna z ogoloną głową pokrytą siateczką blizn podniósł wzrok. Piechota morska Santander wiele podróżowała, głównie do miejsc, gdzie tubylcy za nią nie przepadali.

- Panie!

- Pan Hosten potrzebuje paru ochotników, aby towarzyszyli mu w wyprawie do miasta i wyciągnięciu kogoś stamtąd. Zobacz, czy ktoś ma na to ochotę.

To, co pozostało z brwi sierżanta - widocznie zostały kiedyś wypalone z jego twarzy - uniosło się. Żołnierz zmierzył Johna wzrokiem i uśmiechnął się jak pies

trzymający kość w zębach.

- Hej, sierżancie.

John spojrzął za siebie. To był kierowca.

- Tak, Harry?

- Tak trzeba, sierżancie. Ja idę.

Podoficer spojrzął na nogi kierowcy, a siwiejący mężczyzna wzruszył ramionami.

- Hej, pojedziemy, nie będę musiał biegać.

- Już żeś się urodził jako cholerny głupiec, Harry - powiedział sierżant. Spojrzął na Johna. - Rozgłoszę tę wiadomość, panie.

Czekając, John zdjął garnitur i przebrał się w myśliwską kurtkę z czterema kieszeniami, którą przyniósł mu jego służący, z ulgą odrzucając wykrochmalony kołnierzyk wyjściowej koszuli. Smith spojrzął na odsłoniętą kaburę na ramieniu.

- Nie powinienem był pytać o ten karabin, panie - powiedział.

- Skąd mogłeś wiedzieć? - stwierdził John. - Posłuchaj, czy jeszcze kogoś dostanę?

- Poza mną? - Harry wzruszył ramionami. - Już jakiś czas nie służę w wojsku, ale Berker mnie zna - Berker, kurna, wyniósł mnie, jak dostałem kulkę w obie nogi. On...

Powrócił łysy sierżant, a za nim pięciu ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni, a kilku z nich wpychało sprzęt do plecaków.

- Panie! - powiedział. - Kapral Wilton, szeregowi Goms, Barrjen, Sinderson i Maken.

- A szeptem: - Ach, panie, wiesz, dałem im do zrozumienia, że będzie za to jakaś nagroda.

- Z pewnością będzie - powiedział John. I zwrócił się do ludzi: - W porządku, będzie, co następuje. Zmierzamy do głównej stacji kolejowej i założonego tam szpitala polowego. Zamierzamy zabrać panią Hosten - lady Pię Hosten - a potem albo wracamy tutaj, albo wynosimy się z miasta, zmierzając na wschód. Zależnie, co będzie bardziej sensowne. Oczekuję, że każdy, kto pójdzie ze mną, będzie wykonywał rozkazy i nie będzie się obawiał ryzyka. Zrozumiano?

Chór „tak jest, panie” i kilka uśmiechów. Żaden z mężczyzn nie przypominał anioła, ale byli to żołnierze piechoty morskiej, a przydział do ochrony ambasady w Ciano był swego rodzaju nagrodą zarezerwowaną dla ludzi, którzy zapisali się czymś poza dekadą chodzenia w dobrze wyglansowanych butach.

Podniósł wzrok. Coś leciało nad Ciano przez kolumny dymu sięgające nieba. Ogromna, lśniąca, długa na trzysta metrów łaża, przypominająca kształtem rekina, przemykała w powietrzu z warkotem silników luźna klinowa formacja nadciągająca z

zachodu niczym dżgający grot włóczni.

- Zatem do roboty.

\* \* \*

Ranni ludzie krzyknęli ze strachu, gdy budynkiem zatrzęsło. Pia Hosten chwyciła się kolumny i przyłgnęła do niej, gdy szereg bomb szarpnął żelaznymi dźwigarami dachu. Rzeźbiony kamień zakołysał się lekko pod jej dłońmi, przyprawiając ją o zawrót głowy. Połowy pielęgniarek nie było, a ranni znajdowali się wszędzie - setki w tym pomieszczeniu, a tysiące w całym budynku. Pod wysokimi łukami wznagał się upał, wznagał się smród ropy i gangreny, a wciąż napływało ich więcej. Odłączono gaz, tak jak i sieć zasilania.

- Wody... wody...

*Powinnam była zrobić tak, jak powiedział John*, pomyślała, podchodząc spieszenie z czerpakiem.

Uniosła mężczyźnie głowę i przyłożyła brzeg naczynia do jego ust. Napił się, a potem zakrztusił i zaczął się rzucać.

- Siostrze Mario! - zawołała Pia.

Mężczyzna wygiął się w łuk, a potem opadł, przewrócił oczyma i zmarł.

Podeszła zakonnica i skrzywiła się. - On nie żyje.

- Żył jeszcze, kiedy cię wołałam! - warknęła Pia, a potem podskoczyła, aby podtrzymać starszą kobietę, gdy ta się osunęła. - Przepraszam, siostrze.

- Jest ich tak wielu - wyszeptała zakonnica. - Mój Boże, mój Boże, dlaczego nas opuściłeś?

- Gdzie jest doktor Chicurso?

- Odszedł, większość z nich odeszła. Wartowników przy wejściu też nie ma. Tylko karetki wciąż przyjeżdżają.

- Wartowników nie ma? - spytała ostro Pia.

- Nie ma, nie ma. Przyszedł jakiś oficer i powiedział, że są potrzebni. Ale myślę, że wielu po prostu sobie poszło, zdjęło mundury i...

Wykonała pełen znużenia gest w stronę miasta.

Pia przełknęła ślinę i wstała, podchodząc szybko do swojego stanowiska, zdejmując okropnie poplamiony fartuch przykrywający skromną, szarą sukienkę. Jeśli nie ma wartowników, to znaczy, że jest bardzo źle.

*John miał rację. Powinnam była wczoraj udać się do ambasady. Nic więcej nie*

mogła tutaj działać. Ale było bardzo, bardzo trudno zostawić przygarbioną siostrę stojącą pośród rannych w bezmiernej potrzebie.

Przeszła szybko przejściem oddzielającym rzędy mężczyzn leżących na podłodze do kabiny, która służyła jej oraz tuzinowi innych wolontariuszek i pielęgniarek. Zanim weszła, usłyszała wrzask i huk oraz męskie głosy.

Drzwi były na w pół uchylone. Zatrzasnęła je. Ostry smród spirytusu do odkażania uderzył w nią niczym fala - pili go trzej wojskowi sanitariusze ze szpitala. Wrzask dobiegał od Loli Chiavrii, jednej z ochotniczek. Dwóch z nich przyciskało ją do stołu, suknię miała rozdartą aż do pasa. Trzeci szamotał się z jej wierzgającymi nogami, próbując zderzyć z niej bieliznę, śmiejąc się i zataczając. Odwrócili się, wpatrując w Pię z otwartymi ustami. Jeden zarżał nieprzyzwoicie.

- Hej, Gio, ktoś nowy do zabawy.

Pia wyprostowała się. - Natychmiast wypuście tę damę! Gdzie jest wasz oficer?

- Wszystkie oficery uciekły, panienko, a zaraz dotrą tu *tedeschi*. Dlaczego *tedeschi* mają dostać całą wodę i wszystkie cipki? Chodź no tu!

Odwrócił się ku niej, śmiejąc, z obscenicznie rozpiętymi spodniami. Miętosił się jedną ręką, a drugą sięgnął ku niej. Pia dobyła z kieszeni czterolufowy pistolet o dużym kalibrze i wymierzyła.

- Chcesz mi zrobić *krzywdę* tym maleństwem? - zaśmiał się mężczyzna. - Och, tylko nie *krzywdź* mnie, panienko!

*Trzask*. Dźwięk był niczym szkło roztrzaskujące się w maleńkim pomieszczeniu. Czarny punkcik mający dokładnie 5,6 mm średnicy pojawił się pomiędzy oczami niedoszłego gwałciciela, nabierając czerwonej barwy na jej oczach. Pewna siebie mina spelzła mężczyźnie z twarzy niczym zepsuta żelatyna i sanitariusz przewróciwszy się, legł u jej stóp. Jego czaszka uderzyła o kamienną podłogę z ostatecznie brzmącym łupnięciem.

Pia ukryła zaskoczenie. Celowała w brzuch, a mężczyzna znajdował się w odległości zaledwie czterech stóp. Pozostała dwójka sanitariuszy wycofywała się ku przeciwległej ścianie, z rękoma obróconymi wierzchem dłoni ku niej, wydając nieartykułowane dźwięki.

- W tym pistolecie są jeszcze trzy kule - powiedziała rzeczowym tonem, robiąc dwa kroki w tył i odsuwając się na bok. - Idźcie! - Zawahali się, nie chcąc się zbliżyć. - Idźcie zaraz albo strzelam.

Mężczyźni prześliznęli się obok niej z oczami utkwionymi w czterech lufach

małego pistoletu i pognali, potykając się korytarzem. Pia zaczęła, aż znikli jej z oczu, zanim opuściła rękę z małą bronią. Żółć podeszła jej do gardła, gdy spojrzała na zabitego przez siebie mężczyznę.

- To się stało tak *szybko* - wyszeptała i zmusiła się do przełknięcia śliny.

Wówczas to dostrzegła Lolę, która przyłgnęła do niej, pochlipując. Pia zmierzyła ją ostro wzrokiem. - Ubieraj się! Musimy się stąd wynosić!

Z powrotem do dzielnicy pałacowej, do ambasady. Przynajmniej nie będzie tam panowała całkowita anarchia.

Pia przypomniała sobie, jak John prosił ją, żeby nie szła dzisiaj do szpitala. *Powinnam była go posłuchać.*

\* \* \*

- Słodki Jezu na krzyżu - wymruczał Harry Smith. Tysiąc jardów w dół wzgórza tłum przewracał samochód. Był to pojazd arystokraty - niewielu innych mogło sobie na niego pozwolić w Imperium, a to był ogromny sześciokołowy pojazd z przywiązanymi wszędzie bagażami. Właściciele wciąż znajdowali się w środku. Kobieta próbowała się wyczołgać przez jedno z tylnych okien, lecz pałki, pięści i kawałki bruku poleciały jej na spotkanie. Wrzasnęła i osunęła się, a ręce wciągnęły jej bezwładne i pokrwawione ciało z powrotem do środka. Odezwał się pistolet. Hałas zagłuszył odpowiedź, ale John widział obłoczek dymu.

- Głupota - wyszeptał.

Z pół tuzina karabinów odpowiedziało na ten strzał. W tłumie były dziesiątki dezertersów z imperialnego wojska, wielu z bronią. John widział latające iskry, gdy kule uderzały o metalową karoserię samochodu. Niektóre odbijały się rykoszetem i wpadały w gęsto zbite szeregi uczestników zamieszek. Jedna musiała przebić zbiorniki na paliwo, bo rozległo się głębokie, ciche *pyk* i buchający pomarańczowy płomień odrzucił motłoch do tyłu. Niektórzy się palili. Obydwie postacie próbujące się wyczołgać z palącego się samochodu, płonęły. Zmarłyby i tak, nawet bez gradu kamieni, które zmusiły je do cofnięcia się.

- W porządku, Harry - ciągnął dalej John. - Jaki mamy plan?

- Cóż, panie, istnieje objazd - rzekł z namysłem kierowca. - Ale jest nieco wąski.

- To ty jesteś ekspertem - stwierdził John.

Tym razem był zadowolony, że konserwatyzm służb dyplomatycznych sprawił, iż trzymali się pojazdów parowych. Parowce miały mniejsze przyspieszenie niż

najnowsze modele z silnikami na benzynę, lecz były *ciche*. Smith zakręcił kierownicą, skręcając z dala od głównej alei, w boczną drogę i labirynt uliczek. Niektóre z nich były tak stare, że pamiętały czasy założenia Ciano, gdy ludzie po raz pierwszy znowu zaczęli budować z kamienia. Koła turkotały na kocich łbach, rozbryzgując nieczystości i śmieci. Zwykle w tej dzielnicy było tłoczno, ale większość ludzi znikła.

*Pewnie biorą udział w zamieszkach.* Nie żeby to im pomogło, jak się pokażą Wybrańcy, ale pewnie było to bardziej znośne niż siedzenie i czekanie. Zostały głównie dzieci lub starcy. Ci zatrząskiwali okiennice i chowali się na boki na widok samochodu wypełnionego uzbrojonymi mężczyznami w mundurach.

- *Uch-och.*

Wzgórze było tu bardziej strome i dawało świetny widok na południe, ponad rzeką ku przemysłowej dzielnicy - przeważające w środkowym Imperium wiatry zwykle nadciągały z północy, co oznaczało, iż rezydencjalne nieruchomości znajdowały się na północnym brzegu Pady. John widział, jak statki powietrzne Krainy nadlatują nad bardziej płaski południowy brzeg na wysokości dwóch tysięcy stóp, tylko tysiąc stóp nad ich własną pozycją.

>>Pewnie kierują się ku wyznaczonym punktom<< pomyślał Raj w jego głowie.

>>Prawdopodobieństwo graniczące z pewnością<< potwierdziło Centrum.

John poczuł przyływ gniewu. *Niech to piekło pochłonie, tam jest moja żona,* pomyślał zimno.

>>Ja też nigdy nie mogłem utrzymać mojej z dala od tego<< pomyślał Raj. >>A ona miała o wiele mniej romantyczne usposobienie niż twoja.<<

Sterówce nadlatywały szybko, siedemdziesiąt mil na godzinę albo i więcej. Wydawało się, że jednostka na czele kieruje się prosto na nich. Drzwi komory bombowej były otwarte, ale nic nie wylatywało. John spojrzał kątem oka. Żołnierze piechoty morskiej wyglądali na spiętych, lecz nie było widać zdenerwowania. Wzrok skupiali na budynkach dookoła, tylko od czasu do czasu spoglądali na zbliżający się bombowiec.

- Smith, zatrzymaj się tutaj. Przeczekamy, a potem ruszymy dalej.

„Tutaj” oznaczało zakątek pomiędzy dwiema solidnymi ścianami. *Dobrze, chyba że budynek się zawali. Obstawiamy i ryzykujemy.*

- Każdy kto chce, może wysiąść i się ukryć - powiedział John lekkim tonem.

Nikt tak nie zrobił, ale przycupnęli. Sterówce znajdowały się teraz nad rzeką, sunąc ku stacji kolejowej i mieszkalnym częściom Ciano - czarne przypominające



kształtem wieloryby cienie sterowców poruszały się na tle pomalowanych na biało budynków i dachówek.

- Hej - odezwał się jeden z żołnierzy. - Dlaczego nie bombardują południa? Tam są fabryki i tak dalej.

Smith zaciskał ręce na kierownicy. - Bo, durniu, oni nie chcą niszczyć własnego dobra - za kilka dni to wszystko będzie ich. *Kurna!*

*Krump. Krump. Krump,*

Bomby spadały ze statków powietrznych wartkimi strumieniami. Masywne jednostki podskakiwały wyżej, gdy zmniejszał się ich ciężar.

- Pięćdziesiąt ton ładunku - wyszeptał John, opierając dłoń o ramę samochodowego dachu i patrząc w górę. - W każdym pięćdziesiąt ton, trzydzieści pięć statków... wszystkiego tysiąc siedemset ton.

- Matko - powiedział ktoś.

- Nie zabije cię bardziej niż w ambasadzie.

- Nie zbombardowaliby przecież ambasady.

- Tak, pewnie. Będą z tym *naprawdę* uważać.

- Jebać to - stwierdził kapral. - Za to, co mamy otrzymać...

Hałas narastał, warkot silników sunących w powietrzu. John dostrzegł flagę Krainy z rozbłyskiem słońca wymalowaną na ich bokach i szklane okna w kształcie podkowy w gondolach sterowniczych. Kilka czarnych obłoczków dymu pojawiło się pod i naokoło statków powietrznych; niektórzy imperialni strzelcy wciąż trzymali się swojej zaimprovizowanej przeciwlotniczej broni, wykazując się większą odwagą niż rozsądkiem. Nawierzchnia pod samochodem zatrzęsała się od eksplozji. Pył zaczął się wydobywać z trzęsących się ścian kamienic po obu stronach. Huk trwał; niekończący się ryk wybuchów i walących się budynków.

- Tutaj - zaczął ktoś.

Cień sterowca przesunął się nad nimi. powiało chłodem, który przeszedł Johnowi dreszczem po krzyżu. Na chwilę rozbłysło białe światło... Ktoś wrzeszczał.

John próbował się odwrócić, ale zdał sobie sprawę, że leży rozciągnięty. Leży na gruzach wbijających się mu w pierś, brzuch i twarz. Zaparł się rękoma o kamień, plując pyłem i gęstą, czerwono-brązową krwią. Krew ściekała mu też do lewego oka z rozcięcia na czole, ale wszystko inne wydawało się być sprawne. Ktoś w dalszym ciągu krzyczał.

Jeden z żołnierzy piechoty morskiej leżał, ściskając się za ramię. John wstał i

chwiejnie podszedł do samochodu, który był częściowo przewrócony. Stykające się ściany tworzące zaułek, w którym się zatrzymali, wciąż stały, lecz budynki, których były częścią, znikły rozrzucone w kupie popękanych bloków po całej dawnej ulicy.

>>Kąt styku ścian spowodował odchylenie siły wybuchu<< powiedziało Centrum.  
>>Nie dający się przewidzieć rezultat.<<

*Dobrze dla planu, że stało się, jak się stało*, pomyślał John, szukając apteczki.

>>Twoja śmierć w tej chwili zmniejszyłaby prawdopodobieństwo optymalnego wyniku z 57% plus minus 3 do 41% plus minus 4<< usłużnie podsunęło Centrum.

- Miło wiedzieć, że jest się potrzebnym - stwierdził John.

Dzwonienie w uszach przycichało i mógł już normalnie widzieć. Dobrze, wstrząs nie był poważny. Przykucnął koło rannego żołnierza piechoty morskiej.

- Przytrzymajcie go - powiedział do pozostałych. - Obejrzyjmy to.

Dwaj mężczyźni przytrzymali ramię żołnierza. Nie było złamane, lecz mocno krwawiło - stały strumyczek, a nie struga z tętnicy. John wyciągnął sztylet zza kołnierza i posłużył się nim do odcięcia rękawa kurtki od munduru. Nie było to najlepsze narzędzie - wykonane, by służyło za broń - ale się nada. Ciało na przedramieniu mężczyzny było porozrywane i coś z niego wystawało. John zacisnął wokół tego palce. Odłamek drewna, pewnie dębu, z belki konstrukcyjnej. Dłuższy niż dłoń i mocno wbity.

- Będzie bolało - powiedział John.

- Zrób to - wysapał szary na twarzy żołnierz piechoty morskiej.

Jeden z kolegów włożył mu między zęby pasek od karabinu. John chwycił mocno, przycisnął dłonią nadgarstek mężczyzny spoczywający na ziemi i pociągnął. Żołnierzem szarpnęło, wygiął się w łuk, zatapiając zęby w twardą skórę.

John wyciągnął grube na palec dębowe ostrze. Uniósł je w górę. Nie miało poszarpanych brzegów, więc pewnie niewiele zostało w ranie - miejmy nadzieję, że równie niewiele brudnego materiału, jako że nie było czasu na jej opracowanie chirurgiczne.

- Niech chwilę pokrwawi - powiedział. - To oczyści ranę.

W apteczce znajdował się spirytus do odkażania i jodyna. John zaczął, a potem oczyścił ranę watą i polał obydwoma rzeczami. Tym razem żołnierz tylko zaklął, a John wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widać dochodzisz do siebie. - Opatrzył ranę, zabandażował i założył temblak. - Postaraj się jej nie nadwerężyć, żołnierzu.

- Tak jest. Ach... co, do diabła, teraz zrobimy, panie?

Wszyscy spojrzeli na niego, poobijani, posiniaczeni, kilku krwawiących z powierzchownych cięć, lecz wszyscy sprawni. Spojrzał na ulicę. Przed nimi leżała kupa kamieni wysoka na cztery stopy, a za nią jeszcze więcej, lecz droga w dół zbocza wydawała się być całkiem przejezdna. Dym jednak gwałtownie się potęgował. Pożary wymknęły się spod kontroli. Pewno dostało się wodociągom, a sieć zasilająca nie działała. Dym gęstniał w powietrzu, gęstniał pomiędzy nim a Pią.

- Po pierwsze odblokujmy drogę - rzucił energicznie, znowu spluwając. Zwrócił się do Gomsa, który wyglądał na najbardziej rannego: - W bagażniku samochodu jest trochę wody, zajmij się nią.

- Smith, sprawdź samochód i zobacz, czego mu trzeba. Wilton, Sinderson, Barrjen, Maken, chodźcie ze mną.

Przyjrzał się, w jaki sposób układają się kamienie w przeszkodzie przed nimi. - Najpierw przesuniemy tego. I - Panie? Łom? - spytał kapral Wilton. Zbity blok ważył pewnie dwa razy tyle co John, a on był pewnie najcięższym tutaj człowiekiem.

- Nie ma czasu. Barrjen, tu, po drugiej stronie, jest miejsce dla dwóch.

Barrjen był o trzy cale niższy od Johna, lecz tak samo szeroki w barach i gruby w pasie i biodrach; ramiona miał masywne, a wierzch dłoni pokrywały mu rude włoski. Wyszczерzył się w uśmiechu, ukazując szerokie, kwadratowe zęby.

- Skoro tak mówisz, ponie - rzekł i ugiął kolana, wsuwając palce pod krawędź bloku.

John zrobił tak samo i wziął głęboki, ostrożny oddech. - Teraz.

Podniósł, przyjmując ciężar na plecy i nogi, wydychając z wysiłkiem powietrze, aż czerwone plamki zatańczyły mu przed oczami, a coś w brzuchu właśnie miało się rozpruć. Jego kurtka rzeczywiście się rozpruła z tyłu. Mocny szew rozszedł się z przeciągłym, rozdzierającym odgłosem. Kamień stawiał opór, a potem John poczuł, jak się przesuwają. I znowu się przesuwają. Mężczyzna starał się stopami utrzymać równowagę na luźnej kupie gruzu, a potem blok stoczył się na drugą stronę jak kości rzucone przez boga, zwałił się na chodnik i wpadł do rynsztoka z głośnym stukotem.

Barrjen zatoczył się do tyłu, wciąż się uśmiechając i dysząc. - Wy, dyplomaci, jesteście twardsi, niż na to wygląda, ponie - powiedział z mocnym wschodnim akcentem.

John splunął w dłoń. Centrum ustawiło błyszczącą siatkę trajektorii naprężeń głównych na zwale gruzu, ukazując miejsca najmniejszego oporu umożliwiające jego

usunięcie.

- Zabierzmy się do roboty.

\* \* \*

- Chcę do domu - powiedziała, a raczej wyjąkała, Lola. Pia zwalczyła chęć spoliczkowania jej. Oczy drugiej kobiety wciąż były szeroko rozwarte na skutek szoku. Było to zrozumiałe, nie miała jeszcze dwudziestki, ale...

- Tu, na górę.

Klatka schodowa była pusta; wypełniała wnętrze kwadratowej wieży, idąc zygzakiem od każdego piętra, a w wapieniu o kremowych kolorze znajdowały się wąskie okienka. Wlatywał przez nie dym - tyle, że aż nieco zamglił powietrze. Wpadało też światło, rozpraszane przez pył i dym; osobliwie piękne smugi złota uwydatniające barwy i skamieniałe muszelki w kamieniu. Pia wspinała się z trudem w górę, czując, jak pot spływa jej po twarzy, przeinaczając pielęgniarzski czepek, który miała na sobie. Kobieta dziękowała Bogu, że w tym roku spódnice poszły w górę - ledwo sięgały kostki.

- No dalej - powiedziała. - Tam w górze będziemy bezpieczne.

- Bezpieczne przez chwilę - powiedziała Lola. A potem: - Matko *boska* - gdy wydostały się na płaski dach wieży.

Ciano stało w ogniu. Słupy ognia zbiły się w kolumny pokrywające połowę obszaru, który kobiety mogły dostrzec. Ciężki i czarny dym spływał ze zboczy, przysyłając szosy wijące się przez doliny zbiegające ku Padzie. Dzielnica magazynów wzdłuż rzeki była cała zajęta, wielkie zbiorniki oliwy i brandy wyrzucały w górę rdzawe płomienie niczym rozliczne olbrzymie pochodnie.

- Nikt nie walczy z pożarami - wyszeptła do siebie Pia. Wodociągi musiały zostać zniszczone. A ulice przy dokach pełne były drewna, węgla, bawełny, wielu łatwopalnych materiałów. Czula żar na twarzy, wzmógł się w przeciągu tych kilku minut, od kiedy wyszły na płaski dach.

Lola rozejrzała się dookoła. - Co możemy zrobić?

- Czekać - rzekła Pia. - Czekać i modlić się.

Grzmot przetoczył się na wschodzie. Pia odwróciła powoli głowę. Niebo miało letnią barwę błękitu, poza ogromnymi kolumnami czarnego dymu. Deszcz byłby miłosierdziem, lecz Bóg poskąpił miłosierdzia ludziom Imperium. Dźwięk przetoczył się znowu, a potem jeszcze raz - zbyt regularny, by być gromem.

Deszcz nie nadejdzie. Ale Wybrańcy tak, to były ich działa. Pia opadła na kolana i przeżegnała się, podnosząc różaniec do ust.

*Przybądź po mnie, John, pomyślała. Przybądź szybko, mój ukochany.*

A potem zaczęła przygotowywać plan.

## Rozdział dziewiąty

- Ciano stoi w ogniu - powiedział Jeffrey Fan, otwierając oczy.

*Wynoś się stamtąd*, dodał w duchu, zwracając się do swego brata. Obrazy budynków osuwających się na ulice zwałami ognistego gruzu przeleciały mu przed oczami, gdy połączenie z Centrum zanikało.

- *Ya* - stwierdził radośnie Heinrich. - Może nie powinniśmy bombardować go tak mocno.

Spojrzał ku wschodowi, na dym, od którego zamgliło horyzont. Dało się słyszeć odległe *lup... lup* artylerii, powolne i regularne.

- Walki uliczne - ciągnął dalej oficer Wybrańców. - Może za bardzo ich przydusiliśmy. Jest tam ćwierć miliona żołnierzy, minus ci, którzy się wydostają, sieć nie jest całkowicie szczelna.

- Dlaczego po prostu nie pozwolicie mu się palić? - spytał Jeffrey.

- Naczelne dowództwo może na to pozwolić przez pewien czas. Chwała niech będzie Opatrzności, *my* nie zostaniemy w to od razu zapędzeni.

Ci z regimentu Heinricha, którzy przeżyli, zostali przeniesieni do rezerwy, choć niezupełnie wycofani z akcji. Sprawy jednak musiałyby przybrać zdecydowanie zły obrót, aby w najbliższym czasie skierowano ich z powrotem na linię frontu.

Ponad jedna trzecia żołnierzy zginęła, blokując ucieczkę Imperialnych przez tych kilka kluczowych godzin, a drugie tyle było rannych. Ci, którzy przeżyli, zostali teraz zakwaterowani na terenie wiejskiej posiadłości wielmoży. Widzieli w dali na wschodzie przesłonięte dymem budynki Ciano. Heinrich spędził ostatnich parę dni, gromadząc zapasy na świętowanie, jakie odbywało się wśród pokrzykiwań w ogrodach: woły i całe

świnie pieczone na rożnie, beczki stojące przy końcach stołów obłożonych jedzeniem. Ryk podniósł się wśród żołnierzy - a przynajmniej męskiej większości - gdy przez bramę przepędzono gromadkę kobiet.

Jeffrey odwrócił oczy i zignorował wrzaski. Nic nie może zrobić, zupełnie nic... na razie. Heinrich z wyrozumiałością spojrział rozpromieniony na scenę rozgrywającą się pod tarasem i odgryzł ostami kawałek mięsa z udka indyka, które trzymał w dłoni.

- Zasłużyli na nieco odpoczynku - powiedział, machinalnie gładząc biodro nagiej dziewczyny, która naląła mu ponownie kieliszek do pełna. - Cholernie dobrze się spisali.

Reszta oficerów, którzy przeżyli, była zgrupowana dokoła stołów na ogrodzonym balustradą tarasie. Byli mocno skupieni na uczcie, jaką dla swoich nowych panów przygotowała służba z willi. Większość Wybrańców jadła w domu dość umiarkowanie. W nie obfitującej w jedzenie Krainie czerwone mięso było luksusem dla wszystkich oprócz najbardziej zamożnych ludzi z wyższych sfer. Jeffrey przypomniał sobie, jak John mówił mu o tym, że piątkowa pieczeń wieprzowa stanowiła punkt kulminacyjny tygodnia, i to w rodzinie awansującego generała. Teraz, gdy opanowali największy obszar bogatych rolniczych terenów na Visager, Wybrańcy brali odwet za stracony czas.

Ta myśl poprawiła smak jedzenia. *Może zrobią się miękcy.*

>>Prawdopodobieństwo 87% plus minus 3, definiując „miękcy” jako znacznie zmniejszoną przydatność wojskową<< odpowiedziało Centrum.

Po ponad dziesięcioleciu obcowania z Centrum, Jeffrey wyczuwał niuanse w znaczeniu tych słów, mimo iż wydawały się być wytworami maszyny podobnie jak części silnika wychodzące spod tokarki.

*Ale?* - odpowiedział.

>>Znaczne zmniejszenie wymagałoby siedmiu pokoleń plus minus...<<

*Nieważne.*

Heinrich oderwał kolejne udko i przyciągnął dziewczynę na kolana. - Zwycięstwo, to jest cudowne! - powiedział.

- Taak - odparł Jeffrey Farr. *Będzie.*

\* \* \*

- Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytała Lola, odrywając ostatni kawałek halki.

- Nie - powiedziała Pia. - Ale jedyna inna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to czekanie tutaj na Wybrańców. Mój Giovanni nadejdzie - ale *spójrz* na to!

Ciano było największym miastem na świecie. Od wieków stanowiło *stolicę* świata, gdy Wszechświatowe Imperium było tym, co sugerowała jego nazwa, wyprowadzając ludzkość na Visager z Upadku. A teraz ginęło i zawdzięczało to głównie sobie.

\* \* \*

- Mamy znaleźć jakąś kobitkę w *tym*? - spytał Goms.

*Pewnie było bardziej tłoczno parę godzin temu*, pomyślał John.

- Jezus - dokończył żołnierz piechoty morskiej, kaszląc w gęstym powietrzu stanowiącym mieszaninę dymu oraz pyłu z cegieł i kamieni wzniesionego wybuchami.

- Odsunąć się! Odsunąć! - krzyknął kierowca, gdy z pół tuzina mężczyzn w imperialnych mundurach pognało ku samochodowi.

Zignorowali go, jeśli w ogóle usłyszeli. Ich twarze miały ten skupiony wyraz, niczym wystrugane z drewna, całkowitej desperacji w obliczu szansy na przetrwanie. Żołnierz piechoty morskiej uniósł karabin, zaklął i opuścił go.

- Jeśli dostaną się do samochodu, to już po nas - powiedział John.

- Ma rację - rzucił Harry. - Cholera...

Karabin wypalił nieprzyjemnie blisko ucha Johna. Był to ostrzegawczy strzał. John usłyszał ohydny świst rykoszetu, dostrzegł jasną iskrę tam, gdzie metalowa koszulka pocisku uderzyła o bruk. Imperialni zignorowali go. W ich ślad ruszyli następni z tłumu. Nikt z nich nie wyglądał na uzbrojonego - Imperialna armia uważała to miejsce za zupełne tyły jeszcze dzień albo dwa temu - ale było ich wielu, a wszyscy byli przekonani, iż ten samochód reprezentuje szansę na *wydotanie się* stąd. Pewnie nie myśleli o niczym więcej.

- Niech to diabli - rzucił cicho żołnierz i przesunął zamek.

- Pięć szybkich strzałów! - polecił kapral Wilton.

Żołnierze piechoty morskiej czekali z jednym palcem spoczywającym na spuście, a wskazującym pod zamkiem. BAM i poleciało pięć kul. *Klik* i wskazujący palec przesunął zamocowaną z tyłu dźwignię zamka. Napięcie sprężyny wystrzeliło zamek z powrotem o pół obrotu, jak tylko obracający się trzon zamkowy uwolnił blokujące uchwyty; szybkie szarpnięcie w tył i łuska zostaje wyrzucona; walnięcie dłonią i *czik-czak!* kolejny nabój jest w środku. Dobrze wyszkoleni ludzie potrafili tym sposobem oddać dwanaście strzałów na minutę, a wszyscy ci żołnierze piechoty morskiej mieli na ramionach patki



strzelców wyborowych.

Z zamarłym wyrazem twarzy John przyglądał się, jak pierwszy Imperialny zgiął się wpół niczym człowiek walnięty w brzuch - nawet z bliskiej odległości żołnierze celowali w środek ciężkości tak, jak byli tego uczeni. Imperialny zwałił się do przodu, osunąwszy twarzą w dół. Jego krew spływała po bruku. Huknęły strzały, szybkie, staranne, z półsekundową przerwą na wycelowanie. Nie musiał wydawać rozkazu *wstrzymać ogień*, gdy pozostali przy życiu odwrócili się, rzucając do ucieczki.

Wilton odciągnął zamek karabinu i kciukiem wepchnął pięcionabojowy ładunek do magazynka. Cynkowy pasek spinający naboje zadzwonił o bok samochodu. Tłum odpłynął od pojazdu, kręcąc się bez celu.

John sądził, iż przez jakiś czas nikt inny nie będzie próbował ukraść auta. Samochód stał w jednej z tych wąskich uliczek prowadzących na wielki *plaza* usytuowany przed stacją kolejową. Sama stacja nie płonęła... jeszcze... lecz szereg bomb pozostawił ciąg lejów na placu. Ślady po bombach prowadziły ku wysokim na dwadzieścia metrów kolumnom frontonu niczym strzałka na mapie. Na *plaza* tłoczno było od ciągniętych przez muły i konie wozów i karetek, pojazdów zaopatrzeniowych, a nawet kilku mechanicznych pojazdów personelu.

Większość pojazdów została porzucona, niektóre płonęły albo zostały wywrócone. Ranne zwierzęta kwiczały, ich głosy wzbijały się przeraźliwie ponad wołaniem setek - tysięcy - znajdujących się wewnątrz wielkiego budynku ludzi, dodając ostatni element do tego piekła. Ranni ludzie wylewali się przez wysokie drzwi z różanego drzewa na plac - wszyscy, którzy mogli się ruszać. Posuwać się chwiejnie, chwytając się ścian, podtrzymując wzajemnie lub czołgając. Wraz z nimi napływał falą smród śmierci i gangreny, na tyle silny, że kilku żołnierzom zrobiło się niedobrze.

- Panie - powiedział Harry. - Nigdy byśmy się tutaj nie dostali, gdybyśmy wyruszyli pół godziny później. I za cholere nie dojedziemy z powrotem do ambasady.

- Nie - rzekł John i uśmiechając się lekko, sprawdził pistolet, a potem wsunął go z powrotem w naramienną kaburę pod kurtkę. - Ale nie sądzę, abyśmy mieli dużo problemu ze znalezieniem mojej żony.

Skinął głową w stronę wieży po lewej. Ktoś na jej szczycie wywiesił dwa pasy jaskrawego materiału z bocznych okienek w środku przedniej ściany i kolejny pasek schodzący prosto w dół od miejsca, gdzie te się spotykały. Razem tworzyły strzałkę, wskazującą w górę ku szczytowi wieży. John wyjął lornetkę ze schowka przy tablicy rozdzielczej i skupił ją na maleńkiej postaci machającej znad wierzchołka strzałki.

- Chodźmy - powiedział.

\* \* \*

Kierowca odchrząknął. John puścił Pię i odsunął się. Nawet teraz, w tej kostnicy, żołnierze piechoty morskiej szczerzyli się w uśmiechu. Pia się zarumieniła i wsunęła kosmyki włosów pod czepek.

- Panie - powiedział Harry. - Nie uda nam się wrócić do ambasady.

- Nie, musimy wydostać się z miasta - rzekł z namysłem John.

Znajdowali się w jednej z hal załadunkowych stacji; mniej ciał, mniej jęczących, rozgorączkowanych rannych. Żaden z żołnierzy piechoty morskiej nie był, jak to się mówi, przewrażliwiony - wszyscy brali udział w walkach na Południowych Wyspach - lecz kilku z nich wyglądało blado. Tak jak i przyjaciółka Pii. Paru żołnierzy podawało jej uprzejmie agrafki do podpięcia porozrywanej sukni.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - spytał ponownie John.

- Tak dobrze jak to możliwe - powiedziała nieugięta Pia. - Nie możemy udać się do ambasady?

John potrząsnął głową. - Szaleją pożary, a na ulicach toczą się walki. Wybrańcy zaś są blisko zachodniego krańca miasta.

Pia zadrżała i skinęła głową. John obrócił się lekko.

- Sinderson - powiedział. - Czy nie mówiłeś, że zanim wstąpiłeś do wojska, pracowałeś dla Północnej Kolei Centralnej?

Sinderson spojrział na niego, mrugając. - Ano tak, niech cię Bóg zachowa, panie - powiedział. - Byłem motorniczym. Miałem drobne nieporozumienie z nadzorcą.

Ktoś rzucił teatralnym szeptem: - Raczej drobne nieporozumienie z jęgo córką.

- Za mną - rzekł John i zeskoczył z peronu. Żużel zachrzącał mu pod butami. Pomogli zejść kobietom i przeszli po torach do drugiego końca obszernej hali. - Tu, właśnie ta. Czy umiesz ją prowadzić?

Parowa lokomotywa i wagonik z paliwem stały skierowane ku wschodowi. Para wymykała się z kilku miejsc, przesłaniając zielono-złote logo Imperialnej Linii Doliny Padu.

- Pewnie, panie. To i tak model z Santander - standardowa 4-4-2, zbudowana na szerokie imperialne tory. To znaczy, jak będziemy mieć dość czasu, coby narobić pary, a to może chwilę potrwać.

- Jest pod parą - powiedział John. Centrum nakreśliło mu przed oczami schemat

termiczny.

- Ale gdzie byśmy nim pojechali, panie?

- Przynajmniej kawałek na wschód.

Żołnierze piechoty morskiej wyglądali na nieprzekonanych. - Ach, za przeproszeniem, panie - odezwał się kapral. - Ale czy wszędzie dokoła nie ma tych cholerników z Krainy?

- Może nie na wschodzie. A jeśli się na nich natkniemy, to mamy większe szanse obstawać przy naszym dyplomatycznym immunitacie, gdy będą w polu, pod kontrolą swoich oficerów, niż gdy zostaną wypuszczeni na miasto. Potrafię mówić po krajowemu i mam potrzebne papiery.

I słowa kodu, by udowodnić, że jest podwójnym agentem wojskowego wywiadu Krainy, jeśli by do tego doszło. Użyteczne w spotkaniu z wojskiem, choć Czwarte Biuro pewnie by go zabiło. Wywiad wojskowy był takim samym wrogiem dla Czwartego Biura jak wszystko w Santander.

- Ruszajmy - zakończył.

Podbiegli do lokomotywy, wdzięczni za to, że jej czysty zapach rozgrzanego żelaza, oleju i sadzy zabił smród rzeźni bijący od pozostawionych samych sobie umierających. John podniósł Pię, chwytając obiema rękoma w pasie, a potem jej przyjaciółkę. Trzech żołnierzy piechoty morskiej wdrapało się na stertę potłuczonego węgla wypełniającą wagon z paliwem, Reszta grupy wcisnęła się do kabiny.

- Będzie trochę ciasno - powiedział Sindera, stukając we wskaźniki i przyglądając się tarczom oraz poziomowi płynu w szklanych fiolkach z podziałkami. - Jest rozgrzana, mnóstwo pary. Przydałoby się trochę węgla... nie tak, ty durna tępoto!

Jeden z żołnierzy cofnął gwałtownie dłoń od uchwytu skrzyni paleniskowej osadzonej w wysuniętym łuku ściany kabiny.

- Weź szufłę! - powiedział Sindera. - Wyłóż mi trochę, a ja ruszę tę sukę, za przeproszeniem pani - rzekł do Pii.

John zdjął z półki zużyte narzędzie o długim uchwycie, przeciskając się przez stłoczonych mężczyzn i kobiety. Poczł gładkość jesionowego drewna w dłoni. Przesunął rączkę w górę i w bok, otwierając podłużne, żeliwne drzwiczki od pieca wielkości tacy. Zaczepił je o hak po drugiej stronie. Gorące, suche powietrze buchnęło do środka kabiny lokomotywy wraz z zapachem siarki i rozgrzanego metalu.

- Wilton, idź z pozostałymi do tyłu, na wagon z paliwem, będzie mi tu potrzebne trochę miejsca. Kochanie, czy ty i...

- Lola. Lola Chiavri - powiedziała druga kobieta.

- Panna Chiavri, możecie usiąść na tych ławkach. - Krótkie, żelazne siedzenia przybito pod ukośnymi okienkami z boku, w tylnej części kabiny, tak, żeby nie będący na służbie palacz mógł usiąść i przyglądać się torom.

John splunął sobie na dłonie i wbił szufłę w węgiel, który wylatywał ze zsuwni z tyłu kabiny.

- Rozrzuc to troszkę, panie - powiedział Sindera, obracając pokrętło zaworu i kładąc rękę na jednej z długich dźwigni. - Nie za dużo. Wiesz, tak poodbijaj szufłą od tego łuku z ogniotrwałej cegły z przodu pieca.

John mruknął w odpowiedzi. Przy drugiej i trzeciej szufli załapał, o co chodzi, lekki obrót nadgarstków. *Ktoś będzie mnie musiał zmienić*, pomyślał. Był wystarczająco silny i sprawny do wykonywania tego zadania, lecz na rękach nie miał zgrubiałej na cał skóry, jaką miałby ktoś, kto wykonuje tę pracę zawodowo.

*PAFF. PAFF.* Para buchnęła z napędowych cylindrów z przodu lokomotywy.

- Podsypuj, panie. Zaraz będzie gotowa. - Sindera zaparł się stopą i pociągnął za kolejną dźwignię. - Niech to diabli, powinni ją nasmarować już dawno temu. Cholerna robota szmaciarzy.

Dał się słyszeć zgrzytliwy pisk metalu pocierającego o metal, gdy koła napędzające obróciły się raz na torach, zapach ozonu, krótki deszcz iskier. A potem lokomotywa ruszyła, kołysząc się, zwolniła, znowu się zakołysała i z monotonnym *czujf... czujf* wypuszczanej pary nabrała szybkości. Pia uśmiechnęła się do Johna, gdy ten odwrócił się po kolejną szufłę węgla, a on odpowiedział jej uśmiechem.

- Udało się, na Boga - powiedział, a potem odpukał o trzonek szufli.

Gdy wyjechali ze stacji kolejowej, załało ich jasne światło słoneczne. John zatrzasnął drzwi pieca i walnął Sindera po ramieniu.

- Zatrzymaj się tuż przed sygnalizatorem i wypuść mnie na moment - powiedział do żołnierza, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas. - Przetawię nas na główne tory.

Żołnierz spojrzał z powątpiewaniem na skomplikowaną sieć torów. - Pewniście... tak jest.

John wyskoczył z łomem w ręce. Woniejący ostro smołą i popiołem żwir zachrząścił mu pod nogami. Osiadł mu warstewką na brudnej powierzchni tego, co kiedyś było paradnymi butami. Uśmiechnął się krzywo na ten widok. Na chwilę podniósł wzroki spojrzał w oczy Pii. Ona też się uśmiechała, a John wiedział, że z tego samego powodu.

*To jest dopiero kobieta*, powiedział w duchu, odwracając się i pozwalając Centrum wysświetlić migotliwy schemat. Szybko wróciła do równowagi.

>>Połączenia są tutaj... i tutaj.<<

*Dzięki*, pomyślał mimowolnie.

>>Nie ma za co.<<

Wbił stal w lukę pomiędzy dwiema szynami i nacisnął. *Po tych wszystkich latach wciąż nie wiem, czy Centrum ma poczucie humoru.*

>>Ani ja, jeśli to jest jakieś pocieszenie<< odparł Raj.

*Czank.* Zwrotnice zsunęły się. Pobiegł sto jardów wzdłuż torów i powtórzył tę czynność, a potem zamachał. Lokomotywa odpowiedziała obłokiem pary i zgrzytem stali ocierającej się o stal, gdy Sinderson wdusił przepustnicę. Na jego znak ręką ciuchcia pojechała dalej. Potruchtał obok, chwycił za klamrę, stęknął, zrobił jeszcze dwa kroki i podciągnął się do zatłoczonej kabiny.

Spojrzał przed siebie, na południowy wschód. Tory były wolne. - Jedźmy do domu - powiedział.

- Do domu - wyszeptala Pia. Wtuliła twarz w pierś Johna, a on objął ją ramieniem.

\* \* \*

Pia zbladła, ześliznąwszy się z siodła. Zagryzła ponownie usta z bólu. Lola chlipała, ale po cichu, a on sam odczuwał rezultaty całych dni ostrej jazdy. Żołnierze piechoty morskiej byli w gorszym stanie niż John. Byli sprawnymi mężczyznami, ale piechurami, nie przywykłymi do spędzania dużej ilości czasu w siodle.

- Zajmijcie się końmi - powiedział John, spoglądając w górę zbocza na zagajnik wiecznie zielonych dębów.

Znajdowali się tylko sto mil od Cieśniny, a krajobraz robił się coraz bardziej górzysty. Za nimi leżała równina środkowych nizin z bogatymi glebami. Znajdowali się w bardziej suchej, surowszej krainie. Tymianek i *arbutus* [Wiecznie zielone drzewo lub krzew o białych albo różowych wonnych kwiatach i czerwonych jagodach. [Przypis tłum.]] przepełniały powietrze swoją wonią, gdy on wdrapywał się szybko na grzbiet pagórka. Po drugiej stronie widać było pofalowane wzgórza, głównie pokryte zaroślami, czasem trafiał się gaj oliwny, tarasowa winnica lub zagłębienie wypełnione bladym ścierniskiem po jęczmieniu. Czasami kępy kłującej trawy powiewały na wysokości dziesięciu metrów. Kłaczowate rodzime rośliny były prawie niemożliwe do wytopienia, lecz pojedyncze kępy nigdy nie rozprzestrzeniały się poza te nisze, gdzie

poziom wilgotności i minerałów w glebie był absolutnie odpowiedni. I pylista, szarobiała droga, wijąca się kilka tysięcy jardów pod nimi. A na niej, nadchodzący z północy...

John poczuł ulgę. To nie była kolumna Wybrańców. Bezkształtna zbieranina ludzi zgrupowana wokół jakiegoś pół tuzina dwukółek zaprzężonych w woły, kilku ludzi na koniach, ale głównie cywile piechotą, niektórzy ciągnęli wózki wyładowane swym dobytkiem.

- Uciekinierzy - powiedział, gdy pojawiła się Pia i kilku żołnierzy. - Możemy przemknąć. Zaczekajcie.

Znowu przypadł płasko do ziemi i uniósł lornetkę. Pozostałym nie trzeba było wiele mówić. Cztery tygodnie przedzierania się na południe przez umierające Imperium było samo w sobie wystarczającą szkołą dla wszystkich. Żołnierze wylewający się zza wzgórz po drugiej stronie drogi byli wielkości mrówek, lecz z niczym nie dało się pomylić precyzyjnej skuteczności, z jaką przeszli z kolumny w szereg. Połowa była wierzchem - na mułach - druga połowa truchtała pieszo obok, trzymając się jedną ręką żelaznego strzemienia.

>>Jednostka mobilnych sił Wybrańców<< powiedział Raj. >>W ten sposób można się szybko poruszać, o jedną trzecią szybciej niż w przypadku maszerującej piechoty.<<

Teraz wszyscy żołnierze Krainy zsiadali. Pomocnicy z mułami szli na tyły, a strzelcy ustawiali się w rozciągnięty szereg. Przeszła jasna, połyskująca fala, gdy nasadzili bagnety. Inni podnosili coś z koszy umieszczonych na grzbietach juczych mułów, pochylając się nad podnoszonymi rzeczami.

>>Karabiny maszynowe<< stwierdziło Centrum.

- Chryste na krzyżu - wyszeptał Smith. - Oni zamierzają...

Uciekinierzy wreszcie zauważyli żołnierzy Wybrańców. Garstka z nich zaczęła zbiegać z drogi, ku wschodowi, mniej więcej w tej samej chwili gdy żołnierze Krainy otworzyli ogień. Karabiny maszynowe skupiły się najpierw na tych uciekających. Maleńkie postacie dygotały, przewracały się i padały. Reszta uciekinierów kręciła się w miejscu albo rzucała się do rowów. Dwóch mężczyzn wierzchem pokonało połowę odległości do miejsca, gdzie leżał John. Jeden z nich miał kobietę posadzoną na łąku siodła przed sobą. Kule wzbijały kurz dokoła nich, krzesząc iskry na skałach. Samotny mężczyzna spadł, a jego koń przetoczył się przez niego, wierzgając. Drugi koń osuwał się wolniej. Grupa żołnierzy skoczyła ku niemu. Jeździec stał i strzelał z pistoletu.

Długa struga czarnego prochowego dymu rozwiała się. Przedtem jednak mężczyzna zatoczył się do tyłu. Wypaliły trzy karabiny z Krainy, a John zobaczył, że dwa trafiły. Mężczyzna opadł bezwładnie. Kobieta próbowała uciekać, niosąc coś, co ją opóźniało, lecz protegowani żołnierze dopadli ją, zanim zrobiła tuzin kroków. Wydawało się, że się potknęła, a potem padła do przodu, wiotcząc ostatecznie. Dał się słyszeć cichy trzask. Jeden z żołnierzy wbił jej bagnet w plecy i wyciągnął go szarpnięciem. Ciało zadygotało i zabiło nogami. Drugi kopnięciem wytrącił coś z jej wyciągniętej dłoni, podniósł, a potem odrzucił z pełnym irytacji gestem. Wylądowało to na tyle blisko grzbietu, że John widział, co to jest - kieszonkowy pistolecik, damska zabaweczka ze złoczonej stali i kości słoniowej.

John odwrócił głowę w bok, zamykając uszy przed wrzaskami dochodzącymi z drogi i szeptanymi przekleństwami Smitha i żołnierzy. To sprawiło, iż zobaczył twarz Pii. Równie dobrze mogła być wyrzeźbiona z kości słoniowej. Przez moment widział, jak jego żona będzie wyglądać jako stara kobieta - twarz zapadnięta na słabych kościach, jedna z tych odzianych w czerń matron, jakie spotykał tak często na imperialnych wieczorkach towarzyskich. Często też myślał, że lepiej pokierowałyby Imperium od swoich obwieszonych medalami małżonków.

Żołnierze Krainy pozostawili dość uciekinierów przy życiu, aby pomogli odciągnąć z drogi ciała i wraki pojazdów. A potem ustawili ich w rzędzie z typowym dla Wybrańców zamilowaniem do porządku i zabrzmiała ostatnia salwa. Kolumna uformowała się na żwirowej nawierzchni przy wtórze powolnego *krak... krak...* automatu oficera wykańczającego rannych. A potem ruszyli na lewo od grupy z Santander, zmierzając na północ drogą wijącą się przez bure wzgórza.

John odczekał, dając znak pozostałym wyciągniętą dłonią, aby leżeli. Minęło pięć minut, a potem dziesięć. Słońce prażyło. Pot skapywał mu z brody, szczypiąc po zadrapaniach i spływał z głuchym *plop*, tworząc ciemne plamki w pyłe kilka cali od jego twarzy. A potem...

- A no właśnie - wymruczał.

Żołnierze Krainy podnieśli się z miejsc, gdzie ukryli się pośród przewracanych ciał i wozów, ustawili się w kolumnę, z karabinami na ramieniu, i pomaszzerowali za swymi towarzyszami.

- Ale sztuczka - stwierdził Smith. - Co robimy teraz, panie?

- Zejdziemy tam - powiedział John, wyciągając rękę, aby pomóc Pii się podnieść. - Zabierzemy zapasy i ruszymy na południe drogą ku Salini tak szybko, jak konie

zdołają.

Pia spojrzała ku drodze i szybko odwróciła wzrok. Smith się zawahał. - Ach, panie... jeśli nie masz nic przeciwko...

- Zrób to - powiedział John. Smith wzruszył ramionami i odwrócił się, aby zawołać pozostałych.

>>Wyjaśnienie nic nie zaszkodzi, jeśli nie jest to kwestia dyscypliny<< ponaglił go Raj.

John skinął głową - Rajowi, lecz Smith dostrzegł ten gest i zatrzymał się.

- Droga możemy się szybciej poruszać - powiedział John. - Tym szybciej, jeśli nie będziemy się musieli zatrzymywać po jedzenie ani owies dla koni. Ta jednostka oczyszczała drogę dla regimentu bojowego. Ze świeżymi końmi możemy im uciec.

Smith zamrugał z namysłem, a potem się wyprostował. - Tak jest - powiedział, uśmiechając się nieco wymuszenie. - Po prostu nie podobał mi się pomysł, żeby no...

Pia ścisnęła rękę Johna. - To się przydarza słabym - stwierdziła nieoczekiwanie. - My wszyscy będziemy musieli stać się... bardzo silni, panie Smith. Naprawdę bardzo silni.

Grupa z Santander przeszła przez grzbiet, schodząc w dół zbocza ku drodze, prowadząc konie po wyboistej, nierównej powierzchni usianej kolczastymi krzewami. Podkute kopyta waliły o ziemię, stukały o skały, sypiąc od czasu do czasu iskrą. Żaden z ludzi się nie odezwał. Apotem John uniósł głowę.

*Co to za dźwięk?* - pomyślał.

Cienkie kwilenie. Pia się zatrzymała. - Cicho! - powiedziała.

John podniósł rękę i grupa się zatrzymała. Głos stał się wyraźniejszy, lecz miał pewną dziwną cechę charakterystyczną dla niektórych dźwięków. Zdawał się dochodzić zewsząd.

>>Ten dźwięk to...<< zaczęło Centrum.

Pia puściła dłoń Johna i podeszła do ciała kobiety, która się zastrzeliła, nie chcąc być pochwycona przez żołnierzy Krainy. John otworzył usta, aby ją zawołać, a potem je zamknął. Pia zapewne - z pewnością - widziała gorsze rzeczy w polowym szpitalu w Ciano.

Dziewczyna przetoczyła ciało kobiety na plecy. John widział, jak zbladła. Kula pistoletowa o miękkim czubku weszła pod brodą kobiety i wysłała przez grzbiet nosa, zabierając ze sobą większość środkowej części twarzy. Nie była to natychmiastowa śmierć, ale trudno powiedzieć, czy najpierw wykrwawiła się od tego, czy od rany



zadanej bagnetem w nerkę.

>>...to niemowlę<< dokończyło Centrum, gdy Pia podniosła opatulone w materiał zawiniątko z miejsca, gdzie skrywało je ciało kobiety. Pia przyklękła i rozwinęła powijaki. John się zbliżył, na tyle, by zobaczyć, iż jest to zdrowy, nie poraniony chłopczek, mający około trzech miesięcy. Uspokojone dotykiem dziecko wydało z siebie nie dające się z niczym pomylić zawodzenie. Wyraźnie też trzeba było je przewinać. Pia oderwała kawałek materiału z zewnętrznego okrycia, improwizując!

- Na siodle tego konia jest przenośna kołyska, jak sądzę - powiedziała, nie podnosząc wzroku. - Może ktoś by mi ją przyniósł, oszczędzając nam czas?

>>Nawet nie próbuj, chłopcze<< powiedział Raj w myślach Johna.

Przez głowę Johna przemknęły koszmarnie obrazy siebie samego próbującego przekonać Pię, że nie da się zabrać oseska na forsowny marsz przez rozpadające się Imperium. Uśmiechnął się tylko krzywo.

*A poza tym, pomyślał, spoglądając na drogę, dość już tutaj było śmierci.*

- Sindera, zrób tak - powiedział na głos. - Ruszajmy. I jeśli jest żywa koza do karmienia, to niech ktoś ją zwiąże i przerzuci przez jednego z luzaków.

## Rozdział dziesiąty

Tłum wypełniający nabrzeże Salini wydawał dźwięk niczym fale na zwirowej plaży: ostry, czasami głośniejszy, czasami cichszy, nigdy jednak nie milknący. Bezduszne, nieludzkie powarkiwanie.

Mostek strzeżonego krążownika *Miasto McCormick* także był zatłoczony. Wielu z obecnych było cywilami przybyłymi tylko po to, żeby porozmawiać z komandorem Maurice'em Farrem, głównodowodzącym oficerem pierwszej eskadry zwiadowczej. Ta sytuacja nie podobała się Farrowi. Kapitan okrętu flagowego, Dundonald, był wściekły, choć na głos dał jedynie do zrozumienia, iż kabina admirała na wyższym poziomie na rufie dałaby komandorowi więcej miejsca.

Farr współczuł swojemu podwładnemu, ale „podwładny” było tu słowem kluczowym. Nie miał zamiaru usuwać się do tego dość odizolowanego miejsca, jednocześnie próbując „rozplatać grzywę klaczy”, jakim to zadaniem była ewakuacja obywateli Santander i ich rodzin z Salini. Farr sypiał w kabinie kapitana koło mostka, zmuszając Dundonalda do ustawienia pryczy w bibliotece oficerskiej na pokładzie poniżej.

- Komandorze Farr - powiedział Cooley, rzecznik kapitanów pięciu frachtowców z Santander zakotwiczonych u ujścia płytkiej zatoki służącej Salini i za port - chcę, abyś wiedział, że jeśli nie pomożesz nam, obywatelom, jak nakazują ci rozkazy, to odpowiesz przed cholernie ważnymi ludźmi! Senator Beemody jest partnerem w Spółce Handlowej Morgana, są też inni ludzie, którzy równie głośno gadają, choć może nie publicznie.

Trzech innych cywilnych kapitanów pokiwało znacząco głowami, choć posiwiały stary Fitzwilliams miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na

zażenowanego. Fitz opuścił marynarkę po dwunastu latach jako porucznik, widząc, iż w okresie pokoju nigdy nie zajdzie dalej. Było to dawno temu, lecz słuchanie tego, jak cywil grozi oficerowi marynarki politycznymi konsekwencjami, wciąż działało na Fitzwilliamsa podobnie jak na samego Farra.

- Dziękuję ci, kapitanie Cooley - powiedział Farr. - Rozważę twe ostrzeżenie z całą należną mu uwagą. A jeśli chodzi o szczegóły twojej prośby...

Odwrócił się twarzą ku brzegowi, przyciągając uwagę cywili do tego, co oczywiste. Na nabrzeżu Salini roilo się od obdartych, zdesperowanych ludzi. Tak było wszędzie, gdzie sięgał wzrok. *Miasto McCormick* i dwa cywilne promy wynajęte przez rząd Santander były przycumowane przy Zachodnim Nabrzeżu. Stu żołnierzy piechoty morskiej Santander i uzbrojonych marynarzy z nasadzonymi bagnetami strzegło mola.

Za nimi sześciu członków personelu konsulatu Santander w Salini siedziało przy stołach na kozłach zbitych z desek. Wicekonsulowie próbowali dopasować nazwiska starających się o wejście na pokład do spisu obywateli Santander w Imperium.

Było to prawie beznadziejne zadanie. Nie więcej niż połowa obywateli odwiedzających Unię zadała sobie trud zarejestrowania się. Personel konsulatu został zmuszony do podejmowania decyzji na podstawie przecucia i tego, jak bardzo śniado wyglądał zgłaszający się.

Każdy człowiek w Salini - a musiało ich być ze trzydzieści tysięcy, bowiem uciekinierzy napłynęli na południe niczym fala uderzeniowa przed niepowstrzymanymi kolumnami Wybrańców - chciał dostać się na pokład tych dwóch promów. Oddział wartowników Farra już posłużył się bagnetami, aby powstrzymać tłum. Wkrótce będą musieli strzelać nad głowami motłochu, a nawet to nie na długo powstrzyma zdesperowanych ludzi.

- Panowie - powiedział Farr. - Magazyny przy ulicy Nadbrzeżnej równie dobrze mogłyby się znajdować na Starej Ziemi, jeśli chodzi o szanse odzyskania ich zawartości dla waszych mocodawców. Gdybym wysadził każdego człowieka z mojej eskadry i tak nie udałoby mi się oczyścić dla was nabrzeża. A wówczas co byście zrobili? Przenieśli towary do ładowni przy pomocy życzeń? W Salini nie ma teraz żadnych tragarzy. Nie ma niczego poza spanikowanym tłumem.

Oddział wartowników Farra mazał farbą włosy nad czołem zgłaszającym się, gdy wpuszczano ich na molo. Był to jedyny sposób, aby w tym zamieszaniu uniemożliwić uchodźcom stawanie w kolejce raz po raz, utrudniając jeszcze bardziej ten i tak ciężki

proces.

Kobieta w średnim wieku z szarą plamą na czole skoczyła na stół z nieoczekiwaną zwinnością, a potem zeskoczyła na drugą stronę mimo prób pochwylenia jej przez znużonego wice-konsula. Pognała po molo. Dwóch żołnierzy przy trapie znajdującego się najbliżej promu postąpiło do przodu, aby zastąpić jej drogę.

Z nieartykułowanym okrzykiem kobieta rzuciła się do zatoki. Trysnęła oleista woda. Jeden z kutrów z Santander patrolujących w celu przechwytywania pływaków dopłynął w to miejsce, lecz Farr nie widział, aby kobieta wypłynęła.

- W magazynie Paxa i Morhana jest dojrzewający tytoń wart jakieś dwieście tysięcy - powiedział Cooley. - Chrystus wie, co jeszcze. Senator Beemody nie będzie zadowolony, jak się dowie, że za bardzo zwlekał z przywiezieniem go.

Tym razem po prostu stwierdzał fakty, a nie groził.

Długie Nabrzeże Salini było puste. Dwa statki znajdujące się przy Wschodnim Nabrzeżu, niesamowicie przegniłe, zatoniły w miejscu cumowania dziesięć lat temu.

Krażownik *Imperatorka Giulia Moro* o drewnianym kadłubie wciąż unosił się koło Nabrzeża Marynarki po drugiej stronie zatoki, lecz wyraźnie miał przechył na rufie. *Moro* wypłynął tydzień temu wraz z resztą Drugiej Imperialnej Floty zgodnie z rozkazami ministerstwa w Ciano. Druga Flota była zbieraniną statków. Poza kiepskim stanem technicznym i niewystarczającą ilością załogi, wszystkie te statki miały jeszcze jedną rzecz wspólną: dość płytkie zanurzenie. To czyniło pływanie po Cieśninie mniej ryzykownym niż w przypadku cięższych statków, jako że standardy nawigacji imperialnej marynarki były nie lepsze niż standardy kanonierskie.

*Moro* przykuśtykał z powrotem do swego doku sześć godzin temu. Nie opuścił jeszcze przystani, a już spojenia rufowe miał w tak fatalnym stanie, że groziło mu zatonięcie. Teraz jego pokłady wypakowane były uciekinierami, którzy woleli złudzenie bycia na pokładzie od czekania na lądzie na bagnety Wybrańców.

Załoga *Moro* zniknęła w szalupach statkowych, zmierzając na drugą stronę Cieśniny, do Dubuku w Santander. Farr nie mógł ich za to winić, pewnie byli to jedyni ludzie floty, jacy uszli z życiem - chyba że inne statki też się wyrwały i uciekły.

Parowy kuter, sapiąc, podpływał ku lewej burcie *Miasta McCormick*, po przeciwnej stronie od mola. Na maszcie powiewała flaga Sierry. Dyplomaci? W każdym razie kolejne komplikacje w dniu, który i tak w nie obfitował. Załoga kapitana Dundonalda mogła się przez chwilę zająć tą sprawą. . Jeszcze jednym cywilem obecnym na mostku był człowiek, po którego Farr posłał uzbrojonych strażników:

Henry Cargill, konsul Santander w Salini, urzędnik, którego działania Farr miał wspierać. Odwracając się od relingu na mostku - mocno wypolerowany mosiądz, krzepiąco ciepły w całym tym chaosie - Farr utkwiał gniewne spojrzenie w wyglądającym na wymęczonego konsulu.

- Panie Cargill - powiedział Farr - jeśli wkrótce nie dokonamy ewakuacji tego portu, nastąpią zamieszki zakończone masakrą. Nie mam ochoty strzelać do nieszczęsnych imperialnych obywateli, i mam jeszcze mniejszą ochotę przyglądać się, jak ci obywatele traktują marynarzy. Kiedy możemy stąd odpłynąć?

- Nie wiem - rzekł konsul. Potrząsnął głową, a potem powtórzył gniewnie: - Nie wiem, do cholery, komandorze, ale wiem, że stałoby się to prędzej, gdybyś pozwolił mi wrócić do stołów. Mam zmienić teraz Hoxleya - na godzinę. Tylko tyle się prześpi aż do jutrzejszej północy!

Cargill machnął ręką ku nabrzeżu. Uciekinierzy stali tak nieruchomo jak woda za tamą - podobnie gotowi do ruszenia z rykiem. Jeśli w szeregu personelu z Santander pojawi się choćby szczelina.

- Nadciągają z północy szybciej, niż możemy załatwić tych, którzy już są - ciągnął dalej. - Oficjalnie mam rozkazy, aby pomóc w powrocie obywateli Santander do Republiki. *Nieoficjalnie*, rząd bardzo by się zaniepokoił, gdyby wielka liczba uchodźców bez grosza zalała Santander.

Grupa uzbrojonych ludzi przepchnęła się przez tłum do molo. Farr spiął się, przygotowując do konfrontacji, a potem odprężył, gdy oddział wartowników pozwolił nowo przybyłym przejść, nie malując im czoł. Były między nimi kobiety, a jeśli wzrok nie myli! Farr z tej odległości, niektórzy z mężczyzn mieli na sobie części *paradnego* munduru piechoty morskiej Santander.

Cargill zacytował z goryczą - „Ministerstwo ufa, iż posłużysz się swoim własnym osądem, aby uniknąć sytuacji, która może postawić rząd w trudnym położeniu i wciągnąć Republikę w spory, które nie są naszą sprawą.” Kurier, który to przyniósł, zniszczył tę wiadomość na moich oczach, po tym, jak ją przeczytałem, jestem jednak pewien, że minister pamięta, co napisał. A nie zdziwiłbym się, gdyby prezydent także!

Farr spojrzał na konsula z przyływem współczucia, jakiego się nie spodziewał w stosunku do człowieka, który opóźnił odpłynięcie eskadry. Urzędnicy konsulatu nie byli jedynymi ludźmi, którzy mieli zostać kozłami ofiarnymi swoich przełożonych, gdyby ta akcja miała negatywne polityczne reperkusje. - Rozumiem - powiedział. - Doceniam twoją szczerłość, panie. Pozwolę ci powrócić do twych...

Podporucznik Tillingast, oficer pokładowy *Miasta McCormick*, wszedł na mostek, wyglądając na zdenerwowanego. Za nim znajdowało się dwóch uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej i cywil w sztormiaku, bez nakrycia głowy.

Tillingast przeniósł spojrzenie z Farra na kapitana Dundonalda, który krótko skinął głową komandorowi. Farr dowodził eskadrą, lecz *nie miał* bezpośredniej zwierzchności nad załogą okrętu flagowego. Wydając rozkazy, starał się sumiennie nie pomijać Dundonalda, lecz wiedzeni naturalnym instynktem ludzie zwracali się w tej kryzysowej sytuacji bezpośrednio do najwyższego ranga.

- Panie, przybył na kutrze parowym - powiedział Tillingast. - Pomyślałem, że powinienem go od razu przyprowadzić.

Obcy przybysz zdjął sztormiak i złożywszy go starannie, przerzucił sobie przez lewe przedramię. Nosił czarno-srebrny mundur wyjściowy porucznika wojsk Krainy, z ciemnoniebieskimi patkami marynarki wojennej na kołnierzu i plecionką jednostki zwisającą z prawego epoletu. Aby dokończyć transformacji, nałożył kapelusz, jaki miał pod przeciwdeszczowym płaszczem.

- Nie jestem oczywiście szpiegiem - przemówił z chłodnym uśmiechem do zaskoczonych słuchaczy oficer Krainy. Był małym, jasnowłosym człowieczkiem, jednak równie twardym co marmurowy posąg. - Ten wybieg był konieczny, jako że nie byliśmy pewni, czy te bydlęta tam...

Gestem wskazał na zatłoczone nabrzeże.

- ... rozpoznają flagę oznaczającą rozejm.

Stając na baczność, ciągnął dalej: - Komandorze Farr, jestem *Leutnant der See* Helmut Wiess, porucznik *Unterkapitan der See* Elise Eberdorf, dowódcy Trzeciej Eskadry Krążowników.

Zasalutował. Farr odpowiedział salutem, czując, jak w jego duszę wkrada się kamienny chłód, który ścisnął ją każdego dnia w czasie służby, jaką pełnił jako attache wojskowy w Krainie.

- Mam przekazać wyrazy uszanowania od *Unterkapitan* Eberdorf - powiedział Weiss - i poinformować cię, iż daje wam godzinę na to, by neutralne statki opuściły port Salini, zanim zaatakujemy.

- Rozumiem - rzekł beznamiętnie Farr.

Statki eskadry Farra były niemalże tak samo heterogeniczną grupą jak Druga Imperialna Flota. *Miasto McCormick* było pięknym statkiem - sześć tysięcy ton, dwadzieścia węzłów, i tylko pięcioletnim. Okręt miał zamontowane ośmiocalowe

działa w podwójnych wieżyczkach na dziobie i rufie, i pomocniczą baterię pięciocalowych szybkostrzelnych działek w dziesięciu osobnych barbetach burtowych [Platforma wystająca z burt statku. [Przypis tłum.]] na nadbudówce. *Randall* był o pięć lat starszy, powolniejszy i miał cztery pojedyncze ośmiocalowe działka za cienkimi osłonami strzeleckimi na dziobie i rufie. Farr był ze szkoły, która uważała, iż pancierz cieńszy niż trzy cale służył jedynie do detonowania pocisków, które w przeciwnym razie mogłyby przejść przez pancierz, wyrządzając tylko niewielkie szkody.

Przynajmniej pomocnicza bateria *Randalla* została w zeszłym roku zastąpiona pięciocalowymi, szybkostrzelnymi działkami. Działa, w których używano kiełbasowatych ładunków zamiast metalowych pocisków, ładowały się zbyt wolno, by odpowiedzieć na atak torpedowy.

*Lumberton* był jeszcze starszy, z ośmiocalowymi działami o krótkich lufach i pomocniczą baterią sześciocalowych, wolno strzelających dział, które były nieprzydatne już gdy je projektowano - mniej więcej w czasie, gdy Farr był kadetem. I w końcu najgorszy, *Miasteczko Waccachee*, który miał żelazny pancierz na drewnianym kadłubie, podobnie jak nieszczęsna *Imperatorka Giulia Moro* po drugiej stronie zatoki. Statek nigdy w czasie swojej służby nie rozwinął trzynastu węzłów.

- Zaatakować co? - spytał kapitan Dundonald. - Na Boga, człowieku! Czy to wygląda dla ciebie jak instalacja wojskowa?

Porucznik Weiss się zaśmiał. - Tak, cóż - powiedział. - Musicie zrozumieć, szanowni panowie, że choć bez wątpienia doprowadzenie tych bydląt do stanu odpowiedniej potulności zajmie rok albo dwa, to najpierw musimy zamknąć drzwi klatki. Poza tym eskadra potrzebuje poćwiczyć strzelanie. Eskortowaliśmy transporty w Coronie.

Zlustrował *Moro*. Jaskrawo odziani uciekinierzy sprawiali wrażenie, jakby statek został oflagowany na galowy przegląd marynarki, w jakim lubowało się Imperium. - Z tego, co mówili obecni w Coronie, główna flota imperialna nie prezentowała sobą większego niebezpieczeństwa niż to pudło.

Farr spróbował oczyścić umysł. Obraz pocisków walących w masę ludzi zgromadzoną na *Moro* był zbyt wyraźny; można było to dostrzec na jego twarzy. A gdyby się odezwał, to z jego ust wyrwałoby się coś nieprofesjonalnego.

- Komandorze - powiedział zdyszany podporucznik Tillingast, wpadając znowu na mostek.

- Podporuczniku! - krzyknął Farr. - Co sobie, u *diabła*, myślisz, wpadając tak...

- Twój syn, panie - powiedział Tillingast.

- Jeffrey? - wykrztusił Farr. Pożałował, że to powiedział, jeszcze zanim John Hosten wszedł przez właz do kabiny.

John lekko kulał. Stracił ze dwadzieścia funtów od czasu, gdy Farr widział go po raz ostatni i, pomyślał Farr, chłopak stracił również swoją niewinność.

- Panie, przykro mi - powiedział John. - Rozdzielono nas z Jeffreyem w Ciano. Był w Coronie, gdy...

Wyglądało na to, iż John dobiera słowa tak starannie, jak mu na to pozwala zmęczenie i brak snu. Farr widział, jak oczy jego syna przesunęły się po mundurze Weissa nie mrugnawszy nawet.

- Gdy ostatnio rozmawialiśmy - podjął John - Jeffrey zamierzał stawić się w grupie dowodzenia Wybrańców. Uważał związanie się z siłami Krainy za bardziej korzystne dla swojej zawodowej kariery i wojsk Republiki niż pozostanie z Imperialnymi.

Porucznik Weiss pozwolił sobie na lekki uśmieszek. Kapitan Dundonad odwrócił się ostentacyjnie.

- Jestem przekonany, iż póki moi synowie żyją, będą wypełniać swe obywatelskie obowiązki wobec Republiki Santander - powiedział Farr głosem spokojnym niczym fala wzbierająca na głębokiej wodzie. - Tak jak ich ojciec.

Jeśli byli w pełnym składzie - co było prawdopodobne, jako że Weiss powiedział, że nie brali udziału w akcji - to Trzecia Eskadra Krążowników Krainy będzie się składała z czterech prawie identycznych nowoczesnych jednostek. Były to doskonałe okręty morskie, szybsze nawet od *Miasta McCormick* - chyba że ich kadłuby były uszkodzone; nie zakładaj, że wróg ma dziesięć stóp wzrostu, ale bądź przygotowany na wypadek, gdyby tak było.

A z drugiej strony, krążowniki były małymi statkami, mniej niż trzy tysiące standardowej wyporności. Dziesięć dziesięciocalowych szybkostrzelnych działek na barbetach kadłuba nie stanowi poważnego zagrożenia dla eskadry Farra... ale trzy luki torpedowe to inna sprawa. Corona stanowiła dowód, jak skuteczne mogą być torpedy Wybrańców.

- Poruczniku Weiss - powiedział Farr. - Zanim odpowiem na twoją wiadomość, muszę wydać rozkazy załodze. Chciałbym, abyś był obecny, by przekazać twoim przełożonym pełne sprawozdanie.

Dla podkreślenia skinienia głową Weiss stuknął obcasami.



- Dowódco Grisson - Farr zwrócił się do swego sekretarza sztabu - daj znać eskadrze „wypływamy za dziesięć minut”.

Był to błąd. Na jego statkach kocioł albo dwa były pod parą, oszczędzając węgiel, gdy stały na kotwicy. Przepisy z okresu pokoju... Jednak Eberdorf trzymała swoje krążowniki na linii horyzontu, więc, gdy Weiss powróci z odpowiedzią Farr, minie więcej czasu niż wyznaczona godzina.

- Wykonać, Ryan! - warknął Dundonald do swojego oficera sygnalizacyjnego spoglądającego rozwartymi oczami ze sterówki. Kapitan *Miasta McCormick* nie miał teraz zamiaru upierać się przy formalnościach.

- Panowie - ciągnął dalej Farr, zwracając się do kapitanów frachtowców przyglądających się z mostka na prawej burcie. - Jako starszy stopniem wojskowy oficer, rozciągam federalną władzę nad waszymi statkami. Zadokujecie...

- Nie możesz tego zrobić! - powiedział kapitan Cooley.

- Właśnie to *zrobiłem*, kapitanie - rzekł Farr, podnosząc głos. - A jeśli chcesz powrócić do Santander jako aresztant, to jeszcze raz otwórz usta.

Cooley chciał się odezwać, ale przyjrzał się dobrze wyrazowi twarzy komandora i skinął głową przepraszająco.

W przedziałach *Miasta McCormick* rozbrzmiały dzwonki. Działo wystrzeliło ślepy ładunek jako sygnał przyciągający uwagę. Podoficerowie pociągali za podnośnice flagowe, przekazując rozkazy komandora reszcie eskadry.

- Weźmiecie na pokład tyłu cywilów, ile to możliwe - podjął Farr. - To znaczy tyłu, ilu wam się uda wcisnąć na pokład przy pomocy łyżki do butów. Nie obchodzi mnie, czy będzie widać choć stopę wolnego pokładu - do Dubuku jest tylko osiemdziesiąt mil i zapowiada się dobra pogoda. Panie Cargill...

- Tak. - Na znużonym obliczu konsula widoczny był ślad uśmiechu.

- Twój personel pokieruje cywilów na statki przewozowe. Wszelkie formalności mogą zostać dopełnione, gdy zadokuje-my w Dubuku. Zostawię ci czterdziestu ludzi do kierowania mchem, co, jak sądzę, powinno wystarczyć.

- Ocalenie życia tym nieszczęsnym szmaciarzom powinno wystarczyć samo w sobie, panie - rzekł Cargill. - Dziękuję ci.

- Grupa, która pozostaje na brzegu, zostanie podzielona na pięć dwunastoosobowych oddziałów, Grisson - powiedział Farr. - Zaokrętują się na statki zarekwirowane przez rząd federalny, aby pomóc cywilnym załogom rozpoznawać sygnały marynarki.

- Przez wzgląd na pośpiech, panie - powiedział Grisson - rozumiem, iż oddziały sygnałowe udadzą się bezpośrednio do swoich nowych zadań bez wracania na macierzyste jednostki w celu zdania broni?

- Zgadza się - rzekł Farr. Grisson był siostrzeńcem pierwszej żony Farra, bardzo zdolnym chłopakiem.

- Komandorze - odezwał się kapitan Fitzwilliams - nie sadzę, abym zapomniał książkę sygnalizacyjną po zaledwie dwudziestu latach poza służbą. Nie umniejszaj swojej załogi przy działach dla *Holyoke*. Będziemy tam, gdzie nam każesz.

Farr ponownie skupił uwagę na poruczniku Weissie. Twarz oficera Krainy stała się jeszcze bardziej twarda i bledsza niż w chwili przybycia.

- Poruczniku - powiedział Farr - z żalem stwierdzam, iż nie będę mógł zastosować się do prośby komandor Eberdorf, ponieważ byłoby to sprzeczne z moimi rozkazami nakazującymi udzielić urzędnikom konsulatu pomocy w repatriacji obywateli Santander z Salini. Jak słyszałeś, przedsięwziąłem środki mające przyspieszyć ten proces. Obawiam się jednak, iż załadunek potrwa do zapadnięcia zmroku.

Spojrzenie Weissa wypełniła wściekłość. Farr zdusił gorzki uśmiech. On sam odczuwał wobec oficera Wybrańców wstręt, a nie nienawiść.

- Dopóki proces ten nie zostanie zakończony, muszę się domagać, aby siły wojskowe Krainy traktowały Salini jako przedłużenie Republiki Santander - ciągnął dalej Farr. Z wiekiem przyszła umiejętność mówienia spokojnie, gdy świat się najprawdopodobniej walił. - Przykro mi z powodu wszelkich niedogodności, jakich przysporzy to komandor Eberdorf i jej przełożonym. Czy są jakieś pytania?

- Nie mam pytań do człowieka, który nie zna swych obowiązków wobec własnego kraju, *kommodore* - powiedział Weiss.

- Gdy ja będę miał pytania dotyczące moich obowiązków, poruczniku Weiss - powiedział Farr głosem drżącym tylko w myślach - to nie będę prosił o wyjaśnienia cudzoziemca.

Weiss zaczął metodycznie zakładać sztormiak. Wzrok miał utkwiony tysiące mil za grodzią, w którą się wpatrywał.

Kapitanowie frachtowców wymieniali spojrzenia i szeptali. Teraz kapitan Cooley splunął przez reling i powiedział - Komandorze? Reszta z nas myśli sobie, że też potrafimy rozpoznawać znaki marynarki, aż ta sprawa zostanie rozstrzygnięta w domu.

Skinął głową w kierunku nabrzeża i dodał - Tylko nie licz na to, że oni wszyscy

znajdą się na pokładzie do zapadnięcia zmroku. Jeśli nie będziemy nadal w doku o świcie, to moja matka jest dziewicą.

Oficer Krainy ruszył ku zejściówce bez salutowania ani pozwolenia.

- Poruczniku Weiss? - zawołał Farr. Weiss się zatrzymał i skinął krótko głową, ale się nie odwrócił.

- Proszę poinformować swoją przełożoną, że jeśli będzie się upierać przy bitwie - powiedział Farr - to możemy jej sprezentować lepszą niż ta, jaką jej towarzysze stoczyli w Coronie.

Weiss zadrżał, a potem zszedł po schodkach.

Farr nigdy przedtem w życiu nie czuł się tak zmęczony. - Dowódco Grisson - powiedział - daj sygnał eskadrze „przygotować się do walki”.

\* \* \*

- Po raz pierwszy widzę Coronę, Jeffrey - powiedział Heinrich. - Regiment został zrzucony na północ od miasta i nigdy nie mieliśmy okazji do powrotu. - Zaśmiał się. - Nie za bardzo atrakcyjne dla turystów, jak mi powiedziano.

Woń dymu wciąż wisiała w powietrzu, dziesięć tygodni po tym, jak siły Krainy zajęły miasto. Grupy robotników uprzątnęły ulice, wykorzystując gruz ze zwalonych budynków do wypełnienia lejów po bombach, lecz nie próbowano odbudowy.

Nie było potrzeby rekonstrukcji. Ludność cywilna tego portowego miasta, ta, która przeżyła, została usunięta z miejsca będącego obecnie wojskowym terenem zamkniętym przed dawnymi obywatelami Imperium.

Corona stanowiła teraz węzeł łączący uczestniczące w podboju armie z ich logistycznymi bazami w Krainie. Protegowani z Krainy wypełniali wszystkie zadania. Wykonywana tutaj praca była zbyt ważna, aby powierzać ją niewolnikom nieprzywykłym jeszcze do jarzma. Konwoje pojazdów napływały z doków: parowe ciężarówki, wojskowe wozy z Krainy ciągnięte przez muły oraz zbieranina przejętych przez wojsko imperialnych pojazdów ciągniętych przez wszystko, począwszy od wołów po zarekwirowane konie wyścigowe. Panował raczej porządek. Policja wojskowa wyległa w dużej liczbie, zawiadując ruchem, z pałeczkami w dłoniach i wypolerowanymi metalowymi odznakami na łańcuszkach u szyi. Żołnierze wymijali ich, maszerując po poboczu drogi, ustępując Heinrichowi i Jeffreyowi jadącym konno. Oficer Wybrańców wymieniał saluty z innymi, których mijali, mierząc krytycznym spojrzeniem protegowaną piechotę.

To nie woń dymu sprawiła, że Jeffrey Farr zmarszczył nos, gdy zsiadał i wręczał wodze protegowanemu stajennemu, który wcześniej biegł przy jego strzemieniu od wybiegu dla koni na skraju miasta. Nikt nie zadał sobie trudu odnalezienia wszystkich ciał w gruzach. Niektóre z nich musiały się już rozkładać. Cóż, w ciągu ostatnich tygodni czuł zapach mnóstwa martwych ciał. Ludzie nie śmierdzieli tak strasznie jak konie, a nic nie woniło równie ohydnie co nadgniły muł.

- A więc - rzekł z uśmiechem pułkownik Wybrańców - mam nadzieję, że nasz szacowny gość uważa tę wycieczkę po naszym nowym terytorium za interesującą?

- Pewna odmiana po szeregu przyjęć w ambasadzie, jakich się spodziewałem, gdy przydzielono mnie do Ciano, to prawda, Heinrichu - powiedział Jeffrey. Część jego chciała pognać ku trapowi *Miasta Dubuk*, statku pasażerskiego o trzech kominach, wynajętego przez rząd Santander do repatriowania jego obywateli przez Coronę. Nie było jednak potrzeby tego robić. Heinrich go lubił.

A on, niech mu Bóg dopomoże, lubił Heinricha. Jasnowłosy kapitan był ucieleśnieniem cnót, jakie Kraina wpajała swoim obywatelom: odwagi, nieugiętości, samodzielności i poświęcenia.

>>Nie musisz ich nienawidzić, chłopcze<< powiedział Raj Whitehall w myślach Jeffrey'a. >>Tylko zmiążdż ich tak, jak zrobiłbyś to ze skorpionem.<<

Choć Jeffrey widział dość, aby ich znienawidzić.

Jeffrey wziął plecaki przywiązane po obu stronach łęku siodła i przerzucił je sobie przez lewe ramię. Uzbierał ten ekwipunek po drodze. Głównie ubranie - wszystko wykonane w Krainie. Życie ze strażakami Heinricha było wystarczająco niebezpieczne bez ryzyka zostania uznanym za imperialnego szpiega. Wymieni je na pokładzie, jeśli będzie to możliwe. Ludzie wchodzący na pokład *Dubuka* już obrzucali go ostrymi spojrzzeniami.

- Bardzo luksusowy, bez wątplenia - powiedział Heinrich, przyglądając się krytycznie liniowcowi. - Cóż, nie mam ci tego za złe. Sam myślę z przyjemnością o hotelu dla będących przejazdem oficerów, z czystą pościelą, dziś wieczorem. I kilkoma osobami, które ją dla mnie ogrzeją, czyż nie?

Gwizdek *Miasta Dubuk* wypuścił dwutonowe ostrzeżenie: minuta do podniesienia trapu. Załoga już wciągała liny na pokład przed wyjściem z doku. Jeśli Jeffrey nie zdąży na ten statek, będzie musiał popłynąć frachtowcem do Krainy i tam przesiąść się na statek do Santander. Przynajmniej na razie Wybrańcy nałożyli embargo na wszelki handel pomiędzy nowo podbitym terytorium a resztą Visager.

>>Szkoda<< powiedziało Centrum. >>Lecz potajemne drogi zaopatrzeniowe wystarczą do utrzymywania naszych operacji partyzanckich o niewielkim nasileniu.<<

Jeffrey cieszył się, że zaraz wsiądzie na pokład *Dubuku*. Po kampanii, jakiej się dopiero co przyglądał, nie chciał przebywać z Wybrańcami dłużej niż to konieczne.

- Dziękuję ci za twoją gościnność, Heinrichu - powiedział. - I za pomoc w dostaniu się tutaj na czas. Dzięki temu nie muszę płynąć wpław do domu.

Heinrich się roześmiał i pochylił w siodle, aby pochwycić Jeffreya na sposób Wybrańców, przedramię w przedramię, trzymając się nawzajem w łokciu. - Wymówka, aby oderwać moich żołnierzy od działań polowych - rzekł, wyprostowując się. - Nie jestem jedynym, który docenia potrzebę odpoczynku i relaksu.

Gwizdek *Dubuku* wypuścił pełne trzynutowe wezwanie. Heinrich pognął konia do przodu tak, że jego przednie kopyta spoczęły na trapie. Zwierzę zarżało nerwowo na towarzyszący temu głuchy odgłos. Żołnierz na pokładzie zaklął.

- Idź zatem, mój przyjacielu - powiedział Heinrich. Uśmiechnął się. - I powiedz tej osobie, która właśnie się odezwała, że jeśli jeszcze raz chlaśnie ozorem, to wjadę na pokład i dodam jej głowę do moich pozostałych trofeów.

Jeffrey ruszył po trapie, zanim ktoś na pokładzie statku powie coś niewłaściwego. Znał Heinricha zbyt dobrze, aby uważać tę groźbę za żart.

>>Nie liczylbym też za bardzo na to, iż fakt, że Heinrich cię, lubi, wpłynie na to, jak będzie on wykonywał swoje obowiązki, chłopcze<< powiedział Raj. >>I oczywiście nie powinno.<<

Cywil w średnim wieku i płatnik *Dubuku* czekali na Jeffreya na szczycie trapu. Ich posepny wyraz twarzy zmienił się w ostrożne zaciekawienie, gdy zobaczyli dyplomatyczny paszport, jaki im pokazał.

Jeffrey szarpnął za rękaw tuniki munduru z Krainy. - Byłem w niewłaściwym miejscu, gdy wybuchła walka - powiedział przyciszonym głosem. - Jeśli moglibyście mi pomóc znaleźć jakieś ubrania noszone przez istoty ludzkie, to byłbym bardzo wdzięczny.

- Jeffrey, mój przyjacielu! - zawołał Heinrich, pozwoliwszy swemu nerwowemu koniowi zejść z trapu. Hydrauliczny kołowrót natychmiast zaczął podnosić go na pokład. - Kiedy już odpoczniesz, odwiedź mnie znowu. Te bydlęta będą przysparzać uciechy jeszcze przez całe lata, niezależnie od tego, co mówi Rada!

Jeffrey zamachał radośnie, a potem odsunął się od relingu. Jeśli Heinrich nie

będzie go już widział, będzie mniej prawdopodobne, że krzyknie coś, co postawi Jeffreya po złej stronie podziału na „oni i my” w oczach wszystkich znajdujących się na pokładzie *Miasta Dubuku*. - Człowiek musi, kiedy diabeł dusi - wymruczał do znajdujących się obok mężczyzn.

- Jesteś chyba spokrewniony z Johnem Hostenem, panie? - spytał neutralnym tonem cywil.

>>Nazywa się Beemer<< powiedziało Centrum. >>Jest zastępcą dyrektora w Ministerstwie Badań, choć pod konsularną przykrywką.<<

- John to mój brat - rzekł z wdzięcznością Jeffrey. - Tak naprawdę, to przybrany brat, ale jesteśmy ze sobą bardzo blisko.

Beemer skinął głową. - Zajmę się wymianą twojego ubrania, panie - rzekł. A zwracając się do płatnika, powiedział: - Ferrington, potrzebuję tylko jednego z pokoi w moim apartamencie. Proponuję, abyśmy ulokowali kapitana Farra w drugim. Znam jego brata.

Oficer wciąż wyglądał na zdziwionego, ale wzruszył ramionami i powiedział: - Oczywiście, panie Beemer. Kapitanie Farr? To będzie apartament F na pokładzie łodziowym. Czy chciałbyś, aby steward zaniósł tam twój bagaż?

*Miasto Dubuk* wydało z siebie głęboki gwizd. Dwa holowniki od strony zatoki zagwizdały przenikliwie w odpowiedzi. Ich śruby wzburzyły wodę, naprężając liny okrętowe łączące je z liniowcem.

Jeffrey uniósł juki z lekkim uśmieszkiem. - Dziękuję, ale myślę, że sam dam sobie radę - powiedział. - Jeśli panowie pozwolą, będę się przyglądał, jak odpływamy, z dziobu.

- Oczywiście - rzekł spokojnie Beemer. - Mam nadzieję, że w czasie podróży będziesz miał czas porozmawiać ze mną o swoich niedawnych przeżyciach.

- Cokolwiek zechcesz, kapitanie - rzekł oficer. - Jeśli chodzi o załogę *Miasta Dubuk*, to jest to zwykła handlowa wyprawa. Jesteśmy tu, aby ci pomagać.

Jeffrey zamilkł na chwilę. - Był taki moment - powiedział - iż nie sądziłem, że żywy dotrę do domu.

I to była najprawdziwsza prawda, jaką kiedykolwiek powiedział. Skłonił się obydwu mężczyznom i ruszył do przodu. Pokład drżał od wibracji silników holowników.

*Centrum?* - spytał. *Czy ojciec uważał, że Eberdorf zaatakuje port, gdy on w nim przebywał?*

>>Nie było takiej możliwości, chłopcze<< powiedział Raj. >>Komandor Eberdorf spędziła ostatnie trzy lata przy biurku w centralnym biurze marynarki w Składaniu Przysięgi. Jest zbyt politycznie wyrobiona, aby rozpocząć drugą wielką wojnę, gdy pierwsza wciąż jeszcze trwa.<<

*Miasto Dubuk* zakołysało się, odsunawszy od doku. Prowadzący holownik dał sygnał trzema krótkimi gwizdami.

*Ale czy ojciec o tym wiedział?* - dopytywał się Jeffrey.

>>Twój ojciec nie ma dostępu do bazy danych, która wpływa na twoje decyzje i wpływała na decyzje Raja<< odpowiedziało Centrum po chwili milczenia, które mogło być tylko zamierzone. >>Nie ma też dostępu do moich umiejętności analitycznych. Uważał, że możliwość walki wynosi nie więcej niż jeden do dziesięciu, a ryzyko rozpętania prawdziwej wojny w wyniku tej walki za podobnie prawdopodobne.<<

Jeffrey oparł dłoń o drewniany reling. Wyczuwał lepką szorstkość soli, jaka zebrała się, odkąd majtek pokładowy przetarł go rano.

Ojciec uważał, że ryzyko było lepsze niż życie z konsekwencjami alternatywnego działania.

Połączenie z Centrum pokazało Jeffreyowi widok z mostka *Miasta McCormick*, podczas gdy na własne oczy widział, jak Heinrich i jego dwóch adiutantów torturowało dwunastoletniego chłopca, aby się dowiedzieć, gdzie jego ojciec, burmistrz miasteczka, ukrył broń pobraną z posterunku policji.

Statek znowu się zakołysał, tym razem od momentu obrotowego środkowej śruby, gdy ta powoli ruszyła do przodu.

*Tak się bałem... ale nigdy nie odezwałbym się do ojca, gdyby pozwolił na masakrę podobną do jednej z tych, jakie oglądałem.*

>>Tacy ludzie jak twój ojciec służyli pod moimi rozkazami<< powiedział Raj. >>Mogli się tylko domyślać tego, co wiedziało Centrum, lecz mimo to postępowali tak, jak ja bym postąpił.<<

*Miasto Dubuk* ponownie wydało z siebie gwizd, przeciągły i hałaśliwy, gdy Wszystkie trzy śruby zaczęły burzyć wodę, kierując się ku domowi.

>>Zawsze uważałem, że miałem ogromne szczęście, iż spotkałem tych ludzi w mojej karierze zawodowej.<<

## Rozdział jedenasty

Gerta Hosten splunęła na suchy pył wioskowej ulicy.

- *Leutnant*, co u *fik* wyrabiasz? - spytała.

- Daję przykład bydlętom - powiedział miody oficer.

- Przykład czego? Jak okazywać odwagę i stawiać opór?

Przedmiot ich rozmowy zwisał głową w dół na sznurze zawiązanym wokół kostek nóg i przewieszonym przez potężny konar żywego dębu ocieniającego wioskową studnię. Wisielec też splunął, w jej kierunku, a potem powrócił do wykonywania - nieco fałszując załamującym się głosem - „Imperialnej chwały”, hymnu narodowego dawnego Imperium. Za szeregiem piechoty protegowanych jakichś dwustu wieśniaków i rzemieślników stało i przyglądało się - zgarnięto już miejscową szlachtę, kapłanów i innych potencjalnych wicherzycieli. Od stłoczonych mieszkańców wioski unosiła się woń potu i nienawiści. Ludzie oczy mieli rozbiegane, poza kilkoma odważnymi na ryle, aby przypatrywać się gniewnie. Tego dnia, późnym latem, słońce prażyło, było gorąco nawet jak na standardy Krainy, lecz na tyle sucho, że drapało ją w gardle.

Gerta westchnęła, wyciągnęła swój automat Lautera, odsunęła suwadło i wystrzeliła jeden raz w głowę wiszącego mężczyzny z odległości niniejszej niż metr. Głuchy, gumowy trzask odbił się echem od pobielonych kamiennych domów otaczających wioskowy plac i dominującego nad nim kościoła. Cywile cofnęli się z falą pomruku. Protegowani żołnierze przyglądali jej się wypranym z ciekawości wzrokiem wołów. Odłamki kości, krew i lśniące kawałki mózgu rozpryskały się po stopach protegowanego, który czekał z kolczatkowatym batem. Mężczyzna gapił się zaskoczony, podnosząc najpierw jedną a potem drugą stopę z powolnym



niedowierzaniem.

- *Hauptman...*

- Zamknij się. - Gerta wyjęła magazynek, wsadziła go do ładownicy przy pasie obok kabury, a następny do otworu w pistolecie. - Chodź.

Położyła dłoń na ramieniu porucznika i odprowadziła go kilka kroków na bok, pochylając się ku niemu konfidencjonalnie. Mimo iż był młody, nie sądziła, aby wziął jej uśmiech za oznakę przyjaźni. Z drugiej jednak strony, była kapitanem przy generalnym sztabie wywiadu, więc pewnie choć trochę jej posłucha.

- Co właściwie planowałeś? - spytała.

- No cóż... znaleziono amunicję w domu tego bydłęcia. Miałem go stracić, zastrzelić pięciu innych wybranych przypadkowo, a potem spalić wioskę.

Gerta znowu westchnęła. - *Leutnant*, twoim postępowaniem z bydłętami rządzi prosta logika. - Zacisnęła rękę w pięść i podsunęła mu ją pod nos. - Wygląda ona tak: „Psie, to jest moja pięść. Rób, co ci każe, albo cię nią *zdziele*”.

- *Ya, Hauptman...*

- Zamknij się. Ten sposób postępowania ma swoje nieodłączne ograniczenia. Można im spalić domy tylko *raz* - tym samym zmniejszając produkcję rolną w okolicy o sto procent. Możesz ich zabić tylko *raz*. Wtedy przestają być potencjalnie użytecznymi narzędziami, a stają się kupą mięsa... zaś wieprzowina jest o wiele tańsza. Czy łapiesz, o co mi chodzi, chłopcze?

- *Nein, Hauptman.*

Tym razem Gerta zdusiła westchnienie.

- Terror jest skutecznym narzędziem sprawowania kontroli tylko wówczas, gdy jest stosowany *selektywnie*. Nie ma we wszechświecie nic bardziej niebezpiecznego od kogoś, kto nie ma nic do stracenia. Jeśli zabiczysz człowieka na śmierć za posiadanie dwóch kul od strzelby - wyładowanych śrutem, o których pewnie zapomniał - *to co ich powstrzyma przed aktywnym oporem!*

- Och.

Młodszy oficer wyglądał, jakby myślał, co było mocno krzepiące. Żaden Wybraniec nie był tak naprawdę *głupi*. Próba życia przesiewała dość mocno tych z niskim współczynnikiem inteligencji i czyniła tak od wielu pokoleń. Nie oznaczało to jednak, że Wybrańcy nie mogli być głupi z własnej woli - zbyt sztywniacy, skostniaли.

- A więc musisz stosować *stopniowaną* skalę wymierzanej kary. Pamiętaj, nie jesteśmy tu po to, aby dokonać eksterminacji tych bydłąt, choć jest to kusząca

perspektywa.

Gerta spozjrzała na mieszkańców wioski. Myśl, aby po prostu zapędzić ich do kościoła i podpalić, była *szalenie* kusząca. Może to byłoby najlepszym sposobem postępowania: wybić ludność Imperium i wypełnić pustkę dzięki przyrostowi naturalnemu protegowanych Krainy. *Ale nie. Befehl ist Befehl.* Byłoby to zbyt powolne i nie wiadomo, co tymczasem zrobiłyby inne siły. Poza tym, przeznaczeniem Wybrańców jest panowanie nad resztą rodzaju ludzkiego - najpierw tutaj na Visager, a w końcu we wszechświecie, po wsze czasy. W takim rozumieniu sytuacji, ludobójstwo byłoby przyznaniem się do porażki.

- Bez wątplenia przodkowie naszych protegowanych byli tak samo nieposłuszni - rzekł z namysłem porucznik piechoty. - Jednak udało nam się ich z powodzeniem oswoić.

- Zaiste. - *Choć mieliśmy na to trzy wieki odosobnienia, a nawet mimo tego mam czasami wątpliwości.* - Działajcie zatem dalej.

- Co proponujesz, *Hauptmann*?

Gerta zamrugła w ostrym słońcu. - Od dawna macie tu garnizon?

- Dopiero co przybyliśmy. Okolica została lekko przetrząśnięta sześć miesięcy temu, ale od tamtej pory nikogo tu nie było.

Skinęła głową. Imperium było tak cholernie *wielkie*, po ciasnocie Krainy. Mapy nie przekazywały rzeczywistej sytuacji, nie tak jak maszerowanie lub latanie nad nim.

- Cóż, zatem... niech twoi żołnierze wybiorą sobie kobiety i zabawią się przez parę godzin. Niech reszta stada się przygląda. Sądząc z raportów, jest to skuteczna kara o średnim stopniu surowości.

- Naprawdę? - Zaskoczony porucznik uniósł brew.

- Bydłęca psychologia - powiedziała Gerta, prostując się i salutując.

- *Jawohl. Zum befehl, Hauptman.* Dopilnuję wykonania tego.

Gerta przyglądała się, jak odchodzi, a potem wskoczyła do czekającego na nią samochodu parowego. Rękę położyła na pałąku zabezpieczającym przed wywróceniem się pojazdu.

- Na zachód - nakazała szoferowi.

Przed nią rozpościerała się długa, pylistą droga, monotonia pofalowanych wzgórz. Pola pszenicy, jęczmienia i kukurydzy. A właściwie tylko kitek - kolby małych ziarenek zostały ścięte już dawno. Pastwiska, tu i ówdzie lasek lub sad, a od czasu do czasu wioska otoczona białym murkiem, położona nad niewielkim strumykiem. Wzbił się

tuman kurzu, gdy kierowca wdusił przepustnicę. Gerta naciągnęła chustkę na nos i usta. Samochód pokryty był pyłem, unosiła się w nim ostra woń ziemi oraz mocny zapach końskiego potu dwóch protegowanych strzelców, którzy stanowili jej eskortę.

*To chyba bogactwo*, pomyślała, spoglądając na wiejski krajobraz, którego przegląd robiła do wstępnego raportu. Ciepły i żyzny kraj, odpowiednio nawodniony, bez problemów Krainy z jej wyjałowioną glebą, erozją, tropikalnymi insektami i roślinnymi zarazami. Miejsce, aby Wybrańcy mogli rosnąć.

- Jesteśmy w sytuacji pytona, który połknął świnie - wymruczała do siebie. - Strawienie jej to tylko kwestia czasu, lecz chwilowo nie jest z nią wygodnie. - Była to optymistyczna interpretacja.

Czasami myślała, że bardziej przypomina to sytuację much, które zdobyły lep.

\* \* \*

- Mamo!

Osiemnastomiesięczny Maurice Hosten dreptał po trawniku na niepewnych nóżkach. Pia Hosten czekała, uśmiechając się. Okalała ją cienka biała spódnica. Miękki, udekorowany kwiatami kapelusz trzymała w dłoni.

- Mamo!

Pia porwała dziecko w górę, śmiejąc się. John uśmiechnął się i odwrócił, z powrotem zwracając się ku widokowi rozciągającemu się za tarasem i ogrodami. Za ogrodzeniem znajdowało się *dawne* pastwisko dla owiec z czasów, gdy ten dom koło Ensburga był głównym budynkiem rancza. Ensburg rozrósł się od czasów wojny domowej, urastając do rangi miasta fabrycznego liczącego pół miliona mieszkańców. Większość rancza została podzielona na ogrody warzywne i farmy mleczarskie, gdy przybliżyły się przedmieścia, a stary dwór stał się weekendową rezydencją jakiegoś przemysłowca. Nadal nią był, lecz główna zmiana polegała na tym, iż jego właścicielem stał się John Hosten... i że używał go nie tylko do wypoczynku.

- Chodźcie wszyscy - powiedział.

Cała grupka wzięła swoje drinki i ruszyła ku ogrodzeniu. Było ładne wiosenne popołudnie, na tyle ciepłe, aby nosić krótkie rękawki, lecz nie tak ciepłe, aby niektórym gościom było niewygodnie we frakach i krawatach. Znaleźli sobie miejsca wzdłuż pomalowanych na biało desek, ustawiając się mniejszymi i większymi grupkami pomiędzy zasadzonymi tam bukami. Na krótko przystrzyżonej tace znajdowała się machina zbudowana z drutu, płótna i drewna, z dwoma skrzydłami i

przednim płatem kaczki [Układ samolotu, w którym usterzenie wysokości znajduje się przed skrzydłami w przedniej części kadłuba; zabezpiecza przed wpadnięciem w korkociąg. [Przypis tłum.]], a wszystko to spoczywało na podwoziu o trzech kołach ze szprychami. Pomiędzy skrzydłami siedział człowiek z rękoma i stopami opartymi na sterach, podczas gdy dwóch innych stało na ziemi z tyłu z rękoma na śmigle przyczepionym do niewielkiego silnika tłokowego.

- Przez wzgląd na ciebie, mam nadzieję, że to działa, synu - powiedział teatralnym szeptem Maurice Farr, znalazłszy się obok Johna. Mężczyzna pociągnął łyk wina i wyglądził siwiejące wąsy palcem wskazującym.

- Nie sądzisz przecież, tato, iż jest to *naprawdę* pierwsza próba? - rzekł John, uśmiechając się spokojnie.

Były komandor - miał teraz na swych epoletach gwiazdki i kotwice admirała - roześmiał się i walnął Johna po ramieniu. - Już mnie nie dziwi, jak ci się udało stać się tak bogatym w tak niedługim czasie - powiedział.

*Gdybyś tylko wiedział, tato,* pomyślał John.

>>Prądy powietrzne są teraz optymalne<< dało znać Centrum.

- Ruszać! - zawołał John.

- W górę! - rzucił Jeffrey z siedzenia pilota, zsuwając gogle na oczy ze skórzanej czapki. Długi, jedwabny szal wokół jego szyi powiewał na wietrze.

Dwaj robotnicy zakręcili śmigłem. Silnik strzelił, zacharczał i przeszedł w buczący ryk. Ubrania widzów załopotwały od pędu powietrza wzbudzonego śmigłem, a kilka dam straciło kapelusze. Mężczyźni skoczyli w pogoń za nimi, a wszyscy osłonili oczy przed lecącą ziemią. Jeffrey znowu krzyknął, niesłyszalny z tej odległości ponad hałasem wytwarzanym przez silnik, a dwaj pomocnicy wyciągnęli kliny spod przednich kół podwozia. Mały pojazd zaczął nabierać szybkości, z początku powoli, gdy dwaj mężczyźni trzymali za skrzydła, truchtając obok, a potem skoczył przed siebie, gdy go puścili. Koła uginały się i podskakiwały na lekkich nierównościach podłoża.

Mimo wszystko John wstrzymał oddech, gdy podwozie uderzyło o ostatni garb i pozostało w górze... sześć cali nad trawą... osiem... pięć stóp i wyżej. Z westchnieniem wypuścił powietrze. Samolot wznosił się, przechylając powoli, i z wdziękiem wzbijając się szeroką spiralą, aż znalazł się pięćset stóp nad tłumem. Uniosły się głosy i ramiona, dał się słyszeć pomruk *achhhhhh*.

Dwaj mężczyźni, którzy asystowali przy wzbiciu się w powietrze, podeszli do

ogrodzenia. John zamrugał, odpędzając sprzed oczu obraz oddalającej się ziemi i budynków przypominających domki dla lalek.

- Ojciec, Edgar i William Wong, wynalazcy - powiedział. - Chłopaki, mój ojciec - admirał Farr.

- Panie - rzekł Edgar, wymieniając uścisk ręki. - Pański syn jest zbyt uprzejmy. Przynajmniej połowa pomysłów była jego, tak jak i całość pieniędzy.

Jego brat potrząsnął głową. - Wciąż byśmy się borykali z ustawieniem skrzydeł, gdyby John nie zasugerował ruchomych lotek - powiedział. - I uzyskał lepszy współczynnik cięciwy skrzydeł. Ma niezłą głowę do matmy, panie.

Maurice Farr uśmiechnął się z uznaniem, nie odrywając oczu od swego syna lecącego im nad głowami. Miarowy warkot silnika spływał brzęczeniem w dół jak olbrzymia pszczoła.

- To działa - powiedział cicho. - Ho, ho.

- Cholerna zabawka - odezwał się nowy głos.

John odwrócił się, wykonując dyplomatyczny ukłon. Generał McWriter zapewne by nie przyszedł, gdyby nie bogactwo Johna i jego wpływy polityczne. Mężczyzna popatrzył na maszynę i pociągnął za białe, rozszerzające się ku dołowi wąsy przecinające jego oblicze barwy gotowanego homara... może wynikało ono z przyciasnego kołnierza brązowej tuniki munduru.

- Cholerna zabawka - powtórzył znowu. - Kolejna rzecz, na którą ci piekielni politycy - przez wzgląd na obecność dam widać było lekkie wahanie, zanim generał przypomniał sobie delikatniejsze określenie - wyrzucają pieniądze, kiedy potrzebny nam każdy *grosz* na prawdziwą broń.

- Wybrańcy stwierdzili, iż lotniczy rekonesans bardzo im się przydał w Imperium - powiedział spokojnie John, obracając czapkę od munduru w dłoniach.

McWriter odchrząknął. - Może. Wedle raportów młodego Farra.

- Zgodnie ze *wszelkimi* raportami, generale. Łącznie z raportami moich służb oraz ministerstwa.

Mruknięcie generała pokazywało, co sądzi o raportach od żeglarzy czy z Biura Badań Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Jak wiesz, posłużyli się sterowcami - powiedział McWriter, zwracając się do Johna. - Jaki jest ich zasięg i szybkość? Jak bardzo można na nich polegać?

- Osiemdziesiąt mil na godzinę, panie - rzekł John ze spokojną uprzejmością. - Jak dotąd zasięg - godzina. Silniki zawodzą po około trzech godzinach, mniej więcej.

Twarz generała zsiniała jeszcze bardziej. - Zatem jaki z tego, cholera, do kur... cholerny z tego *pożytek!* - rzucił, skinął krótko admirałowi i odszedł, wołając swego adiutanta.

- A jaki pożytek z dziecka? - spytał John.

- Jesteś pewien, że da się ulepszyć? - spytał starszy Farr.

- Tak pewien, jakbym miał widzenie zesłane przez Boga - *albo Centrum* - na ten temat - powiedział John. - W przeciągu dziesięciu lat będą latać dziesięciokrotnie dalej i trzykrotnie szybciej, postawię na to wszystko, co mam.

- Mam nadzieję - powiedział Farr. - Bo będziemy tego potrzebować, i to bardzo. Zwłaszcza marynarka.

- Tak sądzisz, admirale? - spytał inny mężczyzna. Farr wzdrygnął się lekko. Nie zauważył, jak podszedł ten cywil w brązowym fraku.

- Senatorze Beemody - rzekł powściągliwie. Polityk-finansjer skinął przyjaźnie głową. - Admirale. Dobrze cię znowu widzieć. - Wyciągnął rękę. - Bez obrazy, co?

Farr odwzajemnił ten gest. - Nie z mojej strony, panie.

- Cóż, to nie ty straciłeś pół miliona - powiedział po przyjacielsku. Był drobnym, eleganckim mężczyzną, z wąsami przyciętymi w czarną kreskę nad górną wargą. - Z drugiej jednak strony, nawet Jezus Chrystus z rozkazem od prezydenta nie zdołałby ocalić tych składów wedle raportów mojego kapitana... a ty jesteś obecnie ulubieńcem po tym, jak zastraszyłeś tę sukę w Salini. „Możemy jej sprezentować lepszą bitwę niż ta, jaką jej towarzysze stoczyli w Coronie” - zacytował z przyjemnością. Uśmiech senatora był rozbijający. - W związku z tym urazy byłyby próżne. A ja nie mam czasu na bezproduktywne gesty, admirale. Myślisz, że będziemy potrzebować takich maszyn?

- I to cholernie. W wojnie toczonej na morzu poznanie położenia wroga to połowa wygranej bitwy. Wiedza o tym, gdzie on jest, podczas gdy on nie wie, gdzie ty jesteś, to druga połowa. Przy zwiadach i osłonie opieraliśmy się na szybkich krążownikach i kontrtorpedowcach, lecz sterowce Wybrańców są czterokrotnie szybsze niż najszybsze jednostki na wodzie. W *dotatku* mogą prowadzić zwiad z wysokości kilku tysięcy stóp. Potrzebujemy ich odpowiednika, i to bardzo, albo w razie wojny zostaniemy zwyciężeni na morzu.

- Niektórzy uważają to za nieuniknione - powiedział z namysłem Beemody. - Ja nie jestem całkowicie przekonany, jednak wieści z Imperium zdają się potwierdzać tę hipotezę. Admirale. John.

- Ludzie potrafią zaskakiwać - stwierdził w zadumie Farr, gdy senator szedł przez tłum, ściskając dłonie i wymieniając uśmiechy.

- Beemody wie, kiedy się przyłączyć do zabawy - rzekł John. - Jest potentatem stalowni i inżynierii - dla niego rozbudowa marynarki byłaby jak licencja na drukowanie pieniędzy. Nie jest głupcem. Robiłem z nim dość interesów, aby to wiedzieć.

- Kochanie - wtrąciła się Pia. Wzięła go pod ramię, za nią stała niańka z dzieckiem. - Ojciec. - Jej wzrok powędrował ku samolotowi nad nimi, który okrężnymi ruchami schodził w dół. - *Strasznie* bym chciała kiedyś to zrobić.

John objął ją ramieniem. - Może za kilka lat - powiedział. - O, nadlatuje Jeffrey.

Samolot spłynął w dół, zdawał się chwilę unosić w miejscu, a potem wylądował, kołysząc się. Bracia Wong podbiegli, aby chwycić za końcówki skrzydeł i utrzymać go przodem do wiatru. Pozostali robotnicy przynieśli sznury i brezent, aby go przywiązać do palików. Jeffrey Farr odskoczył od sterów, zdjął kask i pomachał przy wtórze wiwatu tłumy. Potem przeskoczył z łatwością ogrodzenie, opierając się jedną ręką o słup i podeszedł do ojca i przybranego brata. Otaczał ramieniem w pasie Ignącą do niego śliczną, ciemnowłosą dziewczynę, która wpatrywała się w niego, śmiejąc.

- Widzę, iż już znalazłeś sposób, aby odnieść korzyści ze sławy lotnika - rzucił John, pochylając się nad jej dłonią.

- Za późno - powiedział Jeffrey. - Zamierzałem ci powiedzieć, będziesz drużbą.

John szybko podniósł wzrok i zobaczył, jak Pia się z niego śmieje. - Niektórych rzeczy nie mówi ci nawet twoja oddana żona - rzekł z rezygnacją.

>>A ja powiedziałem Centrum, żeby też ci nie mówiło<< powiedział Raj. W jego bezcielesnym głosie wyczuwało się uśmiech.

- Cóż, nie powiedziałem też jeszcze mamie - rzekł Jeffrey. - Nawet *moja* odwaga ma swoje granice.

- Jestem pewien, iż twoja matka będzie zachwycona - powiedział starszy Farr, gdy z kolei on pochylił się nad ręką Loli. - Nie będzie jednak zaskoczona po ostatnim roku. Wygląda na to, iż Imperium podbiło obu jej synów.

Na chwilę twarz Pii stężała, a potem kobieta zmusiła się do zrobienia radosnej miny. - Może ślub na jesieni?

Jeffrey pokiwał głową. - A John mi nie umknie. Choć powinienem nie wpuścić go do kościoła, on się hajtnął beze mnie, nieczuły łajdak.

John się zaśmiał. - Jestem pewien, iż widziałeś to równie dobrze, jakbyś się tam

znajdował - rzucił sucho. - Jak on lata?

- Za dużo myślisz o pracy, w tym tkwi twój problem. - Jeffrey wzruszył ramionami. - Jak złoto jak na maszynę, która ma silnik o zbyt małej mocy. Dobra manewrowość, po zwiększeniu ruchu płatów. Przedni płat kaczki utrzymuje niską prędkość przeciągnięcia, ale myślę, że będzie się trzeba tego pozbyć, jak przejdziemy do zamkniętego kokpitu. Wiry powietrzne wokół niego są niebezpieczne blisko ziemi. A poza tym potrzebuje lepszego silnika i czegoś, co zmniejszałoby opór wiatru.

- A ty musisz wygłosić mowę na ten temat - powiedziała Pia, biorąc Johna pod rękę.

- Niech to diabli - wymruczał, spoglądając na zebranych.

Około pięćdziesiąt osób. Ważni ludzie, wysocy rangą oficerowie wojska, przemysłowcy, reporterzy z najważniejszych gazet i radia, politycy z wojskowych komitetów.

- To część twojej pracy - rzekła nieugięta Pia.

John westchnął i wygładził kłapy. Nikt nigdy nie powiedział, że ta praca będzie przyjemna.

\* \* \*

- No to tyle, jeśli chodzi o raporty, z których wynikało, że tego nie da się zrobić - powiedział Karl Hosten, spoglądając na sprawozdania.

Gerta Hosten zatrzasnęła teczkę. - Cóż, panie, nie było tajemnicą, iż lot aerodynamy [Statek powietrzny, który może się unosić w skutek dynamicznego oddziaływania powietrza na płyty nośne. [Przypis tłum.]] z napędem jest możliwy. W końcu jesteśmy tutaj, a nie na starożytnej Terrze.

- Ale nasi przodkowie nie przybyli na uskrzydłonych pojazdach ze śmigłami - rzekł, wzdychając, generał Wybrańców.

Gerta podniosła wzrok, zaniepokojona. We włosach jej przybranego ojca było teraz więcej bieli niż siwizny, a jego twarz wyglądała na zmęczoną nawet o dziesiątej rano. *Obowiązek to obowiązek*, przypomniała samej sobie. Nie cała praca związana z podbojem wykonywana była na polu walki.

Ona sama na chwilę powróciła do Kopernika. W Imperium nie zostało wiele walk do stoczenia - w *dawnym Imperium, teraz były to Nowe Terytoria* - to raz, a dwa, to znowu była w ciąży, w takim miesiącu, iż na pewien czas wyznaczono ją do pracy za biurkiem. Pobielone biuro w budynku kwatery głównej sztabu generalnego



znajdowało się na trzecim piętrze. Widziała stąd ponad murem podwórza ogromny plac budowy, gdzie grupy niewolniczej siły roboczej z Nowych Terytoriów kopały w czerwonej, wulkanicznej ziemi centralnego płaskowyżu, wypełniając ciepłe, wilgotne powietrze wonią błota. Jakieś budynki biurowe, jak sądziła. Urzędnicy należeli obecnie do rozwojowej branży. Rząd Krainy zawsze był silnie scentralizowany i wszechwładny, a teraz miał o wiele więcej roboty. A może były to fabryki. Także wiele ich budowano.

Spojrzała na teczkę. - Zgodnie z raportem Johna, Santanderczycy zamierzają pracować nad aerodynamą, ponieważ ich eksperymenty ze sterowcami zakończyły się niepowodzeniem.

General Hosten skinął głową i dotknął palcem fotografii. Był to ziarnisty wydruk z gazety, ukazujący widmowy zarys płonącego wraku sterowca rozrzuconego po nagim, trawiastym pagórku, z górami w tle.

- Nie jestem zaskoczony. Sukces lub niepowodzenie w projektowaniu statku powietrznego jest głównie sprawą szczegółów, a bezgraniczna zdolność znoszenia cierpienia jest naszą mocną stroną.

*Podczas gdy naszą wielką słabością jest obsesja szczegółów kosztem spojrzenia z szerszej perspektywy*, pomyślała Gerta w duchu. Pewnych rzeczy nie mówiło się generałowi. Kwestia hierarchii, nawet jeśli był on twoim ojcem.

- Mimo to będziemy musieli pójść w ich ślady - powiedziała Gerta. - Sterowce są potencjalnie bardzo mocno narażone na atak statku powietrznego tego typu, a te samoloty same w sobie też mogłyby się okazać bardzo przydatne.

Karl pokiwał w zamyśleniu głową, przesuwając palcem po swojej ciężkiej szczęce. - Podniosę tę sprawę na następnym zebraniu sztabu - powiedział. - Rada Lotnicza musi oczywiście zostać powiadomiona. - Spoglądając na teczkę, dodał: - Johan dobrze się spisał.

Tym niemniej zmarszczył brwi. Gerta zauważyła ten wyraz twarzy i szybko odwróciła wzrok. *Niezupełnie mu się to podoba*, pomyślała. *Nie spodziewał się nigdy, że Johnny sprzeniewierzy się sprawie, nawet dla Wybrańców*. Zgadzała się z tym, ale z zupełnie innych powodów, lecz znowu nie był to odpowiedni moment.

- Panie, kolejna sprawa to kwestia Dalekich Wysp Zachodnich.

Karl skinął głową i otworzył teczkę. - Wydaje się oczywista - powiedział. - Wyspy mają klimat, który jest, jeśli to tylko możliwe, jeszcze trudniejszy do zniesienia niż klimat Krainy. Odległość jest ogromna - ponad osiem tysięcy mil - a wartość

minerałów ledwie pokrywa koszt wydobycia.

Gerta oblizwała wargi. - Panie, z całym szacunkiem, radziłabym nie opuszczać obecnie tamtejszej bazy.

Karl uniósł brew. - Dlaczego? Teraz, gdy Imperium należy do nas, nie wydaje się to opłacalne.

- Panie, Imperium jest ubogie w minerały, zwłaszcza źródła energii. Nasz przemysł przetwórczy, tutaj, w Krainie, będzie się prężnie rozwijał i ropa na Wyspach może się okazać bardzo przydatna. Poza tym, po prostu nie podoba mi się oddawanie terytorium, na którego zdobywaniu spędziliśmy lata życia.

Pokiwał powoli głową. - Może. Przemyślę tę sprawę. Kolejna sprawa, raport dotyczący naszych agentów w Unii del Est. - Uśmiechnął się blade. - Republika Santander nie jest jedyną siłą, która może wzniecać niepokoje na granicach.

\* \* \*

- *Kurwa mać!*

Jeffrey Farr zaklął, przerywając dzwoniącą w uszach ciszę, jaka zaległa w czołgu. Jedynym dźwiękiem był zamierający stukot, jakby coś ucichło po obijaniu się o coś równie metalowego i stawiającego taki sam opór.

Jeffrey podniósł usmarowane gogle i wystawił głowę przez górny właz. Czarny, tłusty dym wydobywał się z tylnej kratownicy. Na szczęście ze wschodu wiał mocny wiatr, porywając ze sobą większość dymu. Reszta czteroosobowej załogi wyskoczyła z pośpiechem zrodzonym z kilkumiesięcznego doświadczenia z Brudnym Gerfym i jego słabościami. Stanęli w pełnej szacunku odległości, ze swoimi skórzanymi - na wzór futbolistów - kaskami w dłoniach.

Jeffrey sam zszedł, świadom, iż ma trzydzieści jeden lat, a nie że jest przed dwudziestką jak pozostali członkowie załogi. Nie żeby nie był tak zwinny, tyle że było to trochę bardziej bolesne. I był zmęczony, śmiertelnie zmęczony.

- Znowu filtr? - spytał główny mechanik z Pokips Motor, będących cywilnymi wykonawcami.

- Tak sędzę - odparł Jeffrey, splunięciem usuwając smak płonącej benzyny i oleju smarowego. Mężczyzna pociągnął łyk z podsuniętej przez kogoś manierki. - A potem spowodowało to rozdarcie w przewodzie paliwowym albo pęknięcie w zbiorniku ropy.

Teren wojskowy, który wykorzystywali, znajdował się na południowym skraju doliny rzeki Santander, dwieście mil na zachód od stolicy. Płaski obszar, a potem

pokryte drzewami lessowe wzgórza prowadzące w dół ku terenom zalewowym, jakieś dziesięć tysięcy akrów. Pozostałość z czasów, zanim ceny ziemi urosły tak wysoko. Wszędzie dokoła rozciągała się kraina pierwszorzędnej kukurydzy, słynąca z hodowli wieprzy i bydła. Większość obszaru była teraz poorana śladami bliźniaczych gąsienic Gerty'ego i podobnych do niego pojazdów oraz przez ogromne koła parowych ciągników trakcyjnych, które holowały je z powrotem, gdy się psuły, co działo się bezustannie. Gerty był najnowszym modelem - znitowane stalowe pudło na gąsienicach, jakieś dwadzieścia stóp długości i osiem szerokości, z nieruchomym okrągłym bunkrem w górze, pełniącym rolę wieżyczki. Inżynierowie wciąż pracowali nad pierścieniem wieżyczki i mechanizmem obrotowym i miejmy nadzieję, iż prace te są na ukończeniu.

- Problem w tym - powiedział mechanik - że strasznie przeciążacie silniki. Mają dosyć *koni mechanicznych* - dwa silniki samochodowe o mocy siedemdziesięciu koni mechanicznych. Ale nie zaprojektowano ich do znoszenia takiego momentu obrotowego.

- Cóż, to będziemy musieli je *przeprojektować*.

Jeffrey mówił opanowanym głosem. Ten człowiek starał się, jak mógł, wykonywać swoją pracę. Nie było jego winą, że talenty inżynierskie *były tak* rzadkie *tutaj*, w zachodnich prowincjach Santander. Od zawsze była to kraina dzierżawców i ziemian. Poza wschodnią wyżyną przemysł ograniczał się głównie do miast portowych, skupiając się na morskim handlu i tekstyliach. Problem w tym, iż była to pierwszorzędna kraina dla czołgów, a *milicja* z prowincji była rzeczywiście *zainteresowana* perspektywą walki pancerniej. Nikt, poza paroma dinozaurami jak generał McWriter, nie myślał już o kawalerii, nie po tym, co stało się w Imperium.

Jeffrey poczuł, jak robi mu się gęsia skórka. W myślach pojawiły mu się obrazy karabinów maszynowych i długich szeregów jeźdźców padających w wierzgającym, kwiczącym chaosie...

- Skrzynia biegów - powiedział. - Potrzebujemy mocniejszej skrzyni biegów.

- Co masz na myśli?

Jeffrey wyciągnął schemat. - Tarcza cierna sprzęgła - powiedział. - To nie jest eleganckie rozwiązanie, ale sądzę, że nie będzie się zrywać jak ten napęd łańcuchowy. Jak powiedziałaś, te czołgi mają po prostu za dużą bezwładność jak na system zaprojektowany dla trzytonowych samochodów wypoczynkowych.

- Hmmmm. - Mechanik przyjrzał się schematowi. - Ciekawe.

Spojrzał na Gerty'ego. Kilku jego ludzi podniosło kratownicę silnika i spryskiwało wodą migoczące tam płomienie.

- Jak tym sukinsynom Wybrańcom udało się, że ich działały? - spytał. - Słyszałem, że są cięższe od naszych.

- Oni używają parowych silników, a ich czołgi głównie *nie* działają - powiedział Jeffrey. - Potrzebujemy czegoś lepszego.

Mechanik ponownie spojrzał na schemat. - Do tego potrzebna jest wymyślna maszyna.

- Przedsiębiorstwo Inżynieryjne Hostena może wykonać dla was model i przyrządy do obróbki - powiedział Jeffrey. - Mają plany.

\* \* \*

John Hosten rozparł się na krześle i łyknął trochę lemoniady. W Składaniu Przysięgi było gorąco jak zwykle, i jak zwykle lepko i parno, a w powietrzu gęsto było od węglowego dymu. Hotel znajdował się blisko doków. Od jego ostatniej wizyty doki ogromnie się rozrosły, Nowe miejsca postojowe sięgały głębiej w obszar będący niegdyś nadbrzeżnym rezerwatem leśnym i ziemią uprawną. Z werandy na czwartym piętrze widział właśnie frachtowiec dokonujący wyładunku. Był to niewielki, tysiącpięćsettonowy statek. Worki z ziarnem przerzucane były na brzeg przy pomocy bomów ładunkowych i parowych kołowrotów. Na jego oczach sieć opadła ostatnie cztery stopy na powierzchnię z granitowych bloków nabrzeża. Dało się słyszeć słabe wrzaski i przekleństwa, gdy zwioteczała lina opadła, na wierzchołek sterty. Dokoła kręcili się tragarze, a nadzorcy walili gumowymi pałkami. W końcu ustawiła się kolejka, która potruciała z nieuszkodzonymi workami na plecach. Inni zaczęli miotłami zamiatać resztę i wrzucać ją do różnych pudeł i beczek.

*Boże, cieszę się, że nie muszą tego jeść*, pomyślał w duchu. W tym upale i przy tej wilgotności, będą mieli szczęście, jak nie będzie na tym sporyszu.

Skinął głową w stronę doku. - Mielibyście mniej szkód, gdybyście przeszli na urządzenia do masowego załadunku - rzucił lekko. - Podnośniki, śrubowy przenośnik rurowy i rym podobne.

Gerta Hosten podniosła wzrok znad leżących przed nią schematów. - Nie brakuje nam pracowników - powiedziała z uśmiechem nie sięgającym zimnych, ciemnych oczu.

>>Co oznacza, że brakuje im tego rodzaju pracowników, jakich wymagałyby

masowy transport<< rzekł po namyśle Raj.

Obraz pojawił się w świadomości Johna: niscy, ciemnoskórzy mężczyźni z żelaznymi obrożami wokół szyi ładujący pociąg - niesamowicie prymitywny pociąg, z lokomotywą przypominającą muzealny model, z otwartą platformą z wysokim, chudym kominem zakończonym metalowymi blachami. Pocąc się, każdy z nich zatacza się pod ciężarem zwoju suszonych ryb zawiniętych w sieć, wsadzając je z trudem na wagon-platformę. Inni ludzie się im przyglądają - żołnierze z jednostrzałowymi karabinami siedzący na olbrzymich psach. Od czasu do czasu jakiś pies kłapie ogromnymi szczękami z odgłosem przypominającym trzaskanie drzwiami i robotnicy człapią nieco szybciej.

>>Komu są potrzebne taczki, gdy ma się dosyć niewolników?<< stwierdził Raj z pełną ironii odrazą. >>W końcu to zmieniliśmy. Dzięki Centrum.<<

>>I dzięki tobie, Raju Whitehallu<< odparło Centrum.

John sięgnął do wewnętrznej kieszeni lekkiej, bawełnianej marynarki i wyciągnął papierośnicę. Z tego, co Raj Whitehall opisał, scentralizowana autokracja boga-króla, w jakiej się urodził, była prawie tak samo paskudna jak Wybrańcy - bardziej pożądana tylko dlatego, że Centrum i Raj mogli osadzić na tronie swojego własnego człowieka i posłużyć się nim do podźwignięcia społeczeństwa, aby ruszyło z martwego punktu. *Wydaje się, że istnieje więcej złych ścieżek niż dobrych*, pomyślał.

>>Zgadza się. Dla postneolitycznej ludzkości najbardziej prawdopodobne są społeczeństwa oparte na mocnym przymusie, zamarłe w bezruchu lub barbarzyństwie<< stwierdziło beznamyślnie Centrum - >>Pierwotny przełom, który doprowadził do nowoczesności na Ziemi, był rezultatem rozlicznych wydarzeń historycznych o małym prawdopodobieństwie wystąpienia. Obserwuj.<<

>>Później możemy mieć czas na wykłady<< stwierdził Raj. >>A tymczasem John ma robotę do wykonania.<<

Gerta znowu podniosła wzrok, układając zgrabnie stertę dokumentów na stole w hotelowym pokoju. Pociągnęła długi łyk wody.

- Ten... Chart?

- To rodzaj psa wyścigowego - podrzucił pomocnie John.

- Ten Chart wygląda na bardzo użytecznego *panzera*, jeśli tobie... jeśli Santanderczykom uda się go uruchomić - stwierdziła.

- To prawda - powiedział John. - Jest wokół tego sporo kontrowersji. Zachodnie prowincje prą ku produkcji czołgów, ale wschodnie chcą skupić wysiłki na budowie

samolotu. A to oni mają większą moc wytwórczą w dziedzinie silników spalinowych wewnętrznego spalania.

- Tak, czytałam przemówienie tego... senatora Darmana? W każdym razie tego przedstawiciela Ensburga - zadbałeś o dołączenie go do ostatnich raportów. „Pokładam wiarę w nasze góry”, bardzo barwne stwierdzenie.

Jej silne, pokryte zgrubieniami palce obróciły plik papierów. - A teraz, ten, ten krążownik lądowy przyprawi o ból głowy inżynierów Wojskowej Rady.

Projekty leżące na stole ukazywały masywną maszynę w kształcie pudełka, z sześciocalowym działkiem zamocowanym w linii środkowej, dwucalowymi szybkostrzelnymi działkami na wieżycze w górze i sześcioma karabinami maszynowymi na barbecie burtowej po obu stronach.

- Co za monstrum - ciągnęła dalej. - Jeśli Santanderczycy mają kłopoty z uruchomieniem Charta, to jak się spodziewają, że to... to coś będzie się ruszać?

John pochylił się do przodu. Dużo pracy, głównie Centrum, wpakowano w ten krążownik lądowy. Nie było łatwo zaprojektować coś, co wykraczało poza obecny poziom technologiczny Visager, ale tylko *nieco* wykraczało. Na tyle, żeby kompetentni inżynierowie zajmowali się poszukiwaniem tego konkretnego, zwodniczego Świętego Grała. Dezinformacja była czymś więcej niż prostym kłamstwem.

- Każdy wózek ma własny silnik - zwrócił uwagę.

Ogromna maszyna spoczywała na czterech wózkach z każdej strony, poruszających się na osi przegubowej z resorami na dźwigni kątowej, - Widzisz, układ napędowy przebiega przez ten wał giętki sprzęgła, a potem przez przekładnię zębatą do zęba koła łańcuchowego tutaj, pomiędzy kołami, na których opiera się ciężar.

- Porschmiodowi się to spodoba. Niestety.

Gdy John na nią spojrział, ciągnęła dalej: - Nowy szef Wydziału Rozwoju Technicznego. Jest świetny, ale próbuje ze złych projektów zrobić dobre, zamiast dać sobie z nimi spokój. Woli zaprojektować trzy pompy tłoczące i dodatkowy system cyrkulacji dla silnika, niż po prostu poprawić wadliwą część, żeby nie przeciekała. Powinieneś widzieć, co zrobił z ciężkim działkiem polowym. Dość, żeby egzaminator na próbie życia się popłakał. To ten rodzaj człowieka, który przydaje złego imienia inżynierom. Jest przekonany, że jeśli gówno jest jego, to nie śmierdzi.

- Cóż, jeśli Republika marnuje czas, to tym lepiej - rzekł John z uśmiechem.

- *Ya*. Tylko czy to Republika marnuje czas, czy to ty marnujesz nasz?

John zachował przyjazny wyraz twarzy, podczas gdy jego jadra próbowały się

wcisnąć z powrotem do brzucha. Nie można się zlać zimnym potem w klimacie Składania Przysięgi, lecz można odczuwać mdłości.

- Gerta, *min soester*, czy aż tak źle o mnie myślisz?

- Johan, *min brueder*, bardzo cię cenię. Myślę, że jakoś udaje ci się dymać wywiad wojskowy i sprawiasz, że im się to podoba. - Wyszczrzyła się w uśmiechu, który tym razem był szczery. - Ale przekazujesz nam tyle prawdziwych informacji dla osłody, że nie potrafię o tym nikogo przekonać... jak na razie.

Westchnęła, odprężyła się i odłożyła dokumenty do teczki attache, przekręcając zamek szyfrowy. A potem naląła nieco bananowego dżinu z karafki do swojej wody i kapkę do jego lemoniady. - Teraz jestem już oficjalnie po służbie.

Pociągnął łyk. Oleisto-słodki smak destylatu zdawał się pasować do otoczenia. Nie wpłynie też znacząco na jego zdolność osądu sytuacji.

- Słyszałam, że adoptowałeś dziecko - powiedziała Gerta.

- Tak. Widzisz, *praktykuję* zwyczaje Wybrańców o tyle, o ile mogę. - Obydwoje się roześmieli. - Jak ma się twoje najmłodsze?

- Jest bezkształtną grudką protoplazmy, jak wszystkie w tym wieku - powiedziała Gerta.

Wyciągnęła zdjęcie z mundurowej tuniki. Widać było na nim dziecko, zjedna pulchną rączką wsadzoną do buzi. Sądząc po płóciennym staniku w zamazanym tle, znajdowała się z nim protegowana mamka.

- Młody Sigvard. To już czwórka. Myślę, że spełniłam swój obowiązek wobec Wybrańców, nie sądzisz? Cięża jest ciekawym przeżyciem, ale nie chciałabym przesadzać.

- A adoptowane?

- Dobre dzieciaki, każde z nich - powiedziała Gerta. - Jedyna dobra rzecz w pracy za biurkiem, to to, że udaje mi się z nimi częściej widywać. Przez wzgląd na wojnę, w ciągu ostatnich dwóch lat praktycznie mieszkaliśmy w domu ojca.

John wyciągnął zdjęcie Pii i Maurice'a juniora. Gerta obrzuciła je wzrokiem. - Porządna rasa - powiedziała... co stanowiło duży komplement jak na standardy Krainy.

- Słyszałem, że Heinricha zrobili brygadierem?

- *Ya*, była to ta sama depesza zawiadamiająca, która awansowała mnie na pełnego pułkownika - powiedziała Gerta, opierając się i przeciągając. - Dodali kolejne sześć dywizji do normalnego stanu, dużo nowych stanowisk do rozdania. Zwłaszcza po tych

wszystkich degradacjach i różnych takich po przeanalizowaniu kampanii.

John skinął głową. Sztab generalny miał wysokie standardy. Po kampanii w Imperium nastąpiło sporo przetasowań. Sam sukces nie wystarczał...

>>Po tym poznać dobre wojsko, chłopcze<< powiedział Raj. >>Każdy potrafi się uczyć na własnych błędach. Wyciąganie nauki ze zwycięstwa wymaga mocnej doktryny.<<

- Myślę, że pozostało dosyć nagród pocieszenia - rzekł na głos.

Gerta zachichotała. - Cóż, Rada *rzeczywiście* rozdaje posiadłości hojną ręką. Głównie na zachodzie, na początek wokół Corony. Ale jest zbyt niespokojnie, żebyśmy się już mogli rozproszyć. - Wzruszyła ramionami. - Załatwimy to z czasem.



## Rozdział dwunasty

- Chryste, jak ja się w to wszystko wplątałem? - wymruczał jeden z żołnierzy piechoty morskiej siedzący z tyłu długiej łodzi.

John uśmiechnął się w ciemnościach. To był Barrjen. Krępy żołnierz zgłosił się na ochotnika - nieoficjalnie, cała misja była wysoce tajna - mimo głośno wyrażonej ulgi z powrotu do domu ostatnim razem. Właściwie to wszyscy ci, którzy wędrowali z mm z Ciano do Salini, zgłosili się na ochotnika, nawet Smith ze swoją kaleką stopą. Niektórzy byli tym nieźle zawstydzeni, jakby się za to w myślach kopali, ale wszyscy to zrobili.

Była bezksiężycowa noc, i to pochmurna, typowa zimowa pogoda w Cieśninie. Łódź wielorybnicza sunęła cicho po ciemnej wodzie. Równie dobrze mogliby wiosłować w szafie, tyle tylko widzieli. Woda wirowała wokół owiniętych szmatami wiosł, a oddech parował. Prowadziła ich tylko fosforyzująca tarcza jego kompasu, to oraz...

- *Padnij!* - syknął cicho.

Tuzin mężczyzn w łodzi wciągnęło wiosła i zwróciło swe poczerwione karkiem twarze ku dołowi tym samym ruchem. Kilka sekund później po wodzie zaczął się nieść cichy warkot parowego silnika łodzi piechoty morskiej. Reflektor przeciął ciemność. Oślepiająco jasna lampa łukowa połyskiwała na falach. Za nią znajdowało się stado innych łodzi. Rybackich. Wybrańcy nie mogli zlikwidować rybołówstwa w Cieśninie. Było ono zbyt istotne dla gospodarki, a zbyt wiele ważnych morskich gatunków najlepiej chwyciło się w ciemności. *Jednak* wysyłali kanonierki, aby mieć pewność, że nikt nie spróbuje uciec ku wybrzeżu Santander czy Unii, zapewne też trzymali rodziny

rybaków jako zakładników.

Światło zamrugało obok. Słabsze światełka pojawiały się wśród łodzi rybackich - latarnie przynętowe rozciągnięte na dziobie i burtach. John czekał w napięciu, aż zostaną otoczeni przez pozostałych kilkadziesiąt szeroko rozrzuconych łodzi.

- Czekać na...

Plusk, trysnęła morska piana, gdy coś wielkiego wyskoczyło, próbując pochwycić zwisającą z łodzi latarnię - coś z długim łbem pełnym białych zębów. Krzyki niosły się po wodzie, dostrzegł też przygotowanego do ataku mężczyznę z harpunem. Harpunnik uderzył i ogromny trzyplątowy ogon wynurzył się z wody. Pozostałe łodzie zbliżały się, aby pomóc przy pierwszej zdobyczy i zaczekać na inne stwory przyciągnięte przez zamieszanie i krew w wodzie.

- Teraz? Wiosła, wiosła!

Kanonierka Krainy znajdowała się dalej w głębi Cieśniny, poświstując parowym gwizdkiem i przeszukując wodę reflektorem... Jednak jej załoga czuwała na wypadek próby *ucieczki*, a nie szukała łodzi zmierzających ku dawnemu imperialnemu wybrzeżu. John trzymał prawą rękę na sterownicy wzdłużnej łodzi wielorybniczej, od czasu do czasu zerkając na kompas trzymany w lewej. Głównie dla niepoznaki. Centrum sprawiało, iż widmowa strzałka wektora unosiła mu się przed oczyma.

>>Echa od strony klifów, zgodnie z podaną konfiguracją<< powiedziała maszyna.  
>>Odległość tysięcy metrów, zmniejszająca się.<<

*Łup.* John obejrzał się do tyłu. Była to armata kanonierki... ach. - To tylko jeden z tych dużych - wyszeptał do załogi.

Czasem taki się trafiał, nawet w płytkich wodach Cieśniny. Nie aż tak duży jak te, które czyniły niebezpiecznym żeglowanie po zewnętrznych morzach, ale za duży, aby poradził sobie z nim harpunnik. Gdy ludzie przybyli na Visager, na lądzie było niewiele form życia, ale nadrabiały to oceany. Oficer Wybrańców na tej kanonierce pewnie uważał to za sport, coś, co przerywało nudną rutynę nocnej eskorty. Był to doskonały kamuflaż dla Johna.

- Wkrótce dopłyniemy do klifów - powiedział cicho. - Połowiczne ruchy wiosel...

Wiosła zmniejszyły tempo, ledwo co zanurzając się w wodzie. Słyszał teraz powolne uderzenia fal grzmiących i syczących na skałach. John podniósł swoją latarnię sygnałową i ostrożnie otworzył przesłone: dwa długie, dwa krótkie, jeden długi.

Odpowiedziały mu błyski - dwa krótkie, powtórzone. Tylko na to się ośmielali

przy świetle skierowanym na Cieśninę.

- W gotowości - rzucił żołnierz piechoty morskiej z przodu łodzi. Dało się słyszeć ciche *plop*, gdy żołnierz markierował. - Ku celowi, sześć. Sześć. Pięć. Sześć. Cztery. Cztery.

Po obu stronach wyłoniły się skały, ledwo widoczne pod załamującymi się na nich, posykującymi niczym węże falami. Rzeka przerywała tutaj klif, wycinając ścieżkę, którą mogli posługiwać się ludzie i kozy.

- Na cel, siedem. Dziesięć. Bez dna przy dziesięciu.

Kołysanie łodzi uległo zmianie, uspokajając się, gdy wpłynęli na osłonięte wody. John poczuł, jak pot lepi mu włosy pod czarną kominiarką. - Partyzanci będą czekać, partyzanci albo oddział szybkiego reagowania Czwartego Biura.

- Odłożyć wiosła - powiedział.

Żerdzie wsunęły się bezszelestnie do środka. Łódź się przechyliła, zwalniając... a stępka zachrzęściła na kamyczkach. Czterech mężczyzn skoczyło za burtę, w sięgającą ud wodę, rozstawiając się z bronią gotową do strzału. Reszta ruszyła w ich ślady w sekundę później, przykładając ramię do burt łodzi, popychając ją do przodu. John dobył rewolwer z kabury na ramieniu i zeskoczywszy z dziobu, pognął do przodu.

>>Tam<< powiedziało Centrum, odczytując informację z tego, co odbierały jego uszy, choć było to za słabe, aby on sam świadomie to wyłowił.

Ruszył do przodu, szurając stopami, by uniknąć potknięcia się na nierównej powierzchni. Zapłonęła osłonięta dłonią zapalka, na tyle długo, aby mógł rozpoznać twarz. Arturo Bianci, *cotadini*, któremu przesłał broń na początku wojny. Wyglądało na to, że dwa lata postarzyły tego człowieka o dziesięć, co nie było znowu takie zaskakujące.

Dłoń uściśnęła jego dłoń. - Żadnych świateł - ostrzegł John.

Bianci wydobył z siebie dźwięk przypominający śmiech. - Nauczyliśmy się tego, *signore*. Ci z nas, którzy żyją, nauczyli się wiele.

Rzeczywiście. Z palików zwisały sznury prowadzące w górę stromej, skalistej ścieżki. Partyzanci dołączyli do żołnierzy piechoty morskiej wylądowujących skrzynie i przywiązywali je do ramion sznurowymi pętlami. John przerzucał skrzynie z łodzi, zadowolony z ciszy i szybkości... czekając na chwilę, gdy światła zapłoną na szczycie klifu i odezwią się głosy mówiące po krajowemu. Wreszcie łódź była pusta, unosiła się wysoko, ocierając o żwir.

- Tędy - powiedział John.

Harry Smith skinął głową i razem przepchnęli ją w górę strumienia, pod zwisające pnące dzikiego drzewka oliwnego i winorośli. Smith sięgnął, przesuwając ją swym ciężarem na bok, i wyciągnął zatyczkę. Woda zagulgotała, dostając się do łodzi wielorybniczej, która zatonała szybko w sięgającym do piersi strumieniu.

- Wrzucę w nią parę kamieni - powiedział Smith. - Będzie tu, kiedy wrócicie. Tak jak i ja. Powodzenia, panie. - Wsadził nabój do zamka samopowtarzalnej strzelby.

- Dzięki. Tobie też. Wszystkim nam będzie potrzebne.

\* \* \*

Heinrich Hosten spojrział na to coś, co drgało i kwiliło na stole. Specjalistka z Czwartego Biura uśmiechnęła się i poklepała je po tym, co zostało ze skóry na głowie.

- Tak, powiedziałabym, że na pewno planują coś związanego z pociągiem - stwierdziła. - Nie mogę ci jednak powiedzieć dokładnie gdzie. Obiekt z pewnością tego nie wiedział.

Wychodząc, Heinrich skinął głową na znak podziękowania. Na zewnątrz stał przez chwilę w zamyśleniu koło swego konia, rozglądając się po budynkach małego miasteczka, a potem wyciągnął mapę z kasetki u boku, przechylając ją tak, żeby światło latami przed regionalną kwaterą główną Czwartego Biura padało na papier. Gdy dosiadł konia, skierował się ku koszarom, a eskortujący go strzelcy ruszyli ze stukotem za nim przez chłód nocy.

- Nie, nie budźcie majora van Pelta - powiedział do wartowników przed głównym wejściem. Przed podbojem był to klasztor. Pomieszczenia doskonale nadawały się do swej nowej roli; szereg podwórców z odchodzącymi od nich małymi pokojkami i obszerne, wspólne kuchnie i refektarze nadające się na sale kantyny. - Kto jest oficerem dyżurnym?

Okazała się nim być bardzo młoda kapitan. Heinrich odpowiedział na jej salut, a potem uśmiechnął się, wpychając tytoń do swojej wielkiej, zakrzywionej fajki.

- *Hauptman Neumann*, jaki jest najgorszy koszmar młodszego oficera?

- Ach... - kapitan Neumann zmarszczyła czoło z namysłem. - Atak z zaskoczenia przeprowadzony przez przeważające siły wroga? - rzekła z nadzieją.

- *Tsk, tsk*. To byłaby *szansa* dla utalentowanego młodego oficera - rzekł przyjaźnie Heinrich. - Nie, koszmarem jest to, co stanie się twoim udziałem. Operacja przeprowadzona w obecności starszego oficera, zagładającego ci przez ramię i trącającego cię w łokieć. Jakie siły stacjonują tu, w Campo Fiero?

- Jeden batalion Trzeciej Piechoty Protegowanych, obecnie dziewięćdziesiąt osiem procent pełnego składu, oraz szwadron pojazdów opancerzonych - pięć w gotowości, trzy przechodzą poważne naprawy. Nie licząc - dodała z bezwiednym prychnięciem - żołnierzy żandarmerii. Plus zwykle elementy wspomagające.

Heinrich pokiwał potwierdzająco głową. Następnie odwrócił się do mapy leżącej na wypełniającym róg pokoju odpraw stole. - Ach, tak. A teraz znajdź mi rozkład jazdy pociągów. A jak już przy tym jesteś to - twoja kompania jest, jak sądzę, gotowa do działania? Dobrze. Jak już przy rym jesteś, to niech twoi żołnierze przygotowują się do wymarszu, pełny ekwipunek polowy, ale żadnego hałasu. Nikt nie może wejść do ani opuścić terenu koszar.

Wpatrywał się w mapę, pykając fajką przez odgięte cynowe wieczko. A *teraz*, pomyślał z radością, *gdybym był buntowniczym bydlęciem, to gdzie bym był!*

\* \* \*

- Dobry wybór - powiedział John.

Bianci mruknął za nim. - Most byłby lepszy, ale teraz są tam blokhauzy, pluton piechoty, a na każdym końcu po dwa przekłete karabiny maszynowe. Zawsze mają w gotowości rakiety sygnalizacyjne.

John skinął głową. Wszedł Oto. Najmniejszy z trzech księżyców Visager przesunął się także najszybciej i choć był jedynie jasną iskierką na niebie, to dawał *trochę* światła. Dosyć, aby widzieć, jak tory kolejowe zakręcają tutaj wokół stromego, skalistego pagórka przechodzącego w odcinek bagniska, z małym potokiem po drugiej stronie. Partyzantów było około sześćdziesięciu. Bianci nie przedstawił nikogo innego, tak jak powinno być.

- Na początku udawało nam się dostać sporo pociągów - powiedział Bianci. - Ale potem *tedeschi* zaczęli zmuszać wieśniaków mieszkających wzdłuż linii kolejowej do jazdy w przednich wagonach.

- Nie możecie pozwolić, aby to was powstrzymywało - powiedział John.

Bianci spojrzał na niego; przyciemniony błysk gałki ocznej w słabym świetle księżyca, woń czosnku i potu.

- Nie pozwoliliśmy - rzekł. - Ale wieśniacy sami zaczęli patrolować linię kolejową... aby chronić swoje rodziny, rozumiesz. Więc teraz wybieramy miejsca z dala od obszarów zamieszkałych. Jak to.

- Dobry teren - powiedział John.

Jeden z żołnierzy piechoty morskiej wspiął się na wzgórze, ciągnąc za sobą szpule cienkiego drutu. Kolejny przykucnął koło

Johna, stawiając obok skrzynkę. Z jej góry wystawał ruchomy trzpień z uchwytem, a z boku korba. Bianci pochylił się bardziej, przyglądając się, jak żołnierz przecina drut, rozdziela na dwa pasma i usuwa izolację przy pomocy noża noszonego u pasa. Czyste, miedziane druciki pasowały do włosków na ogromnych, piegowatych dłoniach, osobliwie delikatnych przy wykonywaniu tego trudnego zadania w prawie całkowitych ciemnościach.

- Ach, *bellissimo* - stwierdził Imperialny. - Używaliśmy czarnego prochu z zapalnikiem ciernym, ale odkąd zaczęli stawiać pojazd przed lokomotywą, to się już tak dobrze nie sprawdza.

- Możemy wam dostarczyć detonatory - powiedział John. - Ale będziecie musieli zdobyć drut - druty telegraficzne dobrze się nadadzą.

Bianci ponownie pokiwał głową. - To możemy zrobić. - Spojrzał wygłodniałe na znajdujące się w dole tory. - Niewolnicy pracujący na bocznicach kolejowych mówią nam, co jedzie w wagonach. Ten ma zapasy dla wojska, broń i amunicję, środki medyczne i części do maszyn dla nowej stacji napraw na północ od Salini. *Tedeschi* mówią o położeniu drugich torów na linii od Pady do wybrzeża... dlaczego, jak myślisz?

- Wkrótce wznowią handel z Republiką i innymi krajami w Cieśninie - odparł John. - I po to, aby szybciej przesyłać zapasy i żołnierzy. Oni...

Daleko, na północnym zachodzie, żałobny gwizd pary z lokomotywy odbił się echem od wzgórz. Bianci zaśmiał się nieprzyjemnie. - Dokładnie na czas. Pociągi jeżdżą punktualnie, odkąd przybyli *tedeschi*... chyba że my zorganizujemy jakieś opóźnienia.

John zakopał się nieco głębiej w skalistym stoku. *Muszą tu być, cholera*, pomyślał. Partyzanci muszą widzieć, że otrzymują jakieś wsparcie, nawet minimalne. Problem w tym, że rząd Santander nie jest tak naprawdę gotowy do udzielenia tego wsparcia, jeszcze nie. Zaskakujące jednak, czego można „dokonać przy pomocy znajomości i ogromnej ilości pieniędzy.

Cisza się przeciągała. Bianci uniósł się na łokciu. - Dziwne - powiedział. - Powinni być już na równinie, przed tym pasmem wzgórz.

\* \* \*

- Cieszę się, że się zatrzymałeś - powiedział Heinrich, oświetlając swoją nową elektryczną latarką pojazd eskortujący.

- Tak jest.

Pojazd był standardowym wozem opancerzonym, zaopatrzonym w wysuwane podpory, aby mógł jechać po torach, i napęd paskowy odchodzący od kół. Doktryna wymagała, aby pojazdami bojowymi dowodzili Wybrańcy. W tym wypadku był to młody, okazujący nerwowość szeregowy, stojący na baczność w wieżyczce i wpatrujący się przed siebie, sztywny niczym dwa karabiny maszynowe wystające przed nim.

- Spocznij - powiedział brygadier Wybrańców. - A teraz chcemy to przeprowadzić szybko - dodał do kapitan Neumann.

- Wyładować wagony towarowe od czwartego do szóstego.

Dowódca pojazdu opancerzonego, wykazując się ogromną śmiałością, zaczął: - Panie, to są...

- ... zapasy wojskowe. Jestem tego świadom, szeregowy. - Ten zeszywniał jeszcze bardziej. Heinrich zwrócił się z powrotem do Neumann. - Potem zamocujcie te dwuteowe belki i załadujemy na nowo wagony.

Szczyście mu dopisywało. W Campo Fiero znajdowała się sterta stalowych belek, w rodzaju tych, których używano jako podpór w bunkrach artyleryjskich na wybrzeżu. Wykorzystane jako rampy, umożliwiały załadowanie do pociągu pojazdów opancerzonych... przy pomocy sznurów, wielokrążków, wciągarek i mocnego popychania. Miał nadzieję, że wyjechanie będzie łatwiejsze.

Wydane półgłosem rozkazy sprawiły, że jakichś stu żołnierzy z kompanii Neumann zaczęło wyrzucać skrzynie z wagonów, a oficerowie Wybrańców przyłączali się, stając obok swoich podwładnych. Inni zdejmowali stalowe belki z wozów opancerzonych czekających tam, gdzie niewielki bity trakt przecinał linię kolejową. Heinrich ruszył do przodu, gdy załoga spoconych protegowanych piechurów zachwiała się - Ludzie wciąż dyszeli po pięciu milach forsownego marszu mającego na celu przechwycenie pociągu.

*Ale nikt nie widział, jak wsiadamy*, pomyślał z pewnym zadowoleniem z siebie oficer Wybrańców, chwytając koniec ciężkiego metalowego elementu. Mięśnie mu napęczniały na ramionach i szyi, gdy zaparł się i obrócił go. z zębami zaciśniętymi wokół ustnika fajki.

- Wyważcie ten sprzęt! - warknął, gdy protegowani przejęli ciężar.

Posłuchali, spoglądając na niego zdumionym wzrokiem. Na pół minuty wziął na siebie ładunek dwóch mężczyzn. Stał szczęknęła opadając na platformę, a kierowca pojazdu opancerzonego zaczął się wycofywać i zajmować pozycję, ustawiając koła odpowiednio do rampy.

Heinrich się odsunął, otrzepując dłonie. Gdzieś na południe stąd czeka stado bydła ze złudzeniami o chwale. To z jakiegoś powodu przypomniało mu Jeffreya Farra, przybranego brata Johna. Dobry człowiek: porządny żołnierz, może nieco za miękki, ale porządny. Wielka szkoda, iż kiedyś prawdopodobnie będę musiał go zabić.

- I miałem rację - wymruczał do siebie. - *Starczy tu zabawy na lata.*

\* \* \*

- Słońce zachodzi, ale także wschodzi - wyszeptał Bianci, kładąc dłoń na ruchomym trzpieniu detonatora.

- Hmm? - spytał John, wyrwany z rozmyślań.

- To stare powiedzenie, *signore*.

Dał się znowu słyszeć świst pociągu, głośniejszy. *Zawsze jest to melancholijny dźwięk*, pomyślał John, pociągając łyk z manierki. Oto prawie zaszedł, lecz Adele weszła, jaśniejsza i powolniejsza w podnoszeniu się zza horyzontu. Pierwszy pojawił się jadący po torach pojazd opancerzony, trzaskając i warkocząc pasem na tylnych kołach. Wieżyczka poruszała się niespokojnie, przeszukując ciemność. Światło zamontowane nad karabinami maszynowymi przesunęło się po stoku. John się naprężył.

*To nic*, pomyślał, wdychając zapach wilgotnego od rosy tymianku przyciśniętego jego ciałem. *Dobra dyscyplina strzelnicza*. Nie odkryto żadnego z ludzi na zboczu i żaden się nie poruszył.

- Teraz - wyszeptał Arturo, kręcąc korbą z boku detonatora. A potem wcisnął trzpień.

ŁUP. ŁUP. ŁUP.

Trzy kule purpurowego ognia wykwitły wzdłuż biegnącego łukiem odcinka kolei. Jedna przed pojazdem eskortującym; wyhamował desperacko, wyrzucając pióropusze iskier spod wystających od kół podpór. Jednak nie dość szybko. Przednie koła wtoczyły się na powyginane przez dynamit żelazo. Kadłub powoli przechylił się i przewrócił na bok, a potem zsunął po ziemi i żwirze nasypu. Lokomotywa miała trochę więcej szczęścia, hamując z piskiem stali ocierającej się o stal. Odgłos wbił się



bólem w uszy znajdującego się pół tysiąca jardów dalej Johna. Przednie koła ciuchci wpadły do leja po wybuchu pozostawionego przez minę, pociągając czoło lokomotywy ku dołowi. To wyrzuciło ku górze i wykoleiło wagon z węglem i pierwszy wagon towarowy. Oba zawisły, trzymając się na mocujących je do parowozu spinaniach. Reszta wagonów towarowych zatrzymała się z szarpnięciem. Większość z nich uległa częściowemu wykolejeniu, lecąc na prawo lub lewo, aż zatrzymała je inercja wagonu znajdującego się przed nimi. Cały pociąg składający się z dwóch tuzinów wagonów stał zygzakiem, jednak żaden z nich nie został przewrócony na bok...

- Jechał za wolno - powiedział ze zdziwieniem Arturo. Dotarło to do niego, krystalizując się niczym gruda w żołądku. - *Pułapka!* - krzyknął John. - Wynoście...

*Szuunk.* Moździerz wyrzucił rakietę wysoko w niebo nad nimi. Jasnoniebieskie światło zalało wzgórze, i bagno, ostre dla ich przywykłych do ciemności oczu. *Szuunk. Szuunk.*

Strzały z broni lekkiej wybuchły falą na stoku wzgórza i od partyzantów ukrytych w bagnie po drugiej stronie nasypu. Nauczyli się, że pułapka lepiej się sprawdza, gdy przygotowuje się ją z obu stron. Znajdował się tam również przechwycony karabin maszynowy. Jaśniejsze błyski z jego lufy kontrastowały z ciemniejszym, bardziej czerwonym światłem imperialnych karabinów na czarny proch, jakie mieli partyzanci.

- Wycofajcie się! - John krzyknął Arturowi w ucho. - Zabierajcie się stąd, zostawcie straż tylnią i *od razu się wynoście!*

Dowódca partyzantów zawahał się. Z odgłosem przypominającym rozrywające się w powietrzu płótno ponad tuzin taśmowych karabinów maszynowych Haagen wystrzeliło z pociągu. Strzały z partyzanckich karabinów przebijały się przez cienkie, sosnowe deski towarowych wagonów, lecz John widział, jak rykoszetowały, iskrząc od znajdującej się wewnątrz stali. Osłony strzelnicze; karabiny maszynowe były modelami fortecznymi, z zakrzywioną stalową płytą osłaniającą strzelca. Ogień z nich walił w stok wzgórza niczym cepy w młockami, tnąc noc strugami schodzących łukiem światła. Sypało iskrami, gdy pociski o dużej prędkości odbijały się od kamieni. Słabe czerwone błyski pojawiały się tam - jak papieros przytknięty do cienkiego papieru - gdzie pociski skosiły trzciny w bagnisku. A dziesiątki protegowanych piechurów wylewały się z wagonów. Niektórzy padali, ale większość przypadała do ziemi wzdłuż pociągu i odpowiadała ogniem.

Drzwi wagonów towarowych znajdujących się z tyłu otworzyły się od wewnątrz. Stalowe belki wypadły ze szczękiem, a w środku ukazały się sylwetki wozów

opancerzonych. Pierwszy z nich zleciał z rampy, lądując na boku i prawie się przewracając, zachował jednak równowagę. Jego silnik zasapał głośno, gdy koła obróciły się, obsypując żwirem ściankę wagonu. Potem okręciła się wieżyczka, posyłając jeszcze więcej strzałów w stronę zbocza. Oddziały piechoty podniosły się pomknęły, by skryć się za nim. Protegowani nacierali pod osłoną, gdy pojazd posuwał się ku niskim zboczom wzgórza. Kolejne trzy wozy bojowe z łupnięciem opadły na ziemię, chrzęszcząc na żwirze nasypu.

John chwycił Artura za ramię. - *Wynoś się stąd, do kurwy nędzy!* - wrzasnął partyzantowi w ucho. A potem zwrócił się do Barrjena: - Zbierz resztę. Czas się wynosić.

- *Tak jest.*

Z przeciągłym smoczym sykiem rakietą wzbijała się znad rozwalonego pociągu. Wznosiła się na wysokość ponad tysiąc metrów, a potem trysnęła deszczem złota - kolorami flagi Wybrańców - żółtym na czarnym tle.

\* \* \*

- *Zagrać stanąć w miejscu* - powiedział Heinrich Hosten, stojąc z rękoma wspartymi na biodrach. - I pamiętajcie, żywi jeńcy.

Żołnierze posuwali się w dół zbocza w ostrym świetle łukowej lampy, dżgając bagnetami zwoje lachmanów. Od czasu do czasu wywoływało to reakcję i żołnierze podnosili rannego partyzanta. Robili to bardzo ostrożnie po tym, jak jeden z nich wsunął pod swoje ciało uzbrojony granat.

Zagrała trąbka, cztery ostre, wznoszące się nuty. Powolny jazgot wymiany ogniowej na terenie wzniesień na zachodzie zamarł. W tej względnej ciszy, jaka nastąpiła, Heinrich usłyszał nadjeżdżający pociąg z resztą batalionu i ekwipunku. A poza tym, oczywiście, ze sprzętem i robotnikami do naprawy torów. Wyrządzenie trwałej szkody linii kolejowej, nie dysponując czasem i mnóstwem sprzętu, było zaskakująco trudne.

- Czy ruszymy w pościg, gdy przybędzie reszta batalionu, brygadierze? - spytała kapitan Neumann.

- *Nein* - powiedział. - Łatwo moglibyśmy wpaść w zasadzkę w tych ciemnościach. - Wyciągnął kasetkę z mapami. - Ale dobrze by było, posłać blokujące siły *tutaj* i *tutaj*. A potem, za kilka godzin, możemy się ruszyć i zobaczyć, jak wiele z tych ptaszków uda nam się pochwyć.

Kapitan Neumann spojrziała na punkt pomocy medycznej, gdzie opiekowano się jej rannymi. Były tam cztery ciała z naciągniętymi na nie płachtami.

- Zabiliśmy tylko jakichś dwudziestu z nich - powiedziała. - To zła proporcja.

- Operacja jeszcze się nie skończyła - rzekł Heinrich. - I myślę, że udzieliliśmy im małej lekcji.

- I w tym tkwi problem. Kiedy udzielamy im lekcji, oni się *uczq* - stwierdziła niespodziewanie Neumann.

Heinrich wzruszył ramionami. - Musimy dopilnować, abyśmy nauczyli się więcej niż oni - dodał, wyrzucając niedopalony tytoń z fajki.

\* \* \*

W jaskini okropnie śmierdziało: wilgotną skałą i nieczystościami tych, którzy przeżyli, jako że nie ośmielili się wychynąć na zewnątrz przez ostatnie trzy dni. Słabe światło dnia przenikało na tyle, iż zamieniało całkowitą czerń jaskini w szarą poświatę.

- Nie udało nam się - rzucił z goryczą Arturo.

- Przeżyliśmy - odparł John. - Wielu z nas. Następnym razem lepiej sobie poradzimy.

- Tak jak i oni! - powiedział partyzant.

- Po prostu będziemy musieli szybciej się uczyć - rzekł John. - Poza tym jest nas więcej niż ich.

Spojrzał ku światłu. - A teraz lepiej, żebyśmy sprawdzili, czy ich patrole wciąż prowadzą poszukiwania - powiedział. - Do zatoczki jest spory kawałek.

\* \* \*

Jacht parowy Johna Hostena nie był największym w rejestrze Santander, ale niewiele mu brakowało. Jachty stanowiły powszechny symbol statusu społecznego wśród przemysłowych magnatów Republiki. *Mknący z wiatrem* miał tylko około tysiąca dwustu ton wyporności. *Był* jak najbardziej nowoczesny, z pewnymi udoskonaleniami zasugerowanymi przez Centrum, a John wykonał je w zakładzie inżynieryjnym, który należał do niego. Jedną z innowacji było wejście przez komorę czerpalną w burcie, którą można było zalać lub osuszyć przy pomocy pomp w niecałą minutę, oraz turbinowe silniki - coś, czego nie miał jeszcze żaden statek w marynarce Republiki. Mały stateczek, długi i smukły na tle wschodzącego słońca, czarna sylwetka

podświetlona szkarłatem.

- Wiosłować! Pochylić *karki*, łązęgi!

W głosie znajdującego się na dziobie Smitha pojawiła się ostra nuta. John wiedział dlaczego. Słyszał to bez odwracania się od rumpla. Głębokie sapanie, głuchy odgłos wydawany przez uchodzącą przez komin lekkiego stateczku parę i cichy dźwięk szmerzącej fali rozgarnianej dziobem. Kanonierka dostrzegła ich dwadzieścia minut temu i z punkcika na horyzoncie stała się małym modelem stateczku, który rósł w oczach, wypływając długi pióropusz czarnego, węglowego dymu z cylindrycznego komina.

- Machać! - krzyknął, starając się głosem pokrzepić załogę przy wiosłach. - Machać! Już prawie w domu! Machać!

Pot połyskiwał na ich twarzach, otwarte usta łapały powietrze. Dał się słyszeć nowy odgłos, przytłumione dudnienie.

- Smith!

John jedną ręką rzucił dawnemu żołnierzowi lornetkę. Ten pochwycił ją i spojrzał w górę. - Och, cholera, panie. Jeden z tych worków z gazem. Dopiero co się pojawił.

- Ile gondoli silnikowych?

- Cztery. Nie, cztery po bokach i jedna tak jakoś z tyłu.

- Podniebny tygrys. Klasa patrolowa - powiedział John. Centrum usłużnie podsunęło dane dotyczące budowy i osiąarów. - Mają teraz eskadrę takich, prowadzącą działania z Salini.

*Mknący z wiatrem* znajdował się blisko. John poczuł, jak pochyła się do przodu zawieszony w napięciu i uśmiecha się do siebie przez zaciśnięte usta. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, jacht nie będzie stanowił ochrony. To jedynie pretekst, by wielu innych ludzi zginęło wraz z nim. A podświadomie *wciąż* czuł, jakby znalezienie się na nim zapewniło mu absolutne poczucie bezpieczeństwa. Nawiedziło go widmowe wspomnienie nie należące do niego. Raj Whitehall poganiający swego psa ku barce, gdy wróg depcze mu po piętach...

*Cholera*, pomyślał. *Wydaje się, że miałeś o wiele bardziej kolorowe życie ode mnie.*

>>Przygoda oznacza kogoś innego, po uszy umaczanego w gównie, gdzieś bardzo, bardzo daleko<< powiedział Raj. >>I myślę, że zaraz właśnie będziesz tym kimś. Skup się, chłopcze, skup.<<

Wyłonił się długi kadłub. John naparł na rumpel i łódź wielorybnicza przechyliła

się ostro, skręcając wokół własnej osi i opływając dziób jachtu, aby ustawić się po stronie niewidocznej dla kanonierki Krainy. Wąska, czarna szczelina drzwi ładunkowych pojawiła się szybko, może zbyt szybko.

- Schować wiosła! - zawołał.

Długie, jesionowe drzewce ciśnięto na pokład; żołnierze piechoty morskiej byli dobrze wyszkoleni w operacjach na małych łodziach. Tym niemniej jedno wiosło zawadziło o skraj stalowej szczeliny, odbijając się i grzmocąc wiosłarza w żebra z taką siłą, że wywołało to pomruk bólu. Łódź wielorybnicza wsunęła się w półmrok wewnętrznej komory. Wydawało się, że lampa łukowa zaświeciła jaśniej, gdy zatrzasnęły się metalowe drzwi. Powietrze było wilgotne, gorące, pachnące smarem maszynowym i potem.

Załoga osunęła się na wiosła, dysząc, z twarzami czerwonymi i ociekającymi potem. John wyskoczył na sizalowe maty pokrywające pokład - co za ironia, jako że materiał był pewnie importowany z Krainy - skinął głową w odpowiedzi na saluty załogi i ruszył schodkami po trzy szczeble ha raz. Właz do komory łodzi zatrzasnął się pod nim. Ktoś zaniknął go od dołu, a członek załogi rzucił matę na właz tak, że wyglądał identycznie jak reszta korytarza. John przeszedł przez drzwi i nagle znalazł się w części pasażerskiej jachtu. Miękkie, barwne sierrańskie dywany pod stopami, boazeria z drzewa orzechowego... gdy dotarł do swojej kabiny, kamerdyner już wycierał mu tors ręcznikiem. John przebrał się szybkimi, precyzyjnymi ruchami, wsadził papieros w firkę z kości słoniowej i wyszedł na pokład.

- Cholernie w porę - stwierdził Jeffrey, stwarzając pozory, że przygląda się przez lornetkę zbliżającej się kanonierce z Krainy. - Jak poszło?

- Widziałeś, cholerne popie... er, kompletna klapa.

Pia podeszła i wzięła Johna pod ramię. - Świnie *tedeschi* - wymruczała pod nosem. Jej oczy także były utkwione w statku Wybrańców.

*Dobrze,, że nie jest w obsadzie działek*, pomyślał John, Na jachcie były cztery działka, na lewej i prawej burcie, na dziobie i rufie nadbudówki. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, Każdy statek na morzach Visager musiał mieć jakieś uzbrojenie, biorąc pod uwagę rozmiary i usposobienie morskich form życia. Jednakże dwuipółcalowe przeciwokrętowe działka szybkostrzelne na podestach nie były całkowicie typowe, tak jak i to, że dało się je podnieść o dziewięćdziesiąt stopni. Dwa z nich były tak uniesione, że ich lufy śledziły leniwie zbliżający się sterowiec Wybrańców; dwa pozostałe podążały za kanonierką. *Ona* miała trzycalowe działko za

osłoną na forkasztelu, kolejne na rufie, i pompomy - powiększone karabiny maszynowe strzelające jednofuntowymi pociskami - jeżące się z obu burt. Kapitan Wybrańców nie obawiał się konfrontacji, nawet bez wsparcia sterowca. Choć ta pewność siebie była pewnie przesadzona, jako że jacht miał po obu stronach podwodny luk torpedowy.

- Spróbuj wyglądać jak mężczyzna w trakcie miesiąca miodowego - powiedział John do swego przybranego brata.

- Staram się - odparł Jeffrey przez zaciśnięte zęby. - Daje znaki... - Jasne światło błysnęło na kanonierce Wybrańców.. - *Zatrzymajcie się i przygotujcie na nasze wejście na pokład* - odczytał. - Aroganckie sukinsyny, nieprawdaż?

- Jeffrey? - Lola Farr, z domu Chiavri, weszła po schodkach na mostek, przytrzymując kapelusz. Dostrzegła statek Wybrańców. - Och!

- Nie martw się - powiedział Jeffrey. Skinął głową w górę, w stronę masztu flagowego przed kominem jachtu. Sztandar Republiki Santander łopotał na wietrze. - Nie zamierzają wywołać wojny.

*Choć chętnie zniosą kłopotliwy dyplomatyczny incydent*, pomyślał smętnie John. Żałował, że były z nimi Pia i Lola, ale z drugiej strony wyglądałoby dziwnie, gdyby ich nie było, biorąc pod uwagę kamuflaż. *A Pia nie zostałyby, nawet gdybym przygwoździł jej stopy do kuchennej podłogi.*

- Kapitanie - rzekł cicho John do mężczyzny o posiwiałej brodzie, który stał obok koła sterowego z rękoma założonymi za plecami. - *Daj znak statek Santander, międzynarodowe wody oraz zejdźcie z kursu.*

- Panie. - Przekazał dalej rozkazy. - Czy mam zwiększyć prędkość?

- Nie, tylko utrzymuj kurs - powiedział John. *Mknący z wiatrem* mógł pewnie przegonić kanonierkę Wybrańców, ale nie sterowiec czy pocisk armatni. - Niech wszyscy zachowują się naturalnie.

Jeffrey wyszczerzył zęby w uśmiechu. - *Naturalnie* oznaczałoby w tych okolicznościach bycie przestraszonym jak cho... nie wiem co.

- Zatem zachowujcie się arogancko. Wybrańcy to rozumieją.

John rozejrzał się po mostku jachtu. Miał kształt podkowy, a w środku znajdowała się kolejna podkowa. Ta wewnętrzna była osłonięta wygiętą ścianką z pomalowanej na biało stali na wysokość pasa, z oknami powyżej, sięgającymi dachu. Wewnątrz znajdowało się koło sterowe, szafka na busolę, telegraf maszynowy i stół z mapami. Zewnętrzne półkole było otwarte poza relingiem z drewna tekowego i mosiądzu. Poza

dwiema parami oraz kilkoma stewardami nikogo tu nie było. Jeffrey miał na sobie brązowy letni mundur pułkownika, a John biały płócienny strój w rodzaju tego, jaki zamożny człowiek mógłby założyć do gry w tenisa... albo na przejażdżkę jachtem. Pia i Lola, w cienkich sukniach na ciepłą pogodę, w kolorze brzoskwini i lawendy, wyglądały wyniośle i bogato. *Doskonale*, pomyślał John.

Kanonierka płynęła kursem zbieżnym, a biała piana wodna przyskała jej spod dziobu. Gdy się jej przyglądał, zrównała się z jachtem, prawie burta w burcie, i zwolniła, dostosowując swoją prędkość. John uśmiechnął się cierpko i dotknął dłoni Pii spoczywającej mu na ramieniu. A ona uściśnęła mu ramię i puściła je. Zaciągnął się papierosem, zdusił kaszel i przeszedł zamaszystym krokiem na sterburtę po otwartej przestrzeni. Jego ręka spoczęła na relingu, lekko dotykając okucia z brązu.

Statki znajdowały się w odległości mniej niż tuzina jardów - co pokazywało dobre wyszkolenie obydwu załóg. Oznaczało to, że kanonierka znajdowała się mniej niż tuzin jardów od szesnastocalowego luku torpedowego na śródokręciu, uzbrojonego i zalanego. Okucie, na którym spoczywała jego dłoń, było połączone z prostym dzwonkowym telegrafem i światłem. Jeśli naciśnie dwukrotnie, to ludzie przykucnięci za małymi, okrągłymi drzwiami pociągną za dźwignie i powiew mocno sprężonego powietrza wypchnie blaszaną rybę z luku. Kilka sekund i kanonierka Wybrańców będzie pudłem z przetrąconym karkiem zanurzającym się pod wodę.

Oczywiście to zniszczyłoby jego kamuflaż. Sterowiec złoży meldunek albo ktoś z załogi jachtu się wygada, nawet jak im się poszczęści...

- Ahoj! - ryknął przez tubę głos z niskiego mostka kanonierki, w angielskim Santander, akcentowanym, lecz płynnym. - Tiu Leutnant der See Annika Timwitz. Przygotować się do wejścia na pokład.

Działo, pompomy i karabiny maszynowe były wymierzone prosto w okręt w wytrącający z równowagi sposób. Pokładowe baterie gotowe przeorać *Mknącego z wiatrem*, zmieniając go w ciągu paru sekund w płonący wrak - mniej więcej tyle sekund, ile zajęłoby torpedzie zrobienie tego samego z kanonierka. Załoga w szarych mundurach czekała w pełnym napięcia bezruchu, wszyscy oprócz tuzina żołnierzy, którzy zarzucali karabiny na ramiona i przygotowywali się do spuszczenia szalupy przy pomocy wyciągu. John podniósł głos, aby ten się niósł.

- To jest suwerenne terytorium Republiki Santander. Nie macie tutaj żadnej władzy i każdy akt agresji spotka się z oporem.

- To jezd prywatny statek! Nie macie dyplomatycznego immunitetu!

John wskazał na flagę. - *Leutnant*, możesz wejść na pokład tylko z jednym członkiem załogi. W przeciwnym razie będę zmuszony poprosić o usunięcie się z drogi.

Częściowo słyszalne rozkazy dobiegły z kanonierki na jacht. Większość z grupy mającej wejść na pokład, która przygotowywała szalupę, oparła broń i stanęła w pozycji spoczyn. Mała łódź zsunęła się do wody, a kilka postaci w mundurach Krainy ześliznęło się z pokładu kanonierki po sznurach, aby ją obsadzić. Obłoczki czarnego dymu wyleciały z cienkiego komina na rufie, mały parowy silnik sapnął i szalupa skierowała się ku statkowi z Santander.

- Kapitanie! - zawołał przez ramię John. - Przyjęcie na powitanie *Leutnanta*. I drabinka sznurowa, jeśli łaska.

Zaświstały gwizdki, gdy oficer Wybrańców przeszła przez burtę. Eskorta przydzielona jej i protegowanemu marynarzowi, który podążał za nią, była lodowato uprzejma; reszta załogi spoglądała gniewnie. Każdy marynarz miał kord i rewolwer, a karabiny stały gotowe pod ręką.

*Czy nie przesadzasz?* - pomyślał Jeffrey, a jego głos w myślach został przekazany przez Centrum. *W końcu masz być w tajemnicy po ich stronie.*

*O to właśnie chodzi*, odparł John. *Dobry podwójny agent właściwie odgrywa swoją rolę - a moją rolą jest odgrywanie zamożnego playboya, który bawi się w dyplomatę, który jednak jest agentem zagranicznego wywiadu i to nastawionym mocno przeciwko Wybrańcom.*

Ironia polegała na tym, iż najlepszym sposobem przekonania jego przełożonych Wybrańców, iż jest kompetentnym podwójnym agentem, było zachowywanie się, jakby *nie był* podwójnym agentem. Nie licząc przesyłanych im raportów, miał za zadanie przekazywanie informacji, a nie bycie agentem operacyjnym. Co oznaczało, oczywiście, że nigdy nie mogli być pewni, iż nie jest *potrójnym* agentem, ale to było wliczone w cenę.

Od szpiegowania mogła rozboleć głowa.

Annika Tirnwitz była wysoką, chudą kobietą lat około trzydziestu, z językiem krótko przyciętych brązowych włosów, o opalonej i ogorzalej twarzy koloru naoliwionego drewna. Jej niebieskie oczy były niczym celowniki przesuwające się metodycznie po jachcie i postrzegające wszystko. John dostrzegł na jej twarzy pewne zaskoczenie jakością załogi i broni, ale...

>>Zgadza się<< pomyślało Centrum. >>Obiekt Tirnwitz jest zaskoczony.<<



Holograf przesłonił jej twarz, pokazując rozkład temperatury i rozszerzenie źrenic. Słupek z boku pokazywał puls i ciśnienie krwi. >>Obiekt doświadcza także dobrze kontrolowanego niepokoju.<<

- Leutnant der See Annika Tirnwitz - powiedziała kapitan Wybrańców, skinąwszy sztywno i lekko głową. - Kto tu dowodzi?

John odpowiedział podobnie. W pozbawionym akcentu krajowym odparł: - Johan Hosten, właściciel. Co mogę dla ciebie zrobić, *Leutnant*?

>>Niepokój obiektu wyraźnie wzrósł.<<

Miło było wiedzieć, że nie jest się jedynym podenerwowanym, a jeszcze milej, że miał Centrum, które ukazywało mu, co się kryje za tą pokerową twarzą. Oczywiście tylko głupiec *nie* obawiałby się choć trochę ewentualnych konsekwencji stoczonych tutaj walki. Nie tych natury fizycznej - tchórze nie przechodzili przez próbę życia - lecz politycznych reperkusji. Stosunki pomiędzy Krainą a Santander nigdy nie były za dobre, a od czasu upadku Imperium tylko się pogorszyły. Prasa w Republice miała używanie z opowieściami o okrucieństwach przynoszonymi przez uchodźców. Wybrańcy byli zbyt zasklepieni w sobie, aby spróbować podjąć środki zaradcze, nie rozumieli, jaki wpływ miały tego rodzaju rzeczy na opinię publiczną w Republice. Posiadane przez Johna gazety przewodziły nagonce... a opowieści były w większości prawdziwe.

Wybrańcy *rozumieli* jednak kwestię statusu i terytorium oraz drobnych rozgrywek - jak zatopienie jachtu zamożnego, potężnego człowieka spokrewnionego z admirałem marynarki Santander...

- *Herr* Hosten? - powiedziała Tirnwitz. Odchrząknęła. - Mój statek ścigał małą łódź wiozącą terrorystów.

John wykonał zamaszty gest ręką. - Jak widzisz, *Leutnant*, nie ma tu żadnej łodzi poza statkowymi szalupami ratowniczymi, wszystkie są przymocowane i przywiązane... oraz suche.

Jego spojrzenie powędrowało nieco w górę ku sterowcowi. Był teraz o wiele bliżej, lecz gdy John wchodził na pokład, znajdował się za daleko, by z jego pokładu można było zobaczyć, co właściwie się stało.

Usta Tirnwitz zacisnęły się z frustracji. Łodzie *Mknącego z wiatrem* rzeczywiście były mocno przywiązane do swoich wyciągników. Nikt nie mógłby wciągnąć łodzi na pokład w czasie, jakim dysponowali. Ani też łódź wielorybnicza nie zdołałaby umknąć za horyzont pod osłoną jachtu... choć może znajdujący się w niej ludzie mogli wdrapać

się na pokład i zatopić swoją łódź.

Widział, jak ta myśl pojawia się w głowie Tirnwitz. - Muszę dokonać przeszukania i przesłuchać twoją załogę - powiedziała po chwili.

- Wykluczone - odparł John.

Jeffrey przysunął się ku niemu. - I parafrazując to, co mój ojciec powiedział w zeszłym roku w Salini: jeśli chcecie rozpocząć wojnę, to jest to równie dobre miejsce jak każde inne.

Pia dała znak stewardowi niosącemu tacę, która wyglądała nieco osobliwie w połączeniu z kordem i rewolwerem u pasa oraz karabinem przerzuconym przez ramię.

- Może *Leutnant* miałyby ochotę na poczęstunek? - rzekła z przekorną złośliwością. - Zanim powróci na swój statek.

Marynarz znajdujący się za kapitanem Wybrańców warknął i zrobił ruch, potem jednak na znak dany palcem przez Tirnwitz cofnął się, dygocąc ze złości. Kapitan zaś przypatrywała się Pii przez chwilę.

- Imperialna. Teraz bydlęta z Nowych Terytoriów są mniej nieposłuszne - powiedziała. - Uczenie ich manier bywa zabawne. - Skinęła głową Johnowi. - Kiedyś być może podamy poczęstunek z Santander, trunek, który nie przypadnie wam do gustu. *Guten tag*.

## Rozdział trzynasty

Podmuchowi z pieca towarzyszył skrzek przywodzący na myśl rodzącą kobietę, spotęgowany dziesięciokrotnie. Długi język płomienia sięgnął w noc, rzucając czerwono-pomarańczowe światło na nową hutę. John pokiwał z zamyśleniem głową, gdy stożek został osadzony na wielkim cylindrze jak korek na butelce wyższej niż sześciopiętrowy budynek. Płomienie wygasły, gdy stożek przechwycił podgrzane gazy wydobywające się z gardzieli pieca, przesyłając je rurami do miejsca, gdzie były oczyszczane i rozprowadzane do pieców grzewczych i kotłów. Powietrze wypełniał smród popiołu i siarki oraz gryzący zapach rozgrzanego metalu, od którego marszczył się nos. Żwir zachrząścił Johnowi pod stopami, gdy się odwrócił, a za nim podążała mała grupka inżynierów i kie^ równików.

Wagoniki przejechały obok z dudnieniem, pełne czerwonawej rudy żelaza, wapnia i czarno-brązowego koksu w starannie odmierzonych proporcjach. Wózki zwolniły, a potem szarpnęło i nabrały nieco prędkości, gdy znajdujące się pod nimi haki pochwyciły długi łańcuch drabinkowy, który wciągnie je. w górę stromego zbocza aż do skraju pieca.

- Zainstalowałeś, panie, ładną przeciwwagę - powiedział główny inżynier. - To oszczędza czasu przy dokładaniu do pieca.

John skinął głową. *Dzięki Centrum*, pomyślał.

- Oszczędza też pracę - powiedział inżynier. - Bóg wie, że brakuje nam pracowników.

- Jak sobie radzą uchodźcy? - spytał John.

- Lepiej niż myślałem, jak na szmaciarzy co im słoma z butów wygląda. Nie boją się spocić, to pewne.

- Bardziej się to opłaca niż zginanie karku w polu - powiedział John.

Wielu z imperialnych uciekinierów, którzy opuścili obozy koło miast na południowym wybrzeżu Cieśniny, skończyło jako najemni pracownicy, wędrując po Santander śladem zbiorów. Wykorzystali okazję do pracy w hucie. Kilku z nich zdjęło kapelusze i pokłoniło się, gdy John przechodził, błyskając białymi zębami na tle pokrytej sadzą oliwkowej skóry. John przytknął złotą główkę swojej laski do jedwabnego kapelusza. Na szczęście białe buty wyszły z mody, inaczej Pia byłaby na niego jeszcze bardziej zła niż i tak będzie.

- I nie ma żadnych cholernych strajków - powiedział kierownik zakładu.

- Nie powinno ich być przy dniówkach, jakie płacimy - rzekł John.

Na lewo przesuwiał się ogromny wózek kolebkowy z roztopionym żelazem, zwisający z suwnicy biegnącej przez środek hali. Spadały z niego ogromne, białe iskry, jasne nawet w świetle łukowych lamp; a potem zatrzymał się i wylał strumień rozpalonego do białości żaru do czekającej paszczy martenowskie-go pieca. Nieco dalej, za piecami wgłębny do wlewek, maszynaria walcowni dudniła i szumiała. Długie sztaby gorącej stali były rozciągane i formowane.

Inżynier skinął głową w tę stronę. - Walcarka do szyn pracuje pełną parą - powiedział. - Jeśli będą nadchodzić zamówienia, stal będzie produkowana.

John pokiwał głową. - Nie martw się o zamówienia - powiedział, - Powstaje mnóstwo nowych linii kolejowych, Zwłaszcza przy programie budowy dwutorowej kolei. A Wybrańcy kupują stal do budowy swoich nowych linii w Imperium.

To sprawiło, że rozmowy za nim zamilkły. Obejrzał się i zobaczywszy pełne dezaprobaty zaciśnięte usta, uśmiechnął się. Nie był to miły widok.

- Sprzedajesz Wybrańcom? - spytał inżynier.

- Wolę myśleć o tym jako o zmuszaniu Wybrańców do finansowania naszego programu ekspansji - odparł John.

*Co więcej, to dobry kamuflaż* - i to na wiele sposobów. Dawało mu to dobrą wymówkę do podróży do Krainy, co pomagało w jego rzekomej pracy podwójnego agenta na usługach Wybrańców. Transport stanowił również doskonałą przykrywkę dla agentów i umożliwiał przesyłanie broni ruchowi oporu.

- A oprócz walcarek do stalowych, cienkich blach, dostaniecie wkrótce ciężkie tokarki karuzelowe. Z Zakładów Zbrojeniowych miasta Santander.

To wstrząsnęło mężczyzną. - Do zaopatrzenia wojska? - spytał. - To będzie *kosztowne*, panie. Będziemy się musieli uczyć w trakcie, a to jest specjalistyczna

robota.

John skinął głową. - Nie martwcie się o zamówienia - powiedział znowu. - Powiedzmy, że pewien głosik wyszeptał mi do ucha, że wzrośnie popyt.

Ponownie dotknął laską skraju kapelusza i uściśnął wszystkim ręce. Wyżsi rangą pracownicy Johna Hostena nauczyli się szanować jego „przecucia”, nawet jeśli ich nie rozumieli. A potem przeszedł przez puste podwórze do miejsca, gdzie przy płatanie pod lampą reflektorową stał jego samochód.

- Z powrotem do domu, panie? - spytał Harry Smith, odrywając wzrok od irchowej szmatki, którą polerował światła samochodu.

- Do domu - powiedział. - Na kilka dni.

- Ach - rzekł dawny żołnierz piechoty morskiej w mundurze szofera. - Zatem wybieramy się gdzieś, panie?

John pokiwał głową i, gdy Smith otworzył mu drzwiczki, usiadł na miejscu dla pasażera, rzucając kapelusz i laskę na jedno z siedzeń. Było ich sześć, zwróconych ku sobie. Jedno zajmował Maurice Hosten, śpiący z główką opartą na kolanach Maurice'a Farra. Starszy mężczyzna spoglądał ciepło na swego pięcioletniego imiennika, głaszcząc czarne, jedwabiste włoski rozrzucone na jego ciemnoniebieskim wojskowym płaszczu. Pia podniosła wzrok, uśmiechając się na powitanie, jednocześnie marszcząc lekko brwi.

- Nawet w urodziny twego syna nie możesz się trzymać z dala od interesów? - spytała.

- Tylko trochę interesów, kochanie - powiedział, opierając się o wyściełane skórą siedzenie, które westchnęło pod jego ciężarem. - Cicho, bo go obudzisz.

Maurice Farr się zaśmiał. - Po tej ilości tortu, jaką spałaszował ten młodzieniec, nie wspominając już o lemoniadzie czy ciągutkach, po przejażdżkach na kucyku, karuzeli i kole Ferrisa, nie obudziłby go strzał z armaty. Powinieneś to już wiedzieć.

- Wie, tylko posługuje się tym jako wymówką - dłoń Pii ścisnęła rękę Johna, stępując ostrość jej słów. - Jak przed nim pomachasz słowem „obowiązek”, to reaguje niczym ryba skacząca na robaka.

- A tam ukryto haczyk - rzekł smutno John, dając znak Smithowi przez okienko łączące część pasażerską ze stanowiskiem kierowcy z przodu. Samochód ruszył z sykiem wypuszczanej pary.

- Twoja pani podsunęła mi ciekawy pomysł - powiedział admirał Fam

- Ten damski...

- Kobięcy - poprawiła go Pia.

- Kobięcy Korpus Pomocniczy? - dokończył John.

- Tak. *Jeśli* dojdzie do wojny z Krainą, mógłby być pomocny. Choć nie jestem pewien, jak zareaguje na to opinia publiczna. Było sporo niezadowolenia jakieś dziesięć lat temu w czasie agitacji na rzecz praw do głosowania. Ludzie uważali, że to upodobni nas do Wybrańców i tym podobne.

- Nie sędzę, aby było z tym wiele kłopotu - rzekł z namysłem John. Centrum dostarczyło prawdopodobnego rozkładu głosów opinii publicznej w różnych okolicznościach. - W końcu, wedle pomysłu Pii kobiety miałyby przejąć miejsca pracy, żeby mężczyźni mogli *walczyć*. Już teraz jest sporo kobiet wśród pielęgniarek - wicie, było tak od czasu ostatniej wojny z Unią, ta, jak jej tam było na imię, co to chodziła z latarnią i tak dalej?

- A jeśli nastąpi wielka wojna, to będziemy potrzebować każdego człowieka zdolnego do walki, jakiego możemy dostać - rzekł z namysłem admirał. - Nie wygramy jej bez cholernie dużej armii, a flota też będzie się musiała rozrosnąć. Nie będziemy mogli sobie pozwolić na to, żeby mężczyźni pisali na maszynie, prowadzili dokumentację i tym podobne.

- Ani żeby pracowali w fabrykach - powiedziała Pia. - Najpierw musimy mieć komitet wpływowych kobiet, dla przyzwoitości, ale także kobiet... energicznych.

- Jeśli potrzeba ci energii, to co powiesz na swoje szwagierki? - rzekł Maurice. - Jedyna rzecz, której nie można odmówić moim córkom, to energia... och.

Pia skinęła głową. - Z nimi porozmawiam najpierw - powiedziała. - Są młode, ale jest jeszcze czas.

- Trochę to potrwa - powiedział John. Pia pokiwała głową, a jego przybrany ojciec spojrział na niego trochę dziwnie, uderzony pewnością pobrzmiwającą w jego głosie. - Ale nie jest za wcześnie na położenie fundamentów.

- Synu, mimo iż jesteś trzydziestolatkiem, czasami mówisz jak ktoś cholernie stary - powiedział Maurice. Dotknął swoich siwiejących skroni. - Może lepiej przejdę na emeryturę i pozostawię pole wam, młodszym byczkom.

- Nie sędzę, abyśmy mogli się bez ciebie obejść, ojcie - rzekł John. - A... nie minie aż *tak dużo* czasu, zanim się zacznie.

- Doprawdy? - spytał Maurice Farr.

- Sytuacja w Unii robi się coraz bardziej napięta - powiedział John. - Front Ludowy może wygrać tam następne wybory.

- Wybrańcom z pewnością się to nie spodoba - powiedział Maurice. - Nie jestem pewien, czy mnie się spodoba. Unia nie rozwiąże swoich problemów, atakując własność prywatną... choć sposób, w jaki zachowują się tamtejsi bogacze, stanowi zaproszenie do czegoś takiego.

John pokiwał głową. - Wybrańcy mają mnóstwo wpływów w niektórych tamtejszych kręgach - powiedział. - I nie sądzę, aby te kręgi przypadły do ziemi i nie podnosiły głowy, tylko dlatego że przegrały wybory. Zanim nastąpi wybuch, minie jeszcze parę lat, ale Kraina z pewnością dorzuci do ognia.

Maurice Farr zamrugał powoli oczami, a jego twarz z oblicza dziadka stała się obliczem admirała. - Nie mogą dostarczać Unii zapasów, chyba że drogą morską - rzekł w zamyśleniu.

John potrząsnął głową. - Nie możemy z nimi walczyć dlatego, że pomagają jednej z frakcji w Unii - powiedział. - Zachodnie prowincje na to nie pójdą.

- Myślę, że cała ta miękka ziemia rozmiękcza mózg - rzekł Farr.

- Niesamowite, jaki wpływ na ludzi ma odległość kilkuset mil od miejsca działań. Oni zawsze opierali się próbom tych ze wschodu, dążących do włączenia się Republiki w sprawę Unii; uświadomienie sobie przez nich, iż ta sytuacja jest inna, może zająć trochę czasu.

Pia spojrzała na niego. - Czy to dlatego musisz pojechać do Unii, kochanie? - spytała.

John westchnął smętnie. - Razem z Jeffreyem będziemy tam bywać w ciągu najbliższych lat - powiedział. - Aż nadejdzie kryzys. Ale nie martw się, to nie powinno być szczególnie ryzykowne. W końcu jesteśmy tylko doradcami, nie bawimy się w politykę.

\* \* \*

Jeffrey Farr nigdy nie przepadał za Unią del Est. Po pierwsze, kelnerzy, karczmarze, urzędnicy i tym podobni uznawali za punkt honoru bycie opryskliwym, a on nigdy nie lubił, jak źle wykonywano robotę. A po drugie, kobiety nie myły się i nie zmieniały bielizny dostatecznie często, by mu odpowiadały. Była to kwestia akademicka, jak sądził, teraz, gdy był żonatym człowiekiem z dziewięcioletnią córką i kolejnym dzieckiem w drodze. To wspomnienie napełniało go goryczą ...*a ona wyglądała tak świetnie, przed i po zdjęciu bielizny. Ale cóż...* Mężczyźni też się niewiele myli, ale to mniej go obchodziło.

A mimo to nadbrzeżne miasto Borreaux wyglądało dość dobrze. Teren był mniej górzysty niż większość południowego wybrzeża Cieśniny; długa, wąska równina otaczająca rzekę, położona pomiędzy niskimi górami. Równina ta była głównie pokryta winnicami. Podnóża gór były szarozielone od gajów oliwnych, a wyższe zbocza pozostawały wciąż mocno porośnięte dębami i srebrnymi świerkami, mimo całych wieków wycinki na drewno do statków, budynków i wyrobu beczek. Samo miasto rozpościerało się wzdłuż rzeki w płataninie doków i basenów portowych sąsiadujących z szerokimi, prostymi ulicami wysadzonymi drzewami, wzdłuż których stały trzypiętrowe bloki budynków w jednolitym kremowym kolorze wapienia. Slumsy nie były tak okropne jak w większości miast Unii i zostały przyzwoicie ukryte przed wzrokiem. Restauracja na dachu tarasu była całkiem przyjemna - słońce prześwitywało przez pasiaste markizy, a kelnerzy w białych fartuchach przynosili jedzenie i napitki na tacach... psuła to jednak obecność trzech oficerów Wybrańców w szarych mundurach przy pobliskim stoliku - dwóch mężczyzn i kobiety oraz dwóch tutejszych pań. Arystokraci z Krainy pałaszowali pięciodaniowy obiad i mocno pociągali „z dwóch butelek lokalnego wina. A właściwie to robiło tak dwóch mężczyzn, śmiejąc się od czasu do czasu ze swymi tutejszymi towarzyszkami, które były albo szalenie kosztownymi i utalentowanymi paniami albo też damami z drobnego ziemiaństwa, na które zresztą wyglądały. Kobieta Wybrańców popijała z kieliszka wino i rozglądała się. Średniego wzrostu, z ciemnymi włosami i oczami...

*Chryste, to Gerta.* - pomyślał Jeffrey w przypiływie zaniepokojenia, które zmieniło głód w kwaśną kotłowaninę w jego żołądku. *Dlaczego mi nie powiedzieliście?*

>>Powiedziałbym ci, chłopcze, gdyby była to sytuacja wyjątkowa. Nie chcę jednak, żebyś stracił swoją czujność. Nie możemy zawsze zauważać rzeczy za ciebie.<<

Próbował zachować twarz pokerzysty, ale Gerta musiała dostrzec jakąś zmianę. Uniosła lekko kieliszek wina oraz brew. Ta maniera przypominała mu nieco Johna - w końcu razem się wychowywali. Czasami dziwnie się czuł, przypominając sobie, że John urodził się wśród Wybrańców. Gdyby nie ta szpotawa stopa...

>>Obserwuj.<<

Na wygląd człowieka składa się coś więcej niż mięśnie i kości. Kształtuje go znajdująca się wewnątrz osobowość, od układu ust po sposób chodzenia. Uświadomienie sobie, iż ten wysoki mężczyzna w mundurze generała Krainy jest Johnem, zajęło Jeffreyowi chwilę. Twarz była ta sama, lecz pełna cichej, posępnej



martwoty. Miasto za nim także było znajome: Borreaux, ale w ruinach. W górze sunął sterowiec, a kolumny żołnierzy Krainy maszerowały z doków.

>>John Hosten znajduje się w górnej 0,3% krzywej wykresu ludzkości<< powiedziało Centrum. >>Przy braku ułomności i zakładając brak interwencji z naszej strony, prawdopodobieństwo osiągnięcia przez niego do tej pory stanowiska generała wynosiłoby 87% plus minus 4. Prawdopodobieństwo zostania dowódcą sztabu generalnego 73% plus minus 6. Prawdopodobieństwo zostania głową Rady Państwa Wybrańców 61% plus minus 8. Prawdopodobieństwo podboju Visager przez Wybrańców wzrasta w tym scenariuszu o 17% plus minus 5.<.<

Jeffrey wzdrygnął się lekko w duchu. Bez szpotawej stopy - i bez Centrum - on i John prawdopodobnie spędziliby życie, walcząc ze sobą.

>>Zgadza się. Prawdopodobieństwo...<<

>>Zamknij się<< pomyśleli jednocześnie Raj i Jeffrey.

Wreszcie pojawił się kelner i postawił przed nim miskę ze słynnym gulaszem rybnym z Borreaux - trojdzyszniaki w swych muszlach, kawałki jaszczurczego ogona, kawałeczki ryby, a wszystko to w wywarze suto zaprawionym czosnkiem, pomidorami i ziołami. Gulasz pachniał wspaniale. Byłoby jeszcze bardziej wspaniale, gdyby kelner nie miał brudu pod paznokciem kciuka, a kciuka nie nurzał w gulaszu. Jeffrey zmusił się do zignorowania tego faktu oraz tego, jak pewnie wygląda kuchnia. Nalał sobie kieliszek białego wina i oderwał kawałek chleba z długiego, wąskiego bochenka. Co by się nie powiedziało o Unionistach, to wiedzieli, jak gotować.

I miał cholerny niefort, że oficerowie Wybrańców, a zwłaszcza Gerta, znaleźli się tutaj akurat wtedy, gdy on czekał na...

Niski, drobny mężczyzna podszedł do stolika Jeffrey'a i przysiadł się, zdejmując beret i dogaszając w popielniczkę paskudnie śmierdzącego papierosa. Jego wzrok pomknął ku siedzącym trzy stoliki dalej Wybrańcom.

- Nie słyszają nas - powiedział Jeffrey - I siedzimy z twarzami odwróconymi od nich.

Zatem nie mogli czytać z ruchu warg. Od razu pomyślał, iż dwaj mężczyźni Wybrańców byli zwykłymi żołnierzami, Gerta jednak z pewnością nie, i mogła być wyszkolona w tej umiejętności. A jeśli chodziło o to, co tutaj robili...

- A my mamy interesy do załatwienia - ciągnął dalej Jeffrey, nabierając łyżką trochę rybiego gulaszu. - Cholera, ale to dobre - rzucił spokojnie.

- Vincen Deshambres - powiedział chudy mężczyzna. Jeffrey na chwilę ujął jego

rękę. - Przedstawiciel *Parti Uniste Travailleur*. - Wyjął małą, płaską kopertę i przesunął ją po stole.

- Pułkownik Jeffrey Farr - odparł Jeffrey, czytając.

Mówił przywoicie po frankońsku i czytał dobrze. Unia del Est jeszcze jakieś pokolenie temu była głównym zagranicznym wrogiem Republiki, a potyczki zdarzały się jeszcze niedawno. Od wojskowych z Santander oczekiwano, iż nauczą się tego języka, chociażby po to, by mogli przesłuchiwać wrogów lub czytać przechwycone dokumenty.

Vincen zerknął ponownie na stolik Wybrańców. - Suki - powiedział głosem przypominającym nagle coś, co spędzało większość czasu zwinięte na ciepłych skałach.

Jeffrey podniósł wzrok, unosząc brew. Wyrażenie to mogło się odnosić tylko do jednego z Wybrańców.

- Nie ci cudzoziemcy - powiedział Vincen. Lekki pot pojawił się na jego wysokim czole, tuż na skraju rzednących włosów. - Oni są po prostu piratami. Gdybyśmy się zjednoczyli, to byśmy się z nich mogli śmiać.

*Nie sądzę*, pomyślał Jeffrey. Unia stająca sama do walki z Krainą Wybrańców to byłoby jak starcie młotka z jajkiem. Oczywiście nie byłaby *tak* łatwą ofiarą jak Imperium. Po pierwsze teren był gorszy, po drugie odległość większa, a po trzecie kraj ten nie jest tak bardzo zapóźniony. *Mimo to, rozumiem go*. A Kraina nie zamierza tak po prostu najechać na Unię. Oznaczałoby to wojnę z Santander, a Wybrańcy nie byli na to gotowi... jeszcze nie. Tak jak i Santander.

- To z tymi *kurwami* jest coś nie tak, z nimi i im podobnymi.

Jeffrey szybko przyjrzał się temu stolikowi, a potem odwrócił się i pozwolił Centrum zatrzymać mu ten obraz przed oczami, powiększając go, aż wszyscy wydawali się znajdować w odległości ramienia.

- Nie sądzę, aby były profesjonalistkami - powiedział.

Vincen poczerwieniał jeszcze bardziej. Patrzenie, jak człowiek poci się z nienawiści, było nieco niepokojące.

- Elita - powiedział, posługując się frankońskim określeniem na wyższe sfery. - *Merdechennes* tracą władzę, więc wołają cudzoziemców na pomoc.

- Cóż, dwóch może grać w tę grę - powiedział Jeffrey.

Uniomsta zmierzył go ostrym spojrzeniem. W dawnych wojnach Santander oderwało spore kawałki z zachodniej granicy Unii. Jeffrey uśmiechnął się ciepło.

- Nie mamy aspiracji terytorialnych... w każdym razie już nie.

Oczywiście, większość zachodniej Unii była obecnie gospodarczym satelitą Republiki, a partii *Travailleur* - Robotników - wcale się to nie podobało. Mimo faktu, iż bez tych inwestycji jej członkowie nadal próbowaliby zarabiać na życie, uprawiając skalistą ziemię jako *metayers*, płacąc połowę zbiorów dziedzicowi.

Vmcen burknął: - Skoro tak mówisz. Mamy teraz dowód. Generał Libert na pewno prowadzi korespondencję z agentami Krainy. Proponują oni przetransportowanie żołnierzy jego legionu z powrotem na kontynent.

Centrum przywołało mapę dla Jeffreya. Unia del Est zajmowała spory kawałek południowej części głównego kontynentu Visager, pomiędzy Santander a swego rodzaju republiką Sierry. Na południe od niej znajdowało się niewiele poza oceanem, aż do południowych czap polarnych, lecz był tam szereg całkiem sporych wysp, niektóre były niezależne, niektóre należały albo do Republiki, albo do Unii.

- Libert jest na Errife, prawda? To raczej daleko stąd, jakieś siedemset kilometrów. Czy wasza eskadra marynarki w Bassin du Sud nie może go przyskrzynić?

Legion stanowili najlepsi żołnierze, jakich miała Unia, i byli to głównie cudzoziemcy. To oni pokonali tubylców na Errife, po wojnie, w której regularni żołnierze Unii o mało co nie zostali zepchnięci z powrotem do morza. A na wyspach znajdowały się obecnie duże jednostki tubylców z Errife, pozostające pod dowództwem oficerów Unii. Pewnie równie ostro walczyłyby one przeciwko rządowi Unii jak w pierwszej wojnie.

- Marynarka jest lojalna wobec rządu, to prawda - powiedział Vincen. - Ale Kraina proponuje transport powietrzny, jeśli na kontynencie wybuchnie podobne powstanie wojskowych.

Jeffrey zagwizdał w duchu, przypominając sobie desant powietrzny na Coronę w początkowej fazie imperialnej wojny. *Wybrańcom nie brakuje tupetu*, pomyślał. Errife znajduje się o wiele dalej od ich baz. *Przeleć nad Unią*, pomyślał, obliczając odległość. Mogą to zrobić. *Luftanza* Krainy ma pozwolenie na latanie w tym kierunku. Uzupelnienie paliwa na morzu, ze statków, które opłyną kontynent po międzynarodowych wodach. *Tak, to jest możliwe. Prawie*. Na wojnie trzeba być gotowym do ponoszenia ryzyka, w przeciwnym razie zmieniłoby się to w wymianę ciosów. Wielkie ryzyko mogło przynieść wielkie korzyści... lub katastrofę, jeśli sprawy potoczyłyby się niepomyślnie.

- Dlaczego nie odwołacie go i nie wsadzicie do więzienia? - spytał Jeffrey. - Zanim

będzie miał okazję wzniecić bunt.

Vincen zacisnął pięści. - Bo ten koalicyjny niby-rząd ma jeszcze mniej jaj niż mózgu! - Jego ryk przyciągnął spojrzenia z okolicznych stolików, więc zniżył głos. - My, cholerni syndykaliści, regionalni autonomiści - wszyscy poza tymi, niech ich piekło pochłonie, anarchistami i separatystami, i jeszcze Bóg wie kto! Musimy im dogadzać, bo potrzebujemy ich głosów w *Chambre du Delegates*.

Prychnął zde gustowany przez zęby, wymachując rękoma. Unioniści byli pod tym względem jak Imperialni - związać im ręce, a zamilknąć niczym ryby.

- W zeszłym roku mogliśmy go aresztować. Aresztować wszystkich zdrajców w mundurach. I co zrobił nasz tak zwany rząd? Odesłał połowę z nich na emeryturę! Dał im emerytury wyciśnięte z robotniczego potu, aby mogli spiskować w wolnym czasie.

- „Nigdy nie zadawaj wrogowi małej rany” - zacytował Jeffrey. - Stare imperialne powiedzenie. - Bardzo stare, z tego, co mówiło Centrum.

Małe oczka Vincena błyszczały, wyrażając zgodę. - Powinniśmy byli ich wszystkich kazać stracić - powiedział. - Teraz jest za późno. Rząd wstrzymuje się przed działaniem wymierzonym przeciwko generałowi - prawie że splunął przy tym słowie - Libertowi w nadziei, że jeśli go nie *sprawokują*, to nic nie zrobi.

- Głupie - rzekł, przyznając mu rację Jeffrey. - Obawiają się też zapewne, że jeśli wyślą żołnierzy, aby go aresztowali, to zamiast tego, oni się do niego przyłączą.

Vincen pokiwał gwałtownie głową. - Są lojalni żołnierze - na przykład Jednostka Szturmowa - ale owszem, ministerstwo się tym martwi.

- Co prowadzi nas do konkretów - rzekł Jeffrey. - Jeśli *dojdzie* do powstania wojskowych przy wsparciu Krainy, to co konkretnie zamierzacie zrobić w tej sprawie?

- Będziemy walczyć!

- Tak, będziecie walczyć, ale przy pomocy *czego*?

Mały Unionista splótł ręce na stole. - Wierzymy, iż przynajmniej część armii pozostanie lojalna. Poza tym, jest milicja regionalna.

Jeffrey pokiwał głową. On nie pokładał w niej wiary. Po pierwsze jej funkcjonariusze byli jeszcze gorzej wyszkoleni niż milicja w rodzimych prowincjach. W niektórych stanach Unii rządziły konserwatywne partie opozycji, a tym samym sprzyjające Wybrańcom. A nawet w tych, które takie nie były, zbyt wielu milicjantów znajdowało się pod wpływem lokalnych magnatów, a prawie wszyscy z nich popierali konserwatywne partie opozycyjne, tak jak i tutejszy Kościół. Właściwie to tutejszy Kościół *był* wielkim ziemskim magnatem.

- Wydamy broń oddziałom milicji prokoalicyjnej i robotnikom na ulicach. Zobaczymy, jak regularnym spodoba się zatopienie przez *morze* uzbrojonych robotników.

- Dobrze wiedzieć, że podchodzicie do tego poważnie - powiedział Jeffrey. Wszystko to brzmiało jak przepis na krwawą jatkę, ale, jak sądził, było lepsze od kolejnego szybkiego tryumfu Wybrańców. - Jeśli o mnie chodzi, to mogę cię zapewnić, że mój rząd uzna każdą bezpośrednią interwencję w wewnętrzne sprawy Unii za wrogi akt.

Oznaczało to mniej, niż się zdawało. Potajemna interwencja nie spowodowałaby akcji odwetowej ze strony Santander. Republika po prostu nie była gotowa do wojny, ani fizycznie, ani psychologicznie.

- Myślę, iż możemy zagwarantować, że wolno wam będzie kupować broń. A mówiąc prywatnie, niektóre nasze banki okażą się chętne do udzielania pożyczek. Pod warunkiem, że wasz rząd będzie tak samo rozsądny.

- Jak przypuszczam, chcecie ustępstw...

Dobili targu. Gdy Vincen wychodził, miał minę nieco mniej kwaśną. Na szczęście oficerowie Wybrańców wyszli nieco wcześniej. Jeden z nich zatrzymał się, aby zamienić ostatnie słowo z Gertą Hosten. Ta zaśmiała się i potrząsnęła głową. Mężczyzna wzruszył ramionami, a będąca z nim dziewczyna wydeła usteczka. Gdy odeszli, Gerta wzięła swój kieliszek wina i podeszła do stolika Jeffreya.

- Proszę bardzo - powiedział, gdy zasiadła, nie pytając o pozwolenie.

Na surowej, ciemnej twarzy ukazał się lekki uśmiezek. - Znowu się spotykamy. Co za przyjemność. Choć byłoby milej, gdyby Heinrich miał tyle rozsądku, żeby cię zastrzelić cztery lata temu. *Powiedziałam* mu, że jesteś szpiclem.

- Jestem tutaj na wakacjach - rzekł Jeffrey, odpowiadając mimowolnym uśmiechem. - Poza tym Heinrich nie ma twego podejrzliwego umysłu.

- Dlatego też jest zwykłym żołnierzem. Ma za miękkie serce, co nie wyjdzie mu na dobre. - Gerta uniosła swój kieliszek. - Ci Unioniści wyrabiają ładne rzeczy - powiedziała, gdy rżnięty kryształ zamigotał w wieczornym słońcu. - I robią dobre wino. Ale nie potrafiliby zaprowadzić marynarzy do burdelu.

- Cóż, to wasz problem - powiedział Jeffrey. - To wy macie tutaj do wypełnienia misję szkoleniową.

- Tylko jako osoby prywatne, na urlopie od zwykłych obowiązków - stwierdziła świętoszkowato Gerta.

- A ja jestem turystą - powiedział Jeffrey. Mimowolnie roześmiał się wraz z Gertą.
- Wiesz, co jest najlepszego w rywalizowaniu z wami Santanderczykami? - spytała Gerta. Gdy potrząsnął głową, mówiła dalej: - Nie żeby wam brakowało jaj, bo tak nie jest, ani żebyście byli głupi, bo tacy też nie jesteście. Tyle że wy nigdy, przenigdy nie jesteście *gotowi*. - Dokończyła wino i podniosła się.
- Wygramy tę rundę - powiedziała.
- A dlaczegoż to? Przeznaczenie niezwyciężonej rasy Wybrańców?
- Niezwyciężone mule gówno - rzuciła radośnie z uśmiechem stwora, który mógłby wyłonić się z głębin, aby śmiertelnie ukąsić. - Wygramy to starcie, bo staramy się pomóc w rozpieprzeniu tego miejsca - a Unioniści i tak są w tym geniuszami.

## Rozdział czternasty

Wszyscy w Bassin du Sud się bali. John Hosten to wyczuwał, nawet bez szybkich skanów przeprowadzanych przez Centrum na przechodzących obok ludziach. Wąskie, kręte uliczki nie były tak pełne ludzi jak przy jego poprzednich odwiedzinach w interesach, zaś właściciele sklepów stali przy wejściach do swoich wąskich sklepików, gotowi opuścić metalowe rolety. Zamknięte były okna balkonów o żelaznych, spiralnych ornamentach, podobnie jak żelazne furty blokujące wąskie przejścia prowadzące na wewnętrzne podwórce. Mimo to, udawało mu się zajrzeć za nie, dostrzec fontannę lub posąg ze starego, pozieleniałego brązu lub sznur prania wiszący nad kamiennymi płytami.

Prześladował go uśmiech Gerty widziany oczyma Jeffrey'a.

Za każdym razem, gdy widział, jak się tak uśmiechała, ludzie zaczęli ginąć jak muchy.

Stwierdził, iż na ulicach wyczuwa się coś jeszcze. *Mam nadzieję, że Jean-Claude wciąż tam jest.* Na ulicy dawało się odczuć coś dziwnego, ale nie potrafił tego zidentyfikować.

>>Mało wojskowych<< powiedziało Centrum.

Bassin du Sud posiadało sporej wielkości unijny garnizon, plus bazę marynarki wojennej. Właściwie, gdyby się odwrócił, zobaczyłby jej część w dole, ze wzniesienia, na którym się znajdował. Jego przybrany ojciec dostałby napadu wściekłości na widok węzłów zwisających z brygantynowego takielunku krążowników w doku i stanu ich nadbudówek, ale...

Dźwięk uderzył w niego niczym powietrzna poduszka, odrzucając do tyłu. Przy dokach marynarki wyrosła półkula ognia, pełna kawałków żelaza, drewna i szczątków

członków załogi trzech krążowników. Po wybuchu nastąpiła martwa cisza, a potem dały się słyszeć wrzaski. Ryk był tak ogromny, że nie przypominał mu niczego, co w życiu słyszał.

>>Motłoch<< rzekł cicho Raj w jego myślach. >>To jest dźwięk, jaki wydaje polujący motłoch.<<

Przebijały się przez to dźwięki, z których rozpoznaniem nie miał kłopotu. Najpierw seria głuchych, cichych łupnięć w oddali, przypominających odgłos zamykających się z hukiem wielkich drzwi. A potem jazgotliwy, niekończący się dudniący odgłos, który potęgował się i przycichał. Artyleria i broń strzelecka.

- *Spóźniłem się*, niech to diabli - powiedział i zaczął biec. Może rzeczywiście się spóźnił. Nierówny chodnik pod stopami był zdradziecko śliski. John rękę trzymał blisko poły swojej kurtki, gotów sięgnąć po broń.

>>Ostrożnie, chłopcze<< ostrzegł Raj. >>Nie sadzę, aby cudzoziemcy byli tu teraz popularni.<<

Wąska uliczka rozszerzyła się nieco, przechodząc w mały, brukowany skwer w kształcie nieregularnego wielokąta. Znajdująca się pośrodku niego fontanna rozlewała wodę do granitowych koryt do pojenia koni, które ją otaczały. Kula świsnęła w powietrzu. Dał nura do przodu i przetoczył się pod osłonę koryt, ignorując kamień wpijający mu się w plecy. Uniósł się z automatem w dłoni.

Mężczyzna w brązowym, mnisim habicie wypadł chwiejnie z małego kościółka po drugiej stronie skweru. Był człowiekiem potężnej postury, z wydatnym brzuchem i okrągłym, pulchnym obliczem. Jeszcze kilka godzin temu mogła to być dobroduszna twarz radosnego mnicha, zbyt przepadającego za stołem i napitkiem. Teraz była to maska z krwi płynącej z długiego rozcięcia biegnącego przez tonsurę. Dziesiątki mężczyzn i kobiet w zrobionym z szorstkiego płótna odzieniu miejskich robotników ścigało mnicha, szydząc i szturchając go kijami, opluwając i kopiąc. Ciężkie ciało duchownego poddawało się ciosom, lecz jego szeroko rozwarte jak w transie oczy wyglądały z mokrej od krwi twarzy z desperacją, jako że w myślach przekonywał on sam siebie, iż skwer oznacza bezpieczeństwo.

Bezpieczeństwo nie było mu dane. Ktoś z tłuszczy miał dosyć zabawy. Wyrwana kostka bruku, którą się zamachnął, musiała ważyć z dziesięć funtów. Głowa mnicha rozbryznięła się z odgłosem podobnym do upadku melona z sześciu pięter na chodnik. Mężczyzna upadł. Jego ciało wciąż drgało pod brązowym habitem. John zaklął pod nosem i podniósł się, opuszczając pistolet wzdłuż boku. Czarne, porcelanowe



wykończenie stalowej broni pewnie nie będzie się mocno odróżniało od wojskowego surduta... a choć dziesięć nabojów w magazynku na niewiele się zda przeciwko nacierającemu motłochowi, to nie zamierzał ginąć sam, gdyby do tego doszło.

- Hej, tam jest jeden z tych sukinsynów Wybrańców, co to parzą się z elitą i tymi chrystusowymi pijawkami! - ryknął ktoś.

- Santander! - krzyknął John, zachowując sposób. Krzyk ten przebił się przez pomnik gromady tłuszczy. - Jestem z Santander - *choć urodziłem się w Składaniu Przysięgi, a mój ojciec jest generałem w Radzie, ale nie ma potrzeby komplikowania spraw* - z misją dyplomatyczną.

Lewą ręką wyjął paszport i uniósł go. Połowa tłumu i tak pewnie nie umiała czytać, a co dopiero rozpoznawać oficjalne pieczęcie, lecz jego pozbawiony akcentu frankoński i zachowanie sprawiły, iż się zawahali.

- Jestem w drodze do konsulatu Santander - ciągnął dalej, wskazując na północ, tam, skąd dochodziły najgłośniejsze odgłosy walki. - Czy nie macie tam czegoś do roboty?

Ludzie w tłumie kręcili się, rozmawiając ze swymi sąsiadami. Ponownie byli pojedynczymi osobnikami, a nie bestią mającą jeden umysł i jedno pragnienie. John wsadził broń do kabury i wyminął ich truchtem, przebiegając koło kościoła, w którym płomienie zaczynały już lizać potrzaskane witrażowe okna. Zerknąwszy szybko do wnętrza, dostrzegł chaos pozostały po wykonanej naprędce grabieży oraz ciało zakonnicy rozciągnięte w wielkiej kałuży krwi wypływającej z rozciętego gardła.

*Co za cudowni sojusznicy, pomyślał kwaśno, odrzucając w myślach komentarz Centrum. Wiem, wiem.*

Ulice poszerzyły się, gdy wspiął się po zboczach nad zatoką i znalazł na mniej więcej równym płaskowyzu, gdzie leżała nowsza część miasta. Spotęgował się też ścisk. Tłumy napływały z terenu doków i z zamieszkałych przez robotników fabrycznych przedmieść. Wyminął elektryczny tramwaj zamarły ha środku ulicy i kolejny płonący kościół - sądząc po kolumnach dymu, pożary szalały wszędzie w mieście - oraz porzucone samochody. Przejeżdżające obok auta zatłoczone były do nieprzytomności. Znajdowali się w nich uzbrojeni ludzie w cywilnych ubraniach lub zielonych mundurach żandarmerii Jednostki Szturmowej i czarnych skórzanych kapeluszach lub w stroju armii albo marynarki wojennej. Jednak wszyscy ci mężczyźni mieli na ramieniu czerwone opaski, a niektórzy także czarne lub czerwone miniaturowe flagi powiewające na ich długich bagnietach. John zaklął, kopniakami i szturchańcami

przepychając się przez tłum, lecz ścisk robił się coraz większy. Było to, jak zostać porwanym przez wielką falę albo silny rzeczny nurt.

Nagle tłum wokół niego zafalował, tworząc wir. Ledwo udało mu się wyminąć róg i znaleźć na alei D'Armes, gdy z przodu wybuchła strzelanina, tym razem głośniejsza. Był o tyle wyższy od tłumy Unionistów, że widział dłużej. Tuzin wojskowych pojazdów parowych zatrzymało się, blokując drogę pięćdziesiąt jardów przed nim. Nie były to wozy opancerzone, jednak na każdym zamontowano na czopie zawiasowym po dwa karabiny maszynowe. A za nimi wpadła piechota, pospiesznie ustawiając się na pojazdach i wokół nich. Ich karabiny najeżyły się, a załogi karabinów maszynowych zatrząskiwały pokrywy i odsuwały dźwignie naciągające. Grube, wypełnione wodą osłony automatycznej broni dygotały i drgały od pośpiechu żołnierzy zrodzonego ze strachu.

John poczuł chłód w żołądku i lędźwiach. Wydawało się, że wszystko porusza się bardzo powoli, dając mu dość czasu do zastanowienia. Mężczyzna przed nim pchał przed sobą taczkę pełną kamieni i połówek cegieł. Przykucnął - nie było miejsca, aby się pochylić - złapał mężczyznę w pasie i za kostkę stopy i podniósł go. Unionista przeleciał nad przewracającą się taczką i wpadł na trzech stojących przed nim mężczyzn. Ci zatoczyli się, upadając do tyłu i opierając się o drewno i żelazo w tej samej chwili, gdy John dał nura do przodu, w wytworzoną lukę, jedyną otwartą przestrzeń w całym ogromnym tłumie.

Olbrzym w metalowych rękawicach pochwycił kawałek płótna i go *rozdarł*. John zwinął się w kłębek za taczką i wyszczerzył zęby, gdy w myślach pojawiło mu się to, co działo się powyżej. Tak naprawdę, to tłum *nie mógł* się wycofać, nie wtedy, gdy za nim wciąż cisnęły się kolejne tysiące, a po obu stronach znajdowały się wysokie, ślepe ściany.

Dwadzieścia karabinów maszynowych strzelało nieustannie wraz z kilkuset zwykłymi karabinami - tak szybko, jak żołnierze zdołali przesunąć zamek i załadować. Ludzie padali na taczkę, na Johna, zmieniając jego stanowisko w drgającą i krwawiącą górę ciał. Naparł plecami na tę ześlizgującą się, miotającą masę. Jeśli pozwoli, by za bardzo urosła, to się tu zadusi, uwięziony pod pół toną ciał. Barykada ciał zadrgała, gdy trafiły w nią kule. John był ślepy pośrodku gorącej ciemności śmierdzącej metalicznie krwią, odchodami i płynami organicznymi. Wszystko to spływało po nim, mocząc ubranie, dostając się do ust i oczu. Znowu naparł, czując, jak rozrywa mu się surdut. Ciała ześlizgnęły się, a podmuch świeżego powietrza przywrócił mu

przytomność.

*Nie mogę zwrócić na siebie uwagi...*

Przez szczelinę widział dachy za barykadą wozów bojowych. Coś się tam poruszało, a coś mniejszego leciało w powietrzu.

*Trach.* Bomba z dynamitu wylądowała pomiędzy dwoma pojazdami i wtoczyła się pod przednie koła jednego z nich. Ten zaś wpadł na sąsiadujący z nim pojazd z rozdzierającym hukiem szkła i metalu. Podgrzana para wystrzeliła na całe jardy dookoła i uderzyła w ludzi. Jakiś oficer o dużej przytomności umysłu kierował ogień ku dachom po obu stronach, lecz spadł deszcz dynamitowych bomb. *Trach. Trach. Trach.*

Nie było czasu na to, by panika ogarnęła cały motłoch, mimo iż setki - tysiące - zostały zabite lub ranne. Nawet Centrum nie potrafiło przewidzieć ich reakcji. Ci, co przeżyli, pognali do przodu, a John wraz z nimi. Jeden karabin maszynowy warknął, włączając się na krótko, potem jednak czoło motłochu wdrapało się na stertę zabitych i umierających, wysoką na cztery czy pięć ciał, przed wrakami wozów bojowych. John dał przez nią nura, głową do przodu, podczas gdy żołnierze strzelali do uczestników zamieszek. Gdy John przyklęknął, miał automat w dłoni. Zielona siatka pojawiła mu się przed oczami, a celownik i pulsował czerwienią, gdy przesuwiał się od jednego celu do drugiego. *Krak.* Żołnierz poleciał do przodu, wypadając zza uchwytów szpadlowych swego karabinu maszynowego. Okrągła, niebieska dziura widniała pomiędzy jego oczami i tyłem głowy odstrzelonym przez kulę z przybitką o szerokiej kryzie. *Krak.* Oficer zgiął się wpół, jakby udzielono go pięścią w żołądek, a potem osunął się do przodu i spoczął bezwładnie pośród innych zabitych. *Krak. Krak,* Suwadło poleciało do tyłu, a jego ręce automatycznie wyrzuciły pusty magazynek i załadowały jeden z przyczepionych do olster na ramieniu.

John zamrugał, oddychając chrapliwie. Ręka mu się lekko trzęsła, gdy wsadzał automat do kabury, mrugając raz po raz, by pozbyć się tego uczucia wyobcowania sprawiającego, iż czuł się jak porzucona marionetka.

>>Ja też nigdy tego nie lubiłem<< powiedział Raj. Na chwilę pojawił się obraz pomieszczenia w wieży i pół tuzina martwych ludzi rozciągniętych na stołach i ławach. >>Czasami jest to konieczne. Zbierz się do kupy, chłopcze. Jest robota do wykonania.<<

John skinął głową i przetarł dłonią wysychającą krew na twarzy. *Cóż, tym się nie udało.* Ściągnął surdut biznesmena i posłużył się dosyć suchą podszewką, usuwając

tyłe krwi, żeby nie kleiła oczu. Splunął, aby pozbyć się tego smaku z ust. A potem pochylił się, żeby podnieść karabin i bandolet powalonego żołnierza; broń została wykonana w Krainie albo była podróbką. *Nie, znaki zbrojowni ze Składania Przysięgi*. Wsadził dwa taśmowe magazynki i zatrzasnął zamek, zanim ruszył na skraj tłumu. Mała szansa, żeby jego informator był w domu, ale to nie było daleko i musiał to sprawdzić.

Snajperzy strzelali z wież katedry Bassin du Sud. *Maison Municipal* była położona zaraz naprzeciwko; prowizoryczne barykady z mebli i pełnych kwiatów donic przed wejściami i ludzie strzelający zza nich oraz z okien w górze. John padł plackiem i przeczołgał się po chodniku. Przemykał od jednej kryjówki do drugiej. Gdy znajdował się w połowie drogi, wybuch uniósł go i cisnął na ścianę budynku, pozostawiając częściowo oszołomionego, podczas gdy fasada katedry osunęła się na plac w zwolnionym tempie, prawie pionowo. Ćwierć tony wapiennych bloków łącznie z gargulcami, rzeźbami i odłamkami szkła spłynęło lawiną na chodnik. John przycisnął twarz do ziemi w nadziei, iż platany i ławki znajdujące się z prawej strony zatrzymają to, co przytoczy się aż tutaj. Spadł gruz i coś drasnęło go w pośladki na tyle mocno, że go zapiekło. Potem przetoczyła się nad nim chmura duszącego pyłu, sprawiając, że kichał raz po raz. Przypominające trzęsienie ziemi dudnienie zamilkło, a on uparcieczołgał się dalej.

Pomocne dłonie wciągnęły go za barykadę. W znajdującym się za nią tłumie byli wszyscy, począwszy od żołnierzy Jednostki Szturmowej po urzędniczki, uzbrojeni we wszystko, co się dało. Łącznie z pogrzebaczami i dziecięcymi procami. Wielu ludzi stało na stosach mebli, wiwatując na cześć zburzenia katedry, choć ogień nieprzyjacielski dochodził także z innych budynków wokół placu. John przezornie przetoczył się na bok, zanim się wyprostował, pojękując lekko, gdy odczuł boleśnie swoje siniaki. Żołnierz z Jednostki Szturmowej spojrzał na niego, bezwiednie dotykając pistoletu u pasa.

- Kim jesteś? - spytał.

- Jestem tu. aby zobaczyć się z Jean-Claude'em Deschinesem - odparł John.

- Tak po prostu? - Żandarm miał małe oczka i mocny, ciemny zarost. - Spytałem, kim jesteś.

- A ja poprosiłem o spotkanie z Jean-Claude'em. Powiedz mu, że jest tu John z paczką, na którą czeka.

Mężczyzna zmrużył oczy, pokiwał głową i odbiegł. John oparł się o poskręcaną

granitową kolumnę i zmusił się do zapanowania nad biciem serca i oddechem, ignorując sporadyczne wystrzały i wiwaty oraz starając się ignorować śmiercionośny świst rykoszetu kul wpadających od czasu przez zabarykadowane okna. Dziesięć lat temu nie oddychałby tak ciężko... W przedsionku było ciemno, lecz dostrzegał wielkie, kręte schody na końcu i typowe alegoryczne freski przedstawiające postęp, harmonię i przemysł, jakie *Syndicat d'Initiative* umieszczał w każdym ratuszu Unionistów. Jeden przyciągnął jego wzrok. Była to mozaika ukazująca Bassin du Sud, tak jak wyglądało kilka wieków temu; jedynie posępna bryła zamku na wzgórzu i mała, otoczona murem wioska u jego stóp. Zamek zbudowano jako bazę mającą powstrzymać korsarzy z Errife w czasach, gdy wybrzeże stanowiło właściwie własność piratów z wyspy, którzy zakładali bazy i organizowali najazdy daleko w głąb lądu, po niewolników i łupy.

Zamek wciąż tam był. Stanowił kwaterę główną garnizonu wojskowego dystryktu Bassin du Sud. Kurtynowy mur i fosa oraz szczeliny strzelnicze nie były już teraz takie istotne, lecz na podwórcach znajdowały się ciężkie moździerze do obrony wybrzeża, wykonane w Krainie działa odcylcowe obejmujące zasięgiem zatokę, gdyby spiskowcy opanowali garnizon.

Wysoki mężczyzna z wydatnym brzuchem zbiegł z łomotem ze schodów. Miał policyjny karabin przerzucony przez ramię i pistolet zatknięty za szarfę, którą był owinięty w pasie.

- Jean! - ryknął przyjaźnie i podszedł do Johna z rozwartymi ramionami, chcąc go objąć i pocałować w oba policzki - zwyczajowe, przyjazne powitanie w Unii. W ostatniej chwili się cofnął,

John zerknął na swoją koszulę. - Większość z tego to krew innych ludzi - rzekł usłużnie.

- A niech to! Dostałeś się w ogień ulicznej walki?

John skinął głową. - Prawie że zmasakrowali mnie jacyś żołnierze z zamocowanymi na pojazdach karabinami maszynowymi, ale ktoś zrzucił na nich dynamitową bombę. Wygląda na to, że mamy dzisiaj sporo wybuchów. - Skinął głową w stronę drzwi prowadzących na plac.

- O rany, tak - rzeki radośnie burmistrz Bassin du Sud. - Górnicy wydobywający miedź. Ja... ach... zorganizowałem specjalny pociąg, który przywiózł kilka ich setek ze wzgórz. Pomysłowi goście, no nie?

John pokiwał głową. Niemal każdy z nich był też anarchistą, to znaczy ci, którzy nie byli członkami radykalnego skrzydła partii *Travailleur*. Kilka lat temu, gdy

konserwatyści byli u władzy, oni pochwycili za broń w buncie plasującym się gdzieś pomiędzy cholernie brutalnym strajkiem a prawdziwą rewolucją. Gdy regularnemu wojsku nie udało się zdławić powstania, rząd wypuścił na nich legionistów i żołnierzy z Errife generała Liberta.

- Będzie wam potrzebne coś więcej niż dynamit i strzelby myśliwskie, żeby wykurzyć garnizon z zamku. Zwłaszcza jeśli chcecie to zrobić, zanim przybędzie Libert. Jakie macie statki, żeby przeszkodzić im w przeprawie?

- Straciliśmy trzy krążowniki.

- Widziałem. Sabotaż.

Burmistrz pokiwał głową. - Bomba z mechanizmem zegarowym w magazynach, jak sądzimy. Jest jednak jeszcze jeden okręt handlowy klasy korsarskiej i trochę łodzi torpedowych. Wedle ostatniego raportu w zatoce Errife były tylko statki kupieckie.

- To był ostatni raport. On może przemieścić ludzi drogą powietrzną. „Ochotników” Wybrańców na „prywatnych kontraktach”. Właściwie, to nie zdziwiłbym się, gdyby Wybrańcy eskortowali statki z jego żołnierzami przy pomocy eskadry krążowników.

- To oznaczałoby wojnę! - Naturalna oliwkowa cera burmistrza stała się bladoszara. - Wojnę z Republiką.

- Nie wtedy, gdy będą twierdzić, iż zostali zaproszeni przez lokalny rząd.

- Nikt nie mógłby...

- *Mon ami*, nie wiesz, jacy są prawnicy z Santander. Mogliby sprawić siłą perswazji, iż diabeł wstąpiłby na tron boży - a przynajmniej wszystko gmatwać przez rok albo i dłużej. Dlatego też musisz posłać jakiś statek do mojego. Jest on wypchany po sufit karabinami, amunicją, karabinami maszynowymi, materiałami wybuchowymi, moździerzami i działkami polowymi.

Jean-Claude skinął stanowczo głową. - *Bon*. - Odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

\* \* \*

Gerta Hosten przyłożyła oko do szczeliny w zniszczonych deskach zadaszanej przystani. Było tłoczno, z pół tuzinem komandosów Wybrańców i z łodzią rybacką wyciągniętą na ruszcie pochylniowym. Smród starej ryby wniknął w dębowe i sosnowe drewno. W gumowym kombinezonie, który miała na sobie, było gorąco, a on był jeszcze lepki po wyjściu z wody. Zrzuciła z pleców butlę z tlenem i spojrzała ku

dokom.

- Wciąż ładnie się palą - powiedziała, spoglądając ku przystani marynarki wojennej,. - Magazyny, i mola także płoną. To miłe, że wróg używa drewnianych kadłubów.

Przestarzałe to, ale oni byli zupełnie zacofani w sprawach wojskowych. Wszystkie nieliczne nowoczesne okręty wojenne Unii znajdowały się w Cieśninie i sprowadzenie ich tutaj zajmie całe tygodnie. Do tego czasu ta sprawa zostanie rozstrzygnięta, tak czy owak. Jej towarzysze byli zbyt zdyscyplinowani, aby wiwatować, lecz dał się wśród nich słyszeć cichy pomruk zadowolenia. A potem ktoś powiedział cicho:

- Zbliża się tubylec. - Obrócili się i przykucnęli, sięgając po bron. - To nasz.

Unionista zapukał do drzwi, trzy szybkie stuknięcia, a potem dwa po dłuższych przerwach. Jeden z komandosów uchylił je na tyle, aby ten mógł się wśliznąć. Przybyły rozejrzał się po zawziętych twarzach i niespokojnie przełknął ślinę.

- Jakie wieści, Louis? - spytała Gerta w jego języku. Mówiła wszystkimi czterema głównymi językami Visager z pozbawioną akcentu płynnością.

- Nasi ludzie są przygwożdżeni w garnizonie i przy nadmorskich bateriach - powiedział. - *Syndicistes* wyrzynają każdego, kogo dopadną - każdego, kto nosi krawat dżentelmena, nawet księży, zakonnice...

Wybrańcy wzruszyli ramionami. Co innego się robi, gdy ma się przewagę w takiej sytuacji? Louis przełknął ślinę i ciągnął dalej:

- I rozdają broń całemu miejskiemu motłochowi.

- Skąd ją biorą? - spytała Gerta. Zgodnie z ostatnimi meldunkami większość broni w Bassin du Sud znajdowała się w zamku albo ufortyfikowanych stanowiskach armatnich strzegących wejścia do zatoki.

- W doku jest statek z Santander, taki, co to przyplłynął kilka dni temu, ale się nie wyładował. Ładunek to broń wszelkiego rodzaju - dobra, nowoczesna broń. Wydają ją w doku i rozsyłają pełne wozy i ciężarówki po całym mieście.

- Cholera - zakłęła lekko Gerta. *To jak wsadzić kij w szprychy.* - Pokaż mi.

Rozwinęła wodoodporną mapę zatoki i rozłożyła ją na okrężnicy łodzi rybackiej. Louis pochylił się, a Gerta przesunęła mapę w miejsce, gdzie przez deski przenikała słoneczna smuga.

- Tutaj - powiedział, stukając palcem. - Przystań siódma, zachodni dok.

- Hmm. - Gerta zmierzyła odległość pomiędzy małym a wskazującym palcem, a potem przesunęła dłoń na skalę w dole mapy. - Około pół mili, powiedzmy trzy

czwarte, do przepłynięcia.

Bassin du Sud miało sieć portową, lecz tak jak we wszystkich portach brudy i śmieci w wodzie przyciągały morskie stwory. A na Visager morskie stwory najczęściej oznaczały śmierć. Już stracili dwóch członków drużyny.

- Żadna sprawa - powiedziała. - Hans, Erika, Otto, pójdziecie ze mną. Reszta, spuścić łódź i sprowadzić ją *tutaj*. - Postukała palcem w mapę. Pozostali stłoczyli się dokoła, aby zapamiętać swoje pozycje. - A teraz sprawdzenie sprzętu.

Sprawdzili sobie nawzajem butle z tlenem, regulatory i pozostały ekwipunek. Kombinezony z twardymi kaskami i powietrzem pompowanym przez wąż były w użyciu od pięćdziesięciu albo i sześćdziesięciu lat, ale ten sprzęt dopiero co wyszedł z fazy eksperymentalnej.

- Ciśnienie powietrza.
- Sprawdzone.
- Regulator i wąż.
- Sprawdzone.
- Karabinek do bomb włócznieowych.
- Sprawdzone.
- Miny.
- Sprawdzone i gotowe.

Ostatni z grubych na stopę dysków powędrował do pojemnika w kształcie łyżki, a opiekujący się nim mężczyzna ustawił wewnętrzne ciężarki, które utrzymywały jego wyporność. Gerta nasunęła gogle na twarz i wsadziła do ust smakujący gumą ustnik. Sprawdziła zegarek: godzina osiemnasta, dwie godziny do zachodu słońca. Idealnie, jeśli nic ich poważnie nie opóźni. Podnosząc ostrożnie stopy, aby nie potknąć się o płetwy, weszła w wodę.

\* \* \*

Działa na pokładzie *Kupieckiej wyprawy* były obsadzone i w gotowości, gdy John zeskoczył ze stopnia ciężarówki na bruk przystani u stóp trapu. Statek był pod parą, a pokładowe dźwigi ustawione do wyładowania ładunku.

- Do roboty! - powiedział John, truchtając ku pokładowi.
- Czy to *ty*, panie? - wykrztusił Barrjen.

Krew na jego twarzy musiała wyglądać jeszcze okropniej teraz, gdy już wyschła.

- Nie moja - powiedział John. - Niech wyładują pierwszą część ładunku w doku -



ciągnął dalej. - Przyślij tu paru członków załogi, niech utworzą łańcuch i wydają karabiny oraz bandolety każdemu, kto przyjdzie i o nie poprosi.

Były żołnierz zamrugał, słysząc to, lecz przerzucił swoją broń przez ramię i zaczął wydawać rozkazy. Co za ulga spotkać czasami kogoś, kto się cały czas *nie wyklóca*.

Tragarze wpychali wózki platformowe na szyny leżące wzdłuż kupieckiego statku z Santander. Jean-Claude odciągnął ich od rejonów walki i pogonił do pracy. Para sapnęła, kołowrót na pokładzie przed mostkiem środkowej wyspy statku obrócił się, wydzielając woń oleju rycynowego. W skrzyniach wyciąganych z ładowni znajdowały się cięższe rzeczy: działka polowe i moździerze oraz amunicja do nich. Nadjeżdżało więcej ciężarówek, trąbiąc klaksonami. Pojawił się rosnący tłum ludzi oraz Jednostka Szturmowa ustawiająca go w swego rodzaju kolejce.

- To najbardziej kurewski sposób - proszę o wybaczenie, panie - rozładowywania statku, jaki widziałem - rzekł niezadowolony Adams, pierwszy mat statku.

- W tej chwili nie ma alternatywy - powiedział John. Podniósł wzrok na wzgórze. *Chateau du Sud* nie był stąd widoczny, jedynie dach jednej z wież w kształcie pieprzniczki. Mogli jednak śledzić wyraźnie drogę pocisku; a znajdujące się tam dwieścieczterdziestki *Schlenki Emma* mogły zrzucać pociski przechodzące przez pokład. Gdyby wybuchła zmagazynowana amunicja i materiały wybuchowe, to zniszczenie krążowników Unionistów mające miejsce wcześniej tego samego dnia, wyglądałoby niczym pierdnięcie w filiżance herbaty.

Długie, wąskie skrzynie pełne karabinów i krótkie, kwadratowe pełne amunicji podawano sobie z rak do rąk, a potem oddawano ochoczemu tłumowi. John powstrzymał chęć przyłączenia się i poprzenoszenia ciężarów, a także chęć spoglądania ciągle na zamek. Nie mógł nic teraz zrobić, tylko czekać. Przynajmniej buntownicy ani wspierający ich Wybrańcy też nie mogą mu niczego zrobić, poza wystrzeleniem z tych dział... a wygląda na to, że nie podejrzewają, co się dzieje. Jeszcze nie.

\* \* \*

Woda w zatoce była mroczna i ciemna. Miała oleisty, zgniły smak. Gerta poczuła dotyk macki, zanim ją zobaczyła - wyskakującą z mułu i rozsypanych na dnie śmieci. Macka była gruba jak ramię mężczyzny, pokryta z jednej strony owalnymi przyssawkami i ostrymi, kościanymi haczykami. Ramię walnęło Gertę, odrzucając ją na bok niczym patyczek. Macka owinęła się dokoła Hansa Dietera z porażającą

szybkością żabiego języka zamykającego się naokoło muchy. A potem pociągnęła go w dół, wrzeszczącego w tłumiącej dźwięki wodzie. Za nim ciągnął się strumień bąbelków powietrza i krwi, a także opływowy pojemnik z minami dywersyjnymi, przyczepiony mocnym sznurem do jego pasa. *Scheisse*, pomyślała Gerta.

Jej ciało zareagowało automatycznie, zapanowała nad wirowaniem, odwinęła się i dała nura w dół tak pospiesznie, jak pozwoliły jej na to płetwy. Ciemność narastała szybko, lecz stwór płynął na spotkanie ze swoją ofiarą. Potwór miał dziesięć metrów i przypominał torpedę z trzyplątowym ogonem. Paszcza też miała trzy płaty, zakończone zębami niczym kolce z kości słoniowej wokół chropawego, przyssawkowego języka, oraz ogromne, czerwone oko nad każdym z nich. Macki były potrójne. Druga z nich zacisnęła się wokół nóg Hansa, oderwała je od tułowia i uniosła ku paszczy przypominającej maszynkę do wyrobu kielbas. Trzecia skoczyła ku Gercie. Kobieta okręciła się, nastawiła karabinek na bomby włócznie i wystrzeliła. Powietrze pod ciśnieniem wyrzuciło zakończoną kulą włócznię i odrzuciło Gertę do tyłu; czuła *szunnnk*, gdy mechanizm obracał się jej w dłoniach. Włócznia wbiła się w podstawę macki w chwili, gdy haczyki przecięły jej kombinezon i rozdarły ciało. Krzyknęła w gumowy ustnik, posmakowała wody i zwinęła się w kłębek. Grzmotnęła w nią siła wybuchu, aż poleciała, wirując, w ciemną wodę.

Odgłos eksplozji został przytłumiony przez ciało stwora. Wszędzie wokół niej była krew koloru atramentu. Gerta gwałtownie rozłożyła ramiona i nogi, aby opanować wirowanie. To ocaliło jej życie. Długi, zabójczy piscoid przemknął obok z rozwartą paszczą, bijąc wodę swoimi dwiema nietkniętymi mackami. Gerta starała się zachować panowanie nad karabinkiem, podczas gdy stwór zgiął się wpół, przygotowując do kolejnego ataku. Tam, gdzie była przedtem macka, w gumowatym cielsku ział tryskający krwią otwór, ale nie wyglądało na to, żeby bestii to zbytnio przeszkadzało. Paszcza rozwarła się tak szeroko jak rozstaw ramion Gerty, a dwie pozostałe macki ciągnęły kawałki Hansa. W jakimś szalonym zakątku umysłu Gerta zastanawiała się, czy to atakuje ją od *dołu*, czy od *góry*... Nieważne. Ostatnia szansa... wystrzeliła. Paszcza zamknęła się odruchowo, gdy coś w nią wleciało. Przełykanie odbyło się tak samo automatycznie. Tym razem Gerta miała doskonały widok. Gładkie ciało znajdujące się za tymi oczami było tak grube jak jej tułów. Teraz wybrzuszyło się niczym zapchana ziemią lufa karabinu, z którego wystrzelono. Paszcza rozwarła się niczym kwiat w klatkowej fotografii, wyrzucając kawałki organów wewnętrznych i Hansa Dietera. Drapieżna ryba spłynęła ku dołowi, drgając i

miotając się, gdy w jej systemie nerwowym przepalały się styki.

*Muszę się stąd wydostać*, pomyślała Gerta. Krew i wibracje przyciągną padlinożerców z całej zatoki. A potem: *Gdzie są miny?*

Otto wypłynął, ciągnąc pojemnik. Gerta poczuła, jak mięśnie ramion odprężają jej się z ulgi tak, że przez chwilę zakręciło jej się w głowie i było jej niedobrze, zanim odzyskała kontrolę. To stało się tak *szybko*... a Hans był dobrym żołnierzem. Złapała za uchwyt po drugiej stronie pojemnika i wolną ręką dała znać Elke, nakazując jej przejść wartę. Będzie szybciej, gdy dwoje pociągnie, a stracili sporo czasu.

Po prostu będą musieli podjąć dodatkowe ryzyko.

\* \* \*

- Mniej więcej połowa roboty zrobiona - powiedział do siebie John.

Właśnie obrócił się częściowo, aby porozmawiać z Adamsem, gdy pokład zakolysał mu się pod nogami. Woda wytrysnęła spomiędzy doku a kadłuba fontanną która zmoczyła cały przód statku. W parę sekund później kadłub znowu zadrzał i kolejna masa wody spadła na śródokręcie. Trzecia fala spłynęła na rufę. Martwe morskie stworzenia wypłynęły na powierzchnię.

John odruchowo podniósł głowę. Jednak nie było słyhać żadnego odgłosu spadającego z nieba ciężkiego pocisku. *Torpeda?* - zabelkotał w myślach. Pomiędzy dokiem a kadłubem był może jard albo dwa...

>>Mina<< powiedziało Centrum. >>Przyczepiona do kadłuba silnymi magnesami. Umieszczona tam przez nurków z aparatami do sztucznego oddychania. Prawdopodobieństwo graniczy z pewnością.<<

Załoga wypadła z włazów, wrzeszcząc. Druga fala marynarzy pojawiła się kilka sekund później, przemoczona morską wodą, niektórzy z nich wlekli rannych towarzyszy. John stał ze spojrzeniem bez wyrazu i pięściami zaciśniętymi po bokach. A potem pokład zaczął się przechylać ku przystani, dziesiątki ton wody pociągały lewą burtę w dół. Dzwoniło mu w uszach, tak głośno, że przez chwilę nie słyszał wykrzyczanych przez Barrjena pytań.

John potrząsnął głową jak mokry pies i chwycił Adamsa za ramię. - Gdzie są sterburtowe kurki odcinające? - spytał, a potem wywrzeszczał to mężczyźnie w ucho, aż temu zniknął z twarzy wyraz oszołomienia i niedowierzania.

- Co?

- Kurki odcinające! Musimy zalać statek, żeby go wyważyć, bo inaczej się wywróci!

- Ale jeśli zalejemy, to, kuma, *zatonie*.

- Pod stępką jest tylko dziesięć stóp wody. Możemy uratować ładunek i potem go wyciągnąć, ale jeśli nie zalejemy statku, to się wywróci, człowieku. *Teraz!*

Poczuł, jak siła jego woli dociera do marynarza przez mgłę w jego umyśle. - Dobra - powiedział mat, przesuwając dłonią po twarzy. - Tędy.

- Pójdę, panie - powiedział Barrjen.

- Dobry z ciebie człowiek. Chodźmy.

W normalnej sytuacji schodki z mostka były strome i śliskie od tłustej sadzy z kominów. Teraz były pochylone pod kątem trzydziestu stopni i John zszedł po nich, zsuwając się w kontrolowany sposób. Znajdujący się poniżej właz był otwarty. John wypadł przez właz w wodę sięgającą już do kostek. Opierał się jedną ręką o ścianę, żeby pozostać wyprostowanym na przechylającym się pokładzie.

- Tylko mi nie mów - powiedział, gdy Adams stanął chwiejnie obok niego. - Kurki odcinające są po drugiej stronie statku?

- Tak jest.

- Nie ma na co czekać - rzucił pośpiesznie John i dał mu znak, by ruszał do przodu. Przejście na drugą burtę statku coraz bardziej przypominało wspinaczkę. Adams szedł chwiejnie na przedzie, popychany przez Johna i byłego żołnierza piechoty morskiej. Wreszcie znaleźli się koło urządzenia stanowiącego zestaw kołek i rur.

- Ten! - krzyknął, wskazując Adams. A potem mężczyzna spojrzał na burtę statku.

- Och, Jezu, widać wąsonogi na kadłubie. Jezu, synu Boży, Mario, Matko Boska, wywróci się.

- Nie, nie wywróci - powiedział John i splunął w dłonie. - Do roboty.

Stalowe koło ze szprychami miało około metra średnicy i zablokowane było przez łańcuch i czop. Adams wyciągnął go, a John oparł ręce o koło. Koło poruszyło się ze ćwierć cala, zatrzymało, poruszyło znowu, wyhamowało. John zaparł się stopą o ścianę i pchnął, aż strzyknęło mu w mięśniach, które o mało co nie oderwały się od biodra.

- Zacięło się - powiedział Adams. - Musiało się zaciąć. Wał został wykrecony od wybuchu.

- Więc go odblokujemy.

John rozejrzał się dokoła. Z boku środkowej wyspy statku osadzono w uchwytach siekiere, młot i łom.

- Wsadźcie je między szprychy - rzekł energicznie. - Tutaj i tutaj. A teraz obydwaj,

razem, *pchać*.

Napięli się. Panowała cisza przerywana pomrukami spowodowanymi wysiłkiem i odległymi krzykami dochodzącymi z doków. A potem uchwyt siekiery pękł z odgłosem przypominającym huk wystrzału. Barrjen odskoczył w bok, przeklinając, gdy ostrze siekiery przeleciało obok niego i odbiło się od ściany, pozostawiając smugę lśniącego metalu odartego z farby.

- Niech to *szlagi* - krzyknął John.

Potem wyrwał młot z rąk Adamsa, wcisnął mocno łom na miejsce i przygotował się do uderzenia. Było to trudne, statek już stracił środek ciężkości. Jeszcze parę minut i wloty zaworów zalewowych znajdą się ponad powierzchnią. A w parę sekund statek się wywróci.

*Szczęk*. Szarpnięcie przeszło bolesnym dreszczem przez ramiona i barki, wzbudzając ból w krzyżu. Wziął głęboki oddech, zamachnąwszy się znowu młotem, skupiony, wydychając powietrze z pomrukiem całkowitej koncentracji, spuścił młot w dół. *Szczęk. Szczęk. Szczęk*.

Adamsowi puściły nerwy i pognął w górę po drabinie. Jeszcze dwa uderzenia i odezwał się Barrjen, najpierw zdyszany szeptem, wpatrując się w koło, z twarzą ociekającą potem.

- Rusza się. - A potem krzyknął: - Koło się rusza!

I rzeczywiście. John musiał zmienić pozycję, gdy koło przesunęło się o ćwierć obrotu. Było teraz łatwiej. John odrzucił młot na bok, wyciągnął łom i chwycił koło rękoma. Barrjen zrobił to samo po drugiej stronie. Obydwaj mężczyźni napierali na niechętnie poddający się metal, dysząc z twarzami czerwonymi z wysiłku i ciałami wygiętymi niczym posągi zastygłe w napięciu. Koło drgnęło, przesunęło się, drgnęło. A potem obracało się coraz szybciej i szybciej.

Spod ich stóp dobył się nowy dźwięk, wibrujący pomruk.

- Albo to się uda, albo jest za bardzo przechylony - wydyszał John. - Zobaczmy z pokładu.

Czekał tam tłum. Gdy John i krępy były żołnierz piechoty morskiej zeskoczyli z przechylonego pokładu na nabrzeże, dały się słyszeć wiwaty i dziesiątki rąk wyciągnęły się, aby ich podtrzymać. John zignorował grad pytań. Przyjął jednak podaną piersiówkę z brandy, pociągając raz i drugi, zanim ją oddał, cały czas nie zdejmując oczu ze statku.

- Już się nie przechyla - powiedział Barrjen. - I szybko osiada.

Minęły cztery minuty i pokłady zostały zalane. Kolejne cztery i usłyszeli głucho, dudniące *bong*, odgłos, który bardziej wyczuli przez podbicie stóp, niż usłyszeli. Kominy, środkowa wyspa i maszty dźwigowe statku kupieckiego z drzeniem przesunęły się o trzydzieści stopni; płaskie dno statku sprawiło, iż przetoczył się, przyjmując prawie pionową pozycję w błocie dna zatoki.

John poruszył rękoma i wziął głęboki oddech. - Dobra - powiedział, gdy umilkły wiwaty. - Przynieście tu jakieś małe ładunki wybuchowe, chcemy wybić wszystkie morskie stwory. - Zaczynało się roić od padlinożerców. - Będą nam potrzebne kombinezony do nurkowania, pompy powietrzne i więcej sznurów. Do roboty!

Podniósł wzrok na ciemniejące, wieczorne niebo, a potem spojrzał ku zamkowi. W samą porę, aby zobaczyć wielką szpicę ognia o butelkowym kształcie pojawiającą się nad murami okalającymi dziedziniec. Oblężnicze haubice wreszcie przemówiły. Czuł napięcie ramion, nasłuchując świszczącego odgłosu przelatującego pocisku, o coraz niższych tonach w miarę zbliżania się. Wążący trzysta funtów pocisk zbliżał się coraz bardziej... a potem przeleciał górą. John okręcił się na pięcie i podobnie zrobił tłum w swojej masie, jak słonecznik wystawiający się ku słońcu wędrującemu po niebie. Czerwony pióropusz płomienia buchnął z baterii dział strzegących wejścia do zatoki. W parę sekund później wystrzeliła druga ciężka haubica na zamku, ale działa o dużej prędkości wyrzutu znajdujące się w bateriach były osadzone na stałe. Nie można ich było obrócić w stronę zamku ani nawet podnieść tak wysoko, gdyby dało się je tak zwrócić.

- A niech mnie - rzekł cicho John. - Garnizon przeszedł na stronę rządową.

Pewnie zabiwszy najpierw paru oficerów. Regularne wojsko Unionistów pochodziło z krótko trwającej służby obowiązkowej.

Barrjen walnął go w plecy. - Wygraliśmy, co, panie? Niech to diabli.

John potrząsnął głową. - Udało nam się wygrać nieco czasu. - Spojrzał na świętujący tłum. - Zobaczmy, czy uda nam się sprawić, żeby ci ślimakożercy zrobili z tego użytek.

## Rozdział piętnasty

W powietrzu nad miastem Skinrit nie było żadnych sterowców Krainy. Dowódca Horst Raske czuł się nieco niepewnie, nie mając pod stopami drgających płyt pokładu z wytłaczanego aluminium. Kilku innych kapitanów służb powietrznych zgromadzonych wokół niego wyglądało, jakby odczuwało to samo, a wszyscy w grupie Wybrańców wyglądali nienaturalnie bez mundurów - tym bardziej, iż mieli na sobie coś, co przypominało cywilne ubrania Unionistów. Raske pozwalał koniowi na posuwanie się stępa i spędzał czas na rozglądaniu się dokoła.

- Są tu złe prądy powietrzne - wymruczał.

Kilku jego towarzyszy pokiwało głowami. Skinrit, samo w sobie, nie odznaczało się niczym szczególnym; mały port, niewiele się różniący od wioski rybackiej, śmierdzący stęchlą wodą od strony falochronu, ze wszechobecnym mocnym odorem podchodzącym od pakowanych i puszkowanych roślin stanowiących jego główną gałąź przemysłu - tutejsze zimne prądy pełne były morskich form życia. Setki trawlerów tłoczyło się w przystaniach wraz z wyglądającymi na wysłużone parowymi frachtowcami zawożącymi swój ładunek zasolonych, zamrożonych i zapuszkowanych ryb na północ. Teren wokół miasteczka stanowiły pagórkowate ziemie uprawne i pastwiska. Większość budynków była pomalowana na białą w unijnym stylu i całkiem nowa - wybudowana po tym, gdy poprzednia zabudowa spłonęła w czasie rewolty errifańskiej dziesięć lat temu. Wokół wznosiły się prawdziwe góry, wysokie na dziesięć tysięcy stóp albo i więcej, a ich szczyty połyskiwały bielą soli od leżącego tam cały rok śniegu, zbocza zaś były ciemne od lasów złożonych z dębów, klonów, brzoź i sosen.

*Paskudne, pomyślał. Prądy konwekcyjne, krzyżujące się wiatry, nieprzewidywalne podmuchy. Składanie Przysięgi jest fatalne, ale tu będzie gorzej.*

Nikt w tłumie na ulicy nie zwracał specjalnie na nich uwagi, co tylko wychodziło im na dobre. Większość stanowili Unioniści, żeglarze lub tutejsi osadnicy. Pozostali byli tubylcami z Errife w drugich szatach w paski, kraty lub maziaje zgodne z klanowymi wzorami. Od czasu do czasu przechodzili żołnierze, zwykle parami, z karabinami przewieszonymi przez ramię, zawsze otoczeni jakby przez bańkę mydlaną przestrzeni zrodzonej ze strachu. Żołnierze mieli na sobie mundury bojowe legionu Unii w kolorze khaki i czapki z kitką zakończone spiczasto z przodu i z tyłu. Raske uważał kitkę za nieco śmieszną, ale w samych żołnierzach nie było nic śmiesznego. Byli całkiem niezli. Wyglądali na równie twardych, co piechota protegowanych. Patrzyli prosto przed siebie, maszerując przez tłum.

Wyjechali z ulicy na główny plac Skinrit, wymijając kwaterę główną legionu z motto wypisanym na czarnym kamieniu nad drzwiami: *Vive le Mort* - Niech żyje śmierć. Do nadproża przybito kilka czaszek z Errife, z wciąż przylegającymi do nich skrawkami wysuszonego ciała i długimi warkoczami. Był to krzepiący widok, nieco przypominający rodzinne strony...

Pałac gubernatora był dużą bryłą w dawno już przestarzałym stylu Unionistów. Errife stanowiła teoretycznie własność Unionistów od jakiegoś czasu, choć jeszcze parę dziesięcioleci temu Unia zajmowała niecałe dziesięć tysięcy mil kwadratowych skał; gór i lasu. Tyle, aby powstrzymać najazdy piratów, którzy niegdyś terroryzowali całe południowe wybrzeże kontynentu; kilku korsarzy z Errife udało się zapędzić tak daleko na północ, że aż dotarli do Krainy, choć rzadko wracali żywi na wyspy.

Służba wprowadziła ich do kwadratowego pomieszczenia z ławkami, była to zapewne jakaś komnata straży.

- Koniec maskarady - powiedział Raske.

- To dobrze! - rzekła jedna z oficerów.

Kobieta ściągnęła z siebie z obrzydzeniem unijny strój. W Krainie tylko protegowane kobiety nosiły spódnice. Przebrali się w zwykłe, szare mundury wyjęte z plecaków i przytroczyli broń. Jej brak sprawiał, iż czuli się jeszcze bardziej nienaturalnie w cudzoziemskim stroju. Gerta Hosten uśmiechnęła się chłodno.

- Ty gadaj, Horst - powiedziała.

Ten skinął sztywno głową. To nie była jego specjalność, były nią statki powietrzne. Z drugiej jednak strony, generałowi Unionistów będzie się pewnie swobodniej rozmawiało z mężczyzną, a oni potrzebowali tego Liberta... chwilowo.

- Dlaczegoż nie przysłali oficera piechoty? - spytał błagalnie. - *Behfel ist Behfel*,



Horst. To jest faza transportowa. Przyślą oficera piechoty, jak Libert będzie już na ziemi, a my zaczniemy przysyłać naszych własnych ludzi. „Ochotników”, jak wiesz...

- Kim jest ten szczęśliwiec?

- To Heinrich Hosten.

\* \* \*

Horst Raske uśmiechnął się łagodnie do oficera Unionistów. Generał Libert był niskim, śniadym, okrągłym małym człowieczkiem z wielkim nosem. Wyglądał nieco śmiesznie w bojowym mundurze legionu Unii w kolorze khaki - ze szkarłatną szarfą owiniętą pod skórzanym pasem wokół pokaźnego brzucha oraz małym kutasikiem na spiczastej czapeczce.

Lotnik Wybrańców przypomniał sobie, iż ten sam mały, okrągły człowieczek przywrócił tutaj panowanie Unii, gdy bandy tubylców z Errife paliły i zabijały na przedmieściach samego Skingest, a potem poniósł wojnę ku ich własnym góróm i spacyfikował całą wyspę po raz pierwszy. Sposób, w jaki zdławił rewoltę górników na kontynencie, przywodził na myśl styl Wybrańców..

Libert usiadł raptownie za szerokim, polerowanym stołem, dając znak oficerom sztabu i adiutantom. Raske zaszalutował i zajął miejsce naprzeciwko. Służący z Errife, w białych kaftanach, podali kawę. Rozpoznał jej smak: mieszanka Kotenberg, jego krewni mieli tam *ziemie*.

- Zgadzą się - powiedział Libert po chwili milczenia.

Raske uniósł brwi. - Tak po prostu?

- Domagacie się wysokiej ceny, lecz po fiasku w Bassin du Sud czas nagli. - Zmarszczył brwi. - Lepiej byście uczynili, będąc bardziej hojnymi. Interesom Krainy nie służy nieprzyjazny rząd w Unionvil.

- Ani przedwczesna wojna z Santander, czym wyraźnie ryzykujemy, jeśli całkowicie was poprzemy - zwrócił uwagę Raske. - To wymaga rekompensaty, nie tylko waszej wdzięczności.

Libert uśmiechnął się chłodno, echo uśmiechu Raskego. Obydwaj wiedzieli, co warta jest wdzięczność w stosunkach pomiędzy narodami.

- Bardzo dobrze - powiedział Libert. Uniósł rękę, a jeden z adiutantów włożył w nią pióro. - Tutaj. - Podpisał znajdujące się przed nim dokumenty.

Raske również tak uczynił, gdy papiery zostały przesunięte ku niemu po mahoniowym stole.

- Kiedy możemy rozpocząć załadunek? - spytał Libert. - I jak szybko?

- Czeka dwadzieścia siedem transportowców klasy *Tiger* - powiedział Raske. - W każdym zmieści się jeden całkowicie wyposażony batalion piechoty. Powiedzmy, siedmiuset piechurów z osobistą bronią oraz obsługiwane przez załogi karabiny maszynowe i moździerze. Dziesięć godzin do Bassin du Sud albo okolic, godzina na przygotowanie do powrotu i godzina na zatankowanie. Powiedzmy, niecałe dwa loty dziennie, minus przewóz artylerii, amunicji, podstawowych racji żywnościowych i dziesięć procent na nieprzewidziane przerwy w pracy - które *nastąpią*. Niech będzie cztery dni na przewiezienie trzydziestu tysięcy żołnierzy.

Libert pokiwał z zadowoleniem głową. - Dobrze. Jest to istotne. Moi legionieści i regularni z Errife są jedynymi siłami, jakie mamy w południowej Unii, na których można polegać. Powinniśmy być w stanie przygotować pierwszy lot do zachodu słońca, nie sądzisz?

Raske zamrugał lekko. Stojąca za nim Gerta Hosten uśmiechała się. Wyglądało na to, że wybrali odpowiedniego muła do tej konkretnej podróży.

\* \* \*

Jeffrey Farr przymknął oczy. Wszyscy inni w pomieszczeniu mogli myśleć, że to zmęczenie - pracował przez dziesięć godzin ciurkiem - i *był* zmęczony. Jednak on potrzebował rekonesansu.

Widok oglądany oczami brata jak zawsze nieco wytrącał z równowagi, nawet po prawie dwudziestu latach takich doświadczeń. Kolory były zawsze nieco na bakier ze względu na różnicę w postrzeganiu. Trudne było także odbieranie obrazu poruszającego się pod kontrolą kogoś innego. Twoje własne postrzeganie próbowało współistnieć lub też skupiało się na czymś innym.

A przynajmniej przez większość czasu. Teraz obydwaj mieli wzrok przykuty do sterowca widzianego przez trzymaną przez Johna lornetkę. Kilka gałązek sosnowego konaru nieco go zasłaniało, lecz reszta była aż za dobrze widoczna. Setki żołnierzy w khaki legionu Unii przyłgnęło do sznurów zwisających z pętli w dole burty, kilka jardów ponad kawałkiem wiejskiej drogi znajdującej się dziesięć mil na zachód od Bassin du Sud. Sterowiec podskakiwał i szarpał się, wrywając. Jeffrey widział, jak otwierały i zamykały się odpowietrzniki na górnej linii środkowej, wypuszczając wodór. Ludzie wyskakujący z wjazdu ładunkowego nie byli w khaki. Mieli na sobie długie kaftany wojowników z Errife, w paski, z kapturem. Na każdej szacie znajdowała

się standardowa unijna uprząż polowa oraz plecak z manierką, przyrządem do okopywania się, bagnetem, ładownicami na naboje. Barbarzyńscy najemnicy zatknęli jeszcze za pas pochwy swych długich, zakrzywionych noży. John przesunął lornetkę, aby zobaczyć brązową, jastrzębią twarz jednego z nich, gdy ten podnosił się, potknąwszy przy lądowaniu.

Wojownicy z Errife byli szczęśliwi. Ich oficerowie wydali im rozkazy wykonania czegoś, o czym marzyli od pokoleń; najechania na kontynent, wyrznięcia *farany*, zabijania, gwałcenia i grabienia.

*Ilu?* - spytał Jeffrey.

*Myślę, że od świtu wylądowały przynajmniej trzy tysiące. Ale mogło ich być i pięć. Trudno powiedzieć. Zanim tu przybyłem, zabezpieczyli okolicę.*

Jeffrey zastanawiał się przez chwilę. *Jakie są szanse, żeby Unioniści w Bassin du Sud przygotowali kontrnatarcie na strefę zrzutu?*

*Coś pomiędzy figą z makiem a kurewskim zerem*, pomyślał John. Nuta gorczy przebiła się przez myślowe połączenie. Gdy forty w mieście się poddały, wszyscy świętowali przez dwa dni. Poza tym urządzili świąteczną masakrę, wyrzynając wszystkich, którzy choćby tylko potencjalnie mogliby popierać przewrót.

*Nie martw się*, powiedział Jeffrey. *Jeśli ludzie Liberta opanują miasto, to nastąpi rzeź, w porównaniu do której tamta będzie przypominała bójkę na bułki w szkole dowodzenia. Jaka jest szansa, aby tubylcy powstrzymali ich przed portem?*

*Coś pomiędzy... nie, to nie fair. Wreszcie udało nam się rozładować statek, a oni mają do przebycia trudny teren. Może udaloby się nam sprawić, żeby połamali sobie zęby.*

*Opóźnijcie ich*, powiedział Jeffrey. *Potrzebuję czasu, bracie. Kup mi czas.*

Otworzył oczy. Dookoła stołu z mapami było tłoczno, a oczy piekły od niebieskiego dymu z paskudnego tytoniu, jaki lubili Unioniści. Niektórzy z obecnych byli wojskowymi Unii, z nowymi czerwonymi opaskami na rękawach i belkami oznaczającymi rangę na kołnierzach. Ich poprzedników wrzucano właśnie do masowych grobów za przedmieściami Unionvil. Reszta była politykami różnego typu; było nawet parę kobiet. Chyba jedyną rzeczą, jaka ich wszystkich łączyła, była podejrzliwość, z jaką na siebie spoglądali oraz tendencja do pokrzykiwania i wymachiwania pięściami.

- Panowie - powiedział. I nieco ostrzej: - Panowie!

Zrobiło się nieco ciszej, a ich oczy zwróciły się ku niemu. *Chryste*, pomyślał.

*Jestem, na Boga, cholernym cudzoziemcem.*

>>O to chodzi, chłopcze. Pozostajesz poza ich frakcjami czy też większością z nich. Wykorzystaj to.<<

- Panowie, sytuacja jest poważna. Zdławiliśmy powstanie tutaj w Unionvil, Borreaux i Nanes.

Przesunął palcem z północno-zachodniego wybrzeża na wysoki płaskowyż środkowej Unii i prowincji na wschodzie, wzdłuż granicy z Santander.

- Ale buntownicy zajmują Islvert, Sanmere, Marsail na południowo-wschodnim wybrzeżu i wysadzają żołnierzy z Errife koło Bassin du Sud.

- Jesteś pewien? - Jego mały przyjaciel Vincen Deshambres skończył jako starszy członek Tymczasowego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, co wcale nie było zaskakujące.

- Obywatelu Deshambres, jestem całkowicie pewien. Żołnierze z Legionu i errifańscy regularni są przewożeni z Errife przez sterówce z Krainy. Ponad dziesięć tysięcy jest teraz na wybrzeżu, a pod koniec tygodnia będą mieli ekwiwalent dwóch dywizji.

Znowu podniosły się krzyki. Tym razem uciszył je Vincen. - Kontynuuj, generale Farr.

*Pułkowniku*, pomyślał Jeffrey, lecz Vincen pewnie próbował zrobić wrażenie na reszcie ludzi zgromadzonych wokół stołu. Lepiej znał się na polityce.

- Mamy środek kraju. Wróg opanował kwadrat na północnym wschodzie i fragmenty południowego wybrzeża. Zajmuje także doskonały port, Marsai, położony w części kraju, która jest mocno klerykalna i antyrządowa, a mimo to zamiast przewieźć żołnierzy statkami z Errife do Marsai, zbuntowani generałowie sprowadzają ich drogą powietrzną do Bassin du Sud. To oznacza...

Przesunął palcem wzdłuż linii na północ od Bassin du Sud. Była tam kolej i to, co uchodziło w Unii za główną drogę prowadzącą z nadbrzeżnej równiny przez Monts du Diable na środkowy płaskowyż.

- Sukinkoty - powiedział Vincen. - Atak na stolicę?

- To logiczne posunięcie - rzekł Jeffrey. - Mają Liberta, który jest kompetentnym taktykiem i bardziej niż kompetentnym organizatorem...

- Zdradziecka świnia! - wybuchł ktoś. Anarchista... cóż, nie przywódca, lecz ktoś pełniący taką rolę. Nazywał się de Villers.

Jeffrey uniósł rękę. - Opisuję jego umiejętności, a nie moralność - stwierdził. - Jak

już powiedziałem, mają Liberta, pomoc Krainy w transporcie i z zaopatrzeniem oraz trzydzieści do czterdziestu tysięcy pierwszorzędnych, dobrze wyposażonych żołnierzy w uformowanych jednostkach. Czyli więcej niż w tej chwili ma ktokolwiek inny.

Mieli ponure miny. Regularne wojsko Unionistów nigdy nie było duże, a polityka rządu oczyszczająca armię poprzez odsyłanie na emeryturę pozbawiła Unię wielu starszych oficerów. Większość pozostałych przeszła na stronę buntowników w ciągu tygodnia od wybuchu powstania. Wojsko jako całość roztrzaskało się jak gliniany garnek podgrzewany za mocno.

- Co możemy zrobić? - spytał Vincent.

- Powstrzymać ich. - Jeffrey wbił palec w trudny teren na północ od Bassin du Sud. - Weźmy stąd wszystko, co możemy, i powstrzymajmy ich. Jeśli uda nam się powstrzymać ich przed połączeniem się, to kupujemy czas na zorganizowanie się. Z czasem możemy wygrać. Musimy jednak powstrzymać Liberta od połączenia się z buntownikami wokół Islvert.

- Doskonała analiza - powiedział Vincen. - Jestem pewien, że Komitet Bezpieczeństwa Publicznego wyrazi zgodę.

To wywołało jeszcze więcej nerwowych spojrzeń. Komitet był bardziej selektywny w ocenach niż motłoch polujący na buntowników, sympatyków buntowników oraz wszystkich innych, którzy mu się nie podobali. Ale nie bardzo. De Villers spojrział na niego gniewnie, ruszając ustami jak pies, któremu właśnie wyrwano kość.

- I jestem pewien, iż istnieje tylko jeden człowiek, któremu można powierzyć tak istotne zadanie.

Wszyscy spojrzeli na Jeffreya. *Cholera*, pomyślał.

\* \* \*

- Co teraz, najemniku? - spytał De Villers, podchodząc do wagonu sztabowego i wskakując na sunącą platformę.

- Ochotniku - powiedział Jeffrey, stając w otwartym wagonie.

Było teraz oczywiste, dlaczego pociąg został zatrzymany. Duży strumień ludzi, wózków i mułów, ze znajdującym się tu i ówdzie samochodem, posuwał się na południe po dwupasmowej zwirowej drodze. *Z pewnością nie można by tego nazwać marszem*, pomyślał Jeffrey. Wojsko posuwało się transportem kołowym pośrodku, a piechota maszerowała po obu stronach kolumny. Ta gromada rozłaziła się, zbijała w kupę i rozpełzała. Żołnierze lubili przykucnąć sobie za krzakiem, napić się wody z

rowów - co oznaczało, że za kilka dni będą mieli epidemię dyzenterii - uciąć sobie drzemkę, ukraść kurczaki albo zerwać na wpół dojrzałe czereśnie z sadów pokrywających liczne wzgórza...

A to nie to było najgorsze ani też nie fakt, że co trzecia mijana wioska była pusta, co oznaczało, iż mieszkańcy stwierdzili, że bardziej lubią księdza i dziedzica od lokalnego *travailleur* czy też anarchisty nauczyciela lub szewca-organizatora. W tych wioskach raczej spalono szkołę niż kościół, a ludzie bez wątplenia ukrywali się na wzgórzach, przygotowując zasadzki na rządowe linie zaopatrzeniowe.

*Naprawdę* wielkim problemem była zwarta kolumna uciekinierów płynących drogą na północ, tworzących nierozplątywalny gąszcz. Nacisk z obu stron się utrzymywał, gdy ci z tyłu próbowali się przepchnąć do przodu, więc cała kolumna wybrzuszała się tak jak dwa węże połączone razem, gdyby pompowano w nie wodę z obu końców. I tak zablokowali pociąg, który wiozł artylerię i zapasy. Ludzie z pociągu zaczęli wysiadać, by wmieszać się w rozwrzeszczany, kręcący się i przepychający tłum. Mgielka czerwono-żółtego pyłu wisiała nad znajdującą się na rozstaju dróg wioską, mieszając się ze smrodem węglowego dymu, niemytych ludzi oraz ludzkich i zwierzęcych odchodów.

- Musimy tu zaprowadzić jakiś porządek - wymruczał Jeffrey.

Oficer polityczny anarchistów spojrział na niego ostro. - Prawdziwy porządek rodzi się spontanicznie wśród ludzi, nie pochodzi od autorytarnej hierarchii, która miażdży ich ducha! - zaczął z ferworem De Villers.

- Jedyna rzecz, jaka spontanicznie rodzi się w tej gromadzie, to gówno i hałas - powiedział Jeffrey, pozostawiając mężczyznę gapiącego się z otwartymi ustami.

*Nie przywykł do tego, by mu przerywano w środku przemowy.*

- Brygadierze Gerard - ciągnął dalej Jeffrey, zwracając się do unijnego oficera lojalistów znajdującego się w samochodzie. - Czy mógłbyś przejść się ze mną?

Gerard wysiadł z wagonu. Anarchista chciał za nim iść, ale zatrzymało go spojrzenie Jeffreya. Zrobili kilka kroków w tłumie, tyle, że ich głosy stały się niesłyszalne w otaczającym ich hałasie.

- Brygadierze Gerard - zaczął Jeffrey.

- Obywatelu, towarzyszu brygadierze Gerard - rzekł oficer z kamienną twarzą. Był on niskim mężczyzną, muskularnym, szerokim w ramionach, miał chód jeźdźca - przedtem należał do lekkiej kawalerii, jak przypomniał sobie Jeffrey. Miał około trzydziestu pięciu lat, a może więcej, kilka siwych włosów w zgrabnie przyciętych

wąsach i czujny wyraz brązowych oczu.

- Końskie gówno. Słuchaj, Gerard, to powinno być twoje zadanie. Ty jesteś tutaj starszym oficerem lojalistów.

- Ale oni mi nie ufają - powiedział Gerard.

- Nie, nie ufają. Ponad połowa zawodowych oficerów przeszła do buntowników, ja byłem pod ręką, a oni mnie *ufają*... trochę. Więc jestem na to skazany. Pytanie tylko, czy ty mi pomożesz zrobić to, po co nas przysłali, czy nie? Ja zamierzam wykonać swoje zadanie, niezależnie od tego, czy mi pomożesz, czy nie. Jeśli jednak tego nie zrobisz, to z prawie niewykonalnego, zadanie stanie się całkowicie niewykonalne. Jeśli mnie zabiją, to chciałbym, aby się to do czegoś przyczyniło.

Gerard przypatrywał mu się beznamiętnie przez chwilę, a potem lekko pochylił głowę. - *Bon* - powiedział, wyciągając rękę. - Mimo iż pozory mylą, *mon ami* - wskazał na kłębiący się dokoła nich tłum - to jest lepsza strona.

Jeffrey uściśnął mu dłoń i wyjął mapę z kasetki wiszącej u parcianego pasa. - W porządku, chcę, aby zostało zrobione, co następuje - rzekł. - Po pierwsze, zamierzam zostawić ci Jednostkę Szturmową...

- Oddajesz mi tutaj dowództwo? - spytał zaskoczony Gerard.

- Jesteś teraz moim szefem sztabu i, owszem, ty będziesz dowodził tą pozycją, jaka by ona nie była. Jednostka Szturmowa jest przynajmniej zorganizowana, a jej żołnierze są przyzwyczajeni do trzymania cywili w ryzach. Posłuż się nimi do oczyszczenia dróg. Wyładuj artylerię i poślij pociąg z powrotem na północ po więcej tego wszystkiego. A do tego czasu posłuż się swoimi... cóż, chyba, żołnierzami... do okopania się tutaj.

Machnął ręką w bok. Wąska dolina wiła się przez krainę niskich, pofałdowanych wzgórz pokrytych głównie oliwnymi gajami. Po obu stronach sięgała górskiego uskoku, z niemal pionowymi ścianami pokrytymi w niższych partiach zaroślami, korkowym dębem, a powyżej sosnowym lasem.

- Nie zaniedbujcie wyżej położonych terenów. Errifańczycy sami są jak górskie kozice, a Libert wie, jak zrobić z nich użytek.

- A co ty zrobisz, obywat... generale Farr?

- Zamierzam zabrać... jak on się nazywa? - Wskazał kciukiem na wagon.

- Antoine De Villers.

- Obywatela towarzysza De Villersa i jego anarchistowską milicję dalej w dolinę i kupić ci więcej czasu do okopania się.

Gerard wpatrywał się w niego, a potem powoli wyprostował się i zasalutował. - Przyda mi się cały czas, jaki mi dasz - powiedział szczerze.

Jeffrey uśmiechnął się ponuro. - Tak zwykle bywa - stwierdził. - Och, a jak już się tym zajmiesz, to zacznij też przygotowywać pozycje do odwrotu dalej w dolinie.

Gerard pokiwał głową. De Villers wreszcie wyskoczył z wagonu i podszedł do nich, podciągając karabin zawieszony na ramieniu i przebiegając spojrzeniem od jednego żołnierza do drugiego.

- Co *panowie* takiego omawiają? - spytał. „Panowie” nie było już komplementem w strefie kontrolowanej przez rząd. W niektórych miejscach oznaczało ono wyrok śmierci.

- Jak powstrzymać Liberta - powiedział Jeffrey. - Główne siły okopią się tutaj. Brygada twojej milicji, obywatelu towarzyszu De Villers, ruszy do przodu do - spojrzał na mapę - Vincennes.

De Villers zmrużył oczy. - Poślesz nas na czoło jak barany na rzeź?

- Nie, *poprowadzę* was na czoło - powiedział Jeffrey spokojnie, spotykając się z nim wzrokiem. - Komitet Bezpieczeństwa Publicznego przekazał mi dowództwo, a ja przewodzę, będąc na czele. Jakies pytania?

Po chwili De Villers potrząsnął głową.

- Zatem idź dopilnować, aby twoi ludzie mieli racje żywnościowe na trzy dni. W ostatnich wagonach tego pociągu są suchary i suszona wołowina. A potem ruszymy na południe.

Gdy De Villers odszedł, Gerard pochylił się nieco bliżej. - Mój przyjacielu, podziwiam twój wybór... lecz zapewne niewielu anarchistów przeżyje.

Wzdrygnął się nieco, widząc uśmiech Jeffrey'a. - Jestem tego całkowicie świadom, brygadierze Gerard. W końcu moja strategia zmierza do zwiększenia szans rządu w tej wojnie.

\* \* \*

- A więc.

Generał Libert przeszedł dookoła statku powietrznego z rękoma splecionymi z tyłu. Statek był dwupłatowcem o owalnym kadłubie na drewnianej ramie, pokrytym materiałem pociągniętym lakierem lotniczym, z podobnie zbudowanymi skrzydłami połączonymi drutami i rozporkami. Rozbłysk słońca Krainy został pospiesznie zamalowany na skrzydłach i lekko prześwitywał przez wierzchnią warstwę, na której



widniała siekiera o podwójnym ostrzu, symbol nacjonalistów Liberia. Pojedynczy silnik z przodu napędzał dwupłatowe śmigło, a na górnym skrzydle, nad kokpitem, zamocowano lekki karabin maszynowy. Samolot pachniał mocno benzyną i smarem na bazie rycyny, połyskującym na wystających z przodu kadłuba cylindrach małego silniczka. Dwa podobne samoloty stały w pobliżu, roilo się przy nich od techników, gdy „ochotnicy” Wybrańców dokonywali ostatniego przeglądu swojego sprzętu.

- A więc - powtórzył Libert. - Czym przewyższają wasze sterowce?

Gerta Hosten przerwała zakładanie rękawic. Pociła się obficie w letnim upale, a jej wyglansowana skórzana kurtka i spodnie były zbyt ciepłe na letni, morski klimat. Wkrótce się ich pozbędzie.

- Generale, jest on mniejszym celem, i to o wiele szybszym, jakieś sto czterdzieści mil na godzinę. Odznacza się też większą manewrowością. Taki jak ten może przemykać na poziomie koron drzew. Obydwa typy są przydatne.

- Rozumiem - rzekł z namysłem Libert. - Bardzo użyteczne przy rekonesansie, jeśli działają tak, jak opisano.

- Och, będą użyteczne - stwierdziła radośnie Gerta.

General Unionistów skinął jej krótko głową i odszedł. Wskoczyła na niższe skrzydło, a potem do kokpitu, zapięła pasy na piersi i sprawdziła, czy gogle nasunięte na skórzany kask są czyste. Dwóch protegowanych z naziemnej załogi chwyciło za śmigło. Sprawdziła prostą tablicę kontrolną, walcząc z pojawiającym się uśmiechem, który nie był w stylu Wybrańców. Przesunęła pedały i drążek, żeby zobaczyć, jak działają lotki i ster. *Uwielbiam je*, pomyślała. Plus dla Johna. To on, poproszony, dostarczył te plany. A Rada Badań Technicznych znacznie je poprawiła.

- Gotowe! - krzyknęła.

- Gotowe!

- W górę!

- W górę!

Protegowani zakręcili śmigłem. Silnik zawarczał, parsknął, wypluł gryzący, niebieski dym, a potem zaskoczył z warkotem. Gerta podniosła wzrok na chorągiewkę na maszcie w rogu pola, wskazującą kierunek wiatru i dała załodze naziemnej znaki rękoma. Mechanicy obrócili samolot z wiatrem. Kobieta spojrzała za siebie, żeby sprawdzić, czy pozostałe dwa są gotowe. A potem narysowała lewą ręką koło nad głową, prawą zaś wdusiła przepustnicę. Ryk silnika się wzmógł i poczuła, jak lekki materiał, z którego zbudowano maszynę, napina się, gdy ta wyrwała się z klinów

hamulcowych pod kołami i rąk załogi trzymającej ogon i skrzydła.

Teraz. Jej ręka powędrowała do przodu. Samolot ruszył, podskakując, gdy załoga go puściła, a potem podskoczył jeszcze raz, gdy twarde koła bez resorów napotkały nierówną powierzchnię krowiego pastwiska. Szybkość narastała, a pełna skoków przejażdżka stała się bardziej miękka, łagodna. Gdy tylne koło oderwało się od ziemi, Gerta pociągnęła drążek do tyłu i dwupłatowiec pomknął w niebo. A przy okazji prawie że poleciał na bok; ten model miał spory problem z momentem obrotowym. Gerta skorygowała położenie, wciskając stopę w pedały steru i wykonała przechył, aby zwiększyć wysokość. Pozostałe dwa samoloty podążały po obu stronach maszyny. Jej szal unosił się za nią w strumieniu zaśmigłowym, a wiatr śpiewał między drutami i rozporkami; kontrapunkt na tle miarowego warkotu silników.

Pod nią otwierała się Bassin du Sud. Rozsiane na przedmieściach domy przycupnięte wokół elektrycznych linii przesyłowych, gęszcz wyższych kamiennych budynków i kamienic bliżej zatoki. Kolumny dymu wciąż się wznosiły z centrum miasta i znad zatoki. Słyszała raz po raz trzask ognia z broni strzeleckiej. „Czyszciciele” albo plutony egzekucyjne. W zatoce znajdowały się kupieckie statki Wybrańców ze złotym rozbłyskiem słońca na kominach, wyladowywujące na lichtugi. Grupy robotników przenosiły ładunek z lichtug do doków lub też zajmowały się usuwaniem przeszkód lub wraków, które uniemożliwiały podejście do mola pełnowymiarowym statkom. Była na tyle nisko, żeby dostrzec, jak strażnik wali kolbą karabinu w głowę robotnika pracującego zbyt wolno, a potem spycha butem ciało do wody.

Silnik pracował i samolot z Krainy wzniósł się kolejne tysiąc stóp. Z tej wysokości dostrzegła wielki stadion do piłki nożnej na skraju miasta oraz ogromny tłum kucających na nim więźniów. Co kilka minut kolejnych parę setek nieszczęśników wpychano przez wielkie bramy wejściowe. Jazgotały karabiny maszynowe. Generał Libert nie uznawał marnotrawienia czasu. Każdy człowiek mający siniak od karabinu na ramieniu wędrował prosto na stadion, a także ci z listy podejrzanych lub mający w portfelu kartę członkowską związku zawodowego. *Każdy, kto ma jeszcze taką, jest za głupi, żeby żyć*, pomyślała radośnie Gerta, kierując samolot na północ.

Nad pofalowaną nadbrzeżną równiną było jeszcze więcej kolumn dymu, w miejscach, gdzie pszenica nie była całkowicie zebrana lub bardziej skupionych tam, gdzie płonęło gospodarstwo lub wioska. Unoszący się pył znaczył główną drogę; długi, wijący się wąż maszerujących na północ legionistów Liberta i żołnierzy z Errife. Transport kołowy odbywał się głównie dzięki zwierzętom, mułom i koniom; były też

sznury juczych mułów. To ulegnie zmianie, gdy zatoka będzie znowu funkcjonować. Na czekających na rozładunek statkach z Krainy znajdowało się sporo parowych ciężarówek, a nawet jakieś wozy opancerzone. Piechota maszerowała po obu stronach drogi w uporządkowanych, czwórkowych kolumnach. Głowy podnosiły się, aby przyjrzeć się unoszącemu się w górze samolotowi. Na szczęście nikt do niej nie strzelał.

Znajdujące się przed nią góry przybliżyły się. Poszarpane sylwetki o barwach pruskiego błękitu wznosiły się wyżej niż jej trzy tysiące stóp. W takim szybowaniu było coś boskiego. Dla Gerty całkowicie się to różniło od podróżowania sterowcem - równie dobrze mogło się być w pociągu biegnącym po niebie. A to bardziej przypominało prowadzenie szybkiego samochodu, lecz z dodatkową wolnością trójwymiarowości i nie trzeba było trzymać się drogi. Będąc sama w kokpicie, Gerta roześmiała się radośnie. Tutaj można było polecieć *gdziekolwiek* się chciało.

Teraz miała się udać w miejsce działań. Słabe *pop-pop-pop-pa* dobiegało z północy. *Ach, część nieprzyjacielskich sił wciąż walczy.* Opór w Bassin du Sud i na drodze prowadzącej na północ był stawiany niekompetentnie, lecz z większą determinacją niż się spodziewała.

Gerta zamachała skrzydłami. Pozostałe dwa samoloty zbliżyły się. Zaczekała, aż będą na tyle blisko, aby widzieć wyraźnie jej sygnały, a potem powoli wskazała na lewo i prawo, machnęła ręką, wykonała nią ponownie koło i wskazała z powrotem na południe. Każdy z jej skrzydłowych skręcił. *Dziwne, jak szybko można zapomnieć się tu, w górze,* pomyślała. W przeciągu kilku sekund samoloty zmalowały, stając się jedynie punkcikami, niemal niewidocznymi na tle ziemi i nieba. A potem Gerta uniosła jedno skrzydło i zanurkowała.

*Czas sprawdzić, jak się rzeczy mają,* pomyślała, gdy poczucie spadania wcisnęło jej żołądek między zębra.

\* \* \*

Ktoś wrzasnął i wskazał w górę. John Hosten wyciągnął szyję, aby wyjrzeć przez wąskie liście korkowego dębu, mrużąc oczy w blasku słońca. Ryk wyjącego silnika zabrzmiał mu w uszach, gdy dwupłatowiec rzucił prostokątny cień na las. Samolot zszedł tak nisko, że niemal muskał górne gałęzie karłowatych drzew, ciągnąc za sobą woń palonej benzyny i gorącego smaru. Zapach był na tyle mocny, że przytłaczał zapach gorącej, suchej ziemi i wypalanej słońcem roślinności. John dostrzegał, jak

głowa pilota w skórzanym kasku obraca się tu i tam, przypominając owada w tych swoich goglach.

Wszyscy w gaju zamarli niczym króliki pod pikującym jastrzębiem, robiąc najlepszą z możliwych rzeczy z najgorszych możliwych powodów.

- To nowy model latającej maszyny - powiedział John. - Budują je też w Santander. Ta była z Krainy, pracuje dla Liberta.

Dał się znowu słyszeć brzęk kilofów, noży i stylisk. Wykopywano okopy i prowizoryczne stanowiska dla karabinów.

Wszyscy, którzy pozostali przy życiu, nabyli zdrowego podejścia do tego, jak ważne jest okopanie się. John wciąż miał w dłoni łopatę. Wsunął ją pod krawędź skały i wyszarpnął, przenosząc nierówny wapień na skraj swojej jamy.

- Panie - odezwał się jeden z byłych żołnierzy piechoty morskiej. - Nadchodzą.

John rzucił łopatę następnemu mężczyźnie i poczołgał się do przodu, kryjąc się za pniem splątanego, powyginanego drzewa zabarwionego na różowo po ściągnięciu korka. Spojrzał przez lornetkę. W dole zbocza tu i ówdzie znajdowały się kamieniste pola z żółtymi ścierniskami i drzewami chleba świętojańskiego. W połowie drogi widać było gospodarstwo, pewnie dziedzica, sądząc po wielkości i pobielonych zewnętrznych ścianach. Powiewająca buntowniczo anarchistyczna czarna flaga pokazywała, że obecni mieszkańcy mają inne zdanie; padały na nią moździerzowe pociski. Dalej nacierała piechota z Errife, przemykając do przodu małymi grupkami. Ich towarzysze strzelali, osłaniając ich. Ten proces powtarzali raz po raz. John zagwizdał w duchu, z niechęcią wyrażając podziw dla ich skocznej zwinności i sposobu, w jaki ginęli z oczu, jak tylko przypadli do ziemi.

>>Dobre zachowanie w polu<< rzekł Raj. >>Cholernie dobre. Lepiej zabierz im z drogi tę gromadkę amatorów, synu.<<

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - wymruczał do siebie John.

- Ach, panie? - rzekł Barrjen, zniżając głos. - Wiesz, może dobrze by było, tak ruszyć się trochę na północ?

W lesie znajdowało się około trzystu ludzi, głównie mężczyzn, wszyscy byli uzbrojeni. Wczoraj, gdy zaczął się wycofywać z ruin Bassin du Sud, było ich kilka tysięcy. On wciąż żył, tak jak i większość obywateli Santander, których ze sobą zabrał - załoga *Kupieckiej wyprawy* i wszyscy byli żołnierze piechoty morskiej z ambasady w Ciano. *Nie ma niespodzianki, oni wiedzą, co, u diabła, robią*, pomyślał. Wątpił, czy żyłby jeszcze bez nich.

- W porządku, musimy im umknąć - powiedział na głos. - A jedyny na to sposób, to szybko wyruszyć, gdy będą się zajmowali tą wioską.

Większość Unionistów wstała. Jakaś jedna trzecia w dalszym ciągu się okopywała. Jeden z nich spojrział na Johna:

- *Va*. Zatrzymamy ich.

- Zginiecie.

Mężczyzna wzruszył ramionami. - Moja rodzina nie żyje, moi przyjaciele nie żyją. Myślę, że paru tych *merdechiennes* powinno pójść w ich ślady.

John zamknął usta. *Nie mam nic do dodania*, pomyślał. - Zostawcie całą swoją dodatkową amunicję - powiedział do pozostałych. Ludzie zaczęli przeszukiwać kieszenie, plecaki i prowizoryczne bandolety. - Ruszajmy. Niech to ma sens.

\* \* \*

- Cholernie się cieszę, że cię widzę.

Jeffrey był nieco zaszokowany tym, jak John wyglądał prawie tak źle jak wtedy, gdy wrócił z Imperium. Chudszy, utykał - kuśtykając mocniej niż znajdujący się obok Smith - i miał wyraz oczu, który Jeffrey rozpoznał. Widywał go ostatnio w lustrze. Na ramieniu miał też bandaż przesiąknięty krwią, a oczy błyszczały mu gorączką.

- A ja, że widzę ciebie, bracie - powiedział Jeffrey.

Rozejrzał się. Zarekwirowane gospodarstwo pełne było niedawno mianowanych, wybranych lub częściowo wybranych oficerów (*coordinateurs*, jak sami się nazywali) z anarchistycznej milicji z Unionvil i okolicznych przemysłowych miast. Większość z nich była zgrupowana dokoła stołów z mapami. Dzięki Johnowi i Centrum żetony oznaczające siły wroga były całkiem akuratnie rozmieszczone. Swoich własnych był o wiele mniej pewien. Nie była to tylko kwestia braku współpracy, choć tego też nie brakowało, mimo ciągle obecnej groźby ze strony Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Także większość *coordinateurs* nie miała zbyt dobrego pojęcia o wielkości i położeniu swoich sił.

- Chodź tutaj - powiedział, biorąc Johna pod ramię. - Sprawy mają się tak źle, jak mówiłeś?

- Gorzej. Te samoloty, które mają, przyłapały nas wczoraj, jak przemierzaliśmy otwartą przestrzeń.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

- ...i oczy Johna pokazały zbliżającą się ziemię, gdy on sam zagrzebywał się w pyłe.

Była to uboga kraina pastwisk usianych owczym nawozem, z wystającymi tu i ówdzie wapiennymi skałami.

- A niech to pierun strzeli - wyszeptał ktoś niedaleko.

Jękliwy warkot spotęgował się. John przeturlał się na plecy. Leżenie twarzą w dół dałoby mu jedynie psychiczny komfort. Dwa samoloty z Krainy spadały lotem koszącym ku uciekinierom z Bassin du Sud i grupie z Santander. Rosły na jego oczach; przezroczysty krąg śmigła przed kołem tłoków i skrzydła niczym u jakiegoś ogromnego, latającego drapieżnika. A potem zaczął błyskać karabin maszynowy nad górnym skrzydłem i ryk silnika zakłóciło *tat-tat-tat-tat* Koegelmanna. Sunęła ku niemu linia tryskających pyłem lejów... a potem wyminęła go, pozostawiając spoconego i trzęsącego się. Kropka spadła z jednego z samolotów, wybuchając z ostrym trzaskiem pięćdziesiąt stóp nad nimi.

*Granat*, zdał sobie sprawę. Nie był to zbyt skuteczny sposób zrzucania ładunków wybuchowych, lecz wkrótce to poprawią. Dało się słyszeć głosy ludzi krzyczących w panice lub bólu. Kilku uciekinierów strzelało z karabinów do znikającego samolotu, co było rodzajem psychologicznego pocieszenia, żeby nie czuć się jak robak pod butem. Samolot skręcił na północ i zawrócił do następnego nalotu. Większość strzelców dała nura w poszukiwaniu kryjówki. Barrjen stał, strzelając powoli i uważnie, a linie kul z karabinu maszynowego przecinały pozycje uciekinierów. Obydwa samoloty skręciły ku niemu, poruszając się jak nożyce mające się zetknąć nad jego ciałem.

- Na ziemię, ty głupcze! - krzyknął John. *Niech to diabli, potrzebuję cię!* Lojalni ludzie o jego zdolnościach nie byli często spotykani.

Wtem jedna z maszyn zachwiała się w powietrzu, przechyliła i skierowała ku ziemi. John zaczął wiwatować, lecz zamilkł, gdy samolot złapał równowagę i zaczął się wznosić. Wciąż jednak uśmiecha! się szeroko, wstając i waląc Barrjena w ramię. Obydwa samoloty z Krainy zmierzały na południe, jeden kołysał się w powietrzu, a drugi leciał z zaniepokojeniem tuż obok, jak gęsia mama obok gąsek.

- Dobre strzały.

Barrjen odsunął zamek karabinu i starannie włożył trzy pojedyncze naboje. - Trzeba tylko było oszacować szybkość, panie - powiedział.

Smith posłużył się swoim karabinem, aby się wyprostować. - Proszę - rzekł, rzucając mu trzy magazynki z amunicją. - Lepiej je wykorzystasz ode mnie.

- John zaś potrząsnął głową. - A ja sobie myślałem, jaka byłaby to ironia, gdybym został zabity przez coś, czego plany sam przesłałem Wybrańcom - powiedział.

Jeffrey przytknął na chwilę oczy, aby spojrzeć na zatrzymane w kadrze zbliżenia obrazów ataku zachowane przez Centrum. - Nie, dokonali pewnych ulepszeń. Poruszał się szybciej niż cokolwiek, co do tej pory mieliśmy.

>>Zgadza się<< powiedziało Centrum. >>Nieco mocniejszy silnik i ulepszenia wprowadzone w pasie skrzydłowym.<<

- A mimo to ja przesłałem im podstawy - rzekł John.

- Biorąc pod uwagę, iż to twoje firmy nad nimi pracują, a oni o tym wiedzą, to wyglądałoby nad wyraz dziwnie, gdyby ich świetny podwójny agent *nie* przesłał im danych, prawda? - powiedział Jeffrey. - Wiesz, jak to jest. Jeśli dezinformacja ma być wiarygodna, to przy okazji musisz wysłać wiele dobrych rzeczy.

John pokiwał z niechęcią głową. - Mam już dosyć katastrofalnych odwrotów - powiedział.

Jeffrey uśmiechnął się krzywo. - Cóż, to nie jest tak okropne jak imperialna wojna - stwierdził. - Przede wszystkim nie walczymy bezpośrednio z Krainą.

Obejrzał się przez ramię i zawołał kogoś po imieniu. - Chodź, potrzebujesz lekarza, trochę jedzenia i snu. Jedzenie jest dość fatalne, ale mamy całkiem przyzwoitych lekarzy. Barrjen, Smith, zajmijcie się nim.

Dwaj Santanderczycy pomogli odprowadzić Johna. Jeffrey obrócił się z powrotem ku mapie, spoglądając na wąską linię pagórkowatej niziny wijącą się pomiędzy górami.

- Będziemy się w dalszym ciągu okopywać wzdłuż tej linii - powiedział, przesuając po niej palcem.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego nie dalej na południu? Dlaczego musimy oddawać teren Libertowi i jego najemnym zabójcom? - De Villers nie próbował już nawet ukrywać swojej wrogości.

Jeffrey zdusił westchnienie. - Bo to jest zaraz za zakrętem i jest to najwęższe miejsce w okolicy - powiedział. - Co oznacza, że on nie może się posłużyć swoją artylerią, a my nie mamy właściwie żadnej, jak raczą zauważyć panow... ach, obywatele towarzysze. A góry utrudnią mu otoczenie nas. Miejmy nadzieję, że połamie sobie zęby, nacierając prosto na nasze pozycje.

- Powinniśmy zaatakować. Najemnicy wroga nie mają powodu, by walczyć, a świadomość polityczna naszych żołnierzy jest wysoka. Legioniści uciekną, a ci z Errife rzucą się na swoich oficerów i przyłączą się do nas, aby odzyskać niepodległość.

Kilku innych zgromadzonych dokoła stołu pokiwało głowami.

- Obywatele towarzysze - rzekł łagodnie Jeffrey. - Czy któryś z was spotkał uchodźców? Albo słuchał ich?

To powstrzymało chór potakiwań. - Cóż, czy odnosicie wrażenie, że legionieści albo ci z Errife odmówili stoczenia walki w Bassin du Sud? Czy mamy powód, by wierzyć, że tu będą słabsi? Nie? To dobrze.

Przesunął palcem po mapie. - Ich czoło pojawi się przed zachodem słońca i spodziewam się, że jutro będą gotowi do ataku. Musimy być maksymalnie czujni.

Mówił dalej, objaśniając swój plan. W teorii powinien być wystarczająco skuteczny. Ogółem miał mniej ludzi niż Libert, lecz teren mu sprzyjał, a utrzymanie bezpiecznej pozycji obronnej bez możliwości oskrzydlenia było najłatwiejszą rzeczą, jaką mogli zrobić niedoświadczeni żołnierze.

Problem w tym, że Libert to wiedział, tak samo jak jego doradcy Wybrańcy.



## Rozdział szesnasty

- Jakie wieści z akademii?

Adiutant Liberta uśmiechnął się. - Raport od *Commandant Soubirous* jest następujący: *nic do zameldowania*, generale.

Kluchowaty mały człowieczek pokiwał z powagą głową i postukał w mapę. Przez zachodnie wejście do namiotu wpadało dość światła słonecznego, żeby było widać, co miał na myśli. Unijna Akademia Wojskowa mieściła się w *Foret du Loup*, w krainie pofalowanego płaskowyżu, pomiędzy górami a *Unionvil*.

- Kiedy oczyścimy przełęczę w *Monts du Diable*, musimy wysłać kolumnę - silną kolumnę - na odsiecz akademii. Nie można pozwolić, aby Czerwoni zmiażdżyli *Commandant Soubirous* i jego walecznych kadetów.

Heinrich Hosten zakaszlał dyskretnie, - Generale - powiedział płynnym, lecz akcentowanym frankońskim. - Czy nie powinniśmy uważać, aby nie odciągać naszych sił od głównego *schwerpunkt*? Ach, to znaczy, *punktu pierwszorzędnego znaczenia*?

- Znane mi jest to pojęcie - rzekł Libert i uważnie spojrzał na oficera Wybrańców. Cudzoziemiec był ubrany dyskretnie, w mundur oficera unijnego legionu, bez belek rangi ale z maleńką szpilą złoto-czarnego rozbłysku słońca w kołnierzu tuniki.

- Tak, generale - powiedział Heinrich.

- Jednakże będzie to zapewne długa wojna - i pewnie tak jest lepiej - stwierdził Libert. Wybrańcy znajdujący się w pomieszczeniu zareagowali takim samym spokojem, skrywającym identyczne zaskoczenie. Dowódca Unionistów uśmiechnął się lekko.

- To jest walka zarówno polityczna, jak i wojskowa. Szybkie zwycięstwo

pozostawiłoby nas z nietkniętymi wszystkimi elementami, które doprowadziły do tego kryzysu. Równomierne, metodyczne natarcie oznacza, że nie tylko zwyciężymy, ale unicestwimy wszystkie antyunijne elementy. I daje nam to czas oraz okazję do całkowitego *oczyszczenia* stref za naszymi liniami w warunkach wojennych.

- Skoro tak mówisz, panie - rzekł Heinrich. - Zakładając jednak, że uda nam się w ogóle wydostać z tej cholernej doliny.

- Wierzę w plan, jaki wypracowałeś z moim sztabem - powiedział Libert, zwracając się ku mapie.

Heinrich pochylił głowę i wyszedł z namiotu. - Cholernie dziwny sposób podchodzenia do sprawy - rzekł do Gerty.

- Właściwie to rozsądny - powiedziała Gerta, uśmiechając się i potrząsając głową - gdy patrzy się na to z jego punktu widzenia. Nam też przydałoby się trochę więcej metodyczności. Ta cała tutejsza operacja ma dla mnie posmak improwizacji.

Zatrzymali się na chwilę, aby przyjrzeć się, jak protegowani robotnicy i inżynierowie Wybrańców montują wozy opancerzone, korzystając z części przysłanych koleją.

- To jest okazja - powiedział po chwili Heinrich.

- To jest pokusa - stwierdziła Gerta. - Mieliśmy niecałą dekadę do umocnienia naszego panowania w Imperium...

- Dziewięć lat, sześć miesięcy, dwa dni, licząc od ataku na Coronę - powiedział Heinrich, uśmiechając się czule na to wspomnienie.

- Czepiasz się. - Szturchnęła go lekko w ramię. - Powinniśmy poczekać przynajmniej jedno pokolenie, zanim zadrzemy z Santander. A to zapewne oznacza ostatecznie wojnę z Republiką, jeśli nasz mały przyjaciel - skinęła głową w stronę namiotu - wygra.

- Robią się też silniejsi - zwrócił uwagę Heinrich. - Wiesz, jakie mamy kłopoty z produkcją przy użyciu siły roboczej z Nowych Terytoriów.

- Tak, ale my dysponujemy stałą siłą. *My* nie mamy podświadomej potrzeby wiary, że świat jest radosnym placem zabaw, gdzie tak naprawdę każdy jest miły poza paroma czarnymi charakterami, które zostaną pokonane pod koniec opowieści. Przy wystarczającej ilości czasu możemy zmusić bydłota do dość dobrej pracy - a Santanderczycy pójdą spać i stracą czujność, jeśli nie będziemy wysuwać oczywistych gróźb.

- Tak właściwie to im nie grozimy.

- Siły Krainy u granic? Nawet *Santanderczyk* nie potrafi sam siebie przekonać, że to nie jest groźba. Budzimy śpiącego olbrzyma i wzmacniamy mu kręgosłup.

Heinrich wzruszył ramionami. - Ale jeśli pokonamy Santanderczyków, to cała reszta jest tylko zamiataniem. W każdym razie to sprawa Rady, *nein*?

- *Jawohl*. Rozkazy to rozkazy. Skończmy tę bitwę.

Heinrich uśmiechnął się szerzej. - Właściwie to ty masz inne zadanie.

- Och?

- Libert bardzo się przejmuje tą akademią. Spędziłby pewnie z sześć miesięcy, mszcząc się za nią i za walecznych kadetów, gdyby ona upadła. Byłoby to jeszcze większym marnotrawieniem wysiłku niż pomaszzerowanie jej na odsiecz. Musimy więc mieć pewność, że ona nie upadnie...

- *Shays*.

\* \* \*

- I jak się miewasz, panie? - spytał steward w pociągu.

- Nie za dobrze - wymamrotał John. - Chcę coś do picia - wodę, czy coś takiego.

- Panie.

Steward skłonił się w milczeniu, opuszczając przedział. Rewolucja widocznie nie dotarła jeszcze do tej części Unii. A może po prostu dlatego, że była to kolej należąca do Santander, blisko granicy, a John był wyraźnie na tyle bogaty, że miał dla siebie cały przedział pierwszej klasy i drugi dla pół tuzina uzbrojonych mężczyzn o wyglądzie twardzieli.

Widok za oknem ukazywał krajobraz podobny do terenów leżących poza miastami wschodnich prowincji Republiki. Wyżynna niecka otoczona przez góry ze śniegiem połyskującym na wierzchołkach; szczyty na zachodzie przybierały karmazynowa barwę zachodu słońca. Trawa, zbrunatniała przez lato, poznaczona kaktusami, a tu i ówdzie kapuścianą zarazą, pachniała ciepłem i pyłem, lecz powietrze było świeższe niż na nizinach na wschodzie. Stada czerwonoskórego bydła - kudłatych bizonów i owiec - ze strzegącymi ich uzbrojonymi pasterzami wierzchem. Od czasu do czasu pojawiało się gospodarstwo, z budynkami gospodarczymi i pobielonymi ścianami z wypalanej gliny, rzadziej kawałek sadu lub pól uprawnych wokół strumienia ujętego w kanał nawadniający, a już bardzo rzadko wioska, kopalnia z chatami albo kościelna wieża.

Wyglądało to szalenie spokojnie. Jastrząb spadł ku królikowi wypłoszonemu

przez *czufczufczuf* lokomotywy. Wagon kołysał się, stukocząc po torach. John otarł pot z czoła i dotknął delikatnie palcami ramienia na temblaku, krzywiąc się przy tym nieco. Było lepiej, zdecydowanie lepiej - przez chwilę myślał, że straci rękę - ale wciąż źle. Dzięki Bogu lekarz uwierzył w to, co John powiedział o oczyszczeniu rany, a ogromna łapówka nigdy jeszcze nie zaszkodziła.

*Wkrótce będę w domu*, pomyślał.

Drzwi przedziału znowu się otworzyły. Stał w nich steward w nieskazitelnie białej marynarce i rękawiczkach, z tacą lemoniady z lodem. Za nim widać było strapione twarze Smitha i Barrjena.

- Dobrze się czujesz, panie?

- Czułbym się, gdyby ludzie przestali mnie nachodzić! - warknął John, a potem machnął ręką. - Przepraszam. Zdrowieję, ale potrzebuję odpoczynku. Dzięki za to, że pytacie.

Dwaj mężczyźni wycofali się, mrużąc przeprosiny. Steward rozkładał stolik pomiędzy siedzeniami. Postawił na nim tacę.

John wziął szklanekę i wypił chciwiej a potem przytknął zimną szklaneczkę do czoła.

- Czy mam rozłożyć łóżko, panie?

John potrząsnął głową. - Niedługo. Wróc za godzinę.

- Czy będziesz korzystał z wagonu restauracyjnego, panie?

Przewróciło mu się lekko w żołądku na tę myśl. - Nie. Poproszę, jeśli można, byś mi przyniósł miskę rosółu i trochę grzanek. - Przesunął ku niemu banknot z Santander.

- Rad jestem pomóc, wasza dostojność.

John przymknął oczy. Gdy gwałtownie otworzył je znowu, na zewnątrz zapadła już całkowita noc i tylko światło latarni tu i ówdzie rywalizowało z mroźnym łukiem gwiazd i księżyców. Kołnierz koszuli i kurtki miał przepocony, ale czuł się o wiele lepiej... i był bardzo spragniony. Wypił jeszcze trochę lemoniady i wcisnął dzwonek, aby steward przyniósł mu zupę.

>>Nie ma żartów, jeśli rana się zapaskudzi<< powiedział mu w myślach Raj.  
>>Zbyt wiele tego widziałem.<<

Pojawił się obraz rąk przytrzymujących człowieka na splamionych krwią deskach. Mężczyzna rzucał się i wrzeszczał, gdy piła do kości przerzynała mu udo, a koło prowizorycznego stołu operacyjnego stało koryto z odciętymi kończynami. W

przeciwieństwie do scenariuszy Centrum we wspomnieniach Raja obecny był także zapach. Tym razem był to słodkawy, przyprawiający o mdłości, ohydny smród gangreny.

>> Nawet Centrum się przez chwilę martwiło.<<

>> Obliczenia wskazują na 23% zmniejszenie prawdopodobieństwa korzystnego zakończenia, jeśli John Hosten zostanie usunięty z równania w tej chwili<< powiedziało Centrum. >> Taka analiza nie oznacza „martwienia się”.<<

*Jak się miewa Jeff?* - spytał John.

>> Obserwuj.<<

- ... i patrzył oczyma swego przybranego brata.

Widocznie Jeffrey był na zewnątrz, dokonując przeglądu osobiście, jadąc na koniu wzdłuż szeregów lojalistów. *„Rozproszone kupki”* byłoby lepszym określeniem niż *„szeregi”*, pomyślał John.

*Och, cześć,* odparł Jeffrey. *Co tam u ciebie?*

Mężczyzna zatrzymał konia koło dużego ogniska. Dokoła niego leżeli milicjanci i jakieś kobiety. Jakieś lekkomyślne dusze spały, inni przypiekali kawałki ostrej kiełbasy na patykach nad ogniskiem, zajadali czerstwy chleb, popijali z glinianych butelek wino i wodę lub też oddawali się ulubionej rozrywce Unionistów - sporom. Okopy, które stworzyli, znajdowały się nieco dalej na południe, a ich broń rozłożona była dokoła. Może jakieś trzy czwarte ludzi było uzbrojonych. Niektórzy mieli nowoczesne, wykonane w Unii kopie karabinów z Santander z magazynkami, inni ładowaną przez lufę broń na czarny proch, której historia sięgała czasów wojny domowej trzy pokolenia wstecz. Jeden z przywódców anarchistów miał na głowie przepaskę, dwa bandolety amunicji krzyżujące się na potężnym brzuszysku napinającym koszulę w pasy oraz trzy noże, karabin i dwa pistolety zatknięte za szarfę.

Był tam nawet karabin maszynowy, dobrze okopany za wałem worków z piaskiem.

*Cóż, ktoś wie, co należy robić,* stwierdził John.

Jeffrey skinął głową. Unia miała obowiązkową służbę wojskową. Poborowi byli wybierani w drodze losowania, lecz można się było wykupić. W każdej zbieraniu ludzi z klasy pracującej trafiali się jacyś mężczyźni po wojskowym szkoleniu.

Jeffrey spojrzał na gwiazdy. John otworzył oczy i przez chwilę miał dziwne poczucie podwójnego widzenia - te same konstelacje nieruchome i oglądane przez

okno poruszającego się pociągu czterysta mil na północny zachód. To sprawiło, iż Jeffrey miał świetny widok na wybuchającą raketę.

*Pop.* Aktywnicze, jasnoniebieskie światło przez chwilę zamroziło wszystko w bezruchu, na tyle długo, iż dało się słyszeć świst pocisków.

Jeffrey zareagował, zeskakując z konia i wskakując do pustego dołu za karabinem maszynowym. Działa były lekkie, sądząc po dźwięku wybuchających pocisków, lecz to nie miałyby *żadnego* znaczenia, gdyby znalazł się na drodze kawałka poruszającego się z dużą prędkością metalu.

Jeszcze ktoś wśliznął się obok niego, przyjmując tę samą pozycję, przytulając się do dna dołu. Czekali przez sekundy, które wydawały się trwać znacznie dłużej, a potem podnieśli głowy w wynikającej z ogłuszenia ciszy. Kolejne rakietę wybuchły w górze...

- Pięć pocisków na raz - powiedział Jeffrey. Krótki wybuch, maksymalny zasięg, na jaki mogli sobie pozwolić kanonierzy. Co oznaczało...

W chwilę później wpadł na sąsiada, gdy obydwaj naraz skoczyli ku uchwytom szpadlowym karabinu maszynowego. - Podawaj mi! - warknął Jeffrey, posługując się swoim ciężarem i wzrostem, aby odsunąć na bok żołnierza Unii - musiał to być weteran, ten, który okopał broń.

Dzięki rakietom rebeliantów było na tyle jasno, że wszystko było widać. Bezimienny Unionista oderwał wieko od wytłoczonego, metalowego, prostokątnego pudła. Wewnątrz znajdowały się zwoje płóciennego pasa z pętelkami zawierającymi błyszczące, mosiężne naboje. Żołnierz wyciągnął koniec pasa z metalowym okuciem. Jeffrey otworzył prowadnik do ładowania. Ich ręce współpracowały, wprowadzając pas, jakby ćwiczyli to wspólnie przez lata. Unionista odsunął rękę, gdy Jeffrey zatrząskował pokrywę, a potem dwukrotnie szarpnął do tyłu napinacz, aż błyszcząca końcówka pasa zawisła po prawej stronie broni.

- Podawaj mi! - rzucił ponownie Jeffrey. Ważne było, aby ładowacz pilnował, żeby pas posuwał się równo, inaczej karabin mógł się zaciąć.

Cały ten proces zajął może ze dwadzieścia sekund. Gdy Jeffrey podniósł wzrok, aby wyznaczyć cel, sylwetki w pasiastych kaftanach znajdowały się straszliwie blisko.

*Musieli się podczołgać*, trąkotał jego umysł, podczas gdy kciuki zaciskały się na motylkowym spuście. Byli na tyle blisko, że widać było obnażone w uśmiechu białe zęby w smagłych, brodatych twarzach. Słyszał pojedyncze głosy wywrzaskujące przenikliwy okrzyk bojowy.

Gruba, wodna osłona karabinu leciała do przodu i do tyłu, wystrzelając w ciemność płomienny grot. Rakiety spadały na ziemię na swoich spadochronach. Najemnicy z Errife padali, niektórzy ścięci przez waż żarzącego się zielenią pocisku smugowego, niektórzy przypadali do ziemi i odpowiadali ogniem. Plunęły ku niemu rozbłyski z luf, usłyszał głuchoe *krak* przelatujących górą kul. Strzelały też inne karabiny, tam, gdzie milicji udało się wrócić do okopów, albo też ludzie strzelali z miejsc, gdzie leżeli. Jakiś człowiek wyskoczył z koców, w których spał i pognął na otwartą przestrzeń. Przebiegł ze sto jardów na południe, zanim spotkał się z kulą.

- Jezu, jest ich *zbyt wielu!* - powiedział Jeffrey, obracając lufę tak, by rozbić ich skupiska. Ci z Errife napływali jak woda przez przerwana tamę zbudowaną z gałęzi, opływając wszystko co nie do ruszenia, szukając pustych miejsc. Strzelał raz po raz, naciskając spust, by uzyskać krótkie, trzysekundowe wystrzały. Pusty mosiądz spadał, pobrzękując, toczył się pod nogi i był wdeptywany w ziemię.

Jakaś ciemna postać wpadła do okopu. Unijny żołnierz upuścił pas z amunicją i pochwycił saperkę wbitą w miękką ziemię z boku okopu. Rozpoczął zamach, który rozwalilby głowę nowo przybyłemu.

- To ja! Francois!

Mrucząc z wysiłku, mężczyzna odrzucił łopatę na bok tak, że znowu zagłębiła się w ziemi.

- Spóźniłeś się - wydyszał, odwracając się znowu ku skrzynce. - Łap się za karabin i przydad się do czegoś.

Teraz trzeba było strzelać tylko w świetle gwiazd i księżyców. Wystarczało, by dostrzec poruszenie z przodu.

- Jak się nazywasz? - spytał Jeffrey pomiędzy wystrzałami.

- Henri - powiedział ładowacz. - Henri Trudeau. - A potem: - Uwaga!

Coś przemknęło w powietrzu. Obydwaj dali nura w dół. Znajdujący się za nimi Francois stał przez kilka śmiercionośnych sekund, wciąż gmerając przy zamku karabinu. Granat upadł niedaleko od krawędzi gniazda karabinu maszynowego. Z tyłu dał się słyszeć mokry odgłos i ciało Francois'a osunęło się. Jeffrey nie zawracał sobie głowy patrzeniem. Wiedział, skąd się wzięła wilgoć rozprysnięta na jego karku. Zamiast tego podniósł się wyciągając zza pasa automatyczny pistolet. Pył w dalszym ciągu gryzł go w oczy.

Wojownik z Errife mierzył z karabinu w głowę Jeffrey'a z odległości niecałych trzech stóp. Zamarł na chwilę. Jeffrey był tak blisko nieprzyjacielskiego żołnierza, że

słyszał ciche kliknięcie iglicy. Karabin nie wystrzelił. *Zła splotka*, pomyślał Jeffrey, gdy jego dłoń uniosła pistolet. *Krak*. Barbarzyńca poleciał do tyłu. *Krak*. Chybił i kolejny barbarzyńca spadł na niego z długim zakrzywionym nożem wymierzonym w jego brzuch. Jeffrey chwycił za nóż noszony przy nadgarstku i uderzył dwukrotnie z szaloną siłą, aż mężczyzna w szacie osunął się, opierając o tylną ścianę okopu. Jeffrey wbił mu lufę pistoletu w brzuch i pociągnął dwa razy za spust.

Kątem oka Jeffrey dostrzegł, jak łopata do okopywania Henriego wlatuje raz po raz niczym siekiera. Uderzenia wywoływały miękkie, kleiste odgłosy z chrupnięciami w tle.

- *Cochon* - wydyszał Unionista. - *Morri, batard...*

- *On jest martwy* - powiedział Jeffrey. Henri się obrócił z uniesioną łopatą, a potem ją opuścił. - *A teraz się stąd wynośmy.*

Siła ognia słabła, lecz w górze wzbijał się przenikliwy wrzask Errifańczyków - oraz inne głosy, wrzeszczące w agonii. Wyspiarze lubili zbierać pamiątki.

- *Ty idź zaprowadzić porządek* - powiedział Henri. - *Ja obsadzę ten karabin. Ty rób swoją robotę, a ja zrobię...*

- *Jezus Chrystus na statku kosmicznym nie potrafiłby tu zaprowadzić porządku* - stwierdził Jeffrey. - *Ruszajmy. To nie będzie ostatnia bitwa.*

Henri wpatrywał się w niego przez chwilę, z wyrazem twarzy nie do odczytania w ciemnościach. - *Bon* - powiedział w końcu. - *Voyons.*



## Rozdział siedemnasty

- Nic do zameldowania, nic do zameldowania, nic, *kurwa*, do zameldowania, uziemileś mnie tutaj na trzy cholerne miesiące.

Gerta wychyliła kieliszek dżinu bananowego i popiła go łykiem piwa, rozkoszując się paląco-chłodnym kontrastem smaków. Miejsce to było niegdyś kamienicą wielmoży, zanim Wybrańcy zajęli Ciano a wraz z nim Imperium, czyniąc z niego połączoną z klubem kwaterę dla będących przejazdem oficerów. Gerta z mężem siedzieli na tarasie oddzielonym od ulicy kawałkiem przyciętej trawy i niskim murkiem z pobielonych cegieł. Było gorące, późne lato, lecz o tej porze w Krainie panowała tylko lepka wilgotność, tu zaś mieli nad głowami markizę. Gerta sięgnęła ponuro po kolejną kanapkę z kurczakiem, sałatą i pomidorem. Przynajmniej nie było to nadgniłe końskie mięso, a ona pozbyła się wszy.

- A gdyby mnie tam nie było, to z tej ukochanej akademii Liberta nie zostałyby nic poza cholerną dziurą w ziemi - powiedziała. - Ten kretyński żabojad, który tam rzekomo dowodził, nie pamiętał nawet o tak podstawowych sztuczkach jak wystawianie talerzy z wodą w piwnicy, aby wykrywać wibracje, gdyby saperzy próbowali zrobić wykop pod murami. A ja prawie że musiałam wsadzić mu nóż w dupę, żeby mnie posłuchał.

- Słyszałem jednak, że zrobiło się ciekawie - powiedział Heinrich. - To zakładanie kontrmin.

- Zbyt ciekawie - rzuciła sucho Gerta, przypominając sobie.

Zimna, mokra ciemność, woda przesączająca się przez mundur na brzuchu. Zczołgiwanie się w dół było niczym odwrócenie procesu narodzin, a potem ziemia

krusząca się przed nią, spadająca do nieprzyjacielskiego tunelu, uderzająca o drewnianą podpórę. I rozdziawione usta mężczyzny w słabym świetle latami, gdy uniosła automat...

- Dlaczego to trwało tak długo? - spytała znowu.

- Cóż, to ty uważałaś za słuszne „metodyczne” podejście Liberta - rzekł spokojnie Heinrich. Mężczyzna zapalił fajkę i wydmuchnął pierścień dymu ku niebu, przyglądając się, jak przechodzą przez niego sylwetki sterowców zmierzających na lądowisko. - Zabrało to tyle czasu, bo za każdym razem, gdy zajęliśmy wioskę, zatrzymywaliśmy się, żeby wystrzelać wszystkich podejrzanych, a potem wszystkich, których wyniuchała policja Liberta. Później czekaliśmy, aż Libert wyznaczy ludzi, począwszy od burmistrza po inspektora kanalizacji. Później sprawdzał, czy wszystko idzie gładko.

- Zostaliście też zatrzymani pod Unionvil, jakby wam przymroziło dupska - stwierdziła Gerta. - I to przez *Imperialnych*.

- Przez Brygady Wolności - poprawił ją Heinrich, zamknął zużyte cynowe wieczko swojej fajki w kształcie litery S i sięgnął po kanapkę. - Przez imperialnych uciekinierów, Santanderczyków i ich oficerów, jakichś Sierran. Cholernie dobry sprzęt, ale takie sobie wyszkolenie. Za to mnóstwo entuzjazmu.

- No i co z tym zrobimy? - chciała wiedzieć Gerta. - Odkąd wróciłam, pracuję jako oficer łącznikowy w wydziale bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Do tej gry potrzeba dwojga - powiedział zadowolony Heinrich. - Dlatego tutaj wróciłem. Zgłosimy się na „ochotnika”...

*Pop*

Paskudny trzask, który dobiegł od strony chodnika na zewnątrz był prawie niesłyszalny w hałasie ulicznego ruchu. Gerta podniosła się z krzesła i jednym potężnym susem znalazła się w połowie trawnika. Heinrich był zbyt potężnym mężczyzną, by poruszać się z takim wdziękiem, lecz zaraz znalazł się dwa kroki za nią i razem przeskoczyli murek, lądując z wydobytymi automatami i patrząc w przeciwną stronę.

Jakaś kobieta podbiegła do Gerty, oglądając się przez ramię. Odbiła się od niej, jakby wpadła na ścianę. Gerta pochwyciła ją i walnęła dwukrotnie, uderzając z kliniczną precyzją. Coś zadzwoniło metalicznie i imperialna protegowana osunęła się na ceglany chodnik. Jej twarz zrobiła się czerwona, gdy z trudem wciągała oddech sparaliżowaną przeponą. Znajdujący się za nią gęsty tłum rozproszył się jak rtęć na

suchym lodzie, pozostawiając jakiegoś oficera Wybrańców leżącego twarzą do dołu. Mężczyzna próbował uparcie czołgać się do przodu, gdy Heinrich się nad nim pochylał.

- Nie ruszaj się - powiedział. Rozkaz przebił się przez mgłę bólu. Heinrich przeciął materiał i zwinął go, robiąc bandaż uciskowy. - Rana od kuli, na lewo od kręgosłupa, w dole pod żebrami. Wygląda paskudnie.

Podeszła Gerta z nozdrzami lekko rozdętymi, wdychając metaliczny zapach krwi. Nie było smrodu odchodów, zatem jelita nie zostały naruszone, ale w tej części ciała i tak było wiele ważnych organów i wielkich naczyń krwionośnych. Gerta jedną ręką ciągnęła protegowaną kobietę za kostkę, trzymając w drugiej jakiś przedmiot.

Heinrich spojrział na to i niemal się roześmiał. Przedmiot przypominał narysowany przez dziecko pistolet - krótka lufa, drucziana pętla zamiast rękojeści i kolejny kawałek drutu działający jak sprężyna wbijająca młoteczek w jeden znajdujący się w środku nabój.

- Co to za broń? - spytał.

- To nie jest broń, lecz narzędzie zabójcy. Jeden strzał i go wyrzucasz. Nadaje się do zabicia nadzorcy albo jednego z *nas* na zatłoczonej ulicy.

Wyraz twarzy Heinricha zmienił się w maskę. Po chwili mężczyzna powiedział: - Nie sądziłem, że Santanderczycy wymyślą coś takiego.

- Są paskudni, jak już się za coś zabiorą - stwierdziła Gerta. - Znajdujemy coraz więcej takich. Problemem jest prześledzenie łańcuszka kontaktów. To bydlę może nam coś powie.

- Rzeczywiście.

Podnieśli wzrok. Przybył lekarz wraz z dwoma urodzonymi w Krainie protegowanymi asystentami oraz mężczyzna w cywilnym ubraniu. Długi skórzany płaszcz mógłby równie dobrze być mundurem: Czwarte Biuro.

- Szybko - rzuciła neutralnie Gerta. *Nie jest to dobry moment na kolejną sprzeczkę wewnątrz Rady*, powiedziała sobie. To ich działka.

- Nie dość szybko. Mieliśmy pewne informacje, lecz niedostateczne.

Kobieta odzyskała oddech na tyle, że rozpoznała, kto nad nią stoi. Próbowała się odczołgać. Krzyknęła, gdy mężczyzna nastąpił jej na rękę.

Krzyk przeszedł w skamlenie, gdy mężczyzna przykląkł przy niej i wyciągnął coś - połączony metal przypominający ginekologiczny wziernik, lecz z zębatymi zaciskami na końcu. Gerta rozpoznała go. Było to narzędzie do przesłuchań, skonstruowane tak,

by wsunąć je do pochwy przeszłuchiwanej, zacisnąć na macicy i wyrwać ją jednym silnym pociągnięciem.

- A teraz, moja droga, chciałbym zadać ci parę pytań - rzekł mężczyzna z tajnej policji. - A ty chciałabyś uniknąć bólu... a możesz odczuwać *dużo* bólu. - Jego ręka zacisnęła się na jej szczęce. - Nie, nie możesz sobie odgryźć języka. Jeszcze nie.

Specjaliści zatamowali krwawienie u rannego mężczyzny, ustawili kroplówkę z solą fizjologiczną i zaczęli układać go na noszach. Podjechał nieoznaczony policyjny samochód. Kobiecie podano narkotyk w zastrzyku i wrzucono ją do drucianej klatki z tyłu pojazdu.

- Na Boga, powrót do walki w Unii wydaje się być coraz lepszym pomysłem - powiedział Heinrich.

Gerta spojrzała ponuro na plamą krwi na wyludnionym chodniku. - Coraz lepiej, ale do czego to prowadzi?

- Wygramy, oczywiście.

- Tutaj też wygraliśmy.

Heinrich się zawahał. - Wiesz, masz rację. - Wzruszył ramionami. - To Santanderczycy stoją za tym wszystkim. Jeśli ich wykończymy, pacyfikacja zakończy się powodzeniem.

\* \* \*

- No dalej, kochanieńki, uda ci się - wymruczał Jeffrey.

Walka powietrzna przeniosła się w pasmo chmur na zachodzie. Widział jedynie dwa pióropusze dymu unoszące się z ziemi, gdzie zapewne spadły oba samoloty. Silnik znowu się zakrztusił, a przerwa w jego regularnym warkocie sprawiła, że podobnie podskoczyło jego własne serce. Samolot pochylił się łagodnie nad ziemią zrytą zygzakiem okopów, które przechodziły w węzły bastionów i bunkrów w zrujnowanych uniwersyteckich budynkach zaraz na południe od Unionvil. Nawet teraz wzdrygał się lekko na ich widok. Toczone tam zimą walki, mające na celu powstrzymanie ostatniej ofensywy nacjonalistów na samych przedmieściach stolicy były okropne.

- No dalej - powiedział znowu.

Kawałki materiału zwisały z okapotowania i górnego skrzydła jego Jastrzębia Wolności II, odrywając się, gdy strumień zaśmigłowy wdierał się w dziury po kulach. To nie było jego głównym zmartwieniem. W Marku I czasami zrywało się całe poszycie

skrzydła w warunkach takich jak te, sprawiając, że reszta kadłuba miała aerodynamikę spadającej cegły, lecz nowy model był mocniejszy. *Naprawdę* nie podobał mu się odgłos, jaki wydawał silnik. Powoli, ostrożnie, obrócił mały myśliwiec i zaczął schodzić ku lądowisku. Jeszcze tylko mila albo dwie...

Silnik zakrzuszył się znowu i zamilkł. - Cholera - rzucił z rezygnacją i pociągnął za języczek, żeby odciąć dopływ paliwa. A potem: *Cholera!* - gdy spojrział w dół i zobaczył zwiększającą się kałużę benzyny na podłodze kokpitu. - *Nie znoszę*, kiedy dzieje się coś takiego!

>>Pamiętaj, żeby napisać do drużyny konstruktorskiej<< przypomniał mu Raj. Gdyby to było Centrum, zrozumiałby to dosłownie...

Kilka czarnych obłoczków przeciwlotniczego ognia wykwitło dokoła niego. Swoi, ale te strzały były równie niebezpieczne co nieprzyjacielskie. Urwały się. Ktoś musiał zauważyć czerwono-biało-niebieskie koła na skrzydłach, symbol Służb Lotniczych Brygad Wolności. A potem, za niskim wzniesieniem, którego grzbiet znajdował się nieprzyjemnie blisko stałego podwozia, pojawił się znak X lądowiska. Jeffrey skupił się na linii wapienia biegnącej przez środek utwardzonej ziemi pasa startowego, ignorując wyjeżdżającą mu na spotkanie ciężarówkę awaryjną, z ludźmi zwisającymi po bokach i stojącymi na stopniu nadwozia. Śledził go pompom osadzony w okrągłym dole na skraju pasa startowego. Przez wodną osłonę jego podwójna, sześćofuntowa lufa wyglądała, jakby ją wzdęło. Przynajmniej ta grupka miała oczy otwarte - trudno było wziąć pojedynczy myśliwiec projektu Santander z nieruchomym śmigłem za grupę szturmową Wybrańców lub nacjonalistów, lecz od czasu do czasu udawało się to załodze ze zbyt bujną wyobraźnią.

Niżej. Niżej. Wiatr świstał między drutami i rozporami, powiewając jego szalikiem. Niżej... *kontakt*. Twarde obręcze kół dotknęły ziemi, wzbudzając tuman ziemi i żwiru, dotknęły jeszcze raz i samolot wylądował ze stukoczącym łupnięciem. Pozbawiony silnika samolot zwolnił, zatrzymując się gwałtownie. Jeffrey odpiął pasy i zeskoczył na niższe skrzydło, a potem na ziemię, oddalając się tak szybko, jak na to pozwalał ciężar spadochronu i podbitego barankiem skórzanego kombinezonu.

- Kurwa *mać!* - krzyknął, ciskając na ziemię skórzany kask i gogle, a następnie spadochron.

- W porządku?

Był to jeden z braci Wong. Jeffrey napadł na niego, - Przerwywacz nadal nie działa dobrze - powiedział, gdy załoga z awaryjnej ciężarówki stłoczyła się dokoła Jastrzębia,

z gaśnicami w gotowości. - *Obydwa* moje karabiny się zacięły, co wystawiło mnie jak kaczką na strzał. A przewody paliwowe wciąż przeciekają do kokpitu pilota, gdy zbiornik integralny zostaje odcięty - czy macie, kurwa, pojęcie, jak to wpływa na morale pilota?

Won wykonał uspokajające gesty rękoma. - Jak tylko dostaniemy więcej gumy, możemy zrobić samouszczelniający się zbiornik - powiedział.

Jeffrey prychnął. Kraina miała u siebie wszelką gumę rosnącą naturalnie na Visager. Jedynymi miejscami, gdzie rosły rośliny dostarczające gumy, była sama Kraina i najbardziej na północ wysunięty przylądek dawnego Imperium. Fabryki Johna dopiero zaczynały cienką strużką produkować wytwarzaną z ropy syntetyczną gumę, ale była ona strasznie droga. Nie ulegało wątpliwości, że Kraina odetnie natychmiast źródło naturalnej gumy w chwilę po tym, jak ich niesamowicie skuteczni szpiedzy dowiedzą się, że Santander wykorzystuje ją do celów wojskowych.

*Zwariowana wojna*, pomyślał. Walczymy tutaj w Unii, ale wszyscy jesteśmy „ochotnikami” i normalny handel wciąż ma miejsce.

- A najnowszy myśliwiec Krainy i tak jest lepszy niż nasz.

- Trójpłatowiec? - zapytał z zainteresowaniem Wong.

- Tak, Podniebny Rekin. Jest prawie tak szybki jak nasz Mark II i ma lepszy promień prawego skreću.

Wong wyjął notatnik i zaczął zapisywać, gdy szli z powrotem do kwatery głównej eskadry. Za nimi załoga uwiązała samolot i zaciągnęła ku hangarowi i nasypom ochronnym. Sześciu ludzi szło z tyłu, podtrzymując skrzydła, by aeroplan zachował równowagę. Jakaś grupka czekała na Jeffreya.

- Nie powinienes się tak narażać, generale Farr - powiedział generał Pierre Gerard.

- Musisz być naprawdę wkurzony, Pierre. Nigdy mnie tak nie nazywałeś.

Oficer lojalistów wzruszył ramionami, był to gest bardzo w stylu unijnym. - A mimo to, to prawda. I ktoś musiał ci to powiedzieć.

*Ty, John, moja żona i moich dwóch niewidzialnych przyjaciół*, pomyślał Jeffrey. *A ja nie mogę się nigdy uwolnić od tej dwójki.*

- Muszę mieć prawdziwe doświadczenie, aby pracować skutecznie z projektantami - powiedział, oglądając się przez ramię na Wonga. Mały inżynier i były wytwórca rowerów oddalał się truchtem, aby zerknąć na wystrzałowego Marka II. - Także po to, aby pomóc w uczeniu zasad taktyki w szkołach dla pilotów. Wysyłamy ich

w górę po niecałych trzydziestu godzinach lotu, więc przynajmniej powinniśmy uczyć ich *odpowiednich* rzeczy.

Weszli do kwatery głównej - pustej, prowizorycznej budowli z desek i bali dwa na cztery cale. John ściągnął kombinezon lotniczy, drżąc lekko, gdy chłodne, wiosenne powietrze środkowego płaskowyzu uderzyło w przemokły od potu materiał letniego munduru.

- Jaka *jest* twoja ocena? - spytał Gerard.

- Wróg ma więcej samolotów, i to lepszych niż my - rzekł Jeffrey, siadając i odbierając kawę, którą przyniósł ordynans. Kawa była kolejną rzeczą, jakiej będzie im brakowało, jeśli - kiedy - zostanie zerwany handel z Krainą. - I lepszych pilotów, bardziej doświadczonych. Jeśli to jakieś pocieszenie, to my poprawiamy się prędzej niż oni, ale zaczynamy z niższej pozycji.

Gerard zmarszczył brwi, spoglądając na rozłożone na stole ręce. - Mój przyjacielu, to złe nowiny. Choć może rząd posłucha teraz, gdy im powiem, że ofensywa na wschodnim froncie jest złym pomysłem.

Jeffrey zatrzymał filiżankę kawy w połowie drogi do ust. - Wciąż to forsują? - spytał z niedowierzaniem.

- I ogołocą każdą inną linię frontu z ludzi, karabinów i samolotów - powiedział. - Komitet mówi o odzyskaniu Marsai i rozbiciu strefy buntowników na pół.

- Komitet ma głowę w kolektywnym tyłku - stwierdził Jeffrey. Głowa Gerarda obróciła się. *To nie fair*, zganił się Jeffrey.

*On* mógł to powiedzieć. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego nie ma władzy nad członkami Brygad, od początku na to nalegali. Gerard cieszył się wielkimi względami po tym, jak przyczynił się do powstrzymania natarcia Liberta na stolicę w pierwszych miesiącach wojny, lecz mimo to nie należało nadużywać imienia Komitetu nadaremno. Przewodniczący Vincen zdawał się myśleć, że jeśli stanie się gorszym łajdakiem niż Libert i Wybrańcy, to *pobije* Liberta i Wybrańców. Niekoniecznie tak właśnie się działo, ale zdesperowani ludzie nie są najlepszymi logikami.

Gerard odchrząknął. - Będzie jeszcze trudniej, jeśli w dalszym ciągu będą używać do woli sterowców z Krainy przy przewożeniu żołnierzy i zapasów za swoimi liniami.

- Mogą to robić tak długo, dopóki nie pozwolą przebić się naszym samolotom - powiedział Jeffrey. - Te worki z gazem są świetnymi celami dla myśliwców, ale nie mamy ich tylu ani o takim zasięgu, żeby przedrzeć się przez osłonę ich własnych myśliwców.

Przypominająca buldoga twarz Gerarda wydłużyła się. - Zatem będą w stanie poruszać się szybciej, niż ja będę w stanie - jakiego to określenia użyłeś?

Jeffrey westchnął. - Będą mogli się dostać do twojej krzywej decyzyjnej. Mam tylko nadzieję, że w rodzinnych stronach sprawy mają się lepiej.

\* \* \*

Admirał Arthur Cunningham był dużym, przysadzistym mężczyzną o siwiejących blond włosach. W tej chwili jego twarz i bycza szyja robiły się czerwone od dławiącej go wściekłości. Admirał pociągał za swoje rozszerzające się wąsiska, wpatrując się w stojący na środku błyszczącego hebanowego stołu model statku.

Model miał kadłub statku kupieckiego - osiem tysięcy ton ładowności, do masowych przewozów. Takim typem posługiwano się do przewożenia rudy manganu z będących pod protektoratem Santander Południowych Wysp. Góra pokładu została odcięta i zastąpiona podłużną, płaską, prostokątną powierzchnią. Kominy sięgały wyspy na lewej burcie, a inna część pokładu zjeżdżała w dół jak winda, ukazując szereg dwupłatowców w ogromnej ładowni pod pokładem.

- To jest wynaturzenie - powiedział Cunningham.

- To jest to, czego potrzebujemy do przeprowadzania zwiadu - poprawił go Maurice Farr.

Obwódki na rękawach i naramiennych epoletach wskazywały, iż Farr jest kontradmirałem i zmuszały Cunninghama do zachowywania pozorów szacunku. Nikt jednak nie mógł się pomylić co do wyrazu jego twarzy ani spojrzenia, jakim obrzucił Johna Hostena, który usiadł obok swego ojca;

- Farr, jestem zaskoczony. Spodziewam się takiego zachowania po politykach. - Sądząc po jego tonie, spodziewał się też po nich, iż będą odbywali stosunki seksualne z owcami. - Jesteś człowiekiem marynarki i synem człowieka marynarki. Dlaczego to robisz?

- My *pracujemy* dla polityków, Cunningham. Jest taka drobna rzecz zwana konstytucją, która mniej więcej mówi nam to. A w tym przypadku politycy mają rację. Potrzebujemy lotniczego zwiadu, jeśli mamy dorównać flocie Krainy. Inaczej będą mogli wodzić nas za nos jak zakolczykowanego byka.

- Potrzebujemy samolotów z porządnym zasięgiem na otwartym morzu, a nie latających zabawek na tym wypaczonym niby-statku! - powiedział Cunningham głosem wznoszącym się w ryku, a jego pięść sprawiła, że zabrzączały filizanki.



John się odezwał: - Próbowaliśmy, admirale Cunningham. Proszę.

Wyciągnął z koperty błyszczące fotografie i przesunął je po stole. - Proszę zobaczyć rezultaty.

W szkielecie rozciągniętym na zboczu wzgórza dało się rozpoznać sterowiec po pożarze.

- Kraina jest o wiele bardziej zaawansowana od nas, jeśli chodzi o aerostaty [Statek powietrzny, sterowiec, lżejszy od powietrza, unoszący się na zasadzie prawa Archimedesesa. [Przypis tłum.]]. Mają diesle, projekt kadłuba, a przede wszystkim mnóstwo doświadczonych drużyn konstruktorskich i załóg. Nie możemy im dorównać, nie przy możliwych do przyjęcia kosztach, nie przy tym wszystkim, co staramy się zrobić. A samoloty z lądowych baz po prostu nie mają zasięgu, aby zapewnić osłonę i rekonesans flocie na morzu. Stąd też, potrzebujemy... lotniskowców, jak je nazywamy.

- Masz na myśli, że twoje stocznie potrzebują kontraktów - rzekł bez ogródek Cunningham. - Farr, to odciąga środki od dużych okrętów wojennych.

Farr potrząsnął głową. - Słuchaj, Arthurze, wiesz bardzo dobrze, że wąskim gardłem są tutaj ciężkie działa i możliwość wytwarzania płyt pancernych.

Cunningham podniósł się i założył swoją wykończoną złotem czapkę. - Proszę o wybaczenie, panie...

- Admirale Cunningham, *siadaj!* - warknął Farr.

Po chwili walki woli na gniewne spojrzenia, mężczyzna posłuchał. - Admirale Cunningham, twoje obiekcje zostały odnotowane. Będiesz teraz w pełni współpracował we wprowadzeniu w życie decyzji ministra marynarki i sztabu albo natychmiast podasz się do dymisji. *Czy to jasne?*

W dwadzieścia minut później John Hosten rozparł się na krześle, potrząsając głową, spoglądając na drzwi, których Cunningham starannie za sobą *nie zatrzasnął*.

- Mam nadzieję, że nie ma wielu takich jak on, tato - powiedział.

Maurice Farr westchnął. Jego krótko przycięte włosy i wąsy były teraz siwe, lecz wyglądał równie dobrze jak wtedy, gdy stał w dokach Składania Przysięgi dwadzieścia lat temu.

- Obawiam się, że jest ich całkiem sporo - powiedział. - Wielu oficerów jest przekonanych, że politycy wymuszają to na marynarce - i to politycy ze wschodnich wyżyn i ich przyjaciele-przemysłowcy. - Uśmiechnął się. - Mają rację, prawda?

- Ale - zaczął John, a potem dostrzegł wyraz oczu przybranego ojca. - Wciąż

potrafisz mnie nakreślić, prawda?

Farr się roześmiał. - Bierzesz wszystko trochę za bardzo na serio, synu - powiedział. - Nie martw się. Artie Cunningham wolałby zjeść swoje dziecko, niż pójść do dymisji przed pierwszą wielką morską bitwą od pokolenia. Jeśli będzie musiał to przelknąć - skinął głową ku modelowi lotniskowca wypełniającemu środek wielkiego stołu - to przelknie, kosztem ciężkich okrętów wojennych.

Farr zapalił papierosa. - On nie jest głupi, tylko po prostu wyspecjalizowany - ciągnął dalej. - Rozumiem go. Ja sam jestem żeglarzem przywiązany do armat i pancernych płyt. Ale nie lubię działać po omacku. - Popatrzył na model. - *Naprawdę mam nadzieję, że ten pomysł się sprawdzi, jak mówicie z Jeffreyem. Na papierze wygląda rzeczywiście dobrze, ale ja nie lubię zamawiać rzeczy prosto z deski kreślarskiej.*

- Tato, jestem pewien, jakbym sam widział, jak toczą bitwy. >>Pearl Harbor<< powiedziało usłudze Centrum. >>Pościg za Bismarckiem. Taranto. Midway...<<

*Świetnie, tylko jak powiem o tym tacie?* - odparł John. I pośpiesznie dodał: *To było pytanie retoryczne.*

Maurice Farr wstał i zaczął wkładać papiery do teczki. - Nie ma chwili wytchnienia. Muszę wracać do kwatery głównej i znosić więcej tego pitolenia. Boże, do dowództwa floty.

- Sądzę, że już niedługo, tato - powiedział John.

W dłuższą chwilę po tym, jak wyszedł jego przybrany ojciec, John usłyszał, jak otwierają się drzwi za nim.

- Wzruszające - odezwał się głos w krajowym.

- Po angielsku - rzucił ostro John. - Wymiana.

- Och, tak.

Mężczyzna - ubrany w cywilne ubranie z Santander, z krawatem noszącym symbol znanego klubu jachtowego - podszedł i usiadł niedaleko Johna. Spojrzał na duplikat zestawu fotografii wraku sterowca.

- Czym to było spowodowane?

- Model był przeciążony i nie miał dość mocy. Wyjęli fragment pośrodku i zwiększyli go, żeby zmieścić dodatkowy zbiornik z gazem. Zbiornik ocierał się o śruby we wnętrzu i mieli straszne kłopoty z przeciekami. Pewnie rozbili go w ciemności o to wzgórze, a może był pożar od wyładowań atmosferycznych, albo jedno i drugie.

- Niechlujstwo - rzekł oficer Wybrańców, chowając zdjęcia. Skinął głową ku

modelowi lotniskowca. - Czy to będzie działać?

- Zapewne, na swój sposób. Wiesz, nie mogę odrzucać *wszystkich* dobrych pomysłów i jednocześnie zachować moje stanowisko w przemyśle wojskowym i obronnym.

- Zaiste.

- Myślę też, że będziemy musieli je zbudować. Sterówce są narażone na atak pościgowych aerodyn.

- Może - powiedział oficer wywiadu. - A może nie.

\* \* \*

- Prosto i wyrównać, prosto i wyrównać, niech diabli wezmą wasze oczy - powiedział Horst Raske tonem najbliższym modlitwie, na jaki mógł się zdobyć jeden z Wybrańców.

Mostek *Szarego Tygrysa* wibrował, delikatnie, mimo wprawnych rąk spoczywających na kołach sterowych i urządzeniach sterujących ustawionych w kształcie litery U. Przez rozległe półkole okna widzieli przypominającą łzę sylwetkę eksperymentalnego powietrznego lotniskowca *Orka*, drgającego w powietrzu nad środkowym płaskowyżem Krainy, sto mil na północ od Kopernika. Jednostka była ogromna, miała prawie tysiąc stóp od dziobu po rufę, z pięknymi ukośnymi statecznikami z tyłu w kształcie X. Jej gładki kadłub z aluminiowych płyt oznaczał, iż był to jeden z nowszych modeli, pokryty metalem.

Pod nim kolejny mały, dwupłatowy myśliwiec przygotowywał się do drugiego podejścia. Samolot najpierw zrównał się prędkością ze sterowcem, a potem ruszył w górę. Dwupłatowiec miał mocną, metalową pętlę przymocowaną do wyższego skrzydła, a spod brzucha sterowca zwisał mechanizm z długim hakiem w kształcie trapezu. Myśliwcem zakołysało i przechylił się, unosząc ku ogromnemu sterowcowi, a potem znowu, gdy wpadł w strumień powietrza wydobywający się z sześciu ryczących, wysokoobrotowych silników diesla. Samolot wzniósł się ostro, a obserwatorzy na mostku *Szarego Tygrysa* wciągnęli oddech, pewni, że ten walnie w cienki szkielet brzucha sterowca.

Zamiast tego ustawił się nosem ku górze, prawie się zatrzymując, a potem wsunął się na hak. Lina spowodowała zatrzaśnięcie się mechanizmu, który przesunął się gładko do tyłu. Samolocik obracał się i szarpał na hakowo-pierścieniowym zawieszeniu. Unoszenie skończyło się, gdy dwupłatowiec znalazł się tuż pod

przeznaczonym dla niego włazem.

- Co? - odezwał się dyrektor, profesor Gunter Porschmidt swoim zwyczajnym, raptownym, lekko rozgniewanym tonem. Niektórzy z ubranych w białe fartuchy asystentów znajdujących się wokół niego odsunęli się trochę. - Co? Czego oni chcą?

Gerta Hosten odpowiedziała. - Bo, *Herr Professor*, samolot zmieści się we włazie, jeśli ustawi się równo ze stępką sterowca... a trudno jest tak się ustawić, gdy leci się z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

Porschmidt spojrział na nią, mrugając. - Och, tak, tak, zapiszcie to. - Jeden z asystentów zapisał pospiesznie.

Małeńkie ludziki na sznurach wyskoczyły z brzucha sterowca. Postacie z trudem przyczepiły wielokrążek do skrzydeł i korpusu dwupłatowca i trapez ponownie podciągnął go do góry. Przy drugiej próbie - przy pierwszej skrzydło uderzyło o krawędź włazu - udało im się go przepchnąć. Porschmidt rozpromienił się, a od urzędników z Rady ds. Badań stojących za nim dobiegł dyskretny pomruk podziwu.

- Dobrze, dobrze - stwierdził główny uczony. - Ale może powinniśmy przydzielić lepszemu pilotowi do następnej serii testów?

- Pilotem jest Eva Sommers - powiedziała Gerta. - Jej reakcje odruchowe były w pierwszej dziesiątce najlepszych zanotowanych w próbie życia. Ma ona na swoim koncie piętnaście straceń w wojnie z Unią i jest obecnie najlepszym pilotem oblatywaczem Rady Lotniczej.

- Och. - Porschmidt wzruszył ramionami. - Cóż, celem testów operacyjnych jest ulepszenie produktu.

- *Herr Professor?*

- Tak?

- Choć jest to niewątpliwie wielkie techniczne osiągnięcie - powiedziała Gerta - to biorąc pod uwagę obecne problemy z kontrolą jakości, czy nie uważasz...

Machnął z lekceważeniem ręką. - Rada Wybrańców nakazała mi zaprojektować maszynę, która da nam większą zdolność wykonywania lotniczego rekonesansu, niż mają nieprzyjacielskie samoloty przewożone na statkach. Produkcja to nie moja działka.

Horst Raske czekał, aż opuścili mostek, zanim przyłożył rękę do czoła i westchnął.

- Cóż, jedna rzecz została udowodniona ponad wszelką wątpliwość - rzekła Gerta, przyglądając się, jak *Orka* zawraca.

- Co takiego?

- Że Wybrańcy są wciąż najlepszymi wytwórcami zabawek na Visager - dodała.

- Brygadierze, nie sądzę, aby to było zabawne.

- Bo nie jest. Porschmidt wylatujący przez właz bez spadochronu na sześciu tysiącach stóp, *to* byłoby zabawne!

- Gdyby tylko ten człowiek był niekompetentny!

- Gdyby był niekompetentny, to nie przeszedłby próby życia - powiedziała Gerta. - Niestety, nie stanowi to gwarancji, że on się nie myli, jedynie gwarancję, że będzie miał wiarygodne, świetne pomysły, które brzmią cudownie, lecz od realizacji dzieli je ten jeden, nie dający się pokonać cał.

Raske się wzdrygnął. - Mam nadzieję, że niektóre jego pomysły sprawdzą się lepiej niż *ten*. - Skinął głową ku znikającemu sterowcowi. - Gdy pomyślę o konwencjonalnych modelach, jakie moglibyśmy zrobić za te same pieniądze i przy pomocy tej samej wyszkolonej siły roboczej... masz rację, kontrola jakości strasznie się pogorszyła.

- Całkowite marnotrawstwo. - Gerta przerwała, uświadamiając sobie coś. - Zaczekaj no chwilę. Problemem są turbulencje wynikające z ruchu kadłuba, tak?

Raske spojrział na nią. - Tak. Rozumiem, że tego się nie da wyeliminować. Sterowiec po prostu odpycha na bok dużo powietrza.

- Ale pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp niżej problem jest mniejszy?

- Oczywiście, ale nie można zamontować mechanizmu zaczepnego *tak* nisko. Działanie dźwigni odłamałoby go przy pierwszym obciążeniu.

- Tak, ale dlaczego chcemy wciągać statek do ładowni sterowca?

Zaczęła mówić. Raske słuchał, a jego twarz powoli traciła smętny wyraz.

- Dlaczego Porschmidt nie może mieć takich pomysłów? - spytał.

- Och, niektóre z wytworów Porschmidta działają dobrze, lepiej, niż można się spodziewać - powiedziała Gerta i uśmiechnęła się. - Jak się o tym wkrótce przekonają nasi przyjaciele na południu.

## Rozdział osiemnasty

- Bardzo się to różni od początków wojny, *n'est pas?* - stwierdził z melancholijną dumą generał Gerard.

Wielu żołnierzy truchtających po bokach pylistej drogi wznosiło radosne okrzyki, gdy wymijał ich samochód wiozący Gerarda i Jeffreya. Na tym froncie większość stanowili Unioniści, a nie Brygady Wolności, więc zapewne wiwatowali na cześć lokalnego oficera - choć Jeffrey też był popularny.

*Sprawują się coraz lepiej*, pomyślał Jeffrey. Po pierwsze, wszyscy byli w mundurach i prawie każdy miał na sobie zwykły, stalowy hełm w kształcie misy, a koło siebie sprzęt zgodny z tabelą organizacji i ekwipunku. A co ważniejsze, posuwali się zwartymi grupami. Nie plątali się ani nie rozpraszały na wiejskich obszarach. Piechota maszerowała po obu stronach, a w środku jechały ciągnięte przez konie działa, zaprzężone w muły wozy i karetki oraz sporo wykonanych w Santander ciężarówek - Ferrinów i wielkich, kanciastych Appelthwaitów. Od czasu do czasu w górze przelatywał samolot, przyciągając tylko parę zaciekawionych spojrzeń. Ludzie już przywykli do tego, że mają własne lotnictwo.

W powietrzu wisiał pył i ciężki smród zwierzęcych odchodów oraz benzyny, towarzyszący przemieszczającemu się wojsku. Wokół nich rozciągał się w całej pofałdowanej okazałości centralny płaskowyż, a ośnieżone szczyty Monts du Nord wyrastały na północno-wschodnim horyzoncie. Zboże, z pól już dawno zebrano; pozostały wyschnięte żółte ścierniska na tle czerwono-żółtej ziemi, z unoszącym się znad nich tu i ówdzie pyłem. Szeroko rozrzucone winnice z rzędami winorośli wyglądających jak krzaczaste półkule pokrywały liczne zbocza wzgórz, a tu i ówdzie trafiał się gaj owocowych drzew lub dębów korkowych. Wszyscy ludzie mieszkali w

dużych, wioskowych skupiskach, wyglądających jak kupki rozsypanych kostek cukru z pobielonymi domami z wypalanej gliny, o płaskich dachach. Wieśniacy wylegli wiwatować na cześć armii lojalistów. Jeffrey podejrzewał, że rozsądek nakazywałby im równie głośno wiwatować na cześć nacjonalistów. Choć rząd był bardziej popularny niż zbuntowani generałowie, którzy przywozili z powrotem pociągami panów wszędzie tam, gdzie odzyskali panowanie, to antyklerykalna polityka Unionvil także nie była popularna poza miastami.

- Wygląda na to, że wszyscy spodziewają się, iż będzie to wojskowy piknik - powiedział Jeffrey, opierając się o tylne siedzenie wielkiego, sztabowego samochodu.

Był on oczywiście wykonany w Santander; model kupowany przez zamożnych ludzi albo przez bogate, prywatne szkoły. Sześciokołowy, z otwieranym dachem i dwoma rzędami wyłożonych skórą siedzeń z tyłu. Gerard kazał zastąpić oryginalne siedzenia węższymi i twardszymi oraz sprzętem łącznościowym i mapami, a także zamontować dwa ruchome karabiny maszynowe pomiędzy kabiną kierowcy a miejscami dla pasażerów. Henri Trudeau stał za uchwyty broni, uważnie przypatrując się niebu.

- Morale jest dobre - przyznał Gerard. - Ludzie wiedzą, że przez te ostatnie lata bardziej się wyrobili.

- Wykonałeś dobrą robotę - powiedział Jeffrey.

- Ty też, mój przyjacielu. Te sugestie dotyczące przyspieszonego szkolenia oficerów okazały się bardzo pomocne.

*Cuda dokonane w przeciągu dziewięćdziesięciu dni, dzięki uprzejmości Raja i Centrum*, pomyślał Jeffrey. Centrum miało *mnóstwo* zapisów dotyczących nagłych mobilizacji do wojny na wielką skalę.

- Cóż, walka to najlepszy sposób na wyłonienie potencjalnych przywódców - powiedział Jeffrey. - Jest to dość kosztowny proces selekcji, ale sprawdza się.

Henri odezwał się niespodzianie. - Sprawy nie układałyby się tak dobrze, gdybyś panie nie doprowadził od razu na początku do wybicia tych anarchistycznych *bastards*.

Gerard podniósł wzrok, uśmiechając się. Armia lojalistów była wciąż na swój sposób nieformalna. Jeffrey potrząsnął głową.

- Buntownicy zadali duże straty anarchistycznej milicji, to prawda - rzekł roztropnie. *Staję się politykiem tak jak John*, pomyślał. - Ale to przecież nie moja wina. Chcieli walczyć, a ja posłałem ich tam, gdzie mogli walczyć. Poza tym, byłeś z

nimi, Henri.

Żołnierz Unionistów wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Chciałem *wygrać*, panie. I dlatego od tamtej pory trzymam się ciebie. A oni, na swój sposób, stanowili cudowny przykład. Wszyscy mogli zobaczyć, co wynikło z ich pomysłów.

A potem uniósł głowę. - Uwaga! - Karabin maszynowy obrócił się na swojej ruchomej podstawie.

\* \* \*

- Słuchajcie, ludzie.

Wyznaczona grupa mających wspierać ofensywę oficerów Wybrańców stanęła na baczność w zielonym półmroku namiotu.

- Pułkownik Hosten jest przedstawicielem wywiadu wojskowego w tej operacji, a także naszym oficerem łącznikowym z siłami unijnymi nacjonalistów. Ona dokończy odprawę.

Gerta stanęła przed mapą. - Spocznij. Sytuacja jest następująca...

Mówiła przez dziesięć bitych minut, czasem odpowiadając na pytania. *Co za ulga*, pomyślała. Praca oficera łącznikowego była wyczerpująca. Cudzoziemcy paplali, nie wiedzieli, jak się skupić nad konkretną sprawą, robili dygresje. Wreszcie skończyła.

- A teraz, ruszajmy i *zabijajmy*.

- Inspirujące i pouczające - powiedział Heinrich. Podwójne gwiazdki generała na ramionach dobrze się prezentowały, wyróżniając się spośród hybrydowych mundurów Legionu Orła, „ochotniczych” sił Krainy walczących wraz z nacjonalistami.

- Pójdiesz, jak sadzę, zestawiać raporty?

Gerta się uśmiechnęła. - Cóż, Kopernik rzeczywiście domaga się szczegółowych raportów dotyczących tego, jak sprawuje się dwumiejscowy von Nelsing - powiedziała.

Heinrich wzruszył smętnie ramionami. - Czasami myślę, że cała ta wojna jest niczym więcej niż tylko laboratoryjnym eksperymentem - rzekł.

- Bo nim jest - powiedziała Gerta. - A także praktycznym szkoleniem.

- To prawda. - Zmarszczył brwi. - Problem w tym, że wróg też się uczy, a potrzebuje tego bardziej niż my. Stąd też przy jednakowym doświadczeniu oni korzystają bardziej. Jeśli grasz w szachy z dobrymi graczami, to robisz się dobry.

*Mój kochany Heinrichu, czasami jesteś szalenie spostrzegawczy*, pomyślała Gerta, wychodząc z namiotu i kierując się w stronę lądowiska.



Eskadra wyglądała na nieskazitelnie czystą i fabrycznie nową - nie podarty jeszcze rękaw lotniskowy i surowe sosnowe deski mesy. Wszystko oprócz pilotów. Oni wszyscy zostali przeniesieni ze wspomagających wojsko samolotów Albatros do nowych von Nelsingów. Gerta obeszła swoją maszynę, podziwiając. Kadłub był zrobiony z lekkiej sklejki, o konstrukcji skorupowej, przygotowywany fabrycznie w dwóch częściach, a potem złączony wzdłuż środkowego spojenia, o wiele mocniejszy niż stare fabryczne modele i niesamowicie prosty do wykonania, co było obecnie podstawą. Na niższych skrzydłach znajdowały się dwa silniki w osłonach, dając jednostce wyższy masowy wskaźnik mocy od myśliwca - była ona cięższa od samolotów pościgowych, ale nie dwukrotnie cięższa. Sześć chłodzonych powietrzem karabinów maszynowych wystawało ze spiczastego dziobu, a przy siedzeniu obserwatora zamontowano dwulufowe działko zwrócone ku tyłowi. Naziemna załoga złożona z protegowanych przyczepiała po cztery pięćdziesięciofuntowe bomby pod każdym ze skrzydeł, a potem pojawił się jednoręki Wybraniec-nadzorca, aby przeprowadzić inspekcję. Gerta sama dokonała starannego przeglądu samolotu. Ustanowili wielopoziomowy system kontroli, lecz opłacało się uważać, przy tych wszystkich nowych obozach pełnych deportowanych z Imperium, którzy wyrabiali podzespoły.

- Wszystko gotowe - rzekł beznamiętnie dowódca eskadry, salutując.

*A byłoby jeszcze bardziej gotowe, gdyby ta mądrała z kwatery głównej się tu nie szarogęsiła, dokończyła za niego Gerta. Nie miała mu tego za złe. Była mądrałą z kwatery głównej i szarogęsiła się bezwstydnie.*

Była także lepszym pilotem od znajdującej się tutaj młodzieży. Latała, odkąd Kraina po raz pierwszy wypuściła w niebo aerodyny.

- Zatem pokażmy, co te ptaszki potrafią - powiedziała. Protegowana-strzelec złożyła rękę na kształt strzemięcia, a Gerta wykorzystała to do wybicia się w górę i wskoczenia do kokpitu. Potem wyciągnęła rękę i pomogła drugiej kobiecie wspiąć się do samolotu. Ponad połowę załogi stanowiły kobiety - miały średnio niższą wagę ciała i lepszy refleks, a obydwie te rzeczy liczyły się w selekcyjnym teście. Ta wydawała się być całkiem kompetentna, choć nie była umysłowym olbrzymem. Jednak obserwator-strzelec potrzebował mieć jedynie dobry wzrok i szybkie ręce.

Pierwsze samoloty już kołowały, gdy Gerta dokończyła przegląd wedle spisu kontrolnego i dała znać naziemnej załodze, żeby wyciągnęła kliny przed opływowych kół. Ten wdrożony do produkcji model wydawał się być bardzo podobny do

prototypów, na jakich latała w rodzinnych stronach, lecz lotnisko znajdowało się na wysokości trzech tysięcy stóp, a nie na poziomie morza. Gerta naciągnęła gogle na oczy i ruszyła za członkami załogi naziemnej z flagami; kolejnych czterech złapało za ogon jej samolotu i uniosło go, obracając pod właściwym kątem. Ludzie trzymali samolot, walcząc z narastającym ciągiem silników, aż wyciągnęła rękę w górę i samolot skoczył do przodu.

*Dobre przyspieszenie*, stwierdziła. Doszło do pewnej przepychanki pomiędzy trzema firmami lotniczymi, dotyczącej wysokosprawnych silników występujących w niewystarczającej ilości. Niektórzy twierdzili, że marnowały się w samolotach współpracujących. *Sunie też bardziej gładko po ziemi*. Nowe amortyzatory olejowo-powietrzne zmniejszyły wstrząsy, których samolot normalnie doznawał przy starcie. Materiałowe poszycia skrzydła lekko się zmarszczyły, jak zawsze. *Muszą zobaczyć, jak idą te eksperymenty ze sztywnym poszyciem skrzydeł*. Teoretycznie nie było powodu, dla którego skrzydła nie mogły być ze sklejki nośnej opartej na ich szkieletach tak jak kadłub. To *naprawdę* przyspieszyłoby proces produkcji.

W górę. Popchnęła przepustnice do przodu i zamachała skrzydłami, aby sprawdzić wyważenie silników, a potem pomknęła w górę i zaczęła spoglądać w dół, na ziemię, uśmiechając się do siebie w uniesieniu. Nie było lepszej *zabawy* od misji bombardującej. Rzeka Eboreaux, miasteczko Selandrons... i nieregularna linia okopów. Nie porządny labirynt składający się z redut i linii komunikacyjnych jak w niektórych częściach frontu, po prostu okopy na polu. Błyski nieprzyjacielskiej artylerii wzdłuż i w poprzek tej linii - ich ofensywa zaczęła się dobrze, przedarła się przez cienką linię obrony i kierowała ku rzece.

Przed nią, niczym mapa widziana z sześciu tysięcy stóp, rozwijała się ziemia. Chłodne, ostre powietrze uderzyło ją w twarz, aż zapiekły ją policzki. Tu i ówdzie śladem eskadry podążały czarne obłoczki, gdy przerobione przeciwokrętowe szybkostrzelne działka, jakich Santanderczycy dostarczyli Czerwonym, otwierały ogień, a dziś w górze było dużo celów. Samoloty wlatywały z całej linii frontu, setki wyroiły się z przyfrontowych lotnisk. Jak okiem sięgnąć, miała po obu stronach samoloty - czarne punkciki na tle błękitno-białego nieba - a warkot silników wypełniał jej uszy.

*Wspaniale*, pomyślała. A w dodatku eskadra myśliwców przydzielona, by ochraniać ich od góry, była na miejscu.

Przed nią dowódca eskadry zamachał trzy razy swoimi skrzydłami, a potem

zanurkował. Pozostali podążyli jego śladem w precyzyjnych, dziesięciosekundowych odstępach. Gerta wyszczerzyła zęby w uśmiechu rekina, odsunęła klapkę drążka i położyła lekko kciuk na spuście.

\* \* \*

- To nie nasze! - rzucił ostro Gerard, wstając.

*Nie, nie nasze*, pomyślał z nagłym niepokojem Jeffrey Lojaliści ani Brygadowcy nie używali formacji podwójnej strzały.

- Zdobądź mi jakieś meldunki - Gerard zwrócił się ostro do techniczni-  
łącznościowca.

Ta - siły Unii miały teraz także Pomocniczy Korpus Kobiecy - pogmerała przy wielkim wykończonym porcelaną radiu z Santander, zajmującym bok wielkiego samochodu. Nie było zbyt dużo odbiorników, z którymi operatorka mogłaby się połączyć. Radia na tyle małe, aby zmieścić się do pojazdu lądowego, były niedawnym wynalazkiem... dzięki Centrum. Jeffrey wpatrywał się w zbliżający się rój punkcików na zachodnim horyzoncie, jednak przez słuchawki techniczki słyszał wzór, w jaki układały się kropki i kreski. Centrum przetłumaczyło je dla niego bez kłopotu, lecz on zaczekał, aż techniczka dokończyła pisanie w notatniku i wręczyła rezultaty Gerardowi.

- Panie. Samoloty wroga w dużej sile atakują następujące pozycje.

Gerard wziął kartkę i przejrzał mapy znajdujące się na stole. - Pozycje artylerii, magazyny pocisków i zbiorniki paliwa za naszymi liniami.

Kolejna seria kropek i kresek. - I nasze lotniska. Na szczęście większość naszych samolotów jest już w górze.

Jeffrey zagwizdał, opierając się o jeden z prętów i spoglądając przez lornetkę. - Oceniam to na jakieś dwieście maszyn - powiedział. - Myśliwce... są też dwusilnikowe samoloty.

- Nowe von Nelsingi, o których słyszeliśmy. To jak przebicie kołkiem serca tej ofensywy.

- Powiedziałbym, że wpadliśmy prosto na ofensywę buntowników - stwierdził Jeffrey.

- Właśnie; A ja nie wpakuję się głębiej w tę pułapkę. Kierowco! Zatrzymaj się!

Wielki samochód zjechał na pobocze drogi. Kilka mniejszych, pełnych adiutantów i oficerów sztabu zatrzymało się wokół niego.

- Nie skupiać mi się! - rozkazał ostro Gerard. - Ty, ty, ty, chodźcie tu - reszta niech się rozproszy, sto jardów przerwy. -

Zaczął wykrzykiwać rozkazy.

\* \* \*

Myśliwiec przeciął formację Krainy. Czerwono-biało-niebieskie kręgi na jego skrzydłach pokazywały, iż była to jednostka Brygad Wolności. Błysnął podwójny karabin maszynowy, wybijając serię dziur w prawym skrzydle Gerty. Jedna kula odbiła się od stalowej płyty osłony silnika. Z tyłu za Gertą protegowana-strzelec wrzasnęła z gniewu, mocując się, by obrócić podwójny karabin maszynowy. Pocisk smugowy poleciał za nieprzyjacielskim myśliwcem. Von Nelsing tuż obok Gerty dał nura, ale bardziej zwinny samolot pościgowy zawrócił, wykonując piękne, ciasne kółko, o wiele mniejsze niż zdołałby zrobić dwusilnikowy samolot.

Gerta zanurkowała.

Przecięła koło myśliwców Brygad. Von Nelsing szybko *pikował*. Przez chwilę drucziany okrąg celownika przed przednią szybą wyprzedził Marka II z Santander. Jej kciuk nacisnął guzik i gruchnęło sześć karabinów maszynowych z przodu. Ponad sto kul uderzyło w mały, dwupłatowy myśliwiec w przeciągu paru sekund trwania jej wystrzału, rozdzierając go od dziobu po ogon jak nóż papier pakowy. Maszyna zachwiała się w powietrzu, zapadła w środku i w tej samej chwili stanęła w płomieniach. Jej płonące szczątki spłynęły ku ziemi w kawałkach, cięższa masa silnika spadała szybciej.

- *I niech cię szlag trafi!* - krzyknęła Gerta, skręcając ostro w prawo i kierując się ku ziemi.

Brygadowiec przerwał jej misję. Była tam droga, cały czas zatłoczona żołnierzami i pojazdami. Ludzie rozbiegali się po polach z obu stron albo chronili się w rowach, lecz pojazdy były mniej mobilne. Ustawiła się starannie, schodząc na niecałe dwieście stóp i ignorując plujące ku niej karabiny i broń maszynową. Trzeba było mieć niesamowite szczęście i w dodatku być bardzo dobrym strzelcem, żeby trafić w taki cel z ziemi, a silniki były chronione.

Teraz. Pociągnęła za zwalniacz bomb i bardzo się starała utrzymać samolot w równowadze, gdy spod każdego ze skrzydeł oderwały się pięćdziesięciofuntowe bomby. Wybuchy idące jej śladem były mocniejsze niż od pocisków o takiej samej wadze; łuska nie musiała być taka mocna, co pozostawiało więcej miejsca na materiał

wybuchowy. Eksplozje przecięły drogę, wzbijając pióropusze ziemi i skał, a także drewna, metalu i ciał. Karabiny na dziobie jej samolotu zajazgotały, a na środku drogi wykwitł grzyb ognia.

\* \* \*

Jeffrey dał nura na podłogę samochodu, pociągając za sobą Gerarda. Gorący mosiądz z podwójnego karabinu maszynowego wystrzelił fontanną dokoła nich. Kule przelatywały ze świstem i odbijały się od metalu samochodu. Z odbiornika radiowego trysnęła fontanna iskier, a operatorka wydała z siebie zduszony okrzyk i osunęła się na mężczyzn, wiotcząc ostatecznie w sposób, jaki Jeffrey od razu rozpoznał, jeszcze zanim potwierdziła to krew. Zdumiewające było, *ile* krwi zawierało nawet niewielkie ludzkie ciało. W sekundę później nastąpiła kolejna eksplozja - ogromna, lecz na swój sposób przytłumiona, a jej śladem ruszył podmuch gorącego powietrza. Wybuchł wóz galwanizowanych, żelaznych kanistrów z benzyną.

Obydwaj mężczyźni podnieśli się. Gerard zatrzymał się na chwilę, aby zamknąć niewidzące oczy operatorki radia. Henri wciąż obracał dwulufowym karabinem, szukając kolejnego celu. Kierowca osunął się na przednim siedzeniu, z odcięтым szczytem głowy. Jego mózg rozbryzwał się po kabinie. Inne pojazdy płonęły na drodze, tak samo jak niektóre przydrożne drzewa. Koń pozbawiony jeźdźca przegalopował obok, z oczami oszalałymi ze strachu. Inne zwierzęta kwiczały w niepojętym bólu.

Oficerowie, którzy zebrali się dokoła Gerarda, bandażowali swoich rannych i liczyli zabitych.

- Dobrze się czujesz? ~ spytał Jeffrey.

Gerard przetarł poplamioną tunikę munduru, a potem sobie darował. - *Bien, sufficient, A ty?* - Nic z tego nie jest moje.

- Zatem zobaczymy, co możemy zrobić, żeby zaradzić temu, jak to ty mówisz?

- Popapranium.

- Zatem temu popapranium.

\* \* \*

- Cholera, naprawdę udało im się je uruchomić - powiedział Jeffrey, drapiąc się. *Cholera. Znowu wszy. Mogę być wszawym generałem, ale wolałbym, żeby nie było to dosłowne.*

Dwa tygodnie ofensywy, a lojaliści już znajdowali się prawie sto mil do tyłu od

swoich wyjściowych linii frontu. Jeden z powodów stał zaparkowany w dolinie pod nimi. Miał romboidalną sylwetkę o długości przekraczającej czterdzieści stóp i szerokości dwudziestu, z grubymi płytami z lanej stali znitowanymi mocno razem. Na górze znajdowała się wieżyczka w kształcie pudełka, z zamontowanym na niej okrętowym, czterocalowym działkiem, a w każdym rogu pojazd miał zamocowaną mniejszą wieżyczkę z dwoma karabinami maszynowymi. Z góry wystawała także przysadzista lufa polowego moździerza, do radzenia sobie z celami położonymi poza bezpośrednią linią widzenia. Na każdym bieżniku, w czterech miejscach, znajdowały się napędowe koła łańcuchowo-drabinkowe, a z pół tuzina otworów buchała para. Długie cienie wieczoru sprawiały, iż pojazd wyglądał na większego, niż był, przydawały też jego sylwetce ogromnej, prehistorycznej groźby.

Działko polowe lojalistów leżało przechylone na jednym kole przed czołgiem z Krainy, a przynależące do niego konie i mężczyźni spoczywali martwi dookoła. Trzy lżejsze czołgi potoczyły się w górę doliny, ku płaskowyżowi, i tylko paru piechurów i załoga stała wokół tego potwora. Załoga zajmowała się naprawą przy otwartych płytach, sprawdzała gąsienice lub też po prostu cieszyła się wiosennym powietrzem, które musiało być niczym wino zesłane z nieba po ciemnym, niezdrowym upale we wnętrzu. Gruby wąż ciągnął się od tyłu pojazdu do wiejskiej studni, podskakując i wybrzuszając się od czasu do czasu, gdy pompa napełniała zbiorniki pojazdu wodą.

- To coś musi ważyć z pięćdziesiąt ton. - *I to my podsunęliśmy im ten pomysł. Ale mi dezinformacja.* Trzeba było przyznać inżynierom Wybrańców, że choć byli wiecznymi optymistami, to czasami z ich arogancji rodziły się zdumiewające pomysły technologiczne cacuszka.

>>Pojazd waży sześćdziesiąt jeden i czterdzieści trzy setne tony<< powiedziało Centrum. >>Maksymalna grubość pancerza wynosi cztery cale przy kącie nachylenia trzydzieści stopni. Szacowany zasięg osiemdziesiąt mil w optymalnych warunkach. Spora zawodność i słaba ergonomia. Niska opłacalność.<<

Z tyłu, na grzbiecie wzgórza, Henri przypatrywał się czołgowi Krainy, a jego usta wykonywały ruchy, jakby przeżuwał. Jeffrey miał ze sobą jakichś stu ludzi - żołnierzy Brygady i lojalistów. Czyli tych, którzy się ostali, gdy front się załamał. Wielu z nich zerkało na maszynę i zaczynało się wycofywać. Było teraz na to określenie: „czołgowa panika”. Zwykle czołgi były wystarczająco paskudne, lecz te nowe potwory były gorsze.

- Żadnego ruchu - rzucił.

Utrzymywał taką dyscyplinę, że ta prowizoryczna bojowa grupa nie rozpadła się w tym momencie. Choć, właściwie to ci, którzy mieli ochotę dać za wygraną, w większości odeszli w okresie, gdy kontratak buntowników i czoło uderzeniowe Krainy przedarły się przez front lojalistów. Zostali ci, którzy mieli jakiś kręgosłup.

- Zbierzcie się, wszyscy oprócz zwiadowców. - Zaczekał. Poruszali się cicho. Potrafili przynajmniej zachowywać się w polu. - W porządku, tam w dole jest ciężki czołg. One są niebezpieczne, ale są także powolne i niezdarne, a wróg nie ma ich zbyt wiele. Znajdujemy się teraz na ich tyłach, a oni czują się dość bezpieczni. Jak tylko się ściemni, poprowadzę oddział straceńców tam w dół, aby załatwić czołg materiałami wybuchowymi. Potrzebuję ochotników. Reszta będzie osłaniała nasz odwrót. Potem przedrzemy się do naszej linii frontu. Kto idzie ze mną?

Odczekał chwilę, a potem zamrugął z zaskoczenia, gdy ponad połowa ludzi podniosła ręce. Kiwnął głową z podziękowaniem. W takiej chwili jak ta nie było nic do powiedzenia.

- Dziesięciu ludzi, nie więcej. Henri, Duquesne, Smith, Woolstone, McAndrews...

Noc zapadła szybko, a górskie powietrze się oziębiło. Komandosi spędzili ten czas, sprawdzając swoją broń i przygotowując wiązki granatów - brało się jeden granat z trzonkiem i wokół niego przywiązywało jeszcze tuzin. Ci, którzy uważali, że kilkudniowy zarost i brud nie są wystarczające, poczernili sobie twarze i dłonie błotem. Kilku się modliło.

- Jak generałowi udaje się wpadać w takie *merde*, panie? - rzekł, szczerząc się w uśmiechu Henri.

- Przez pchanie się na czoło, żeby zobaczyć, co się dzieje - powiedział Jeffrey. - To słabość, tak jak kobiety i wino.

Spojrzał w górę. Panowały zupełnie ciemności, lecz wiosna była na tyle wczesna, że pojawiło się także zachmurzenie. *Deszcz?* - spytał.

>>Szansa na opad wynosi 53% plus minus 5<< odparło Centrum.

- Zabieramy się za to - powiedział na głos. - Rozproszyć się. Unikajcie wartowników, jeśli się da, a jeśli nie, to załatwcie to cicho.

Komandosi ruszyli w dół zbocza, schodząc przez aromatyczne, karłowate zarośla na ścierniska na dnie doliny. Robili niewiele hałasu. Wszyscy mężczyźni, którzy z nim byli, przebywali na froncie na tyle długo, aby nauczyć się nocnych podchodów. *Ja miałbym tutaj więcej stanowisk i ruchome patrole*, pomyślał.

>>Ktokolwiek tu dowodzi, chciał posuwać się najszybciej, jak się da<< powiedział

Raj. >>Pozostawił minimum ludzi przy czołgu, gdy ten się zepsuł. Mądre posunięcie. Niewielkie są szanse pominięcia grupy lojalistów na tyle dużej, żeby spowodowała jakieś kłopoty. Jednak nawet coś o niskim prawdopodobieństwie czasami się zdarza.<<

W ciemności, z lewej, dobiegł zduszony krzyk i mokre łupnięcia. *Będziemy...*

Jaskrawym błyskiem z lufy wypalił karabin. Jeffrey widział, jak załoga śpiąca obok czołgu zrywa się z koców i pędzi do swojej maszyny. Połowa albo i więcej z nich to Wybrańcy, śmiertelnie niebezpieczni, nawet zaskoczeni we śnie. Jeffrey przerzucił pistolet do lewej ręki, wyciągnął wiązkę granatów z płóciennej torby z boku i pobiegł do przodu, potykając się i przeklinając, gdy grudy ziemi i krzaki czepiały się jego nóg. Zmienacka zrobiło się jaśniej, jak o zmroku. *Dzięki*, pomyślał. Centrum przetwarzało obraz z jego oczu i przesyłało go z powrotem do kory mózgowej. Nie miał już przy tym dziwnego uczucia, po dwudziestu pięciu latach z Centrum w jego mózgu.

Czerwona kropka celownika ustawiła się na ogarniętym paniką rozglądającym się szaleńczo dokoła protegowanym żołnierzem. Jeffrey strzelił, a potem dał nura na ziemię i przetoczył się, aby uniknąć kuli, która wyleciała ze świstem, gdy jemu błysnęło z lufy. Nie musiał sprawdzać, co się stało z żołnierzem nieprzyjaciela. Kropka znajdowała się tuż nad uchem. W obozowisku buntowników miała miejsce seria zaciekłych wymian ognia na oślep. Ludzie strzelali w kierunku dźwięków i ruchu dostrzeżonego w ułamku sekundy. Lub też strzelali w kierunku tego, co *uważali* za dźwięk albo ruch.

*Czuuunk.* Wypalił moździerz na wieżycze ciężkiego czołgu z Krainy. Jeffrey znowu przypadł do ziemi, przymykając oczy. Światło odbite od ziemi i tak oślepiło go na chwilę, gdy wystrzeliła rakietka.

Co było naprawdę przerażające, to przenikliwe *czuffi* pisk stali ocierającej się o stal. Czołg ożył; musieli utrzymywać podgrzane kotły na wszelki wypadek. Jeffrey liczył, że mają pół godziny, zanim tamci doprowadzą ogromną maszynę do porządku.

Wystrzeliła jedna z rogowych wieżyczek, siekąc ziemię podwójnym gradem ołowiu i zielonych pocisków smugowych.

Miało to pewnie służyć bardziej zastraszeniu niż czemuś innemu, jako że nie mieli celu wartego porządnego pocisku. *Działało* to zastraszająco - ogromne ostrze płomienia o kształcie liścia, rozdierający trzask i *krump* wybuchu dobiegające ze zbocza wzgórza, gdzie trafił ładunek.

Nie mógł nic zarzucić ludziom, których pozostawił na wzgórzu. Otworzyli ogień w stronę obozu i czołgu Wybrańców - dziesiątki migoczących świetlików błyskających z



ich karabinów. Iskry tańczyły nad ciężkim pancernem czołgu, który odbijał kule wystrzelone z lekkiej broni jak kuleczki gradu... lecz *zmusiło* to dowódcę do pozostania w zamknięciu, z widokiem ograniczonym do tego, co widać przez wąskie otwory przeziernikowe w kopule na szczycie czołgu.

*Szuunk.* Kolejna spadająca rakietą. Karabiny maszynowe z wieżyczek siekły grzbiet wzgórza, starając się przydusić znajdujących się tam strzelców, i udawało im się to. Piechurzy nieprzyjaciela chowali się za czołgiem, strzelając zza niego. A potem czołg zaczął się posuwać ze zgrzytem przez małą dolinkę, ku szczytowi wzniesienia. Ku niemu.

*Głupota,* pomyślał Jeffrey, wtulając się w pylistą ziemię i mrugając, by usunąć ją z oczu. Siły lojalistów nie miały niczego, czym mogłyby zagrozić czterocalowemu pancernowi bojowej maszyny Krainy. *Tacy są właśnie Wybrańcy.* Agresywni aż do przesady, gotowi atakować, czy to konieczne, czy też nie.

Oczywiście jeśli nie dopisze mu szczęście, to jego własny tyłek zamieni się w tłustą plamę na ściernisku.

Ziemia drżała, gdy olbrzymi ciężar posuwał się powoli, powoli ku niemu. Wystrzeliły karabiny maszynowe z czterech wieżyczek i współosiowy ogień nałożył się na siebie w ciągłym jazgocie przerywanym od czasu do czasu przez łupnięcie móżdżerza, który strzelał rozświetlającymi lub odłamkowymi pociskami, aby zbadać martwą strefę za grzbietem wzgórza. Coraz bliżej. I bliżej.

Teraz górował nad nim. *Dobrze.* Nikt nie zauważył go w ciemności i tańczących cieniach rzucanych przez rakiety kołyszące się na swoich spadochronach. Stał zazgrzytała w proteście, a ziemia stęknęła przy wtórze trzeszczącego odgłosu, gdy forteca, kołysząc się, potoczyła się ku niemu, jako że kierowca starał się, by gąsienice posuwały się z jednakową prędkością. W brzuchu mu się przelewało, a jądra próbowały się wcisnąć w brzuch dla bezpieczeństwa. Zjawisko „czołgowej paniki” wydawało się być w obecnej chwili o wiele bardziej zrozumiałe.

Wyminął go czarny cień dziobu. Pomiędzy podwoziem czołgu a ziemią powinna być ponad dwustopowa odległość. Luka wystarczająca, żeby Jeffrey się zmieścił, jeśli był to jeden z tych modeli bez ostrzy przymocowanych od dołu. Przetoczył się na plecy, mimo iż głos w umyśle wrzeszczał, żeby ukrył twarz w ziemi. Pokryta dziobami, zardzewiała powierzchnia kadłuba przesuwiała się zaledwie parę cali od jego twarzy, i jeszcze bliżej, gdy przesuwiał się nad nim łeb śruby. A w tyle znajdowały się duże pierścienie śrub oczkowych, zamocowanych dla przyczepienia liny holowniczej.

Położył sobie pistolet na brzuchu i sięgnął obiema rękami. *Tu*. Wsunął zaczep granatu z trzonkiem w sworzeń. Jego czapka wsadzona obok przytrzymała granat na tyle, że nie ruszy się przez parę sekund. Prawą ręką podniósł znowu pistolet, trzymając lewą za zawleczkę u dołu granatu, pozwalając, aby ruch czołgu ją wyciągnął, uzbrajając broń.

*Tylko się teraz nie zatrzymuj, kochanieńki*, pomyślał.

Nie zatrzymał się. Dowódca musiał czekać, aż znajdzie się bliżej, aby posłużyć się znowu głównym działkiem, a broń automatyczna była dość skuteczna przy poruszaniu się. Masa odtoczyła się znad Jeffreya i było to niczym oswobodzenie z grobu. Mężczyzna zaczął się czołgać jak szalony, a potem podniósł się i przebiegł kilkadziesiąt kroków.

Pierwsza eksplozja była przytłumiona przez masę czołgu. Wydawała się absurdalnie mała pod ogromną bryłą pojazdu z Krainy, lecz nawet na coś, co ważyło sześćdziesiąt ton, pancierz nie mógł być gruby *wszędzie*. Czołg zatrzymał się, kołysząc, choć jeden z karabinów maszynowych na wieżycze w dalszym ciągu strzelał co piętnaście sekund. A potem nastąpiła druga eksplozja, tym razem *we wnętrzu* czołgu. Para trysnęła z tyłu, a w kilka sekund później z każdego otworu w kadłubie, piszcząc w ciemnościach nocy jak wiele gwizdków lokomotywy. Jeffrey poczuł, że robi mu się gęsia skórka na myśl o tym, jak musiało być w środku. Nagły wytrysk podgrzanej pary, obdzierający załogę żywcem ze skóry.

To nie powstrzymało jego forsownego biegu. Przed nim pojawił się niski murek z kruszącego się kamienia i wyschniętej gliny. Jeffrey przesadził go i padł plackiem z twarzą wciśniętą w ziemię. Gorący metal stykał się z popękkanymi osłonami pocisków i oparami benzyny i zaraz...

*Łup*. Paliwo i amunicja wybuchły razem, a czołg Krainy rozpadł się w szwach tam, gdzie przynitowano do siebie lane i walcowane blachy pancierza. Kawalki wbiły się w murek kilka stóp od Jeffreya, rozbryzgując z bolesnym rozmachem ziemię i małe kamyczki. Uniósł ostrożnie głowę. Nie widział, aby coś się poruszało koło powyginanego wraku czołgu, choć światło z płonących szczątków było na tyle jasne, że można by przy nim czytać. Wieżyczka leżała na boku kilka jardów dalej. Jeszcze dalej widać było nieruchome ciała. W większości nieruchome.

- Mam nadzieję, że nic z tego nie jest moje - wymruczał. Jego głos brzmiał słabo i odlegle, dzwoniło mu w uszach. I dodał głośniejszym głosem: - Zbiórka tutaj! Zbiórka tutaj!

## Rozdział dziewiętnasty

- To są ich ostateczne rozkazy? - spytał Jeffrey.

- *Qui*. Unionvil ma zostać utrzymane za wszelką cenę. Nie można zabrać żadnych żołnierzy. Co więcej, mamy oddać naszą strategiczną rezerwę. Przewodniczący Deshambres zapewnia mnie, iż polityczne konsekwencje utraty stolicy będą „katastrofalne”, koniec cytatu. Minister Edukacji i Bezpieczeństwa Publicznego Lebars mówi mi, że nie dadzą za wygraną.

- Koniec cytatu - dodał Jeffrey. - A tak przy okazji, to jaką strategiczną rezerwę mają na myśli?

- Tę, którą posłaliśmy na zmarnowanie w tej niewydarzonej ofensywie na Eboreaux w zeszłym roku i której nigdy nie udało nam się zastąpić następną - powiedział Gerard.

Jeffrey pokiwał głową. Piekły go oczy z braku snu, a w uszach mu dzwoniło od zbyt wielu filiżanek mocnej czarnej kawy, pozostawiającej kwaśny smak na języku. Światelka migotały na horyzoncie. Była to ciężka artyleria, strzelająca wzdłuż wygiętej linii frontu na południe i na wschód od Unionvil. Na drodze na zewnątrz panował duży ruch. Żołnierze i wozy z zaopatrzeniem posuwały się do przodu. Ranni wracali - niektórzy w karetkach, a jeszcze więcej kuśtykając i wspierając się wzajemnie. Ich bandaże lśniły w świetle przenośnych reflektorów ustawionych przed namiotami kwatery głównej. Przejechał konwój ciężarówek-platform wypełnionych posiłkami. Twarze pod hełmami wyglądały żałośnie młodo. Przynajmniej błoto nie było aż takie straszne, mimo iż wiosenne deszcze były mocniejsze niż zwykle. Mieli trzy lata na poprawę tutejszych dróg, trzy lata, podczas gdy front przebiegał przez najbardziej

wysunięte okoliczne wioski dokoła Unionvil. Wyglądało na to, iż ta sytuacja uległa zmianie.

- *Baaaaaa.*

Gerard uniósł głowę, próbując dostrzec człowieka, który zabeczał jak owca. Do drogi było pięćdziesiąt jardów i panowały ciemności.

- *Baa. Baaaa. Baaaa.* - Coraz więcej rannych zalegających na poboczach drogi beczało w kierunku nadciągających posiłków, udając jagnięta wiedzione do rzeźni. Gerard podszedł do wejścia do wielkiego namiotu.

- Kapitanie Labushange. Trzeba to powstrzymać.

Zaświstały gwizdki, dał się słyszeć tupot nóg. Przy kwaterze głównej regimentu zawsze znajdowała się kompania Jednostki Szturmowej lub policji wojskowej.

- A teraz muszę się posługiwać *Assaulteaux* przeciwko rannym ludziom, i to dlatego, że mówią prawdę - powiedział Gerard. - A tak przy okazji, mój przyjacielu, minister Lebars zapewnia mnie także, iż lepiej jest zginąć stojąc, niż żyć na kolanach.

- Czy ta kobieta zawsze tak gada?

- Niezmiennie. I nie chodzi tu tylko o przemowy. - Gerard spojrział na stół z mapami. - Zostawcie nas - powiedział do pozostałych oficerów.

- Zatem nie mam wyboru - ciągnął dalej, dotykając opuszką palca czerwonej tabliczki, która przewróciła się na bok i leżała za strzałką czarnych znaczków. - I czym się teraz różnię od Liberia?

- To Libert zaczął - powiedział Jeffrey, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny. - Nie mógłbyś być taki jak on, nawet gdybyś próbował. Zrobimy to, co konieczne.

- Ja zrobię - powiedział Gerard. - Utrzymuj Brygady Wolności w ryzach. To jest sprawa unijna.

Jeffrey skinął głową. - Nie zawahaj się - ostrzegł.

Trzymanie żołnierzy Brygad z dala od przewrotu wojskowego szykowanego przez Gerarda było zapewne rozsądne, choć oni byli tak samo wściekli na Komitet Bezpieczeństwa Publicznego jak żołnierze Unii z armii lojalistów. Mimo to byli cudzoziemcami.

- Wahać się? Mój przyjacielu, wahałem się przez sześć miesięcy. Teraz będę działać.

Wyszedł z pomieszczenia, wołając adiutantów i oficerów sztabu. Jeffrey pozostał, spoglądając na mapę. Unionvil było wybrzuszeniem wchodzącym w linię frontu buntowników, wybrzuszeniem połączonym z resztą strefy lojalistów wąskim paskiem

zabezpieczonego terenu.

- Mam nadzieję, że nie zabrałeś się do dzieła za późno - powiedział, sięgając po płaszcz.

Heinrich Hosten dowodził po drugiej stronie, spoglądając na tę samą mapę. Jeffrey znał Heinricha, wiedział też dokładnie, co sam by zrobił na jego miejscu.

Jeffrey wyszedł w chłodną noc.

\* \* \*

- Senatorze McRuther?

Spotkanie miało raczej nieformalny charakter. Przynajmniej John nie był przepytany przed całym Komitetem Spraw Zagranicznych w Domu Zebrań, z tuzinem reporterów śledzących każde słowo. W tym wykładanym dębem pokoju zebrań było o wiele spokojniej. Gabinet pachniał pastą i starymi cygarami, nie było nawet stenografisty robiącego notatki. Jednak większość twarzy zgromadzonych dokoła stołu wyglądała dość groźnie, wiek i władza opatulą ich niczym niewidoczne płaszcze.

Senator McRuther zbliżał się do siedemdziesiątki i wciąż nosił białe koszule z żabotem i czarne fraki, które były w modzie, gdy był młodym mężczyzną. Reprezentował prowincję Pokips na zachodniej nizinie i to również robił, od kiedy był młodzieńcem.

- Panie Hosten - powiedział, zmieniając złośliwie „s” w „z”, zgodnie w wymowę Wybrańców. - Cóż takiego konkretnie osiągnąłeś przez swoją politykę „konstruktywnego udziału”, poza wplątaniem nas w wojnę?

John skinął głową. - Masz rację, senatorze. *Prowadzimy* wojnę, choć nie wypowiedzianą. Jednakże pragnąłbym zwrócić uwagę, iż Kraina Wybrańców ma ponad czterdzieści tysięcy regularnych żołnierzy w Unii del Est. Popierają generała Liberta i *wygrywają*. Stwierdzam, iż nie leży to w interesie narodowym Republiki Santander.

- Tak, tak - powiedział senator Beemody.

Kilku innych pokiwało głowami, mrużąc potakująco, a nie wszyscy z nich byli ze wschodniej wyżyny. John przebiegł wzrokiem, zliczając ich. Wschodni Blok Postępowych Beemody'ego - paru z zachodnich, nadbrzeżnych miast, które obrastały w piórka na nowych kontraktach marynarki. I garstka z wiejskich dystryktów zachodniej niziny, niektórzy należeli do Konserwatystów McRuthera. Stary senator

zachował swoje stanowisko przez pięćdziesiąt lat nie dlatego, że był głupcem, nawet jeśli był zbyt przywiązany do tradycji.

- Jak powiadasz, oni wygrywają. Nigdy nie zadawaj wrogowi jedynie małej rany. Udało ci się zantagonizować Krainę, lecz nie powstrzymać. Jeśli Libert i jego nacjonaści wygrają, to na naszej wschodniej granicy będziemy mieli bliskiego sojusznika Krainy oraz silny garnizon Krainy pilnujący jego lojalności, a my będziemy musieli utrzymywać tę mocno rozdętą armię *wiecznie*. Jestem świadom, że to podobałoby się tobie i reszcie przemysłowców z wyżyny, ale to *moi* wyborcy płacą podatki, utrzymując próżnujących żołnierzy.

- Senatorze - rzekł cicho John - Kraina nie dlatego jest nastawiona antagonistycznie wobec Santander, że wzięliśmy stronę lojalistów w unijnej wojnie domowej. Jest nastawiona antagonistycznie, ponieważ jesteśmy jedynymi, którzy powstrzymują Krainę przed opanowaniem całego Visager. I mam nadzieję, że nie muszę wchodzić w szczegóły, wyjaśniając, co oznacza panowanie Wybrańców.

Zabrzmiało więcej przytakujących pomruków. Gazety Johna tłumaczyły opinii publicznej przez lata, co to dokładnie oznacza. Uchodźcy z Imperium, a teraz także z Unii, przekazywali te same wieści. Trzeba było wzywać milicję, do stłumienia wymierzonych przeciwko Wybrańcom zamieszek, gdy opublikowano zdjęcia z masakry w Bassin du Sud.

Senator Beemody zakaszłał dyskretnie. - Generale Farr - naczelne dowództwo potwierdziło awans, jak tylko stanął z powrotem na ziemi Santander - rozumiem, iż nie radzisz natychmiastowego wypowiedzenia wojny.

- Nie - powiedział Jeffrey.

McRuther zamrugał ze zdziwienia i zmrużył czujnie oczy.

- Nie jesteśmy gotowi - ciągnął dalej młodszy Farr.

Znajdujący się za nim ojciec w mundurze kontradmirała pokiwał głową. Podobieństwo rodzinne było teraz bardziej widoczne, gdy wąsy i włosy Jeffreya przetykane były siwizną. Potęgowały to jeszcze bruzdy biegnące po obu stronach nosa.

- Jesteśmy znacznie silniejsi obecnie, niż byliśmy cztery czy pięć lat temu - ciągnął dalej Jeffrey. - Produkcja wojskowa wszelkiego rodzaju znacznie wzrosła, a teraz dysponujemy sprawdzonymi w boju modelami. Nasze najnowsze samoloty są równie dobre jak modele Krainy i powoli wprowadzamy je do produkcji. Brygady Wolności dostarczyły nam *wielu* ludzi z doświadczeniem w walce, łącznie z wieloma oficerami. Poza tym ich formacje liczą trzydzieści pięć tysięcy weteranów, a jeśli Unia padnie, to

wycofają się za naszą granicę. Tak jak i wielu z armii lojalistów. Jednak my w dalszym ciągu nie przeprowadziliśmy mobilizacji, a liczne formacje nowego regularnego wojska są słabe, zaś milicja w prowincjach musi zostać lepiej z nimi zintegrowana. Admirał Farr może omówić sytuację w marynarce.

Ojciec Jeffreya skinął głową.

- Mamy przewagę tonażową jak trzy do dwóch - powiedział. - Większą w pancernikach. Marynarka Krainy ma większe doświadczenie, zwłaszcza w operacjach w Cieśninie przeprowadzanych przy pomocy krążowników i torpedowców, co może okazać się kluczowe. Mimo to, jestem przekonany, iż udałoby się nam opanować Cieśninę. Problem w tym, że prowadząc działania dalej na północ, w Przesmyku, wsadzilibyśmy naszą... ach, nasze szyje w potencjalną maszynką do mięsa, mając po obu stronach silne bazy Krainy i długą drogę do naszej własnej. Jeśli utracimy flotę, to jeszcze nie oznacza przegrania wojny. Co więcej, nikt nie wie, jaki wpływ na wojnę na morzu będzie miał samolot. Wybrańcy mają większe doświadczenie ze sterowcami. Potrzebujemy czasu, aby dokończyć lotniskowce i wyszkolić flotę w posługiwaniu się nimi.

- Senatorowie - powiedział Beemody - Republika Santander nie może tolerować Unii, która jest satelitą Krainy. Zgadza się?

Jeden po drugim mężczyźni po drugiej stronie stołu podnosili ręce. McRuther westchnął i poszedł w ich ślady, jako ostatni i z największą niechęcią.

- Takie jest zatem postanowienie Komitetu Spraw Zagranicznych - powiedział Beemody. - Z drugiej jednak strony, nie jesteśmy jeszcze gotowi do konfliktu na pełną skalę. Dlatego też proponuję, abyśmy zarekomendowali premierowi, by w razie przegranej rządu lojalistów w Unii, Republika ogłosiła morską blokadę wszystkich unijnych portów, aż do wycofania obcych sił z unijnej ziemi.

- Ale to oznacza *wojnę!* - wybuchnął McRuther.

- Niekoniecznie. Jak wykazał admirał Farr, to *my* mamy więcej ciężkich okrętów niż Kraina. Cieśnina jest bliżej naszych baz niż ich. Możemy zablokować Unię, a oni nie będą mogli odpowiedzieć siłą, nie ryzykując morskiego transportu przez Przesmyk. I choć utrata panowania na morzu może być dla nas katastrofalna, to z  *pewnością* będzie to katastrofa dla nich. W walce na morzu mogą przegrać wojnę w przeciągu popołudnia. Gdy Unia zostanie zablokowana, będą zmuszeni schować różki. Nie mogą sobie pozwolić na odizolowanie korpusu ekspedycyjnego, jaki wysłali do Unii. Będzie on naszym zakładnikiem.

McRuther wskazał na mapę na stojaku u końca stołu. - Mogą otrzymywać zaopatrzenie poprzez Sierrę - a Sierra jest neutralna.

Senator Beemody spojrział na trzech mężczyzn siedzących po drugiej stronie stołu - niebieski mundur marynarki, brązowy armii i czarny, oficjalny frak służb dyplomatycznych.

- Panowie, przez Sierrę przebiega tylko jedna linia kolejowa, z północy na południe - powiedział Jeffrey. - Poza tym ma wąskie tory, więc na obu końcach, na starej imperialnej sieci kolejowej i unijnej, trzeba będzie przeładowywać.

- Generale? - ponaglił go Beemody.

- Zakładając, że Unia znajdzie się całkowicie pod panowaniem Liberta i że Wybrańcy przystaną na morską blokadę?

Beemody kiwnął głową.

- Zaopatrzenie ich sił byłoby możliwe. Dzielne zapotrzebowanie zmniejszyłoby się i mogliby korzystać bardziej z zaopatrzenia unijnego. Minęłoby trochę czasu, zanim to zmniejszenie stałoby się odczuwalne z punktu widzenia logistyki.

- *Możemy* zablokować Cieśninę - powiedział admirał Farr. - Co do tego mogę panów zapewnić.

- Jednak rola Sierry będzie tu kluczowa - rzekł Beemody. - Senatorowie, zgłaszam wniosek, by Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało specjalnego emisariusza zaopatrzonego w tajne pełnomocnictwa w celu uzyskania pomocy Sierra Democratica y Populara w przeprowadzeniu uderzenia wyprzedzającego w postaci blokady Unii, aby wymusić neutralizację i usunięcie wszystkich obcych wojsk. Jest to ryzykowne - rzekł, widząc posępne miny - lecz naprawdę wierzę, że jest to nasza jedyna szansa. W przeciwnym razie za sześć miesięcy staniemy przed wyborem pomiędzy wojną, która może nas zniszczyć, a zaakceptowaniem protektoratu Krainy u naszych granic, co jest nie do przyjęcia. - Głosowanie, proszę, senatorowie.

Tym razem głosowanie nie było jednomyślne. McRuther trzymał swoją rękę uparcie w dole, przesuwając ciężkie spojrzenie niebieskich oczu z Beemody'ego na Farrów.

- Piętnaście za, pięć przeciwko. Przegłosowane. Zostanie to przedłożone. Przypominam szanownym senatorom, iż to zebranie Komitetu Spraw Zagranicznych jest ściśle tajne.

- Zgoda - rzeki kwaśno McRuther. - Nie czas na wojnę na przecieki.

- A zatem, jeśli to już wszystko, senatorowie?



Wielki pokój wydawał się jeszcze większy i bardziej mroczny, gdy pozostali w nim tylko Beemody, Farr i jego synowie. Twarze dawnych premierów spoglądały na nich z powagą z olejnych obrazów na ścianach. Staromodne okna z małymi szybami były skąpane w deszczu. Gałęzie dębów rosnących wokół budynku stukały o szyby drewnianymi palcami. John Hosten zobaczył nagle obraz ludzi - jeszcze nie martwych, lecz mających zginąć w nadchodzącej wojnie - powstających z grobów, przeniesionych w ten moment, stukających w okna, błagających o życie. Dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, miliony.

>>Obserwuj.<<

Centrum pokazało mu obraz, jaki widział już niezliczoną ilość razy od pamiętnego dnia w dokach Składania Przysięgi. Visager widziane z kosmosu. Kule ognia rozpościerające się nad miastami, unoszące się w otoczce porysowanej bieli, aż rozplaszczają się w górnej warstwie atmosfery i cała planeta zostaje przysłonięta przez brudnobiałe chmury...

Jego przybrany ojciec odchrząknął. - Tak naprawdę, to nie sadzisz, że Wybrańcy przełkną blokadę Unii? - zwrócił się do przewodniczącego Komitetu Spraw Zagranicznych.

Beemody potrząsnął głową. - Jest to tak prawdopodobne, jak to, że hiena odda kość - stwierdził szczerze. - Jednak jest to równie dobry *casus belli* jak każdy inny. Senat to przełknie, bo są zdesperowani, a zdesperowani ludzie wierzą w to, w co chcą, zaś publika też się na to zgodzi. Nawet McRuther się na to zgodzi. On wie, że nie możemy tego już dłużej unikać. Jednak *rzeczywiście* potrzebujemy więcej czasu i *rzeczywiście* potrzebujemy, aby Sierranie przeszli na naszą stronę. Powinni tak zrobić. Jeśli my upadniemy, to oni będą następni.

- Ale łatwiej to zobaczyć, gdy przed tobą nie ma nikogo w kolejce do rzeźni - stwierdził z okrutną szczerością Jeffrey. - Nadzieja jest wieczna, a Sierranie nie są jedynie zdeorganizowani, oni mają polityczny system nerwowy ameby. Przekonanie ich, aby zgodzili się co do tego, gdzie wschodzi słońce, jest osiągnięciem.

- Może - rzekł powoli John - moglibyśmy sprawić, żeby to Wybrańcy przekonali ich za nas.

Jego przybrany ojciec zmarszczył w zdumieniu czoło. Jeffrey zerknął na niego, a potem lekko skinął głową w stronę starszych mężczyzn.

*Nadchodzi czas, gdy trzeba wyjąć asa z rękawa, pomyślał John. Jeśli nie zaryzykujesz, to jaki z tego cholerny pożytek?*

>>Prawdopodobieństwo powodzenia w zakresie pięćdziesięciu procent<< powiedział głos maszyny. >>Czynniki chaosu czynią bliższą analizę w danym - momencie bezsensowną. Powodzenie zwiększyłoby prawdopodobieństwo korzystnego wyniku zmagania jako takich o 10% plus minus 3.<<

John przytaknął w myślach. - Oto, co proponuję - powiedział. - Najpierw admirał - skinął głową admirałowi Farrowi - senatorze, powinniście wiedzieć, iż mamy bardzo wysoko postawionego podwójnego agenta, którego Wybrańcy - a konkretnie wywiad wojskowy Krainy - uważają za swojego śpiocha i na którym polegają bez zastrzeżeń, jeśli chodzi o analizę zamiarów Republiki. Oczywiście nie mogę powiedzieć nic bardziej konkretnego. Jest to też całkowicie poufne.

Admirał i senator Beemody jednocześnie skinęli głowami.

Oczywiście nie wiadomo było, gdzie znajdowali się prawdziwi uśpieni agenci.

- Oto, co, jak sądzę, powinniśmy zrobić...

\* \* \*

Gerta Hosten weszła sztywno do pokoju. John wstał.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał, zaskoczony, iż jego troska jest szczerą, nawet po tych wszystkich latach.

- Wypadek przy lataniu - powiedziała, rozglądając się. Mały domek był na swój sposób perełką - jedwabna tapeta we wzorki, dywany z Errife, inkrustowane meble, a wszystko to ukryte dyskretnie na zielonych przedmieściach, na północ od dzielnicy ambasad w mieście Santander. Coś takiego, z czego korzystałby przemysłowiec-milioner przy spotkaniach, które chce utrzymywać w tajemnicy przed żoną. Był to kamuflaż, jakim posługiwał się John. *Dobra znajomość rzemiosła*, pomyślała Gerta z niechętnym podziwem. John mógł to wyczytać z jej twarzy, nawet bez opartych na szczegółowej analizie domysłów Centrum.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego. - John usiadł i nalał kawy oraz brandy.

- Tylko nadwerżony kręgosłup. Samolot dał płamę przed połową Rady Wybrańców. Ten cholerny bombowiec jest latającym - ledwo latającym - wynaturzeniem. Gdyby miał pełen bak paliwa, nie mówiąc już o bombach, to byłabym w kawałkach na tyle małych, że można by je wsadzić w dupę szczurowi.

- Rada Lotnicza wreszcie dała sobie spokój z używaniem samolotów jako strategicznych bombowców?

- Mam taką nadzieję, po tym, jak straciliśmy tuzin, starając się trafić w Unionvil w

czasie ostatniej ofensywy - powiedziała. - Ale te ósmiosilnikowe potwory, które wymyślił Porschmidt, nie są lepsze. Tylko odrobinę szybsze, liczba bomb to żart, są niesamowicie kosztowne w budowie i utrzymaniu, a wylądowanie nimi jest bardziej niebezpieczne niż walka. Jednak Rada słucha tych cholerników - Porschmidta i jego zwolenników. A teraz wyrzuca kolejne pieniądze, próbując *usprawnić* te kurestwa. - Westchnęła. - Bierzmy się do roboty.

- Proszę - powiedział John, przesuwając teczkę po wyłożonym kością słoniową i szylkretem stoliczku.

Teczka miała na sobie trzy zestawy pieczęci „ściśle tajne” i „tylko do rąk własnych” ze sztabu generalnego armii, sztabu marynarki wojennej i biura premiera. Ta ostatnia stanowiła miniaturę wielkiej pieczęci, jaką mógł się posługiwać tylko premier i jego główny adiutant. Gerta zagwizdała w duchu, podnosząc teczkę. Wyraz jej twarzy stał się całkowicie nieczytelny, gdy wreszcie podniosła na niego wzrok. - To na poważnie?

- Całkowicie. Zwróć uwagę na pieczęć premiera.

Przejrzała teczkę do końca. *Wprowadzić w życie tak szybko jak to tylko możliwe.*  
- A niech mnie diabli - powiedziała. - Nie sądziłam, że Santanderczycy potrafią się tak zebrać w kupę.

- Jeff mocno za tym optował - rzekł John. - Jest teraz ulubieńcem, i to nie tylko ogółu ludności.

- Zasłużył sobie na to - stwierdziła Gerta, dolewając kawy do filiżanki. - Heinrich był pod wrażeniem tego, w jaki sposób Jeffrey wycofał większość Brygad z Unionvil, zanim załatwiliśmy tamtejsze gniazdo oporu. Przepraszam, zanim generał Libert załatwił gniazdo oporu przy pomocy ochotników z Krainy, działających bez przyzwolenia Rady Wybrańców.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu niczym wilk. - Heinrich zebrał tam bardzo ładne rzeczy, gdy grabiliśmy miasto.

John przybrał podobną minę, choć się nie uśmiechał. - Co proponujesz?

- Ja? Jestem tylko posłańcem wywiadu wojskowego - powiedziała Gerta.

- Jesteś także córką dowódcy naczelnego sztabu - zwrócił uwagę John. - I służysz im już od piętnastu lat.

- To sprawa pomiędzy mną a *vater*, Johnnie - powiedziała Gerta, wyjmując aparat wielkości dłoni z torebki spoczywającej obok na krześle. Otworzyła go, sprawdziła moc światła i zaczęła fotografować każdą stronę wyjętą z teczki z metodyczną uwagą. - Poza tym, jak tylko wykonasz dobrze jakieś zadanie, zaraz dostaniesz następne, wiesz,

jak to jest. Powiem ci jednak - powiedziała, pracując - że mówiłam ojcu, iż nie powinniśmy mieszać się w sprawy Unii i że, jeśli mielibyśmy szybko po coś sięgnąć, to powinna to być Sierra.

- Twardszy orzech do zgryzienia - stwierdził John.

- To prawda, ale nie musielibyśmy do niego dopływać - odparła. - Szczerze mówiąc, to myślę, że flota ludzi się próżną nadzieją, co do swoich szans, jak dojdzie co do czego. Ta sprawa z Unią może sprawić, że cycki zostaną nam w wyżymacze, jak coś potoczy się źle. To - wskazała na papiery między kolejnymi zdjęciami - jest właśnie to, co *powinni* zrobić Santanderczycy. Jednak Unia była zbyt kusząca w tej politycznej sytuacji. Szkoda, że w Radzie Wybrańców nie ma więcej kobiet.

John podniósł wzrok na tę dziwną uwagę. Wśród Wybrańców panowała równość płci, choć na wyższych stanowiskach rzeczywiście lekko przeważali mężczyźni.

- Mężczyźni nigdy nie potrafią się oprzeć pokusie wsadzenia czegoś w wolny otwór - powiedziała Gerta, kończąc robienie zdjęć. - Heinrich, na przykład, jest bystry jak złoto, lecz spędza niewiarygodną ilość czasu i poświęca wiele wysiłku na ulepszaniu materiału genetycznego Unionistów. Tak samo jest w polityce. Brak im cierpliwości.

- Czy słyszę nutę skargi?

Obydwoje się roześmiali. - Jeszcze dużo zostaje - powiedziała Gerta. Podniosła się i zasalutowała. - Dzięki, Johnnie... jeśli to jest prawdziwe.

## Rozdział dwudziesty

- To jest jak coś z Biblii - wykrztusił Harry Smith, spoglądając na pojazd spoczywający na wysokich gąsienicach obok punktu granicznego.

Przełęcz Belton była główną lądową drogą pomiędzy Unią a Republiką Santander. Siodło miało wysokość zaledwie siedmiu tysięcy stóp, było raczej pagórkowate niż górzyste. Po obu stronach Łańcuch Graniczny wznosił się na wysokość dwudziestu tysięcy stóp lub wyżej, pokryty lodowcami i wiecznym śniegiem powyżej linii drzew. Na zboczach znajdowały się tajemnicze ruiny z czasów Federacji, wybudowane z substancji, których nie potrafili zidentyfikować żadni uczeni, i tunele, gdzie dziwne maszyny przycupnęły niczym trolle ze starodawnej bajki - niektóre w nienaruszonym stanie, jak w dniu, gdy zostały po raz ostatni użyte, inne kruszące się jak sól po wystawieniu na działanie powietrza i słońca. Wieki po Upadku karawany mułów korzystały z przełęczy, a przygraniczni baronowie wybudowali kamienne twierdze. W późniejszych latach staczające się z nich kamienie posłużyły za budulec chat pasterzy. Wojny toczone pomiędzy dwoma krajami pozostawiły spadek w postaci fortów. Najnowsze z nich były osadzone głęboko w skale i pokryte żelazobetonem oraz stałą. Istniała obecnie także droga dla pojazdów mechanicznych oraz dwutorowa linia kolejowa wybudowana ogromnym nakładem pracy i kosztów aż z Alai u zachodnich podnóży gór.

Pociągi wyjeżdżały z Unii już od tygodni. Pierwszy wywiózł ostatnie rezerwy złota rządu lojalistów i najbardziej cenne dokumenty. Późniejsze wywoziły wszystko, co dało się uratować z fabryk w zachodnich prowincjach Unii, a część siły roboczej siedziała na maszynach. Coraz więcej pociągów wiozło ludzi, kursując tam i z

powrotem, a tłumy jechały upakowane tak ciasno, że na każdym przystanku wyładowywano ciała zaduszonych. Nawet dachy towarowych wagonów były czarne od uciekinierów. Jeszcze więcej uchodźców napływało na wózkach i wozach ciągniętych przez konie i muły, a dziesiątki tysięcy na piechotę, niosąc swój dobytek na plecach lub pchając w wózkach ręcznych i taczkach. Uciekinierzy zajmowali nizinę poruszającą się masą czerni i brunatnego brązu, a pył wisiał nad nimi niby wieczna chmura. Dopiero za słupami granicznymi Santander zaczynali się rozpraszać, kierowani przez żołnierzy i ochotników.

Zmęczona Pia Hosten, z ciemnymi workami pod oczami, oparła się o długą limuzynę męża. Ściągnęła chustkę przykrywającą jej włosy i wzdrygnęła się.

- To będzie jak biblijna zaraza, jeśli nie założymy więcej punktów odswawiania. Tyfus i cholera, a ci ludzie są wygłodzeni i brudni, od tygodni nie mieli szansy się umyć.

- Tak zrobimy - powiedział John. - Rząd przyśle więcej żołnierzy w celu założenia obozów i utrzymania porządku, przesyłamy też jedzenie i medykamenty tak szybko, jak na to pozwala sieć drogowa i kolejowa. - Spojrzał na żonę i odgarnął kosmyk włosów, który spadł jej na czoło. - Gdyby nie twój Korpus Pomocniczy byłyby tysiące ofiar - powiedział. - Nikt inny nie był przygotowany.

Obróciła się i wtuliła głowę w jego ramię. - Czuję się, jakbym próbowała osuszyć ocean przy pomocy gąbki - stwierdziła.

- Jesteś wyczerpana. Wykonałaś ogromną pracę i jestem z ciebie dumny.

- Tato!

Maurice Farr wbiegł po zboczu, z promieniejącą, przystojną, młodzieńczą twarzą o oliwkowej karnacji, zgrabny i szczupły w błękitnym jak niebo mundurze lotniczego kadeta.

- Tato - to znaczy, panie - wuj Jeff - to znaczy generał Farr nadjeżdża. Z generałem Gerardem! - Przerwał. - Mamo, dobrze się czujesz?

Wyprostowała się. - Oczywiście. - A potem spojrzała na swoją prostą sukienkę, zaplamioną od potu i pracy. - Mój Boże, nie mogę...

- To nie przyjęcie dla dyplomatów, kochanie - powiedział uspokajająco John. - I nie sędzę, aby Jeff lub Pierre zważali bardzo na wygląd. Nie po tym, co zrobiłaś.

Samochód, który wzbijał tuman pyłu na szutrowej drodze, odznaczał się o wiele mniejszą elegancją niż pojazd Johna, choć był to wielki, sześciokołowy model. W wielu miejscach miał łaty po dziurach od kul, kilka świeżych, i trzy anteny kołyszące

się w górze. Kamienie zachrząściły mu pod kołami, kiedy zahamował i stanął. Silnik stukał i syczał, gdy metal kurczył się, stygnąc. Mężczyźni, którzy z niego wysiedli, byli zapuszczeni, pachnieli starym potem, a zarost na twarzach pokryty mieli zaschłym pyłem.

Pierre Gerard wyprostował się, zsalutował i wyciągnął pistolet rękojeścią do przodu.

- Jako przedstawiciel Unii del Est - zaczął.

John wziął broń, odwrócił ją i wręczył z powrotem unijnemu generałowi. *To głowa państwa, nie zapominaj o tym*, upomniał się.

- Generale Gerard, jako przedstawiciel Republiki Santander mam przyjemność powitać pana, pański rząd, siły zbrojne i ludzi na naszym terytorium. Polecono mi zapewnić pana, iż jesteście mile widziani aż do dnia, gdy będziecie mogli powrócić, przywracając niepodległość waszemu krajowi. Do tego czasu rząd oraz obywatele Republiki będą służyli wszelką pomocą i wsparciem, na miarę swoich możliwości.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - To odnosi się także do mnie, Pierre.

Mężczyzna ujął jego dłoń w mocnym uścisku. A potem stuknął obcasami i pochylił się ku dłoni Pii. - Doszły nas słuchy, co ty i twoje panie zrobiłyście dla moich ludzi - rzekł cicho. - Jesteśmy twymi dłużnikami, na wieki.

- To my jesteśmy waszymi dłużnikami - powiedział John. - Od pięciu lat walczyacie z naszym wspólnym wrogiem. I jeśli dobrze oceniam sytuację, to niedługo znowu dojdzie do walk.

Jeffrey Farr skinął głową. - Cholerna racja.

Obydwaj mężczyźni obrócili się gwałtownie na dźwięk silnika samolotowego. Kilkanaście samolotów zbliżających się do doliny było Jastrzębiami III. Odprężyli się.

- Większość samolotów przeleci dalej na północy - powiedział Gerard. - Wszyscy żołnierze, którzy tędy przejdą, przeprowią się do jutra. Poza strażą tylną.

John pokiwał posępnie głową w milczeniu. Ci będą musieli walczyć tam, gdzie się znajdowali, aż ich pozycja zostanie zajęta, aby pozwolić cywilom i pozostałościom Brygad oraz wojska lojalistów przerwać walkę i wycofać się za granicę.

- Jak na razie trzymają się wokół Borreaux - powiedział. Statki z uciekinierami kursują w tę i z powrotem, stamtąd do Dubuku. Także okręty marynarki. Mój ojciec ustanowił taki precedens w Sallini.

Gerard uśmiechnął się krzywo. - Wojen nie wygrywa się przez ewakuację, nieważne jak heroiczną - powiedział.

John skinął głową. - Rozumiem, iż Jeffrey wyjaśnił ci, gdzie zostaną rozmieszczeni wasi żołnierze?

- *Qui*. Na dosyć wysuniętej pozycji.

Jeffrey rozłożył ręce w geście zażenowania. - Kiedy wróg zaatakuje, to będą nam potrzebni ludzie, którzy na pewną się nie poddadzą - powiedział. - Brygady tego nie zrobią, tak jak i twoi ludzie.

Gerard pokiwał głową. - A co z cywilami?

- Zakładamy czasowe obozy wokół Alai, Ensburga i Dubuku - powiedział John. - Stamtąd będziemy się starali przemieszczać ludzi tam, gdzie będą mieszkania i praca.

Gerard spojrział w dół na ludzkie masy wypełniające wielką przełęcz znajdującą się poniżej oraz drogi na wschód. - Przybывamy jak żebracy, ale potrafimy walczyć i pracować. Będą tak robić wszyscy poza dziećmi i kalekami. Libert i jego *sojusznicy* - wypluł z siebie to słowo - mają wobec nas dług do spłacenia. Czy Libert już wie, że jest marionetką?

John potrząsnął głową. - Jest takie stare powiedzenie - odparł. - Jeśli jesteś winny bankowi tysiąc i nie możesz spłacić, to masz kłopot. Jeśli jesteś winien bankowi milion i nie możesz go spłacić, to *bank* ma kłopot. Libert i jego wojsko oszczędza Wybrańcom sporo kłopotów i wydatków przez samo swoje istnienie. Jestem pewien, że wykorzysta tego asa.

Jeffrey pokiwał głową. - Myślę, że to dlatego pościg nie jest prowadzony bardziej energicznie - rzekł w zadumie. - Libert *chce*, abyśmy mieli tylu ludzi na granicy, aby stanowili oni stałą groźbę. To sprawi, że Wybrańcy będą musieli go zatrzymać. Inaczej ryzykowaliby, iż cała ludność przejdzie na stronę lojalistów, którzy tylko czekają, żeby wrócić. Wybrańcy nie mają w Unii tylu żołnierzy, aby sami ją zajęli, jednocześnie utrzymując zdolność do prowadzenia ofensywy. A przynajmniej na razie nie.

Gerard wzruszył ramionami i zasalutował. - Muszę wrócić do swoich ludzi.

John znowu potrząsnął głową. - Odwiedź wkrótce mój dom - powiedział. - Nie przysłużysz się swoim ludziom, jeśli padniesz.

Bystre, brązowe oczy przyjrzały mu się. - Ciebie tam nie będzie? - spytał.

- Nie. Szykują się... kłopoty. Jakie konkretnie, nie mogę powiedzieć, mogę tylko stwierdzić, iż wkrótce nastąpi mocne przetasowanie na szachownicy.

\* \* \*

- Obywatele!



Szósty z dwunastoosobowej Rady Wykonawczej Sierra Democratica y Populara wstał, aby przemówić do siedmiuset członków Izby Delegatów Kantonalnych. Jeden z jego kolegów przekazał mu ceremonialną włócznię, symbol mówcy, i wcisnął guzik na bardzo nowoczesnym stoperze.

*Nie do wiary*, pomyślała Gerta Hosten. Ona oraz delegacja Krainy siedzieli na krzesłach dla gości z boku Rady Wykonawczej. Wiekowy dąb rosnący w środku kręgu ubitej ziemi zasłaniał wielu delegatów przed wzrokiem jej i innych. Było to miejsce, gdzie czterysta lat temu zebrali się po raz pierwszy przedstawiciele ludu, aby obwieścić powstanie Sierry, zapewne pod przodkiem tego właśnie drzewa. Dlatego też tu spotykali się w *dalszym ciągu*, tu, gdzie wyrosło miasto Nueva Madrid. Spotykali się, spotykali i spotykali. Mowy wygłaszano już od tygodnia i wyglądało na to, że potrwa to jeszcze kolejne dwa.

Każdy z nich miał karabin i bandolet - był to jedyny wspólny element. Stroje mieli różnorakie - począwszy od skór z frędzlami po garnitury w stylu Santander, choć przeważały berety i nastroszone, nawoskowane wąsy. Nie było żadnych kobiet, jako że nie miały one prawa głosu w żadnym z kantonów Sierry, choć ogólnie nie były źle traktowane.

Każdy dorosły mężczyzna *miał* prawo głosu, a każdy znajdujący się tu delegat mógł być w każdej chwili odwołany podczas zebrania wyborców z kantonu na otwartym wiecu. Delegaci wybierali dwunastoosobową egzekutywę, lecz wyborcy mogli ich odwołać w każdej chwili i często tak czynili.

*Nie wierzę, aby coś tak absurdalnego przetrwało tak długo*, pomyślała. *Zawsze, kiedy pomyślę, że nasze rady są nieudolne, powinnam przypomnieć sobie o tym.*

Mówca krzyknął, rycząc niewyszkolonym głosem, z mocnym wiejskim akcentem w swoim hiszpańskim: - Obywatele! Przez czterysta lat wszelkie ataki nieprzyjacielskie kończyły się niepowodzeniem. Wypędziliśmy Imperialnych!

*Cóż, to nie jest jakieś szczególne osiągnięcie*, pomyślała. A potem: *Bądźmy sprawiedliwi, było to wówczas, gdy Imperium stanowiło prawdziwą siłę. Wtedy to oni zagnali nas za ocean.*

- Przepędziliśmy Unię! Gdy statki Errifańczyków najeżdżały każde wybrzeże, mu zapędziliśmy ich z powrotem na morze! Zmusiliśmy Republikę do wycofania się z naszej wyspy Trois! W Sierrze każdy z nas jest wojownikiem, każdy!

*To zabawne, ale w większości miejsc połowę ludności stanowią kobiety*, pomyślała Gerta, podczas gdy delegaci wiwatowali szaleńczo.

- Więc niech ci zboczeńcy, w cipę jebani Wybrańcy się pieprzą! - Wiejski, góralski akcent zabrzmiał mocniej. - Niech brudni, chciwi Santanderczycy się pieprzą! Sierra szcza na nich wszystkich!

W końcu zegar zadzwonił, głośno i uporczywie. Obecny prezydent Rady Wykonawczej - każdy jej członek pełnił tę funkcję przez tydzień, w systemie rotacyjnym - odchrząknął, odbierając włącznię.

- Musimy, z uprzejmości, wysłuchać argumentów szacownego Thomasa Beemera, pełnomocnego ambasadora Republiki Santander w Sierrze.

*Zastępcy szefa Wydziału Badań Ministerstwa Spraw Zagranicznych*, przypomniała sobie Gerta. Oznaczało to, iż był odpowiednikiem zastępcy dowódcy Czwartego Biura w jej rodzinnym kraju, choć Wydział Badań nie pełnił funkcji związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym. Bardzo wysoko postawiony szpicel. Mały człowieczek, przypominający królika, łysy i spoglądający przez grube okulary. Ważne, by nie lekceważyć go z powodu wyglądu.

- Szacowni delegaci - powiedział Beemer. - Wybrańcy zajęli Imperium piętnaście lat temu. W ciągu kolejnych pięciu podbili Unię. Tylko wy, Sierranie, i my w Republice pozostajemy niepodlegli.

- Republika nie zamierza pozwolić Wybrańcom pożreć świata, ani jednym chapnięciem, ani podgryzając go po trochu. Jestem tutaj, aby oświadczyć, iż począwszy od północy Republika Santander ogłasza całkowitą blokadę morską Unii. Blokada ta zostanie utrzymana, aż wszyscy zagraniczni żołnierze zostaną wycofani i prawowity rząd zostanie wybrany w wolnych wyborach pod auspicjami Santander. Republika potraktuje pozwolenie Demokratycznej i Ludowej Sierry na to, by poprzez tranzyt lądowy obejść tę blokadę za poważne pogwałcenie przyjacielskich stosunków.

*Johnny mówił prawdę*, pomyślała Gerta, wciąż lekko zaskoczona. Najpierw blokada, a potem przejęcie Sierry we współpracy z prosantanderskimi i antywybrańcowymi frakcjami z kantonów. Przewyższały one nieco liczebnie neutralistów, co nie było zaskakujące, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej znalazła się Sierra. Nikt z obecnych nie popierał tak naprawdę Wybrańców. Byłoby to tak, jakby oczekiwać, żeby świnia popierała leoparda.

Tym razem ryk trwał przez dwadzieścia minut. Delegaci kręcili się, pokrzykując jeden na drugiego, potrząsali pięściami albo też używali ich i byli waleni przez swoich sąsiadów. Od czasu do czasu ktoś strzelał z karabinu, na szczęście w powietrze, choć kula musiała *gdzieś* spaść. Poselstwo Wybrańców siedziało w całkowitym milczeniu.

Przedstawiciele Krainy byli wyprostowani, a twarze mieli beznamiętne. Ich okrągłe czapki od mundurów spoczywały im na kolanach. Gdy hałas wreszcie umilkł, wstał Ebert Meitzerhagen, postąpił trzy odmierzone kroki do przodu i stanął w formalnej pozie.

Mężczyzna stanowił wyraźne przeciwieństwo Beemera, co było jednym z powodów, dla których wybrano go do tej roli. Jego krótko przycięte jasne włosy i błyszczące oczy odcinały się wyraźnie od głębokiej, mahoniowej barwy skóry. Jego twarz i bycza szyja pokryte były siateczkami blizn, a masywne ramiona napinały się pod kurtką munduru. Wielkie dłonie, zwisając po bokach, były sterane i sponiewierane, i były jak ogromne łopaty zdolne do rozerwania wołu bez pomocy narzędzi. Ogólnie wyglądał dokładnie na tego, kim był - na brutalnego, bezlitosnego zabójcę. Sierranie niekoniecznie dadzą się zastraszyć, lecz nie byli aż takimi głupcami, aby uwierzyć we wszystkie własne przechwałki.

- Sierranie - powiedział Meitzerhagen. - Nie pragniemy wojny z wami. Nie zgłaszamy żadnych roszczeń terytorialnych.

*Jak na razie*, pomyślała Gerta. Generał Meitzerhagen mówił jednak prawdę: Rada Wybrańców chciała teraz dekady pokoju. Gdyby tylko udało im się go uzyskać na własnych warunkach, które *nie* wiązały się z oddawaniem owoców zwycięstwa w Unii,

- Jeśli przyłączycie się do Santander, atakując nas i naszych sojuszników, to nie spodziewajcie się, że będziemy to potulnie znosić. Gdy ktoś nas uderza, my nie tylko odpowiadamy uderzeniem - miażdżymy go.

Wyciągnął otwartą dłoń i powoli zacisnął ją w pięść, pozwalając delegatom przyglądać się kostkom jego ręki, ogromnym i pokrytym bliznami.

Gerta przywołała w myślach mapę Sierry. Góry na północy i południu, i to wysokie - zbyt wysokie dla sterowców, poza kilkoma przełęczami, a nawet wówczas musieliby zbliżyć się nieprzyjemnie mocno do ziemi. Przez środek biegł łańcuch niższych gór, łącząc dwa poprzeczne łańcuchy górskie i rozdzielając dwa kliny żyznej niziny na zachodnim i wschodnim wybrzeżu. Wschodni klin był nawadniany przez Rio Arena, spod Nueva Madrid aż do Barclon u ujścia rzeki. Dolina Areny znajdowała się w samym sercu Sierry, tam, gdzie usadowiła się większość rolnictwa i ludności, choć narodowa mitologia koncentrowała się na pasterzach i gospodarzach z górskich lasów.

*To będzie bardzo skomplikowane*, pomyślała. *A my nie mamy wiele czasu.*

Na szczęście dobra sztabowa robota była specjalnością Wybrańców.

\* \* \*

Admirał Maurice Farr przerzucił do wolnej ręki koniec wskaźnika z wypolerowanego dębu, którym się posługiwał przy mapie. - Panowie, to koniec odprawy. Blokada rozpoczyna się o północy. - Spojrzał na zebranych kapitanów Północnej Floty. - Jakież pytania?

- Admirale Farr. - Odezwał się Jenkins, komandor eskadry zwiadowczej kontrtorpedowców. Był to krępy mężczyzna, wyglądający na kompetentnego, któremu brakowało ucha po potyczce na Południowych Wyspach. - Czy mógłbyś wyjaśnić reguły postępowania?

- Oczywiście, komandorze. Żadnym statkom, oprócz unijnych łodzi rybackich, nie wolno się zbliżyć na cztery mile do któregośkolwiek z portów Unii z tej listy ani na pięć mil do wybrzeża, ani też dokonywać wyładunku lub załadunku. Dacie ostrzeżenia. Jeśli ostrzeżenie zostanie zignorowane, wystrzelicie ponad dziobem statku. Jeśli ostrzegawczy strzał zostanie zignorowany, możecie albo dokonać abordażu, albo zatopić statek, wedle własnego uznania.

- A jeśli jest to okręt wojenny?

- Będziecie postępować, jak to przedstawiłem.

Dał się słyszeć lekki szmer pośród mężczyzn w niebieskich mundurach zebranych w pokoju konferencyjnym okrętu flagowego.

- Tak, panowie, jestem świadom, iż może to oznaczać wojnę. Tak jak jest tego świadom premier.

*I nie minutą za późno, jeśli ma dojść do wojny, pomyślał.* Przewaga Republiki w wielkich statkach zmniejszała się, jako że Wybrańcy wreszcie wdrożyli program ich budowy. W dość spokojnym tempie, ponieważ planowali wojnę za dziesięć lat, ale mieli na deskach kreślarskich pierwszorzędne projekty. Szczególnie jeden przyciągnął jego wzrok - ogromny, wyposażony w wielkie działa statek, o onieśmielającej szybkości, z tuzinem dwunastocalowych dział na czterech nadbudowanych potrójnych wieżyczkach z przodu i z tyłu środkowej wyspy. Jeśli działałby w sposób, jaki opisywał raport Johna, to nic na oceanie Visager nie mogłoby się do niego zbliżyć i przeżyć. Na szczęście jeszcze nawet nie zbudowali stępki, a ten konflikt rozegra się przy pomocy istniejących flot.

Flota Santander była tak gotowa, jak zdołał do tego doprowadzić. Pozostawało

tylko pytanie natury osobistej. *Czy jestem za stary?* Dowodzić flotą w okresie wojny musiał człowiek, który potrafił podejmować szybkie decyzje przy zmęczeniu i stresie. Maurice'a Farra dzielił rok od przymusowego przejścia na emeryturę. Czy powinien znajdować się za biurkiem w Charsson albo w domu, pracując nad książką? *Jestem dziadkiem mającym nastoletnie wnuki.* Przeprowadził samoocenę.

Utrzymywał się w dobrej kondycji, nie musiał też zgarniać węgla łopatą ani podnosić ładunków artyleryjskich do zamka. Nie dostrzegał zaników pamięci ani braku zdecydowania. *Nie. Mogą to zrobić.* Przemówił znowu.

- Dlatego też cały czas będziecie trzymać wasze okręty w gotowości, pod parą i gotowe do podniesienia kotwicy w przeciągu godziny. Wszystkie przepustki zostają cofnięte, a rezerwiści z marynarki i nie tylko zostali powiadomieni, iż mają się stawić na swoich stanowiskach.

Jenkins skinął głową. - Jeśli mogę, admirale, jak mamy utrzymać eskadrę blokującą wzdłuż południowego wybrzeża Unii? Bassin du Sud i Marsai są jedynymi dobrymi przystaniami i w pełni wyposażonymi portami pomiędzy Fursten a Sircusa.

- Południowa Flota - wspaniała nazwa dla zbieraniny kandydatów nadających się na złomowisko oraz uzbrojonych statków cywilnych, z zaledwie dwoma nowoczesnymi krążownikami - zablokuje Bassin du Sud i Marsai. Gdy zajdzie potrzeba, mogą otrzymać posiłki z Północnej Floty. Jeszcze jakieś pytania? Nie?

Weszli stewardzi z mesy, z tacami tradycyjnego, rozrzedzonego wodą rumu, po jednym kieliszku dla każdego z oficerów. Toast wygłoszony przez najstarszego rangą oficera był również zgodny z tradycją.

- Panowie, Republika i wolność!

- *Republika!*

## Rozdział dwudziesty pierwszy

- Niech to diabli!

Komandor Peter Grisson znowu spojrział przez lornetkę. Światło brzasku barwiło sterowiec Wybrańców zachwycającym różem; maleńki statek powietrzny prawie poza zasięgiem wzroku, na północy, daleko poza zasięgiem znajdujących się w dole statków. Wszystkie one miały nowe przeciwlotnicze działa o wysokim kącie nachylenia, lecz odległość była o wiele za duża.

*Nie znoszę tego cholerstwa*, pomyślał, żałując, że nie ma burzy. Widywało się trochę tych potworów tutaj, na południe od głównego kontynentu, gdzie aż do arktycznego lodu nie było nic poza wyspami, ani też pic, co zatrzymałoby wiatry wiejące na wschód i zachód planety. Jego statki, a przynajmniej niektóre z nich, mogłyby lepiej patrolować niż te latające worki z gazem.

Jednak ocean był niczym staw młyński, widać było jedynie śladową biel na wierzchołkach długich, ciemnobłękitnych fal. *Miasto McCormick* i *Randall* płynęły dalej, zmierzając na wschód i północny wschód, ku swoim stanowiskom przy południowym wybrzeżu Unii. Rozwijały osiem węzłów, znacznie mniej niż wynosiła ich prędkość podróżna, ponieważ większość kanonierek oraz jachtów z rezerwy marynarki wojennej i innych podobnych jednostek znajdujących się wokół nich nie było w stanie rozwinąć więcej. Z pewnością nie były w stanie tego zrobić te żalodne mieszańce - o drewnianych kadłubach z żelaznym pancerzem - te relikty składające się na pozostałe sześć krążowników. Żaden z jego dwóch najlepszych statków nie był nowy, ale przynajmniej miały stalowy kadłub i pancerz, a ostatnio obydwie przeszły znaczną odnowę, zostały właściwie przebudowane.

Wtem światelko zaczęło pobłyskiwać na dziobie sterowca. Grisson wygładził wąsy nerwowym ruchem. *Co zrobiliby wuj Maurice?* - pomyślał i spojrzął na kapitana *Miasta McCormick*.

Kapitan opuścił własną lornetkę. - Oczywiście zakodowane - stwierdził neutralnym tonem.

- Oczywiście. Ale zwiadowcze sterowce Krainy mają radia.

- Siły zbrojne Krainy nie wykorzystywały radia tak często na lądzie, jak robiła to Republika, lecz miały mnóstwo nadajników przeznaczonych do służby na morzu. - Zatem ten, do kogo nadaje, jest *blisko*.

Grisson pomyślał przez chwilę. Zasady postępowania i jego własne rozkazy z admiralicji pozostawiały sprawę właściwie całkowicie do jego uznania. Wuj Maurice na pewno nie siedziałby z palcem w dupie, czekając, aż coś się wydarzy.

*Nie mogą uciec*, to wiedział. Wiadomości wywiadu dotyczące sił marynarki Krainy i ich unijnych sojuszników były skąpe, lecz cokolwiek tam mieli, było najpewniej szybsze niż zbieranina tworząca jego eskadrę. *Dlatego też...*

- Eskadra, zmiana kursu - powiedział, podając nowe namiary. - Dać sygnał: *załoga na miejsca i zagrać: maksymalna gotowość*. Moje uszanowanie dla komandora Huskinsona i kontrtorpedowce mają zająć miejsce w szyku. Powiedz mu, iż ufam całkowicie w zdolności zwiadowcze jego statków. Żadnemu statkowi nie wolno wystrzelić, chyba iż sam zostanie ostrzelany lub na mój rozkaz.

Rozszalały się dzwonki, wypaliły działa sygnalizacyjne, podoficerowie sygnalizacyjni wywiesili chorągiewki na maszcie trójnożnym *Miasta McCormick*. - Och, i dajcie ogólny sygnał: *Republika oczekuje, iż każdy człowiek spełni swój obowiązek*.

Pancerne płyty zostały podniesione na mostku o kształcie podkowy, pozostawiając jedynie szczeliny umożliwiające wyglądanie. Podoficer sygnalizacyjny pochylił się nad notatnikiem koło odbiornika radiowego, rozszyfrowując wiadomość.

- Panie. Od niszczycieli.

Grisson wziął żółty papierek.

*Atakowany przez dwusilnikowe samoloty Krainy, stop, ponad tuzin, stop, pióropusze dymu zauważone na północnym wschodzie, minimum osiem statków, zbliżają się szybko, stop*.

Na chwilę w umyśle Grissona zapanowało zamieszanie. Odległość od brzegu

wynosiła dwukrotnie więcej niż maksymalny zasięg jakiegokolwiek wykonanego w Krainie samolotu. *Przestań*, powiedział sobie. *To się dzieje. Zajmij się tym.*

- Daj sygnał: czekać na mnie, stop, posuwam się na waszą pozycję z największą szybkością, stop.

Operator stukał w klawisz radia. Skupiał się na nim wzrok wszystkich na mostku. Grisson czuł słony pot na górnej wardze. Całe zawodowe życie wiedział, że ten moment musi nadejść - od czasu, gdy był zasmarkanym nastolatkiem, podporucznikiem marynarki na tym właśnie statku, kiedy to Maurice Farr stawiał czoła Wybrańcom w Salini i ocalił pięćdziesiąt tysięcy ludzi. *Spodziewałem się tego, ale nie tak szybko.*

- Dać znać flocie: maksymalna szybkość. - Całe dziesięć węzłów, jeśli mieli trzymać się razem. - Dodać: jesteśmy w stanie wojny. Należy się spodziewać samolotów nieprzyjaciela, zanim staniemy do walki na morzu. Plan alfa. Potwierdzić odbiór. Stop. Powtarzać sygnał, aż wszystkie jednostki potwierdzą odbiór.

Niektórzy z rezerwistów pewnie będą mieli problemy z odczytaniem sygnałów, a on nie chciał, żeby ktoś popędził sam.

Wszyscy westchnęli, częściowo z ulgi. - Sygnalista - ciągnął, zwracając się do operatora radia - czy masz kontakt z Karlton?

- Tak jest.

- Zatem prześlij. Komandor Grisson do kwatery głównej marynarki. Południowa Flota zetknęła się z siłami marynarki Krainy i Unionistami Liberta. Nie sprowokowany atak na międzynarodowych wodach. Przyjmuję walkę. Nieprzyjacielska dwusilnikowa aerodyna atakująca zauważona w odległości przekraczającej dwieście mil morskich od brzegu. Niech żyje Republika. Grisson, dowódca, Południowa Flota. Stop. Powtarzać, aż uzyskasz potwierdzenie.

- Tak jest.

Silniki pod jego stopami huczały szybciej. Palacze pewnie będą go przeklinać. *Niesubordynowane gnojki*, pomyślał, a ta oderwana myśl wytrąciła go z napięcia skręcającego mu żołądek. Odetchnie z ulgą, gdy cała flota wreszcie przejdzie na silniki napędzane ropą i turbinami. Kilkudziesięciu palaczy mogło przysporzyć więcej problemów dyscyplinarnych i karnych przesłuchań niż cała załoga okrętu wojennego.

Żadna ze stron nie będzie miała tutaj ciężkich okrętów... przynajmniej tak mówiły raporty. Wybrańcy posiadają całą eskadrę nowoczesnych krążowników w Bassin du Sud: sześć okrętów klasy *von Spee* - statek, od którego ta klasa wzięła swoją nazwę



oraz pięć podobnych. Siedem tysięcy pięćset ton, silniki turbinowe - jednak napędzane węglem, w Krainie brakowało ropy - cztery ośmiocalowe działa na podwójnych wieżyczkach z przodu i z tyłu, każdy z potrójną sześciocalową wieżyczką na cokole nadbudówki. Wyposażone były również w pompomy i szybkostrzelne działka. Mieli także eskadrę dwunastu kontrtorpedowców, a krążowniki posiadały luki torpedowe. Torpedy Krainy były świetne.

- Kapitanie - powiedział. - W porządku, będą mieli przewagę zarówno w tonażu dział, jak i w torpedach, ale już mniejszą przy sile ognia. Będziemy się starali utrzymać optymalną odległość do ostrzału ciężkich okrętów i walić w nie. Przez ten czas zbliżą się lżejsze jednostki z torpedami. Kanonierki i pozostali mają ruszyć do walki z ich niszczycielami.

- A co z naszymi niszczycielami, panie?

- Zamierzam je wysłać przeciwko krążownikom. Ich nieprzyjacielskie odpowiedniki mają przewagę liczebną. Musimy mieć nadzieję, że któremuś z naszych się poszczęści. Kilka strzałów może zdecydować o wyniku rozgrywki, w tę czy tamtą stronę.

*I dzięki niech będą Bogu, że podniesiono w zeszłym roku ilość wydawanej amunicji ćwiczebnej.* Ktoś w kwaterze głównej marynarki uparł się, aby nie przeznaczać całej zwiększonej rezerwy finansowej na nowy budynek.

*Miasto McCormick* zaczęło się mocniej huścić, gdy skręt na północ sprawił, iż morze naparło na całą szerokość statku. Po niecałych piętnastu minutach Grisson dostrzegł dym czwórki swoich trzykominowych niszczycieli, a za nimi szaroniebieską smugę, która musiała oznaczać wroga. Czarne punkciki krążyły po niebie nad niszczycielami, pikując i nurkując po kolei. Małe stateczki zwiadowcze kluczyły i skręcały, aby ich uniknąć, kreśląc kręgi białej piany na ciemnym błękitcie oceanu. Ich pompomy i szybkostrzelne działka podniesione pod wysokim kątem wpatrywały się w górę, wyrzucając obłoczki czarnego dymu w modre niebo.

- Dać sygnał niszczycielom - powiedział Grisson. - Ignorować samoloty i ruszać na krążowniki.

Samoloty nie mogły nieść tylu bomb, aby być naprawdę niebezpieczne, a szansa, że trafią w poruszający się cel, nie była tak duża, by się o to martwić.

Krążowniki Krainy były teraz widoczne, a ich osłona z przypominających skorupy żółwi niszczycieli posuwała się przodem. Zaroilo się od wysuwających się do przodu mniejszych jednostek Santander. Poruszały się one chaotycznie, lecz równie ochoczo

jak terier atakujący mastiffa.

- Sygnał: ognia po zajęciu pozycji - powiedział cicho Grisson.

\* \* \*

*Gdybyś tylko wiedział, jak prosiłam i błagałam, aby ocalić twoją żalostną dupę,* pomyślała Gerta, uśmiechając się do dyktatora Unii.

Przynajmniej generał Libert nauczył się ignorować jej płęć - podejrzewała, iż uważał on, że Wybrańcy i tak należą do innego gatunku. Był tu dzisiaj w Unionvil uprzejmy. Nie miał powodu nie być, osiągnął swoje cele.

- Krótko mówiąc, Rada Krainy oczekuje ode mnie, iż wypowiem wojnę Santander - rzucił sucho. - Co proponujecie na zachętę?

*Nie zastrzelimy cię i nie zajmiemy tego miejsca od razu,* pomyślała Gerta. *Wykorzystałam każdy dług i przysługę, jaką byli mi winni, aby przekonać sztab generalny, iż nie jest to opłacalne. Nie każ mi myśleć, że się myliłam.*

- Generale Libercie, jeśli tego *nie* zrobisz, a my przegramy tę wojnę, to Santanderczycy mają pewnego generała Gerarda, który czeka za kulisami, aby cię zastąpić. Przy pomocy swojej armii, obecnie rozstawionej wzdłuż granicy Santander z Unią. Bardzo wątpię, aby Republika czyniła rozróżnienie między wami a nami w formalnym wypowiedzeniu wojny, które powinno przejść przez Izbę Zgromadzenia lada godzina.

Libert skinął głową. Wyglądał jak nieistotna mała bryłka na tle wspaniałości rzeźbionego i złoconego drewna pałacu prezydenckiego, pod wysoko sklepionym sufitem pomalowanym w alegoryczne freski. W tym miejscu panowała atmosfera jak w kościele, tym bardziej, że Libert pozwalał na niekończące się dziękczynne procesje z kadzidłem i tłoczącymi się księżmi. Większość zwolenników Liberta pochodziła z bardziej pobożnych obszarów Unii.

Oczy generała były zimne i niezmiernie przebiegłe. - A jeśli *wygracie*, brygadierze, jaką przewagę w negocjacjach zachowujecie?

- Masz swoją armię - zwróciła uwagę Gerta. - Wyposażoną i uzbrojoną naszym kosztem.

Libert zachował milczenie.

- Będziecie też mieli dodatkowe terytorium. Jestem upoważniona do zaproponowania ci całego obszaru znanego dawniej pod nazwą Sierra Democratica y Populara, z prawami do wojskowego tranzytu, prawami do wydobycia surowców,

prowadzenia inwestycji oraz korzystania z baz marynarki w czasie wojny i po niej. Pod warunkiem, że w miarę swoich możliwości pomożesz w pacyfikacji tego terenu. My dostaniemy Santander. To sprawiedliwa wymiana, biorąc pod uwagę stopień wojskowego zaangażowania.

Libert uniósł brew. - Proponujecie przekazanie terytorium, które sami zdobędziecie? To hojne.

- Quid pro quo - powiedziała Gerta. *A teraz pytanie brzmi, czy Libert zdaje sobie sprawę, że zwrócimy się przeciwko niemu, jak tylko załatwimy się z Santanderczykami? Jest on raczej realistą, lecz może nie rozumieć ogromu ambicji Wybrańców.*

Libert popił ze szklanki z wodą stojącej przed nim. - Sierranie są znani z... uporczywości - powiedział. - Studiowałem kroniki dawnych wojen unijno-sierrańskich. Można to porównać do podarowania plastra miodu bez usunięcia pszczoł i ich żądeł.

- Zamierzamy wykurzyć pszczoły dymem - powiedziała Gerta. - Albo, mniej poetycko, zamierzamy przy twojej pomocy wybić ludność Sierry. Twoi ludzie nie przepadają za Sierranami - był to eufemizm - a po wojnie możecie cały teren zasiedlić własnymi poddanymi. Oznaczać to będzie przyznanie ziemi żołnierzom, posiadłości oficerom oraz dziewicze pole dla twoich zwolenników-przemysłowców - łącznie z nienaruszonymi fabrykami, kopalniami i budynkami. Pozostawimy dość Sierran do wypełnienia obozów pracy.

- Ach. - Libert miał beznamiętny wyraz twarzy. - Ale tymczasem Unia będzie potrzebowała znacznego wsparcia w celu podjęcia wojny za granicą, tak niedawno po naszej wojnie domowej.

- Czy możesz mówić bardziej konkretnie? - spytała ze znużeniem Gerta.

- Właściwie to, brygadierze...

Przesunął bezszelestnie teczkę ku niej po stole z polerowanego mahoni. Otworzyła ją i niemal się zadławiła. Ropa, pszenica, wołowina, stal, chemikalia, maszyny, ciężarówki, broń - łącznie z czołgami i samolotami.

- Jestem... - Gerta zacisnęła zęby i starała się utrzymać normalny ton głosu. - Jestem pewna, że coś się da załatwić. Jednak, jak się domyślasz, generale, musimy uderzyć *zaraz*.

- To rzeczywiście byłoby optymalne wojskowe posunięcie - powiedział Libert. *A więc musicie mi dać, o co proszę, albo ryzykować opóźnienie nie do przyjęcia, pozostało niedopowiedziane.*

- Skonsultuję się z moimi przełożonymi - powiedziała. - Musimy mieć jednak definitywną odpowiedź przed świtem.

*Albo cię zabijemy i sami zajmiemy to miejsce,* pozostało tak samo niedopowiedziane i zrozumiane. Gerta wstała, zasalutowała i wyszła.

- Dlaczego tolerujemy nieposłuszeństwo tego bydlęcia? - wyszczał do niej młody Johan Hosten, gdy obcasy ich butów odbijały się miarowym echem w rokokowej elegancji pałacowych sal.

- Ponieważ, jeśli Libert będzie współpracował, zyskamy dodatkowych dwieście tysięcy żołnierzy - powiedziała. - Większość z nich jest zdolna do służby jedynie jako żołnierze liniowi, ale to w dalszym ciągu oznacza dziewięć dywizji, jakich *nie* musimy oddelegowywać do garnizonowej służby. Plus kolejne sto tysięcy, których *nie* musimy użyć do utrzymania Unii w ryzach na naszych tyłach, podczas gdy my walczymy z Santanderczykami.

Jej adiutant zapadł w zdyscyplinowane milczenie - zdyscyplinowane ale ponure.

*Ostateczne rozprawienie się z Libertem sprawi mi frajdę,* pomyślała. A na głos powiedziała: - Wolałabym mieć borowane trzy zęby, niż przechodzić znowu przez negocjacje z nim, to prawda - powiedziała.

- Brygadierze...

Gerta rzuciła spojrzenie w bok. - Mów. Nie będziesz się uczyć, jeśli nie będziesz zadawać pytań.

- Byłaś przeciwna rozpoczynaniu wojny z Santander tak wcześnie. Czy zmieniłaś zdanie?

- To nieważne - rzekła. - Decyzja zapadła. Dokonaj podboju lub giń. - Westchnęła. - Przynajmniej moje następne zadanie, to proste zadanie bojowe.

\* \* \*

Desant z powietrza nie był już radykalnie nowym pomysłem. Większość żołnierzy wsiadających jeden za drugim do sterowców umieszczonych w łóżach do lądowania była zwykłymi protegowanymi piechurami, poruszającymi się ze stoicką cierpliwością w chłodnym powietrzu przed świtem. Kilka najważniejszych celów wciąż wymagało odwiedzin kogoś z komanda sztabu generalnego, a ona skończyła jako jego naczelny dowódca. Gerta rozejrzała się po twarzach oficerów. Wydawały się one nieprzyzwoicie młode. W większości równie młode jak jej w Coronie. Znowu *deja vu*, pomyślała.

- To kończy odprawę. Czy są jakieś pytania?

- Nie, brygadierze! - odpowiedzieli chórem.

Pewni siebie. To dobrze, jeśli się tylko nie przesadzało. Większość z nich miała więcej doświadczenia niż ona wtedy. Mieli politykę rotacji oficerów w czasie wojny z Unią, tylu ich się da, bez zbytniego niszczenia spójności jednostki.

- Ostatnia rzecz. Sierranie przechwalają się w podobny sposób, jak robiły to tutejsze bydłeta, zanim zdobyliśmy Imperium. Mają na to nazwę w swoim języku... *machismo*, jak sędzę. Istnieje jednak pewna istotna różnica między nimi.

Rozejrzała się dokoła, patrząc im w oczy. - Sierranie *naprawdę* tak myślą. Nie potrafiliby zorganizować orgii w burdelu, ale nie przewrócą się też na plecy po pierwszym trzaśnięciu batem. Nie spieprzcie tego tylko dlatego, że będziecie się spodziewać ich ucieczki.

- *Tak jest!*

Gdy rozeszli się do swoich jednostek, przez chwilę zastanawiała się, czy potraktowali poważnie to ostrzeżenie. Pewnie tak. Większość z nich miała dość doświadczenia, aby nie brać dosłownie legend o niezwycięzonych Wybrańcach.

- I od nowa - wymruczała na głos.

- Brygadierze? - spytał adiutant.

Dosyć formalne zachowanie, wzięwszy pod uwagę, iż byli sami, a Johan Hosten był jej najstarszym synem, lecz byli w wojsku, a nie sytuacji towarzyskiej. A Johan był cały czas świadom tego, że stał się dorosłym; dopiero co przeszedł próbę życia. To uczucie też pamiętała.

- To mi przypomina desant na Coronę - powiedziała. Było to pół mojego życia temu. *Dlaczego czuję, iż ciągle robię od nowa to samo, tylko że za każdym razem jest to trudniejsze, a rezultaty są słabsze?* Wszystko takie samo, aż po woń spalonej ropy diesla. Napięcie było gorsze. Teraz wiedziała, w co się pakowali. Zapięła hełm, przerzuciła przez ramię karabin maszynowy i zaczęła zakładać cienkie, czarne, skórzane rękawice, gdy szli ku strefie załadunkowej. Drewno zadudniło pod ich butami, gdy wspinali się po przenośnej rampie do bocznych drzwiczek gondoli wbudowanej w kadłub pod wielkimi komorami gazowymi. Wymijała ich załoga, gdy zmierzali do głównej hali załadunkowej. Tym razem nie dowodził Horst Raske. Raske był w nowym powietrznym lotniskowcu, pracując z Krajową Flotą mającą bazę w Składaniu Przysięgi.

*Co za popapranie, pomyślała. Santanderczyki budują lotniskowce, a my tracimy sześć miesięcy na gierki, kto zbuduje nasze.* Rady podjęły wreszcie decyzję z

icie salomonową mądrością - Gerta czytała chrześcijańską „Biblię” w czasie szkolenia w wywiadzie - aby podzielić całą operację. Budowanie kadłuba należało do marynarki. Samoloty oraz personel plus logistyka, szkolenie i działania były sprawą Rady Lotniczej. Marynarka przejmie dowodzenie, gdy flota znajdzie się na morzu. *Jak uspaniale się to przysłuży operacyjnej efektywności*, pomyślała. Przynajmniej udało jej się przekonać ojca, aby wyznaczył Raskego, który nie mylił sporów kompetencyjnych i lojalności względem jednostki z obowiązkiem wobec Wybrańców.

W hali załadunkowej znajdowała się kompania komanda generalnego sztabu plus lekko opancerzony pojazd na wyściełanym łożu spoczywającym w specjalnie wzmocnionej części kadłuba. Był to jeden z modeli z silnikiem wewnętrznego spalania. Ktoś ustawił z przodu w gotowości korbę w gnieździe, pod szczelinami wentylacyjnymi opancerzonej chłodnicy. Pojazd wyglądał jakoś nie na miejscu w ładowni sterowca - brutalny blok stali w jednostce jednocześnie masywnej i kruchej jak pajęczyna. Mieli za zadanie pozbycie się naczelnego dowództwa Sierran, jakiegokolwiek by ono nie było. Choć, szczerze mówiąc, to miała wątpliwości, czy to zwiększy, czy zmniejszy opór Sierran.

- Przygotować się - powiedziała. - Startujemy za pięć minut.

Przykucnęli, opierając się o plecaki i chwytając za klamry przymocowane na ścianach i podłodze. Stanowisko Gerty znajdowało się przy wyjściu awaryjnym. To dawało jej widok z wąskiej szczeliny okiennej. Z góry dobiegły odgłosy dudnienia i trzaskania, gdy gorące powietrze z silnikowych spalin wpuszczano do balonetów komór gazowych. Dało się słyszeć dudnienie z dołu, gdy woda wylaływała ze zbiorników balastowych. Podłużna, przypominająca łzę sylwetka sterowca zadrżała i zatrzęsła się, a potem skoczyła ku górze, gdy uwolniono haki kołyski załadunkowej.

Sterówce wyruszyły tym razem licznie. Widziała, jak unosiły się w ustalonym szyku, jeden za drugim, skręcając i wznosząc się do lżejszej warstwy atmosfery. Powietrze było spokojne, tak, że sterowiec poruszał się niczym łódź na nieruchomej wodzie młyńskiego stawu. Czuło się tylko lekkie kołysanie, gdy krążył, nabierając wysokości. W dole baza lotnicza tworzyła wzór ostrych łukowych świateł na płaskiej nadbrzeżnej równinie na północnym brzegu Cieśniny. Nie było widać morskiej floty głównej armii. Flota opuściła port prawie dzień wcześniej, aby zsynchronizować atak. Były tam jednak dwupłatowe myśliwce i dwusilnikowe jednostki wspomagające, które eskortowały sterówce. Gdy Gerta tak wyglądała przez małe, kwadratowe okienko z boku kadłuba, zobaczyła, jak eskadra pozostała w tyle, aby pobrać paliwo z

tankowców na końcu floty.

Zakładało się linę ubezpieczającą i wdrapywało na górne skrzydło, a wiatr próbował cię zrzucić - czasami tak się działo i musiałeś się wciągnąć z powrotem na górę. Przy jednoosobowym samolocie ktoś ze sterowca musiał się ześliznąć w dół na szelkach po wyginającym się i strzelającym wężu. Potem trzeba było przymocować zawory, dokręcić je mocno i utrzymywać małe samolocik i ogromny sterowiec poruszające się z dokładnie tą samą szybkością, w przeciwnym bowiem razie wąż odpadał albo zawór odrywał się od skrzydła wraz z gwintami. Jeśli by do tego doszło, to cały samolot mógłby zostać zbryzgany benzyną, a benzyna uderzając o rozgrzaną metalową powierzchnię samolotu, mogłaby wybuchnąć...

Podniosła głos: - Słuchać!

Znajdowali się teraz nad morską flotą. Były tu setki transportowców pochodzących z portów całego północnego wybrzeża Cieśniny, eskortowane przez eskadry krążowników i niszczycieli. Statki pozostawiały białe groty strzał na zielono-niebieskiej wodzie sześć tysięcy stóp niżej.

- Wspaniale - wyszeptał Johan Hosten.

Tym razem Gerta skinęła głową. Było to *wspaniale* osiągnięcie - przerzucenie do miejsca działań w krótkim czasie stu tysięcy żołnierzy w pełni wyposażonych i poinstruowanych oraz wspomagającej ich broni.

*Ale mieliśmy walczyć z Santander za jakieś pięć, osiem lat. Wtedy mielibyśmy gotowe nowe pancerniki, kolejne pięćdziesiąt dywizji i tysiąc czołgów. A teraz... reagujemy, a nie inicjujemy. To nieprzyjaciel powinien odpowiadać na nasze ruchy, a nie my na jego.*

- Trzydzieści minut do zrzutu!

\* \* \*

- To jest ten nowy! - krzyknął Jeffrey ponad odgłosem eksplozji.

- To jest zbyt, cholera, swojskie jak dla mnie - stwierdził ponuro John, sprawdzając swój karabin.

Była to wykonana w Sierrze kopia broni Wybrańców. Udało im się wprowadzić pewne ulepszenia, głównie dlatego, iż wszystko zostało wykonane starannie. Na Boga, nie było *tutaj* żadnego cięcia po kosztach i używania lichej rudy, co oznaczało, że miała je tylko połowa Sierran. Reszta musiała się zadowolić bronią na czarny proch, z rurowym magazynkiem pod lufą, także stanowiącą doskonałą rzecz w swojej klasie.

- Dałem się złapać w zbyt wielu cholernych inwazjach prowadzonych przez Krainę.

- Tak, ale to pierwszy raz, gdy jesteśmy w niej *razem* - zwrócił uwagę Jeffrey. W jego rudawych włosach widać było ślady siwizny, lecz uśmiech odjął mu lat.

- Chodźmy się do czegoś przydać.

- Ano. Tym razem żadnego chowania się po ambasadach - rzekł z powagą Jeffrey.

- Cholernie szkoda Grissona. Był dobrym człowiekiem, tata bardzo go cenił.

- Zginie jeszcze wielu innych dobrych ludzi, zanim wojna dobiegnie końca - powiedział John.

- Miejmy nadzieję, że nie my... Uważaj!

Pomieszczenie zatrzęsło się od ledwo co chybionego strzału. Pył i kawałki tynku spadały dokoła nich. Ambasada Santander znajdowała się w nadbrzeżnej Barcelon, gdzie załatwiano większość spraw, a nie w położonym w głębi lądu Nueva Madrid, formalnej stolicy. Obecnie oznaczało to, iż Barcelon leżało w zasięgu ośmiocalowych dział znajdujących się u brzegu krążowników Krainy, a także samolotów. Sierrańska milicja przeciwlotnicza wyrzucała w niebo sporo metalu. Zbyt wiele, aby sterowce mogły żeglować spokojnie w górze i zrzucać swoje ogromne ładunki bomb, za co trzeba było być jej wdzięcznym.

Kobieta z ambasady zbiegła po schodach, wymachując notatnikiem. Twarz miała bledszą niż pył z tynku, który obsypał jej twarz i sukienkę.

- Zrzucają żołnierzy na Nueva Madrid - powiedziała, nieco podnosząc głos. - Atakują też od północy i południa przez góry. Sanlucar upadło - ostatnia depesza mówiła, że pociski wybuchają wewnątrz fortecy.

John uniósł brwi. Było to główne miasto forteczne strzegące przełęczy prowadzących ze starego Imperium na południe, do Sierry.

Kobieta opowiadała dalej: - A Rada Wybrańców wygłosiła oświadczenie, domagając się, abyśmy ogłosili naszą absolutną neutralność w wojnie sierrańsko-kraińskiej oraz „zaprzestali wszelkich wrogich i nieprzyjacielskich działań”.

Ambasador Beemer pokiwał głową, sprawdzając staromodny rewolwer w naramiennej kaburze znajdującej się pod formalnym surdudem.

- Nie mają co na to liczyć - powiedział. Spojrzał na Johna i Jeffreya. - Admirał Farr nigdy mi nie wybaczy. Powinienem był was odesłać do domu wczoraj.

- Obydwaj uważaliśmy, iż Wybrańcy zaczekają, aż Sierranie zagłosują - powiedział John.



- A czemuż to? Widać było wyraźnie, jaki będzie wynik. - Beemer zawahał się. - Wyrzucą tutaj żołnierzy?

- To pewne jak to, że w Pokips hodują kukurydzę - stwierdził Jeffrey. - Koordynacja jest ich mocnym punktem. Właściwie, to możliwe, że teraz właśnie lądują po obu stronach miasta.

Nikt nie da się już nabrać na „statki kupieckie” pełne żołnierzy, nie po ataku na Coronę. Nie dało się jednak zapobiec temu, aby statki wałęsały się wzdłuż brzegu.

- A zatem, sądzę... cóż, zgodnie z procedurami dyplomatycznymi, Wybrańcy powinni nas internować i wymienić na personel z ich własnej ambasady w mieście Santander.

W słowach Beemera brakowało przekonania. John pokiwał głową... - Panie, radziłbym popełnienie samobójstwa przed wpadnięciem w ręce Wybrańców - zakładając, że przedostaniesz się przez opanowanych żądzą mordy protegowanych przybywających w pierwszej fali. Jeśli Wybrańcy wygrają, to międzynarodowe prawo nie będzie już istniało, bo będzie tylko jeden naród. A jeśli przegrają, to nie będą się przejmować własną winą.

Beemer rozejrzał się, jakby oceniał szanse. Od północy i południa armie Krainy napływały przez górskie przełęcze do Sierry. Na zachodzie znajdowali się Wybrańcy...

- Panie, poczyniłem przygotowania, tak na wszelki wypadek. Jeżeli uda nam się dostać do doków...

Beemer zaczął protestować, ale potem skinął głową. - Jesteś pomysłowym młodzieńcem - rzekł łagodnie. - Zbiorę naszych ludzi.

Na szczęście było obecnych tylko jakieś pół tuzina obywateli Santander. Większość z nich odesłano do domu w zeszłym tygodniu, gdy kryzys się rozpoczął. Nie było tu żadnego z sierrańskich pracowników. Pół godziny temu udali się już na swoje milicyjne posterunki, aby włączyć się do walki. Mogli się zatem pomieścić w dwóch limuzynach z ambasady, przy niewielkim tylko ścisku. John zajął miejsce obok Harry'ego Smitha, przyklękając na jedno kolano, z karabinem w gotowości.

- Jak za starych czasów, co? - powiedział.

Smith uśmiechnął się przez zaciśnięte usta. - Barrjen będzie wkurzony jak jasna cholera - powiedział. - Tym razem namówiłem go do pozostania w domu.

Przeleciała kolejna salwa ciężkich pocisków, gdy limuzyna właśnie przejeżdżała przez bramę ambasady. Pociski uderzyły w górze zbocza, a podmuch i gruz odbiły się z grzechotem od cienkiego metalu samochodowych dachów. John miał przed sobą

panoramiczny obraz płonącego Barclon - słupy znajomego, tłustego, czarnego dymu bijącego w niebo. Widział również działa okrętów marynarki Krainy. Nie było żadnych pancerników, ale *było* kilka strasznie dziwnie wyglądających statków, bardziej przypominających ogromne, opancerzone barki niż konwencjonalne okręty wojenne. Każdy miał na środku otwartą platformę armatnią i wystającą z niej przysadzistą lufę ciężkiej, fortecznej haubicy.

*Cóż, myślę, że to wyjaśnia, co stało się z nadbrzeżnymi fortami*, pomyślał John. Nadbrzeżne forty były zaprojektowane do odpierania ostrzału dział marynarki o dużej prędkości wyrzucania pocisku, broni o płaskiej trajektorii. Były właściwie bezbronne wobec spadających z góry pocisków. *Lepiej ruszajmy szybko*.

>>Szacunkowy czas do wylądowania Wybrańców w samym Barclon wynosi mniej niż trzydzieści minut<< powiedziało Centrum.

Samoloty Krainy krążyły nad miastem, wypatrując dział marynarki. John spojrział na nie, wykrzywiając się w duchu z nienawiści.

*Przysiągłbym, że pomysł z tym sterowcem-lotniskowcem był zupełnie bezsensowny*, pomyślał.

>>I był, chłopcze<< rzekł cicho Raj. >>Domyślam się, że cofnęli się do czegoś mniej ambitnego - używają sterowców do wożenia paliwa i organizują tankowanie w powietrzu.<<

>>Zgadza się. Prawdopodobieństwo zbliżone do pewności.<<

Ulice Barclon były zaskakująco wolne od tłumów. A ludzie, którzy pozostali, zdawali się poruszać, mając jakiś cel. Uzbrojeni mężczyźni zmierzali w stronę doków lub przedmieść na południu. To samo robiły kobiety z opaskami punktu medycznego lub niebieską kropką obrony cywilnej. Smith trzymał nogę na gazie i robił użytek z klaksonu. Za flotą Krainy pojawiało się coraz więcej barek - przybrzeżnych jednostek pospiesznie przerobionych do wojskowych celów. Czarno na nich było od ludzi. Za nimi znajdowały się lżejsze statki, kanonierki i niszczyciele, sprowadzone, aby dać wsparcie ogniowe lądującym grupom przy pomocy szybkostrzelnych działek i pompomów.

- Tutaj! - krzyknął John.

Limuzyna zatrzymała się gwałtownie, a obywatele Santander wysypali się z niej i ruszyli naprzód. Jeffrey i Henri zamykali pochód. John zatrzymał się, aby wrzucić granaty do zbiorników na paliwo w obu samochodach. Zawlecзки miały wyciągnięte, lecz łyżki owinięte taśmą. John miał nadzieję, że jakiś patrol z Krainy będzie

posługiwał się samochodami, gdy benzyna rozpuści samoprzylepną taśmę.

Zatrzymali się przed krytą przystanią w rybackiej części portu - typową długą szopą z drzwiami otwierającymi się na wodę, gdzie można było wciągać łódź na toczysku. Była ona solidniejsza niż większość, lecz równie odrapana.

- Czy sądzisz, że łódź zdoła się przemknąć koło floty Krainy? - spytał z powątpiewaniem Beemer.

John otworzył kluczem drzwi. - Nie, nie sądzę, panie - powiedział. - Dlatego też...

Nawet słysząc odgłos bombardowań, kilka osób z personelu ambasady stanęło, gapiąc się. Wewnątrz przypominającej mroczną stodołę szopy znajdował się duży dwupłatowiec. Każde z jego niższych skrzydeł miało dwa silniki zamontowane obok siebie, ze śmigłami na krawędzi spływu i natarcia. Kadłub samolotu był gładkim owalem z prasowanej sklejki, przeciętym okrągłymi okienkami. Kokpit był oddzielony, otwarty, z szybą z przodu. Dwa chłodzone powietrzem karabiny maszynowe zamontowano na ukośnym pierścieniu w środku kadłuba, gdzie łączyło się z nimi górne skrzydło. Samolot opierał się na dwóch długich pływakach przypominających wywrócone canoe.

- Zatankowany i gotowy do jazdy - powiedział John. - To prototyp. Marynarka zamawia ich tuzin. Jeff! Niech się zabiorą za śmigła!

Ostre światło słoneczne sprawiło, że John zamrugał, gdy otwarto wielkie odsuwane wrota. Samolot zaczął dygotać, gdy ludzie zakręcili śmigłami, a silniki ożyły z warkotem, wypuszczając obłoczki niebieskiego dymu. John obejrzał się ku wnętrzu samolotu. Unijny ochroniarz Jeffa zajmował miejsce na stanowisku ogniowym przy karabinie maszynowym, zaś jego przybrany brat wśliznął się na drugie siedzenie przy pulpicie sterowniczym. Smith tymczasem pokazywał przestraszonemu personelowi ambasady, jak się zapina pasy bezpieczeństwa. Ludzie właśnie zajmowali miejsca po obu stronach wielkiego dwupłatowca.

- Dobry pomysł - powiedział Jeffrey.

- Lubię gadzety - stwierdził John. Spojrzał przed siebie. - Nie sądziłem jednak, że Wybrańcy sprowadzą tu samoloty do wsparcia desantu.

- Ja też nie. - Jeffrey przesunął rękoma po pulpicie sterowniczym. - Czy to ja mam lecieć?

- To ty jesteś ekspertem, Jeff.

Jeffrey Farr nazbierał rekordową ilość doświadczeń w walce lotniczej nad Unią. Częściowo wynikało to z wrodzonego talentu, lecz także z tego, że Centrum mogło

ustawić mu przed oczami absolutnie bezbłędny celownik, z łatwością wyliczając skomplikowane balistyczne dane pozwalające na oddanie strzału z szybko się poruszającego samolotu do innego równie nieuchwytnego celu.

Ryknęły silniki i dwupłatowiec wytoczył się na powierzchnię zatoki Barcelon. Słońce znajdowało się za nimi, wciąż nisko na wschodzie, lecz wiatr wiał prosto w dół Cieśniny; wiatr korsarzy, tak nazywali go dawnymi czasy. W tej chwili oznaczało to wpadnięcie prosto na linię błysków z luf ciężkich dział floty Krainy. Jeden z pocisków wylądował niecałe trzysta jardów od nich. Pocisk, który nie doleciał, wywołał chwilowe spiętrzenie, piany wodnej i czarnego błota oraz falę, która zakołysała hydroplanem.

- Szkoda czasu - powiedział Jeffrey, otwierając przepustnice.

Linia pomalowanych na szaro okrętów wojennych rosła w oczach z przerażającą szybkością. *Dobrze rozstawione*, pomyślał mimowolnie Jeffrey. *Tacie by się spodobało*. Niełatwo było sprawić, aby okręty wojenne poruszały się z taką precyzją, tak dobrze utrzymując pozycje w trakcie walki. Sądził, że to *była* walka, choć nie widział zbyt wielu błysków wystrzałów - tylko od czasu do czasu wybuchający pocisk z działka polowego, gdy milicja strzelała od strony wychodzących na zatokę ulic.

Hydroplan sunął, podskakując na lekkich falach zatoki i wyrzucając pióropusze piany spod czubków pływaków. Dziwne i nieco niepokojące było kołowanie w samolocie, który był w poziomie, a nie przechylony do tyłu, w kierunku koła ogonowego. Samolot sprawiał wrażenie nieco powolnego - pewnie przez maksymalne obciążenie przy tych wszystkich ludziach, a zbiorniki paliwa także były pełne. Jednak *zaczął* się robić lżejszy. Jeffrey czuł mniej słonej piany na wargach, gdy pływaki zaczęły dotykać jedynie powierzchni fal, a nie spoczywać całkowicie na wodzie. Stery zadrgały mu lekko w dłoniach, a on pociągnął za wolant.

Podskok. Podskok. Podskok i w *górze*. Wspiął się powoli, nie próbując unikać statków Wybrańców. *Niech myślą, że jesteśmy jednym z nich*. Dziś z pewnością nie ma w powietrzu wielu sierrańskich samolotów. A tak w ogóle, to i tak nie było ich więcej jak kilkadziesiąt, a mógł się założyć, że Wybrańcy załatwili je w pierwszych minutach natarcia. Domyślał się, że wprowadzili komando uderzeniowe parę dni temu i uaktywnili je w wyznaczonym czasie.

>>Zgadza się. Prawdopodobieństwo 87% plus minus 5%.<<

Już sama liczba statków tworzących linię ognia oszołamiała, a ich pokłady były szaro-czarne od żołnierzy.

- Musi ich być ze sto tysięcy - powiedział Jeffrey. - To wielkie ryzyko. Ponad piętnaście procent ich całkowitych sił.

John miał bardziej palące zmartwienia niż strategia. - Myśliwiec nadlatuje, żeby nas obejrzyć - zawołał do tyłu, aby przekrzyczeć dudniący ryk strumienia powietrza.

Pikujący ku nim dwupłatowiec miał zaokrąglone okapotowanie von Nelsinga, ale skrzydła wyglądały nieco inaczej. Pokryte były sklejką, z wygiętymi w kształcie łyż rozporkami, zamiast dawnych ścięgien i kątowników stalowych.

- Jak jest szybki? - spytał.

>>Sto czternaście mil na godzinę przy locie poziomym na wysokości trzech tysięcy stóp<< powiedziało Centrum. >>Najnowszy model Nelsingowego samolotu pościgowego rozwija maksymalną szybkość stu czterdziestu mil na godzinę.<<

- Wielkie dzięki - powiedział Jeffrey.

Nie było szansy na przegonienie go. Spojrzał w dół. Znajdowali się na ogonie floty Wybrańców, nad ostatnią rozciągniętą linią zarekwirowanych trawlerów przystosowanych do stawiania min i oczyszczania z nich oraz osłoną z czterokominowych niszczycieli. Przed sobą dostrzegł ledwo widoczny sznur sterowców trzymających wartę w Cieśninie. Jeszcze jakieś trzydzieści mil i zobaczy wielką wyspę Trois, wypełniającą większość wschodniego krańca tego wąskiego morza.

- Jak sądzisz, ile czasu minie zanim...?

- Zanim pilot zorientuje się, że nie należymy do służb powietrznych Krainy? - spytał John. - Jakies trzy minuty.

Wszyscy piloci Krainy byli Wybrańcami wyszkolonymi do podejmowania inicjatywy. Nie było najmniejszej wątpliwości, co postanowi zrobić ten tutaj.

- Powiedz Henriemu - rzekł Jeffrey. - Lepiej załatwmy to szybko.

Pchnął drążek do przodu, kierując wielki samolot w dół. Ciężar maszyny to jeszcze przyspieszył, sytuację poprawiło jeszcze zmniejszenie celu, w jaki mógł trafić zwinny nieprzyjacielski myśliwiec... Ostrzejszy warkot silnika von Nelsinga narastał. Jeffrey niemal słyszał dźwięk *czik-czak*, gdy pilot uzbrajał podwójne karabiny maszynowe na dziobie.

Woda się przybliżyła. Widział już grube białe krechy wierzchołków fal biegnących z zachodu na wschód, jak niemal zawsze w Cieśninie o tej porze roku. Wiatr był tutaj bardziej zmienny, porywisty, choć słabnący. Jego ręce pracowały przy drążku i pedałach steru, utrzymując wielki samolot poziomo. We wstecznym lusterku widział

puste stanowisko karabinu maszynowego, z lufami wymierzonymi do tyłu, jakby zamarły w pozycji spoczynkowej.

John wrócił do kokpitu. - Jest gotowy - powiedział. Sięgnął i wyciągnął półautomatyczną strzelbę i położył ją sobie na kolanach. - Na twój sygnał.

Jeffrey pragnął splunąć, aby pozbyć się kleistego smaku w ustach. Myśliwiec podkładał się od tyłu. Był jakieś sto jardów w górze. Jeffrey widział wyglądającą z kokpitu twarz w goglach, pochylającą się, by im się przyjrzeć. Jeffrey zamachał mu radośnie. *Albo jej*. Kto wie, może to być nawet Gerta Hosten...

>>Prawdopodobieństwo 3% plus minus 1<< powiedziało Centrum. *Zamknij się*.

Samolot się zbliżył. Pilot Wybrańców zamachał skrzydłami i wskazał do tyłu przesadzonym gestem. Zaczął się niecierpliwić. Zatem...

- Teraz!

Skręcił samolotem w stronę wroga. Pilot Wybrańców zareagował tak, jak reagowali piloci, instynktownie mknąc raptownie ku górze, zwiększając wysokość. Henri walnął z karabinu maszynowego, podciągając luty maksymalnie, do dziewięćdziesięciu stopni. Przez chwilę wydawało się, iż większy dwupłatowiec jest połączony ze znajdującym się nad nim myśliwcem podwójnymi liniami pocisku smugowego, a potem von Nelsing zakołysał się w powietrzu i odskoczył, ciągnąc za sobą smugę dymu. John stanął w otwartym kokpicie, osłaniając jedną dłonią oczy, a drugą chwytając za ramę osłony, aby ochronić górną część tułowia przed szalonym pędem strumienia zaśmigłowego.

- Pilot nie żyje albo jest nieprzytomny - rzekł na głos, opadając z powrotem. W parę sekund później myśliwiec zarył w wodę, dając nura z pełną szybkością pod kątem siedemdziesięciu stopni. Rozpadł się. Silnik opadał ku płytce położonemu dnu Cieśniny, zaś kadłub i skrzydła rozleciały się w drzazgi. Niektóre części płonęły.

Henri krzyknął tryumfalnie, a pasażerowie zawiwatowali. John w dalszym ciągu rozglądał się i popatrywał do tyłu. - Mam nadzieję, że nikt tego nie zobaczył - powiedział.

Jeffrey kiwnął głową. - A tak przy okazji, braciszku, to dokąd, u diabła, zmierzamy?

- Mam kilka trawlerów rozrzuconych po Cieśninie, z pełnymi bakami - powiedział. - Wszystko na wszelki wypadek. Jeśli nie będą na miejscu, to w przedziale bagażowym znajduje się ponton.

- A jeśli i to się nie powiedzie, to popłyniemy wpław - rzekł Jeffrey, pilotując jedną

ręką, a drugą sięgając do kieszeni w poszukiwaniu papierosów.

- Niezupełnie, mam ukrytą motorówkę w zatoczce na wschodnim wybrzeżu Trois  
- rzekł z powagą John.

Jeffrey się roześmiał. - I procę w gaciach - powiedział. A potem dodał już bardziej poważnie: - Nie znoszę, kiedy jestem odcięty od bieżących informacji. Co się dzieje i kto co robi?

- Podejrzewam, że obecnie to Wybrańcy robią większość - odparł John. - Mam tylko nadzieję, że nie jesteśmy jedynymi, którzy zachowują rozsądek, podczas gdy wszędzie dookoła wszyscy tracą głowy.

- A jeśli jesteśmy, to winę zwałą na nas - powiedział Jeffrey. - Założę się, że tata robi jednak coś konstruktywnego.

## Rozdział dwudziesty drugi

Maurice Farr stał u szczytu stołu w kwaterze admirała na *Wielkiej Republice*, dumie Północnej Floty, i wpatrywał się w posłańca.

Kapitanowie i komandorzy po obu stronach podnieśli wzrok znad zupy żółwiowej. Niektórzy z nich nawet rozbryznięli kropelki posiłku na białych, letnich, paradnych mundurach. Elektryczne lampy u sufitu lśniły na wypolerowanym srebrze, złotych epoletach, śnieżnobiałym płótnie obrusu i wykrochmalonych marynarkach stewardów podających obiad. Trzeba było wieści dużej wagi, aby przerwać tę uroczystość.

- Panowie - powiedział Farr, szybko przeglądając wiadomość. - Siły Krainy zaatakowały Sierre. Wstępne raporty są pobieżne, ale wygląda na to, że ich całkowicie zaskoczono. Setki transportowców eskortowanych przez krążowniki i niszczyciele wysadziły żołnierzy wokół Barclon w ujściu Rio Arena, a także w dole i w górze wybrzeża. Desantowe grupy szturmowe lądują w Nueva Madrid, atakowane są jednocześnie górskie przełęcze na północnej i południowej granicy.

Wszedł kolejny posłaniec i przekazał karteczkę admirałowi. Ten otworzył ją i przeczytał: *Skacowanym braciom udało się zwiać. Stop. Już nigdy więcej. Stop. Uściski, J&J.*

Ramiona Farra zachowały swoją zwykłą sztywność, ale stary oficer westchnął niezauważalnie. Jeden osobisty powód mniej do zamartwiania się... a Republika będzie potrzebować obu jego synów w nadchodzącym czasie.

Szmer rozmów rozległ się wokół stołu. - Panowie! - Zapadła cisza. - Panowie, już wczoraj wiedzieliśmy, że jesteśmy w stanie wojny.

Czyli od momentu, gdy nadeszły wieści o klęsce Grissona. A *politycy zwalą winę na niego*. Dwa nowoczesne statki i dziesiątki starych, przerobionych jachtów



przeciwko tuzinowi pierwszorzędnych krążowników z pełnym wsparciem. Jeden ze statków Krainy powrócił do Bassin du Sud z pompami pracującymi jak szalone, a kilka innych zostało uszkodzonych. Biorąc to wszystko pod uwagę, można było uważać za cud to, że Południowej Flocie udało się wyrządzić takie szkody, zanim została zniszczona.

- Teraz mamy duży cel. Proszę o ciszę.

Napięcie wzrosło, gdy Maurice Farr usiadł z przymkniętymi oczami, łapiąc grzbiet nosa pomiędzy kciuk a palec wskazujący.

- W porządku, panowie - powiedział wreszcie. Jeden czy dwóch bardziej zaprawionych w boju mężczyzn dalej spożywało zupę, teraz jednak przerwało z uniesionymi łyżkami. - Oto, co zrobimy. Zakładam, że wszyscy jesteście pod parą - *lepiej, żeby tak było* pozostało niedopowiedziane - i możemy wyruszyć w nocy.

To spowodowało, iż paru uniosło brwi. Nocne płynięcie przez Cieśninę było naprawdę ryzykowne, nawet mimo ćwiczeń, jakie Farr przeprowadził z Północną Flotą po objęciu dowodzenia sześć miesięcy temu.

- Płynąc z prędkością czternastu węzłów, powinniśmy znaleźć się - odwrócił się do mapy za sobą - *tutaj*, jutro o świcie. A potem...

\* \* \*

*Admiral der See* Elise Eberdorf zamrugła, wpatrując się w technika-łącznościowca.

- Meldują, że co? - spytała.

- Admirale, cała Północna Flota Santander płynie ku nam z maksymalną prędkością ponad piętnastu węzłów. Odległość wynosi mniej niż czterdzieści mil.

Eberdorf znowu zamrugła, patrząc niewiającym wzrokiem przez wąskie, opancerzone okienka *Grossvolka*.

- Szesnaście pancerników, dwadzieścia dwa szybkie krążowniki i odpowiednia ilość jednostek pomocniczych - czytał dalej mężczyzna. - Zbliżają się...

*To cała Północna Flota*, pomyślała. Oprócz *Konstytucji*, która, zgodnie z ostatnimi doniesieniami wywiadu, była uziemiona, z wypaczonym głównym wałem napędowym. Zbliżali się przez południowy przesmyk wokół Trois. Musieli opuścić bazę zeszłej nocy i przez całą noc posuwali się z maksymalną prędkością, ignorując szansę wpadnięcia na mielizny albo miny. Co oznacza...

Spojrzała na chaos panujący na wodach przed Barcelon. Złoty rozbłysk słońca

Krainy na czarnym tle powiewał nad większością najwyższych budynków miasta, tych, które nadal stały. Pożary wciąż szalały w niektórych dzielnicach, a forty strzegące zatoki były ruinami pełnymi gnijących ciał. Woda usiana była połową kupieckiej floty Krainy i jakąś jedną trzecią marynarki. Wiele jednostek pracowało jako nadbrzeżne wsparcie, wyburzając bunkry nieprzyjaciela dla potrzeb armii.

Dwie trzecie marynarki Republiki zmierza w tę stronę, a Republika ma większe siły morskie.

*Głupcy*, pomyślała z lodowatym gniewem. Mówiłam *im*, że powinniśmy się skoncentrować na budowie pancerników.

Dosyć tego. Obowiązek to obowiązek, a jej zadanie tutaj jest jasne.

- Sygnały - rzuciła energicznie. Podwładni czekali nieruchomo, lecz wyczuła pewną ulgę, gdy zaczęła rzucać rozkazy. - Do wszystkich transportowców płynących w falach A i B. - Tych najbliższych doku. - Zbliża się flota nieprzyjaciela. Wyciągnąć statki na brzeg w górze rzeki.

W ten sposób załoga i żołnierze będą mogli przynajmniej zejść ze statków.

- Wszystkie transportowce o zanurzeniu mniejszym niż pięć stóp mają ruszyć w górę rzeki.

Gdzie przynajmniej będą zabezpieczone przed pociskami z ciężkich okrętów wojennych Santander. Bydlęta wciąż zajmowały części terenu nad rzeką, nieco w głąb lądu, ale to było mniejsze ryzyko.

- Fale od C do F mają ruszyć z maksymalną prędkością na północ. - Przy odrobinie szczęścia większość z nich będzie miała dość czasu, aby znaleźć się pod osłoną dział z fortec na starej, morskiej granicy sierrańskiej. Były to forty imperialne, lecz od czasu podboju odpowiednio obsadzone i wyposażone w lepsze działa.

- Rozkaz do floty - powiedziała. Sześćdziesiąt mil... wystarczająco dużo czasu. - Kapitanowie mają się stawić na pokładzie okrętu flagowego, z następującymi wyjątkami: pancerniki *Adelreich* oraz *Eisenrede* mają ruszyć z maksymalną prędkością na północ, do punktu zbiorczego w Coronie. - Odsyłała je z dala od niebezpieczeństwa, gdyż marynarka będzie potrzebowała każdego ciężkiego statku, jeśli Kraina ma zachować kontrolę nad tym kluczowym przesmykiem.

- Statki rozstawiające miny mają popłynąć do kanałów przystani i wyrzucić ładunki za burtę. Maksymalna prędkość. Ignorować wzajemne odległości, po prostu wykonać. Koniec. Och, i przekazać to do kwatery głównej marynarki.

- Tak jest.

Jej szef sztabu stanął obok, szepcząc cicho do ucha. - Admirale, wróg będzie miał siedmiokrotną przewagę siły ogniowej. Co zamierzasz zrobić?

Twarz Eberdorf i tak przypominała czaszkę - cienka, ogorzała skóra naciągnięta na ostrych kościach. Gdy się uśmiechnęła, wyglądała jeszcze bardziej jak śmierć.

- Zrobić, Helmucie? - spytała. - Zamierzam kupić trochę czasu. A potem, jak myślę, umrzemy.

\* t \*

- *Uważać!* - powiedział ktoś na mostku.

Maurice Farr się nie rozejrzył. Nie drgnął nawet, gdy dwusilnikowy samolot Krainy śmignął w górze, niecałe pięćdziesiąt stóp nad masztem trójnożnym *Wielkiej Republiki*. Admirał spojrział przez ruchomą lornetkę z mostka bojowego, gdy spadły bomby. Jedna spadła prosto na wieżyczkę A - na przednie, podwójne, dwunastocalowe działo. Statek stęknął i skręcił, ale gdy rozwiął się dym, tylko szrama w kształcie gwiazdy na utwardzonej powierzchni grubego, lanego i walcowanego pancerza była jedynym zauważalnym skutkiem ataku. Za nim ktoś szepnął:

- Wieżyczka melduje jedną ofiarę, panie. - Było to skierowane do kapitana *Wielkiej Republiki*. - Wieżyczka gotowa do akcji.

- Podajcie mi odległość - rzekł Farr.

- Jedenaście tysięcy, panie. Zbliżają się.

Farr kiwnął głową. Skręcali ku statkom Krainy, nie całkiem równoległym kursem, lecz pomiędzy flotami znajdowała się mielizna, za płytka dla jego ciężkich okrętów, a nawet dla większości krążowników.

- Admirale - powiedział kapitan *Wielkiej Republiki* - przy maksymalnym podniesieniu mógłbym już mieć parę trafień dwunastkami.

- Jak sobie życzysz, Gridley - rzekł beznamiętnie Farr.

- Tak jest.

Jeszcze dwa samoloty Krainy nacierały na okręt flagowy Santander, obydwa dwusilnikowe modele. Jeden miał przymocowaną pod spodem torpedę, a drugi niósł sześćdziesięciofuntowe bomby. Farr zeszywniał nieco. Torpeda stanowiła prawdziwe zagrożenie, a on nie wiedział przedtem, że samolot może być w nią wyposażony...

Torpeda wpadła z pluskiem w płytką, zieloną wodę... W parę sekund później wybuchła ogromną fontanną błota. Dwupłatowiec Krainy przeleciał przez kolumnę pyłu wodnego z krztuszącym się silnikiem. Właśnie wtedy wypalił jeden z czterolufowych pompomów z boku centralnej nadbudówki. Huk był głośniejszy niż

ogólny zgiełk bitewny. Zdawało się, że żarzące się kule jednofuntowych pocisków śmignęły, a potem zwolniły, zbliżając się ku myśliwcowi. Było to złudzenie optyczne.

Wybuch, jaki nastąpił, gdy samolot wleciał w tuzin małych pocisków, był bardzo rzeczywisty. Maszyna zniknęła w ognistej kuli, której tłące się szczątki spadły w morze.

Seria bomb z kolejnego samolotu spadła w zgrabne widły [Określenie wojskowe używane przy wstrzeliwaniu się. [Przypis tłum.]] nad pancernikiem Santander, wzbijając pióropusze pyłu wodnego, który opadł na pokład. Stwory z mackami unosiły się bezwładnie na wodzie albo też lądowały na pokładzie, wywijając swymi organicznymi batami zakończonymi haczykami.

Łupnięcie. *Błysk*. Łupnięcie. *Błysk*. Ośmiocalowe działa z krążowników Krainy po drugiej stronie mieliżny strzelały ku nim. Farr uśmiechnął się paskudnie, przyglądając się spadającym pociskom. Trysnęła woda, tuż przed dziobem siedemnastego pancernika - osiemnasty, *Prezydent Cummings*, wpłynął na mieliżnę pół kilometra z tyłu i gorączkowo starał się z niej zejść. Rozbryzgi od pocisków były kolorowe - zielone, pomarańczowe i jasnoniebieskie. Do wybuchających ładunków wstrzyknięto barwnik, aby obserwatorzy mogli dostrzec miejsce uderzenia. Nie wszystkie doleciały, choć pewnie obryzgały najbardziej wysunięty pancernik Santander. Kolejna flotylla czterokominowych niszczycieli wymykała się zza ciężkich statków Krainy, mknąc po mieliżnie, po której nie mogły przepłynąć statki o głębszym zanurzeniu.

Przez chwilę, mimowolnie, podziwiał ich odwagę. A potem powiedział:

- Tylko baterie pomocnicze, jeśli łaska.

- Tak jest. Admirale, w kanale przed nami mogą być miny.

- Nie sądzę. Musieli się spieszyć. W każdym razie, niech piekło pochłonie miny, kurs nadal do przodu.

- Tak jest.

*Wielka Republika* miała broń ustawioną podobnie jak większość nowoczesnych okrętów wojennych: dwie ciężkie wieżyczki z przodu i z tyłu, w tym wypadku podwójne dwunastocalówki, oraz cztery wieżyczki dla broni pomocniczej, dwie po każdej stronie, z przodu i z tyłu centralnej nadbudówki. Oznaczało to, że każdy z pancerników może wystrzelić z jednej burty czterema ośmiocalówkami. Działa ryknęły, a podmuch z luf zakołysał ludźmi na mostku. Marynarze trzymali usta otwarte, aby ciśnienie nie rozerwało bębenków. Pociski spadły na niszczyciele Krainy,

sześćdziesiąt osiem naraz. Cztery niszczyciele zostały trafione przy pierwszej salwie, znikając w ogniu, czarnym dymie i pyle wodnym. Ciężkie, przebijające pancierz pociski przedarły się przez słabe płyty ich konstrukcji.

Jeden niszczyciel zbliżył się na tyle do *Wielkiej Republiki*, że zaczął się przechylać na bok dla oddania strzału. Zamocowany na jego środku trzylufowy wyrzutnik torped okręcił się na centralnym czopie. W stronę niszczyciela wystrzeliły setki jednofuntowych pocisków. Uderzyły one od dzioba po rufę długiego, smukłego kadłuba. Ostrzał z pompomów i sześciu pięciocalowych, szybkostrzelnych działek w barbetach opancerzonych burt przyniósł natychmiastowy efekt. Później Farr stwierdził, że to pewnie pocisk z pompoma trafił w głowicę torpedy, co spowodowało eksplozję, ale mogła to być pięciocalówka przebijająca magazyn. Światło oślepiło, ale gdy zamrugawszy, odzyskał wzrok i osłonił dłonią oczy przed promieniejącym gorącem, w wodzie wciąż był lej, kurczący się, gdy woda wpadała z powrotem do olbrzymiej bańki, jaką wywołała fala uderzeniowa. Niewiele zostało z niszczyciela.

Przeleciała kolejna salwa ośmiocalowych pocisków Krainy, tym razem gorą.

Wszędzie wzdłuż linii ciężkich okrętów wojennych z Santander główne wieżyczki strzelnicze obracały się, z lufami ustawionymi dość nisko - byli teraz na tyle blisko, że działa o płaskich trajektoriach i pociskach o dużej prędkości trafiały bez zbytego podnoszenia. Farr nie ufał wystrzałom na duże odległości z broni podniesionej pod wysokim kątem. Były one śmiertelne, gdy trafiły, lecz biorąc pod uwagę obecne umiejętności kanonierów floty, prawdopodobieństwo było nieduże.

Uśmiechnął się ponuro. *Długo na to czekałem*, pomyślał. A na głos powiedział:

- Strzelać, gdy będziecie gotowi, Gridley.

Sześćdziesiąt osiem dwunastocalowych dział odezwało się w przeciągu dwóch sekund - fala płomieni z luf i wody marszczącej się od podmuchów wzdłuż dwumilowego odcinka linii ognia Santander. *Wielka Republika* zadrżała i stęknęła, gdy osiemnaście tysięcy ton masy skręciło się w proteście. Ogromne pociski mknęły przez bruzdy, jakie ich gazy wyrzutowe wyrzeźbiły w wodzie, osiągając maksymalną wysokość trajektorii, gdy morze napłynęło z powrotem.

A potem zaczęły spadać na Wybrańców, lawiną ton stali i kruszącego materiału wybuchowego. Gdy utwardzone głowice pocisków uderzyły w płyty pancierza, ten usuwał się niczym woda.

\* \* \*

Heinrich Hosten spoglądał na zatokę Barcelon ze zduszoną wściekłością. Powierzchnia wody płonęła. Unosząca się na wodzie benzyna i cięższe oleje z zatopionych tankowców wciąż pływały ognistymi plamami. Maszty zatopionych frachtowców sterczały przechylone z brudnej wody, pośród unoszących się na niej szczątków statków i ciał. Kilka kadłubów wystawało ponad powierzchnię, dziobem w dół, ze śrubami z brązu ociekającymi wodą. Kolejne kolumny ognia widoczne były nisko na zachodnim horyzoncie. Pancerniki z Santander i ich towarzysze zmierzały do domu. W powietrzu unosił się smród śmierci i płonącej ropy, a oleisty odór tej ostatniej był o wiele bardziej nieprzyjemny.

- Przynajmniej wróg się wycofuje - powiedział attache marynarki.

Heinrich przełknął żółć. - Kapitanie Gruenwald, wróg się wycofuje, ponieważ osiągnął cel misji i nie ma już żadnych celów wartych ryzykowania utraty dużego okrętu. A teraz, idź tam i dowiedz się, co nam zostało, jeśli w ogóle cokolwiek zostało. Albo złap za karabin i przydadź się do czegoś. W każdym razie zejdziesz mi z oczu.

- *Jawohl.*

Oficer marynarki stuknął obcasami, wykonał perfekcyjny obrót i wyszedł. Głowa Heinricha zwróciła się ku swojemu szefowi sztabu niczym wieżyczka strzelnicza.

- Raport?

- Około dziewięćdziesięciu procentom żołnierzy i personelu pomocniczego udało się zejść z transportowców - powiedział szef sztabu. - Ocalała połowa zapasów, głównie amunicja. Zostało bardzo mało jedzenia - było w ostatnim konwoju - i tylko jakaś jedna czwarta paliwa. Może uda nam się wydostać nieco więcej z tankowców zatopionych na płytkiej wodzie.

*I oto punkt kulminacyjny mojej kariery,* pomyślał Heinrich. Operacja szła całkowicie zgodnie z planem, co stanowiło mały cud - dopóki nie pojawiła się flota Santander. *Mogło być gorzej. Dzień wcześniej wyrznęliby na morzu całą armię.*

A na głos dodał: - Cóż, zatem rozkaz ogólny do natychmiastowego wykonania: całe paliwo ma zostać zarezerwowane dla bojowych pojazdów opancerzonych. Oficerowie mogą chodzić piechotą lub jeździć konno. Dalej, raporty z pozostałych miejsc.

Była to czterotorowa inwazja. Jego zadanie, tutaj, na nadbrzeżnej równinie. Atak lotniczy na Nueva Madrid oraz miejsca leżące pomiędzy nim a Barcelon. Oraz dwa natarcia lądowe przez góry na północnej i południowej flance Sierry.

- Panie. Brygadier Hosten melduje zakończone powodzeniem przechwycenie

centralnego kompleksu rządowego w Nueva Madrid oraz większości personelu na kluczowej liście w narodowej zbrojowni i rafinerii. Rafineria będzie działać za sześć do dziesięciu dni. Nie spodziewa się problemów z utrzymaniem pozycji, aż do połączenia z głównymi siłami. Wszystkie pozostałe siły desantowe meldują osiągnięcie celów.

Heinrich wydał z siebie pomruk usprawiedliwionej ulgi. Rytm działań i tak zostanie mocno zaburzony, ale przynajmniej nie zabraknie mu całkowicie paliwa, gdy skończy się to, co jest pod ręką. Gdy zajmie trójkątny obszar oparty o Cieśninę i sięgający do Nueva Madrid, to większość ludności oraz przemysłu Sierry znajdzie się pod panowaniem Wybrańców.

Adiutant mówił dalej: - Generał Meitzerhagen melduje, że północne przełęcze zostały zajęte, a on naciera na południe wzdłuż linii kolejowej. Opór jest nieorganizowany, ale mocny i stały. A poza tym już miały miejsce najazdy na jego linie komunikacyjną.

Heinrich znowu mruknął, przesuając grubym palcem po linii kolejowej biegnącej ku środkowym nizinom i odgałęziającej się ku zachodowi, wzdłuż Rio Arena.

- Moje uszanowania dla generała Meitzerhagena. Jego ludzie mają zabezpieczyć linię kolejową, likwidując całą ludność mieszkającą w odległości dwóch dni marszu od kolei.

Adiutant zamrugnął. To było nieco drastyczne, nawet jak na standardy Wybrańców. Z ostrożnością zapytał: - *Herr General*, czy to nie odciągnie sił od naszego głównego zadania?

- Nie. Santander może zablokować Cieśninę, ale nie może wysadzić tutaj znaczących sił - nie mają ich tyle bez wycofywania z granicy z Unią. Dlatego też nie ma co wątpić w wynik tej kampanii, biorąc pod uwagę znajdujące się tutaj siły. Z powodów, których nie musisz znać, zabezpieczenie przewozów kolejowych przez Sierrę dla naszych sił w Unii jest absolutnie kluczowe. Partyzanci nie mogą działać bez pomocy cywilnej ludności, która ich chroni i karmi. Ci Sierranie są upartymi bydlętami, a ja nie mam czasu oswajać ich przy pomocy łagodnych środków. Ich trupy nie przysporzą nam kłopotu, no chyba że jako problem zdrowia publicznego.

- *Zum behfel, Herr General.*

- I moje wyrazy uznania dla brygadier Hosten, sygnał: *dobra robota.*

\* \* \*

- Cóż, dziękuję ci, Heinrichu - wymruczała do siebie Gerta, rzucając telegraficzną wiadomość na biurko.

Aż do wczorajszego ranka należało ono do jednego z członków Rady Wykonawczej Sierry. Wciąż widniała na nim rozbryźnięta krew, w miejscu, gdzie wystrzał z pistoletu maszynowego zakończył urzędowanie polityka; zaczynało też mocno śmierdzieć. Okna były cały czas otwarte - dzięki granatowi, co trochę łagodziło tę woń. Pozwalało jej to także słyszeć odgłosy oddziałów „czyścicieli”, wykańczających gniazda oporu w całym Nueva Madrid.

- Wejść - powiedziała. Słowa były zniekształcone przez bandażę przecinającą jej twarz.

Jej syn stanął na baczność. - Brygadierze, ugaszono ostatnie pożary w rafinerii. Oto raporty dotyczące ofiar. Technicy mówią, że zaopatrzenie w wodę może zostać wznowione, jak tylko zajmiemy zbiornik. Pułkownik von Seedow prosi o pozwolenie...

Weszła pułkownik von Seedow, weszła dość sztywno.

- Możesz odejść, *Fahnrich* - powiedziała. Johan był na tyle młody, że wciąż pozostawał oczarowany wojskową etykietą.

Von Seedow zaszalowała bardziej swobodnie. - To dosyć łatwy cel - powiedziała. - Moi zwiadowcy meldują, że pilnujący zbiornika nieprzyjaciel nie jest liczny, a wolałabym raczej nie dawać im czasu, żeby wpadli na pomysł zatrucia go.

Gerta się zastanowiła. Wyznaczono jej zadanie zajęcia stolicy i okolicznych terenów oraz utrzymania ich aż do przybycia posiłków. Z drugiej jednak strony, miała znaczną swobodę, opór był słaby, a siedzenie na tyłku i czekanie nigdy jej nie odpowiadało.

- A przy okazji... Czy to rana, Maxine? - spytała, gdy oficer Wybrańców usiadła ostrożnie.

- Swego rodzaju, brygadierze. Nie lubisz dziewcząt, co?

Gerta zamrugła, było to raczej dziwne pytanie w tej sytuacji. - Nie. Robienie tego z kobietami jest dla mnie równie zabawne jak badanie ginekologiczne. A co?

- Cóż, w takim razie moje ostrzeżenie jest niepotrzebne, ale uważaj na tutejsze kobiety. One *gryzą*.

Zaśmiały się obydwie, a Gerta wyciągnęła odpowiednią mapę. - Tędy? - spytała, przesuając palcem ku nieregularnemu, błękitnemu okręgowi zbiornika.

- *Ya*. I kilka kompanii wokół tego. Czy możesz odzalaować kilka pojazdów opancerzonych?



- Nie ma problemu, straciliśmy w akcji tylko dwa.

Maxine von Seedow przesunęła dłonią po jasnym języku nad pociągłą i dość kościstą twarzą. - Dobrze. My straciliśmy więcej piechoty, niż się spodziewaliśmy.

- Ci tutaj to uparte bestie.

Von Seedow wstała, krzywiąc się lekko. - Mów do mnie jeszcze, brygadierze. Moim zdaniem powinniśmy ich wybić. Powinnam zająć rezerwuar przed zapadnięciem zmroku.

- Dobrze. Ostatnią rzeczą, jakiej *chcesz*, jest epidemia dyzenterii.

Maxine uniosła blade brwi.

- Sztab generalny, w swej niezmierzonej mądrości, wycofuje mnie. Mają kolejną dziurę i potrzebują korka.

## Rozdział dwudziesty trzeci

- Wojna! Dodatek, dodatek, przeczytajcie o tym! Republika prowadzi wojnę z Wybrańcami! Admirał Farr miażdży flotę Wybrańców!

- No, część jej - rzekł Jeffrey Farr, porywając wsadzoną mu w dłoń kopię i w zamian rzucając pięćdziesięciocentówkę.

Samochód posuwał się na tyle wolno, że Jeffreyowi udało się to zrobić. Ulice miasta Santander były zatłoczone. Milicjanci pędzili do swoich punktów zbiórki, strażnicy z obrony przeciwlotniczej w nowych opaskach i hełmach stali na drabinach, zaklejając uliczną sygnalizację świetlną, a wszyscy, łącznie z jego ciotką Sally, kręcili się, rozmawiając ze sobą. Smith zatrzymał samochód przy krawężniku na dziesięć minut, bo właśnie oddział regularnej piechoty - gwardia premiera, ale w mundurach polowych - zmierzał ku głównej stacji kolejowej-. Gazeta pełna była krzykliwych tytułów, wielkich na trzy cale, podobnie jak obwieszczenia o mobilizacji przyklejane na każdej płaskiej powierzchni przez Kobięcy Korpus Pomocniczy. Kobiety także nosiły opaski.

Tłumy wiwatowały na cześć maszerujących żołnierzy. John pokiwał głową. - Mam nadzieję, że za rok będą mieli tyle samo entuzjazmu - rzucił posepnie.

- Miejmy nadzieję, że za rok wszyscy będziemy żywi - odparł Jeffrey, przeglądając artykuł. Wargi złożyły mu się w bezgłośny gwizd. - Niech to *cholera*, wygląda na to, że tata nieźle ich załatwił. Osiem krążowników, pancernik i połowa transportowców. Dobry początek wojny.

- Zwiększa nasze szanse - powiedział John. - Zastanawiam się, czy Centrum...

>>Działania admirała Farra sięgnęły limitu stochastycznej, wielowariantowej

analizy<< powiedziało Centrum. >>Mówiąc waszym językiem: to przyjemna niespodzianka. Prawdopodobieństwo korzystnego wyniku całych zmagania zwiększone o 7% plus minus 1.<<

Jeffrey skinął głową. - Ciekawe, co teraz zrobią - zastanawiał się. - Co ty byś zrobił na ich miejscu?

- Dalej robiłbym swoje - odpowiedział od razu John. - Ufortyfikowałbym granicę Unii z Santander, skupiłbym się na pacyfikowaniu zajętych terytoriów i jak szalony budował statki i samoloty - zabierając personel Wybrańców z armii, jeśli bym musiał. Nie ma żadnego sposobu, abyśmy przedostali się przez góry.

>>Dobry chłopak<< powiedział Raj. >>To sprawiłoby, że ich taktyka przysłużyłaby się strategii.<<

>>Zgadza się<< odparło jak zwykle beznamyślnie Centrum. >>Strategia, jaką opisał John Hosten, oznaczałaby ponad 75% prawdopodobieństwo zwycięstwa Wybrańców w ciągu dekady, prawdopodobieństwo długotrwałego istnienia sytuacji patowej 10%, prawdopodobieństwo zwycięstwa Santander 15%. W dodatku w tym scenariuszu istnieje wyraźna możliwość natychmiastowego i długotrwałego uwstecznienia się ludzkiej cywilizacji na Visager, jako że wysiłek związany z przedłużającą się wojną totalną i rozwój broni masowej zagłady zmniejsza możliwość przetrwania walczących stron.<<

- Na szczęście najpewniej tego nie zrobią - powiedział Jeffrey. - Wybrańcy zawsze mieli tendencję do mylenia misji ze strategią.

>>Prawdopodobieństwo totalnego ataku Wybrańców na granice Santander wynosi 85% plus minus 7<< potwierdziło Centrum.

- Będą próbować się przez nas przetoczyć - powiedział John.

- Pytanie brzmi: czy zdołamy ich powstrzymać?

- Lepiej, żeby tak było - rzekł Jeffrey. - Jeśli nie zatrzymamy ich na przełęczach, jeśli się przedrą na otwarte tereny niecki na zachód od Alai, to mamy przesrane. Milicja w prowincjach po prostu nie ma wystarczająco dużo doświadczenia ani spójności, aby toczyć bitwy na otwartym polu.

- Zatem to regularni będą musieli ich powstrzymać.

Twarz Jeffreya była zmęczona i pokryta zarostem. Teraz wyglądała staro. - To ludzie Gerarda - rzekł cicho. - Na samej linii frontu.

John spojrzał na niego. - To byłoby raczej brutalne - ostrzegł.

- Staną przeciwko wojsku Krainy. Podczas wojny domowej stawiali czoła głównie

żołnierzom Liberta i tylko paru jednostkom Krainy udzielającym im wsparcia.

Jeffrey zacisnął usta. - Ludzie Gerarda stanowią połowę uformowanych, regularnych jednostek, jakie mamy - rzekł. - Potrzebny nam *czas*. Jeśli stracimy całą naszą kadrę, odpierając pierwsze ataki, to kto wyszkoli ochotników? Przydzieliliśmy także ludzi z Brygad Wolności do obozów szkoleniowych.

John westchnął i pokiwał głową. - *Behfel ist Behfel*.

\* \* \*

- Dobry Boże, co to *jest*? - spytał człowiek z personelu kwatery głównej.

Jeffrey Farr podniósł wzrok znad stołu. Wszędzie na wschodzie, na horyzoncie, światełka migotały i gasły, migotały i gasły, jasne o poranku. Ciągłe przetaczające się dudnienie stanowiło tło, niezbyt głośne, lecz wszędobylskie.

- To artyleria Krainy - rzekł cicho Jeffrey. - Huraganowe bombardowanie. Zaczniij się pocić, jak dobiegnie końca, bo w ślad za nim pojawiają się żołnierze.

Zwrócił się znowu ku mężczyznom zgromadzonym dokoła stołu. Większość z nich była w brązowych mundurach Santander, ale wielu wyglądało tak, jakby czuło się w nich nietęgo.

- Generale Parks, twoja dywizja przeszła pod zwierzchność federalną dwa tygodnie temu. Powinna już tutaj być.

- Panie... - Parks miał lekki zachodni akcent. - Jest okres sadzenia kukurydzy, co, jak sądzą, wiesz, a...

- A Wybrańcy zjedzą zbiory, jeśli ich nie powstrzymamy - powiedział Jeffrey. - Generale Parks, zbierz tych, którzy znajdują się w punktach zbiórki, i zrób to szybko. Albo przekaż dowodzenie swojemu zastępcy. - Który, w przeciwieństwie do Parksa, był regularnym żołnierzem, jednym ze zredukowanej do minimum kadry, jaką nakazano zachować pierwszoliniowym jednostkom prowincjonalnej milicji kilka lat temu, kiedy unijna wojna domowa zaczęła wzbudzać napięcia. - Myślę, że to już wszystko. Panowie, możecie powrócić do swoich jednostek.

Spojrzał na mapę, wziął filiżankę kawy od ordynansa i poparzył sobie lekko wargi, prawie tego nie zauważając. Znaczki przedstawiające jednostki pod jego dowództwem ustawione były w oparciu o dane z zeszłej nocy. Pięćdziesiąt tysięcy weteranów unijnej wojny domowej, kolejne sto tysięcy regularnych ze stałej armii Republiki, a wielu oficerów i podoficerów także zdobyło doświadczenie w tamtej wojnie. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy w jednostkach milicji oddanych pod federalną zwierzchność. Byli

dobrze wyposażeni, lecz wykszolenie mieli począwszy od równie dobrego jak regularni po zupełnie żadne. Co godzinę przybywało ich więcej.

Pół miliona żołnierzy z Krainy miało zaatakować ich za kilka godzin, przy wsparciu ciężkich czołgów, setek lżejszych pojazdów i tysięcy samolotów.

- Żadnych ludzi Liberta? - spytał cicho Gerard, przyglądając się znacznikom jednostek nieprzyjaciela.

- Żadnych. Posuwają się na wschód - na wschód i północ, do Sierry.

- Dobrze - powiedział cicho Gerard. Jeffrey spojrzął na niego. Zwarty w sobie mały Unionista uśmiechał się. - Nieprzyjemnie jest walczyć z rodakami.

- Pierre... - powiedział Jeffrey.

Gerard podniósł hełm i rękawice, zasalutował. - Mój przyjacielu, musimy wygrać tę wojnę. Wszystko inne jest drugorzędne.

Uścisnęli sobie ręce. Gerard mówił dalej: - Libert uważa, że może ujeździć tygrysa. To tylko kwestia czasu, zanim dołączy do innych ofiar.

- Myślę, że on liczy, że my wybijemy tygrysowi zęby - rzeki Jeffrey. - Niech Bóg będzie z tobą.

- Czemu nie? Jeśli kiedykolwiek ktoś walczył z jego błogosławieństwem, to dzieje się to właśnie tu i teraz.

- Cholera - rzucił cicho Jeffrey, przyglądając się, jak Unionista idzie do swojego sztabowego samochodu. - Nie znoszę posyłać ludzi na śmierć.

>>Gdybyś to lubił, nie byłbyś człowiekiem, którym jesteś<< powiedział Raj.  
>>Mimo tego, jednak to zrobisz.<<

\* \* \*

Maurice Hosten wdusił pedał steru i szarpnął drażkiem w bok.

Jego dwupłatowiec stanął na jednym skrzydle i zanurkował łukiem nosem w dół. Myśliwiec z Krainy przeleciał obok, jazgocząc karabinami maszynowymi, i skręcił, próbując za nim podążyć. Maurice wspiał się po spirali w górę, wykonując obrót Immelmanna, a jego samolot wywinął koziołka, przecinając cięciwę koła kreślonego przez przeciwnika. Palec zacisnął mu się na spuście.

- *Kurwa!* - Kąt odchylenia nie był prawidłowy. Czuł to, jeszcze zanim warknęły działa.

Pusty mosiądz zawirował wokół niego, połyskując w słonecznym świetle, gdy opadał ku poszarpanym górskim wzniesieniom sześć tysięcy stóp niżej. Gryząca woń

materiału wybuchowego pomieszana ze smrodem spalin i oleju rycynowego buchnęła mu w twarz. Ziemia i chmury zakołysały się szaleńczo, gdy przyciągnął drążek ku swojemu brzuchowi. Ciągnął, aż grawitacja napięła mu skórę twarzy na kościach w przeciwnym kierunku, a na skraju pola widzenia pojawiła się szarość.

*Dostałem sukinsyna, dostałem...*

Coś go ostrzegło - coś szybszego niż myśl. Szarpnął drążkiem ostro w prawo, ster w prawo... a kolejny trójpłatowiec przemknął w miejscu, gdzie on przedtem był. Maurice obracał głową w skórzanym hełmie w przód i w tył, na tyle mocno, że widać byłoby skórę, gdyby nie jedwabny szalik. Reszty eskadry nie było, nie tylko jego skrzydłowego - widział, jak myśliwiec z Krainy rzucił się na Toma - ale także pozostałych. Niebo było puste, poza jego własnym samolotem i dwoma maszynami Wybrańców.

Nic nie szkodzi. Wdusił przepustnice i zanurkował w chmurę, wdzięczny że była blisko. *Teraz ostrożnie*. Łatwo dać się tutaj skołować. Łatwo nawet stracić orientację, gdzie jest góra, i skończyć, wlatując do góry nogami na zbocze, będąc przekonanym, że wzlatusz do góry. Widoczność była wystarczająca, aby widział fosforyzujący blask przyrządów: horyzont, kompas, wskaźnik prędkości lotu. Sto trzydzieści osiem. Mark IV był słodkim ptaszkiem.

Gdy wyleciał z chmury, nie było widać nikogo. Wciąż obracał się do tyłu, popatrując na słońce. Był to zawsze najbardziej niebezpieczny kąt. Ziemia w dole wyglądała dziwnie, ale tak zazwyczaj było. Uwaga na górskie szczyty, uwaga na rzeki, drogi i przestrzeń pomiędzy nimi.

- To Skinder - stwierdził, spoglądając na wijącą się rzekę. - Ensburg jest tam.

Ensburg był oblegany przez Wybrańców od miesiąca. Zatem ten sznur wozów na drodze był bez wątpliwości odpowiednim celem. A on wciąż miał ponad pół zbiornika paliwa.

Maurice pchnął drążek do przodu i położył palec z powrotem na spuście. Liczył się każdy pocisk i każde pudło z sucharami, które nie dotrze do linii frontu koło Ensburga.

\* \* \*

- Cholera, ale paskudne - powiedział Jeffrey, wysiadając ze sztabowego samochodu.

Ogromny czołg Krainy był wypalony, pachniał ludzkim tłuszczem wtopionym w

ziemię, jęczącym w letnim upale. Dowódca wciąż stał w głównej wieżycze strzelniczej, zmieniony w posąg z wypalonego węgla o mniej więcej ludzkim kształcie.

- Tędy, panie - powiedział major... *nazywa się Carruthers*. - I ostrożnie, na tamtym wzniesieniu są snajperzy z Krainy.

Major był młody, brudny, z zarostem na brodzie i schodzącą od oparzenia słonecznego skórą na nosie. Sądząc z tego, jak się drapał, miał towarzystwo. Trzy miesiące temu był pewnie prawnikiem lub bankierem w małym miasteczku. Był też dość zadowolony, co stanowiło dobry znak.

- Przyskrzyniliśmy go dzięki działku polowemu, tam, w gospodarstwie - powiedział, machając ręką przez ramię.

Jeffrey się obejrzał. Budynek był z kamiennych bloków, wypatroszony i pozbawiony dachu, poznaczony długimi czarnymi smugami nad oknami, gdzie buchał ogień. W pobliżu znajdowała się obora, zredukowana do zwęglonych kikutów drewna i wielkiego, kamiennego zbiornika na wodę. Sad składał się z poszarpanych kikutów.

- Trafiliśmy go w bok, jak przejeżdżał. - Wskazał ręką. Jeden z wózków napędowych, na których spoczywała masywna maszyna bojowa, był rozwalony i poskręcany. - Potem uderzyły na niego drużyny niosące ładunki w torbach, a reszta z nas dawała osłonę ogniową.

Dawny major milicji spoważniał. - Straciliśmy przy tej okazji sporo dobrych ludzi, panie. Ale powiem ci, że odetchnęliśmy z *ulgą!* Tak cholernie trudno je zatrzymać!

- Wiem - rzucił sucho Jeffrey, spoglądając na prawo, ku wschodniej części doliny. Pozycje Santander znajdowały się milę w tamtą stronę, zanim Wybrańcy sprowadzili czołg.

- To jest martwa strefa, panie. Możesz się wyprostować.

Jeffrey tak zrobił, patrząc, jak przy czołgu zaroilo się od inżynierów, podglądających ulepszenia i modyfikacje. - Dobre wieści dotyczące tych potworów, majorze, przychodzą trójkami - powiedział, stukając w bok czołgu. - Nie ma ich zbyt wiele, często się psują, a teraz, gdy linia frontu nie przesuwają się zbyt szybko, wrogowi rzadko udaje się je odzyskiwać i reperować.

- Cóż, to jest pewne pocieszenie, panie - rzekł powątpiewająco Carruthers. - Ale one cały czas stanowią cholerny problem.

- Wszyscy mamy problemy, majorze Carruthers.

\* \* \*

Pomieszczenie fabryczne było długie, rozjaśnione przez świetliki o pokrytych brudem szybach, otwartych, aby wpuścić nieco powietrza. Powietrza ze Składania Przysięgi, i tak zwykle ciężkiego i dusznego, pełnego kwaśnego smogu węglowego dymu i chemikaliów, gdy wiatr wiał od morza. Obecnie pachniało także mężczyzną, który wisiał na żelaznym haku wbitym w podstawę czaszki. Hak osadzono nad drzwiami wejściowymi, gdzie co rano i wieczór przechodzili robotnicy, zabierani z obozu na miejskich przedmieściach. Ciało tkwiło tam już od dwóch dni, czyli od dnia gdy fabryka nie wypełniła tygodniowej normy. Czasami poruszało się lekko, gdy robaki wykonywały swoją robotę.

Obok drzwi wisiała tablica z napisanymi na niej kredą numerami. Produkcja w tym tygodniu wynosiła prawie osiem procent ponad normę. Radosny transparent ogłaszał nagrody, jakie otrzyma grupa produkcyjna, jeśli utrzyma to przez kolejne siedem dni: po pincie wina na człowieka, wołowinę i świeże owoce, tytoń, i po dwie godziny z więźniarką z kobiecego obozu.

Tomaso Giuardini uśmiechnął się, popatrzawszy na transparent. Uśmiechnął się znowu, spojrzawszy w dół na pierścień nośny łożyska znajdujący się w klamrze przed nim. Było to metalowe koło - wewnętrzna powierzchnia przesuwiała się gładko pod jego dłonią, spoczywając na łożysku kulkowym w pierścieniu nośnym uformowanym przez zewnętrzną część w kształcie U.

Bardzo gładko. Nie dało się zauważyć, iż w środku znajdują się metalowe wióry pomieszane ze spoiwem. Wszystko w porządku, poza tym, że pierścień nośny łożyska zatnie się i spali na skutek mocnego zużycia w mniej więcej jedną dziesiątą normalnego czasu.

Tomaso znowu spojrzął na transparent. Może kobieta będzie ładna, może z długimi, miękkimi włosami. Choć Wybrańcy najczęściej golili czaszki więźniarkom.

Rozejrzał się dokoła. Nadzorca zaglądał przez ramię komuś innemu, więc Tomaso zrobił dwa kroki i zgarnął garść metalowych opiłków spod obrabiarki po drugiej stronie przejścia i wrzucił je do kieszeni poplamionego smarem kombinezonu roboczego. Wrócił do swojego stanowiska, zanim protegowany nadzorca - jednooki, kuśtykający weteran z gumową pałką o stalowym rdzeniu przyczepioną do nadgarstka - zdołał się odwrócić.

\* \* \*

- Tato! - Maurice Hosten zmylił krok. - To znaczy, panie. Ach, chwileczkę.



Młodzieniec ściągnął skórzany kask lotnika i odwrócił się, by wydać polecenia naziemnej załodze. Słońce zalśniło na kruczoczarnych kędziorach jego włosów. Na silnej linii szczęki widać było cień gęstego zarostu tego samego koloru. Na górnym skrzydle jego samolotu widniało więcej dziur po kulach niż ostatnio, a część ogona wyglądała, jakby ją ktoś przeżuwał. Na kadłubie, pod kokpitem, znajdował się rząd znaków - rozbłyśki słońca Wybrańców z przechodzącą przez nie czerwoną kreską. W sumie osiem oraz rysunek sterowca.

Jasne włosy Johna Hostena były teraz mocno poprószone siwizną, a gdy mężczyzna przyglądał się sprężystym krokom młodzieńca, zdał sobie nagle sprawę, że sam jest obecnie ni mniej, ni więcej tylko człowiekiem w średnim wieku. Wciąż zapinał pas na tę samą dziurkę, był w stanie zrobić większość z tego, co kiedyś - do diabła, jego biologiczny ojciec przewodził generalnemu sztabowi Krainy z bezwzględną znajomością rzeczy, a był trzydzieści lat od niego starszy - lecz z każdym mijającym rokiem cena za to była większa.

*Jednak Maurice z pewnością nie jest już chłopcem.*

>>Wojna nie daje ci za dużej szansy na przeżywanie młodości<< zgodził się Raj ze śladem smutku w głosie.

Młody pilot odwrócił się ku ojcu. - Dobrze cię widzieć, tato.

- I ciebie, synu. - Przyciągnął syna na krótko do siebie, ściskając. - A to od twojej matki.

- Jak się miewa?

- Wciąż za dużo pracuje - powiedział John. - Zwykle widzujemy się tylko przy śniadaniu.

Maurice zaśmiał się i potrząsnął głową. - Jednak czyni cuda. Jedzenie nawet nadaje się do spożycia, odkąd Korpus Pomocniczy przejął mesę. - Zaczęli iść ku budynkom z sosnowych desek po drugiej stronie pasa wyrównanej ziemi.

- Szkoda, że wszystko inne nie idzie *tak dobrze* - powiedział Maurice, krzywiąc się.

- Słucham - rzekł John.

- Zawsze tak robisz, tato - powiedział Maurice. Przesunął ręką po włosach. - Słuchaj, wojna toczy się dopiero od sześciu miesięcy, a w tej eskadrze jest tylko trzech pilotów, oprócz mnie, którzy biorą w niej udział od samego początku. A jeden z *nich* miał doświadczenie z unijnej wojny domowej.

- To złe wieści.

- Tato, tracimy prawie dwie trzecie nowych pilotów w pierwszym *tygodniu*, od kiedy są wyznaczani do aktywnego patrolowania.

>>60% w pierwszych dziesięciu dniach<< powiedziało Centrum w jego głowie.  
>>Lekka przesada.<<

- Piloci Wybrańców są *dobrzy*. I mają doświadczenie. Teraz nasze samoloty są takie dobre jak ich, ale Chryste, te nowe chłopaki mają wylatane może jakieś dwadzieścia godzin, gdy się tu dostają. To jak posyłanie szczeniaków przeciwko dobermanom! Zmuszam się do tego, aby uczyć się ich kur... przepraszam, ich cholernych imion.

- Ty też byłeś niemal tak samo zielony - zwrócił uwagę John.

- Tato, to nie to samo, wiesz o tym. Wuj Jeff uczył mnie przed wojną, i mam... szczęście.

>>Ma wrodzony talent<< rzekł Raj, osądzając chłodno. >>Tak samo jest przy innych rodzajach walki - na miecze, pistolety czy bagnety. Nowicjusze głównie umierają, doświadczeni ludzie zabijają, a kilku uczy się szybciej niż pozostali. Twój chłopak szybko się uczy, znam ten typ.<<

- Co proponujesz, synu?

- Ja - Maurice się zawahał i znowu przesunął palcami po włosach. - Tak naprawdę to potrzebujemy więcej instruktorów - doświadczonych instruktorów - w szkołach lotniczych.

- Chcesz tę robotę? - spytał John.

- Chryste, nie! Ja... och. - Urwał, niepewny.

- Cóż, to jeden z powodów - rzekł John. - A drugi to taki, że nie mamy *czasu*, aby wydłużać ich szkolenie. Wybrańcy od dawna przygotowywali się do tej wojny. Nasi ludzie muszą się uczyć przy robocie i płacą za to krwią. Nie tylko wy, piloci, ale także siły naziemne. Straciliśmy dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Oczy Maurice'a rozwarły się. Mężczyzna wydał z siebie cichy, pełen niedowierzania jęk przerażenia.

- Tak, nie publikujemy szczegółowych danych, nie liczymy też żołnierzy unijnych lojalistów. Ich prawie zupełnie wybito. Cotygodniowa lista zabitych i zaginionych publikowana w gazecie jest wystarczająco fatalna. W Ensburgu jedzą szczury i swoich własnych zmarłych. Szacujemy, że zginęła połowa ludności Sierry i Imperium. Zaopatrujemy partyzantów, którzy prowadzą działania, mimo iż wiedzą, że stu zakładników zostanie zastrzelonych za każdego zabitego żołnierza, pięciuset za

każdego Wybrańca. Ale ich *powstrzymaliśmy*. Myśleli, że mogą się przez nas przetoczyć, tak jak zrobili to w Imperium albo Sierrze... ale tak się nie stało. Nigdzie nie udało im się przedostać dalej niż sto mil od dawnej granicy z Unią, a nasze siły rosną. Wybrańcy są rzeźnikami, a my płacimy wysoki rachunek w ludziach, ale się uczymy.

Maurice potrząsnął głową. - Tato - powiedział powoli - nie zamieniłbym się z tobą na pracę, choćby nie wiem co.

- Niewielu z nas robi to, co by naprawdę chciało - rzekł John. - Obowiązek to obowiązek. - Ścisnął syna za ramię. - Ale robimy, co możemy, a ty radzisz sobie cholernie dobrze.

\* \* \*

Nikt z grupy dowodzenia nie był zdziwiony przybyciem Gerty Hosten. Gdyby byli, to umieściłaby to w raporcie, co gwarantowałyby, że następnym ich przydziałem byłby pluton strzelców na Linii Konfrontacyjnej. Po odpowiednim przepytaniu przepuściły ją posterunki przeciwstrajkowe i patrole tropiące zasadzki. Ujrzała dowódcę brygady wraz z grupą swoich podwładnych. Oficerowie stali obok dwóch zaparkowanych pojazdów w miejscu, gdzie niegdyś było Pueblo Wieho, dopóki zeszłej wiosny siły Krainy nie wylądowały w Sierrze. Porucznik objaśniała, pokazując ścieżkę, jaką obrała jej jednostka przez sosnowy las, na górskich zboczach, ponad leżącymi wysoko pastwiskami.

Gerta wyskoczyła ze swego samochodu - był to sześciokołowy pojazd opancerzony z usuniętą wieżyczką - wymieniła się salutami i uściskiem nadgarstków z dowódcą. - *Tag*, Etkar - powiedziała. - Jak tam wyglądają sprawy w twoim spokojnym sektorze? Rozmieniłam się z tobą o pół godziny w kwaterze głównej.

- Przyjechałem tylko zobaczyć, jak wyglądają sprawy na końcowym odcinku robót - rzekł Etkar Feldenkopf - Nie najgorszy wynik: siedemnastu mężczyzn, dwadzieścia cztery kobiety i okrągły tuzin ich bachorów. Przeczesywanie przynosi coraz mniej efektów.

Nawet późnym latem powietrze w położonej wysoko sierrańskiej dolinie było chłodne i świeże. Większą jej część stanowiły niegdyś pastwiska, teraz zarastające. Wypalone kikuty wiejskich domów z bali już nie śmierdziały, tak jak i ciała leżące pod nimi. Na okapach budynków wciąż widać było pozostałości po rzeźbieniach. Parę szkieletów leżało na bitej drodze prowadzącej na nizinę, wskazując kierunek, w

którym uciekali ze swoich płonących domów dawni mieszkańcy. Ci zaś, których ciała leżały w błocie zarośniętej ulicy, pewnie uciekali w przeciwnym kierunku, do lasów i w góry, aby przetrwać nieco dłużej, by podkraść się i napadać na linie zaopatrzeniowe najeźdźców. Kobiety i dzieci wzięte żywcem klęczały rzędem za trupami, z rękoma związanymi na plecach.

- Co oznacza, że albo jest ich coraz mniej, albo lepiej się ukrywają, a może jedno i drugie.

- Myślę, że jedno i drugie. Po przesłuchaniach będziemy mogli coś powiedzieć. - Każdy z mężczyzn miał karabin, po dwadzieścia naboju, było trochę pistoletów, ale żadnych ładunków wybuchowych.

Johan patrzył na jedną z pojmanych, blondynką, która pewnie wyglądała naprawdę ślicznie, gdy była lepiej odżywiona i nie miała większości twarzy pokrytej krwią od ciosu w nos. Gerta uśmiechnęła się z wyrozumiałością. Młodzi mężczyźni myśleli tylko o jednym, a Johan bardzo dobrze wykonywał swoją pracę. Miał teraz trochę własnych blizn, choć nie takich jak ta która przecinała twarz Gerty od czasu desantu na Nueva Madrid, podciągając jej lewy kącik ust w permanentnym, lekkim uśmiechu.

- No dobrze - powiedziała. - Ale nie rozwiązuj jej rąk i uważaj na jej zęby. Pamiętaj o *Hauptman von Seedow*.

Trójka Wybrańców zaśmiała się. Biedna Maxine została położona na miesiąc do szpitala, gdy w ranę od ugryzienia wdała się infekcja. Żarty na ten temat wciąż obiegały oficerskie mesy siła zbrojnych Krainy. Von Seedow o mało co nie walnęła raz dowcipnisia, który proponował jej przepis na okład.

*Nigdy jej tego nie zapomnę*, pomyślała Gerta, gdy jej syn podchodził do jeńców. Wciąż się zaśmiewając, pociągnął dziewczynę za włosy - była mniej więcej w jego wieku - i poprowadził ku ruinom jednego z budynków.

- Jak im się udaje przetrwać? - spytała Gerta. Żadnego z nich nie można było nazwać wypasionym, ale nie wydawało się także, aby głodowali.

- Mieszkańcy górskich wiosek mają zwyczaj przechowywania sera, twarogu i tym podobnych produktów w jaskiniach - powiedział oficer, machając rękaw stroną poszarpanych, pokrytych śniegiem gór na północy. - Jest tam *mnóstwo* takich jaskiń. Jest też dzika zwierzyna - jelenie i bizona, króliki i tak dalej, a w lasach mnóstwo zdziwałego bydła, owiec i świń. Od początku były na wpół dzikie. Mimo to robią się coraz bardziej wygłodniałe, a my ich przetrzebiamy. To dobry sposób odpoczynku i

rekreacji dla jednostek wycofanych z linii frontu.

- A jak sobie radzą Unioniści? - spytała Gerta.

Kawałek dalej w dolinie znajdowała się ich brygada, przy rozstajach dróg, dwadzieścia mil na zachód od linii kolejowej, pod dowództwem ich własnych oficerów, lecz pod operacyjnym dowództwem regionalnego sztabu Krainy.

- Nieźle - powiedział oficer, gdy przeraźliwy wrzask dobiegł z tyłu, od zrujnowanego budynku. Potem wrzask urwał się, przechodząc w pochlipywanie. - Nie patrolują tak energicznie, jak bym chciał. Powiedziałbym, że są wystarczająco dobrzy do tej roboty, ale nie zakładałbym się, jak sprawią się w ciężkich walkach. Rozlokowują się w tym miasteczku, jakby do nich należało.

- Bo myślą, że tak jest - odparła Gerta. - Cóż, wygląda na to, że sytuacja jest tu opanowana. Czego nie mogę powiedzieć o paru innych miejscach.

Dowódca garnizonu zmarszczył czoło i zniżył głos. - Jak tam rozwija się linia frontu? Oficjalne raporty wydają się być... zbyt optymistyczne.

Gerta także odezwała się cicho. - Nie najlepiej. Zabijamy Santanderczyków na kopy, ta część oficjalnej historyjki jest prawdziwa. Wciąż atakują nas, wykazując się większym entuzjazmem niż rozsądkiem, ale staje się to coraz bardziej kosztowne, a my nie zajmujemy wiele terytorium. Ensbury wciąż się trzyma.

- Wciąż? - Mężczyzna uniósł brwi. - Muszą głodować.

- Głodują. W zeszłym tygodniu byłam na linii oblężenia. Nic nie zostało w środku, tylko gruzy, wyczuwa się też smród stosów pogrzebowych. Głód, tyfus i tak dalej, ale oni się nie poddają.

Splunęła na ziemię. - Gdyby ten kretyński monomaniak Meitzerhagen nie wyróżzał garnizonu Fort William po tym, jak się poddali, i nie roztrąbił tego faktu na cały świat, mogliby być bardziej skłonni do poddania się. Tak jak i wiele innych garnizonów, które odcięliśmy przy pierwszym natarciu. Załatwienie się z nimi pochłonęło czas, który Santanderczyki wykorzystali do zorganizowania się. Straciliśmy pęd.

Oficer pokiwał głową. - Meitzerhagen to młot kowalski - powiedział. - Rzecz w tym, że...

- ... że nie wszystkie problemy są gwoździami - dokończyła.

- Zatem chwilowo sytuacja patowa.

- *Ya*. Możemy ich ruszyć, ale wtedy pozostawimy zapasy w tyle. A nawet gdy ich pokonujemy, to nie *uciekają* i jest ich zawsze jeszcze więcej. A ich sprzęt też jest dobry. Teraz, gdy uczą się, jak z niego korzystać... - Wzruszyła ramionami.

- Jak zatem wygląda nasza sytuacja logistyczna?

- Jak mokre psie gówno. W świetle dnia nie możemy latać sterowcami w odległości stu mil od frontu, sieć dróg jest straszna, teren sprzyja obronie... a Santanderczycy są dokładnie w środku swego głównego obszaru przemysłowego, zaś ich najlepsza ziemia uprawna znajduje się w odległości zaledwie kilkuset kilometrów, przy pierwszorzędnych liniach kolejowych i drogach.

- Rozumiem, iż sztab przygotowuje kontrstrategię.

- *Ya*. Nie znane są jeszcze szczegóły, ale powiedzmy, że zamierzamy pobudzić ich entuzjizm i przygotowujemy na niego odpowiedź. A skoro nie możemy używać Cieśniny, to nie ma powodu, aby oni mogli.

Oficer westchnął i skinął głową. - Cóż, możesz im powiedzieć, że przynajmniej moja brygada wykonuje swoją robotę - rzekł. - Próba utrzymania w stanie używalności linii kolejowej biegnącej przez Sierra byłaby koszmarem, gdybyśmy posługiwali się konwencjonalnymi technikami okupacyjnymi. I tak jest fatalnie.

Powrócił młody Johan, popychając przed sobą oszołomioną i nagą sierrańską dziewczynę. Młodzieniec stanął w pozycji spoczynkowej za Gertą, uśmiechając się lekko, gdy dziewczyna potykając się, poszła uklęknąć wraz z innymi.

- Za rok albo dwa nie zostaną już żadni. A tak przy okazji, powiedziałaś, że jest jakaś nowa dyrektywa?

Gerta kiwnęła głową. - *Ya*, brakuje nam siły roboczej, brygad budowlanych, importowanie jej z Nowych Terytoriów jest niewygodne, wszędzie wielkie projekty, a tutejsze bydła mogą się równie dobrze na coś przydać, zanim umrą - powiedziała. - Przyślij dorosłych cywilów zdatnych do ciężkiej pracy - tych, którzy się poddadzą, gdy ich złapiecie. Zabijajcie uzbrojonych i nieużytecznych. Oszczędzajcie dzieci poniżej piątego roku życia. W ramach eksperymentu wysyłamy je do Krainy, aby zostały wychowane w rodzinach wyższych rangą protegowanych żołnierzy.

Protegowani żołnierze z długim okresem służby mogli się żenić, był to specjalny przywilej za dobrą służbę. - Tym sposobem, na dłuższą metę, mogą się okazać użyteczne. Jednak wedle twego uznania. Nie blokuj sobie transportu, jeśli jesteś zajęty.

Wybraniec skinął głową. - *Jawohl*. Ale dziwnie myśleć, że brakuje nam pracowników fizycznych.

- Cóż, liczba ludności w Nowych Terytoriach znacznie się zmniejszyła - powiedziała. - Po wojnie będziemy musieli działać mniej marnotrawczo.

Gerta odpowiedziała salutem na salut i ruszyła ku swemu pojazdowi opancerzonemu bez dachu. Gdy pracowało się dla generalnego sztabu, robocie nie było końca.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Jeffrey Farr zagwizdał bezgłośnie. I tak zresztą nikt by go nie usłyszał na tylnym siedzeniu obserwacyjnego samolotu; hałas silnika i strumień zaśmigłowy były zbyt głośne. Jeffrey sięgnął do przodu i postukał pilota w ramię, zrobił kółko palcem wskazującym i wskazał w dół. Pilot skinął głową i zatoczył koło, schodząc na cztery tysiące stóp.

Wypaliło kilka lekkich pompomów, mrugając ku nim z ogromnych hałd wykopanej ziemi w dole. Potem odezwało się cięższe przeciwlotnicze działo, które miało szansę ich trafić. Czarne obłoki dymu buchnęły w powietrzu w dole, w każdym błysnął na moment ogień, zanim straciły kształt i zaczęły się rozwiewać. Małe niczym mrówki brygady robotników dały nura do kryjówki w przygotowanych okopach, pozostawiając narzędzia pośród stert drewna, stalowych blach i wzmacniających prętów.

Przed stanowiskiem obserwatora zamontowano wielki aparat fotograficzny, lecz Jeffrey go ignorował. Widział już zdjęcia. Ta wycieczka była po to, by popatrzeć samemu.

*W porządku, pomyślał. Niezła inżynieria polowa.* Wszystko rozplanowane, aby zająć teren na wschodzie, lecz nie były to zwykłe stanowiska na grzbiecie wzniesień. Bunkry dla karabinów maszynowych u podstawy grzbietów, dające maksymalne pola ostrzału, cięższe bunkry dla działek polowych, stanowiska na wałach dla ciężkich móżdziej na przeciwległych zboczach, z okopami komunikacyjnymi, a nawet tunelami do sprowadzania sił rezerwowych szybko do przodu, bez wystawiania ich na bezpośredni ogień. Stanowisko mogło się bronić, gdy zostanie odcięte, mając pole rażenia wszędzie wokół oraz mocniejsze reduty dalej w tyle, warstwa za warstwą.



*Musiąło nad tym pracować z pół miliona ludzi, pomyślał będący pod wrażeniem Jeffrey.*

>>Trafna ocena, z błędem w granicach dziesięciu tysięcy plus minus 6<< powiedziało Centrum. >>Zakładając, iż podobne wysiłki podjęto w innych częściach frontu, jak wskazują na to meldunki wywiadu.<<

- Cóż, będziemy musieli wziąć to pod uwagę - powiedział Jeffrey. Znowu postukał pilota w ramię. Mimo eskorty dwóch eskadr mężczyzna spoglądał nerwowo ku wschodowi i w górę tam, skąd z porannego słońca mogliby wypaść napastnicy z Krainy. Samolot skręcił ku zachodowi.

\* \* \*

- Dziękuję wam, panowie, za tak szybkie przybycie - powiedział Jeffrey.

Znajdowali się w bunkrze premiera pod wzgórzem Rządowej Rezydencji, prawie sto jardów pod ziemią, tak głęboko jak się dało kopać koło miasta Santander bez natrafienia na wody gruntowe. Uderzenia bomb, głuche *krump... krump...* odczuwalne było bardziej przez podeszwy butów niż słyszane uszami. Co jakiś czas migotało światło elektryczne u sufitu i opadał pył, sprawiając, iż ludzie kichali od tej gryzącej woni.

- Myślałem, iż sprawisz, że przelecenie sterowcem nad naszym terytorium będzie równoznaczne z samobójstwem - rzucił sucho Maurice Farr, zwracając się do dowódcy sił powietrznych.

Dowódca się zarumienił i pociągnął za wąsa. - W ciągu dnia, owszem. Ale przewaga szybkościowa i wysokościowa naszych myśliwców jest dosyć mała. Nocą jest o wiele trudniej. Może to być również kwestia ich nowych, ośmiosilnikowych bombowców o dużym zasięgu. Mamy z nimi coraz większy problem.

Siedzący u szczytu stołu Jeffrey podniósł rękę. - W każdym razie promień rozrzutu przy nocnym bombardowaniu, jakie znosimy, jest tak ogromny, że pochłania więcej ich środków niż naszych.

Premier postukał ostro ołówkiem w stół. - Generale, tracimy setki, może tysiące cywilów za każdym razem, gdy oni się przedzierają.

Jeffrey pochylił lekko głowę. - Z całym szacunkiem, panie, w Ensburgu było sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a wątpię, aby żyło teraz dziesięć tysięcy, a i ci znajdują się w obozach pracy Wybrańców.

Cisza zapadła wokół stołu. Oblężenie Ensburga poprawiało morale w całej

Republice. Jego upadek był równie poważnym ciosem. Jeffrey ciągnął dalej:

- Zatem z całym szacunkiem, panie premierze, cokolwiek, co powstrzymuje wroga, jest pozytywnym czynnikiem, a to obejmuje ataki, które krzywdzą nas, ale jego bardziej.

- Trzeba brać pod uwagę wpływ bombardowań na morale cywilów - zwrócił uwagę polityk.

>>Obserwuj.<<

Obrazy przelatywały przed oczami Jeffreya: miasta zredukowane do siatki ulic pośród powalonych, nadpalonych cegieł, schrony przeciwlotnicze pełne bezimiennych trupów, uduszonych, gdy szalejące na górze pożary wyssały tlen z ich płuc. Floty ogromnych, czterosilnikowych bombowców, smuklej-szych i bardziej śmiercionośnych niż cokolwiek, co Visager do tej pory znało, zrzucające bomby zapalające na miasteczko drewnianych budynków zatłoczonych uchodźcami, podczas gdy dziwnie wyglądające jednopłatowe myśliwce starają się je odegnąć.

- Panie, nasi obywatele mogą znieść więcej cierpień niż dotychczas i wciąż walczyć. Czy możemy powrócić do omawianej kwestii?

Ludzie wokół stołu - generałowie, admirałowie, głowy ministerstw - otworzyli teczki leżące przed nimi. Na początku każdego pliku dokumentów znajdowały się lotnicze fotografie ogromnego, wijącego się łańcucha fortyfikacji. Potem mapy i wnioski wywiadu.

- Czy to jest wiarygodne? ~ spytał premier.

- Panie, widziałem sporo z tego na własne oczy - rzekł Jeffrey. - Przeniknęliśmy głęboko do brygad roboczych pracujących nad tymi fortyfikacjami. To prawda, jest to wielkie przedsięwzięcie. Nie tylko jeśli chodzi o siłę roboczą, mają jej dosyć, lecz także blokuje ono możliwości transportowe i materiały. Stal, cement, materiały wybuchowe do pól minowych.

- Zatem masz rację. Zamierzają się wycofać - rzekł premier. - Zwycięzamy ich!

- Panie. - Wybrany przywódca Republiki podniósł wzrok, usłyszawszy ton głosu Jeffreya. - Panie, zmuszamy ich do wycofania się, a to *nie* jest to samo. Musimy wziąć pod uwagę strategiczne konsekwencje. Proszę o przejście do raportu czwartego.

Zrobili tak, rozpoczynała go mapa. - Ta linia - z jakiegoś powodu nazywają ją „Linia Gotycką” - jest cholernie dobrze wyznaczona. Gdy zostanie ukończona, wycofają się, prowadząc walkę, a potem się zasadzą i poczekają na nas.

- Już raz ich odepchnęliśmy, to możemy zrobić to po raz drugi! - powiedział

premier. - Żaden najeźdźca nie może się ostać na ziemi Republiki, niezależnie od ceny.

*Chryste.* Zwykle Jeffrey uważał agresywną wojowniczość premiera za korzystną dla przebiegu wojny. Ścierał on w proch polityczną opozycję, a ludzie garnęli się do niego jako symbolu narodowej woli - nazywali go teraz Tygrysem. Jeśli jednak teraz nie odpuści...

>>Obserwuj.<<

Mężczyźni w mundurach khaki i dziwnych hełmach przypominających miski na zupę wylegli z okopów i zbliżali się, wędrując przez księżycowy krajobraz kraterów i fragmentów drzew, poskręcane drutu kolczastego i gnijących kawałków będących kiedyś ludzkimi ciałami. Szli w długich, zgrabnych szeregach, w precyzyjnych odstępach. Przed nimi, za nie poprzecinanym drutem kolczastym, karabiny maszynowe zaczęły błyskać stałymi łukami wystrzałów...

... a mężczyźni w innych mundurach, niebieskich, i w hełmach z grzebieniami biegnącymi przez środek, kulili się w lejach po pociskach. Bulwiaste maski skrywały ich twarze, zmieniając je w owadzie pyski. Ciała unosiły się w gęstej, błotnistej wodzie na dnie dziur po pociskach, ich skóra zabarwiona była na żółto. Skądś wiedział, że powietrze jest pełne niewidocznej, unoszącej się w nim śmierci, która wypala płuca i zmienia je w worki gęstego płynu...

... a mężczyzna w czystym mundurze oficera, z laską w dłoni i czerwonymi belkami sztabu popatrywał ponad morzem błota ubitego na konsystencję owsianki - zbyt kleistego, aby zachować kształt lejów, choć było podziobane jak twarz ofiary ospy. Ścieżki z poukładanych desek prowadziły w padający miarowo, szary deszcz. Dokoła leżał zatopiony w błocie porzucony sprzęt. Również słabo miotający się muł, któremu wystawała tylko jedna czwarta ciała.

- Dobry Boże - powiedział mężczyzna, a jego twarz zrobiła się szara jak skotłowana i zatruta ziemia. - Czy posłaliśmy ludzi, żeby walczyli w tym *czymś*? - Rozpląkał się.

Jeffrey potrząsnął głową. Problem z takimi obrazami polegał na tym, że ich implikacje pozostawały w tobie.

- Panie, obecnie udało nam się zmienić tę wojnę z manewrowej w wojnę obliczoną na wyczerpanie przeciwnika, co jest korzystne dla nas. To jest reakcja Wybrańców. Jeśli będziemy atakować ich pozycje, to wykrwawimy się na śmierć. Wyczerpanie będzie działało na ich korzyść. Uwierz mi, proszę, panie. Jeśli kiedykolwiek darzyłeś

zaufaniem mój wojskowy osąd, to zaufaj mu teraz. Wykończymy się, próbując tego. Tamtejszy teren sprzyja obronie - w ten sposób przetrwaliśmy ich początkowy atak - a te ich umocnienia ziemne są tak samo nie do przebycia jak góry. A to nie wszystko.

Wstał i wziął wskaźnik, przesuając jego czubkiem wzdłuż Linii Gotyckiej. - To skraca ich linię frontu, a przy wsparciu ciężkiej artylerii i dobrej łączności z tyłami, mogą rozciągnąć swoje siły stawiające nam czoła. Co oznacza, że mogą zgrupować prawdziwą strategiczną rezerwę, a nie tylko zabierać jednemu, żeby dać drugiemu, wycofując jednostki z linii frontu. Nie mieli prawdziwej rezerwy. Jeśli taką zdobędą, to zmienia to całą sytuację i oddaje im sporo inicjatywy.

Premier spojrzał na Johna. - Twoi partyzanci mieli związać walką ich siły - powiedział.

- I tak robią, panie premierze - powiedział. - Wybrańcy mają dwieście tysięcy ludzi utrzymujących linie komunikacyjne w dawnym Imperium i kolejne sto tysięcy w Sierrze, plus większość wojska nacjonalistów Liberta. Które to, tak przy okazji, jest dla nich użyteczne, dopóki Libert jest przekonany, iż oni wygrają. Gdyby mogli swobodnie wykorzystywać te siły, to przegralibyśmy wojnę zeszłej jesieni.

John rozejrzał się dokoła stołu. - Panowie? - Dał się słyszeć przytakujący pomruk, choć niechętny w niektórych przypadkach.

- Partyzanci mogą mieć dla nas kluczowe znaczenie - ciągnął dalej John. - Ale oni nie wygrają wojny. Jednak mogą się *przyczynić* do wygrania jej przez nas.

Premier przesunął kciukiem po nieco poplamionych od tytoniu białych wąsach, które to, wraz z jego wielką grzywą śnieżnobiałych włosów, stanowiły jego polityczny znak rozpoznawczy, wraz z szarymi, jedwabnymi rękawiczkami, jakie sobie upodobał.

- Tak jak nie doprowadzi do jej wygrania siedzenie i przypatrywanie się fortom Wybrańców na *naszej* ziemi - warknął. - Admirale?

Maurice Farr niechętnie pokiwał głową. - Nie możemy ryzykować ataku na Krajową Flotę Krainy w Przesmyku - rzekł. - Nie w tej chwili. Jest zbyt daleko od naszych baz, a zbyt blisko ich własnych. I choć nasza skuteczność operacyjna prędko wzrasta, szybciej niż ich - oni już są w gotowości bojowej - to budują tak szybko, jak się da. Mają poważne problemy z produkcją, ich siła robocza nie chce pracować, ale jednocześnie mają doświadczenie. Jeśli uda im się ukończyć ostatni cykl budowania statków, to nasz margines przewagi wyraźnie się skurczy.

Wzruszył ramionami. - Przez kolejne dwa lata mamy margines przewagi na morzu, który się utrzyma lub nawet wzrośnie. Za późniejszą sytuację nie mogę ręczyć.

Spojrzał na swoich synów i znowu wzruszył ramionami. Jeśli premier prosił o analizę w ramach jego specjalności, to Maurice Fan mu ją przedstawił.

Jeffrey zakaszłał. - Cóż, panie premierze, chodzi o to, że mimo iż Linia Gotycka umożliwia wrogowi odzyskanie swobody ruchu, to daje nam to samo - i to wcześniej.

Premier spojrzał na niego ostro. Jeffrey ciągnął dalej: - Nie wyjdą do nas z tych fortyfikacji, nie po tym, jak zadali sobie tyle trudu, nie, dopóki my będziemy utrzymywać znaczące siły stawiające im czoła. To oznacza, że możemy odciągnąć większość naszych doświadczonych dywizji z linii frontu, doprowadzić je do pełnego składu i wstawić nowe formacje, aby stawiały czoła wrogowi. To da im doświadczenie. Nie musimy w tym celu przeprowadzać totalnych ataków, wystarczą agresywne patrole. W ten sposób to *my* będziemy mieli strategiczną rezerwę, i to prędzej niż oni. Nie ośmielą się umniejszyć swoich sił, dopóki nie ukończą tych prac.

Premier rozparł się na krześle. Zaczynał w czasach radykalnej polityki - stoczył kilka pojedynków z politycznymi oponentami oraz osobami, które uważał za oczerniających go dziennikarzy, wtedy, gdy było to wciąż legalne w niektórych zachodnich prowincjach. John napomniął się, by nie lekceważyć tego mężczyzny. Nie był on jedynie wojowniczym, rozjuszonym ekstremistą, za jakiego niektórzy go uważali. Za tymi przebiegłymi, małymi oczkami kryło się dużo rozumu i dużo odwagi.

- A więc - powiedział - uważasz, że w ciągu tych dwóch lat będziemy mogli coś zrobić przy pomocy tej twojej strategicznej rezerwy. Że musimy... jakie jest to wojskowe określenie?

- Wykorzystać sposobność, panie premierze - powiedzieli wojskowi.

- *Wykorzystać tą swoją sposobność?* - ciągnął dalej premier.

- Tak, panie - rzekł Jeffrey. *Przeszedł od naszej sposobności do twojej sposobności?* - pomyślał. *Cóż, widać wyraźnie, kogo będzie winić, jeśli coś pójdzie źle.*

>>Jest politykiem, Jeff<< pomyślał Raj. Krótki obraz w myślach - Raj leżący twarzą w dół na wspaniałej mozaikowej posadzce, podczas gdy mężczyzna stojący nad nim pokrzykuje, odziany w prześwietne metaliczne szaty błyszczące w świetle łukowych lamp. >>Znam ten typ.<<

Polityczny przywódca spojrzał na Maurice'a Farra. - Co powiesz, admirale?

- Musimy podjąć jakieś działania w przeciągu następnych dwóch lat - rzekł ten z kliniczną obojętnością. - Jak już powiedziałem, nasza siła będzie wzrastała w stosunku do ich siły. Ale oni kontrolują teraz trzy czwarte użytecznych obszarów

planety, środków oraz ludności. I choć zrobienie użytku z tego, co zagrabili, zajmie im trochę czasu, to wreszcie to zrobią. A wtedy równowaga sił zacznie się przesuwać na naszą niekorzyść. W marynarce wojennej i nie tylko.

Większość wojskowych zgromadzonych wokół stołu pokiwała głowami, choć niechętnie.

Premier oparł się łokciami o stół, zacisnął jedną dłoń w pięść, a drugą ją objął, opierając podbródek na kostkach rąk. Oczy okolone workami zmierzyły Jeffreya spojrzeniem. - Opowiedz mi więcej - powiedział.

- Cóż, panie... - zaczął Jeffrey.

\* \* \*

Winda wciąż działała, gdy spotkanie dobiegło końca. - Niech to diabli, mam tylko nadzieję, że nie będzie żadnych przecieków - powiedział John, czekając ze swoim przybranym bratem na to, aby pierwsze ładunki pojechały w górę.

- Dlatego też ograniczyłem się do ogólników - odparł Jeffrey, ziewając. - Pamiętam, kiedy zarwane noce to była przyjemność, a nie coś, co sprawia, że czujesz, jakby ci oczy ugotowali, obrali i wytaczali w pieprzu kajeńskim.

John potrząsnął głową. - Były to jednak użyteczne ogólniki.

Jeffrey uśmiechnął się lekko i walnął go w ramię. - Braciszku, nie da się powstrzymać Czwartego Biura ani *Militarische Intelligenz* przed poznaniem naszych *możliwości* - powiedział. - I wydedukowania z nich naszych ogólnych intencji. Musimy natomiast utrzymać w tajemnicy konkretne zamiary. Wszystko będzie od tego zależało.

John pokiwał z niezadowoleniem głową. - Wciąż mi się to nie podoba.

- Oczywiście, że nie - powiedział Jeffrey kpiąco-uspokajającym głosem. - Jesteś szpiegiem. Nie jesteś szczęśliwy, dopóki nie wiesz wszystkiego o wszystkich, podczas gdy reszta nie wie niczego.

Winda zatrzymała się ze stukotem na dnie szybu i otworzyły się przesuwane drzwi z siatki. Weszli do niej. Mały kwadrat ozdobiono czerwonym, puszystym dywanem, lustrami i rzeźbionym drewnem orzechowym, jak w górnej części Rządowej Rezydencji, a nie jak w użytkowych norach pod nią, dodanych w przedwojennych latach. Windziarz zatrzasnął drzwi i sięgnął po dźwignię z mosiądzu i polerowanego drewna, która ją obsługiwała.

- Parter, jak sądzę, panowie? - powiedział z lekkim imperialnym akcentem.

John skinął głową i odezwał się w języku ojczystym mężczyzny: - Jak jest tam na górze, Mario?

Windziarz uśmiechnął się do patrona, który znalazł mu tę pracę. - *Złe, signore* - odparł. - Te świny *tedeschi* wylegli licznie dziś w nocy. Niech Bóg, Maria i wszyscy święci mają was w opiece.

- Amen - powiedział John i wyjął papierośnicę z kurtki. Znajdujące się w niej papierosy były ciemne ze złotą obwódką. Poczęstował nimi pozostałych mężczyzn, a potem zapalił zapalniczkę.

Zapach był mocny i gryzący. - Sierrańskie - rzekł Jeffrey. - Extra mocne. Przez jakiś czas nie będziemy ich już widywać.

Windziarz pokiwał ponuro głową. - *Tedeschi* tam poszaleli, *signore* - rzekł. - W Imperium zachowują się jak zwierzęta, ale teraz w Sierrze...

- Myślę, że szaleją z frustracji - powiedział John. - *Ciao*, Mario. Uszanowania dla rodziny.

- *Signore*. Podziękowania za stypendium dla Antonia.

- Zasłużył sobie na nie,

- Czy jest takie miejsce, gdzie ich *nie* upchnąłeś? - spytał Jeffrey, gdy ruszyli do bocznego wyjścia, przeznaczonego dla nieoficjalnych gości.

- Nigdy nie zaszkodzi mieć przyjaciół w... - zaczął John, gdy odbierali od służącego kapelusz, czapkę mundurową oraz laski. A potem zatrzymał się na lśniącem marmurze schodów. - *Cholera*.

Obydwaj zatrzymali się na najwyższym stopniu. Rządowa Rezydencja była położona wspaniale na szczycie wzgórza. Rozpościerał się stąd widok na całe mile - zaciemnione ulice, migotanie świateł pojazdów ratowniczych, których górne części pomalowano na czarno, aby były mniej widoczne z góry. Pożary szalały przy kanałach i magazynach nad rzeką-plamy miękkiego światła pośród czerni wynikającej z zaciemnienia. Reflektory sięgały ku górze niczym palce, jak ręce wyciągające się ku maszynom, które dręczyły znajdujące się poniżej miasto; wyslizgiwały się spod chmur i znikwały w dziurach pomiędzy nimi. Co kilka sekund strzelało przeciwlotnicze działo - błysk światła i głucho *brraak* - a potem pocisk wybuchał daleko w górze, czasami na chwilę podświetlając chmurę od środka. Gdy wreszcie zapadła cisza, wszędzie w wielkim mieście ozwały się syreny - wznosząco-opadające zawodzenie oznaczające „alarm odwołany”. Gdy umilkły, dało się słyszeć cichsze syreny straży pożarnej i dźwięk dzwonów.

- A teraz prześpij się trochę - rzekł cicho John. - Ci, którzy mogą. Jutro wstaną z łóżek i zabiorą się do roboty.

Jeffrey pokiwał głową. - Masz rację. Centrum ma rację, to wyrządza większą krzywdę Wybrańcom niż nam... jednak to musi się skończyć.

Harry Smith czekał w samochodzie, przysypiając z głową opartą na rękach w rękawiczkach. Obudził się, gdy zbliżyli się dwaj mężczyźni. - Przepraszam, panie Jeffrey.

- Dlaczego, u diabła, nie byłeś w schronie? - spytał John głosem wahającym się pomiędzy rezygnacją a irytacją.

- Chciałem mieć samochód na oku - powiedział Smith. John westchnął. - Do domu.

Dom znajdował się na przedmieściach Północnego Wzgórza, za ulicą Ambasad. Było niewiele bezpośrednich szkód. Nie było tam żadnych fabryk ani gęsto upakowanych domów mieszkalnych klasy pracującej, spotykanych dalej na południu, nad brzegiem rzeki i po jej drugiej stronie. Uliczne światła były wciąż zaciemnione tak jak i domy. Parowy samochód sunął cicho po ciemnych ulicach, mijając od czasu do czasu patrole przeciwlotnicze, w hełmach ale bez mundurów, tylko z opaskami na ramieniu - wiele z nich składało się z ochotniczek Pomocniczego Korpusu Kobiecego. Raz przejechała, dzwoniąc, karetka, a raz musieli objechać miejsce wybuchu-wielki lej na środku ulicy, gdzie z pękniętej rury tryskała z sykiem woda na dziesięć stóp w górę. Mógł tam być także gaz. Postawiono już barykady z kozłów, a z ciężarówki służb miejskich wylewali się mężczyźni w kombinezonach roboczych.

- Wygląda nieco podobnie do naszego domu - powiedział Jeffrey. Dom młodszego Farra stał się celem kilku dwustupięćdziesięciofuntowych bomb Krainy, na szczęście gdy nikogo nie było. - Jeszcze raz dzięki za ocalenie nas przed przydzielonymi przez rząd kwaterami dla małżonków, oddanych do użytku oficerom.

John prychnął. Samochód zatrzymał się na chwilę przed bramą z kutego żelaza, a potem opony zaszumiały, sunąc po ceglach długiego podjazdu.

- Prześpij się trochę - powiedział John do Smitha. - Za kilka dni wybieramy się na wycieczkę.

Smith wyszczerzył się w uśmiechu. - Ze starymi przyjaciółmi, panie? - John skinął głową. Smith odezwał się, świetnie naśladowując cedzący sposób mówienia wyższych sfer. - O tej porze roku *przyjemne* są małe wakacje w Cieśninie, co?

Zaspany kamerdyner otworzył frontowe drzwi wielkiego, okazałego ceglanego



domu. Zachwiał się, gdy czterolatka przemknęła mu pomiędzy nogami. Dziewczynka zbiegła po schodach i skoczyła na Jeffreya.

- Tatusiu! - Dziewczynka owinęła się wokół niego, trzymając się jego pasa. - Tatusiu, wszyscy zeszedliśmy do piwnicy i śpiewaliśmy!

- To dobrze, pączusiu, ale czas już do łóżeczka - powiedział Jeffrey, biorąc ją na rękę.

Zmarszczyła nos. - Dziwnie pachniesz, tatusiu.

- Wiń za to premiera i jego tytoń - o, jest Irene.

Wyszła niańka, owijając się szlafrokiem i cmokając z niepokojem. - *Tu jest, panie Jeffrey. Naprawdę, czasami myślę, że to dziecko jest po części małpką.*

- Urodzona komandoska. Do łóżeczka, pączusiu...

John wciąż się uśmiechał, wchodząc po schodach, po odrzuceniu propozycji kamerdynera, aby obudzić kucharza. Bycie bogatym człowiekiem miało swoje plusy, lecz łączyły się z tym drobne niedogodności. Gdyby mieszkał w apartamencie średniej klasy, to pobuszowałby w lodówce i zrobił sobie kanapkę, ale wyrywanie kogoś z łóżka o pierwszej w nocy, żeby wsadził kawałek kurczaka między dwa kawałki chleba, było bardziej kłopotliwe niż tego warte, a poza tym aroganckie.

W sypialni wciąż paliło się światło, ale Pia spała. Jej okulary do czytania leżały na stercie dokumentów piętrzącej się na rzeźbionym stolczku z drewna tekowego, obok zdjęcia Maurice'a w mundurze pilota. John się uśmiechnął. Jego żona była żyjącym dowodem na to, że nie wszystkie kobiety z Imperium tyły po trzydziestce. *Jest po prostu wspaniała*, pomyślał, rozwiązując krawat.

Obudziła się, poruszyła i uśmiechnęła do niego. - Witaj, kochanie - powiedziała. - Czuję tytoń premiera, więc wiem, że mówiłeś prawdę, że to byli politycy, a nie kochanka.

John wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jeśli nie zaśniesz, możesz mieć na to prawdziwy dowód.

- Pospiesz się zatem.

\* \* \*

Gerta zmusiła się do rozluźnienia zbiegających dłoni, zaciśniętych na opancerzonym boku pojazdu.

- Mam nadzieję, że nagrywasz każdą minutę - wymruczała do znajdującego się obok kamerzysty.

Protegowany skinął głową, nie odrywając się od okularu wielkiej, niezgrabnej maszyny przymocowanej z boku pojazdu. Z regularnością metronomu obracał korbą, a w środku kręcił się mechanizm przekładniowy. Obok mały reflektor przebijał półmrok brzasku, sprawiając, iż światło było wystarczające do filmowania.

Ogromny dwupłatowy bombowiec chwiejnie podchodził do lądowania... albo katastrofy. Długi kadłub przypominał tubę, z otwartymi, okrągłymi otworami dla pilota, drugiego pilota oraz innymi dla bombardierów i kanonierów. Pomiedzy każdym z długich skrzydeł znajdowały się cztery gondole silnikowe, a w każdej zamontowano wyciągarkę i wpycharkę. Podwozie osiadało na ziemi, wzbijając pył. Trysnął żwir. Przy drugim uderzeniu rozchylone na boki odnóża wielkich kół rozłożyły się jeszcze bardziej, a cały samolot opadł bliżej ziemi, pędząc po pasie startowym. A potem jego spód dotknął podłoża, syjąc iskrami, rozdzierając drewno i materiał. Połowa dolnej części kadłuba została zdarta, gdy samolot stopniowo hamował, obróciwszy się raz czy dwa jak bak, zanim się zatrzymał. Wybiegły drużyny ratownicze, rozdzwoniły się dzwonki, choć śmigła *właściwie* nie dotknęły ziemi i nie się nie zapaliło... tym razem.

- Nagrałeś to?

- Tak jest - odparł protegowany i zaczął skomplikowany proces zmiany rolki filmu.

Gerta zdjęła czapkę od munduru, mnąc ją w dłoni. Była to jedyna widoczna oznaka jej wściekłości. Stanowczo stłumiła impuls rzucenia jej i podeptania.

Dowódca eskadry podszedł do jej samochodu z otwartym dachem. - Całkowicie rozumiem, brygadierze - powiedział. - Czy twój film na coś się przyda?

- Cóż, mogę teraz potwierdzić przy pomocy dokumentacji wizualnej, że tracimy dziesięć procent tych maszyn w *normalnych* operacjach przy każdej misji, nie licząc nieprzyjacielskich działań. Kiedy myślę, ile myśliwców albo pojazdów do ataków naziemnych moglibyśmy mieć za te same środki...

- Niech po prostu przestaną wymagać, abyśmy latali na tych wynaturzeniach - powiedział mężczyzna. Był bardzo młody, nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat. Straty w ludziach w eskadrach bombowych były duże. - Rozumiesz, nie żebyśmy mieli coś przeciwko ginięciu dla Wybrańców...

- ... tylko, że chcielibyście, aby to miało jakiś sens - dokończyła za niego Gerta. - Postaram się. Porschmidt ma wielu przyjaciół w wysokich sferach.

- Chciałbym ich zabrać wysoko - nad miasto Santander albo Bosson - i wyrzucić

ich razem z ładunkiem bomb.

Gerta skinęła głową. - Jeśli to jakieś pocieszenie, to robimy pewne rzeczy, które są sprytniejsze niż to.

- To jeszcze gorzej.

## Rozdział dwudziesty piąty

John Hosten pochwycił dłoń Artura Bianciego. - Wciąż żyjesz - powiedział.

Dowódca partyzantów wyglądał bardziej na sześćdziesiątkę niż na swoje czterdzieści pięć lat. Niegdyś korpulentny, był wyniszczony tak, że pozostały kości, ścięgna i niezbędne minimum mięśni, a gęste, krótko przyszyzione włosy nad pobrużdżoną, ogorzałą twarzą były tak samo srebrzyste jak zarost szczęki.

- Nie żeby *tedeschi* nie próbowali - rzekł. Uśmiech na jego twarzy wyglądał na rzadkiego gościa. - Od szesnastu lat obowiązuje wysoka cena na moją głowę.

Zaprowadził Johna z powrotem do jaskini. Była głęboka i kręta, otwierała się na szersze pieczary wewnątrz i rozchodziła w labirynt, który prowadził całe mile w głąb Collini Paeani. Tu i ówdzie naftowa lampa rzucała krąg światła. Momentami widać było mężczyzn śpiących pod kocami, zajmujących się bronią albo ustawiającymi skrzynie i pudła pod nawoskowanym brezentem. Była nawet pieczara-stajnia, gdzie uwiązane muły drzemały w szeregach, a paszę ustawiono na dziesięć stóp wysokości pod ścianą. W jaskiniach pachniało starym dymem, ziemią i wilgotnym wapieniem. Dalej w głębi znajdowały się podziemne rzeki, płynące nie wiadomo dokąd.

- To wielką operacją - powiedział John.

- Jedną z wielu - rzekł Arturo. - Staramy się nie umieszczać zbyt wiele w jednym miejscu, na wypadek istnienia informatora lub gdyby poszczęściło się patrolowi *tedeschi*. Coraz więcej ludzi do nas przechodzi. *Tedeschi* zabierają coraz więcej ziemi pod plantacje i jest coraz więcej przymusowej pracy. Jeśli człowieka przeznaczono do obozów albo fabryk w Piekło - posłużył się slangowym określeniem nadanym Krainie - to może uciec jedynie do nas.

- Albo zgłosić się na ochotnika do wojska lub policji - zwrócił uwagę John.

Twarz dowódcy partyzantów ściągnęła się jak zaciśnięta pięść. - Niektórzy tak robią. I niektórzy z nich to *nasi* ludzie, mający szpiegować i czekać dnia, gdy ich wezwiemy. Wróg nie bardzo ufa zbieranym tutaj jednostkom, nie ośmiela się też mieszać ich z protegowanymi z Krainy.

Weszli do średniej wielkości komory, przechodząc pomiędzy kocami zawieszonymi u wejścia. Stara kobieta pichciła garnek gulaszu nad małym, węglowym paleniskiem, a wokół chybotliwego stołu czekała grupka ludzi wyglądających na równie twardych jak Arturo. Nie było żadnego przedstawiania się, po prostu wilcza cierpliwość albo lekkie poruszenie broni, jaką byli obwieszeni. Niektórzy odrywali kawałki twardego chleba i maczali w gulaszu, jedząc ze skupieniem typowym dla ludzi, którzy większość czasu chodzą głodni. Zebrani spojrzeli beznamiętnie na Johna, popatrując z ostrożnym szacunkiem na Barrjena i jego mały oddziałek składający się z byłych żołnierzy piechoty morskiej w średnim wieku.

John ubrany był w długie, sznurowane buty i grube tweedy - strój z Santander na polowanie lub piesze wycieczki. Postawił paczkę na stole i odpiął klamrę.

- Tutaj - powiedział, stukając palcem w mapę, którą wyjął. Był to egzemplarz Urzędu Kartograficznego Marynarki Wojennej Republiki, pokazujący fragment północnego wybrzeża Cieśniny, sto mil na wschód i zachód od Salini.

Mężczyźni zgromadzeni wokół stołu byli głównie dawnymi wieśniakami, trafiło się paru sklepikarzy i rzemieślników, ale od czasu podboju Wybrańców nauczyli się czytać mapy. Miejsce, które wskazał, znajdowało się na końcu występu zwróconego ku południowi, stanowiącemu niemalże małą wysepkę w wąskiej części wielkiej cieśniny.

- Fort Causili - powiedział jeden z nich. - Stary fort, ale *tedeschi* tam budowali. Dwa, trzy tysiące robotników i żołnierzy, przez większą część roku. Zbudowali tam też bocznice.

John kiwnął głową; Wyjął fotografie, rozmazane ze względu na powiększenie i niesprzyjające warunki, w których były robione, lecz wystarczająco wyraźne. Niektóre zrobiono z powietrza, inne przy pomocy urządzeń ukrytych w bazie przez pracowników. Ukazywały głębokie jamy, betonowe umocnienia z osłonami w górze, osadzone w klifach, i wreszcie specjalne wagony-platformy z ogromnymi, cylindrycznymi przedmiotami ukrytymi pod ciężkim przykryciem z brezentu.

- To więcej niż fort - powiedział John. - To są specjalne działa o dużym zasięgu, sześć takich. Dwunastocalowe działa przeciwokrętowe, zwężone do ośmiu cali i wydłużone. Ich zasięg obejmuje większość mielizn na południowym brzegu... który

jest w reku wroga, to terytorium Unii. Jest tam jeszcze jeden fort, broniący jedyne przejścia, ma ciężkie, oblężnicze działa. Razem mogą zamknąć Cieśninę niemal dokładnie na starej granicy Unii z Santander.

Kilku dowódców partyzantów wzruszyło ramionami. Jeden wymruczał: - To źle. Ale co z tego? Na tym obszarze znajduje się brygada piechoty, okopana, w całkowitej gotowości. Ci z nas, którzy chcieli zginąć, zrobili to już dawno temu.

- To bardzo źle - rzekł Arturo. - Jeśli uda im się zamknąć Cieśninę, to będą mogli umieścić w niej swoje własne statki i przewozić zapasy. To rozwiąże wiele z ich problemów. To uwolni żołnierzy, którzy będą mogli zostać użyci gdzieś indziej, uwolni też wiele siły roboczej, lokomotywy. A wasza marynarka nie będzie mogła robić rajdów wzdłuż wybrzeża ani podrzucać nam zaopatrzenia. To bardzo źle. Ale Vincini ma rację, nie możemy zrobić wiele więcej poza nękaniami ich.

Vincini dobył długiego noża, który wyglądał, jakby wyrzezano go z rzeźniczego narzędzia. Zatoczył krąg jego czubkiem.

- To spokojny rejon. Niewielu rekrutów przechodzi do nas. To by uległo zmianie, gdybyśmy przeprowadzili tam parę operacji - *tedeschi* w odpowiedzi dokonaliby mordów, a to przekonałoby mieszkańców wiosek do przejścia na naszą stronę.

John kiwnął głową. Partyzanci zawsze atakowali z dala od terenów swoich baz. Wybrańcy zabijali zakładników z tych rejonów, w których miały miejsce ataki, co jedynie przekonywało tubylców, iż równie dobrze mogą się dać powiesić za owce co za jagnięta.

- Nie proszę was o to, abyście sami zajmowali bazę - powiedział. - Ale wierzcie mi, nie możemy pozwolić wrogowi na jej ukończenie. Jeśli Krainowcy będą panowali nad Cieśniną, to zbliżą się mocno do wygrania wojny. A jeśli Santander upadnie, to wasza sprawa stanie się beznadziejna.

To wywołało kilka gniewnych spojrzeń, ale też i niechętnych potakiwań. Ciągnął dalej:

- Pamiętajcie, cały świat toczy wojnę. Atakujemy wroga w wielu miejscach. Nie możecie sami. zająć bazy, ale możecie *pomóc*. Oto, co proponuję...

\* \* \*

Angelo Pesalozzi stęknął, gdy marynarze z Santander wciągnęli go przez burtę motorowej łodzi torpedowej. Protegowany rozejrzał się. Mała jednostka była zaciemniona, ale było dość światła gwiazd i odbijającego się w wodzie blasku

księżyców, aby ją widzieć. W jej budowie była elementarna prostota - ostry dziób, kadłub ze sklejki. Była płytko zanurzona, lecz o świetnej sylwetce. Na przednim pokładzie znajdował się pompom o podwójnej lufie za cienką osłoną, lecz prawdziwa broń umieszczona była na obu burtach: dwie osiemnastocalowe przeciwokrętowe torpedy w zamkniętych wyrzutnikach ze stalowej blachy. Na śródokręciu znajdowała się mała pokładówka, a na rufie potężne, samolotowe silniki, zdolne unosić tę kruchą łupinę po spokojnym morzu z szybkością większą niż trzydzieści węzłów. Teraz silniki mruczały cicho, jak największy kot świata, wytłumione blaszanymi odgradami na rufie, na których widać było ślady pospiesznego, prowizorycznego montażu. Niebieskie spaliny napełniały ciemność nocy ostrym zapachem, a wiatr był zbyt słaby, by je rozwiewać.

Jeszcze tuzin podobnych łodzi czekał przed zatoką Bassin du Sud. Nie załśnił nawet kawałek metalu, a twarze załogi były ciemne od spalonego korka i czarnych, wełnianych kominiarek. Dowódcą tej małej flotylli był najstarszy mężczyzna wśród załogi, a i jemu brakowało jeszcze kilku lat do trzydziestki. Większość jego podwładnych jeszcze dwa lata temu była rybakami albo latoroślami rodzin na tyle zamożnych, by posiadały własne łodzie motorowe. Ojciec Kneally'ego był magnatem prasowym z ambicjami wobec swoich synów. Nie tylko Kneally się uśmiechnął, wyciągając dłoń do potężnego protegowanego.

- Witaj na pokładzie - powiedział w przyzwoitym krajowym.

- Dowódca James Frederick Kneally, do usług. Masz to?

W milczeniu Angelo sięgnął pod kurtkę i wyciągnął mapę w wodoodpornym opakowaniu. Oficer marynarki Santander rozwinął ją i rozłożył na zrębnicy, włączając małą, osłoniętą latarkę.

- Och, jak miło - wyszeptał Kneally. Żadnych zmian w stosunku do tych informacji, jakie wywiad dał mu w Karlton.

Mapa marynarki wojennej Krainy - miała zaznaczone na czerwono pola minowe, dziewiące kompasu, namiary i tym podobne - wykonana z typową starannością Wybrańców. Oficer z Santander położył swój kompas na mapie i podniósł wzrok. Dwa światelka błysnęły z różnych części wzgórz nad Bassin du Sud, a on przez chwilę pracował przy pomocy liniału traserskiego i suwaka logarytmicznego.

- Dokładnie tu - powiedział Kneally, zaznaczając na mapie.

- *W porządku. Jeszcze raz dziękuję.*

Protegowany pochylił głowę. - Muszę wracać. Zostałem wysłany przez mego pana

w celu załatwienia pewnej sprawy, co uwalnia mnie nieco od podejrzeń, ale nie za bardzo. Dajcie mi dziesięć minut.

Dowódca flotylli ponownie uściśnił mu rękę, a potem powrócił przejęty do mapy. Kilka osób pomogło protegowanemu przejść z powrotem przez burzę, do maleńkiej parowej motorówki. Kątem oka zauważył, że niewielka chorągiewka osadzona na jej rufie była czarno-białą szachownicą sztabu generalnego Krainy. Zignorował to.

- Ster - powiedział. - Przygotować się do podążania podanym przeze mnie kursem, bardzo powoli. Dać sygnał flotylli, podążać za nami.

Słabe-niebieskie światełko tuż nad linią wody zapaliło się na samej rufie łodzi torpedowej na czele. Mężczyzna przy sterze splunął za burzę, wytarł najpierw jedną, a potem drugą rękę o spodnie z grubego płótna. Dowódca wetknął głowę przez otwór w zrębnicy do dusznej, ciemnej maszynowni. Dowodzący w niej oficer i jego dwóch marynarzy przykucnęło obok wielkich silników wewnętrznego spalania niczym akolici czczący jakiegoś boga z żelaza i mosiądzu, trzymając w pogotowiu narzędzia i smarownicę. Spędzili ostatni tydzień na przeglądaniu każdej części, złączenia i kawałka systemu napędowego, jakby od tego zależało ich życie. I tak właśnie było.

- Gotowi?

- Gotowi jak tylko można być, panie.

Wyprostował się znowu i spojrzał na gwiazdy. Jeden księżyc był w pełni, drugi częściowo, nieco rozproszonych chmur, martwa cisza, z nieuniknionymi falami, jak to na południowym oceanie. Za falochronami zatoki powierzchnia wody będzie tak spokojna jak w wannie. Spojrzał znowu na mapę, dostrzegając oznaczenia prądów.

- Trzy węzły - powiedział cicho do sternika. - Skręć jakieś dwanaście stopni i utrzymuj kurs przez cztery minuty. Teraz ostrożnie. To ciasne przejście.

- Ciasne jak tyłek chłopca pokładowego - zgodził się sternik, wduszając przepustnicę cał za całem.

Tłumik na rufie warknął nieco głośniejsze, a dowódca się skrzywił. Wybrańcy znacznie wzmocnili system obronny portu i choć on miał dotyczące ich świetne dane wywiadu, to wiedza o tym, gdzie dokładnie ważący dwieście pięćdziesiąt funtów zwycięzca wyrzuci prawy sierpowy na niewiele ci się zda, jeśli ty jesteś ważącym dziewięćdziesiąt funtów chuderlakiem ze szklaną szczęką. Łodzie Kneally'ego były skorupami ze sklejki przykrywającymi materiały wybuchowe i wysoce łatwopalne paliwo. Ciężki karabin maszynowy mógłby zmienić je w płonące drzazgi, a co dopiero pompom lub 240 mm pocisk z Emmów w zamku czy fortów nad zatoką. A jeszcze



były też stale patrolujące Cieśninę kanonierki.

Pola minowe zostały rozłożone tak, że układające się naprzemiennie poziome przejścia miały zakręty, których nikt nie mógł pokonać szczęśliwym trafem. Byłoby trudno tego dokonać nawet w świetle dziennym, z pilotem naprowadzającym sternika. Wróg stracił kilka statków zaopatrzeniowych na własnych minach.

- Delikatnie, delikatnie. Zamrugaj światłem rufowym. Teraz skręć na lewą burzę, dziewięćdziesiąt stopni. Delikatnie, człowieku, delikatnie.

Pot przemoczył mu kominiarkę i szczypał w zadraśnięcia po goleniu na brodzie. W dole znajdowały się miny - ciemne, żelazne kule najeżone mosiężnymi szpikulcami wrażliwymi na nacisk. Unosiły się jak jakieś złośliwe kwiaty na łańcuchowej uwięzi. Otarł twarz połą kurtki. Pojawiły się światła Bassin du Sud. Było ich kilka, głównie nisko, przy wodzie. *Może powinniśmy byli w tym samym czasie zaaranżować nalot*, pomyślał. *Żeby patrzyli w górę. Me, starszyzna przynajmniej tym razem miała rację.* To by ich obudziło, byliby gotowi, a załoga mogłaby skrócić szybkostrzelne działka od dziewięćdziesięciu stopni do pozycji poziomej o wiele szybciej, niż oni mogli wygramolić się z łóżek i stanąć w gotowości.

Coś uderzyło o kadłub z przodu. Bump... bump... bump...

Ścisnęło go w żołądku. Wszyscy ludzie na pokładzie zamarli, poza sternikiem, który delikatnie drgnął przy kole sterowym. A potem załoga MLT 109 wzdrygnęła się i odprężyła, gdy dźwięk zamilkł za nimi, a nagły, śmiercionośny wybuch *nie* uniósł ich jednostki ponad wodę z przetrąconym kręgosłupem. Przed nimi kolejny zakręt. Spojrzał za siebie. Ledwo co było widać MLT 110. Dobrze. Ta procedura podążania za przodownikiem sprawiała, że jeszcze bardziej się denerwował. Niewielkie błędy mogły się skumulować i rzucić ostatnie łodzie prosto na miny. Choć Bóg jeden wiedział, że ćwiczyli dostatecznie często na makietach w bazie w Karlton. Tamtejsza baza nigdy nie była czymś szczególnym, ale świeciła pustkami, odkąd Południowa Flota została zgładzona w pierwszych dniach wojny.

Statki, które wyrznęły cztery tysiące marynarzy z Santander, czekały przed nimi... Ich załogi spędziły jeszcze pół dnia na starannym wystrzeliwaniu rozbitków w wodzie. Zęby Kneally'ego błysnęły bielą na tle jego ciemnej twarzy.

- W porządku, przepłynęliśmy. - Jeśli mapa była kompletna. - Sygnał do ustawienia się do ataku.

Uniósł lornetkę i spojrzął przez nią. Było dość rozproszonego światła, aby widzieć szereg krążowników Krainy, których sylwetki odcinały się na tle mętnego blasku...

przynajmniej taką miał nadzieję. Okręty znajdowały się w odległości kilku tysięcy jardów, dym unosił się z jednego czy dwóch kominów na każdym statku - pozostawały pod parą-bom z siecią przeciw-torpedową unosił się, pływając; kreska na martwych wodach zatoki. A także światła łodzi patrolowej, słabe reflektory szukające dywersantów lub zdrajców próbujących umknąć na gumowych pontonach.

Łodzie torpedowe z Santander ustawiły się w szeregu, jedna obok drugiej. - Sześć węzłów - powiedział Kneally.

Silniki zawarkotały nieco głośniej. *Jak długo jeszcze?* W końcu zauważą...

Reflektor wbił się w nich i zawył alarm.

- Wykończyć ich, szefie! Wykończyć!

Sternik wdusił przepustnicę. Teraz silniki ryknęły. Był to wstrząsający dźwięk, którego nie mógł wyciszyć żaden tłumik. Piana wodna trysnęła spod dziobów dwoma wysokimi pióropuszcami, ciskając Kneally'emu sól na wargi. Światelka zabłyśły wzdłuż szeregu krążowników Krainy, a rakiety wybuchły wysoko w górze.

- Za późno, wy ssący skórę zbrojeńcy! - wrzasnął Kneally.

Bom znajdował się niecałe pięćset jardów przed nim. Było dość czasu, aby łodzie torpedowe osiągnęły maksymalną bezpieczną prędkość. Kneally zacisnął ręce na klamrze przed sobą i zaparł się. Gładki pas wzmacniającej stali na stępce torpedowej łodzi wyrzucił ją w powietrze, łukiem, który zakończył się ogromnym pluskiem, aż woda trysnęła na dwukrotną wysokość sygnałowego masztu stateczku. A potem każda para łodzi popędziła ku burcie krążownika. Wielkie statki wznosiły się niczym szare, stalowe klify. Klify usiane ogniem, gdy załogi pierwszych pompomów dotarły do swoich stanowisk i zaczęły strzelać.

MLT 109 mknęła do przodu jak pestka arbuza wystrzelona spomiędzy kciuka a palca wskazującego. Jednofuntowe pociski dziobały wodę naokoło, a znajdujący się na przedzie łodzi pompom sam wypluwał strumień jasnych kul ognia. Nie wyrządzą one krzywdy krążownikom, ale mogą załatwić załogi broni przeciwtorpedowej na większym statku. Szybkostrzelne działka walnęły z barbet, a z lewej pocisk wyrzucił fontannę wody. Przez cały ten czas umysł Kneally'ego oceniał odległość z umiejętnością wynikającą z częstej praktyki.

- Gotowi...

ŁUP.

MLT 110 wybuchła w kuli żółtego płomienia, z podmuchem niosącym przedsmak piekła.

- Równowaga! - krzyknął Kneally, pomagając podoficerowi szarpać się z kołem, gdy podmuch rzucił płaskim kadłubem w bok.

Przez gorącą chwilę zanurzyli się w płomienie, lecz pióropusze wody wzbudzone ich przejściem ochroniły ich przed zbytnim spieczeniem. MLT 109 mknęła teraz najszybciej ze wszystkiego na oceanach Visager, pędząc do przodu jak morświn napędzany siłą czterech tysięcy koni mechanicznych. Tysiąc jardów, maksymalny zasięg. Dziewięćset. Dziób 109 był skierowany dokładnie w rufę krążownika, nastawiony na mrugające światelko znajdującej się tam lufy pompoma. Pociski nadlatywały ku niemu, a potem przeleciały górą.

- Odpalić pierwszą! Skręt, szefie!

Z głuchym łupnięciem ładunek wyrzutowy wypluł pierwszą torpedę z lufy. Kruchy materiał, z którego wykonano łódź torpedową, zadrżał, gdy srebrzysty cylinder spadł łukiem do wody. Łódź przechyliła się na prawo, a jej dziób zakreślił łuk, przemykając wzdłuż okrętu wojennego wroga.

- Odpalić drugą! Odpalić trzecią! Odpalić czwartą! *Zabrać nas, kurwa, stąd!*

Noc była chaosem migających sylwetek i oślepiających światel - smugaczy, reflektorów i wybuchów. Kneally obrócił się w zrębnicy, aby spojrzeć przez ramię. Wzburzona woda buchała spod burty krążownika, który był ich celem - a także spod innych. Mężczyzna ryknął przeraźliwie niczym lampart, a potem zacisnął zęby, stukając nimi boleśnie. Tym razem uderzyli o bom o wiele mocniej, a szkielet MLT 109 zatrzęszczał złowróźnie.

Musiał jednak wytrzymać jeszcze tylko trochę. Kolejne światelko zamrugało z lewej burty. To byli partyzanci, którzy przesznują ich przez góry - jeśli załoga łodzi dotrze na brzeg,

I jeśli uda im się uniknąć patroli z Krainy. Kneally kręcił głową, starając się zobaczyć wszystko. Było wciąż za ciemno - zbyt duża plątanina kresek i świetlnych pasm skakała mu przed oczami. Gdyby jeden z magazynów materiałów wybuchowych na krążowniku nie eksplodował za nim, to nigdy nie zobaczyłby zbliżającego się niszczyciela. Ostre światło uwidocznilo go aż nazbyt wyraźnie - przedni pokład przypominający skorupę żółwia i cztery dymiące kominy oraz fale odbijające się od straszliwych ostróg dziobowych.

Kneally rzucił się do tyłu z wrzaskiem. Ogromna siła zderzenia cisnęła go koziółkującego w powietrze i uderzył w wodę jak w beton. Jakoś, dzięki wspomaganemu wypornościowej korkowej kamizelki, którą nosił, udało mu się odegnać wirującą

ciemność i wypłynąć na powierzchnię. Zasysał go wir zaśrubowy. Unosił się, podskakując w ślad za niszczycielem. Oleista woda wlewała mu się do ust.

- Jezus - wystękał, niemal chichocząc z niedowierzania, że wciąż jest żywy. - A tata chciał, żebym był bohaterem.

Jego punkt widzenia znajdował się za nisko, aby wiele zobaczyć, lecz kilka krążowników, które stanowiły cel jego eskadry, płonęło. Widział rufę wznoszącą się ku niebu wraz z ogromnymi, bliźniaczymi śrubami z brązu połyskującymi w świetle pożarów i reflektorów.

To go otrzeźwiło. Skierował się w stronę plaży i zaczął uparcie ku niej płynąć. Jeśli go nie zabiją, to będzie żył... i będą jeszcze inne bitwy.

Niemal nie wykonał zamachu. Adrenalina odpływała, a on przypomniał sobie wyraz twarzy sternika, gdy pojawił się nad nimi dziób niszczyciela. Być może on jeden przeżył z dwunastoosobowej załogi, która obsadzała MLT 109.

Kneally się wzdrygnął. *Następna bitwa.*

\* \* \*

- Najwyższy, cholera, czas - stwierdziła z zadowoleniem Gerta.

Tylko ostatnie stanowisko działa było wciąż odkryte, a praca wrzała przez całą noc w ostrym świetle łukowych lamp.

Stanowisko było osadzone głęboko w ścianie klifu, wykorzystując naturalny jar biegnący przez kredowobiały wapień. Brygady robotników i materiały wybuchowe wygrzebały podłużną komorę, szerszą od tyłu niż od strony stromej skalnej ściany. Wciąż pachniało surowym betonem, lecz skomplikowany stelaż ogromnych dział był już na miejscu, a dwie lufy przymocowywano w dwóch łożach poniżej. Te same wielkie dźwigi - zmodyfikowane modele stoczniowe - które spuściły działa, przemieszczały teraz stalowe belki i deski, które były małe, lecz jedynie w porównaniu z armatami. W dole waliły pneumatyczne gwintownice i jazgotały łukowe spawarki, gdy setki protegowanych robotników i inżynierów-Wybrańców składały skomplikowane kawałki układanki w wiele warstw Stali. Jutro inne drużyny zaczną przykrywać ją kolejnymi warstwami betonu przetykanymi spoiwem i wypełnionymi masywnym gruzem z wykopalisk, a na to położonych zostanie dwanaście stóp granitu uzyskanego ze starego imperialnego portu.

Gerta, która wdychała woń ozonu i spalonego metalu z pięściami opartymi na biodrach, odwróciła się, aby przyjrzeć się temu pełnemu krzątaniny widokowi.

Pozostałe trzy stanowiska dział były już na miejscu, rozrzucone w półokręgu wzdłuż krańca tej prawie wyspy. Każde stanowisko otwierało się jedynie w formie wąskiej szczeliny, przez którą miały strzelać działa - będą one wysuwały lufy tylko trochę i to tylko przy strzale. Pomiędzy stanowiskami przebiegały tunele, także pomiędzy stanowiskami i bunkrami z amunicją, podziemnymi barakami i salami mesy, magazynami paliwa i pomieszczeniami z generatorami. Były one jednak starannie popłatane i wyposażone w ogniotrwałe drzwi, zabrane z przeznaczonych na złom pancerników, w celu ograniczenia ewentualnych wewnętrznych szkód.

- Najwyższy, cholera, czas, racja - rzekł Kurt Wallers. Mężczyzna miał belki pułkownika, z podwójnymi dystynkcjami artylerii i służb inżynieryjnych. - Całowici z nas idioci, że tak długo zwlekaliśmy. Gdybyśmy mieli tę instalację gotową, kiedy zaatakowaliśmy Sierran, to owo popapranie w Barclon nigdy nie miałyby miejsca. Santanderczycy nie zdołaliby przeprowadzić przez Przesmyk nawet barki, zanim rozwalilibyśmy ją w drzazgi.

Gerta wzruszyła ramionami. - Takie samo jest moje zdanie, Kurt, jeśli to jest jakieś pocieszenie.

Oficer Wybrańców zawahał się. Gerta walnęła go lekko w ramię. - Wyrzuć to z siebie, w końcu *przeszliśmy* razem przez próbę życia. Wykonałeś tutaj dobrą robotę i to na trzy miesiące przed terminem.

- Cóż, więc... twój ojciec jest głową sztabu generalnego. Co on sobie, do kurwy nędzy, myślał?

Gerta westchnęła. - Jest głową sztabu generalnego, a nie Rady Wybrańców. Oni cierpią na fatalny przypadek choroby zwycięzców, który się pogarsza, odkąd zajęliśmy Imperium. To było zbyt łatwe, a od tego czasu rozpraszali środki, przeznaczając je na swoje ukochane projekty i koniki. Gdy siedzi się w Koperniku i patrzy na mapy w dużej skali, wygląda na to, że podbijamy świat. Imperium, Unię, a teraz Sierre.

- My *podbijamy* świat. Problemem jest *utrzymanie* świata. Pokonaliśmy Imperialnych, bo mogliśmy skoncentrować nasze siły. A teraz - rozłożył ręce.

- Mów tak do mnie jeszcze, Kurt. Mówiłam o tym generałowi wystarczająco często. A *on* wystarczająco często lobbował za tym w Radzie, ale stały mu na drodze ich ukochane projekty. To było ustalone na początek wojny z Santander... jakieś pięć albo osiem lat później.

- Cóż, lepiej późno niż wcale - powiedział Kurt. - To będzie znaczący gwóźdź podtrzymujący to, co zdobyliśmy. To sprawia, że ich bazy w Dubuku i Charsson są

bezużyteczne, jeśli chodzi o korzystanie z Cieśniny. Nękali nas jak cholera, mówię ci. I podrzucali zaopatrzenie tym bydłom na wzgórzach, kiedy chcieli, od czasu Barcelon. Robi się tak źle, jak było zaraz po podboju, a nawet gorzej. Są teraz sprytniejsi.

Gerta skinęła głową. - Kiedy możesz rozpocząć strzelanie testujące?

- Och, nie chciałbym tego robić jeszcze przez następne kilka tygodni, nawet na pierwszej parze. Beton musi się *dobrze* utwardzić, zanim poddamy obsady takiemu nateżeniu.

- Jak tam idą inne roboty?

- Jakaś jedna trzecia zrobiona. - Podążyła za nim, gdy ruszył w głąb lądu. - Zwyczajne umocnienia na krótki zasięg - karabiny maszynowe, działka polowe w bunkrach, moździerze, pola minowe, druty, przeszkody ze stalowych szpikulców. Mamy też połowę *Schlenke Emma* na stanowiskach, więc wkrótce będziemy mogli spuszczać ogień pod wysokim kątem na wszystko, co dostanie się zbyt blisko, aby poradziły sobie z tym wielkie działa.

- Udaje ci się wycisnąć sporo z tych bydłał - powiedziała Gerta, lustrując plac budowy, na którym roilo się od ludzi.

- Więcej much złapiesz na miód niż ocet - rzekł. - Wykonywałem sporo robót inżynieryjnych w Nowych Terytoriach i...

Podbiegł adiutant. - Panie. Wiadomość przesłana drogą radiową.

Kurt wziął ją i przeczytał, przechylając żółty papierek tak, by padało na niego światło. - Atak na Bassin du Sud - powiedział. - Odnieśliśmy znaczne starty.

Gerta jęknęła z zaskoczenia. W języku urzędowym oznaczało to tyle, co złoili nam skórę.

- *Kurwa* mać. Niech to szlag, niech to szlag. Jeśli mocno uszkodzą Południową Eskadrę, to tracimy szlak wokół wschodniego krańca aż do Marsai.

Kurt skinął głową. - Mimo to, nawet wtedy nie będzie tak źle. Możemy przewozić transporty prosto na południe z Corony, a potem przez Cieśninę, teraz, gdy mamy ten fort.

- *Ya*. - Gerta zmrużyła oczy. - Pytanie brzmi, czy Santanderczycy zdają sobie z tego sprawę?

Kurt spojrział znowu na karteluszkę. - Nie ma zbyt wiele szczegółów, ciekaw jestem, jak się przedostali przez pole minowe? A te haubice w forcie powinny były załatwić każdy statek.

- Powinny. Ale...

Kolejny posłaniec. - Panie. Samolot zwiadowczy sił powietrznych *Guthavok* melduje, że jest atakowany przez samoloty pościgowe z Santander.

Obydwoje spojrzeli odruchowo na południe.

- *Nocą?* - spytał z niedowierzaniem Kurt Wallers.

Ogień buchnął w ciemnościach nocy, na wysokości pięciu tysięcy stóp, całe mile na południu.

Wallers zaczął wydawać rozkazy. Gerta odwróciła się na pięcie i potruchtała do swojego zwiadowczego pojazdu. Wskoczyła po przymocowanej drabince do otwartego przedziału, opierając rękę na krawędzi. Jej syn już popatrywał na południe przez ciężką lornetę zamocowaną na szynie. Gerta rozejrzała się. Radio było włączone i stało w gotowości, a pojazd pod parą, gotowy do jazdy.

- Sygnały - powiedziała. Operator ze słuchawkami podniósł wzrok, z ręką uniesioną nad klawiaturą sygnalizacyjną. - Do regionalnej kwatery głównej w Salini. Fort pod ciężkim natarciem ze strony sił morskich Santander, łącznie z pancernikami i amfibiami w nieznannej liczbie. Stop. Jako przedstawiciel sztabu generalnego nakazuję, powtarzam, nakazuję, natychmiastową mobilizację wszystkich dostępnych sił oraz ich koncentrację w tym miejscu. Stop. Brygadier Gerta Hosten. Stop. Wysłać aż do potwierdzenia.

Sygnalista wysyłał, jeszcze zanim Gerta dokończyła pierwsze zdanie. Johan odwrócił się ku niej. Do tej pory nauczył się tyle, iż jedynie uniósł brew.

- *Ya*. Jeśli się mylę, to będę miała szczęście, jeżeli będę dowodzić garnizonem strzegącym mostu i składającym się z jednej kompanii - powiedziała. - Ale wolę zaryzykować, że się wygłupię, niż zaniedbać działań.

Zwróciła się do kierowcy: - Zabierz nas stąd. Północną drogą, a potem na wschód, ku Salini.

Zdjęła karabin maszynowy z uchwytu nad siedzeniem, sprawdziła płaski magazyn bębnekowy i sięgnęła po hełm wiszący obok niego. Z sapnięciem wypuszczanej pary samochód ruszył przez na wpół zbudowany fort.

## Rozdział dwudziesty szósty

- Czy nie robisz się nieco za stary na dowodzenie z czoła? - spytał cicho admirał Maurice Farr.

Jeffrey odpowiedział ojcu uśmiechem. - Zauważyłem, panie, iż jesteś tu, a nie z powrotem w Dubuku.

Farr wzruszył ramionami. - Admirał musi dowodzić ze statku.

- A generał musi być tam, gdzie jest szansa na uzyskanie użytecznych informacji na czas - odparł sensownie Jeffrey. Wyprostował się i zaszalutował. - Admirale.

- Generale - odparł starszy Farr. - Dobrego polowania, a my udzielimy wszelkiego wsparcia, jakiego możemy.

Jeffrey się odwrócił, przeskoczył przez reling i zszedł w dół po sznurowej drabince. Młody adiutant próbował mu pomóc, gdy wskakiwał do czekającej parowej motorówki.

- Nie jestem jeszcze tak zgrzybiały, Seimore - rzucił sucho Jeffrey i pociągnął łyk ze swojej manierki. - Jest nam tu lepiej niż reszcie sił.

Ludzie schodzili po sieciach zawieszonych na burtach transportowców do czekających motorowych barek o płaskim dnie lub też czekali ściśnięci ramię w ramię, pewnie z chorobą morską, na podobnych statkach, które wypłynęły wraz z flotą z Dubuku; Cieśnina była tej nocy spokojna, lecz barki o płaskim dnie huśtałyby się nawet w wannie.

- Ruszajmy - rzucił cicho Jeffrey.

Motorówka skręciła ku brzegowi. Był on niski i piaszczysty, w przeciwieństwie do klifów, które znaczyły większość tego fragmentu północnego wybrzeża Cieśniny. Ich



celem był niski i piaszczysty teren po obu stronach fortu. Pierwsza fala żołnierzy właśnie wychodziła na brzeg, a sądząc po braku hałasu, napotykali niewielki opór lub nawet wcale. Cóż, tego się spodziewali.

Jeffrey spojrział na zegarek. Piąta rano, prawie świt. Właśnie teraz powinni...

BUM. BUM. BUM.

Wypaliły wielkie działa floty, strzelając od zachodu na wschód w długiej, lekko wygiętej linii. Silne błyski z luf w kształcie butelek oświetlały obraz iluminacją jaśniejszą niż światło przedświt. Było wciąż na tyle ciemno, że żarzące się czerwienią punkciki pocisków były widoczne dzięki swemu ciepłu, wznosząc się łukiem w niebo, by spaść na Wybrańców.

\* \* \*

Pył opadł na głowę Kurta Wallersa. Stanowisko działa trzęsło się, gdy dwunasto - i ośmiocalowe pociski lądowały na powierzchni w górze lub wbijały się głęboko w miękką wapień klifów.

*Dobrze to zbudowałem*, pomyślał. - Cóż, wróg sam podał nam cel. Odpowiedzieć ogniem.

- Ale panie! - ktoś zaprotestował. - Podstawy...

- Nie są jeszcze utwardzone - odparł. - Tym niemniej macie rozkazy.

Z hydrauliczną gładkością lufa wielkiego działa zaczęła przesuwać się w dół na swym łożu.

\* \* \*

Dziesięć mil przed Salini John Hosten uśmiechnął się w czerwonym świetle brzasku. Popił na wpeł przezuty suchar łykiem z manierki i zatkał ją z powrotem korkiem. Było to jak jedzenie kawałków glinianej doniczki, ale utrzymywało cię na nogach, a jeśli uważałeś, to nie połamałeś sobie zębów. Powietrze pachniało mokrą od rosy skałą, aromatyczną, karłowatą roślinnością oraz starym potem ubrań znajdujących się wokół niego partyzantów.

- Szybko się uwinęli - powiedział. - Śpieszą się.

Droga prowadząca przez niskie, skaliste wzgórza była całkiem dobra, choć nie była to wybrukowana szosa, lecz na trzydzieści stóp szeroki trakt wycięty w zboczu wzniesienia, ze sporym poboczem i rowami. Teraz była zatłoczona przez konwój. Dwa lekkie czołgi z przodu, wykonane w Krainie kopie santanderskiego Charta, ciężarówka

wypakowane piechotę, i kolejne ciężarówki ciągnące działka polowe, pompomy i zaopatrzenie, oraz więcej piechoty i czołgów...

... a po obu stronach drogi czterdziestostopniowy stok.

- To są ich mobilne siły uderzeniowe - rzekł Arturo.

John skinął głową. Nawet Santander nie mogło sobie pozwolić na zapewnienie całej swojej piechocie i działom motorowego transportu. Kraina produkowała mniej więcej podobną liczbę pojazdów, ale miała o wiele większą armię i mniej kół na głowę.

Czołg na przedzie znajdował się w pobliżu mostu z żelazo-betonu. - Teraz? - spytał John.

Arturo kiwnął głową. - *Ogromnie* się spieszą - powiedział, uśmiechając się jak stwór z mackami. Wcisnął znajdujący się obok ruchomy trzpień.

Wybuchy u podnóża filarów mostu nie były bardzo spektakularne, choć dźwięk odbił się echem od skalistych zboczy. Tuman pyłu i dymu - sproszkowanego betonu i zwykłej ziemi - słupy zaś zakołysały się, wygięły i osunęły powoli, coraz bardziej się pochylając. Płaska droga z płyt pokruszyła się na kawałki i spadła na dno żlebu oraz płynącej tam w porze suchej strużki. Pierwszy czołg poleciał wraz z nią, tryskając iskrami, gdy gąsienice jechały do tyłu.

Arturo zaśmiał się na ten widok. Nawet w tej sytuacji Johna przebiegł lekki lodowaty dreszczyk na ten dźwięk. Prawie pięćsetstopowy spadek, wiedziałeś, kiedy nastąpiło uderzenie...

Czołg pękł na głazach jak skorupka jajka, buchnął pył wzbudzony impetem upadku, a potem pojawiła się kula ognia, gdy zapaliło się paliwo. Z ognistej kuli wystrzeliły pociski, z pióropuszem dymu, gdy podgrzała się amunicja.

>>Zbierzesz to, co zasiejesz<< rzekł nieubłagane Raj. >>Pamiętaj, jacy byli Imperialni, zanim przybyli Wybrańcy. Są teraz tacy, jakimi uczynili ich Wybrańcy.<<

Karabiny, broń maszynowa i moździerz otworzyły ogień w kierunku zatrzymanego konwoju. Potężna wtórna eksplozja rzuciła ciężarówkami, gdy pocisk wylądował na ładunku amunicji albo może na przodku działka polowego. Ptactwo uniosło się chmurą, gdy zgiełk bitewny zastąpił ciszę wczesnego poranka. Porządek wkradał się w panujący w dole chaos, żołnierze szukali kryjówek, a oficerowie ich rozstawiali. Pierwsi już zaczęli wspinać się po zboczu. Ludzie ginęli i staczali się w dół. Inni zajmowali ich miejsce. Czterofuntowe działa lżejszych czołgów kaszlały raz po raz, a ich karabiny maszynowe były w stok jak żelazny grad.

Znajdujący się poniżej John był snajperem partyzantów, niewidocznym nawet z

dziesięciu jardów pod kamuflażową osłoną z sieci uszytej z pasów materiału w kolorach ochry, szarości i brązu. Lufa zadrżała lekko i karabin wystrzelił.

*Pewnie drasnęła jednego z oficerów Wybrańców, pomyślał John.*

Arturo przyglądał się sytuacji poniżej przez lornetkę. - Nie możemy ich długo powstrzymywać - ostrzegł. - Jeśli będziemy próbować, to żołnierze konwoju zajdą nas od tyłu - istnieją szlaki, a oni mają dobre mapy.

- Nie, nie możemy - rzekł John. - Ale oni tak *ogromnie* się spieszyli... a to nie jest jedyna zasadzka.

Arturo znowu się uśmiechnął. Tym razem John się przyłączył.

\* \* \*

- Do kogo on, *kurwa*, strzela? - spytał Johan Hosten, stając w pojeździe opancerzonym z otwartym dachem i patrząc gniewnie na dwusilnikowy samolot lecący tuż nad ziemią.

Gerta uśmiechnęła się na widok oburzenia syna, choć to *była* dość wyprowadzająca z równowagi niespodzianka. Na bokach jej bojowego wozu widać było świeże ślady ołowiu.

- Oczywiście do Santanderczyków - powiedziała.

To prawda, że z tyłu wozu bojowego wymalowano cholernie wielki rozbłysk słońca Krainy, lecz ona wiedziała z własnego doświadczenia, jak trudno coś wyraźnie dostrzec, gdy wykonuje się nalot bombowy w warunkach działań wojennych.

- Jedyną rzeczą bardziej niebezpieczną od własnej artylerii, jest twoje własne lotnictwo - powiedziała, uderzając go w ramię. - Zwłaszcza w takim popapranium jak to, gdy nikt nie wie, gdzie kto jest, łącznie z nim samym.

*To swego rodzaju ulga, mieć na głowie tylko walkę.*

Pokonali zakręt na drodze. - A mówiąc o Santanderczykach...

Zmierzająca na wschód droga wiła się przez pofalowany teren pokryty gajami oliwnymi. Przed nimi, na zwirowej powierzchni drogi, znajdowali się mężczyźni w brązowych mundurach oraz dwa lekkie pojazdy kołowe. Nad nimi huśtały się anteny. Była to zatem jakaś grupa dowodzeniowa.

- Kierowco! Gaz do dechy! - krzyknęła Gerta, wyciągając granat ze skrzyneczki przypiętej wewnątrz pochylonej ścianki pancernia wozu bojowego.

Tak zrobił. Pięciotonowy pojazd był zbyt ciężki, aby skoczyć do przodu, lecz przyspieszył, aczkolwiek wolniej niż uczyniłyby to nowsze modele z silnikiem

wewnętrznego spalania. Z drugiej jednak strony napęd parowy sprawiał, że pojazd był prawie niesłyszalny. Santanderczycy dostrzegli go dopiero wtedy, gdy Johan wystrzelił z karabinu maszynowego, wymiatając w kierunku mężczyzn zgrupowanych wokół maski jednego z lekkich pojazdów.

Gerta krzyknęła bezgłośnie, gdy przód wozu bojowego walnął w bok jednego z pojazdów, wgniatając karoserię i wtrącając go do rowu. Cisnęła granat we wrak, a w ślad za nim posłała deszcz kul z karabinu maszynowego. Rozbieganym od wywołanej walką adrenaliny wzrokiem wyłowiła twarz/ciało/ruch, gdy mężczyzna skoczył, szukając osłony za skałą. Wystrzeliła, obróciła się, zakłęła, gdy jej syn przy karabinie maszynowym zasłonił jej linię widzenia, chwyciła kolejny granat i cisnęła go.

Odpowiedź ogniowa odbiła się od gwintowanych płyt pancerza pojazdu, sprawiając, że załoga się pochyliła. Chwilę potem mieli to już za sobą.

- Jedź dalej! - powiedziała, podnosząc głowę, aby się rozejrzeć.

\* \* \*

- Jezus!

Jeffrey podniósł głowę, kaszląc w tumanie kurzu pozostawionym przez przypominający skorupę żółwia pojazd Wybrańców. Był to rodzaj sześciokołowego pojazdu opancerzonego. Gdy wóz wziął zakręt, by zniknąć z oczu, nad jego maską pojawiło się ramię z jednym palcem wystającym z zaciśniętej pięści, wystawionym w nie dającym się z niczym pomylić geście.

Ranni ludzie wrzeszczeli. Na chwilę wszyscy inni zamarli, leżąc płasko na ziemi, czekając, co dalej.

- Ruszać się! - rzucił na głos Jeffrey. - To był maruder.

- *Merde* - wymruczał znajdujący się koło niego Henri i podniósł się, opierając o kolbę karabinu.

*Ano właśnie*, pomyślał Jeffrey, szacując straty. Stracili dwóch dowódców regimentów i jedno bezcenne radio.

- Posłaniec - powiedział - powiedz ich zastępcom, co się stało i że mam do nich pełne zaufanie. I niech ktoś zgasi ten ogień. - Z rozwalonego samochodu były płomienie i czarny dym, znak, który wykorzystałby krążący pilot służb powietrznych Krainy. - I wracajmy do roboty - ciągnął dalej spokojnie.

Usta miał pełne lepkiej śliny. Było to zbyt nagłe i zbyt poważne. Kilka z twarzy pochylających się wraz z nim nad mapą było białych pod warstwą letniego pyłu, ale

nikt nie panikował w widoczny sposób.

Mapa pokazywała wybrzuszenie linii brzegowej, gdzie znajdował się fort, który atakowali - Niemal zamknęliśmy koło od strony lądu - powiedział. - A teraz, pułkowniku McWhirter, masz się okopać wzdłuż tej linii i trzymać ich z dala od nas. Partyzanci wykonują dobrą robotę, opóźniając ich, lecz kiedy Wybrańcy uderzą, to zrobią to mocno. Reszta z nas ruszy dalej zabezpieczyć teren.

- To będzie kosztowało - ktoś skomentował. - Teraz już się nas spodziewają.

Jeffrey wzruszył ramionami. - Zaprzątniemy ich uwagę. Nie mają tutaj jeszcze dużego garnizonu, głównie bataliony inżynieryjne. Przy odrobinie szczęścia Brygada Wspinaczkowa wykona swoje zadanie.

Major Steven Durrison z Piątego Regimentu Górskiego - zwanego w armii Republiki bardziej swojsko Brygadą Wspinaczkową, jako że wielu wielbicieli górskiej wspinaczki zapełniało jego szeregi - spojrzał na dalszy ciąg jaru.

*Żadna tam wspinaczka*, pomyślał. Pochyłość jakichś sześćdziesięciu stopni, naturalna skała z zalegającym rumowiskiem. Wróg widocznie wyrzucał redy gruz z budowy, jako że stok prowadził do początku płaskowyżu. Sadząc po tym, jak wykuli stopnie w zboczu, pewnie planowali coś tu wybudować. Nie mieli jednak czasu.

A teraz byli zajęci czymś innym. Jeszcze więcej pocisków przemknęło po niebie, wybuchając na górze nad płaskowyżem, Z tej odległości statki w Cieśninie wyglądały jak flota, jaką dziecko może puszczać w wannie. Przypominający trzęsienie ziemi pomruk i drżenie gruntu ukazywało, jak bardzo odległość czyniła ten widok nierealnym. Skały i beton tryskały fontanną ponad klifami, przelatując obok otworów strzelniczych ciężkich dział i lądując na plaży poniżej. Skała zadrżała. Próbował sobie wyobrazić, jak to jest, dać się złapać na otwartej przestrzeni, tam, w górze, lecz mu się nie udało. *Jeśli to nie zmusi ich do trzymania głów przy ziemi, to już nic tego nie zrobi.*

Strzelec górski obejrzał się przez ramię. Ludzie byli rozciągnięci prawie aż do plaży - przyczepieni sznurem do żelaznych palików wbitych w skałę przez ludzi idących na czele. Większość była uzbrojona w pistolety maszynowe albo w samopowtarzalne strzelby, obwieszona bandoletami, ładownicami, zwojami sznura i hakami.

- Poruczniku! - zawołał. - Zaczniemy się wspinać tędy. Wskazał - każdy, kto się wspina, wiedział, o co chodzi - na długi cień padający ukośnie w górze ściany klifu na prawo. - Sygnalista.

Oddział heliografu ustawił się nieco bardziej w dole parowu. Dowodzący oddziałem sierżant podniósł wzrok.

- Jesteś w kontakcie z okrętem flagowym?

- Tak jest.

Durrison skinął głową, skrywając poczucie ulgi. Alternatywę stanowiły kolorowe rakiety. To by *zdało* egzamin, ale gdyby dziesiątki pocisków lądowały w górze, ktoś pewnie by to zauważył. Sygnały heliografu - światło odbite od luster - były skuteczne na linii wzroku. Żaden wróg nie dostrzeże ich źródła.

- Prześlij: przechodzę do fazy drugiej.

\* \* \*

*Najwyższy, kurna, czas*, pomyślał Maurice Farr, opuszczając lornetkę. Sygnaliści pisali na swoich kartkach, lecz on wciąż potrafił sam odczytać kod.

*Wielka Republika* skręciła i przechyliła się, gdy wypaliły działa na burcie. W odpowiedzi błysnęło światło na jednej trzeciej wysokości klifów i w trzy sekundy później cała osiemnastotysięczna bryła pancernika zadrżała i zadzwoniła niczym gigantyczny gong uderzony młotem kowalskim. Farr zamrugał na widok fontanny iskier, gdy pocisk uderzył opancerz burtowy.

- Panie? - Był to ktoś ze służby ratunkowej okrętu mówiący do kapitana okrętu flagowego. - Zalanie w przedziale C3. Trafił nas poniżej linii wodnej.

Gridley skinął głową. - Niech się tym zajmą - powiedział. - Podjąć środki zaradcze.

Oznaczało to odgrodenie zagrożonego obszaru wodoszczelnymi grodziami - miejmy nadzieję, że po wyprowadzeniu personelu. A C3 był nieprzyjemnie blisko magazynów wieżyczki A.

*Te działa rzeczywiście mają moc*, pomyślał. Ośmiocalowe, lecz strzelające z dwunastocalowym ładunkiem prochowym i to z dodatkowo wydłużonej lufy. Prędkość była zdumiewająca. *O wiele szybsze, a pociski lecą po orbicie.*

- Panie - Tym razem zwracano się do dowódcy floty. - Panie, *Miasto Templeton* melduje, że ugaszono pożary i ustabilizowano okręt przez zalanie równoważące.

Ciężki krążownik. - Jaką prędkość mogą rozwinąć?

- Panie, meldują, że nie więcej jak sześć węzłów.

- Mają się wycofać. Dodać dwa niszczyciele do eskorty. - I żeby zabrały rozbitków, jeśli nie dopłyną z powrotem do Dubuku.

Farr znowu podniósł lornetkę. - Powiedziałbym, że już czas, byśmy zrobili coś z

tym portem, który budują, prawda, Gridley? - stwierdził spokojnie.

- Chryste, tak, admirale. Gdyby doprowadzili go do pełnej gotowości operacyjnej... - Głos kapitana okrętu flagowego zamarł.

Dwupłatowiec przemknął obok mostka, ciągnąc za sobą smugę dymu. Grzmotnął w wodę i eksplodował niedaleko od dziobu niszczyciela. Wszystko to stało się zbyt szybko, aby Farr dostrzegł barwy narodowe. W powietrzu roilo się od dziesiątków innych, ponad chmurą dymu i wybuchami pocisków znaczących powierzchnię fortu. Maszyny krążyły jak muchy wokół kawałka mięsa pozostawionego na słońcu.

*Dobrze, że jesteśmy w zasięgu wsparcia lotniczego z baz naziemnych, pomyślał Farr.*

Jego synowie znajdowali się gdzieś w głębi lądu, gdzie trwała walka - i to wciąż się potęgująca, gdy siły Krainy zaczęły przedzierać się przez nękających ich partyzantów, atakując z całych sił blokujących ich Santanderczyków. Jego najstarszy wnuk był w jednym z tych latawców z drewna i płótna., jeśli to nie on właśnie spadł z nieba i zginął. Duma miała wiele odcieni; obecnie miała posmak strachu. Stary człowiek mógł nie obawiać się o siebie, ale każdy, kto żył, miał jakiegoś zakładnika losu. Swoją rodzinę, swój kraj...

*Myślę, że bylibyśmy w naprawdę fatalnej sytuacji, gdyby nie John i Jeffrey, pomyślał. Gdyby John nie urodził się ze szpotawa stopą albo gdybym ja nie otrzymał tego stanowiska attache marynarki w Składaniu Przysięgi...*

- Kontynuujcie - rzekł na głos. - Niech będą czymś zajęci.

Przygotować się do wsparcia ogniowego dla sił naziemnych.

\* \* \*

- Gównu mnie obchodzi, ilu tam jest partyzantów, pułkowniku - rzekł z jadowitością w głosie Heinrich Hosten. Jego zaciśnięte na polowym telefonie palce były aż białe. - Ignoruj ich. Ignoruj swoje cholerne flanki. Uderz w Santanderczyków, i to uderz mocno albo, na przysięgę, w przyszłym miesiącu będziesz uskakiwał przed strzałkami z dmuchawek dzikusów na Zachodnich Wyspach, jeśli będziesz miał tyle szczęścia, by zostać przy życiu.

Odłożył słuchawkę na widelki z ogromną starannością, zwalczając wściekłość, która mąciła mu wzrok. Spojrzał na usianą szpilkami mapę i próbował zmusić się do bycia obiektywnym. *Nie powinienem wysuwać się na czoło. Dostajemy teraz więcej informacji. Z tego miejsca lepiej mi się będzie koordynowało akcję.*

Słyszał stąd jednak bombardowanie przeprowadzane przez marynarkę z Santander - ciągle grzmot na południu. Działa strzelały jeszcze bliżej, średnich rozmiarów działka polowe. Najpewniej baterie Krainy, usuwające strzałami przeszkody z drogi w wąskich przejściach pomiędzy wzgórzami.

Jeden z jego ludzi wręczył mu znowu telefon polowy. - Panie, będziesz chciał sam tego posłuchać.

Odebrał. - *Ya?*

Głos Gerty. Przymknął oczy. *Nic go już dzisiaj nie zaskoczy.*

- Nigdy nie wpadniesz na to, na którego z naszych starych przyjaciół dzisiaj wpadłam - powiedziała. - Dosłownie wpadłam, choć nie udało mi się go zabić.

Czasami były chwile, gdy kusiło go, aby uwierzyć w złośliwe duchy.

\* \* \*

Kurt Wallers zakrył rękoma uszy i otworzył usta. Działo wystrzeliło znowu, a w niego uderzyła fala ciśnienia. Nie było sensu iść do bunkra dowodzenia. Stacje obserwacyjne jeszcze nie działały. Przy ich pomocy i z maszyną do obliczeń, dałoby się skierować celny ogień prawie aż na południowy brzeg Cieśniny. W tej chwili każde działo strzelało niezależnie - przy otwartych celownikach.

*I całkiem nieźle sobie radziły.* Nie chciał myśleć, co się stało z ludźmi z budowy tam na górze. Spędził sporo czasu, szkoląc ich. *My musimy tylko utrzymać się do czasu, aż posiłki odrzucą grupy desantowe.* A potem...

- Panie! Ruch na plaży poniżej!

Zamrugał. - Przygotować dodatkowe ładunki wybuchowe. - Były w pojemnikach z materiału, wielkości małych koszy na śmieci. - Przyczepcie do nich granaty. Wyciągnijcie zawleczki i stoczcie je z krawędzi parapetu. *Ruszać się.*

Nagle zamilkł pozostający w tle grzmot pocisków marynarki wybuchających na płaskowyżu powyżej. Wallers podniósł wzrok, a to sprawiło, iż odwrócił spojrzenie od szczeliny strzelnicy armatniej wybitej w klifie i wpuszczającej światło. Coś przez nią przeleciało. Obrócił głowę, a wyćwiczony odruch kazał mu paść, spóźnił się jednak.

\* \* \*

Durrison przyłgnął do wystającej betonowej krawędzi nad strzelnicą armatnią. Za każdym razem, gdy strzelało znajdujące się wewnątrz długie działo, wstrząs groził zrzuconiem go z półki, i to mimo sznurowej pętli przymocowanej do haków wbitych



mocno w skałę powyżej. Kilku jego ludzi *spadło* i musiało wdrapywać się po sznurach, aż podciągnęły ich ręce kolegów z oddziału. Dzięki Bogu, wróg tego nie zauważył. Strzelnice może i były wąskimi otworami strzelniczymi w porównaniu z wielkością znajdujących się w nich dział czy też klifów o wysokości trzystu stóp, lecz mimo to i tak od góry do dołu mierzyły piętnaście stóp.

Działo wystrzeliło znowu. Durrison otworzył usta, aby zrównoważyć ciśnienie, lecz w głowie i tak mu dzwoniło, jakby w środku miał próbujące się wydostać karzelki z młotami kowalskimi. Skała wygięła mu się pod brzuchem. Nie wiadomo, jak długo utrzymają się haki przy tego rodzaju wibracjach. Wiatr narastał od południa. Ciemne chmury rosły na horyzoncie na południu od niego - może będzie jedna z tych rzadkich burz w Cieśninie.

*Co za radocha. Co za absolutna, kurewska radocha.* Wreszcie zza załamania skalnego po prawej wyszedł ostrożnie człowiek, lgnąc do ściany jak pajak.

- Wszyscy są na miejscu, panie! - wrzasnął w ucho ogłuszonemu Durrisonowi.

Oficer strzelców górskich skinął głową i wyciągnął zza pasa pistolet sygnałowy, wymierzył go w górę i od siebie.

*Fump.* Smuga dymu powędrowała w niebo. *Pop.*

Gwałtownie urwało się przewalające się grzotem bombardowanie ze strony floty. Ostatni ośmiocalowy pocisk świsnął w powietrzu i zapadła swego rodzaju cisza, gdy ustał ciągły huk eksplozji.

To był sygnał. Sześciu mężczyzn zamachnęło się workami z ładunkami na sznurkach dla nadania im rozpędu, a potem cisnęło nimi do środka, przez otwory strzelnic armatnich. Durrison wyciągnął pistolet maszynowy i zacisnął prawą dłoń na jego rękojeści. Lewą pochwycił za węzeł mocującego go sznura i pozwolił, aby spoczął na nim ciężar jego ciała. Przykucnął i zgiął kolana aż do piersi, podczas gdy chropawe podeszwy jego wysoko sznurowanych górskich butów opierały się mocno o skałę.

*Cztery. Pięć.*

Z otworu pod jego stopami buchnął dym i szczątki, które spadły w dół klifu unoszone przez wzmagający się wiatr. Durrison odbił się i poleciał w dół wraz z dwudziestoma czterema innymi - z ponad setką, wliczając w to ludzi przy innych stanowiskach armatnich - i wpadł prosto przez strzelnicę do znajdującej się w środku jaskini. Przypominało to huśtanie się, gdy byłeś dzieciakiem - pęd walczący z grawitacją, gdy leciałeś w górę. Mężczyzna lewą ręką puścił linę i nacisnął błyskawiczny wyzwalacz swojej uprząży - teraz nic go już nie zatrzymywało.

Uderzywszy o ziemię, przeturlał się, pośród chaosu i wrzasków. Ranni ludzie zataczali się albo miotali się na ziemi, trafieni tysiącami kulek grubego śrutu, które wpakowano do worków z ładunkami. Ci, którzy mieli szczęście albo znajdowali się dalej, obracali się ku grupie szturmowej z Santander.

Durrison przetoczył się przez ramię i przyklęknął na jedno kolano. Jasnowłosy oficer Wybrańców z krwią na twarzy i zwisającym bezwładnie ramieniem wykrzywił się wściekle, unosząc swój automat. Wystrzał Durrisona przeorał mu ciało od prawego biodra do lewego ramienia, odrzucając go do tyłu.

- Ruszać się! Ruszać! - wrzasnął oficer z Santander, dając nura ku pancernym drzwiom w tyle pieczary. Za nim nacierali jego ludzie, przedzierając się przez oszołomioną załogę dział. Nagwintowana strzelba załadowana kulami strzelała *hupluphup*; kolejne błyski z lufy rozświetliły półmrok pieczary.

- Ruszać się! Ruszać!

\* \* \*

Dwunastocalowe pociski przelatywały w górze. Jeffrey Farr przytulił się do kamiennej ściany i kciukiem przesunął śrubę ogniskującą lornetki polowej. *Krump. Krump.*

Tym razem ogromne tumany ziemi i dymu skryły baterię działek polowych Krainy. Ziemia zadrzała, wałąc go w pierś i brzuch. Uśmiechnął się i splunął śliną koloru czerwono-szarej ziemi, gdy wtórne wybuchy błysnęły pomarańczowym ogniem przez chmurę pyłu wznieconą przez wielkie pociski marynarki.

- Ten był celny - powiedział. Zwrócił się do znajdującego się za nim mężczyzny z przenośnym radiem. - Powiedz im, żeby *ruszali*.

Mężczyzna na dynamie zasilającym generator pedałował mocniej - baterie na tyle duże, by być użyteczne, były zbyt ciężkie do polowego odbiornika. Operator walił w klawisze, a Jeffrey zwrócił się do znajdującego się obok oficera.

- Minie chwila, zanim będą mogli tędy nacierać. Pierwsza salwa przeleciała ze świstem górą - cztery pociski wystrzelone z burty pancernika. Płaska, skalista dolina przed nimi zaczęła się rozpadać pod ostrzałem z dział.

- Masz cholerną rację, generale - rzekł dowódca regimentu.

- A więc będziesz miał czas. Wycofaj się do tego grzbietu o pół mili na południe od nas i okopcie się pospiesznie. Gdy się zbliżą, poproś o ostrzał tej pozycji. Potem odskocz do tyłu, będziesz pod obserwacją z wody, a krążowniki i niszczyciele będą

mogły ci udzielić natychmiastowego wsparcia.

- To wystarczy, generale.

Wycofywanie się w trakcie walki było jednym z najtrudniejszych manewrów do wykonania, a pogoda była kiepska. Z drugiej jednak strony, jeśli musiałeś się wycofywać, to miło było mieć za sobą tak wiele mobilnej artylerii gotowej udzielić ci pomocy i wsparcia.

Powietrze śmierdziało rozgrzebaną ziemią i ostrą, gryzącą wonią trotylu z ładunków wybuchowych w pociskach. Jeffrey zaczerpnął głęboki oddech. Po Coronie, Unii, Sierrze, był to całkiem przyjemny zapach.

- Panie. Wiadomość z kwatery głównej Piątej Górskiej. Zajęte stanowiska armatnie wroga, przygotowują się do wysadzenia...

Dźwięk dobiegający z południa był donośny nawet jak na standardy tego bardzo hałaśliwego dnia, łącznie z wystrzałami z pancerników. Płaskowyz nad fortecą Krainy nie był stąd widoczny, lecz chmura w kształcie grzyba, która wyrosła na horyzoncie, była. Poczul wybuch dwukrotnie, raz przez podeszwy, a drugi raz przez powietrze.

Jeffrey zagwizdał. - Musieli mieć zmagazynowane sporo amunicji - powiedział.

Dowódca straży tylnej skinął z powagą głową. - Cieszę się z tego - powiedział. - Teraz możemy się wynieść z czystym sumieniem. Zaskoczyliśmy ich, ale zaczynają sobie przykręcać głowy z powrotem do tyłków. Nie chciałbym się wycofywać pod atakiem lotniczym, gdy oni będą ostro nacierać, zwłaszcza jeśli sprowadzą wozy opancerzone.

- Starają się, jak mogą. Już by ich fu mieli sporo, gdyby partyzanci nie odcięli tego obszaru.

\* \* \*

W miejscu wysadzenia desantu na wodzie nie unosiły się żadne ciała. Mieli czas, aby zaprowadzić porządek i zmontować ratunkowe pływające pomosty. Jeńcy wędrowali na pokład - wszyscy byli oczywiście protegowanymi, i nie było ich wielu. Fort został na to zbyt gruntownie ostrzelany. Nigdy nie dało się pojmać jeńców Wybrańców, chyba że byli zbyt mocno ranni, aby popełnić samobójstwo. Medycy rozstawili szpital polowy i przynosili do barki desantowej rannych przytroczonych do noszy i nieprzytomnych od morfiny.

To było przerażające. Fale były na tyle potężne, iż potrafiły unieść barkę na dobre trzy stopy. Stał piszczala, drapiąc o stal, gdy barka ocierała się o pontony. Dalej

pojawiły się grzywacze, a horyzont na południu znikł za chmurami burzowymi. Błyskawice migotały jak artyleria. Barki wyciągnięte na kamienie huśtały się i jęczały, gdy wpadały na nie toczące się fale.

*Och, cholera.* To nie wygląda dobrze. Wcale nie. Jeffrey z pewnością nie zazdrościł ludziom próbującym przy takiej pogodzie wspiąć się na sieci na burcie statku. Szczególnie zmęczonym ludziom, wyczerpanym po dniu forsownego marszu i walki. Zmęczeni ludzie popełniają błędy.

>>Prawdopodobieństwo wystąpienia potęgującej się burzy zbliża się teraz do pewności.<<

*Jakże wspaniale. Szkoda, że wczoraj nie mogłeś tego przewidzieć z większym prawdopodobieństwem niż 15%. Zamilkł w prowadzonej w duchu rozmowie. Oczywiście plus minus 3%.*

>>Dowódca musi przyjmować pogodę taką, jaka jest<< powiedział Raj.  
>>Wykorzystaj ją.<<

>>A sztuczna inteligencja, niezależnie jak bardzo rozwinięta, nie może przewidzieć rozkładu pogody bez sieci czujników<< powiedziało Centrum. W ciężkim, poważnym stylu myślowej rozmowy pobrzmiwała jakby cierpka nuta. >>Od 1200 standardowych lat na tej planecie nie było ani czujników umieszczonych na satelitach, ani uaktualniania danych.<<

Jeffrey prychnął, będąc w dziwny sposób pokrzepiony. Z dowodzeniem wiązała się samotność, lecz on miał przewagę nad większością ludzi - dwóch całkowicie obiektywnych doradców i przyjaciół o szerokiej wiedzy. Trzech, choć John nie był aż tak obiektywny.

*Dzięki, odezwał się jego przybrany brat. Jeffrey zobaczył na krótko las modrzewiowo-platanowy i skalistą, górską ścieżkę. Tymczasem uciekam, ratując życie. Do zobaczenia, braciszku.*

- Wykorzystaj ją - wymruczał Jeffrey, spoglądając na wodę. - Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Potęgujące się wzburzenie morza zmniejszy skuteczność ogniowego wsparcia marynarki. Zwłaszcza w przypadku lżejszych jednostek...

Decyzja uległa krystalizacji. - Wiadomość do admirała Farra ~ powiedział. - Przyspieszam harmonogram ewakuacji.

Misja została z pewnością wykonana. Spojrzał na lewo, na pozostałość płaskowyzu, na którym stała forteca Krainy. Cała jej południowa fasada osunęła się w

morze. Pochyłe wzgórze gruzów znajdowało się w miejscu, gdzie przedtem znajdowały się klify. Część z nich wciąż się tliła.

- Moje uszanowanie dla admirała i czy mógłby, proszę, przysłać kilka niszczycieli o niskim zanurzeniu i łodzi torpedowych do pomostów ratunkowych.

W ten sposób ludzie mogliby się sami ładować. Nie ma znaczenia, że okręty wojenne będą zatłoczone aż po burty w drodze powrotnej, jako że nie będą walczyć. Rozejrzał się na lewo i prawo po długiej, biegnącej łukiem plaży. Ponad trzysta barek wyciągniętych na brzeg, a jeszcze więcej czeka z holownikami. Jeśli załadunek potrwa, aż wzejdzie księżyc, to straci część z nich.

- Cóż, mogą wykonać więcej niż jeden kurs - wymruczał.

- Wiadomość do dowódców regimentów - powiedział. - Gdy sprowadzą ludzi z linii frontu i będą przygotowywać ich do wejścia na pokład, niech ci zostawią wszystko poza osobistą bronią. Ciężka broń ma zostać unieszkodliwiona lub wysadzona na miejscu. - To znacznie zmniejszy ciężar ładunku. - Przyspieszymy załadunek, następujące jednostki mają się udać do...

Karta się odwracała.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Motorówka, jaką posługiwali się agenci Krainy, była parowcem ze specjalnie wyciszonym silnikiem, właściwie bezgłośnym w ciemnej, bezksiężycowej nocy. Dziób wbił się z cichym szmerem w miękki osad u ujścia strumienia, a osoby w nieokreślonych ciemnych strojach i z poczernionymi twarzami wyskoczyły przez burzę do sięgającej kolan wody. Żołnierze rozstawili się w półkolu i klęknęli, trzymając karabiny w pogotowiu - specjalne modele, z bulwiastymi i cylindrycznymi tłumikami na końcu. One tak naprawdę nie czyniły karabinu cichym; pocisk i tak poruszał się szybciej niż dźwięk. Jednak całkiem skutecznie tłumiły podmuch z luty, na tyle, aby kupić kilka minut w nocnej walce z zaskoczenia.

John Hosten zapalił jeszcze raz światło, które naprowadziło łódź, a potem zbliżył się z rozchyloną kurtką, ukazując białą koszulę. Szedł powoli, nie chcąc, aby jakiś nerwowy protegowany z lepiej wyćwiczonymi odruchami niż mózgiem zakończył jego karierę podwójnego agenta.

Podeszła ku niemu ciemna sylwetka. Kobieta, Wybraniec, co dało się poznać po ruchach. Niska jak na Wybrańca, krępej budowy...

- Gerta! - wykrztusił.

Uśmiechnęła się. Blizna z boku twarzy była nowa, widać także było więcej zmarszczek, a także siwiznę na krótko przyciętym, czarnym języku. Trzymała u boku pistolet z tłumikiem i pomachała nim na powitanie.

- *Tag*, bracie - powiedziała po krajowemu. - Nie powiedziałeś mi o napadzie na fort. Ciuś, ciuś.

- Nie mówią *mi* wszystkiego - zwrócił sensownie uwagę John. - Bezpieczeństwo operacyjne było w tym przypadku bardzo ścisłe.

- Złapali nas we śnie - przyznała Gerta.

Obrócili się i ruszyli ku małej drewnianej chatce w lasku, niedaleko od plaży.

- To miejsce jest bezpieczne?

- Należy do mnie - rzekł John. - Oficjalnie służy do polowań. Tu na bagnach można sobie w sezonie dobrze postrzelać do dzików i kaczek.

Kobieta-Wybraniec skinęła głową. Zamknęli drzwi chaty, a John zdjął szkło lampy i przechylił ją na bok, aby zapalić knot. Smołowany papier sprawiał, że przez okno nie przedostawało się światło. Wewnątrz znajdował się stolik, kilka krzeseł, prycza i parę szafek. Pachniało mokrymi butami i smarem do broni - zapach dawnych łowieckich wypraw.

- Jak się mają sprawy w Krainie? - spytał John. Pewnie wiedział lepiej niż Gerta, jako że jego sieć informatorów wśród protegowanych była bardziej rozległa niż sieci Czwartego Biura i wywiadu wojskowego razem wziętych, ale trzeba było odgrywać swoją rolę.

- Zwijamy się jak w ukropie. Wreszcie *zaczynamy* panować nad problemami z produkcją - powiedziała Gerta. - Sztab generalny ujednocilił programy, a my zrationalizowaliśmy zarządzanie. Zajmowałam się tym przez większość zimy Samo unikanie błędów podwaja produkcję. Zdumiewające, jak wsadzenie cycków w wyzymaczkę wyostrza ci umysł.

- Jak się miewa ojciec?

- Jest zmęczony. Wciąż mówi o przejściu na emeryturę, ale wątpię, aby miał to zrobić przed zakończeniem wojny. A jego ewentualny następca ma wyobraźnię jak sztaba irydu. To niebezpieczny typ - energiczny, sumienny i głupi. Twój imiennik nabawił się rany w czasie tego desantu, jaki zorganizował twój przybrany brat Jeffrey. A tak przy okazji, to była pierwszorzędna robota. Przesiałabym gratulacje, gdyby to było na miejscu.

John skinął głową. - Mam nadzieję, że z Johanem nie jest źle?

- Och, nie, to nic poważnego. Złamana kość udowa, będzie przez kilka miesięcy w gipsie. Erika właśnie przeszła próbę i wybiera się na szkolenie dla pilotów... chciałabym sobie jeszcze poplotkować, ale czas nas goni.

John sięgnął do jednej z szafek i wyciągnął kilka teczek, a potem postawił lampę naftową na środku stołu. Gerta przesunęła plecak do przodu, wyjęła aparat fotograficzny i przykręciła lampę oraz zamocowała rząd magnezowych żarówek.

- W pierwszej jest raport dotyczący desantu morskiego - powiedział.

- Mistrzowskie posunięcie Jeffreya. Wiesz, o mało co go wtedy nie zabiłam - czysty przypadek. Byłam tam na inspekcji, wyniosłam się, gdy się rozpoczęło i o mało co go nie przejechałam.

- To byłaś ty? Opowiadał mi o tym, ale nie był pewien.

- Mm-hmmm - odezwała się przytakująco Gerta. Aparat błyskał, gdy metodycznie fotografowała każdą stronę i schemat.

- Szkoda, że mi się nie udało. Jest za bardzo kompetentny, aby żyć. Powinien się urodzić wśród Wybrańców. Ach, piętnastoprocentowe straty. Świetna robota, spodziewaliśmy się jeszcze połowy tego. Od tego czasu Cieśnina to dla nas czysta rozpacz, ledwo udaje nam się przeprowadzić konwój w pobliże wybrzeża. Powinno się poprawić teraz, gdy produkujemy więcej myśliwców i jednostek do ataków naziemnych, a marnujemy mniej środków na zabawki Porschmidta.

- Tu są dane dotyczące wielosilnikowego czołgu. Wciąż nad nim pracują.

- Cieszę się, że nie tylko my tracimy czas i pieniądze - odpowiedziała Gerta. - Nasz model może obecnie pokonać trzy, a nawet cztery mile, zanim się zepsuje. Oczywiście gdyby był w stanie pojechać dalej, to i tak nie ma na świecie mostu, który by go utrzymał.

Ostatnia teczka była grubym pudełkiem owiniętym niebieską taśmą, z harmonijką z brązowej tektury i ze stemplem „ściśle tajne”.

- To duplikat - powiedział John. - Mam kopię, bo moje firmy biorą udział w wykonywaniu specjalnych urządzeń i dzięki moim kontaktom w wywiadzie.

- Pozwalają ci robić kopię? ~ spytała Gerta, spoglądając na niego podejrzliwie. - To bardzo niechlujne, nawet jak na Santanderczyków.

- Nie *pozwolili* mi - rzekł John. - Mam w moim biurze elektrostatyczną maszynę do kopiowania. To nowy projekt, coś podobnego do natychmiastowej fotografii. Wyjmowałem skopiowane strony jedna po drugiej ze środka fałszywego dna w księdze głównej.

Gerta pokiwała z niechęcią głową. - Dziwny papier - powiedziała, otwierając pierwszy zestaw.

- Trzeba specjalnej faktury, aby przyjęła proszek, gdy papier przesuwa się pomiędzy rolkami - rzekł.

- Widzę, że Jeffreya awansowano na dowódcę korpusu - powiedziała i gwizdnęła. - Dwadzieścia pięć dywizji. *To* nazywam siłami uderzeniowymi, i to w dodatku za bardzo mobilnymi. Mieliśmy nadzieję, że spróbują się przedrzeć przez linię frontu.



- Mogli tak zrobić, gdyby nie Jeffrey - rzekł John. I *gdyby nie ja oraz Raj i Centrum*.

Palce Gerty zastygły nad papierami. - Ach - powiedziała. - Rio Arena?

- Udało się w waszym przypadku, więc myślą, że im też się uda - powiedział John. Wyjął srebrną, myśliwską piersiówkę, pociągnął łyk brandy i podał ją swojej przybranej siostrze.

Ona także pociągnęła, nie zdejmując wzroku z dokumentu.

- Chcą zatem odciąć nas na południowym przylądku? - spytała. - Mamy sporo sił zaangażowanych na linii frontu, to będzie cholernie trudne.

- Ma to być połączone z generalną ofensywą tutaj - powiedział, wskazując John. - Aby przygwoździć główną armię, podczas gdy siły desantowe przetną połączenia kolejowe do Nowych Terytoriów.

- Partyzanci robią to i tak nader często - zauważyła Gerta mimowolnie, przeglądając dalej papiery. - Ogólne powstanie... *ya*, to ma sens. Dobra sztabowa robota. Staranna. Uczą się.

John odchylił się na krześle i w milczeniu zapalił papierosa. Po kilku chwilach Gerta skinęła głową, złożyła teczkę i zawiązała taśmą.

- Cholera - rzuciła lekko. - To odciągnie uwagę.

- Uwagę? - spytał John.

- Dążyliśmy do położenia większego nacisku na siły powietrzne i morskie - rzekła z roztargnieniem. - Nigdy nie wygramy tej wojny, jeśli nie będziemy kontrolować Cieśniny i Zachodniego Oceanu. Dopóki Santanderczycy mają większą flotę, będą mogli zmuszać nas do reakcji na ich działania, a nie odwrotnie. Ach, cóż, człowiek musi, kiedy diabeł dusi.

Wstała i uściśnęła mu dłoń, a jej ręka była równie twarda i pokryta odciskami jak jego. - Pracuj tak dalej - powiedziała.

Uśmiechnął się. Uśmiech ten stał się lodowaty, gdy Gerta dodała; - Zakładając, że to nie jest dezinformacja.

- Myślałem, że udowodniłem moje dobre intencje? - powiedział lekko zagniewany.

- Cóż, to właśnie jest pytanie, prawda? - rzekła. - Osobiście powiedziałabym, że szanse są pół na pół. Decyzja jednak nie należy do mnie. *Behfel ist Behfel*. Do zobaczenia, kiedy spalimy miasto Santander, Johnny.

John usiadł przy stole po tym, jak wyszła, ocierając pot z twarzy chusteczką. Gdyby to Gerta dowodziła, to już dawno odwiedziłby go specjalista. Miał wielkie

szczęście, że to nie ona rządzi Krainą.

>>Zgadza się.<< Centrum wyświetliło mu przed oczami obrazy. Pierwsza część była dziwna: starszy naukowiec Wybrańców wyrzucany ze sterowca. A potem zobaczył północny brzeg Cieśniny usiany fortami w rodzaju tego, który zniszczył Jeffrey. Ogromne fabryki zbudowane przez Wybrańców wokół Ciano i Veron - zamiast skupiania wszystkiego w Krainie - produkujące tysiące średniej wielkości czołgów zamiast kilkuset siedemdziesięcotonowych potworów. A ostatni obraz przedstawiał flotą tuzina pancerników, wszystkie z eksperymentalnego typu o wielkich działach, których stępki dopiero zbudowano w Składaniu Przysięgi, w towarzystwie wielu lotniskowców.

>>A potem zaatakowałyby Santander<< powiedział Raj. >>Kiedy byliby całkowicie gotowi.<<

>>Prawdopodobieństwo powodzenia mniej niż 24% plus minus 7<< uściśliło Centrum. >>Na szczęście prawdopodobieństwo uzyskania przez obiekt Grete Hosten władzy zwierzchniej w Radzie Wybrańców w najbliższej przyszłości jest podobne.<<

- I czyż to nie jest piękne? - spytał Jeffrey. Mężczyzna pozostawił otwarte na świt drzwi i usiadł obok przybranego brata. Następnie wyciągnął termos z kawą z myśliwskiego plecaka i napełnił dwa grube gliniane kubki. - Równie dobrze możemy wykorzystać tę piersiówkę - stwierdził.

Zabulgotała wylewana brandy, dość, by osłodzić mocny smak kawy. - Niech piekło pochłonie Wybrańców - powiedział John i stuknęli się kubkami.

- Już wkrótce - dodał Jeffrey. - Nastąpi wiosna, wyskoczyła trawka. Czas, aby ludzie wyrzynali się nawzajem.

- Mam nadzieję, że to kupią - powiedział John, spoglądając ku brzegowi. Gerta i jej motorówka już parę godzin temu spotkali się z niszczycielem. - Czy to nie byłaby ironia, gdyby któryś z naszych statków złapał ich w Cieśninie?

- Cóż, nie mogliśmy przecież odwołać patroli dla Gerty - powiedział Jeffrey. - Chryste, ja też mam nadzieję, że to kupią. To jest nasza ostatnia szansa.

John uniósł brwi. - Tej zimy na Linii Konfrontacyjnej było brutalnie. Zmuszamy ich, aby wykrwawiali nowe dywizje, a słowo „wykrwawiali” jest określeniem operacyjnym. Nauka przez czyny, nauka przez umieranie... wyborcy się niecierpliwią, tak jak i premier. Chcą, aby coś zrobiono, coś wielkiego. Jeśli wygramy, to wygramy. Jeśli jednak stracimy Korpus Ekspedycyjny, to przegramy wojnę. I myślę, że wróg również nie może już tego znieść.

John ponownie skinął głową i wychylił kubek.

\* \* \*

Podpułkownik Maurice Hosten skręcił swego Jastrzębia IV i spojrział w dół. Pociąg na wiosennej, zielonej ziemi w dole przypominał zabawkę i wypuszczał pióropusz dymu jak u zabawki. Kusilo go, aby pchnąć swego myśliwca, by ten dał potężnego nura i dokonał bombardowania, lecz dzisiaj jego eskadra zapewniała osłonę. Działania należały do dwumiejscowego, dwusilnikowego samolotu znajdującego się poniżej, wypuszczonego z lotniskowca *Konstytucja*. Były tam także dwa ciężkozbrojne okręty wojenne. Dostrzegał je - słabo - z sześciu tysięcy stóp, lecz linia kolejowa poniżej była ukryta przed obserwacją z ziemi przez niski łańcuch wzgórz. Mogli zobaczyć węglowy dym z kominów pancernika, a patrole obserwacyjne Krainy bez wątpienie go dostrzegły.

Długa szpula drutu zaczęła się rozwijać z tylnego siedzenia obserwacyjnego samolotu dwa tysiące stóp pod nim. Samolot na końcu miał nasadkę przypominającą mały latawiec, mającą go podtrzymywać, zaś nad kadłubem zamocowano wolnobiegowe śmigło napędzające generator odbiornika radiowego. Radio porozumiewało się z mostkiem na pancernikach, mostek z artylerią, artyleria wypuszczała pociski, a obserwator z dwupłatowca meldował o upadku pocisku, w ten sposób zamykając koło.

Dwunastocalowe działa dwóch pancerników klasy *Republika* błysnęły jedno po drugim. Maurice odliczał sekundy, zwracając uwagę na przerwę pomiędzy błyskiem a meldunkiem. Minęło jeszcze parę sekund i ziemia zakołysała się pod nim. Pociski chybiły o kilka tysięcy jardów. Pompom znajdujący się na wagonie-platformie na końcu pociągu strzelał do nich, jednak małe pociski wyraźnie chybiły. Mogły być paskudnie skuteczne z bliska.

Wspomniał już o tym swemu ojcu. John Hosten uśmiechnął się w ten swój sposób, jakby słuchał kogoś innego albo wiedział więcej niż ty i zwrócił mu uwagę, że każdy pociąg w rejonie narażonym na atak musi mieć przeciwlotniczą załogę - choć atakowany był zaledwie jeden pociąg na dwadzieścia. Co oznaczało, że dziewiętnaście pociągów blokowało dziewiętnaście załóg i dziewiętnaście pompomów - wykluczając je z walki tak samo, jakby strzelono im w głowę.

*Tata jest dziwny. Inteligentny; ale dziwny.*

Pancerniki wystrzeliły ponownie. Maurice nie zauważył tego, bowiem kręcił

głową, sprawdzając niebo. Miał szczerą nadzieję, że tak samo robili wszyscy inni w jego eskadrze. Połowa pilotów była teraz weteranami - definicja ta obejmowała każdego, kto przetrwał miesiąc patroli w czasie działań wojennych - a w tym interesie uczyłeś się szybko albo spadałeś, płonąc.

Tym razem pociski wylądowały o wiele bliżej linii kolejowej. Pociąg posuwał się o wiele szybciej - musieli dorzucać do pieca i mocno otwierać przepustnicę. Niedaleko w przedzie znajdował się tunel i będą tam bezpieczni, jeśli uda im się przejechać punkt, na który samolot obserwacyjny naprowadzał bombardowanie.

Następna salwa wylądowała na linii kolejowej i nasypie. Linia zniknęła w dymie i tumanie rozdrobnionej ziemi wyrzuconej przez pociski, które zaryły się głęboko w grunt, zanim wybuchły. Dzięki jakiemś dziwnemu zbiegowi okoliczności i anomalii balistycznej pociąg się nie wykoleił, tylko przejechał przez tę chmurę, pędząc przed siebie dobre dziewięćdziesiąt sześć i pół kilometra na godzinę. Kolejna salwa w coś trafiła. Mógł to być jeden rozżarzony do czerwoności odłamek, który uderzył w ładunek min, albo cały pocisk, który trafił w ładunki wybuchowe, dynamit czy amunicję artyleryjską. Cokolwiek to było, zmieniło nagle cały pociąg w rozrastającą się kulę ognia, której dolna część rozpląszczyła się o ziemię, sięgając jednocześnie ku górze półkulą światła niczym powiększająca się mydlana bańka żaru. Samolotem obserwacyjnym rzuciło jak drewnikiem na wodospadzie.

Dwumiejscowy samolocik zawrócił ku morzu. Maurice spojrział w górę i dostrzegł czarne punkciki na tle wysokiej, cumulusowej chmury. Maszyny zanurkowały ponad zabarwioną na złoto górną warstwą obłoku, a on zawrócił myśliwiec, lecąc im na spotkanie i machając skrzydłami, aby dać sygnał reszcie eskadry.

- Spóźniliście się na tańce - wymruczał. Myśliwce Służb Lotniczych Krainy pikowały przez chmurę, w swojej zwyczajowej „czteropalczastej” formacji - dwóch przywódców i ich skrzydłowi. - Ale lepiej późno niż wcale.

Pierwsze *tat-tat-tat* ognia z karabinów maszynowych rozbrzmiało w niebiosach. Łuski połykiwały, spadając w dół ku dymiącemu lejowi, który przedtem był pociągiem.

\* \* \*

- Możesz przeżyć zwycięstwo Santander - rzekł John. - Z pewnością jednak nie przeżyjesz tryumfu Wybrańców. Nie dłużej niż przez kilka lat, tak jak i twój naród.

Generalissimo Libert rozparł się w bogato zdobionym krześle i wziął łyk herbaty.

Spotykali się w tajnej rezydencji w modnej części Unionvil. Libert wydawał się całkiem pewny, że Wybrańcy o niej nie wiedzą. Wystrój wnętrza był ciemny i elegancki, wyróżniający się rzeźbionym, złożonym drewnem w stylu poprzedniego wieku. Pokój pachniał tytoniem i woskiem do pastowania.

- Owszem, ostatnio byli nadmiernie arogancy - powiedział Libert.

- Zaczęli bezpośrednio przejmować spore fragmenty waszej gospodarki - powiedział John. - Połowa twoich żołnierzy znajduje się w Sierrze pod dowództwem Krainy. Jestem zaskoczony, że w ogóle pozostawili wam autonomię.

- Byłem użyteczny - powiedział Libert. Był pulchniejszy niż kiedyś, lecz w jego ciemnych oczach krył się ten sam przepastny chłód. - A gdyby się mnie pozbyli, musieliby przeznaczyć bardzo wielu oficerów i administratorów, aby zastąpić mnie i mój rząd.

- To nie będzie miało znaczenia, gdy wygrają.

- To *ma* jednak znaczenie, dopóki trwa patowa sytuacja. Zauważ, że niewiele moich dywizji znajduje się na Linii Konfrontacyjnej. Moje ambicje zostały zaspokojone po wygraniu tutejszej wojny domowej i więcej niż zaspokojone przez terytorium Sierry, jakie zajęliśmy.

- Ta sytuacja nie będzie trwać w nieskończoność. Żadna ze stron nie może wiecznie utrzymywać działań na tym poziomie.

Libert skinął głową. - To jest możliwe. Jednak obecnie zamierzam utrzymać moje stanowisko ograniczonego zaangażowania.

- Unikałeś oficjalnego wypowiedzenia nam wojny. A my nie wypowiedzieliśmy wojny tobie.

- Utrzymujecie moich politycznych wrogów.

John kiwnął głową. - Jednakże generał Gerard nie żyje. Tak jak wielu jego żołnierzy. - Zostali wykorzystani, by zatrzymać pierwsze, straszliwe uderzenie w ofensywie otwierającej wojnę i starci w proch, podczas gdy armia Santander zdobywała doświadczenie i zwiększała liczebność. - Jeśli sobie zasłużysz, nie będziemy się upierać przy zmianie rządów po wojnie.

- Jeśli wygracie.

- Jeśli będziesz się wahać zbyt długo, nie będziemy mieć powodu, aby nie oddać cię katu, tak jak Wybrańców.

Po raz pierwszy w czasie rozmowy Libert się uśmiechnął. - To delikatna kwestia wybrania odpowiedniego momentu, prawda? Nie za późno, aby przez błąd w

kalkulacjach nie zostać złapanym na pomaganiu stronie przegrywającej, lecz na tyle wcześniej, aby moja pomoc miała kluczowe znaczenie i bym zachował siłę przetargową w negocjacjach.

Wyraz twarzy Johna pozostał beznamiętny, była to sztuczka, jakiej nauczył się w czasie lat pracy w wywiadzie i politycznych negocjacji. *Mordercze małe gówno*, pomyślał.

>>Nie lekceważ go jednak<< ostrzegł go Raj.

John skinął głową. - A teraz, zakładając, że sytuacja militarna zmienia się tak, że Kraina chwyci się na krawędzi - powiedział - jak byś sugerował ją zepchnąć?

- W hipotetycznej sytuacji? - zaczął Libert. - Może...

\* \* \*

- Baaacznaść.

- Panowie - powiedział Jeffrey Farr, kładąc wojskową laskę i czapkę od munduru u szczytu stołu znajdującego się w pomieszczeniu. - Spocznij.

Oficerowie Pierwszej Dywizji Piechoty Morskiej usiedli - wszyscy, od dowódców batalionów w górę. Była to zaprawiona w bojach grupa. Większość z nich służyła w regularnym wojsku jeszcze przed wojną. A od tego czasu wszyscy brali udział w walce, na Linii Konfrontacyjnej i w niezliczonych zaczepnych rajdach wzdłuż zajmowanego przez Wybrańców wybrzeża lub też w przeprawie przez Cieśninę mającej na celu zniszczenie fortecy Krainy. Dywizja piechoty morskiej składała się również w całości z ochotników. Przed wojną nie miało to specjalnego znaczenia, lecz od momentu napaści Krainy na Linie Konfrontacyjną oznaczało to, że piechota morska dostawała samą śmietankę - tych, którzy nie zadowalali się czekaniem na powołanie. Dostawała ludzi, którzy *chcieli* walczyć.

- Panowie, jak wszyscy wiecie, ćwiczyliśmy przygotowanie do desantu na wielką skalę.

Potakujące skinienia głowami. Wiele się nauczono z napaści przeprowadzonej przez Cieśninę: nowy sprzęt, nowa taktyka.

- Wszyscy znacie oficjalną wersję - że przygotowywaliśmy się do kolejnych napaści na wybrane nadbrzeżne cele. Kilku z was zna prawdziwy, kryjący się za tym cel: zajęcie Barclon i ustanowienie przyczółka dla nowego Korpusu Pierwszej Armii za liniami Krainy na południowym przylądku.

Ciszy szept przebiegł wśród zgromadzonych oficerów. Miało to być ściśle tajne.

- Panowie, teraz zostanie wam przedstawione *prawdziwe zadanie*, do którego was szkolono. Tym zadaniem jest uczestniczenie w ataku mającym na celu złamanie Wybrańców na zawsze i zakończenie wojny. Mam nadzieję, iż nie muszę podkreślać, jak kluczowe jest tutaj zachowanie tajemnicy. Dlatego zostajecie powiadomieni dopiero na dwa tygodnie przed. Wiem, że to zostawia wam niewiele czasu. Zabrania się również - absolutnie zabrania - mówienia o tym komukolwiek, kto nie znajduje się obecnie w tym pomieszczeniu. Łącznie z młodszymi oficerami, waszymi żonami, najlepszymi przyjaciółmi i spowiednikami. Każdy, kto tak zrobi, nawet niechcący, zostanie zdymisjonowany i rozstrzelany. Czy to jasne?

Oficerowie piechoty morskiej pochyłali się, teraz do przodu, w napięciu, gotowi.

Jeffrey odwrócił się w kierunku stojaka i zdjął przykrywającą go płachtę. - Naszym celem jest - postukał wskaźnikiem - zachodnie wybrzeże starego imperialnego terytorium, przy południowym wejściu do Przesmyku. Miejsce, gdzie zaczęła się wojna, prawie dwadzieścia lat temu - naprawdę zaczęła, nie mówię tu o jej ostatniej fazie, kiedy to Republika otworzyła się do niej włączyła. Corona.

Od słuchaczy dobiegał ledwo uchwytny szmer. Jeffrey uśmiechnął się krzywo. - Wiem, co sobie myślicie. Wybrańcy przyłapali tam Imperialnych z palcem w dupie i umysłami pracującymi na jałowym biegu. Wybrańcy nie są wałkoniami ani idiotami, mieli też osiemnaście lat na przygotowanie się.

Przesunął wskaźnikiem od Corony, przez dolinę Pady, przez Góry Sierrańskie, w dół ku Unii. - Ale oni mają także to wszystko do utrzymania, a dzięki tamtejszym mieszkańcom i zachęcie z naszej strony terytorium to jest w stanie rewolty lub rozpoczynającej się rewolty. Udało nam się uwolnić dwadzieścia pięć dywizji z Linii Konfrontacyjnej, a oni ogałają Imperium ze wszystkiego, z czego mogą, aby zwiększyć bezpieczeństwo linii komunikacyjnych i stworzyć armię polową dorównującą naszej. Imperium Wybrańców jest jak mięczak: twardy na zewnątrz, miękki i dający się pogryźć od wewnątrz... i jeśli uda nam się przebić w odpowiednim miejscu, to prześliznie nam się przez gardło.

Przerwał. - Tyle, jeśli chodzi o teorię. A teraz szczegóły. Musimy zająć port. Musimy zająć port daleko za ich frontem - jego wskaźnik znowu prześliznął się przez Unię i Sierrę - i musimy zająć punkt, który umożliwi naszej Północnej Flocie prowadzenie działań w Przesmyku. Mam nadzieję, że nie muszę wyjaśniać, jakie to ma znaczenie.

Dało się słyszeć kolejny pomruk. Główna flota Wybrańców była mniejsza niż flota

Republiki, choć nowocześniejsza. To przewaga wynikająca z prowadzenia przez nich działań blisko bazy sprawiała, że wypadły do Przesmyku były niebezpieczne dla marynarki Santander.

- To nie będzie łatwe. Nie będzie łatwe zwłaszcza dla czołowej jednostki przewodzącej początkowemu desantowi. Dlatego też będę wam towarzyszył, dopóki kolejne jednostki nie znajdą się na brzegu...

Zamilkł, mrugając oczami z zaskoczenia, gdy ozwały się na to gromkie wiwaty.

>>To są wojownicy, chłopcze, a nie tylko żołnierze<< odezwał mu się w głowie Raj. >>Darzą cię estymą po tym, jak poprowadziłeś atak przez Cieśninę.<<

- A teraz zabierzmy się do roboty.

\* \* \*

Nędznie, pomyślała Gerta Hosten, rozglądając się po przedziale.

Pamiętała czasy, gdy pociąg pierwszej klasy z Kopernika oznaczał luksus. Tymczasem tu okna pokryte były brudem, na obiciach były plamy, a pociąg się *spóźnił*- co było dawniej nie do pomyślenia.

Teraz czekał na bocznicy, gdy przejeżdżał zdający się nie mieć końca, powolny pociąg towarowy; sądząc z tego, co było widać, załadowany ciężkimi maszynami wiertniczymi. Być może były przeznaczone do wytwarzania artylerii dużego kalibru a może do kilkunastu innych przemysłowych zastosowań. Na towarzyszących im skrzyniach widniał napis „Coro-na”, pewnie zatem przeznaczone były dla tamtejszej bazy marynarki.

Głupota. Powinniśmy przenieść fabryki i surowce, a nie robić odwrotnie. Ilość obozów znajdujących się wokół głównych miast Krainy wymykała się zupełnie spod kontroli. Zakwaterowanie było ciągłym problemem, a Imperialni źle sobie radzili w wilgotnym, tropikalnym upale Krainy - padali jak muchy i zarażali wszystkich innych chorobami, na jakie zapadali. Nawet malaria znowu się pojawiła, a ponoć Biuro Zdrowia Publicznego wytrzebiło ją w Krainie dwa pokolenia temu.

Podobno posiadanie wszystkich fabryk w jednym miejscu ułatwia sprawowanie kontroli. *To tylko ułatwia ukrywanie się pojedynczym osobnikom*, pomyślała z obrzydzeniem. A te obozy były niczym królicze nory.

- *Behfel ist Behfel* - wymruczała do siebie. Choć, gdy następnym razem będzie rozmawiała z ojcem...

Samochód sztabowy nadjechał, podskakując na dziurawej drodze biegnącej obok



pociągu. Gerta przetarła kawałek okna rękawem kurtki munduru i wyjrzała. Z samochodu wyskoczył oficer i pognał ku drzwiom najbliższego wagonu pasażerskiego.

Wyprostowała się przeszyta lodowatym dreszczem. *Santanderczycy atakują Barcelon?* - pomyślała. *Nie, jesteśmy na to przygotowani...*

## Rozdział dwudziesty ósmy

- Czternaście - powiedział Maurice Farr z mostka *Wielkiej Republiki*.

Płonący sterowiec nagle wybuchł, zmieniając na chwilę ciemność wczesnego poranka w sztuczny świt. Na morzu barwy czerwonego wina rozrzucone były niezliczone statki. Długa linia pancerników - dwadzieścia jeden - pruć wodę, a ich masywne cielska rwały niczym mastiffy spuszczone ze smyczy w czasie psiej walki. Otaczało je trzydzieści nowoczesnych, opancerzonych krążowników, rozstawionych w podwójnym szeregu jeden obok drugiego przed ciężkimi *okrętami* wojennymi. Niszczyciele kursowały po bokach, czasami przecinając formację z szaleńczą szybkością, a był to jedynie ułamek statków widocznych na północnym horyzoncie. W środku całej formacji znajdowały się wielkie, ale cechujące się cienkim pancierzem lotniskowce, których samoloty strąciły z nieba rozpoznawcze sterowce Krainy.

Węglowce, statki szpitalne oraz zaopatrzeniowe stanowiły luźniejszą grupę z tyłu za flotą bitewną. Na południowym wschodzie znajdowały się transportowce i starsze krążowniki stanowiące ich eskortę. Powietrze wypełniała woń węglowego dymu i spalanej benzyny oraz warkot i wycie silników. Sygnałowe reflektory zapalały się i mrugały w pajęczej sieci, sprawiającej, iż dziesiątki statków i dziesiątki tysięcy ludzi poruszało się jak jeden organizm, posłuszny jednej woli.

Admirał Maurice Farr opuścił lornetkę. - Cóż, powiedziałem ci, że powalczysz sobie jeszcze, zanim ta wojna dobiegnie końca, Artie - rzekł do jasnowłosego, łysiejącego mężczyzny stojącego obok.

Admirał Arthur Cunningham, dowódca batalionu Pierwszej Dywizji, statków o ciężkich działach, uśmiechnął się ponuro. - Wszystko postawione na jedną kartę, co,

Maurice? Niemal się udławiłem ością, jak mi o tym powiedziałeś. To mocno przypomina coś, co mnie by przyszło do głowy.

Maurice potrząsnął głową. - Nie, to jest tak naprawdę subtelne - odparł z całą powagą. - To nie jest tylko pochylenie głowy i zaszarżowanie.

- Cóż, nie na darmo nazywają mnie Bykiem - rzekł Cunningham, drapiąc bolesną wysypkę, która pokryła plamami jego ręce. - W czasie wojny zwykle przydaje się podejście w stylu „topora do mięsa”. I muszę przyznać, że te lotniskowce spełniają swoje zadanie.

Płonące szczątki sterowca opadały ku powierzchni wody. Powróciła ciemność. Błyszczały tylko światła robocze floty oraz światełka lądowisk, biegnące wokół pokładów lotniskowców.

- Będziemy mieć więcej problemów z ich sterowcami, jak wszędzie słońce, a oni będą mogli nabierać paliwa z tankowców powietrznych poza naszym zasięgiem - powiedział admirał Farr. - Możemy strącać ich statki powietrzne, ale nie możemy ukryć faktu, że je strącamy - zawsze mogą przesłać wiadomość, zanim spłoną. Wróg będzie wiedział, że coś szykujemy.

- Ale nie będzie wiedział dokładnie co - rzekł radośnie Cunningham. - A samoloty też mogą startować z większą łatwością w świetle dziennym. Dwa dni, powiadam.

- Trzy - rzekł Farr.

Adiutant zasalutował. - Generał Farr do pana.

Jeffrey Farr wszedł na mostek okrętu flagowego. Był duży. *Wielką Republikę* zbudowano tak, aby dysponowała miejscem i urządzeniami łącznościowymi potrzebnymi do kierowania całą Północną Flotą na morzu. Mimo to Jeffrey musiał się przepychać, zanim stanął przed ojcem. Brąz jego munduru polowego i pokrycia hełmu kontrastował z morskim błękitem mundurów oficerów marynarki.

- Panie. Czas, abym dołączył do moich ludzi.

Maurice Farr skinął głową. - Powodzenia, generale - powiedział. - Marynarka będzie tam, gdzie jej będziesz potrzebował. Przysunął się i wziął syna za rękę. - I powodzenia, synu.

Jeffrey Farr skinął głową. - Tato.

\* \* \*

- Piętrzyć podkłady razem - rzucił przywódca partyzantów. Połowę grupy stanowili nieuzbrojeni wieśniacy, mężczyźni i kobiety, którzy wymknęli się z plantacji

lub kilku dzierżawionych gospodarstw opłacanych plonami, których Wybrańcy jeszcze nie skonsolidowali. Wieśniacy przynieśli jednak ze sobą swoje narzędzia pracy. Szpadle, kilofy i motyki waliły w żwir torowiska. Niszczeniu głównej linii biegnącej z Salinii na zachód, wzdłuż Cieśniny, towarzyszyła specyficzna przyjemność. Trzydzieści tysięcy przymusowych imperialnych robotników pracowało dziesięć lat, aby ją zbudować, a kolej przewoziła połowę zaopatrzenia dla wojska Krainy w Sierrze i Unii.

- Spiętrzać je - powiedział. Rosnąca sterta nasączonego kwasem karbolowym drewna sięgała mu ponad głowę. - Tory przebiegają po drewnie, podpalimy je. Minie sporo czasu, zanim po tych torach znowu pojedzie pociąg.

Bardzo dużo czasu. W całym Imperium były tylko dwie walcownie - w Ciano i w Coronie. Większość roboty trzeba będzie wykonać w samej Krainie - zawieźć zniszczone stalowe szyny do tamtejszych hut, rozgrzać je, ponownie rozwałcować i przywieść z powrotem...

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Odezwał się jeden z jego podwładnych, z niepokojem w głosie: - Czy będziemy mieć czas? Ich siły szybkiego reagowania...

Dowódca partyzantów wyszczerzył zęby w uśmiechu, wskazując ku wschodowi, tam, gdzie linia kolejowa wiała się przez niskie wzgórza nadbrzeżnej równiny wzdłuż Cieśniny. Były tam w niebo dziesiątki słupów dymu.

- Będą mieli dzisiaj sporo roboty.

\* \* \*

Dowódca Wybrańców w miasteczku Monte Sassino zakłęła i wygramoliła się z łóżka, mrugając w porannym słońcu. Zeszłej nocy wypła nieco zbyt dużo džinu bananowego wymieszanego z lokalną brandy. Pocierając języka na głowie, oficer sięgnęła po przeraźliwie dzwoniący telefon.

*Trzask.*

Upadła na telefon, jej ciało zadrgało, a pęcherz i jelita samoczynnie się opróżniły.

Dziewczyna, która trzymała mały, wykonany w Santander pistolecik, dała znak bratu. - Szybko!

Byli bliźniakami, czternastolatkami, tylko ich oczy były starsze. Żadne z nich nie zawracało sobie głowy ubieraniem się, gdy barykadowali drzwi do apartamentu i ograbiali szafkę z amunicji i broni. Szafka wyposażona była w zamek szyfrowy, lecz

chłopak już dawno temu zdobył jego numer. Wewnątrz znajdowała się strzelba i karabin maszynowy oraz magazynki do automatu spoczywającego wraz z pasem na broń na komodzie. Chłopak splunął na ciało martwej kobiety, gdy przetaczał je na rosnącą stertę mebli przy drzwiach.

Bliźniaki nie przeszły nigdy formalnego szkolenia w posługiwaniu się bronią, lecz udało im się zabić trzech protegowanych żołnierzy i zranić kolejnego Wybrańca, zanim taran przebił się przez drzwi, odsuwając barykadę.

Wtedy już większość miasteczka stała w płomieniach.

\* \* \*

- Co?

- Panie - powiedziała protegowana - inne stacje też nie odpowiadają.

Oficer Wybrańców powstrzymał się. Zdzielenie techniczki w twarz nie zmieni cielej głupoty widocznej w jej oczach. Nie potrzeba dużo rozumu, aby być operatorką centrali telefonicznej. Poza tym od zawsze istniała polityka rekrutowania do służby wojskowej osób z dolnej jednej trzeciej krzywej współczynnika inteligencji. Bystrzy protegowani byli niebezpiecznymi protegowanymi.

- A co z sygnałem zwrotnym?

Twarz operatorki rozjaśniła się, tracąc wyraz pełnego zaangażowania zaniepokojenia. - Och, tak, panie. Próbowałam, panie. Obwody nie działają.

Tym razem oficer Wybrańców prychnął na głos. To oznaczało, że przynajmniej trzy duże główne linie nie działają.

- Wracaj na stanowisko - powiedział. *Użyję radia.* To przynajmniej pozwoli mu się skontaktować z kwaterą główną. Szkoda, że posługiwało się nim niewiele mobilnych jednostek Krainy.

\* \* \*

- Zalecasz co takiego?

Gerta Hosten przymknęła na sekundę oczy w desperacji. - Panie, zalecam, aby nie przenosić już żadnego więcej personelu z Krainy właściwej do Nowych Terytoriów i aby personel oddelegowany z jednostek marynarki i garnizonów w Nowych Terytoriach do Sierry i Unii powrócił natychmiast do swoich jednostek, oraz aby przesunąć z powrotem w rejon Ciano przynajmniej siły polowe generała Hostena - mobilną armię, jaką poskładali z jednostek i dywizji OKK wycofanych ze strefy

frontowej po odwróceniu do fortyfikacji Linii Gotyckiej.

Karl Hosten wyglądał na lekko oszołomionego, jakby ten zestarzały i bardzo waleczny jastrząb został niespodziewanie walnięty między oczy. Większość twarzy wokół stołu wyglądała na nastawione wrogo.

- To oznaczałoby właściwie oddanie wszystkich terenów położonych na południe od starej imperialnej granicy! - rzekł szef sztabu generalnego.

- Jeśli Santanderczykom nie uda się przełamać Linii Gotyckiej, panie, to do tego nie dojdzie - powiedziała Gerta. - A my *wiemy*, że Agent A - John Hosten - albo został źle poinformowany, albo też próbuje wprowadzić nas w błąd. Santanderska strategiczna rezerwa *nie* zmierza do dorzecza Rio Areny, podobnie jak ich Północna Flota. Zmierza na północne wybrzeże Nowych Terytoriów i może uderzyć wszędzie, od Napoli po Artheusa. Meldunki donoszą o ogólnym powstaniu na okupowanych terytoriach i pośród tych Sierran, którzy pozostali. Nasze jedyne duże niezaangażowane siły znajdują się prawie tysiąc mil stąd w samym środku Sierry, a sieć kolejowa jest naprawdę porządnie rozpieprzona. *Proszę o* zastanowienie się, ile czasu zajmie sprowadzenie tych żołnierzy z powrotem w okolice miejsca, gdzie są potrzebni. Nowe Terytoria zostały *ogolcone* z żołnierzy.

Część jej własnej, ponurej, kontrolowanej paniki zaczęła się udzielać kilku innym członkom Rady.

- Może część...

- Panie, połowiczne środki?

Karl Hosten pozbierał się w sobie. - Co jeszcze zaleca wywiad wojskowy?

- Mobilizację kategorii III, panie.

Tym razem, mimo dyscypliny Wybrańców, dało się słyszeć kilka głośno wciąganych oddechów. To oznaczało zawieszenie wszelkiej działalności, umieszczenie za drutami wszystkich osobników, na których nie można polegać oraz powołanie rezerw probantów i probantów-emerytusów, czyli nastoletnich dzieci klasy rządzącej i odrzuconych kandydatów, którzy składali się na średnią klasę Krainy.

- Ale produkcja... - zaczął minister.

- Panowie, z całym szacunkiem, musimy przetrwać następne kilka tygodni. Jeśli w ogóle możemy to zrobić, to musi to zostać zrobione przy pomocy tego, co dostępne.

Gdy rozpoczęła się debata, Gerta wstała, starając się odegnać rozpacz.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jednostka transportowo-desantowa leżała przechylona na spadzistej, skalistej plaży. Dziura po pocisku wyrwana w cienkiej stali drzwi z przodu pokazywała dlaczego. Wewnątrz leżało jakichś stu żołnierzy piechoty morskiej. Pocisk z trzycalowego działka polowego wybuchł z tyłu kwadratowego przedziału, a podmuch przyczynił się do eksplozji skrzynek z granatami i amunicją. Ciała unosiły się w płytkiej wodzie dokoła, twarzami ku dołowi. Kamyczki zachręściły pod dziobem motorówki Jeffreya. Mężczyzna mało co nie stanął przy wyskakiwaniu na martwym żołnierzu piechoty morskiej, leżącym na linii pozostawionej przez odpływ. Opancerzony pojazd dowódcy czekał na niego na drodze biegnącej wzdłuż klifów, dziesięć jardów w głąb lądu. Oddział wartowniczy kwatery głównej ustawił się wokół dowódcy, gdy ten podszedł do niego.

- Melduj - powiedział, wskakując do otwartego samochodu. Denerwowało go pozostawanie poza zasięgiem łączności nawet przez tych kilka chwil, jakie zajmowało przedostanie się z transportowca do przyczółka na plaży.

- Panie, zatopienie *Dumy Bosson* zakończyło się powodzeniem.

Jeffrey spojrział na wejście do zatoki. Brzmiało to nieco dziwnie, dopóki nie uświadomił sobie, że większość wewnętrznego systemu obronnego zatoki stanowiły umocowane na stałe na lądzie baterie torpedowe. Zatopienie statku z ładunkiem kamieni naprzeciw luf torpedowych wyrzutników wyłączało je z akcji równie skutecznie co wysadzenie ich, a odbyło się to o wiele mniejszym kosztem.

*Poza kosztem poniesionym przez załogi blokujących statków*, pomyślał posępnie Jeffrey, spoglądając przez lornetkę. Były to szczątkowe załogi, ale ktoś i tak musiał obsadzić ster i silniki. *Duma* leżała przechylona na płytkiej wodzie przed niską,

betonową bryłą reduty Krainy, z dnem rozprutym przez ładunki torpedowe. Pompomy i karabiny maszynowe z brzegu rozorywały jej nadbudówkę w dymiące zgliszcza.

- Niech marynarka da im wsparcie ogniowe - rzucił.

Większość pancerników ojca Jeffreya stało niedaleko od wejścia do zatoki, waląc w Forty Ricardo i Bertelli... czy jak tam nazwali je Wybrańcy. Rozpoznał niskie, opancerzone sylwetki, nawet przez chmurę pyłu i dymu kłębiącego się z dwunastocalowych dział. Co jakiś czas forty odpowiadały, lecz ich garnizony zostały ogołoczone. Żołnierze pełnili służbę w Sierrze i Unii.

Reszta Corony nie przypominała zupełnie imperialnego miasta, jakie pamiętał. Nie było nawet koszmarnych widoków gruzów śmierzących gnijącymi ludzkimi ciałami, jakie widział przez chwilę pod koniec wojny Krainy z Imperium. Miasto, które teraz znowu płonęło, zostało odbudowane w postaci bezlitośnie jednolitej siatki szerokich, prostych ulic, wzdłuż których stały prawie identyczne bloki z granitowych płyt i żelazo-betonu. Kamienice, magazyny, fabryki, więzienia i baraki, wszystko wyglądało podobnie i było jeszcze ohydniej ujednolicone niż miasta Krainy takie jak Kopernik czy Składanie Przysięgi.

Podniósł wzrok. Jedynymi statkami powietrznymi nad Corona były samoloty Santander z lotniskowców, prowadzące obserwację dla pancerników i krążowników walących w forty Wybrańców.

A potem wóz opancerzony się zakołysał. Błysk był jasny nawet w blasku słońca. Jeffrey mimowolnie podniósł rękę, gdy jego wzrok przesunął się tam, gdzie... był przedtem Fort Ricardo. Nie było tam teraz niczego poza wznoszącym się słupem dymu. Dźwięk walnął go w twarz i pierś, a w parę sekund później bliźniaczy Fort Bertelli przy północnym wejściu do zatoki także wybuchł. Potrząsnął głową, starając się pozbyć dzwonienia w uszach.

*Uderzyliśmy w magazyny?* - zastanawiał się.

>>Wątpię, Jeff<< powiedział Raj. >>Wnosząc z raportów Johna, garnizony składały się głównie z Imperialnych - nawet nie z protegowanych z Krainy. Domyślam się, że podnieśli bunt i próbowali się poddać. Oficerowie Wybrańców sami mieli przygotowane ładunki z zapalnikiem czasowym.<<

>>Zgadza się<< powiedziało Centrum. >>Prawdopodobieństwo 78% plus minus 8.<<

Jeffrey wzdrygnął się lekko. Oznaczało to śmierć ośmiu, dziesięciu tysięcy ludzi w



przeciągu niecałych piętnastu sekund. Oczywiście byli to albo Wybrańcy, albo Imperialni, którzy zgłosili się na ochotnika, by im służyć, ale...

Obejrzał się na jednostkę transportowo-desantową. *Ale z drugiej strony, nie będę bardzo rozpaczał.*

Pył rozwiął się nieco pod wpływem mocnej morskiej bryzy. Tam, gdzie przedtem stały niskie, przysadziste mury i opancerzone wieże fortów, nie było nic poza morzem potłuczonych kamieni i postrzępionych kikutów żelazobetonu z wystającą płataniną stalowych prętów. Dym bił tu i tam albo para w miejscach, gdzie przedostająca się woda morska uderzała o metal wciąż rozżarzony do czerwoności od wybuchu.

Jeffrey zamrugał. - W porządku, co melduje brygadier Townshend?

- Port lotniczy i lądowiska zabezpieczone, panie. Część personelu Wybrańców wciąż ukrywa się w budynkach. Statki powietrzne nadal płoną, tak jak magazyny wodoru, amunicji i paliwa. Mówi, że może uda mu się ocalić trochę paliwa. Pasy startowe są z betonu i za kilka godzin nasze samoloty mogą zacząć z nich korzystać.

- Garfield?

- Brygadier Garfield melduje mocny opór w rejonie Nowego Miasta, panie.

Jeffrey skinął głową. Tam mieszkali w Coronie Wybrańcy. Oznaczało to ciężarne kobiety, dzieci, starców oraz kilku administratorów i techników. Ale będą uzbrojeni i będą walczyć.

- Wydaje się, że to jedyne ognisko walki, jakie zostało - myślał na głos. - Kierowco, odwiedzimy kwaterę główną brygadiera Garftelda.

Ciężkie opony zawyły na nawierzchni z kamiennych bloków, gdy samochód dowódcy ruszył z doków. Na ulicach nie było mieszkańców, większość z nich musiała się ukrywać, lecz było mnóstwo pojazdów z Santander; wozów opancerzonych, kilka czołgów, setki ciężarówek zabierających drugą i trzecią falę ludzi z doków w głąb lądu, a jeszcze więcej żołnierzy maszerowało. Ciągnięto też artylerię. I stały strumień karettek przywożących rachunek wystawiony w ludziach do szpitalnych statków, które mogły zadokować teraz, gdy zduszono systemy obronne portu.

*Ofiary?* - pomyślał Jeffrey.

>>Jak na razie 18% z Pierwszej Dywizji Piechoty Morskiej<< powiedziało Centrum. >>Oczywiście o wiele więcej w kompaniach strzeleckich.<<

*Oczywiście,* pomyślał Jeffrey ze znużeniem i odrazą.

Ale to nie miało znaczenia. *Miało znaczenie* tylko dla niego, dla ofiar oraz ich przyjaciół i rodzin. Zajął Coronę, nie tylko zajął ją, ale zajął przy pomocy śmiałego

wypadu, który pozostawił doki nietknięte. Nawet urządzenia naprawcze były w większości nietknięte, czekały też tysiące ton węgla.

Samochód dowódczy przejechał obok nagiego i sponiewieranego trupa zwisającego ze słupa latarni. Brakowało mu różnych części ciała. Jeffrey nie mógł nawet rozróżnić płci. Sądząc po fryzurze i barwie kilku nietkniętych płatów skóry, ciało jeszcze kilka godzin temu należało do Wybrańca. Gdy niewolnicy oswobodzili się i napadli od tyłu na swoich panów, stał się jednym z tych złapanych w osamotnieniu, którzy nie zdołali wrócić do Nowego Miasta.

*To był Wybrańiec*, pomyślał Jeffrey z uczuciem posępnej... choć niepełnej satysfakcji. Było to bardziej zrozumienie zasadniczych powiązań pomiędzy decyzją a jej skutkami. *Sami dokonali wyboru, dawno temu.*

- Wiadomość do okrętu flagowego, do przekazania do kwatery głównej - powiedział. Wiadomość następująca: Corona zabezpieczona, doki nietknięte. Wysłać.

Dwadzieścia pięć dywizji Korpusu Ekspedycyjnego czekało w portach na zachodnim wybrzeżu Republiki. Czekало na to słowo. Teraz ruszą. Za trzy dni zaczną wysiadać na ląd i żadna siła na ziemi nie zdoła ich odeprzeć.

>>Chyba że wrogowi uda się sprowadzić całą armię połową z południowego przylądka z powrotem do Imperium<< ostrzegł Raj. >>Dobry początek to załatwiona połowa sprawy, ale jeszcze nie wygraliśmy. <<

\* \* \*

John Hosten oddychał świszczaco, idąc w pochyleniu przez kanał ściekowy. Kanał był w większości suchy, tylko strużka cuchnącego, brązowego szlamu ciekła po jego dnie. Wybrańcy wybudowali doskonały system kanalizacyjny pod starym imperialnym miastem Ciano w czasie prawie dwóch dziesięcioleci, jakie minęły od podboju. Wybrańcy byli nałogowo schludni i czysti. Ten fragment nie pojawiał się na żadnych mapach ani w żadnych zapiskach. Brygady przymusowych robotników wybudowały go z myślą o dodatkowej funkcji, co nie oznaczało, iż przez większość czasu nie był to świetny kanał ściekowy.

*Z pewnością odpowiednio śmierdzi*, pomyślał. Panowały w nim również ciemności czarne jak smoła. Tylko słabe światła latarek i lamp naftowych rozświetlały je w nierównych odstępach.

W tej chwili kanał był pełen ludzi z karabinami i maszynowymi pistoletami, plecakami z amunicją i górniczymi ładunkami wybuchowymi, nożami i garotami oraz

bardziej tajemniczymi narzędziami. Posuwali się z trudem do przodu, oddychając ciężko w owalnej betonowej rurze. Arturo Bianci czekał przy skrzyżowaniu dwóch tuneli.

- Wciąż żyjesz, jak widzę - rzekł, dysząc, John.

- Jestem bardziej żywy niż wówczas, gdy przybyli Wybrańcy - rzekł, szczerząc się w uśmiechu Bianci. - Czy chcesz czynić honory?

Wyciągnął przełącznik znajdujący się na końcu sznura. John wziął go i położył kciuk na guziku. W duchu policzył i na *trzy* wcisnął zacisk stykowy.

Tunelem zatrzęsło. Ludzie krzyknęli mimowolnie ze strachu, gdy pył i kawałki betonu spadły z góry. Okrzyki przeszły w kaszel i dławienie się. Zgromadzeni podnieśli się w kolejnym, wyższym tunelu i pochyleni pomknęli ku żelaznym drabinom prowadzącym w górę. John ruszył pierwszą. Podciągnął się w górę i chwycił strzelbę przewieszoną przez ramię.

Piwnica była dokładnie taka jak na planach - wielka, otwarta przestrzeń pod kamiennymi łukami z blokami cel po wszystkich stronach i żelaznymi schodami w każdym rogu. Plany nie zawierały żelaznych klatek zwisających z sufitu na metalowych linach, które pozwalały je podnosić i obniżać. Każda klatka była innej wielkości i kształtu, niektóre były podłączone, aby mógł przebiegać przez nie prąd, niektóre wyłożone brzeszczotami pił albo szpikulcami. Większość miała takie rozmiary, że więzień nie mógł ani siedzieć, ani stać. Wszystkie były zajęte. Niektóre ofiary ledwo co oddychały - sylwetki ze skórą naciągniętą na wystające kości. Języki napuchłe były z pragnienia albo wyrwane, ręce połamane - zwykle towarzyszyło to aresztowaniu. Jeszcze więcej ludzi wisiało na metalowych kratkach wzdłuż ścian. Mieli oni obcięte powieki, a przed nimi zamocowano światła - jaśniejące stałym światłem łukowe lampy lub też błyskające w dokładnie odmierzonych odstępach flesze.

Budynek był kwaterą główną Czwartego Biura w Nowych Terytoriach. Specjaliści pracowali do momentu, gdy partyzanci przedarli się przez podłogi. Dowody na to leżały krwawiąc i drgając na metalowych stołach ustawionych w równych rzędach na podłodze. Większość ze stołów była płaskimi, metalowymi płytami z rynienkami do odprowadzania krwi, inne wyglądały jak dentystyczne krzesła. Tajni policjanci leżeli teraz obok swoich klientów, równie zakrwawieni, podziurawieni przez kule albo śrut.

John przelknął ślinę i zdusił odruch zamknięcia oczu. Doskonale wiedział, co dzieje się w takich miejscach, ale to nie było to samo, co zobaczenie tego wszystkiego na własne oczy. Podejrzewał, że będzie to widywał w snach przez resztę swego życia.

- Chodźmy - powiedział do swojego oddziału. - Pamiętajcie, niczego nie palić.

Mieli się dostać do centralnego systemu kartotek, zanim operatorzy będą mieli szansę go zniszczyć.

- I jeśli możecie, to bierzcie jeńców - dodał. Będą gadać. A potem odda ich ludziom w celach.

\* \* \*

- Próbują zaminowywać zewnętrzną przystań - powiedziała Elise Eberdorf.

Połowa jej twarzy była wciąż pokryta gojącymi się bliznami po oparzeniach. Brakowało jej też większości lewej ręki, ale funkcjonowała, czego się nie spodziewała po tym, jak seria eksplozji zrzuciła ją z mostka tonącego *Grossvolka*. Była przynajmniej w stanie na tyle funkcjonować, iż dowodziła flotyllą niszczycieli w Słupach. Wybrańcy byli narodem kierującym się logiką, a sztab nie winił jej za przegraną poniesioną w potyczce z siłami ośmiokrotnie większymi niż jej własne. Pomimo takiego układu sił udało jej się ocalić dwa pancerniki i wiele transportowców.

- Jakie statki? - wyskrzeczwała. Oparzenia zdeformowały jej głos, ale... funkcjonował, jak sądziła.

- Lekkie jednostki. Głównie trawlery.

Brakowało jej Helmuta, ale Angelika była wystarczająco kompetentna. - Mam mocne podejrzenia, że zaraz nastąpi atak z powietrza - powiedziała, przesuwając palcem po mapie wschodniego wybrzeża Krainy. - Krajowa Flota jest oczywiście w Składaniu Przysięgi. Jeśli do nich dołączymy, to będzie to dla wroga duża porażka i mniej więcej wyrównamy nasze szanse. - Zamilkła. - Proszę o najnowsze meldunki z kwatery głównej floty.

Rozkazy pozostały te same. *Spotkanie zgodnie z planem Beta*. Sto dwadzieścia mil na południowy wschód od Składania Przysięgi.

- Tsk. - Zbyt ostrożność w czasie, gdy jedynie śmiałe posunięcie może uratować sytuację. Domyślała się, iż dowództwo Krajowej Floty chce mieć pod swoimi rozkazami każdy statek, jaki się da. Sama zaproponowała poprowadzenie swojego czterokominowego statku na nocny atak torpedowy.

- Pani kapitan! - Techniczka łącznościowa podniosła wzrok znad radia. - Powietrzni zwiadowcy meldują, że z południowego wschodu zbliża się znaczna liczba samolotów wroga.

Palec Eberdorf znowu się przesunął. To oznaczało, że lotniskowce

Santanderczyków są gdzieś... *tutaj*. Użyteczna informacja.

- Meldunek do kwatery głównej - powiedziała. - Wiadomość do kapitanów. Jak tylko skończy się ten nalot, ruszymy pospiesznie do tego miejsca.

Angelika Borowitz uniosła brwi. - Kapitanie. To sprawi, iż znajdziemy się na kursie zbieżnym z flotą nieprzyjaciela.

Eberdorf się uśmiechnęła i nawet znajdujący się obok Wybrańcy lekko zbledli na widok wykrzywających się blizn. - Właśnie tak. Jeśli spotkamy się z wrogiem po drodze na miejsce spotkania, nie będzie można nas winić za stoczenie z nim walki. Moim zdaniem tylko nasza eskadra jest w gotowości do przeprowadzenia dużego nocnego ataku na flotę nieprzyjaciela. Potencjalne szkody, jakie możemy zadać, przewyższają znaczenie, jakie dwanaście kolejnych niszczycieli może mieć w działaniach w trakcie dnia.

Kiedy to zapewne zostaliby rozwaleni na miazgę przez składającą się z krążowników osłonę santanderskiej Północnej Floty. Jednak flotyli ze Słupów nie ograbiono z załóg Wybrańców ani doświadczonych protegowanych do operacji w głębi lądu, jak miało to miejsce w przypadku Krajowej Floty. Nocna operacja miała wielki potencjalny plus - zostanie zneutralizowana przewaga, jaką dawał nieprzyjacielowi zwiad, a wszelkie działania toczyć się będą w zasięgu torpedowym - wymagała ona jednak doskonałych umiejętności i długiej praktyki.

Zaśmiała się znowu i przesunęła dłonią po miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się jej włosy. - Wygląda na to, że mam zwyczaj przewodzenia straceńczym misjom. Choć wątpię, by tym razem ktoś dopłynął wraz ze mną do brzegu.

\* \* \*

- Panie. - Maurice Hosten zsalutował i stanął na baczność przed swoim dziadkiem. - Panie, odrzucili nas. Wątpię, abyśmy zatopili choć łódź rybacką.

W głosie młodego pilota pobrzmiwał ślad gorzkości, nawet teraz, nawet na mostku *Wielkiej Republiki*.

- Nigdy jeszcze nie doświadczyłem takiego ognia przeciwlotniczego - ciągnął dalej. - A ich samoloty z naziemnych baz czekały na nas, mając więcej niż trzykrotną przewagę liczebną. Przejechali się też mocno po naszych stawiaczach min.

Admirał skinął głową. - Trzeba było tego spróbować - powiedział cicho, bardziej do siebie niż do wnuka. A na głos: - Bardzo dobrze, pułkowniku. Możesz odejść.

- Cóż, to zostało spieprzone - rzucił lekko admirał Cunningham.

- Trzeba było spróbować - powtórzył Maurice Farr. - To tuzin blaszanych puszek i dobry, nowoczesny krążownik, dobrze obsadzony załogą i o wiele za bardzo mobilny. - Wyrżał przez okna w ciemność. - O wiele za bardzo mobilny i pewnie...

- Panie! Niszczyciel *Hiacynt* melduje pojawienie się nieznannej liczby okrętów nieprzyjaciela.

Farr spojrział na mapę. - Płyną prosto na nas - powiedział. - Cóż, nie można im odmówić woli walki - rzekł. - Transportowce, lotniskowce i ich eskorta mają trzymać kurs. Pozostała część floty zawróci jak następuje.

Posypały się rozkazy, Cunningham uniósł brwi. - Wystawiasz wszystko, aby stawić czoła dwunastu niszczycielom i krążownikowi? - spytał.

- Nie możemy sobie pozwolić na zbyt duże straty - odpowiedział Farr. - Zwłaszcza dużych statków.

Cunningham skinął głową. - To ty jesteś szefem. Lepiej zajmę się swoją robotą.

Far kiwnął głową, wyglądając przez okna na mostku. Już padły pierwsze strzały. Pojawiły się rakiety oświetlające. *Cholernie wielka ta flota*, pomyślał. *Będziemy mieć szczęście, jeśli nie zatopimy kilku własnych statków.*

Zastanawiał się nad wysłaniem wiadomości „uwaga na cel”, potem jednak w milczeniu potrząsnął głową. Było bardziej prawdopodobne, że tym sposobem straci statki, gdy kanonierzy będą się wahać do ostatniej chwili i dopuszczać za blisko niszczyciele z Krainy. Reflektory połyskiwały na wodzie. *Szkoda, że nie ma sposobu na widzenie w ciemnościach*, pomyślał. Jakiegoś urządzenia wykrywającego. Ale niczego takiego nie było...

- Krążownik *Iway* został zaatakowany - powiedział beznamiętnie sygnalista, tłumacząc szyfr przechodzący przez słuchawki w postaci kropek i kresek.

Niebo na północnym zachodzie rozświetliła nie tylko rakietą. Również błyski z dział, ośmiocalowych. Huk wystrzałów z luf dobiegał nieco wolniej, ale nieznacznie. To nie było daleko...

- *Iway* melduje, że jest atakowany przez działa z ciężkiego krążownika nieprzyjaciela - powiedział sygnalista. - *Desmines* i *Nawlin* ruszają ze wsparciem.

- Odmowa - warknął Farr. - Eskadra krążowników A ma pozostać na stanowiskach.

To właśnie pewnie próbował zrobić dowódca Wybrańców, wybić dziurę w osłonie z krążowników i wpuścić przez nią niszczyciele. Było to i tak łatwe, nawet jeśli pozostaną na swoich pozycjach. Niszczyciele nie będą tak długo widoczne, aby dostać

większość z nich.

- Panie, *Iway* melduje...

Na północno-zachodnim horyzoncie rozblęsnęło światło, a po nim nastąpił ogromny, głuchy huk.

- Niech to diabli - rzekł powoli i wyraźnie Farr. *Nigdy mi się nie podobała osłona magazynów na krążownikach klasy Miasto*, pomyślał - Poskąpili na wewnętrznych grodziach wzmacniających pancierz burtowy...

- Panie. - Tym razem głos sygnalisty zadrżał nieco, choć tylko na chwilę. - *Desmines* melduje, że *Iway... zniknął*, panie. Po prostu zniknął. Fragment rufy to jedyne, co pozostało.

- Coś jest dziś nie tak z naszymi cholernymi krążownikami - powiedział Farr, zapalił papierosa i spojrział znowu na mapę, obliczając odległości i czas. Wokół kapitana *Wielkiej Republiki* panowała krzątanina, a na całej nadbudówce zapłonęły reflektory.

- Nadpływają - powiedział głośno, aby przekrzyczeć pisk odwracających się wieżyczek. Tylko szybkostrzelne działka i broń pomocnicza. Nikt nie będzie strzelał z dwunastocalowych dział w ciemność, gdy wokół znajdują się dziesiątki statków marynarki Santander.

Nadpływały długie, smukłe sylwetki, klucząc pomiędzy eskadrami krążowników i zmierzając ku wielkim statkom. Czerwono-złote kule ognia zaczęły śmigać w ciemności nocy, a pociski wylały łukiem na spotkanie wroga. Niszczyciele Wybrańców wyrzucały spod dziobów pióropusze wody sięgające wieżyczek na przodzie, wyciągając trzydzieści węzłów albo i więcej.

- Nadpływają- powtórzy kapitan. Pancernik przechylił się, ostro skracając i zwracając się dziobem ku niszczycielom, by stanowić możliwie najmniejszy cel dla wiązek torped. Za to, co mamy otrzymać...

- ... niech Pan uczyni nas wdzięcznymi - wyszeptano na mostku ze świętokradczą pobożnością.

\* \* \*

Heinrich Hosten zamrugał. - Co takiego powiedział?

- Panie. Libert ogłosił, że Unia jest, ach, zdecydowanie neutralną, od dzisiaj od godziny pierwszej. Siły Unionistów nie będą próbować toczyć walki ani z siłami Santander, ani Krainy, chyba że w samoobronie. Panie, wiele posterunków melduje,

że Unioniści znajdujący się tutaj w Sierrze odmawiają walki. Czy mam rozkazać wdrożenie planu Płaszcz, panie?

Heinrich stał całkowicie nieruchomo przez pełne czterdzieści sekund. Pot pojawił się na jego beznamiętnej twarzy. - Nie w tej chwili - rzekł bardzo cicho. Plan Płaszcz był to plan awaryjny mający na celu przejęcie Unii.

*Cóż, wygląda na to, że raz się pomyliłaś, Gerto, pomyślał.* Pozostawienie Liberia przy życiu było błędem... choć usprawiedliwionym w swoim czasie.

- Nie, nie sądzę, abyśmy mogli rozpraszać teraz naszą uwagę. Libert ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi i choć to kusząca perspektywa, to obawiam się, że najpierw trzeba się załatwić z Santanderczykami. Proszę się skupić.

Szef sztabu pochylił się do przodu. Heinrich spojrział na mapę. - W oczekiwaniu na potwierdzenie z centralnej kwatery głównej, siły na Linii Konfrontacyjnej mają pozostać na miejscu. Aby sprzedać swe życie tak drogo, jak się da. - Wszystkie inne siły w Unii mają się wycofać na północ, niszcząc za sobą połączenia komunikacyjne tak daleko, jak się da, i dogonić nas, jeśli im się uda.

- Dogonić nas, panie?

Heinrich postukał grubym palcem w środek Sierry. - Jesteśmy jedynymi skoncentrowanymi siłami, jakie Kraina ma na lądzie. Jest oczywiste, co robią Santanderczyki: zajęli Coronę, przerzucają tam swój Pierwszy Korpus tak szybko, jak się da, i szykują się na naszą Krajową Flotę w Przesmyku.

Jego dłoń przesunęła się na zachodnie wybrzeże Republiki, a potem powędrowała w górę, ku rodzinnej ziemi Wybrańców.

- Śmiałe, odważne posunięcie. Wszystko zależy teraz od nas i od marynarki. Jeśli uda nam się rozbić ich flotę i zniszczyć Pierwszy Korpus, wówczas nawet utrata Unii i Sierry będzie bez znaczenia. Możemy je z powrotem zająć, kiedy zechcemy, a w następnym roku zmiażdżyć Santander.

*A jeśli przegramy albo przegra marynarka, to Wybrańcy są zgubieni,* pomyślał Heinrich. Sądząc po wyrazie twarzy pozostałych, wszyscy to wiedzieli.

- Panie, sieć komunikacyjna jest w bardzo złym stanie - ostrzegł szef logistyki.

Heinrich skinął głową. - Co oznacza, że pociągi posuwające się na północ będą się zapewne poruszać równie szybko co drezyny jadące przed lokomotywami - powiedział. - To wciąż szybciej niż wozy zaprzęgnięte w woły - stwierdził. - Priorytety: wszystkie lekkie i średnie opancerzone wozy bojowe, potem paliwo, potem artyleria i amunicja do artylerii oraz pozostałe zapasy, jeden transport za drugim.



- A co z ciężkimi czołgami?
- Wysadzić je na miejscu.
- Panie!

Heinrich znowu postukał w mapę. - Te potwory byłyby bezcenne, gdybyśmy mogli je przetransportować. Nie możemy. Wymagają zbyt dużo miejsca i wysiłku. Lepiej mieć to, co można w odpowiednim miejscu, niż to, czego nie można w połowie drogi w kluczowym momencie. Wysadźcie je.

- *Zum behfel, Herr General.*

- Samoloty, panie?

- Coenraad, ty i twój sztab macie mi wyliczyć, ile z nich uda nam się przesłać z powrotem do Nowych Terytoriów, zaopatrując po drodze w paliwo. Resztę wysadź na miejscu i przydziel personel do jednostek piechoty, w których brakuje przydziałowej liczby Wybrańców. - A było ich całkiem sporo.

- A teraz połącz mnie z kwaterą główną Nowych Terytoriów.

- Panie... od pół godziny nie odpowiadają na nasz sygnał. W ostatnim meldunku donosili, że powstańcy... jakimś cudem wychychnęli... z kwatery głównej Czwartego Biura i atakują budynki administracyjne od środka. Poza tym doszło do ogólnego powstania bydła.

Heinrich na sekundę przymknął oczy, a potem wzruszył ramionami. - W porządku, zatem zróbmy, co się da, z tym, co mamy. - Następnie...

Planowanie trwało. Straż przednia ostatniej armii Wybrańców ruszyła na północ niecałe dwie godziny później.

\* \* \*

Jej ostatni skrzydłowy zniknął w pomarańczowej kuli ognia. Erika Hosten utrzymywała dwusilnikowy, dwupłatowy bombowiec prosto i w równowadze do ostatniej chwili, a potem szarpnęła drążek. Skrzydła skrzypnęły w proteście, a samolot wzniósł się nad niszczycielem, przelatując w odległości niecałych sześciu Stóp od kominów. Dym i bijące z nich powietrze uderzyły w nią przez chwilę, potem jednak znalazła się z powrotem nad powierzchnią wody, niemal dotykając jej kołami. Przed nią pojawiła się jakaś sylwetka. Długa, płaska wyspa nadbudówki po jednej stronie burty. A nad nią samoloty, cały rój - samoloty nad całą misą ognia i dymu oraz statki rozrzucone aż po horyzont po obu stronach, inne samoloty z lotniskowców Krainy oraz całe setki samolotów z samej Krainy w misjach w jedną stronę. Pompomy w

obsadach dział wzdłuż całej burty lotniskowca i działka strzelające do niej od tyłu, z osłaniających go niszczycieli. Jej strzelec osunął się na tylnym siedzeniu. Jego krew spływała po podłodze kokpitu i chlupotała jej wokół butów. Materiał odrywał się od skrzydeł.

- Jeszcze tylko chwilkę - szeptała czule do samolotu. - Jeszcze troszeczkę.

Bliżej. Coraz bliżej. *Teraz.*

Szarpnęła wyzwalacz obok siedzenia. Dwupłatowcem zakołysało, gdy poszła torpeda, a potem jeszcze raz, gdy coś w niego uderzyło. Znowu szarpnęła za drążek i...

Nastąpiła czerń.

\* \* \*

- Witaj na pokładzie, admirale - rzekł dowódca *Imperium Wolności*. - Powiadomiliśmy flotę, iż zmieniasz okręt flagowy.

Maurice Farr skinął głową i ruszył na przód mostka pancernika. Przed sobą zobaczył poskręcaną od wybuchu wieżyczkę strzelniczą. Jeszcze więcej poskręcanego metalu wyrzucano za burtę. Były to szczątki samolotu z Krainy, który wpadł na pokład z wciąż nietkniętymi bombami pod skrzydłami. Spowodował jednak zaskakująco niewiele szkód. Tylko pompy w otwartych obsadach po tej stronie okrętu milczały, a ich lufy przypominały surrealistyczne rzeźby.

- Jaki stan? - spytał rzeczowo, mimo plam z ropy i wody, którymi przesiąknął mu mundur.

- Panie. Szesnaście jednostek batalionu Pierwszej Dywizji melduje pełną lub prawie pełną gotowość operacyjną.

Dwa pancerniki i trzy krążowniki stracono w czasie ataku torpedowego zeszłej nocy. Jeszcze trzy dziś rano w wyniku lotniczych ataków Wybrańców z obu stron Przesmyku. Dawało mu to czterokrotną przewagę, dwa razy tyle w ciężkich krążownikach, a większość osłony składającej się z niszczycieli pozostawała nietknięta - uciekła niecała jedna trzecia flotylli nieprzyjaciela ze Słupów - i jedną przewagę o kluczowym znaczeniu...

- A jak z lotnictwem?

- Panie, mamy nieprzyjacielską flotę pod stałą obserwacją. *Saunderton* prowadzi zalewanie równoważące, próbując ugasić pożary, a uderzenie torpedy odjęło mu ster, ale *Lammas* i *Przeprawa Millera* stoją ciągle w gotowości, aby przejąć samoloty,

Nie będą zatłoczone - nie było już większości myśliwców. Maurice Farr spojrzął na

horyzont. Całe jego życie stanowiło przygotowanie do tej chwili.

- Meldujcie o ruchach.

- Panie, nieprzyjacielskie niszczyciele zbliżają się pełną parą, a za nimi formacja pancerników i krążowników.

Co sprawiało, że spotkają się dziób w dziób z jego statkami nacierającymi w dokładnie takiej samej formacji. Istniała jednak pewna kluczowa różnica: *jego* ciężkie okręty miały lotnicze rozpoznanie i wyspecjalizowały się w tej technice przez lata praktyki. Flota Krainy miała doskonałe celowniki optyczne i dobre działa, ale nie mogli ich użyć, dopóki nie zobaczyli wroga. Pozostawiało to bardzo, bardzo długi odcinek strefy śmierci do pokonania pod gradem żelaza.

- A nieprzyjacielskie lotniskowce?

- Odłączyły się i posuwają się szybko w kierunku północnym.

To go przez chwilę zastanawiało. *Ach. Nie mają już samolotów.* Bez samolotów były równie bezużyteczne w trakcie walki, co statki kupieckie we flocie.

- Przygotować flotę do wykonania skrętu. Skręt będzie na lewą burtę.

- Panie.

Pancerniki z Santander były rozciągnięte jak sznurek z szesnastoma paciorkami, sunąc z szybkością osiemnastu węzłów. Ciężkie okręty z Krainy zbliżały się ku nim o węzeł albo i dwa szybciej. Niektóre z ciężkozbrojnych statków Farra były uszkodzone i nie rozwijały swojej największej prędkości.

- Skręt.

*Imperium Wolności* przechyliło się, skręcając tak, że zwróciło się burtą ku wciąż niewidocznemu na horyzoncie nieprzyjacielowi. Wieżyczki zaskrzypiały, gdy obracały się długie lufy dwunastocalowych dział. Po obu stronach jego siostrzane jednostki zrobiły to samo. Teraz szesnastcie pancerników z Santander płynęło na zachód, a nie na północ... zwrócone zmasowanym ogniem bocznych dział w stronę swych odpowiedników z Krainy. Jeśli nieprzyjacielska flota spróbuje natarcia, zbliżenia się, to będą w stanie odpowiedzieć niecałą połową swych dział... a i tak przez długi, długi czas będą strzelać na oślep. Jeśli powtórzą jego manewr, to nigdy nie znajdą się w zasięgu. A jeśli się wycofają, to już następnym razem flota nie będzie miała okazji do stoczenia walki na tak korzystnych warunkach. On może popłynąć do Corony i uzupełnić wyposażenie, blokując głębię lądu pod osłoną lotnictwa z naziemnych baz.

- Rozpocząć ostrzał - powiedział.

Wypaliło sto dwadzieścia ciężkich dział. Flota z Santander przez chwilę znikła w

płomieniach i dymie. *Imperium Wolności* przechyliło się. Szkielet statku stękał i giął się pod naciskiem potężnej siły podmuchu z luf jego czterech dwunasto- i czterech ośmicalowych dział na burtach. Przez krótką chwilę Farr dostrzegał ośmiuset funtowe pociski na szczycie łuku ich trajektorii. Sekundę później leciały już one ku pokładom ciężkich okrętów wojennych Krainy. Ku cieńszemu pancierzowi pokładu, a nie potężnemu opancerzeniu burtowemu chroniącemu ich boki.

- Plusk - powiedział sygnalista. - Obserwator powietrzny melduje zbyt długi strzał. Zasięg, poprawka...

## Rozdział trzydziesty

- Generale - powiedział oficer w sztabowym samochodzie. Jeffrey pochylił się na bok w swoim wozie opancerzonym.

Coś ze świstem przeleciało przez miejsce, które właśnie opuścił, i było o wiele za głośne, żeby być kulą. Jeffrey złapał się gorączkowo za poręcz z boku, gdy samochód zatoczył się do tyłu.

To skryło ich przed wrogiem. - To było czołgowe działo albo ja jestem zjadaczem ślimaków - wymruczał kierowca.

Kilka wozów opancerzonych z Santander zbliżało się drogą, którą jechał Jeffrey. Cztery czołgi, średnie Charty z dwuipółcalowymi działkami w wieżyczkach, trzy transportowce dla żołnierzy, czyli Charty z usuniętymi wieżyczkami, Chart z pompomem, uwolniony od swego pierwotnego zadania obrony przeciwlotniczej przez fakt, iż właściwie nie było już samolotów Krainy. Teraz zajmował się wsparciem ogniowym. Czołg z Republiki wysunął się ze stukotem, zatrzymując się tak, że wieżyczki czołgu wystawały nad wzgórzem, a jego działa były maksymalnie obniżone. Jedno z nich wystrzeliło, a w parę chwil potem niedaleko buchnął dym i widoczny nawet zza wzgórza płomień.

Po pofalowanej ziemi uprawnej na zachodzie nacierał Korpus Ekspedycyjny. Piechota rozciągnięta była w przygotowaniu do walki, która wydawała się nieunikniona. Nad ich głowami przeleciała formacja myśliwców do ataków naziemnych. Ich koła znajdowały się niecałe piętnaście stóp nad ich głowami.

- Generale - powiedział zdyszany oficer sztabu.

Jeffrey znowu się pochylił. Uśmiechnął się, czytając meldunki.

- Panie? - spytał Henri, opierając ręce o uchwyty karabinu maszynowego w pojeździe. Jeffrey nie uznawał niepotrzebnego ryzyka, a w okolicy mogło jeszcze być kilka samolotów Wybrańców. Kilka samochodów wyglądających wyraźnie na pojazdy sztabowe, zgrupowanych tuż za linią frontu, stanowiło bardzo kuszący cel.

- Wiadomość od taty. Admirala Farra. *Spotkaliśmy się z wrogiem i załatwiliśmy go.*

Unionista zagwizdał cicho. - Zatem panujemy nad Przesmykiem?

Jeffrey skinął głową. Jeśli tylko Korpus Ekspedycyjny nie zostanie odrzucony z powrotem do morza... lecz wyglądało to na coraz mniej prawdopodobne.

Zerknął na drugą wiadomość i z trudem powstrzymał opadanie szczęki.

- Skurwysyn.

Henri spojrzał na niego. Tak naprawdę to nie było to przekleństwo.

- Libert. Libert zaproponował azyl wszystkim Wybrańcom i protegowanym pozostającym na terytorium Unii i Sierry. Obywatelstwo Unii, nadania ziemi... Ten łajdak próbuje zebrać taką armię, żebyśmy nie mieli ochoty pozbyć się go, gdy to wszystko się skończy.

Twarz Henriego zbieleła z wściekłości wokół nozdrzy i ust. Społeczeństwo Santander nienawidziło Libertę i jego kolaboracyjnego reżimu niemal tak samo jak lojaliści-uchodźcy. Pytanie tylko, czy nienawidziło go aż tak bardzo, aby stoczyć kolejną wojnę.

- Rozchmurz się - powiedział Jeffrey. - Jeszcze nie widziałem wielu Wybrańców, którzy się poddali.

Spojrzał na stół z mapami. - Musimy tylko ich powstrzymać. Brakuje im zaopatrzenia, brakuje paliwa, brakuje nadziei.

Pozostałości sił, jakie przemaszerowały z południa Sierry na spotkanie z nim, były teraz rozciągnięte wzdłuż górnego biegu rzeki Pada, na wschód od Ciano i przedzierały się przez roje partyzantów. Tych niewielu Wybrańców, jacy pozostali przy życiu w Imperium, zadekowało się w fortach i miasteczkach, które nie zostały zajęte na początku powstania. Za ostatnią armią Krainy czaiła się tylko śmierć.

- Ogólna wiadomość - powiedział do sygnalisty. - Musimy jedynie odeprzeć ich pierwszy atak. Powstrzymać ich. Protegowani już zaczęli się zwracać przeciwko swoim panom. Jeśli odeprzemy ten atak, to ich armia się rozpierzchnie.

\* \* \*

Heinrich Hosten rozejrzał się po swojej pozycji. Pozostało ich sześciu. To byli wszyscy, jacy ostali się z jego sztabu. Pewnie tysiące żyły jeszcze gdzie indziej - rozsiane gniazda oporu, odizolowane tam, gdzie furia ataku zawiodła ich głęboko w pozycje Santander. Sprawdził magazynek swego automatu.

Przed nim, pośród drzew, którymi wysadzana była droga, znajdowali się Santanderczycy. Pewnie pluton i z pewnością wóz opancerzony.

Heinrich ocenił odległość. *Przynajmniej nie muszę już podejmować więcej decyzji*, pomyślał. Zaśmiał się, odczuwając ulgę. Nic dobrego z tego nie wyszło. Jeszcze tylko jedna walka. Zaśmiał się znowu, czując się młodo. Tak młodo jak na początku wojny, gdy był pewny siebie i szczęśliwy.

- *Sturm!* - krzyknął. - Do ataku!

Z nożem w jednej ręce, pistoletem w drugiej, rzucił się do przodu z pozostałymi pędzącymi jego śladem. Błyski z luf zamigotały w półmroku, karabiny wypaliły pośród drzew. A potem ciągle migotanie od ledwo widocznej sylwetki wozu opancerzonego.

Coś w niego uderzyło. Zachwiał się i nacierał dalej, wypuszczając trzy ostatnie naboje z pistoletu. Czy w kogoś trafił? Trudno powiedzieć. Dalej. Kolejne uderzenie w jego ciało, wydające się być bardzo odległe. Upadł i poczołgał się do przodu, wbijając wolną rękę w ziemię i mocniej ściskając nóż. Palce mu drętwiały. Zobaczył przed sobą buty i czubek bagnetu. Częściowo się podniósł i rzucił przed siebie, zamachując się długim, zakrzywionym nożem tam, gdzie, jak wiedział, musiało się znajdować ciało. Coś trafiło go między łopatki i runął.

*Gerta*, Coś mokrego wypłynęło mu z ust. Nicość.

\* \* \*

- Jezu - powiedział żołnierz z Santander, spoglądając na nóż, który rozminął się z jego kroczem o kilka cali. - Jezu. Ten łajdak musiał dostać z dziesięć kulek i nie chciał się, kurwa, *zatrzymać*. Wpakowałem w niego cały magazynek. Jezu.

Jeffrey Farr spojrział na twarz Heinricha. Mężczyzna usta miał ciągle wykrzywione z wściekłości, a może w uśmiechu. Trudno było stwierdzić przez krew. Jeffrey pochylił się i zamknął niewidzące niebieskie oczy.

\* \* \*

- Panie, to jest kurewsko *głupie!*

John Hosten kiwnął głową. - Tak, jest, Barrjen - powiedział. - Smith, wy wszyscy

jesteście ze mną od dawna, ale to jest sprawa osobista. On jest moim ojcem, nie waszym.

Składanie Przysięgi płonęło. Kanonierka z Santander wpłynęła, nie napotykając na opór, chyba żeby liczyć przypadkowe strzały grabieżców. Przystań była pusta, lecz wielkie doki marynarki w środku zatopionego stożka krateru stanowiły miejsce toczącej się bitwy - trudno było powiedzieć, kto walczył z kim, lecz ogień wystrzałów był silny. To, co działo się na ulicach, nie było bitwą. Było to coś pomiędzy orgią a masakrą. Robotnicy-niewolnicy i zbuntowani protegowani polowali na zbłąkanych Wybrańców i każdego z nimi powiązanego.

- Idę - powiedział John, podnosząc swój pistolet maszynowy. - Nie mogę was powstrzymać przed towarzyszeniem mi, ale wołałbym, żebyście tego nie robili.

Spojrzeni na niego w milczeniu. Uśmiechnął się krzywo i ruszył ulicą. Bandy rabusiów rozstępowały się przed ich karabinami i wyraźnie widoczną dyscypliną. Dym był na tyle gęsty, że ograniczał widoczność do mniej niż dwudziestu jardów, na tyle gęsty, że każdy oddech był bolesny. Pożary szalały po obu stronach ulicy, a języki płomieni wymykały się z okien budynków.

- To barykada, panie. Ostrożnie - powiedział Smith.

John potrząsnął głową. - Nie sądzę, aby był za nią ktoś żywy - stwierdził.

Przed nią było wielu zabitych - w pasiakach obozów pracy lub standardowych, szarawych ubraniach protegowanych. Najpierw gruba warstwa ciał, potem kupki po dwóch albo trzech ludzi. Pomiędzy nimi widać było tu i ówdzie szare mundury Krainy i broń - żołnierze albo policja, która zwróciła się przeciwko swoim panom. Przed barykadą z mebli i wywróconych ręcznych wózków zabici leżeli warstwami sięgającymi pasa, a granitowa nawierzchnia ulicy spływała kleistą czerwienią. Grupa z Santander musiała się po nich wspiąć, oddychając przez usta. Tam, gdzie lufy karabinów maszynowych przykryte były zasłoną zabitych, czuć było woń mięsa pieczonego na rozgrzanym do czerwoności metalu, lub ugotowanego przez parę uwalniającą się z pękniętych osłon wodnych. Większość zabitych za barykadą stanowili Wybrańcy - głównie dzieci, w prostych, szarych mundurkach probantów. Dorośli wśród nich byli siwowłosi, pewnie nauczyciele. Wyglądało na to, że większość dzieci zginęła szybko, a okaleczenia zostały zadane później. Większość.

- Ty łajdaku - wyszeptał Barrjen na widok łysego mężczyzny, którego poplamione ze starości ręce wciąż zaciskały się na gardle protegowanego. Nóż w dłoni protegowanego był zagłębiony w brzuchu nauczyciela. - Ty łajdaku.



- Ruszać się! - rzucił ostro John.

Požary stały się jeszcze gorsze, gdy posuwali się przez Stare Miasto. Obok nich wrzeszcząc, przebiegła służąca. Jej nagie ciało pokryte było strużkami krwi. Gonilo ją niespiesznie pół tuzina protegowanych żołnierzy, z oderwanymi od mundurów insygniami i butelkami w dłoniach. Jeden czy dwóch zatrzymało się, gapiąc na grupę z Santander. I choć w ogolonych głowach nie było dużo rozumu, to dosyć zwierzęcej ostrożności, aby potrucztać dalej.

- Gdzie mógłby być, panie? - spytał Barrjen.

John odpowiedział, nie odwracając się ani nie przerywając miarowego truchtu. - Myślę, że wiem gdzie.

Przepychali się teraz przez tłumy, skręcając na południe do Pomnika. Zabrzmiał trzask lekkiej broni. Biegająca w dół zbocza aleja pozwoliła im zobaczyć plac wokół Pomnika Założycieli. Postacie z brązu wciąż wznosiły swoją broń, składając przysięgę. Pomnik otaczała barykada z pojazdów, część z nich to były czołgi lub wozy opancerzone.

- Będzie tam, jeśli w ogóle żyje - rzekł beznamiętnie John. - Pod pomnikiem są bunkry, stare, lecz zawsze utrzymywali je w dobrym stanie, a magazyny są pełne, to jest rytuał...

Fala ludzka ruszyła z ulic i budynków wokół placu, fala wrzeszcząca i przesuwająca się po dywanie z ciał pokrywającym nawierzchnię zbyt grubo, aby było widać kamień. Kule poleciały w kierunku tłumy, a ten wchłonął je, piętząc się jakby na falochronie. W przeciągu niecałej minuty skraj tej fali oparł się o lufy karabinów, dźgając, strzelając i rozdzierając ciało gołymi rękoma.

- Vater... - wyszeptał John w języku swojej młodości.

Coś podszeptało Barrjenowi, by podciąć Johnowi nogi. Upadli obaj. Pozostali rzucili się na ziemię wiedzeni żołnierskim odruchem, zanim zdali sobie sprawę, co się stało. Nawet z odległości tysiąca jardów i ponad wrzaskami atakującej hordy odgłos eksplozji był donośny. Brąz, kamień i ludzkie ciała wyleciały w powietrze. Żadna ręka, poza Wybrańcami, nie dotknie Pomnika Przysięgi.

- Vater! - wrzasnął John, wiedząc dokładnie, kto dotknął tego ostatniego bezpiecznika.

- Och, Jezu, kurwa, *Chryste*, panie, leż! - krzyknął Barrjen. Barrjen i Smith siłowali się z Johnem. A potem on jęknął i osunął się w ich ramiona.

- Niech to szlag, niech to szlag! - rzucił Smith, rękoma obmacując ranę. - Cholera,

dajcie mi tu bandaż, przyciśnijcie!

Barrjen pozwolił im pracować, a sam spojrział na plac i gwizdnął w duchu. Lej miał przekątną stu jardów, a on dokonał szybkich obliczeń.

*Na tak malej przestrzeni nie może być aż tak wielu zabitych ludzi*, pomyślał. A potem rozejrzał się po płonącym chaosie rozciągającym się po obu stronach przystani i po zboczach gór, gdzie płomienie znaczyły każdy dwór i wioskę. *Chyba jednak może.*

- Okej, zaprowadźmy szefa z powrotem na statek - rzekł na głos.

\* \* \*

- *Nein* - rzekła beznamiętnie Gerta Hosten.

- Ale, generale, musimy szybko uderzyć, zanim wróg przeprowadzi desant na samą Krainę. Mamy pod kontrolą połowę obszaru, a setki tysięcy są uzbrojone...

- Zamknij się - powiedziała do swego syna Gerta, spoglądając na przystań Westhavn. Pożary ugaszono, a statki, które tłoczyły się na redzie, posuwały się ku dokom. Od czasu do czasu słychać było trzask wystrzału, lecz nie przypominało to dnia wczorajszego, gdy tutejsza sytuacja jeszcze się nie wyklarowała. Ciągnęła dalej tym samym rzeczowym, mechanicznym głosem:

- Mamy kontrolę nad *niszami* na północy i wschodzie wyspy. Mamy setki tysięcy *dzieci*, probantów. Gdyby nie to, że zostali oni powołani, to do tej pory już byśmy nie żyli. Wątpię, czy na kontrolowanym obszarze pozostały więcej niż dwie dywizje dorosłych Wybrańców. Może dywizja protegowanych, którzy nie podnieśli buntu. A teraz trochę arytmetyki. W obozach wokół samych tylko Składania Przysięgi i Kopernika było ponad *dwa miliony* przymusowych robotników. I dość broni oczekującej w magazynach na przewiezienie na ląd, aby wyposażyć dziesięć dywizji. Zatem na południowej i wschodniej nizinie jest przynajmniej milion uzbrojonych buntowników, nie licząc kilku dywizji protegowanych, którzy zabili swoich oficerów.

- Zakładając, że naszym dzieciom - a niektóre z nich są niższe od broni, którą noszą - uda się odbić tę część Krainy, co jest niemożliwe, to jak sądzisz, co armia Santanderczyków z nimi zrobi? A wkrótce będą gotowi do wysadzenia tutaj żołnierzy.

- Ich... ich marynarka poniosła ciężkie straty w bitwie o Przesmyk.

Gerta skinęła głową, z twarzą wciąż zwróconą ku oknu. - Mają sześć nietkniętych pancerników. Nie zostały się żadne nasze. Lotniskowce nie mają samolotów. Zostało może dwa tuziny innych okrętów wojennych, wszystkie są uszkodzone, i kilkaset statków kupieckich. Nie mamy żadnych urządzeń naprawczych i żadnej nadziei na

wznowienie produkcji przemysłowej - w przeciągu ostatnich sześciu dni musieliśmy zabić dziewięć dziesiątych siły roboczej. Może tego nie zauważyłeś?

- Zatem...

Gerta się odwróciła. Johan Hosten stał sztywno, lecz łzy spływały mu po policzkach.

*Plask.* Jej otwarta dłoń trafiła go w policzek. - *Baczność!*

- Tak jest!

Widziała, jak syn odzyskuje panowanie nad sobą. - A teraz wysłuchasz, co zrobimy, a potem pomożesz mi w przygotowaniu koniecznych rozkazów. Ci, którzy tego chcą, mogą okopać się tutaj w Westhavn i w Konugsburgu i poddać się siłom Santander. Oni przynajmniej przeżyją. Ci, którzy tego *nie* chcą, wejdą na pokład statków.

- Statków? - spytał Johan. - I dokąd popłyną?

- Na Zachodnie Wyspy, oczywiście - powiedziała Gerta. - To jedyne miejsce pozostające w naszym posiadaniu. Radiowe meldunki donoszą, że warunki są stabilne - na tyle, na ile mogą być na małych, pokrytych dżunglą wysepkach po drugiej stronie świata. Wyspy znajdują się na tyle daleko, że nieprzyjaciel nie wybierze się tam w najbliższej przyszłości. Załadujemy wszelki możliwy przemysłowy sprzęt.

- Ale... jak... nawet jeśli tylko połowa naszej pozostałej przy życiu ludności... na Zachodnich Wyspach właściwie nie ma rolnictwa.

- To będziemy jeść dużo ryb, no nie? - powiedziała Gerta. - Ale nie ma wystarczająco wielu protegowanych, którzy by nas utrzymywali!

Gerta westchnęła, przymknęła oczy i dotknęła skroni dwoma placami. *Po prostu nie uczymy się bardzo szybko*, pomyślała z goryczą.

- Zatem sami będziemy musieli się nauczyć łowić ryby, prawda? Masz rozkazy, *Hauptman*.

- *Zum behfel, Herr General.* - Johan wciąż stał. - Czy mogę coś powiedzieć, generale?

Gerta poczuła chłód. - Możesz - powiedziała.

- Generale - rzekł chłopak. Na jego policzkach widać było Izy. - Będę jednym z tych, którzy pozostaną w Westhavn. Za pozwoleniem.

- Pozwolenie udzielone - powiedziała beznamiętnie Gerta. - A teraz przynieś mi teczkę dotyczącą pozostałych statków kupieckich.

- *Mi Mutti?* Ja się nigdy nie poddam!

Gerta spojrzała na swego syna. Został doskonale wyszkolony, aby stać się tym, kim chciała - jej całkowitą porażką.

- Tak - powiedziała - nie sadzę, abyś miał to zrobić. A teraz przynieś mi tę teczkę.

## Epilog

John Hosten uśmiechnął się ze szpitalnego łóżka do swojej żony. - Tak, Pia. Zgadzam się. Wakacje... gdy sytuacja się nieco uspokoi.

Pia oparła ręce na biodrach. - Ona się nigdy nie uspokoi. Już mówią o wystawieniu cię jako kandydata na premiera w następnych wyborach.

John usiadł prosto i skrzywił się od bólu w nodze. Doktorzy ją uratowali - i jego - ale przez chwilę sprawa wisiała na włosku. - Na Boga, nie ma mowy!

Pia westchnęła i uśmiechnęła się. - Powiedzą ci, że to dla wspólnego dobra...

>>Zgadza się<< powiedziało Centrum.

*Zamknij się*, syknął w myślach John.

- ... a ty rzucisz się na to jak pstrąg na muchę.

Wzięła płaszcz. - A teraz mówią mi, że musisz odpocząć. Ale zobaczysz ślub swojego syna...

Maurice Hosten objął wolnym ramieniem swoją narzeczoną. Alexandra Farr była wciąż w mundurze Korpusu Pomocniczego, a on sam w błękitnym jak niebo mundurze Służb Lotniczych. Lewe ramię miał na temblaku, ale gips mieli mu zdjąć lada dzień. Przy odrobinie szczęścia będzie mógł znowu latać samolotem, choć nie myśliwcem.

- ...i będziesz odpoczywał przez rok. Nawet jeśli będę cię musiała walnąć młotkiem przez łeb, żebyś tak zrobił.

Wyszła, a za nią jej syn. Jeffrey przysiadł na brzegu łóżka Johna i poczęstował go papierosem. John pochylił się ostrożnie do przodu.

- Czuję się jak ktoś, kto całe życie wspinał się na schody - powiedział, wydychając dym ku otwartemu oknu. Gałązki kwitnącej dzikiej jabłoni kołysały się poruszane

łagodnym, wiosennym wietrzykiem. Ciepła pora przychodziła wcześniej do Dubuku. - Nagle znalazłem się na szczycie, a tam są zupełnie nowe schody.

>>Wyeliminowanie zagrożenia ze strony Wybrańców było pierwszym krokiem na drodze przyłączenia Visager do Drugiej Federacji<< powiedział Centrum. >>Każda podróż rozpoczyna się od pierwszego kroku. A mimo to jest to dopiero początek.<<

Obrazy przemknęły mu przed oczami: uniwersytety, traktaty handlowe...

>>A Jeff będzie miał jeszcze przed sobą sporo walki<< stwierdził Raj z radosną rezygnacją. >>Stoczyłem wszystkie moje ważne wojny na Bellevue, zanim stuknęła mi trzydziestka, i niech mnie diabli, jeśli sprzątanie po tym nie zajęło mi reszty życia.<<

Jeffrey westchnął i wypuścił strużkę dymu z nozdrzy. - Część z tego, co robimy, jest trudniejsze do przełknięcia niż wojna - powiedział. - Żołnierze z Santander musieli strzelać do Imperialnych, żeby powstrzymać ich przed wyrżnięciem Wybrańców próbujących się nam poddać. Wreszcie to robią, grupkami, a twojemu przyjacielowi Arturo wcale się to nie podoba. On uważa, że narodowym przeznaczeniem Wybrańców jest trafienie na kompost.

John wzruszył ramionami, przypominając sobie piwnice w Ciano. - Ma swoje powody. Mimo to nie będzie się tego domagał. A tak przy okazji, chyba musimy przestać stosować nazwy Imperium. Republika? Zobaczymy.

- Premier mówi coś o protektoracie - rzekł Jeffrey.

John się zaśmiał, a potem skrzywił od bólu w nodze. - Prędeż żelazo będzie pływać. Znam elektorat Santander, oni chcą całkowitej demobilizacji, najlepiej jeszcze wczoraj.

- Cholerna racja. W zeszłym tygodniu mieliśmy bunt w Salini. Żołnierze domagali się rozpuszczenia do domów.

John zrobił marsową minę. - Co oznacza, że nie uda nam się nic zrobić z Libertem. Cholera, nie chce mi się patrzeć na to, jak temu oślizgłemu łajdakowi uchodzi to na sucho. On nie jest taki zły jak Wybrańcy, ale to jeszcze nic nie znaczy.

>>Ale cieszy się teraz popularnością w Unii<< powiedział do nich obydwu Raj. >>Nie wplątał kraju w wojnę i wyrwał spory kawałek terytorium tradycyjnym wrogom. Czy jesteście gotowi stoczyć wielką wojnę i stracić kolejne sto tysięcy ludzi, aby go obalić?<<

- Jeśli Gerard by żył, to owszem - powiedział Jeffrey. - A tak. - Westchnął. - Ale czy nie piętrzymy sobie kłopotów na przyszłość? Strasznie dużo Wybrańców przyjęło amnestię Liberta - tyłu, ilu nam się poddało. To nie ułatwiło przeprowadzenia aktu

zasiedlenia przez Kongres.

Zapewniał on uchodźcom Wybrańców status rezydenta i obywatelstwo dla ich dzieci. Nie było to jednak aż tak hojne jak oferta Liberta, choć Republika była bardziej rozwiniętym krajem. Większość Wybrańców była wysoko wykształconymi i inteligentnymi ludźmi. Będą cennym nabytkiem... pod warunkiem, że się zasymilują.

>>Zasymilują się<< powiedziało Centrum. >>Przytłaczająca większość. Wydarzenia, jakie zaszły w czasie ostatniego pokolenia, wystarczyły, by zniszczyć nawet bardzo mocne kulturalne uwarunkowanie.<<

*A ci, którzy nie mogli się z tym pogodzić, woleli zginąć, niż się poddać,* powiedział Raj.

>>Zgadza się. Wybrańcy w Unii także zasymilują się z otoczeniem, choć bardziej powolnie. Będą jednak służyli jako jądro oporu wobec hegemonii Santander... co w tym kontekście jest pozytywnym czynnikiem. Pamiętajcie, musimy myśleć w kategoriach dobra planetarnego, a nie narodowego. Ten świat został poważnie naznaczony. Ponad jedna dziesiąta ludności planety nie żyje. Będą kolejne, liczne ofiary głodu i chorób, to normalne po wojnie. Na dawnym terytorium Imperium panuje chaos i jest wysoce prawdopodobne, iż rozpadnie się ono ze względów politycznych. Będą się tam toczyć wojny o sukcesję, tak jak i na nie zajętych obszarach Sierry. Dawna Kraina najpewniej ulegnie całkowitej degradacji cywilizacyjnej, gdy protegowani i niewolnicza siła robocza zaczną walczyć o łupy. Kraina istniała dzięki importowanej żywności i wysoko zaawansowanemu technologicznie rolnictwu, a nic z tego już nie istnieje. Część długookresowej degradacji kulturalnej i demoralizacji będzie wynikiem brutalizujących się skutków konfliktu. Musimy zagwarantować długi okres stosunkowej stabilizacji, aby zaistniał proces regeneracyjny.<<

- Taak, była to cholernie trudna wojna - przyznał Jeffrey, wyrzucając niedopałek przez okno. - Masz rację. Całkowite betony spośród Wybrańców wachają już stokrotki od dołu. Z pozostałymi sobie poradzimy.

John skinął głową. - Oprócz, być może, ludzi Gerty?

>>Na Zachodnich Wyspach brakuje miejsca oraz bazy surowcowej do wspierania dużej wojskowej potęgi<< powiedziało Centrum. Potem powoli dodało: >>Z eugenicznego punktu widzenia, tamtejsze osadnictwo dostarczy ciekawego materiału do badań. Życie bez niewolników doprowadzi jednakże do gwałtownej zmiany kulturowej. Maksymalne prawdopodobieństwo reorientacji i przesunięcia zainteresowań z wojskowych na przedsięwzięcia handlowo-naukowe.<<

John wzruszył ramionami. - Zatem powodzenia, Gerto - powiedział. - Jak się tak o tym pomyśli, to pewnie to dla niej lepsze niż zwycięstwo.

Jeffrey parsknął śmiechem. - Wątpię, aby się z tym zgodziła.

- To prawda. Ale to nasze zdanie się liczy, prawda? To oznacza zwycięstwo. Nie zabicie przeciwnika, ale przekabacenie dzieci jego dzieci. Wybrańcy robili narzędzia z istot ludzkich i temu należy położyć kres. Ale my wszyscy jesteśmy narzędziami ludzkości.

Bracia siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, myśląc o latach, jakie są przed nimi.

- Cóż, muszę zaplanować ślub - powiedział w końcu Jeffrey. - Co jest ucieleśnieniem przyszłości? To po to było to wszystko, czyż nie?

- Amen - rzekł cicho John. - Amen, bracie.